ADOLF NOWACZYŃSKI

PLEWY I PERŁY

1934 WARSZAWA 1934

PLEWY I PERŁY

ADOLF NOWACZYŃSKI (1876-1944)

PLEWY I PERŁY





WARSZAWA
1934





Drukarnia Archidiecezjalna, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71.

PRZEDMOWA

Tak między nami mówiąc, to taką przedmowę właściwie powinien napisać kto inny.

Radością mych lat późno-jesiennych byłoby, gdyby takim wstępem tę księgę obdarzył najczcigodniejszy Aleksander Świętochowski, który mi tylokrotnie do pracy i walki otuchy gorącej dodawał, program i taktykę sankcjonując, a swojem osobistem niezmożeniem, niestrudzeniem, hartem i prawdy zawziętą obroną przykład przepiękny dając. Mogłem też o takie przedsłowie poprosić któregoś z tych pisarzy mego pokolenia, którzy zawsze z bardzo przyjaznem zainteresowaniem, z serdecznem wyrozumieniem, niekiedy zaś z entuzjazmem odnosili się do mego pisarskiego dorobku. Mam tu na myśli Wł. Jabłonowskiego, S. Kozickiego, B. Koskowskiego, A. Siedleckiego, St. Strońskiego, względnie z Krakowa K. H. Rostworowskiego lub prof. I. Chrzanowskiego. W rezultacie finalnym zdecydowałem się o wstęp poprosić siebie samego.

Dlaczego?

Ponieważ po pierwsze zależało na pośpiechu, a po drugie zależało na czasie.

Nie wszyscy piszący u nas dysponują wolnym czasem, a raczej żaden z naszych piszących wolnym czasem nie dysponuje. Wobec tego między moją propozycją napisania wstępu a otrzymaniem tegoż wstępu mógłby zaistnieć zbyt długi, jak na dzisiejsze tempo życia, okres czasu. U nas bowiem pracuje się powolnie, spokojnie, flegmatycznie, bez niepotrzebnego wysilania się i wytężania, z długimi interwallami z interludiami. Jest nadal olbrzymia różnica między wydajnością

pracy pisarskiej publicystyki zachodnio i środkowo-europejskiej a naszą. Na przykładzie ograniczymy się tylko jednym, to jest na grupie w Polsce mało znanych pisarzy przy „l'Action Française". Jest ich kilku, którzy od lat kilkunastu dzień w dzień dają swemu pismu kilkaset wierszy druku. Wśród nich jest dwóch, raczej trzech, którzy wydają rok w rok po dwie, trzy książki. A jest jeden, dla którego zadzierżystej, rycerskiej odwagi, hartu, męstwa, energji, żywotności, cudownie jasnego umysłu, dla którego humoru, dowcipu, fantazji, dla którego niezmożonej, niestrudzonej, niewyczerpanej, niestygnącej pracowitości respekt żywiąc niestygnący, wzorować się staram w miarę sił i środków: Leon Daudet. Skąd ten człowiek ma tyle... czasu... wolnego..., to jest oddawna drażniącą zagadką dla mnie obserwującego tempo i wydajność pracy pisarzy sarmackich, ich spokój, ich flegmę, ich powiedziałbym omal Islamski: Kismet...

Książka, którą niniejszem przedkłada się Czytelnikom, jest sobie zbiorem, doborem, pokłosiem tak zwanych artykułów pierwszej potrzeby dziennikarskich z ostatnich lat dwóch. Takich doborów czy pokłosi możnaby skolekcjonować z tych lat dwóch czy trzech jeszcze dwa czy trzy. Czegóż to dowodzi? Otóż tego, że i u nas można zdobyć się na wydajność pisarską, zbliżoną do L. Daudeta. Tylko trzeba nieco, jak to mówią, przysiąść fałdów, zdecydować się na mniejwięcej czternasto a bywa że i szesnasto - godzinny dzień pracy. I trzeba dużo, bardzo dużo czytać. Wystarczy do trzydziestu (30) dzienników dziennie, ale z końcem tygodnia tyleż tygodników i miesięczników; książek się nie liczy. I dopiero z taką intensywnością studjując i pracując przez lat kilka czy kilkanaście można sobie wyrobić pewną kulturę publicystyczną, która pomaga potem w jakiem takiem orjentowaniu się w całokształcie (kalejdoskopie) „bieżących" zjawisk, przemian, problemów, procesów politycznych, socjalnych, narodowych, państwowych, ideowych, literackich, artystycznych. Bez czytania nałogowego niema pisania. Bez pracy nie będzie kołaczy. Poza pracą non est salus. Na jeden dzień ugorowania nie można sobie pozwolić! Dzisiaj, kiedy kontroluje się bieg wypadków na całej kuli ziemskiej równocześnie, kiedy wszystko wszędzie zbliżyło się tak raptownie, że nic co na świecie już nie jest dla nas nieznanem, obcem (...nihil humani a me alienum puto...), widowisko całe zrobiło się tak bajecznie interesujące, intrygujące, frapujące, dziwne, olśniewające, że nie można ani na jeden dzień przerwać sobie rozkoszy obserwacji i definjowania.

Szkice publicystyczne zebrane w tym tomie prześwietlają tylko pewne okolice świata i pewne kategorje zjawisk i faktów. Jak poucza tytuł, są w nich przebłyski myślowe może i drogocenne, ale są też i drobiazgi z dnia przemijającego. Razem zebrane dają Czytelnikowi pewną sumę informacji oraz pewną sumę emocji. Materjał często zbyt poważny, styl i ujęcie feljetonowe starają się uprzystępnić i ustrawnić dla konsumenta. W każdym razie jest to książka, która ma walory wyłącznie aktualno-konjunkturalne, przemijające. Z tej przyczyny nie kwalifikuje się do przechowywania jej na półkach domowej bibljoteki. To też po przeczytaniu Szanowny Czytelniku zrób z niej zaraz prezent swojemu przyjacielowi, zobowiązując go, żeby znowuż dał kolejno dalej. Tym sposobem idee w niej posiane i rozrzucone wejdą w kurs i spopularyzują się, na czem autorowi najmocniej zależy. W zamkniętych szafach bibljotecznych książki ulegają „zamrożeniu" jak kapitały chowane w skrzyniach czy na strychach.

Przeczytaj! Pochwal! Podaj dalej!

ADOLF NOWACZYŃSKI.

NIEMCY

WŚRÓD TRUJĄCYCH MGIEŁ.

Nakładem Głównej Księgarni Wojskowej wyszła sobie nieduża książeczka autora „Ludzi Morza“ i „Ludzi Przestworza“, p. Romana Umiastowskiego, tym razem nie o ludziach, ale o gazach trujących i ich wojennem zastosowaniu. Książek o podobnej treści i tendencji pisze się teraz na obu półkulach dość dużo. Cenną bibljoteczkę podręczną możnaby o gazologji skolekcjonować. Ostatnio, fantazjując na temat przyszłej wojny gazowej, dał ciekawy tom (sądząc z recenzyj) Romuald A. Knox *(Memoires of the Future)*, a grupa wiedeńskich lekarzy pacyfistów (?) wspólną publikację *(„Die Vernichtung droht!“)*. O jednym tylko z tych gazów, t. j. o Ypericie, uczony polski, prof. Lindeman wydał dzieło kilkusetstronicowe, co już swą objętością wiele mówi, jeżeli się zważy, że tych gazów trujących, kwalifikujących się do wojennego użytku, jest obecnie 1.100 (tysiąc sto), podczas gdy w r. 1914, kiedy *pierwsza* wojna europejska się zaczynała, liczono ich tylko 30 (trzydzieści).

Jak rozwinęła się w ostatniem dziesięcioleciu teksykologja i jak wielką decydującą rolę odegrają gazy w przyszłych wszechświatowych zapasach, jaką wagę rządy państw europejskich przykładają do rozwoju i rozrostu tego środka obrony i napaści, to wystarczy jeden tylko dowód, że „pacyfistyczny“ rząd angielski, tym pacyfizmem stale kłujący w oczy Niemców i popisujący się przed światem, w ostatnich dwóch latach, rocznie na laboratoryjne badania i udoskonalenia przeznaczył pacyfistycznych 50.000 funtów! na same badania w laboratorjach! nie na produkcję!

Największe „niespodzianki“ (dla Japończyków) pod tym względem przygotowują pacyfistyczne Stany Zjednoczone i one to okazały się najpotężniejszym uczniem Niemiec i tej grupy uczonych niemieckich, która pierwsza, ludzkość gazami trującemi obdarzyła.

Książeczka p. R. Umiastowskiego p. t. „Wśród trujących mgieł“, zajmuje się nie przyszłością a przeszłością, genezą i debiutem gazów trujących, daje trafnie dobrany zbiór fragmentów z pamiętników, opowiastki i dokumenta i, nie kusząc się bynaj-

mniej o wyczerpanie tematu, już sprawia wrażenie wstrząsające i niezapomniane. Zważmy zaś, że w pierwszej wojnie europejskiej (dziś już antycznej i staromodnej) te środki zniszczenia i tępienia wrogów były dopiero w początkach, w powijakach i że właściwy „renesans“ gazologji, jej imponujący rozkwit przypada dopiero na ostatnich lat piętnaście, względnie dziesięć, a raczej pięć, że po straszliwym Ypericie przychodzi jeszcze straszliwszy Lewisyt (od wynalazcy Lewisa), a potem dopiero antypatyczne: chlorotlenoxyd, dyfenylchlorazyn, canodylus, kakolinsozjanid i jeszcze wszystkie dalsze, które Fosgeniusz ludzkości starannie, systematycznie, ale z gorączkowym pośpiechem obmyśla.

Dzisiaj eskadra lotnicza, z kilkudziesięciu normalnych maszyn złożona, z kilkoma ludźmi, a kilkudziesięciu robotami-automatami, niosąc ze sobą 2.000 ton Yperitu, da radę miastu liczącemu 100.000 mieszkańców, nie zostawiając ani jednego człowieka żywym, ani jednej roślinki zieloną. Dziesięć ton Yperitu zatruwa 1 klm. kw. w mieście na 2—10 dni, w pejzażu, w lesie starczy na 30 dni... A już są przecież w Ameryce bombki, z których jedna niesie 2.000 klg.! To są rekordy oficjalne, a więc znane, a cóż dopiero za niespodzianki wszędzie nam szykują, jeżeli się zważy, że produkcja gazów otoczona jest największemi tajemnicami, laboratorja otoczone chińskimi murami, a szpiegostwo chemiczne najpopłatniejszem dziś szpiegostwem i procederem.

W książeczce R. Umiastowskiego omal najciekawszym fragmentem jest autentyczna opowieść o pierwszym debiucie wojny gazowej. Nie jest on prapierwszym: 22 kwietnia 1915 roku zaczął się pierwszy atak falisty pod Ypern (15.000 ofiar), drugi 12 czerwca 1915 r. pod Bolimowem koło Przasnysza.

Na ten to odcinek rosyjskiego frontu przyjeżdża sam wielki twórca i inicjator wojny gazowej, aby naocznie przekonać się o sile i potędze niszczycielskiej swych odkryć i wynalazków. Odkomenderowany do asystowania uczonemu profesorowi, pruski leutnant Max Wild opowiada to tak interesująco, że nie sposób tego ustępu nie zacytować; choć Prusak z krwi i kości, jednak jakiś widocznie... uczuciowiec czy sentymentalista, gdyż głęboko przejmuje się straszliwością debiutu gazowego, podczas, gdy genjalny profesor zachowuje niewstrząśnięty, olimpijski spokój („objektywizm“):

„W działalności mojej, jako oficera wywiadowczego frontu, zdarzył się epizod, który do dzisiaj jeszcze tkwi w kalendarzu mych wspomnień jako *najstraszliwsze przeżycie wojenne.* Mówię tu o pierwszym niemieckim ataku gazowym na froncie wschodnim, napadzie odbytym z powodzeniem. Bogu dzięki, że był jedyny, na który patrzyłem i w którym uczestniczyłem w szczególnych okolicznościach.

Sam szef sztabu armji telefonował do mnie z zawiadomieniem, że następnego dnia odbędzie się atak gazowy pod Bolimowem. Otrzymałem zadanie zaprowadzenia tam sławnego profesora, wynalazcy tego chemicznego środka wojennego, i dostarczenia go zdrowego a całego zpowrotem. Nocą dotarłem do nacierającego korpusu. Profesor przybył nieco późno z Łodzi, lecz dość wcześnie, ażeby być obecnym przy przygotowaniu. Była „pomyślna“ pogoda, wiatr dął w stronę nieprzyjaciela i butle z gazem znajdowały się już gotowe w czołowych okopach. Nasze oddziały opuściły je i nieco wtyle oczekiwały „oczyszczenia“ terenu. Lekki wiatr pociągał z zachodu do okopów nieprzyjacielskich, będących celem zatrucia.

Ja z profesorem znaleźliśmy się nieco na południu od „oczyszczonego“ miejsca, skąd najlepiej dało się widzieć działanie gazów. Jednocześnie nasza artylerja rozpoczęła ostrzeliwanie granatami tyłów nieprzyjacielskiej pozycji. Miało to na celu utrudnienie działania artylerji i zatrzymania odwodów na czas, kiedy czołowe okopy będą „zadymione“. Tuż przed rozpoczęciem napadu, profesor mówił ze mną bardzo uczenie o fizjologicznem działaniu wypuszczonych gazów. *Zatrzęsło mną,* i nie mogłem wytrzymać, aby nie powiedzieć:

— Wybaczy pan profesor, lecz czyż nie jest rzeczą bestjalską mordować w ten sposób ludzi? Dotąd prowadzimy wojnę z Rosjanami jako ludzie z ludźmi. Teraz zaś zatruje się tych prostaków, wychowanych do walki bagnetem, trucizną, o której nie mają najmniejszego pojęcia.

Profesor milczał, a po chwili rzekł pobłażliwie:

Pan ma rację dla siebie. Ale w tej wojnie, kiedy cały świat z nami walczy, *musimy odsunąć wszelkie wątpliwości moralne.* Nie możemy postępować inaczej, jeżeli chcemy ocalić własnych ludzi.

Nie byłem wcale przekonany słowami profesora, miałem *nieprzezwyciężony wstręt do podobnego rodzaju walki.* Co w ten dzień jeszcze przeżyłem, pogłębiło we mnie to uczucie. Przez piekło prowadziła ta droga.

Kiedy uznano, że gaz podziałał na nieprzyjaciela i że nie zaszkodzi już nacierającym oddziałom, nasza piechota wyruszyła. Szliśmy z profesorem z drugim rzutem natarcia. Wydawało się to całkiem bezpieczne, ze strony nieprzyjaciela nie padł ani jeden strzał, jego artylerja całkowicie zamilkła. Gaz musiał dokonać swego dzieła. Profesor kazał mi przeczuwać najgorsze, ale to co zobaczyłem, idąc tamtędy, pobojowisko będące rezultatem morderczej teorji, — to była sama zgroza, która urągała wszelkiej ludzkiej fantazji. Ludzie, zmagający się w śmiertelnej walce, wlekli

się na czworakach i jak w obłąkaniu rwali na ciele odzież. Jeden leżał, wczepiwszy palce w ziemię, drugi obok z szeroko rozwartemi źrenicami. W oczach jego tkwiło przerażenie przed niepojętem. Świszczące zatrute oddechy mówiły o niezmiernej męce konających. Niebieskie wargi, niebieskie to, co wcześniej było w oku białe, w kątach ust żółta piana. I nieopisana groza na twarzach! Czy to była jeszcze wojna? Czy też było to tylko prawdziwe oblicze wojny.

Nasi żołnierze musieli odczuwać to samo.

Widziało się, jak wzdłuż rosyjskich okopów zatruci Rosjanie zaścielali pole. Podejmowano ich z ziemi i odnoszono wtył. To nie było natarcie, ale współczucie i pomoc dla haniebnie potraktowanego przeciwnika, dla umęczonego człowieka. Niektórych Rosjan odratowano. Te akty litości były jedyną rzeczą, która w tym dniu nie pozwoliła mi zwątpić o ludzkości".

Tak pisze o tej pierwszej próbie wojny gazowej Niemiec rdzenny, junkier, oficer z narodu osławionego swą wrzaskliwą gadaniną militarystyczną, swą manifestacyjną wojowniczością, chełpliwością, napastliwością, drapieżnością: „najstraszliwsze przeżycie wojenne", „nieprzezwyciężony wstręt do tego rodzaju walki", „nasi żołnierze musieli odczuwać to samo", „zwątpienie o ludzkości"... I „Prusaczysko" z nacji boszów i Hunnów kończy:

„Spiesznie pożegnałem się z wielkim uczonym, który był bardzo sławny i któremu nie zazdroszczę sławy. Tego dnia miałem uczucie głębokiego wstrętu i byłem szczęśliwy, kiedy znalazłem się znowu w czystem powietrzu mego lasu nad Wisłą. Dn. 6 lipca podczas trzeciego napadu gazowego wydarzyło się nieszczęście. Tysiąc dwustu naszych żołnierzy padło ofiarą. Wiatr zmienił kierunek, i gazy uderzyły na własne okopy. Jak widać, był to niepewny środek wojenny".

Genjalny uczony natomiast zachował przez ten cały czas nieprzenikniony objektywizm. Na „objektach" zatrutych, nie umierających, wprost duszących się, zdychających potwornie żołnierzy „demonstrował swoje uczone wywody o działaniu gazów jadowitych".

Na pytanie teraz kto był ten znakomity uczony berliński, który na dni czerwcowe przyjechał nad Rawkę z Łodzi, aby oglądać dzieło swego żywota i widome rezultaty swych wynalazków dla ludzkości, odpowiedź łatwa. Dały ją niebacznie, ale w oględnej formie także i warszawskie „Wiadomości Literackie" („pacyfistyczne"), opisując z oburzeniem represje hitlerowskie w niemieckim świecie naukowym:

„Dalszą manifestacją było ustąpienie prof. Habera, filaru chemji fizycznej, laureata Nobla za chemję w r. 1920. Prace

z elektrochemji, epokowa sztuczna synteza amonjaku, niezliczona liczba badań w różnych dziedzinach chemji fizycznej zyskały mu rozgłos światowy.

Haber położył pozatem wielkie zasługi podczas wojny w dziedzinie zaopatrywania Niemiec w surowce oraz dla wojny gazowej. Kierował zakładem chemji fizycznej „Kaiser-Wilhelm-Gesellschaft". Łącznie z Haberem ustąpili dwaj jego wybitni współpracownicy, prof. Freundlich i prof. Polanji".

I tak też było istotnie. Jedną z ofiar tych rugów hitlerowskich był też ten genjalny uczony, który z takim „objektywizmem" dnia 12 czerwca pod Bolimowem demonstrował na trupach zatrutych skuteczne i „szybkie działanie gazów jadowitych, i który pruskiemu oficerowi wyperswadował militarnie wszystkie skrupuły humanitarne: „musimy odsunąć wszelkie wątpliwości moralne".

I próżno i zgoła niepotrzebnie trudziła się niedawno Konferencja Rozbrojeniowa nad problemem zakazu (sic!) wojny chemicznej. Próżno i niepotrzebnie trawią czas w debatach nad usunięciem niebezpieczeństwa nowej chemicznej wojny różne „sekcje" w wodewilowej Lidze Narodów. Próżno a niepotrzebnie biadają nad tem i faryzejsko lamentują różni rasowi i fachowi pacyfiści. Wszelkie wątpliwości moralne, jak sobie tego życzył dziś odsunięty prof. Fritz Haber, są już odsunięte, a gazy coraz „lepsze" fabrykują się dzień i noc w omal 500 (pięciuset) wytwórniach i zakładach, rozrzuconych po globie ziemskim.

Sataniczne nasienie masowego, miljonowego niszczenia chrześcijańskiej i niechrześcijańskiej ludzkości wschodzi. Uczony profesor zaczął od odkrycia przydatnego dla ludzkości, od amonjaku syntetycznego, ale przeszedł i dotrwał na udoskonaleniu gazów trujących, w czem zresztą, oprócz wymienionych już współwyznawców amoralnego objektywizmu, t. j. oprócz Palanji'ego i Freundlicha, niemałe też zasługi położył i prof. Nikodem... Caro z Bawarskich Zakładów Azotowych.

Tym kilku uczonym, Niemcy wojenne zawdzięczają to, że kiedy przed wojną szwajcarskie zakłady bazylejskie wytwarzały rocznie 20 ton fosgenu dla celów naukowych, to z końcem wojny same Niemcy produkowały już rocznie ton fosgenu 20.000... No i gdyby nie interwencja amerykańska, to tym fosgenem... tu niech sobie czuły słuchacz resztę dośpiewa.

I z tych to przesłanek wychodząc, wywnioskował narodowo-liberalny członek Izby Gmin, Bernay, w jednym z sierpniowych zeszytów londyńskiej „News Chronicle", że całą industrję trujących gazów dali Niemcom i rozwinęli wyłącznie ci, przeciw którym tak gwałtownie wystąpił ruch i przewrót narodowo-socjalistyczny.

Na czele publicystów, którzy w r. 1915 bronili moralnego prawa Niemiec od użycia gazów, stali zmarły w izolacji i z pobicia

Harden (Witkowski), oraz odsunięci dziś z Niemiec Teodor Wolff (B. Tageblatt), Georg Bernhard (Vossische) oraz wielu innych, dziś na banicji; ci sami zresztą talmudyczno-sofistycznie bronili też Uboot-kriegu, zatopienia Luzytanji i t. p. i wyszydzali „greuel-propagandę"... belgijską.

Obrazu dopełnić może jeszcze przypomnienie tu roli i zasług, jakie położył w wojnie europejskiej dla Niemiec, zgładzony kilka lat temu Emil Rathenau.

W swojej monografji przyjacielskiej o zmarłym z końcem roku 1932 wydanej, pisząc o Ratenau'a genjalności organizacyjnej, o jego „Kriegsrohstoff-Abteilung" i dostarczeniu brakujących surowców, hrabia Hugo Kessler wyraźnie akcentuje, że „gdyby nie wiekopomne dzieło" Rathenaua i „cud organizacyjny" godny... Ballina, Niemcy wilhelmowskie „wojnę musiałyby skończyć o trzy (3) lata wcześniej".

Haber, Freundlich, Caro, Rathenau, Mannesmann, Fürstenberg, Bleichröder, Wolff, Bernhard, Ballin i tylu, tylu innych.

Habent sua fata Haberi...!

MOLTKE-POLONOFIL...

O tem to już chyba nikt a nikt nie będzie wiedział u nas, a bardzo niewielu w Niemczech.

A jednak tak jest, tak było coprawda bardzo, bardzo dawno, bo akurat 100 lat temu.

Nie wspominają o tem żadne wydawnictwa polskie, ani antologje, gromadzące głosy wybitnych i sławnych Niemców, sympatycznie odnoszących się do „sprawy" polskiej; niema o tem wzmianki żadnej w wydawanych podczas wojny publikacjach, lub perjodykach organizacji stojącej po stronie mocarstw centralnych, t. j. N. K. E-nu; oczywiście niema też o tem nic w Arnolda: „Polenlieder". Niemcy przemilczają ten szczegół w grubych i sumiennych monografjach wielkiego bohatera narodowego i twórcy — pospołu z Bismarckiem — niemieckiego cesarstwa w r. 1871. Nawet w encyklopedjach Meyeroskich, czy Brockhausoskich pominięto ten może „kompromitujący" szczegół.

A jednakże tak jest. I skoro akurat w stuleciu powstania przedstawiciel państwa niemieckiego w stolicy Polski nosi to historyczne nazwisko, można i godzi się przypomnieć, że sto lat temu największy z rodziny Moltków był polonofilem.

Książeczka jest co się zowie białym krukiem. Niewiele bibljotek niemieckich państwowych posiada taki egzemplarz. Ukazała się w druku natychmiast po powstaniu, w Berlinie w r. 1832, nakładem Księgarni G. Fincke, a nosi tytuł:

„Darstellung der inneren Verhältnisse und des gesellschaftlichen Zustandes in Polen". (Wizerunek wewnętrznych stosunków i społecznego stanu w Polsce).

Helmuth von Moltke, jako trzydziestoletni sekondeleutnant, przebywał dłuższy czas w Wielkopolsce dla badań wojskowo-topograficznych. Tu zaprzyjaźnił się najserdeczniej z jedną z ziemiańskich rodzin, poznał wogóle obywatelstwo wiejskie, ba, nawet nauczył się co nieco po polsku (jak nawiasowo mówiąc i młody... Bismarck i młody.. Hindenburg), nabrał dużej sympatji i współczucia dla martyrologji polskiej w związku z powstaniem listopadowem i owocem tego jest książeczka, wydana w rok po powstaniu w Berlinie. Książeczkę Moltkego przypomniano po raz pierwszy po powstaniu styczniowem.

Z notatek moich, jakie kiedyś przy studjum tej książeczki porobiłem, znajduję teraz nieco cytat i ogólnej impresji. Rzadki i wyjątkowy entuzjazm i wysoka temperatura uczuciowa. Jakiś przedziwny kult dla szlachty polskiej, jako czynnika państwowo-twórczego przy dużym sceptycyźmie w stosunku do magnaterji. Moltke podziwia identyczność tych dwóch pojęć: państwo i stan szlachecki. Nie ma dość słów uznania dla religijnej tolerancji państwowotwórczego ziemiaństwa:

„Sie nahmen keinen Theil an allen den Religionsfehden, welche im 16. und 17. Jahrhundert Europa verheerten. Calvinisten und Lutheraner, Griechen, Schismatiker und Mohammedaner lebten friedlich in ihrer Mitte". (Nie brali żadnego udziału w tych religijnych wojowaniach, które w 16 i 17-ym wieku pustoszyły Europę)...

Wbrew Bismarckowi, który potępił tolerancję i bierność szlachty polskiej wobec żydów, Moltke pisze, że „Polska nie bez racji długi czas była ziemią obiecaną dla żydów". „Pomimo swojego rozproszenia, żydzi są silnie związani między sobą. Nieznani władcy kierują nimi konsekwentnie do swych ogólnych celów. Odrzucając wszelkie usiłowania przez rząd ich zasymilowania, żydzi zawsze i wszędzie tworzą państwo w państwie, a w Polsce stali się głęboką, jątrzącą się raną na ciele tego pięknego kraju".

Rozkład społeczności szlacheckiej tłumaczy tem, że „ziemiaństwo pozwoliło na wytworzenie się kilku wielkich rodzin magnackich, które ze zubożałej szlachty uczyniły sobie gospodarczo podległą warstwę". Dłużej zastanawia się nad ekonomicznym upadkiem Polski, szczególnie biednej masy włościańskiej, i temu zubożeniu włościaństwa przypisuje późniejszy polityczny upadek państwa. Moltke potępia niedomogi w komunikacji, brak okrętów! („Keine Schiffe!"), brak fabryk i handlu:

„So nur erklärt es sich, dass ein Land arm bleiben konnte, welches 10.000 Quadratkilometer und 11½ Millionen Einwohner



hatte, von grossen schiffbaren Flüssen durchströmt war, die dem Schwarzen wie dem Baltischen Meere zuführten einen Ueberfluss an Korn, Weizen, Wachs, Honig, Hopfen, Fischen, Pelzwerk, zahllose Herden des stattlichsten Rindviehs und der trefflichsten Pferde, einen nicht zu erschöpfenden Salzstock und unermessliche Vorräthe von Schiffs-und Bauholz besass".

„Tylko w ten sposób da się wytłumaczyć, że biednym pozostał kraj, mający 13.000 klm. kw. i 11½ miljona mieszkańców, kraj przecięty wielkiemi spławnemi rzekami, płynącemi do mórz Czarnego i Bałtyckiego, kraj mający nadmiar ziarna, pszenicy, wosku, miodu, chmielu, ryb, futer, niezliczone trzody wspaniałego bydła i pysznych koni, kopalnie soli niewyczerpane i olbrzymie zapasy drzewa budulcowego i okrętowego".

Zwracamy tu specjalną uwagę na to, jak znakomity strategik i wódz trafnie i przewidująco oceniał ważność rzek spławnych, dostępu do morza! nawigacji i budowy okrętów! Jak na owe czasy, w których nauka ekonomji politycznej była dopiero w zaczątkach, taki poważny gospodarczy pogląd trzydziestoletniego oficera jest czemś naprawdę imponującem. Późniejszy bohater narodowy, znany z tylu obrazów i posągów, kładzie też duży nacisk na europejską przynależność Polaków w zestawieniu z azjatyzmem Rosjan:

„Der Wille des Einzelnen in Russland verschwand immer mehr gegen den Willen des Staates oder vielmehr des Staatsoberhauptes, welches wie in keinem anderen europäischen Staate die höchste weltliche und geistliche Macht in seiner Person vereinte. Daher die Einheit und die Kraft in den Handlungen des Staates, daher die rasche Entwicklung desselben; denn für die Barbarei ist der Despotismus die beste Regierungsform".

Po polsku: „Wola jednostki w Rosji zanikała coraz więcej wobec woli państwa, albo raczej wobec woli głowy państwa, która jednoczyła w sobie jak w żadnem innem europejskiem państwie, najwyższą świecką i najwyższą kościelną potęgę. Stąd też ta jedność i siła w poczynaniach państwa i stąd jego szybki rozwój; dla barbarzyńskich krajów bowiem despotyzm jest jedyną formą władania".

Jak widzimy z tego, zdanie feldmarszałka Moltkego nie jest pozbawione pewnej aktualności i dla nas.

Jeszcze aktualniejszy atoli jest pogląd na poruszoną już kwestję dostępu do morza. Tu Moltke stawia sprawę bardzo jasno i twardo...

„Po utracie Czarnego Morza na rzecz Rosji, wszystkie rzeki i połączenia szły przez Prusy"... „W krótkim lub dłuższym czasie musiały albo Prusy zostać polskiemi, albo Polska pruską, albo też Polska musiałaby przestać egzystować". („Nach dem Verslust des Schwarzen Meeres an Russland führten alle Flüsse und Verbindungen durch Preussen. Preussen müsste polnisch oder Polen preussisch werden oder Polen müsste authören zu existieren").

To zdanie jest bardzo ważne, znamienne i doniosłe. Brak dostępu Polski do morza feldmarszałek Moltke łączy z likwidacją egzystowania Polski jako państwa. To sobie należy zakarbować w pamięci. Już sto lat temu jeden z bohaterów niemieckiej Walhalli uznawał wagę tego gospodarczo niewstrząśniętego dogmatu.

Nie bez pewnej satysfakcji moralnej przypomina się tu dzisiaj ten sympatyczny stosunek starego wilhelmowskiego paladyna do Polaków i Polski.

CO WILHELM II-GI NOSIŁ W RĘKAWIE?

Tym panom, którzy myślą i marzą, że albo gradem i ulewą konfiskat, albo znowuż anonimowymi listami, pogróżkami, telefonami „ślepymi", wyrokami śmierci i t. p. bzdurami nastraszą zresztą tak potwornie u nas nielicznych publicystów, walczących z pandemonium niesprawości i z tytanicznem matołkostwem, trzeba raz opowiedzieć do słuchu dwie takie przypowieści, żeby się wywiedzieli, za jak srogich regimów, jaką drogą myśl wolna, myśl niezależna, prawda naga, potrafiły jednak wydostawać się na światło dzienne. Rzecz jasna, że polemista, który np. za okupacji pruskiej wydawał sobie tomiki wierszyków, każdą zwrotką Beseleryzm atakujących, nie zlęknie się dzisiaj całej sotni Papkinów, szczękających zębami i ostrzących sobie na nosach tasaki i tomahawki.

Otóż za Napoleona III, karyka-minia-tury L'empereura walczył z bonapartystyczną „elitą" i rządem eunuchów, szpiegów i szpicli Henri Rochefort de Luçay. Rozpoczął od piekielnego pamfletu na „więźnia z Ham", pogromcę Moskali (pod Sebastopolem) i urojonego bohatera narodowego piekielnym pamfletem p. t. *„Madame Cesar"*. Poczem od roku 1868 zaczął systematycznie wydawać pismo *„La Lanterne"*. Rząd „rozbioru Francji" po 11-tym numerze pismo zamknął, a Sedańczyki skazały nieustraszonego markiza na rok więzienia. Wtedy Rochefort splunąwszy na stolicę, w której na lata całe rozpanoszyła się banda Badingueta, przeniósł się do Brukseli i tam wydawał „Latarnię". Przez granicę belgijską pismo przedostawało się na... grzbietach... psiaków.

Od strony belgijskiej straszono je kijami, a od granicy francuskiej wabiono kiełbasą... Najlepszy kawał atoli polegał na tem, że w rozmaitych merostwach, prefekturach i urzędach paryskich chowali zwolennicy i wielbiciele Rocheforta numery *„Lanterne"* w gipsowych... popiersiach Napoleona III, we wnętrzach wydrążo-

nych. Doszło do tego, że numery *„Lanterne“* znajdywano nawet we wnętrzu popiersia w jednej ze sal w Tuillerjach, w cesarskim pałacu!

Ale jeszcze śmielszy kawał udał się już za naszych czasów znanemu w Wielkopolsce, a dawniej w Berlinie rezydującemu, słynnemu krawcowi Polakowi, pracującemu w wielkiej firmie niemieckiej. W tej to firmie robiono także ubrania i mundury dla cesarza Wilhelma II. I roboty właśnie oddawano najzdolniejszemu Polakowi. Osiem mundurów w sumie zrobił p. Berkan dla cesarza Wilhelma. I oto w każdym z tych mundurów w lewym rękawie (krótszym od prawego) pod płótnem wszyte były rozmaite napisy i sentencje.

W pierwszym mundurze: „Jeszcze Polska nie zginęła“! W następnych: „Boże zbaw Polskę! Niech żyje wolna Polska! Niech żyje wolność!“ i t. p. I Wilhelm kaiser, wódz zwycięski, *der oberste Kriegsherr,* imperator i bohater narodowy nie mógł nawet przeczuć, że z takimi napisami w rękawie obnosi się po świecie i przyjmuje defilady i dyryguje radą ministrów.

Z tych dwóch przypowieści rozmaite duraczki, tępaki, pryncypały i pały pospolite powinny jednak wyciągnąć pewne wnioski i cokolwiek się nauczyć. Napoleona *finish* spotkał na odludnej wyspie św. Heleny, Napoleona III pod Londynem, Wilhelma II w Doorn. Czy Napoleon III przeczuwał, że w jego biustach gipsowych chowają sobie „Lanterne“ Rocheforta?

Czy Wilhelm II przeczuwał, jakie napisy nosi na lewej suchej ręce? Oczywiście: nie. A jaka stąd nauczka? Więcej skromności osobistej panowie bracia! i więcej szacunku dla przyrodzonego wszystkim śmiertelnikom pędu do wolności, niezależności, swobody wypowiadania się, odwagi cywilnej!

Konfiskatami, procesami, terrorami, pogróżkami wszystkiemu się nie poradzi. *Tempi passati!* Ileż razy takiego sławnego poskramiacza, co wchodził do klatki i batem wywijał, rozszarpały żbiki, rysie, albo zgoła chjeny na drobne ćwierci. A czy *dompteur* to przeczuwał? Oczywiście nie, bo byłby nawet do klatki nie właził i cóż dopiero batem się siepał. „Nasilstwo“ w ogólności panowie bracia imponuje czas jakiś, a potem: stop, ludziska się oswajają i z takiemi manierami i najniespodziewaniej poniektóremu płocha myśl strzela do łba, że to niby wice-versa i kolej na tego od spodu do rękoczynnictwa. I wówczas takie kawały się czepiają: *La Lanterne* do gipsowego popiersia włożyć, Wilhelmowi II w mundur polskie hasła wszyć.

Nad człowieka mocnego bowiem jeszcze więcej, (jak mówił pewien polski filozof), podziwiać należy tego, który umie niekiedy mocą gardzić.

UPADEK DOMU MOSSE.

Jest taka nowela Edgara Allana Poego: „Upadek domu Uscher'ów“, ongiś dreszczem zgrozy wzruszająca.

Jakież to atoli blade, spłowiałe i nijakie, jeżeli się porówna z tragicznym upadkiem domu Mosse w Berlinie.

Jeszcze rok temu co za potęga, co za potencja, co za *emporium!* Taki numer propagandowy ku czci Sowietów (8 maja 1932), gruby jak Stary Testament, dwieście stron. W samej Polsce rozchodziło się tego do 40.000 (czterdziestu tysięcy) egzemplarzy. Nie było kawiarni, w której bywał choć jeden Margulies, żeby natychmiast nie zażądano zaprenumerowania *„Tageblatt'u“* (inaczej nie będą przychodzić). W kioskach gazetowych, na dworcach kolejowych całe sterty. Bez przewertowania *„Berliner Tageblatt'u* nie mógł się położyć spać najbardziej zasymilowany warszawski mecenas. W *„Berliner Tageblatt“*, jak w *Talmud-Torę* wierzył ślepo i rabin i chaluc i mełamed i Maliniak. Niezbyt ostentacyjnie a dyskretnie zaczytywali się w nim i Dicksteiny i Fajanse. *„Berliner Tageblatt“* we wszystkich trzech „zaborach“ był poprostu ewangelją starozakonną, alfą i omegą wszystkich orjentacyj politycznych, kopalnią dla przedruków, busolą we wszystkich dziedzinach spraw społecznych i politycznych, ostatnią instancją: *Mosse locuta, causa finita.* Galicyjscy jeszcze czasem orjentowali się wedle *„Neue Freie Presse“*. Ale warszawscy, łódzcy i Pryłuccy tylko wedle ceduły politycznej *„Berliner Tageblatt'u“*. Na ścianie mogły wisieć Józef przy Józefie, francuski marszałek przy polskim marszałku, ale na stole czy na biurku zawsze stos *„Berliner Tageblatt'ów“* czy to u Toeplitzów, czy to u Gliwiców. A tak jak u nas, tak na całym globie i w Valparaiso i w Timbuktu i w Salonikach i w Waraždynie.

W Berlinie olbrzymi drapacz nieba przy Kurfürstendamm, oprócz tego wspaniały *Mosse-Haus* „pałac prasy“, cokolwiek bardziej imponujący od tego na „Psiej Górce“ w Krakowie. A w pałacu osiem maszyn, rotacyjnych kolosów, a tysiąc osób personelu jak w „warenhauzie“ Wertheima. Poszczególni koncernowi dyrektorzy rezydowali w willach i pałacykach w *Tiergarten - Viertel* lub jeszcze dalej, co było łatwe, gdyż każdy żydowin miał swego mercedesa czy benza.

Założycielem tego wszystkiego był syn lekarza z Grodziska (Wielkopolska), kilkanaście lat temu zmarły, Rudolf Mosse, człeczyna karlego wzrostu, kobold z gatunku takich, co to „mogą się przyśnić“, ale *kepele,* genjusz organizacyjny. Kiedy musiał żegnać się z tym światem i z Berlinem, zostawił fortunę 120 miljonów marek i był największym płatnikiem podatkowym w stolicy; nadto zostawił wdowę też koszmarnie brzydką Emilję, dzieci żadnych, tylko przybraną córę Felicitas, jednego siostrzeńca i jednego bra-

tanka. Siostrzeniec wabił się Carbe, nazywano go Krabbe i był kretynowaty. Bratanek, też Rudolf, został obywatelem ziemskim, gdyż kupił *Rittergut*, zapuścił wąs zawiesisty i gospodarował, nie chcąc mieć z żydami nic wspólnego: junkier Mosse. Felicytas stanęła pod baldachimem z niejakim Lachmanem, który w pierwszych latach zdawał się być kongenjalnym staremu Mossemu, jego faworytem i kontynuatorem, a wogóle *gentleman'em*, a który, jak się niedawno okazało *„hat sich entpuppt“* zdemaskował się jako wyjątkowo nieprzyjemny łobuz, *ganef* i, co to ukrywać, świntuch, *„ein ganz gemeiner Schweinskerl“*. Ale nie uprzedzajmy przypadków...

W salonach Emilji i Felicytas bywał *„tout Berlin“*, ściślej mówiąc, cała izra-elita. Nie tylko giełda i banki, ale profesorzy, artyści, pianiści, *geiger'y*, *violin-virtuos'y*, ale także pożenieni z posażnemi córami Wschodu arystokraci, generałowie, podupadłe hrabiny, pewien gatunek pastorów, biskupi amerykańscy, portreciści. Kiedy jeszcze żył stary papa Mosse, przy czarnej kawie w gabinecie, po koniakach, mówiono czasem, ot tak dla figlów, żargonkiem, a papa lubiał w rozmowach ze znakomitościami *(Celebritäten)* ze Wschodu wplątać nawet coś polskiego, tak dla *witz'u*, na przekór. Na jednym z rautów był podobno raz *Kronprinz*, a dwa razy książę duński i jeden grecki, nadto syn szacha Nasreddina, dalej, ma się rozumieć, *(selbstverstaendlich)* wszyscy miljonerzy amerykańscy, którzy przejeżdżali przez Berlin. Pałac oczywiście przepełniony dziełami sztuki. Co gdzie jaki genjalny Epstein wymalował lub wyrzeźbił, a *„Kunstkennery“* Cassirer, Maier-Graefe, Dessoir (Dessauer) polecili, to zaraz wisiało lub stało w Baltazarowym pałacu. Był tam i „ogród zimowy“ z *„Palmen-Garten'em“* i basen z ciepłą wodą i piwnice na wino *„elektrisch beleuchtet“* i trzy fortepiany i papugi i koty angora i kamerdynerzy z siwemi bokobrodami. Rzecz prosta, że konkurencyjna familja Ullstein *(Tante Voss)* z zazdrości poprostu żółkła i zieleniała.

Psuć zaczęło się jeszcze przed nastaniem wodza Amalekitów i jego legjonów.

Podczas gdy bratanek Rudolf zdala od zgiełku na wsi gospodarował, mąż adoptowanej Felicitas dostał szału ekspansji. Budował, skupował, rozszerzał, awanturował się, dostał manji wielkości, zdawało mu się, że jest... Hearstem, Pulitzerem lub zgoła Ochsem *(„N. Y. Times“)*, aż wreszcie „rozbudowa“ zaczęła trzeszczeć w fundamentach. Do sanowania geszeftu wzięto nowe *kepele* niejakiego Karola Vettera, specjalistę od racjonalizacji (czytaj: redukcji). Drapacz nieba stał pusty, inseraty zaczęły się kurczyć, a światowa agencja reklamowa okazała się deficytową. Dla zamerykanizowania wprowadzono maszyny buchalteryjne, przyczem kilkuset żydków straciło posady. Poczem zwinięto kilka pism. I znów kilkuset żydków straciło chleb z masłem. Sanator i Taylorysta Vetter zaczął iść na udry i źreć się o władzę z mężem Felicitas. Już szykowały się do pochodu na Berlin zbrojne bandy Gotów i Wizygotów, kiedy przyszedł pierwszy krach na dom Mosse, a na ścianach pałacu łysnęły płomieniste *Mane! Tekel Upharisim!*

Wtedy to pomógł dynastji kanclerz katolicki pater Brüning, wpłynąwszy na *„Dresdner Bank“*, aby zastrzyknął tym żydom... kilka miljonów..

Pomogło tyle co umarlakowi kadzidła. Mosse-Lachman, mąż Felicitas oddał „cugle tonącego okrętu“ całkowicie w ręce tego *myszugge* Vettera a sam rozgoryczony cofnął się do swego majątku na wieś do dworu. A Vetter już zwąchał się ze znajomymi *Nazi*. Zażądano tylko bagatelki, to jest stuprocentowej zmiany orjentacji i oczywiście *(selbstverständlich)* usunięcia wszystkich żydów. I metamorfozy dokonano szybko i bezceremonjalnie, coprawda wraz z różnemi grubemi szachrajstwami, jak z oddzieleniem zagranicznej agencji reklamowej w osobną spółkę, jak z zamianą centrali na spółkę *„mit beschränkter Haftung“*, jak z podwyższeniem rabatu za ogłoszenia zagranicą, ale pozostawieniem pieniędzy zagranicą (bierna ucieczka kapitału) i t. p. I wtedy nastąpił krach ostateczny. Na dany znak, na daną komendę wszystkie Izraele na całym globie przestały brać do ręki i kłaść się spać z *„Berliner Tageblatt'em“*. Hans Lachman z Felicitas Mosse uciekli do Paryża. Nic nikomu nie zapłacili przedtem, jeszcze skonfiskowali (zdefraudowali) fundusz pensyjny współpracowników. Na telegramy błagalne nie odpowiadali. Zamieszkali w luksusowej dzielnicy jako „banici“. W Niemczech został tylko *Rittergutsbesitzer* Rudolf Mosse.

Tydzień temu aresztowano go, a gdy chciał uciekać zastrzelono; żona uciekła do Londynu.

W Paryżu zaś do mieszkania państwa Lachman-Mosse pewnego pięknego dnia wdarła się przemocą delegacja z kilkunastu byłych współpracowników *B. T.*, obecnie emigrantów. Po krótkiej wymianie poglądów kolejno kilkunastu pokrzywdzonych wypoliczkowało i poturbowało bezbronnego Lachman-Mosse, co emigranckie pisma żydowskie opisały z radosną dokładnością, bez cienia wstydu.

Sic transit gloria Bundi. Maleparta idą do czarta. Zdetronizowano dynastję, która więcej niż ćwierć wieku trzęsła Berlinem i z bezgraniczną apodyktycznością dyktowała narodowi — gospodarzowi jak się ma zachować, jak ma postępować. Jeszcze w styczniu 1933 r. polityczny leader *B. T.*, Teodor Wolff, przypominał o konieczności uregulowania sprawy „Korytarza“ i Gdańska; teraz gdzieś znikł zupełnie, a dom Mosse, *dominium* Mosse już nie egzystuje. *„Berliner Tageblatt“* podobno wychodzi, ale dla prywatnej cyrkulacji... z wykluczeniem publiczności. Z dawnej potęgi ani śladu! *Nec locus ubi Troia fuit.*

BISMARCK AUTENTYCZNIEJSZY.

Tajemniczy Mentor *(mendax)* dał Telemakom z „Gazety Polskiej“, pisma, niestety, wciąż jeszcze przesadnie zażydzonego, przygodny przyczynek o stosunku Bismarcka do kwestji żydowskiej p. t. „Bismarck i *Judenangst*“, skrzętnie zaraz przez nacjonalistyczno-syjonistyczny „Nasz Przegląd“ w urywku zacytowany. Sens „przyczynku“ jest niby taki, że dopóki twórca cesarstwa niemieckiego był żółtodziób, „młodziutki impetyk“, „szalony junkier“, to był nastrojony antysemicko (przed rokiem 1848), ale jak potem zmądrzał, to do żydów się garnął, żydami otaczał, poprostu od żydów sztuki rządzenia uczył i omal przed żydami antysemitów wyszydzał. Dla udowodnienia tej tezy, a raczej tej sugestji, opowiada Mentor Telemakom o starym Bleichröderze i o osławionym Hardenie. Mentor (wyznania M.?) ma pod ręką roczniki Hardenowskiej *„Zukunft“* i z jednego rocznika (1909) wyciąga specjał, pouczający elewów, jak to Bismarck podziwiał „kochanego Bleichrödera“ i żydowską *„Anpassungskraft“* (prawo mimikry), jak widział w tem „rasową wyższość“ *(sic)* owego starozakonnika, który, nawiasem mówiąc, był współautorem kontrybucyjnych klauzul, nałożonych na Francję w pierwszym traktacie wersalskim (pięć miljardów franków; rok 1871).

„Z owym Bleichröderem podczas okupacji Paryża, w zarekwirowanych apartamentach pani de Jeffé przy Rue de Provence 14, twórca „drugiej Rzeszy“ prowadził długie nocne „rodaków rozmowy“, gdy wspólnie układali warunki pokoju“.

Otóż tak to idyllicznie znowu nie było. Oprócz kochanego Bleichrödera, Bismarck długie nocne „rodaków rozmowy“ wtedy prowadził jeszcze z kilkuset innymi „rodakami“. Co zaś bywało w tych właśnie rozmowach, o tem zdaje sprawę hr. d'Hérisson w *„Journal d'un officier d'ordonnance“*, cytując szczegóły *ausgerechnet* bardzo nie pro-Bleichröderowskie... *Par exemple* przy rozmowie o Amselu Rotszyldzie...

„Opowiadał mi przytem, jak w Niemczech żydami się gardzi i ich się nie znosi, jak trzymani są zdaleka od dobrego towarzystwa“.

I mówił jeszcze Bismarck właśnie wtedy w Paryżu:

„Przecież oni nie mają nigdzie żadnej ojczyzny, są czemś ogólno-europejsko-kosmopolitycznem, są nomadami. Ich ojczyzną jest niby Syjon, Jerozolima, ale należą do całego świata i czepiają się całego świata“.

A jak wtedy w Paryżu do d'Hérissona, tak i później i wcześniej bardzo często wyrażał się o współrasowcach Bleichrödera i Hardena bardzo negatywnie. Ważny ustęp jest w jego liście do politycznego antagonisty, generała von Gerlacha o zażydzeniu

prasy niemieckiej, który specjalnie polecamy uwadze i pamięci Europejczyków i Aryjczyków w „Gazecie Polskiej“:

„Nie możemy mieć żadnej korzyści z tego, że nie ufając sobie wzajemnie się podejrzewamy, a za to opłacamy jeszcze żydowskich bękartów prasowych, (jüdische Pressbengels) *aby nas na siebie podjudzały“*.

Ważne jest dalej powiedzenie, zanotowane przez przyjaciela żelaznego kanclerza, Maurycego Buscha *(„Unser Reichskanzler“):*

„Niech gdzie przychwycą na czem jednego żyda, wtedy odrazu podnosi się wrzask ze wszystkich boków i kątów“.

No, ale najważniejsze jest jednak to właśnie, co mówił jako młody poseł radykalny w Sejmie w r. 1847... po pierwsze... o polskim folwarku (ówczesnym!):

„Znam więc taką okolicę, gdzie tak liczne jest to żydostwo na wsi i gdzie są chłopi, którzy niczego nie mogą nazwać swoją własnością na swym własnym gruncie. Od łóżka począwszy do okna, cały sprzęt należy do żyda, bydło należy do żydów, a za wszystko chłop musi opłacać się żydowi; zboże w stodole i na pniu należy do żydów, a żyd chłopu sprzedaje ziarno i nasiona. O tego rodzaju lichwie, praktykowanej przez chrześcijan, nigdy jako żywo w mej praktyce nie słyszałem“.

Tyle o wielkopolskim folwarku z przed roku 1848. A w tejże samej mowie o żydach w ogólności mówił Bismarck „wielbiciel rodaka Bleichrödera“, co następuje:

„Owszem, mogę przyznawać im wszystkie prawa prócz jednego, aby w chrześcijańskiem państwie piastowali jakikolwiek urząd. Celem państwa bowiem jest realizacja nauki chrześcijańskiej i nie uwierzę nigdy w to, abyśmy zbliżali się do tego celu, wciągając do współpracy żydów. A tymczasem oni właśnie domagają się, aby być landratami, generałami, ministrami, a może i ministrami wyznań i oświecenia? Wyznaję tedy szczerze, że jestem pełen przesądów w tej dziedzinie, że wyssałem je z mlekiem matki i nie mogłoby mi się udać jakoś je sobie wyperswadować *(wegredisputieren)*. Podzielam w tej mierze uczucia masy warstw dolnych ludu i nie wstydzę się tego towarzystwa *(Ich teile die Empfindung mit der Masse der niederen Schichten des Volkes und schäme mich dieser Gesellschaft nicht)*“.

Otóż to jest enuncjacja najważniejsza.

A to, co w rozmowach z „kochanym“ Bleichröderem? To właśnie była... Bismarckoska ...*„Anpassungskraft“* (mimikra).

O tak obskurnej odmianie mędrca Syjonu, jak *cette canaille de* Harden (Wilhelmista i pangermanista w r. 1918, a komunista w r. 1919-tym), oczywiście nawet mówić nie wypada, gdyż to wysoce uzdolnione indywiduum czas jakiś tylko było instrumentem

zemsty *(tuba sonans)* strąconego tytana, miało doń dostęp w konwentyklach tajnych; kiedy atoli podawano do stołu w rodzinnem kole w Warzinie, stary kanclerz mył ręce, a Harden musiał wracać do Berlina.

Tu jeszcze trzeba przydać dla informacji Mentora (wyznania M.) i Telemaków, że dzisiejsi Nazi jak w Nietzschem tak i w Bismarcku dopatrują twórców dzisiejszego wewnętrznego programu politycznego antysemicko-socjalnego nacjonalizmu, powołując się na pracę ekonomisty niemieckiego Winkelblecha, który już w r. 1887 z poglądów Bismarcka całą ideologję Nazich rzekomo wydedukował.

Bismarck w koncepcji Mentora jest tedy nie autentyczny, a stylizowany *(angepasst)*.

PASTOR Z OLDENBURGA.

Niewiadomo co tam znów będzie w tym nowym utworze G. B. Shawa: „*The adventures of the Black Girl in her Search for God*" (Przygody murzynki w poszukiwaniu Boga), ale jest faktem, że mimo pewnej dość wielkiej popularności dowcipkującego gaduły w szerokich kołach radykalnych w Anglji, żadna z wielkich księgarń na skład nie wzięła, a w czytelniach zakazana. Musiał już Stary tym razem potężnie przesolić i przepieprzyć, byle tylko wciąż jeszcze uchodzić za świeżego i „młodzieńczego" (co jest ulubioną, ale już zbanalizowaną pozą ongiś świetnego dramatysty), jeżeli aż na taki ostracyzm zdobył się albioński *cant*.

Interesujące w tem jest tylko to właściwie, że na tytułową „bohaterkę" wybrał dziewczę z rasy czarnej. Sam jest coraz bardziej *rouge*, a postawił na *noir*. I miał rację. Ci czarni bowiem patrzą teraz w wielką przyszłość przed sobą. We wróżeniu im dużej karjery w XX-tym wieku godzą się wszyscy, co się nimi intensywniej zainteresowali. Ostatnio świetny, a tak mało w Polsce popularny, André Siegfried. U nas wyszła niedawno wyczerpująca materjał książka o nowej Ameryce dra Aleksandra Szczepańskiego („Rój") p. t. „Drapacze i Śmietniki".

Dużo tu i ówdzie i polskiego zainteresowania dla tych Blacków, dla *coloured people*.

A teraz tam właśnie jest taka ciekawa afera. Rok temu ośmiu czarnych z miasteczka Decatur jechało kolejką i niby w tej kolejce zniewoliło dwie takie panny Puszczalskie, niby to okropnie nietykalne czy nieprzemakalne. Dojechali do stacyjki, i nagle piekielna heca: policja, protokół, dziewice beczą, murzyni się wypierają, biali tłumnie nacierają, aresztowania, wreszcie sąd, rozprawa za

rozprawą. Ośmiu czarnych zostaje w mieście Scootsburo skazanych na fotel z elektrycznym „napędem". Robi się wielka heca. Rasiści amerykańscy zacierają ręce, że „sprawiedliwości" zadość się stało. Murzyni apelują do *Supreme Court*. W trakcie tego, czyli w „międzyczasie" jedna z puszczalskich, Ruby Bates, odwołuje swe zeznania; wszystko skłamała, była „*excited*", przywidziało jej się, odwołuje. Nie tylko, że nie ośmiu, ale, ach! ani jeden. Druga rozprawa. Jeden, okazuje się, tylko był „czynny": Haywood Patterson. Objekt gwałtu: Virginia Price. Tymczasem byczy Haywood i tego się bezwzględnie zapiera. Ani mu się śniło. Bronią dwaj adwokaci o dwuch bardzo nadwiślańskich nazwiskach: Leibowicz i Brodski. 24 czerwca, dzień egzekucji!!

Ale murzyni nie dają za wygrane i robią z drobnej sprawki olbrzymi spektakl. Poruszają niebo i ziemię. Przed kilkoma dniami był olbrzymi pochód czarnych pod „Białym Domem". Pisze się u nas o pochodach majowych, w Nowym Jorku przeciw... Niemcom; pisało się o marcowym pochodzie demonstracyjnym przeciw... Polakom. A o tym pochodzie w Waszyngtonie się nie pisało, choć uczestniczyło w nim przeszło sto tysięcy...

Sto tysięcy? To murzynów w Ameryce jest tak dużo? zapyta niejeden Warszawiaczekcija. Jest znacznie więcej. W Stanach Zjednoczonych jest ich 12 miljonów. Indjan pozostało już tylko 350 tysięcy. Tak się z nimi dokładnie rozprawili amerykańscy... humanitaryści... Na tych 12 miljonów murzynów jest 3 i pół miljona protestantów, 8 miljonów pogan, pół miljona katolików, a kilkanaście tysięcy wyznania mojżeszowego (sic!) (Haarlem).

12 miljonów, to znaczy 10 proc. To już jest coś! To już jest o czemś myśleć, tembardziej, że ostatnio murzyni bardzo się postawili, jak to mówią na pazury i pokazują... pazury... Wszystko czytaty i pisaty, analfabetów ze świecą szukać. Wydają 60 magazinów i 110 dzienników. Mają już swoich wielkich leaderów (Washington Boocker), swoich historyków (Mac Cay), swoich poetów (Culler), swoich muzyków (znamy), swoich melodystów, swoje trupy teatralne, swoje filmy i swoją megalomanję w zalążkach *(superiority complex)*. Bywają już takie tytuły w perjodyku „Crisis" (sic): „Kultura amerykańska jest wytworem kolorowych". Oprócz tego są także w dzisiejszej fazie „*sclavi saltantes* (Graeculi), to jest bawią... tańcem. Także kłótliwi między sobą. Bielsi mieszańcy pogardzają czekoladowymi, półczarni (melanż) nie zadają się już z hebanowymi. Duży apetyt stale na anglosaskie blondynki (blonde Venus), a że i blondaski (w starszym wieku) nie od tego, więc dość częste „krótkie spięcia" z jankesami, grube awantury, gwałt za gwałt, *lynch* (słowo pochodzi od pułkownika Lyncha) oraz t. zw. „*teerens and feederns*", t. j. najpierw kąpiel

w smole, potem wytarzanie w puchu, w piórach i puszczenie takiego gościa wrzeszczącego w niebogłosy w pejsaż, do lasu.

W ostatnim czasokresie są Negrowie bardzo w modzie i to pod każdym względem. Nietylko w filmach, w barach, w rewjach, w dancingach, ale i w życiu politycznem. Z powodu: wielka mnożność i wielka wrodzona inteligencja. Zdrowe i morowe. W kongresie krasomówca Oskar de Priest. Okazało się, że wśród nich są i kepele finansowe. Poeta J. Weldon Johnson radzi: wychodzić z getta! nie skupiać się, penetrować wszędzie pacyfistycznie, a wnet victoria! hosanna! czerwony sztandar na białym domu!

Wobec tego i druga mniejszość (rządząca) od jakiegoś czasu zaczęła z dużą sympatją odnosić się do *coloured*. Jeszcze nie tak dawno, rok temu, czytało się w korespondencji „Naszego Przeglądu" z... naszego „N. Yorku":

„Mimo to u wielu bogatych żydów zauważyłem dobrze znany stosunek lekceważenia wobec czarnych.

— Posłuchajno pan ich angielszczyzny (murzyni mówią tylko po angielsku, ale w sposób osobliwy i błędny). Skóra murzyna posiada niemiły odór".

Ostatnio bardzo się zmieniło. „Niemiły odór" już nie razi. Bankier Rosenwald zapisał duże sumy na murzyńskie instytucje „Za waszą wolność i naszą". Społem! Na meetingu w Montgomery w obronie „ośmiu czarnych z Alabamy" prezydował rabin Goldstein (za co poszedł do dymisji). I wogóle sztama na całym froncie.

Co im dodaje teraz przeczucia ich wielkiej przyszłości? Ano superlatywy i komplementy przedewszystkiem europejskich rasologów. Prof. Delafosse zaopinjował: najzdolniejsi! poligloci, globtrotterzy, mnożni, rodzinni, solidni. Dalej: brali udział w wojnie europejskiej, wracali z dużemi orderami wojskowemi, oraz... listy miłosne i od Niemek i od Francuzek... Dalej? Biorą do ręki (by przedrukowywać) sześć artykułów medjolańskiej „Stampy" o czarnej armji francuskiej (bracia Senegalczycy). Zmobilizować można 1.700.000 czarnych! Generał Mangin pisze: „W obecnej sytuacji siła czarnych robi nas, Francuzów, najpotężniejszymi w Europie". Biorą numer majowy paryskiego „Vu", cały poświęcony czarnym wojskom. Artykuły entuzjastyczne Marjusza i Ary Leblondów, Camille Mauclaira, A. Lichtenbergera... Więc co się i teraz dziwić, że murzynom amerykańskim też grzebień kogucio się nadyma *(superiority complex)*. Już na kongresach kolorowych zaczyna rozbrzmiewać hasło jutra: Afryka dla Afrykanów, dla rasy czarnej! A nie było to sto lat temu murzyńskiego Napoleona? Na wyspie Haiti! *Black-Majesty* Henryk Toussaint Louverture (1811—1820).

A teraz pointa.

Małe miasteczko niemieckie Oldenburg. *Im wunderschoenen Monat Mai.* Oczywiście Hitlerniki objęły władzę. W restauracji *„Zum grünen Dackel"* napisy: „Deutsche Frau raucht niemals" (nie pali). Ale pali pośpiesznie gorszące książki, które miała w komodzie: Pitigrilli, Margueritte, H. H. Evers i t. p. Kto kazał palić? Pastor Kwami. Kto to jest pastor Kwami? Najpopularniejszy, naukochańszy protestancki kaznodzieja w miasteczku Oldenburg. Grzmi kazania jak apostoł, jak Piotr z Amiens, jak Giordano Bruno przeciw wyuzdaniu i zdrożnościom, rozpasaniu nowoczesnej cywilizacji, cywilizacji białych, przeciw krótkim włosom (Bubikopf), przeciw kolanom na wierzchu, przeciw golasom i girlasom. Miasteczko Oldenburg jest zakochane w pastorze Kwamim.

Nadchodzi rewolucja narodowa. Bojkot Kohnów. Telegram z okręgowej stolicy Hotzen-Plotzen (Krähwinkel): „Bojkot! bojkot! Mak się udał, sprawozdanie wysłać do stolicy".

W Oldenburgu żyda ani na lekarstwo. Żeby włosy z głowy rwał, w promieniu 60 kilm. kw. ani jednego. Wobec tego gauführer Nazich w Oldenburgu rittmeister von Pokrziwa wysyła telegram: „Przysłać dwuch żydów zapasowych, inaczej bojkot „undurchführbar"...

Ale z tem mniejsza. Ot sobie anegdota dr. Szmoncesa z „Cyrulika". Ale co teraz zrobić z Kwamim? To rzecz serjo. To problem. To dylemat. To rzecz ważna. Pastor Kwami jest przewodniczącym generalprediger-vereinu. Pastor Kwami profesorem teologji. Pastor Kwami przewodniczył ewangelickiej misji w Afryce. Jest Niemcem pastor Kwami *vom Scheitel bis zur Sohle...*

A teraz tyle, tyle się w prasie pisało o „Greuelach" francuskiej armji kolonjalnej. Senegalczycy gwałcili *blonde Mädchen* na prawo i na lewo. Nie było Elizy czy Eriki, na którąby się nie rzucały te czarne byki. Świeżo napisał książkę nazista Blücher „Frankreich als antichristliche Sendungsmacht"... Teraz znów te artykuły... „Stampy" i ten numer „Vu"...

No więc co teraz począć z pastorem dr. prof. Kwamim? Albo jesteśmy rasiści, albo nie. Ostjudasów się nie przepędziło, bo ich nie było... Na Francuzów się urąga za ich Sene-Gallię...

I miasteczko Oldenburg podzieliło się na dwie równe połowy. Większa jest: za, mniejsza contra. Nie śpią, nie jedzą, nie piją, nie palą, nie tego, nie owego, tylko debatują. Co zrobić z pastorem Kwamim?

A dlaczego tak?

Ano, bo pan pastor jest nieprzymierzając tej samej cery twarzy i wogóle, co ośmiu gwałcicieli z Decatur (Alabama U. S. of A.). Czarny jak heban w nocy. Jednej plamkibyś bracie na

pastorze z Oldenburga nie znalazł. Ze Zanzibaru czy z Kamerunu pochodzi. Do Kaiserlich-Evangelische-Mission należał. Wielkie zasługi w nawracaniu swoich kolorowych rodaków położył. Obecnie zaś jest największym kaznodzieją małego protestanckiego miasteczka Oldenburg... Czarny wziął białych.

ŻYWOTOPIS HAMANA.

Mniejwięcej tysiąc piór dzień w dzień, noc w noc, we wszystkich językach kuli ziemskiej, wypisuje sobie co tam może o tym Hamanie-Hitlerze. A to taki, a owaki, no, a przedewszyskiem podobno jednak z żydów. Jak wytłumaczyć sobie inaczej tę w nim zajadłość piekielną jak tylko tem, że chyba pochodzi z „naszych". Znana to metoda, stale praktykowana i stale zawodna. O każdym, co ośmiela się budzić energję i ambicję swego narodu i pchnąć je w kierunku wyzwalania się z pod hegemonji wybranego narodu, rozpuszczają zaraz podstępną kalumnję, że i on pochodzi z żydów. Jedno pismo taką kaczkę lansuje, a tysiąc, dwadzieścia tysięcy bujdę powtarza i to nietylko żydowskich; powtarzają to także liberalne, masońskie, radykalne, wszystkie. Żydom chodzi o to, aby poderwać zaufanie do działacza i bojownika w jego własnych szeregach. Coś tam z tej kalumnji tylekroć powtarzanej jednak pozostać musi. Na stu czytelników 9O nie uwierzy i splunie w kąt, ale w dziesięciu może się rozbudzić sceptycyzm: a jednak? a może? a kto wie? I już odtąd nie wierzą, nie ufają stuprocentowo, no i bujdę powtarzają choćby półgłosem i po kątach.

Jeżeli teraz taką szelmoską taktykę stosują do pomniejszych i lokalnych, to można sobie wyobrazić, ile energji zużywają dla pohańbienia takiego Hitlera! Jak w wielu analogicznych wypadkach, tak i tym razem nie występują z nowym ładunkiem kalumnji o żydostwie sami, oficjalnie, ale *per procura* suflerując innym. Jak się zmęczą Słonimerki, to pod ręką znajdą się wszędzie Rzymowscy, co sami psychiki izraelskiej nie znoszą, ale zawsze będą panowaniu Izraela dopomagali. Nową tedy wersję o żydowskiej prozapji kanclerza niemieckiego puściło nie żadne pismo Schylokracji, ale wiedeński organ brukowy „fiakierblatt" austrjackiej „Heimwehry": „Oesterreichisches Abendblatt". Redakcja wie doskonale, że ojciec Hitlera nazywał się, jak to stwierdzono urzędowo, nie Hitler a Schückergruber. Pomimo tego wyłącznie dla ordynarnej sensacji, dla satysfakcji żydów wiedeńskich puszcza nową wersję o żydowskiej pochodzeniu... Hitlerów. W telegramie agencji żydowskiej przedstawia się to w ten sposób:

„Niejaki Otto Müller, żydowski drobny handlarz z wiedeńskiej dzielnicy żydowskiej, który ma rzekomo być spokrewniony z Hitlerem, zakomunikował przedstawicielowi prasy Heimwehry wspomnienia jego ojca o przechrzczonej linji rodziny Müllerów. M. in. Müller miał oświadczyć, że członek ich rodziny, Abraham Hüttler, po przyjęciu chrztu otrzymał imię Ignacy. Oto ten Abraham-Ignacy Hüttler stał się antysemitą i wówczas reszta rodziny przerwała wszelkie stosunki z chrześcijańskimi Hüttlerami. Otto Müller wstydzi się pokrewieństwa z kanclerzem Rzeszy Niemieckiej. Twierdzi, że oczywiście nie wie, czy Adolf Hitler istotnie pochodzi z wychrzczonej linji jego rodziny. „Abendblatt" stwierdza jednak, że Müller jest spokrewniony z Hitlerem i to poprzez babkę Müllera, Rozalję Müller".

Oczywiście taki kretynizm powtarza jako rewelację cała prasa rynsztokowa i „ikacowa" wszystkich stolic europejskich. Takie „rewelacje" drukuje sobie szmatławiec Heimwehrowski przez kilka dni, a „Nasz Przegląd" dodaje z triumfem:

„Dokoła rewelacji heimwehrowskiej prasy rozrasta się olbrzymia sensacja. Redakcje pism Heimwehry są zwiedzane przez liczne osoby, przeglądające odnośne dokumenty i porównywujące je ze sobą. M. in. dokumentami tymi zainteresowali się prasowi attachés kilku poselstw".

Dopiero kiedy już cała prasa świata przedrukowała pierwsze brudne łgarstwo, agencja żydowska po kilku dniach daje taki telegram:

„WIEDEŃ (ŻAT) „Abendblatt" (organ Heimwehry) zamieścił ostatni z serji artykułów, mających rzekomo dowieść żydowskiego pochodzenia Hitlera. Ostatni artykuł bardziej jeszcze wzmocnił pierwsze wrażenie, że konstrukcja dowodowa „Abendblattu" jest wadliwa. Szereg przesadnych wniosków poważnie osłabił podejrzenie o możliwem pokrewieństwie między obiema linjami Hitlerów, względnie Hüttlerów. Po naprężeniu, wywołanem pierwszemi rewelacjami prasy Heimwehry, nastąpiło obecnie zrozumiałe rozczarowanie'.

Otóż tego telegramu już brukowce, rynsztokowce i ikace nie dają, jak również nie dają takiej notatki definitywnej:

„Dr. Diamant, wybitny znawca w dziedzinie genealogji rodzin żydowskich w Austrji, zakomunikował ŻAT-nej, że cała konstrukcja „Abendblattu" jest bezpodstawna i że kanclerza Rzeszy nie łączy żadne pokrewieństwo z wychrztami z Polnej, których nazwisko ma zresztą inną pisownię (Huettler — Hitler)".

Żydzi tedy już dobrze wiedzą (jak i przedtem wiedzieli), że na głupawej kalumnji niema słowa prawdy, że mały bajc wymyślony był na prędce przez jakiegoś kasztana z Leopoldsztadu, właściciela „grajzlerni", który za to dostał 10 szylingów w zęby. Natomiast chrześcijańscy czytelnicy takiej krakowskiej krwawej szma-

ty nadal najgłębiej są przekonani, że Hitler jest sobie takim samym ex-żydem, jak Kapellner lub Mond! I w mob, w masy idzie szeroko sugestja: jakże potężni! jakże genjalni! są żydzi, jeżeli jedyny wielki ich wróg to także żyd z pochodzenia!

Tymczasem, o ile młody Schückergruber nic nie miał nigdy wspólnego z żydami, o tyle miał jednak coś wspólnego z „Żidkami"... Jak Mussolini zaczynał życie jako murarz, tak kanclerz Hitler zaczynał jako malarski pomocnik w pokostniczej firmie w... Ołomuńcu na Morawach. Właściciel firmy, gdzie Hitler terminował, dotychczas żyje, a nazywa się... Żidek. Z katowickiej „Polonji" dowiadujemy się takiego szczegółu o tym Żidku:

„Czasopismo „Wahrheit" zwróciło się przeto do Żidka, będącego obecnie wice-prezesem cechu malarzy-pokostników i dekoratorów w Bernie z prośbą o bliższe informacje w tej sprawie. W tych dniach „Wahrheit" zamieszcza list Żidka, w którym tenże m. in. powiada:

„Prawdą jest, że spis mych pracowników z roku 1910 zawiera nazwisko Adolf Hitler, który zatrudniony był w firmie 14 dni jako pokostniczy. Potem udał się do Wiednia, a od tego czasu nigdy go nie widziałem i nie zajmowałem się jego osobą. O ile sobie przypominam owego Adolfa Hitlera, liczył lat 21 do 23, był niemieckiej narodowości i mówił nieznanym dialektem".

Coś więc zatem z Żidkami jednak Hitler miał wspólnego. Inny znowu żydowski brukowiec wiedeński, zwalczający inwazję Czechów do Wiednia, aby tylko kanclerza podać w pogardę, dorobił mu genealogję... czeską. Matka kanclerza zwała się z domu Mala a szwagierka nazywa się Dombalowa i pracowała jakiś czas jako... kucharka w... żydowskim szpitalu... Dopiero potem znów w czas jakiś okazało się, że ta Dombalowa kucharka jest z domu Hüttler, a nie Hitler. Ale szmatławce, które pierwsze bajce w motłoch puściły, już sprostowania oczywiście nie dały.

Natomiast istotnie Czechem z pochodzenia jest oficjalny urzędowy biograf niemieckiego kanclerza i to Czechem można powiedzieć dubeltowym, tylko że nieco jednak... wyrodnym. Nietylko bowiem jest Czechem, ale nazywa się Czech i jest najrodzeńszym bratankiem wielkiego poety czeskiego Svatopluka Czecha. Oficjalna biografja napisana przez Ericha Czecha, (który do tego nazwiska dodał sobie niemieckie Jochberg), wyszła w popularnem wydawnictwie Reclam-Universum (Lipsk). Ojciec jego a brat Svatopluka Czecha był biskupem starokatolickiego obrządku w Warnsdorfie. Młody Czech debiutował ongiś jako dziennikarz radykalny w Ołomuńcu, poczem w Wiedniu, gdzie redagował potem „Stunde" i „Bühne". Obecnie wydaje pismo: „Deutschland von heute". Obok biografji führera napisał polityczną książkę p. t. „Die Verantwortung im Weltkrieg", gdzie wśród dwudziestu sylwetek ważnych ludzi z okresu wojny obok Pasicza i Masaryka jest także Józef Piłsudski.

Erich Czech-Johberg niema w sobie jednej uncji krwi germańskicj i jest z pochodzenia „ein waschechter Boehme"... Podobnież zresztą Czechem z pochodzenia jest dr. C. Tomala, kierownik referatu higjeny i czystości rasy w rządzie Hitlera. Doktór Tomala!!

Takiego więc tam ostracyzmu i ortodoksji w tych sprawach i kwestjach czysto germańskiej prozapji widocznie niema.

HITLER UCZEŃ PROPPERA?...

Baczność! Baczność! Uwaga, panowie!

Na Zachodzie idzie na lewo! Relsy czy tam tory kolejowe biegły równolegle jakiś czas, poczem niektóre z nich prowadziły ku prawej, niektóre ku lewej. Motorniczy skręcił mocno ku lewej, jak to zresztą było do przewidzenia.

Obietnice całemi latami rozrzucane agitacyjnie w tłumy, w masy, muszą być wypełnione. Rewolucja narodowa z konsekwencjami społecznymi. Wlewanie nowej treści w nowe formy. Socjalizacja i etatyzacja, ale bez żydów, wbrew żydom z wykluczeniem ich najminimalniejszej ingerencji. „Nowy front robotniczy". Zrównanie wszystkich klas dosłowne. W demonstracjach robotniczych „nowego frontu" mają wedle rozporządzenia z dnia 5 lipca brać udział i wszyscy „pracodawcy", recte „pracobiorcy" (Krupp von Bohlen-Halbach, Thyssen, książę Donnersmarck, pani Blüthner??).

Przedtem już też zaszło dużo ciekawych faktów i posunięć. Cicho i bez hałasu aresztowano cały szereg „rekinów" kapitalistycznych, związanych z Shylockracją (Quandt). Aresztowano też cały szereg wielkich junkrów, latyfundystów, a szwindlarzy podatkowych, jak von Hippel, prezes związku ziemian, hrabia Kalckreuth, von Kleist, von Flottow, który nawet „zginął podczas ucieczki", jak nieprzymierzając kilku normalnych a zanadto pyskatych Ostjudów.

O tem wszystkiem się nie pisze, ale o tem się wie.

Pensje dyktatorskie we wszelkich „koncernach", radach nadzorczych, przedsiębiorstwach zniżone zostały do obowiązującej normy 1.000 marek miesięcznie. Faryzeuszom socjalistycznym i czerwonym wrogom parlamentarnym poprostu aż gęby zatkało ze zdumienia. Patrzą, ale oczom nie wierzą. Obowiązek służenia w armjach pracy (Arbeitsdienstpflicht), bo bez pracy nie będzie

kołaczy. Wyzwalanie się z pod „Zinsknechtschaft“. Tępienie maklerstwa giełdowego, wypalanie korupcji, dekapitulacja kapitalizmu agrarnego, no i wogóle ster na lewo, ster na lewo, jak tego codzień domaga się urzędowo-radykalna „Tägliche Rundschau“.

Nie dość tego. Od 1-szego lipca wychodzi sobie w Berlinie najspokojniej „Welt am Abend“, organ, co to obwijać w bawełnę, nieco komunizujący, tylko wyprany chemicznie z żydów, w redakcji ani jednego...

O tem wszystkiem oczywiście najdokładniej wiedzą „nasi najserdeczniejsi“ w Warszawie. Mają i swoją własną pocztę prywatną i swój telefon bez drutu... i kable podziemne i „intelligence-service“.

Wobec takiego stanu rzeczy poseł H. Rozmaryn już pisze w „Momencie‘, co następuje:

„Jest zjawiskiem zrozumiałem, że zainteresowanie szerokich mas ludowych jest w każdym wypadku zwrócone w tym kierunku, z którego grozi nam największe niebezpieczeństwo, albo gdzie bije najsilniej puls życia.. Ale mimo wszystko sądzimy, że nie wolno nam obecnie odwracać uwagi od tego, co się dzieje w samej Polsce. Tego wymaga od nas troska o egzystencję przeszło trzymiljonowej ludności żydowskiej, która coraz bardziej ubożeje“.

Zaczem też i u „naszych“ hasło do zmiany kierunku przy sterze. „Nie zapominajcie i o Polakach czytelnicy „Momentu“! Czasby było już trochę zleźć z tej niemieckiej kobyły. Na Polaków też się już trochę zebrało! Polacy nam się całkiem rozgrymaszą! Gotowi myśleć o sobie, że tylko Hitlerowcy są barbarzyńcy i wilki, a oni baranki kulturalne, postępowe, liberalne, humanitarne, angielskie! Nie zapominajmy o wymyślaniu na Polaków i o judzeniu świata na Polaków. Tam w Niemczech idzie ster na lewo. Niewiadomo, jakie zmiany jeszcze zajść mogą. Najniepotrzebniej w świecie obywatel Mojżesz Hitler, kazał sobie zmienić w sądzie warszawskim na Mojżesz Hiller. Znacznie rozsądniej i trafniej postąpił obywatel starozakonny dr. Teodor Gotthilf, który najspokojniej w świecie sprzedawał w Katowicach broszurki agitacyjne hitlerowskie i swastyki i to tak długo, aż go wreszcie jednak w cukierni Otta w Katowicach najniesłuszniej aresztowali, jak zresztą też niesprawiedliwie aresztowali w Wilnie innego starozakonnego, który chciał sobie zarobić na Hitlerze (dziennikarz Hurwicz) i wydał dodatek niedzielny, nadzwyczajny „Ostatnich Nowin“ o zamordowaniu Hitlera grubym drukiem, przyczem drobnym drukiem „brak jeszcze potwierdzenia tej wiadomości“...

Poseł Rozmaryn byłby więc za tem i radziłby, aby znów cokolwiek raczej zająć się tymi Polakami. Co do Hitlera możnaby

rozwściekloną nagonkę na niego na jakiś czas przerwać, z powodów różnych. Przedewszystkiem niewiadomo jeszcze czy to nie jest żyd z pochodzenia. Choćby zaś po piątym kisielu był, to jednak krew dobra wcześniej czy później się odezwie. W „Neue Züricher Zeitung“, słynnej gazetce, gdzie żyd na izraelicie siedzi a starozakonnym pogania, stało niedawno całkiem wyraźnie, że pod Braunam w dolinie Innu, dużo wybranego narodu się schłopiło, a bywali tam Hitlerzy, którzy w genealogji nosili przeważnie imię Solomonów. Jeżeli aresztują tam w Prusach tylu junkrów i aryjskich przemysłowców, no i jeżeli zaczyna się podkopywanie... ustroju kapitalistycznego, to jednak... może... kto wie.. Hitler jednak z Hitlerów? może nawet naszych, tutejszych, wschodnich?...

Tam zaś w Niemczech już są stanowczo symptomaty jakiejś zmiany. Dużo jest t. zw. „pokajań“ i nawróceń. „Centralny Związek żydów“ wydał odezwy do pracowników żydowskich, aby już wstępowali do organizacji „Nazich“, co jednakże spotkało się z fatalnie kompromitującą rekuzą. Hamburski żydowsko-konserwatywny tygodnik „Israelitisches Familienblatt“ w każdym numerze wzywa do Kanossy i przeklina i pomstuje na żydów zagranicznych i uciekinierów za ich „Greuel-propagandę“. Karlsbadzki rabin dr. Ziegler w swojem piśmie wyraźnie pisał:

„Żydzi niemieccy po rewolucji narodowej Trzeciej Rzeszy rozpętali straszliwą propagandę zagranicą przeciw rzekomym prześladowaniom żydostwa niemieckiego. To też ma rację Hitler, że mści się na ogóle żydów niemieckich“.

Tak samo ostatniemi słowami (jak jaki pogromczyk Kruszewan) gromi emigrantów redaktor naczelny „Deutsche Allgemeine Zeitung“ nadał ten sam pono siedmiogrodzki żydowina dr. Fritz Klein.

Że w żydostwie niemieckiem, maluczko a także i w światowem zmieniają już ster ku Hitleryzmowi, to znaczy, że zaczynają próbować się łasić, na to przytoczymy jeszcze dwa dowody.

Pierwszy to przypomnienie Niemcom tego, że to jednak starozakonnik był ten, który pierwszy przepowiedział zwycięstwo Hitlera! Wróżbita! Jasnowidz! W r. 1925 wydał swą powieść Artur Landsberger p. t. „Berlin bez żydów“ wizję przyszłości, z której bardzo wiele przewidywań spełniło się co do joty. Teraz to na gwałt przypominają Hitlerowi i jeszcze dyskretnie, ale już nahalnie triumfują. Landsberger był Johanaanem tego Hamana! Po pierwsze!

Drugie — to udowodnienie czarno na białem, że ten cały Hitler większą połowę swego programu wziął, poprostu zeskamotował także, co tu zatajać jednak, znów żydowi. Co to, tam gadać, co to

udawać oryginalnych! Co tam Niemiec potrafi wymyśleć? Niedawno przecież pisał „Nasz Przegląd“:

„Cham nie rozumie. Cham nie wie, że genjalni żydzi Haber, Bosch, Frank Caro czy Weinberger stworzyli możliwości pracy dla dziesiątków tysięcy nordyckich, germańskich Niemców. Cham nie wie, że dla rozkwitu cywilizacji i kultury niemieckej 600.000 żydów zrobiło przynajmniej tyle co 65 miljonów Niemców“...

„Nasz Przegląd“ pisał to miesiąc temu (kiedy jeszcze krew zalewała oczy) w przekonaniu, że o tem żaden Bismarck, żaden Moltke, żaden Hitler nigdy się nie dowie... „Cham“ niemiecki nie wynalazł więc i programm Nazi-Sozi. W praskiem „Prager-Tageblacie“ jeden z mędrców Syjonu udowodnił teraz czarno na białem, że najważniejsza część tej ideologji, t. j. „obowiązek służenia w armji pracy“ („Arbeitsdienstpflicht“), to „w gruncie rzeczy“ tylko realizacja pomysłu wiedeńskiego „medrca Syjonu“ Józefa Poppera. Nie jest to żaden dowód kliniczny pansemickiego *superiority complex* (G. B. Shaw dixit) nie, to czysta prawda. Według żydowskiej bojowej - „Weltbühne“ Popper („Lynkeus“ to był „ostatni humanista Zachodu“ (sic), „bezpośredni potomek encyklopedystów francuskich“ (sic). Mało kto wie o tem, że taki Popper (nie Pomper) „sam dokonywał wynalazków“ (sic). W r. 1878 opublikował „ostatni humanista“ Popper swą fundamentalną (sic) pracę: „Prawo do życia, i obowiązek śmierci“. On wynalazł „obowiązek służenia w armji wyżywienia“ (sic), a potem to on napisał dzieło „Wojna, służba wojskowa i ustrój państwowy“, gdzie obok „Nährpflicht“ postawił także „Wehrpflicht“. I z tych to dwóch „dzieł“ inżyniera Poppera „bezpośredniego potomka encyklopedystów francuskich“ (i... szynkarzy galicyjskich) cały swój program poprostu oderżnęli narodowi socjaliści. Nie z żadnego Gobineau ani z H. S. Chamberlaina, nie ze Sorela i z Pareto, nie od Mussoliniego i Papiniego, nie z Chestertona i od Belloca, a przeważnie i jedynie od J. Poppera (Lynkeusa), dodając do tego barbarzyński antysemityzm Tacyta, Cycerona, Dantego, Woltera, Goethego, Bonapartego, Dostojewskiego, Marxa i warszawskich Endeków...

Czy jest atoli szansa, że Hitler realizując genjalne dzieła, „ostatniego humanisty Zachodu“ (p. p. Popper, Wien. Central-Caffé) może jeszcze zmieni się nieco i poprawi, gdy krew przodków w nim się odezwie? Otóż jest.

Tak bowiem twierdzi niezwalczony bojownik „Naszego Przeglądu“ S. H. pisząc:

„Gdyby tedy Hitler naprawdę chciał prowadzić ideę popperowską, nie propagowałby antysemityzmu, który jest antytezą tej idei“.

Może zechce?

NORDYCY NA „SKI“.

W jednym z bardzo częstych przystępów złego humoru, w girlandzie ostrych impertynencyj, powiedział Fryderyk Nietzsche *(Völker und Vaterländer)* Niemcom do słuchu także i coś podobnego:

„Słowianin Bismarck. Oglądnąć sobie tylko oblicza Niemców: wszystko, co było męskiego, rozlewnego, poszło zagranicę; na pozostałą mizerną ludność, na naród dusz służalczych, przyszła poprawa z zagranicy, głównie przez krew słowiańską“.

Do takiej makabrycznie-desperackiej konkluzji doszedł Nietzsche dowiedziawszy się, że prababka Bismarcka była Polką z pochodzenia i zestawiając to potem z tem, co zadecydował wielki Gobineau. W jego to bowiem fundamentalnem dziele w *„Essay sur l'Inégalité des races humaines“* jest też słynne zdanie o Niemcach: *„les Allemands cent fois métis.* Ten pogląd o Niemcach rasowo wielokrotnie przemieszanych przeszedł i do generalnego apostoła dzisiejszego rasizmu. Prof. dr. Hans F. K. Günther z Jeny w swoim fundamentalnym bilderbuchu w *„Kleine Rassenkunde des deutschen Volkes“* (100 obrazków, 13 map etnograficznych) idzie jeszcze dalej, twierdząc, że na 70 miljonów Niemców można liczyć tylko 9 miljonów czystych Germanów, a sześć siódmych Niemców jest zdecydowanie pozbawionych cech i znamion indogermańskiej rasy.

Jeszcze dalej idzie inna znakomitość rasologiczna z dzisiejszych Niemiec, t. j,. Julius Streicher, który w wywiadzie z kopenhaskim „Dagens Nyheter“ palnął sobie lekko, co następuje:

„Wszędzie, gdzie napotyka się, nawet wśród ras innych niż białe, ślady cywilizacji, odnajduje się również swastykę, znak ludzi białych, a w szczególności Germanów. Dowodzi to, że Germanowie wszędzie nieśli kulturę. Nawet cywilizacja chińska stworzona była przez Germanów, jak pozwalają odgadnąć niektóre obrazy pierwotne tych odległych czasów. Germanowie ci byli dobrymi wojownikami. Wszędzie zostawali wodzami nowego swego środowiska. Ci pierwotni Germanowie pochodzili z Niemiec północnych i ze Skandynawji. Niestety, w ciągu swych zdobywczych wypraw zbytnio się pomieszali z innemi rasami, skąd pewna dekadencja. W Anglji, we Włoszech, we Francji, gdzie ci ludzie jasnowłosi z oczyma niebieskiemi...

— Czy to Aryjczycy?

— Nie, to Germanowie. Ale niema już czystych Germanów. Naogół wszyscy ci ludzie biali są Aryjczykami, z wyjątkiem Rosjan, którzy są przeważnie Mongołami“...

Bardzo ściśle i rzeczowo, jak widzimy, ta *capacitas* myśli swoich nie formułuje. W każdym razie potwierdza to, co kapryśnie

orzekł Nietzsche, że Germanie na eksport są wcale, wcale zdolni. To pierwsze. A to drugie, że czystych Germańców już niema.

Jeszcze dalej zajechał w swem bardzo tam dziś pono popularnem dziele, Franz von Wendin. Dzieło nazywa się: „Odkrycie Raju“. Osoba ta na podstawie odnalezionych w północnej Szwecji napisów skalnych (runów?) dowodzi, że Stary Testament jest dokumentem starogermańskim, tylko trochę wypaczonym i zniekształconym. Tak zwany raj (Paradies) nie leżał nad żadnym Eufratem i nie w żadnej Mezopotamji, tylko w prastarej Brandeburgji (Branibor) nad rzeką Hawelą (Wawelą). Ten raj zamieszkiwały pradziady i praszczury dzisiejszych Nordyków. Naród ten żył w błogostanie. Otaczały Raj dzikie szczepy półzwierzęcych małpoludów, łowionych przez pragermanów w wyprawach do puszczy i używanych potem w charakterze obłaskawionych zwierząt domowych. „Niestety“, pisze Franz von Wendin, „młodzi Germanie wdali się w stosunki płciowe z samicami tych małpoludów (myt biblijny o Sodomie). Z tych płciowych kombinacyj powstało bastardowe plemię używane początkowo jako niewolnicy, jako służba. Pewnego razu ci niewolnicy zbuntowali się, za co zostali pokarani (przepędzenie z Raju). W ucieczce wielu potonęło w wezbranej rzece Odrze (myt o potopie w Biblji)“... I w ten deseń Franz von Wendin haftuje „naukowo“ dalej. „Entdeckung des Paradieses“ Wendina jest czytana, poczytna i komentowana na pół-serjo i na całkiem serjo...

Widzimy więc z tego, że w tej rasologji panuje jeszcze pewien chaos, że nauka ta ścisłą (exact) nie jest, że wkradły się do niej pewne dowolności i niedokładności, że pewne teorje i szczegóły kolidują z drugiemi i że trzeba będzie dość długiego czasu, żeby z tych ziaren i otrąb dała się skombinować jakaś mączka, a potem dał się wypiec jakiś chleb pożywny. Rasolodzy nie są jeszcze zgodni ze sobą. Poglądy teoretyczne Papouge'a kolidują z teorjami Wollzogena, Woltmann nie zawsze zgadza się Houstonem Stewartem Chamberlainem, co innego wygadują na meetingach politycy, a co innego w dziełach, w „bilderbuchach“ i „nachschlagebuchach“ prof. Günther czy jego jeneńscy uczniowie. Propagandę czystej aryjskości jako omal religji czy zakonu wziął w swe ręce naród, w którym na 70 miljonów jest wedle zdania największego autorytetu w tej dziedzinie tylko 9 miljonów czystych *typów*, a reszta *„cent fois métis“*, jak orzekł sam twórca całego kierunku i ruchu, Francuz z pochodzenia, Galijczyk (negroid), a co potwierdził potem zniemczony Anglik H. S. Chamberlain. Korzysta z tego nieporządku oczywiście ten zawsze *tertius gaudens*, wyławiający skrzętnie wszystkie sprzeczności, nielogizmy i ewentualne paradoksy.

Galimatias wzrośnie jeszcze, gdy Niemcy dzisiejsze raz jakoś przypadkiem może spostrzegą, czy dojrzą, ilu to mężów o zgoła niegermańskich nazwiskach zdobi obecnie pierwsze szeregi narodowego rasowego revivalu.

Skąd się tam wzięli? jakim prawem? *quo titulo?* Przecież całe odrodzenie i przełom miał być nacjonalistyczny, w imię czystości krwi i wyższości rasy? Przecież istnieją i funkcjonują tam różne takie biura, urzędy, instytucje! Przecież istnieje specjalny *„Aufklärungsamt für Bevölkerungspolitik und Rassenpflege“*. Przy rządzie gra wielką rolę „referat zdrowia i higjeny rasy“ (chef dr. C. Tomala...)? Przecież powstało specjalne studjum, specjalne katedry antropologji... doświadczalnej... biologji rasowej, eugeniki, przecież zabroniona będzie „heterogeniczna indykacja cielesna“ i promiscuicja rasowa? Tysiące i krocie artykułów i prac pisze się o selekcji biologicznej, o doborze do kasty władczej rzetelnych, stwierdzonych Nordyków, dolichocephalów? Miejsca dla Germanów i tylko Germanów stuprocentowych!

A tymczasem? A w życiu i w praktyce codzienności?

Nie sięgamy już do Austrji, gdzie wśród prowincjonalnych szefów i führerów jest formalne zatrzęsienie nazwisk czeskich, kroackich, słowackich, slawońskich, słowiańskich. Pominiemy Gdańsk, gdzie premjera polskiego wita v. Wierciński, gdzie dziennikarzom przewodzi redaktor „Danzinger Vorposten“ p. Wilhelm Żarski, gdzie zbiór poezji o Alt-Danzig (z wierszem o Tarczy Sobieskiego na niebie), wydaje Bruno v. Pompecki, gdzie teraz wiceprezesem rady miejskiej został Matkiewicz, a skąd Maretzki pisał list otwarty do Hugenberga, wzywając swoich nacjonalistów, aby przeszli pod sztandary Hitlera. Nie dziwimy się, że na niemieckim Górnym Śląsku, gdzie przewodzili dawniej Ulitzka i Ulitz, teraz przewodzą germańskim rasowcom Łostowski, Mossakowski, Lukaschek... Widocznie oszołomieni i nieco schitleryzowani Niemcy, dotychczas jeszcze nie mieli czasu zauważyć, że w tych renegatach czy hybrydach stanowczo chyba nie płynie czysta krew prastarych Teutonów...

Weźmy atoli sam Berlin. Jakże to się nazywa obecny dowódzca Stahlhelmu, jeden z sześciu członków ścisłej pruskiej Rady Stanu, niedawno mianowanej?

Von Morozewicz. Obok starego Freytag von Loringhofen... von Morozewicz. A jak się nazywał publicysta, który w organie „Stahlhelmu“ pisał z okazji rocznicy odsieczy wiedeńskiej takie omal obłędne bzdury:

„Polska nigdy nie była przedmurzem chrześcijaństwa, przeciwko hordom, nadciągającym ze Wschodu. Nie polskie ramiona, lecz niemieckie przeszkodziły nawale mongolskiej, gdy nawiedziła ona Śląsk. Pod Grunwaldem pomogli Polakom pognębić Patri-

monium Petri „Niem. Zakonu“ Tatarzy, Wołosi, Turcy, Moskale i żydzi“... G. von Markłowski...

Skarbnikiem „oczyszczonego“ berlińskiego Pen-Clubu, jest poeta niemiecki Erich von Kochanowski, a wśród członków Sozi-Nazi, figurują takie nazwiska, jak Sienkiewicz, Goszczyński, Karpiński i to zawsze z *von*... Dr. Adolf Grabowski jest autorem jednego z najfundamentalniejszych politycznych programów obozu hitlerowskiego, p. t. *„Raum als Schicksal. Das Problem der Geopolitik“*. Cytuje się u nas tylko tego bałtyckiego Rosenberga, a tymczasem twórcą idei o „duszeniu się Niemiec“ w ciasnej klatce terytorjalnej i konieczności „wylania się“ za słupy graniczne na prawo lub na lewo, jest... Grabowski.

Ten Moyzyschewitz, nie Moyżeschowitz, Arno, o którym się niedawno u nas pisało, autor „Fesseln fallen“, propagator militarnego aljansu z Francją, reklamowany tak przez Suareza w Paryżu, to nie jest żaden Aron, tylko autentyczny Arno, junkier pruski, ex-rittmeister huzarów i istotnie wychowawca synów Kronprinza, a dawniej jego adjutant, arja *pur sang* i też... *von*.

Wielką patrjotyczną wystawę pamiątek po Schlageterze otwierał dziko agresywną napastniczą oracją von Glombowski, podczas gdy drugą berlińską wystawę radjową otwierał znów inny pragermanin Eugen Hadamowski, autor poświęconego Goebbelsowi podręcznika propagandowego p. t.: *„Propaganda und Nationale Macht“* (Verlag Stalling. Oldenburg), obecny szef i dyrektor całego radja niemieckiego. W niedługim czasie ma być otwarta wystawa pamiątkowa rzekomo pierwszego wynalazcy filmu (bioskopu) przed braćmi Lumiere (r. 1895) Maxa Składanowskiego.

Może więc i dojść do tego, że na otwarciu wystawy ku uczczeniu Składanowskiego wygłoszą oracje kolejno: von Kochanowski, von Glombowski, von Hadamowski, a wśród honoracjorów będą stali: Generał von Morozewicz, dalej Grabowski, Moyzyschewitz, Tomala, Studentkowski, Mossakowski, Lostowski...

Skąd się tylu na *ski* bierze wśród urgermanów, prateutonów, nordyków niewiadomo i nie łatwo dociec... W każdym razie trzeba sobie przypomnieć, co pisali swego czasu Gobineau, Lapouge, Nietzsche... Rittmeister v. Moyzyschewitz dopuszcza do łona Germanji i Franków, Gallów. W pojęciu Tacyta Germanami byli i Celtowie i Słowianie...

TEN DOKTÓR GOEBBELS.

Ministrem propagandy sanacyjnego rządu rewolucji narodowej został młody literat wyznania rzymsko-katolickiego, nie tający się z zainteresowaniem dla narodów słowiańskich, polityką zagraniczną nie zaabsorbowany.

Ma dzisiaj lat 36. Urodził się w nadreńskiem maleńkiem miasteczu Rheyd. Jest kaleką fizycznym, kuleje nieco na nogę, chudziutki, malutki, z zapadłą szyją, wysokiem sklepionem czołem, mocno narysowanym profilem, ciemnemi pięknemi oczami fanatyka, z miłym, nieco ironicznym uśmieszkiem nad ustami poety-ascety. Wogóle i w każdym razie nic a nic nie ma w sobie modelowo germańskiego, no a już nic konwencjonalnie pruskiego. Coś jakby nobile italski z Renesansu, no ewentualnie jakiś clerk paryski z Café du Dôme, w każdym razie na pierwszy rzut oka intelektualista, mózgowiec, „doktór“.

Wyszedł z bardzo skromnych stosunków rodzinnych. Gimnazjum w Rheyd, poczem dzięki kościelnemu stypendjum kolejno kilka uniwersytetów: Würzburg, Kolonja, Fryburg, Monachjum, Heidelberg, gdzie studjował filozofję, historję, literaturę, historję sztuki. W Heidelbergu był uczniem znakomitego goetheloga prof. Gundolfa *recte* Gundelfingera, przed którego to izraelity talentem badawczym miał swego czasu powinny respekt.

Kiedy nastała wojna, Józef Goebbels miał lat 17. „Dauernd untauglich“ do wojska iść nie mógł. Żadnego frontu nie przeżył. Takim coprawda łatwiej być antypacyfistami. Ale uczył się i studjował zażarcie i tak wszechstronnie, że mógł, wchodząc w szranki literatury, deklamować o sobie jak Faust. Zaczął od pisania studjów i essayów z literatury zagranicznej (jako że kilka języków posiadał) i od poezji. Terenem jego literackiej działalności było spokojne, miłe, ciepłe, tonące w ogrodach i w muzyce Monachjum, stolica sztuki, Wagnera i Wittelsbachów, które w r. 1920 na kilka tygodni opanowała międzynarodowa zgraja kryminaloidów z zabawnym cyganem Elsnerem na czele („prezydent“).

Z poważniejszych rzeczy Goebbels napisał egocentryczną powieść „Michael“ (narazie przepadłą, a potem wydobytą), kapitalne podobno studjum o Dostojewskim i rezonerski, wykwintny też autodramat „Der Wanderer“, który po latach dla sensacji zagrał mu berliński Wallner-Teater z dużym *succès d'estime*. Otwierała się przed nim piękna karjera literacka, do której był predysponowany wielkim talentem pisarskim i solidną erudycją. Ale „Doktor“ tej karjery się zaparł, z literaturą lekko ale na wieczne czasy się rozszedł i poszedł drogą nie najlżejszego, ale najcięższego oporu.

„Der Hinkende“ kulejący postanowił przerzucić się od słowa do czynu, od pisania do agitacji, od biurka i bibljoteki do trybuny oratorskiej, wiecznej włóczęgi i stałej zmiany miejsca pobytu. Jak na umysł monachijskiego clerca wielkie wrażenie wywarła, bo wywrzeć musiała, lektura G. K. Chestertona i Hilarego Belloca i Papiniego i Pucciniego, tak znowuż na wolę, na energję, na żądzę czynu, działania, naprawy i przebudowy musiał podziałać wstrzą-

sająco renesans faszystowski w Italji w przeciwieństwie do całkowitej duchowej niewoli Niemców w pętach i okowach Shylockracji i semickiego najazdu. I stąd też wczesne inklinowanie od tej monachijskiej grupy narodowych socjalistów, którzy postawili przedewszystkiem wyzwolenie Niemiec z pod wpływu semickiego we wszystkich dziedzinach życia publicznego.

Data założenia przezeń związku faszystowsko-sanacyjnego pod nazwą „National-Sozialistischer Freiheitsbund" 2 czerwca 1926 jako też pewne jego wypowiedzenia się w tych miesiącach wskazywałyby też na niemały wpływ, jaki nań wywarły wypadki warszawskie, które jeszcze raz stwierdziły wagę i wartość doktryny tak Sorela jak i Vilfredo Parety, że tylko drogą *l'action directe* to jest siły czy przemocy aktywnej, dojść można do każdej historycznej przemiany istniejącego i kostniejącego ustroju. Ponieważ zaś układ stosunków w Niemczech po Weimarze doszedł do skutku i wypełnił się przy stuprocentowym współudziale niemieckich żydów, przeto nowa ewolucja duchowa mogła zaistnieć tylko przeciw i wbrew semickiemu *„Fremdkoerper"*, przy tegoż mniej lub więcej gwałtownej extorsji. Ani perswazjami, ani lawendową wodą nowotworu z zakażonego organizmu się nie usuwa, chirurgiczny zabieg jest konieczny. Samo „pisanie" to są tylko... słowa, słowa, słowa. Konieczne i nieodzowne jest działanie.

I oto fizycznie słaby, ułomny intelektualista, poliglota i esteta przemógłszy się, przezwyciężywszy swoją literackość, zrzekłszy się „ułatwionego życia" pisarskiego, tantjemami i wawrzynami zdobnego, zostaje pospolitym partyjnym agitatorem, objazdowym krasomówcą, gadaczem, pyskaczem „Piotrem z Amiens" wzywającym na krucjatę przeciw wrogom chrześcijańskiej cywilizacji, stokroć niebezpieczniejszym a potężniejszym od Saracenów średniowiecza. Ideje i ideały wzięte z Gobineau, z Nietzschego, z Houstona Stewarta Chamberlaina, maxymy i dogmaty aryjskiego, indoeuropejskiego poglądu na świat rozmienia były koneser sztuki i krytyk literatury na najdrobniejszą monetę wiecowych sugestyj i argumentacji *ad hominem,* do „człowieka z ulicy", do „jedermanna".

Na krótki czas osiada w Düsseldorfie i tu wydaje skromny w tendencji „chadecki" tygodniczek *„Völkische Freiheit"*. Poczem nadreńczyk, południowiec, monachijczyk, przenosi się na stałe do obcej Sodomy Berlińskiej, w samą paszczę Shylockracji, gdzie rozpoczyna, a raczej wzmożenie kontynuuje... *Kampf mit dem Drachen..*

Przeniósłszy się do Berlina, rzuca się wyłącznie w agitację i propagandę antiszajlokowską. Niski, niepozorny, chuderlawy, zewnętrznie jakby negacja „rasizmu", niewysportowany, nienowoczesny, ani „stramm", ani preussisch, głosi Geobbels na setkach

wieców i meetingów Chamberlainowską ewangelję o nierówności ras, o rasach panów i władców i znów o rasie nomadów, wznoszącej w życie duchowe Europy azjatyzm i satanizm (Antychrysta).

Polaków nigdy nie wspomina. Na Polaków nigdy nie judzi. W setkach jego mów nie przewija się nigdy ani Pole, ani Pollacke. To jest domena barona Alfreda Rosenberga i kilkunastu doczepionych, ordynarnych komparsów z pogranicza polskiego, z Wschodnich Prus. Ale to też jest trzecia czy czwarta struna na harfie tych pragermańskich druidów wojennych, po Francji i po Anschlussie, po kolonjach, wziętą zresztą w spadku po wszystkich partjach innych. *Nazi* w samych podstawach swego programu jeszcze przed swojem anti-Wersal, są przedewszystkiem anti-Juda i w 100 proc. anti-Juda, no a już obecnie po takim kwietniu, po tak obłąkańczej i lekkomyślnej zajadłości mszczącego się żydostwa światowego anti-judaizmem przepoili całe 90 miljonów Germanów na całej kuli ziemskiej i na cały wiek XX-ty.

„Doktór Goebbels" swoją dynamikę i furję misjonarską poświęca bez reszty okupantom świata, świata giełdy, kapitalizmu, rewolucji, handlu, szwindlu (Marx *dixit!),* lichwy, pornografji, prasy, teatru, literatury. Nie ogranicza się atoli jednak tylko na mówionem słowie i na agitacji wiecowej przeciw wewnętrznemu wrogowi. Przeprowadza cały szereg ostrych kampanij polemicznych przeciw championom sexual-Shylockracji (np. osławionemu Grzesinskyemu), ma setkę procesów o zniesławianie rozmaitych przekupniów i przekupek, wygrywa, stawia się, nie stawia, przegrywa (obraz prezydenta Hindenburga), co wszystko nie przeszkadza mu dawać swojemu obozowi całego szeregu ideologicznych podręczników (vademecum) jakoto „Briefe an Zeitgenossen", „Der Nazi-Sozi", „Die verfluchten Hackenkreuzler", „Wege ins dritte Reich", „Die zweite Revolution", „Lenin, oder Hitler" itp. koncypowanych z wielką brawurą, siłą przekonywującą, z finezją i precyzją, bynajmniej nie do wulgarnych gustów apelującą.

Trzeba na to specjalnie zwrócić uwagę i nacisk położyć z następującego powodu:

O Hitlerze i hitleryzmie informuje obecnie, instruuje, poucza Polaków w polskiej prasie częstotliwie 66 (obliczone: sześćdziesiąt sześć) piór żydowskich piszących po polsku. Nie sposób w danym historycznym momencie, aby pióra te pisały objektywnie i neutralnie, gdyż i my w takiej np. sytuacji nie moglibyśmy się na zimną krew zdobyć. Cóż dopiero organicznie, chronicznie półbezprzytomni. To też Niagara przesad, kłamstw i szalbierstw wali się zgóry i przelewa na szpalty omal całej prasy. W interpretacji tych panów wygląda sanacja piśmiennictwa, literatury, prasy, teatru i kina niemieckiego mniejwięcej tak, jakby wszystko co „kul-

turalne" w Niemczech emigrowało, drapnęło lub zostało podrapane i zlikwidowane, a w Niemczech pozostali na gruzach kultury tylko barbarzyńcy w skóry niedźwiedzie okryci z tasakami i oszczepami, sami Teutoni, Hunny, Bosze. Tak to nam prezentują nasi mełamedzi-korespondenci. Tymczasem tak nie jest. Ani Eulenberg czy Moeller v. den Bruck, ani A. Bartels czy prof. Günther, ani Werner Hagemann, ani Unruh, Spengler, Gottfried Feder, Hermann Esser, Hans Johst, Wessel, von Salomon, jak znowuż ani Olaf Gulbranson, Ryszard Strauss, skrzypek Kreissler i kilkudziesięciu innych... barbarzyńcami nie są. Mieli tylko tego pecha w życiu, że się nie urodzili żydami i wskutek tego są mniej sławni i mniej nawet znani niż takie typy jak Emil Ludwig czy Lion Feuchtwangler (Jud — Süss). Obaj Mannowie z Lubeki wkupili się choć tem w nieśmiertelność, że się pożenili izra-elitowo: Heinrich z Minną Kahn, Tomasz z Katją Pringsheim (z Litwy). Innym nawet świetnym talentom nawet to się nie udało czy nie przytrafiło, więc więdły na uboczu, w cieniu, na peryferji reklamy i sławy i dopiero teraz po burzy i po przeczyszczeniu powietrza dowiemy się po raz pierwszy o ich nazwiskach i dziełach.

Dopomoże im w tem wydobyciu się z sierocego, Kopciuszkowego bytowania nie kto inny jak właśnie wielki sanacyjny Herkules na tę Augiaszową stajnię (oborę i chlew): doktór Goebbels. Być może, że na Mitteleuropę przyjdzie nowe Średniowiecze, ale być też może, że nastaje era Purytanów po erze Erosa i seksualdemokracji tak jak... w Anglji po... erze... Elżbietańskiej. W każdym razie idzie wielka przemiana, *varietas*, a każda *varietas delectat*.

Doktorowi od propagandy poświęciliśmy tu więcej miejsca i czasu nie tylko w myśl starorzymskiej maxymy: *et ab hoste doceris*, ale także i z tej przyczyny, że w galerji tych Faust-cystów niemieckich jest Goebbels indywidualnością wyjątkowo (à la lettre) sympatyczną. Nie tylko jedną z najbardziej interesujących. Niech sobie Paneuropejczycy gustują nadal w Kerrach czy Zweigach, w Perutzach i Klabundach, w Wolffie od firmy Mosse lub w Wolfie od „Cyankali".

Europejczycy natomiast będą odtąd z dużem zaciekawieniem, nie bez pewnego współczucia, ale i nie bez pewnego niepokoju bacznie i pilnie obserwowali, jak to sobie w Berlinie „Doktór" daje radę *„im Kampf mit dem Drachen"*. Uda mu się, wygra, zwycięży, to da przykład i lekcję Wiedniowi, Paryżowi, Londynowi, Pradze, Moskwie, Nowemu Jorkowi, Warszawie.

Byle mu jego commilitones, rewizjoniści, hakatyści, sadyści i podpalacze Europy nie psuli Herkulesowej próby, Herkulesowego eksperymentu... oczyszczania kontynentu! Szalom!

MARX PRZEMILCZANY.

Z okazji 50-lecia od śmierci Karola Marxa (14 marzec 1883) zamieściły nasze pisma socjalistyczne, oraz żydowskie, hebrajskie i żargonowe cały szereg uroczystych artykułów, ani w jednym atoli nie ośmielono się przypomnieć Polakom i Żydom poglądów ojca „naukowego socjalizmu" na to, co najważniejsze i dzisiaj najaktualniejsze, to jest na... żydostwo.

Poglądy te wypowiada K. Marx, mając lat 26, a więc w pełni młodzieńczego, intelektualnego rozmachu.

Syn adwokata, który z żydowskiego wyznania przeszedł na protestantyzm, studja uniwersyteckie przechodzi w Bonn i w Berlinie, doktorat robi w Jenie. Mając za sobą prawo i filozofję, odrazu poświęca się publicystyce radykalnej w Arnolda Rugego piśmie „Roczniki Niemieckie", potem w „Gazecie Reńskiej", wreszcie, gdy grunt niemiecki staje się nie bardzo bezpiecznym, przenosi się do Paryża. Jest wtedy oczywiście Heglistą, ale wielki wpływ nań wywiera materjalizm filozoficzny modnego wówczas Ludwika Feuerbacha. W listopadzie r. 1843 żeni się Marx z chrześcijanką, szlachcianką, córką b. ministra, z Jenny von Westphalen. W początkach zaś roku 1844, wypowiada właśnie swoje poglądy na żydostwo. Wydają wtedy z Arnoldem Rugem *„Deutsch-Französische Jahrbücher"*, do współpracy wciągnąwszy Fr. Engelsa i Bruno Bauera. Marx obcuje także z Proudhonem. „W Rocznikach" drukuje: „Wstęp do Heglowskiej filozofji prawa", oraz trzy artykuły o *Judenfrage*, stale przez wszystkich marksistów przemilczane, pomijane, skrywane.

Ponieważ tedy niedawno przypominano je w Niemczech, a w kraju, który liczy największy procent żydów nikt tego nie przypomniał, przeto z trzech długich ciągów damy tutaj cytaty i maksymy co najaktualniejsze:

„Szukamy tajemnicy Żyda nie w jego religji, tylko szukamy tajemnicy religji w rzeczywistym Żydzie. Jakąż jest światowa podstawa żydostwa? Oto praktyczne potrzeby, egoizm. A jaki jest jego Bóg świecki? Pieniądz".

„Emancypacja żydów w jej ostatecznym sensie jest to wyzwolenie się ludzkości od żydostwa. Sam Żyd już się na swój sposób wyzwolił"...

„W Wiedniu naprzykład jest ledwo tolerowany, a w gruncie rzeczy, dzięki potędze swego złota, decyduje o losach całego państwa" [1]).

---

[1]) Pisane w r. 1843!

„Żyd, który w najmniejszem państewku niemieckiem jest poza prawem, a w gruncie rzeczy decyduje też o losach Europy".

„Gdy cechy i korporacje średniowiecza zamknęły się przed żydami, zuchwałość przemysłowej i handlowej inicjatywy tych ostatnich kpiła sobie z samoobrony średniowiecznych instytucyj" (B. Bauer: „Kwestja żydowska").

„I to nie jest odosobnionym faktem. Żydostwo istotnie wyzwoliło się na swój sposób, nie tylko skupiwszy w swych rękach całą potęgę złota [2]), ale przez żydostwo także i poza niem pieniądz stał się potęgą wszechświatową, a duch praktyczności żydowskiej stał się praktycznym duchem chrześcijańskich ludów" [3]).

„W tej mierze bowiem żydzi się wyemancypowali, w jakiej chrześcijanie zżydzieli (r. 1843!)".

„Wierzący i wolny politycznie obywatel angielski (mówi pułk. Hamilton) jest odmianą Laokona, który już nie robi żadnego wysiłku, aby się uwolnić ze splotów wężów, które go oplatają" [4]).

„Mamon jest ich bożyszczem, do niego modlą się nietylko wargami, ale wszystkiemi siłami swojego ciała i ducha".

„Dla żydów jest glob ziemski jedną wielką giełdą, stąd przekonanie, że nie mają tu nic więcej na ziemi do spełnienia, jak tylko zostać bogatszymi od swych sąsiadów".

„Oszustwo opanowało wszystkie ich myśli i jedyne, co ich podnosi wzwyż, to urozmaicanie sobie objektów tego oszustwa" *(Schacher)*...

„Organizacja, któraby predyspozycje oszustwa, a więc możliwości oszustwa usunęła, rozbroiłaby także żydów" [5]).

„Jeżeli żydzi podróżują, to mają na swych plecach cały swój kram czy kontuar i rozmawiają ze sobą tylko o czynszach, o procentach, o zyskach. Jeżeli zaś przez chwilę milczą, to tylko na to, aby wywąchiwać coś u innych".

„Praktyczne panowanie żydów nad światem [6]) chrześcijańskim osiągnęło w Ameryce Północnej tak już niedwuznaczny, normalny stopień, że nawet głoszenie ewangelji, kaznodziejstwo stało się tam artykułem handlu. Zbankrutowany kupiec „robi" tam w ewangeljach, tak jak wzbogacony ewangelik robi w interesach".

„Żydostwo utrzymało się obok chrześcijaństwa nietylko jako religijna krytyka chrześcijaństwa, ale w tej samej mierze dlatego, że duch praktyczno-żydowski, czyli żydostwo utrzymało się w samem społeczeństwie chrześcijańskiem i nawet osiągnęło tam (w Ameryce) wysokie wydoskonalenie".

„Industrja jest czuwającym Bogiem Izraela, przy którym żaden inny Bóg nie może się ostać; przemysł poniża wszystkie bóstwa ludzkości, degraduje i zamienia je w towar".

„Bóg żydów stał się świeckim, stał się Bogiem wszechświata, Bogiem żydów właściwych jest weksel; ich Bóg jest tylko iluzorycznym wekslem".

„Nawet stosunek płciowy, stosunek mężczyzny do kobiety staje się u nich przedmiotem handlu: frymarczy się i kobietą" *(Das Weib wird verschachert).*

„Pozbawione podstaw i gruntu żydowskie prawodawstwo jest karykaturą religji, pozbawionej podstaw i gruntu moralności i wogóle prawa, a streszcza się tylko w tych formalnych obrządkach, jakiemi otaczają świat własnych korzyści".

Czytamy dalej jeszcze w polemice z Bauerem, co następuje:

„Sprzeczność zachodząca między polityczną potęgą żyda w praktyce a jego prawami politycznymi jest sprzecznością między polityką, a potęgą pieniądza wogóle. Gdy fikcyjnie pierwsza stoi ponad drugą, w rzeczywistości stała się jej niewolnicą".

To co w religji żydowskiej jest abstrakcyjne, pogarda dla teorji, sztuki, historji człowieka, jako celu samego w sobie, to jest rzeczywistem świadomem stanowiskiem, cnotą tych „ludzi pieniędzy" (Geldmenschen).

„Chimeryczna narodowość żyda to narodowość kupca wogóle „człowieka pieniędzy"...

„Jezuityzm żydowski, ten sam praktyczny jezuityzm, który Bauer wykazuje w Talmudzie, jest stosunkiem kręgu korzyści własnej do rządzących nim praw, których chytre obchodzenie jest główną sztuką tego kręgu"...

„Żydostwo nie mogło stworzyć nowczesności; potrafiło tylko wciągnąć nowe twory i stosunki świata w obręb swoich zabiegów, gdyż potrzeba praktyczna, której kwintesencją jest własna korzyść, zachowuje się biernie i nie rozszerza się dowolnie, lecz znajduje swoje rozszerzenie w dalszym rozwoju stosunków społecznych"...

„Chrześcijaństwo powstało z żydostwa i rozpływa się znów w żydostwie"...

Also sprach Karl Marx.

A teraz jeszcze w jednej sprawie pogląd Marksowski.

Po roku 1850 radykali niemieccy planowali (pod wpływem Bunsena) odbudowanie państwa polskiego po przeprowadzeniu wojny z reakcyjną, Mikołajewską Rosją. I wtedy to Marx z Engelsem, zastanawiając się nad granicami przyszłej Polski i nad jej dostępem do morza, dawali jej jako rekompensatę za Gdańsk i Króle-

[2]) Pisane w r. 1843.
[3]) Pisane w r. 1843.
[4]) Pisane na 90 lat przed kwietniem r. 1933.
[5]) Pisane w r. 1843.
[6]) Pisane w r. 1843.

wiec, Rygę i Mitawę. Z planem tym wypowiedzieli się w korespondencji do *„New York Tribune“* z lutego r. 1852, zaznaczając przy tej okazji, że w tych krajach pogranicznych, gdzie stykał się element germański z polskim, wytwórczość przemysłowa była w rękach Niemców, wymiana zaś tej wytwórczości na artykuły rolnicze stała się monopolem żydów. Ci to żydzi: „lichwiarz‘, „szynkarz“, „handlarz“, mówiący strasznie zepsutym językiem niemieckim przez swoją językową asymilację do Niemców wpłynęli [7]) w „spornej sferze wpływów polsko-niemieckich“ na „charakter miast“, na ich zgermanizowanie, gdyż „jeśli można już żydów zaliczyć do jakiejkolwiek narodowości, to raczej do niemieckiej, aniżeli do słowiańskiej“. *Also sprach Karl Marx. 1852.*

Stąd też widocznie szło rewizjonistyczne nastawienie w stosunku do „korytarza“ całej lewicy niemieckiej i całego niemieckiego żydostwa.

HITLER SYJONU.

W sierpniu r. 1933 na uniwersytecie w Jerozolimie wybuchły srogie awantury. Ano krew nie woda, a młodzież, jak wiadomo, wyszaleć się musi. Raz temperament wybucha mądrze i słusznie, a drugi raz, jak wiadomo, cokolwiek głupio i przypadkowo. Nie są zamieszki uniwersyteckie specjalnością tylko polską, niemiecką, rumuńską... Zaraz się o tem przekonamy. Oto, jak informował jerozolimski telegram „Żata“:

JEROZOLIMA (ŻAT). W dniu wczorajszym, podczas wykładu inauguracyjnego, b. generalnego prokuratora rządu palestyńskiego Normana Bentwicha, jako lektora katedry im. Weizmana dla międzynarodowego pokoju na uniwersytecie hebrajskim, kilku rewizjonistów wszczęło wrzawę, która trwała przez blisko kwandrans. W chwili zajęcia katedry przez Bentwicha z pośród grupy zebranych na auli *rewizjonistów* padły okrzyki „hańba“, „idź pan wygłaszać kazania do mufti'ego“ itp., przyczem na katedrę rzucono bomby cuchnące. Wśród wznoszących hasła było tylko kilku studentów resztę demonstrantów stanowili osoby z poza uniwersytetu, m. in. również dziennikarz rewizjonistyczny Achi-Meir. Na aulę wkroczyła policja brytyjska, która aresztowała 12 osób.

Telegram Pata na podstawie relacyj z „Neue Freie presse“ wiedeńskiej cokolwiek się różnił od telegramu „Żata“. Oto jak się kończył:

[7]) Patrz „Nasz Przegląd” z 1 marca 1933 r.: „Marx o sprawie żydowskiej”.

„Bentwich próbował bezskutecznie przywrócić spokój. Dopiero oddziałowi policji udało się stłumić awanturę, w czasie której studenci wzajemnie się atakowali. Jeden ze studentów został ciężko ranny. Osiemnastu studentów aresztowała policja“.

W wiedeńskim „Weltblacie“ niema zatem mowy o żadnych „demonstrantach z poza uniwersytetu“. Sami swoi. Swój do swego. „Wzajemnie się atakowali“. „Osiemnastu studentów“ a nie „12 osób aresztowała policja“.

Dodajmy tu jeszcze, że prelekcja angielskiego uczonego i dygnitarza nosiła tytuł: „Jerozolima jako ośrodek pokoju“... I ledwie o tym „pokoju“ docent poważny zaczął mówić, wszczęło się „hańbowanie“ i posypały bomby cuchnące. Kto demonstrował? Młode żydki. Jakie żydki? Rewizjonisty. Jakie rewizjonisty? Powiedzmy sobie: rewizjonisty, czy integralni syjoniści, czyli zwolennicy nowego wodza *il duce,* Włodzimierza E. Żabotyńskiego, co się zowie syjonistycznego Hitlera.

Sprawa jest taka: Według ostatniego spisu ludności w r. 1931 jest w Palestynie:

Muzułmanów	750.000
Izraelitów	175.000
Chrześcijan	90.607

W stolicy Palestyny, t. j. w Hierusz Halim (Jerozolima) stosunek ten cokolwiek się zmienia:

Muzułmanów	19.000
Chrześcijan	19.000
Izraelitów	50.000

Aczkolwiek popularnie nazywa się to „Ziemią Obiecaną“, to jednakże o żadnem El Dorado, o żadnem Il Paradiso, ani o żadnej wogóle idylli czy sielance mowy być nie może. Orzech, na którym wszyscy kolejno łamią sobie zęby. Węzeł gordyjski, dla przecięcia którego niemasz Herkulesa. Nawet Anglicy co chwilę potykają się na tej „skórce z pomarańczy“. Dlaczego tak? Ponieważ „daj kurze grzędę, ona mówi, jeszcze wyżej siędę“, i ponieważ: „jeszcze się taki nie narodził, któryby Izraelowi dogodził“. Ostatecznie bowiem Anglicy zrobili już chyba wszystko co mogli. Sami często noszą imiona biblijne: Dawid, Abraham, Natan, Tobiasz, Ozjasz. Stary Testament dniami i nocami czytają. W „Primrose Day“ pomnik Beaconsfielda białem kwieciem osypywany. Ministrami, gubernatorami, wicekrólami raz po raz któryś z ciężko bogatych żydów. No, a 14 lat temu lord Balfour ogłasza *urbi et orbi...* „Gierusalemme liberta“ ognisko żydowskie, autonomja pod mandatem. Rok 1931 w Londynie gabinet „narodowy“ a w „narodowym“ dwóch żydów jak się patrzy, bo to i Simon i Samuel...

Pytanie teraz: czy to co pomaga? czy jest jakaś wdzięczność za formalne kaskady przywilejów i dobrodziejstw? Czy jest jakaś współpraca i pomoc w usuwaniu dla Anglji kłopotów i konfliktów, wypływających z tego usadowienia i napakowania żydów na ziemiach od tysiąca lat muzułmańskich, arabskich? Żadna. Ani śladu. Wprost przeciwnie. Rewanżując się za „Iiszuw", żydzi w przeciągu lat 14 podrażniają przeciw W. Brytanji cały świat Muzułmański (200 miljonów). W samej Palestynie między 750 tysiącami Arabów, a 175 tysiącami żydów zapanowała permanentna wojna domowa. Ponieważ żydowscy emigranci uważają się za „Herrenvolk" i głoszą pruskie hasła: ausrotten! (wytępić), więc autochtoni i to także semiccy bronią się jak mogą. Raz po raz zjazdy i kongresy dziko uciskanej większości. Kongres młodzieży w Jaffie (wedle Żata) uchwalił:

„Każdy Arab, który sprzedaje Żydom rolę lub pośredniczy w podobnej tranzakcji, popełnia przestępstwo, dla którego niema przebaczenia".

W innej rezolucji zjazd wzywa ludność arabską w Palestynie do bojkotowania wszelkich importowanych z zagranicy towarów, jak również predsiębiorstw palestyńskich, na czele których stoją cudzoziemcy lub żydzi.

Drugi wielki kongres w Jerozolimie ogólno-muzułmański uchwalił:

„Celem obrony meczetu Omara przed uroszczeniami żydowskiemi do zawładnięcia nim, kongres muzułmański proklamuje bojkot wszystkich żydowskich wyrobów palestyńskich. Odnośna rezolucja kongresu stwierdza, iż gdyby się powiodły żydowskie dążenia w kierunku rozwinięcia przemysłu żydowskiego w Palestynie, Żydzi byliby w stanie nabywać w Palestynie coraz więcej gruntów, skąd płynie niebezpieczeństwo, że w ręce żydowskie wpadnie również obszar ziemi, na którym się wznosi meczet Omara".

Meczet Omara to jest po Mecce największa świętość religijna i narodowa Mahometan...

Dużo więc kłopotów i zgryzot ma Londyn z tymi Syjonistami skoro się zważy, że Muzułmanie są dotychczas jeszcze jaką taką podporą Empiru tak w Indjach jak i gdzieindziej! Ale co to wszystko obchodzi Hitlera Syjonistycznego, W. Żabotyńskiego i Goebbelsa tych Hitlerowców rabbi Thona z Krakowa i innych hyperszowinistów czyli rewisyonistów. Oni chcą przedewszystkiem pełni władzy i pełnej swobody w akcji. Uzbroić *chaluców*, wykupić wszystkie grunta Fellahom, jednych wyrżnąć i wytępić, innych wysiedlić do Transjordanji. Kto temu stawia opór, ten nieprzyjaciel! Tak wrzeszczeli na Kongresie w Bazylei, gdzie Hitler-Żabotyński wprost szalał, pienił się, psioczył na starych, na ugodowców, na Weitzmanistów aż wreszcie dokonał rozłamu i secesji i utworzył swoją kadrówkę szturmową, swoich „udarników", rewisyonistów.

Jeszcze dalej zaszli w Warszawie na ogólnym „wszechpolskim (sic) zjeździe".

I na tym to zjeździe Hitler-Żabotyński wypowiedział całkiem otwarcie, proklamował wojnę Wielkiej Brytanji. Z pozoru, na pierwszy rzut oka, to może wydać się bardzo śmieszne. Ot taki sobie Litwok z Odessy, co już w r. 1911 szczuł w rosyjskiej prasie Moskali na Polaków, autonomji się domagających. Służył potem w angielskim legjonie żydowskim pod gen. Allenbym... Legjonista. Specjalna psychika bez względu na rasę. Od kilku lat pisze sobie literackie „essaye" (3 tomy). Niby nic. A jednak. A jednak... gdy się zważy: Valera... Gandhi... egipcjanie... spadek funta... bunt na flocie... etc... Czyżby już coś wietrzyli? przeczuwali... czychali? Czy już jak skorki po cichu toczą olbrzymi drewniany gmach? czy już się szykują? po Rosji kolej na Anglję...?

Dość, że kiedy w sierpniu 1929 r. wybuchły w Palestynie pierwsze pogromy, odrazu szał ich ogarnął i odrazu przeciw dobroczynnej Anglji.

Rabinowicz hitlerowiec syjoński pisał: „wnet będziemy uczyć dzieci nasze: Gott strafe England".

Salten-Saltzman w „Neue Freie Presse": „Judea jest starsza, może cierpliwie czekać".

Rabbi Thon wyszedł z fasonu gentlemana: „musimy sobie zachować swobodę zachowania wobec Anglji"...

Jewish-Chronicle (z 28 lut. 1929) wprost proponowała odebranie mandatu Anglji a oddanie Polsce, (w Tel-Awiw jest ulica Piłsudskiego obok ul. Herzla, barona Hirscha, Nordaua i t. p.).

Kiedy niedawno temu był w Warszawie zlot rewisyonistów, już się całkiem nie krępowano. Rabbi Thon-Goebels pisał dosłownie: „Anglja ma nas obchodzić 10, 15 lat najwyżej. Potem nam nie będzie potrzebną" (sic). I równocześnie wyszydzał całkiem po hitlerowsku umiarkowanych spokojnych Weitzmanistów i anglofilów z „kręgosłupem minimalistów" (sic). Pan A. Eichhorn w żargonówce:

„Żydostwo wszechświatowe nigdy nie zapomni rządowi labourowskiemu niegodnej gry, uprawianej przez niego wobec narodu żydowskiego w sprawie palestyńskiej".

Ale czy tylko labourystom nigdy nie zapomni? Nie, nietylko! Całej Anglji, wszystkim Anglikom nigdy nie zapomni...

Albowiem Hitler-Żabotyński mówił na zjeździe w Warszawie:

„Porozumienie „jiszuwu" palestyńskiego z lokalną ludnością arabską, prowadzące do wspólnego oświadczenia, że administrator brytyjski jest już zgoła zbyteczny w Palestynie, byłoby straszliwym

ciosem dla prestiżu Wielkiej Brytanji na całym Wschodzie azjatyckim".

I do tego „straszliwego ciosu" przeciw Anglji Żabotyński kongres rewisyonistów namawiał i zachęcał. A potem ten hakatysta czy hackenkreutzler mówił:

„Wtedy możemy zwrócić się do Ligi Narodów z oświadczeniem, że niema więcej sporu między nami i Arabami. — A jeżeli niema sporu, to i mandatarjusz jest niepotrzebny. *Niech Anglja sobie idzie stamtąd.* Wszystko musimy uczynić, by przekonać cały świat o szkodliwej polityce angielskiej".

Poczem, grożąc pięścią w stronę tych Anglików, którzy i dla 750.000 Muzułmanów w Palestynie chcą być jako tako sprawiedliwi, którzy ośmielili się rządząc w Palestynie być jako tako sprawiedliwymi, którzy ośmielili się urządzić w Palestynie spis ludności i chcą nadać Palestynie ustrój parlamentarny (Syjonistom obmierzły) groził Żabotyński w te słowa:

„Nie pojmują oni, że stawka na ciemne siły fanatyzmu religijnego może być pobita, że rozpętanie tych sił spowodować może kataklizm, wobec którego bledną światoburcze plany Kominternu".

Słyszycie, panowie świata?... „rozpętamy przeciw wam siły... kataklizm... „bledną światoburcze plany Kominternu"... Wreszcie kwintessencja: „żydzi mogą stać się dynamitem, który rozsadzi imperjum brytyjskie!"

Also sprach Włodymir E. Żabotyński z Odessy, Hitler wojującego Syjonizmu w Warszawie, w Teatrze Kamińskiego w grudniu r. 1931. A rabbi Thon klaskał.

Potem w czas jakiś w liście do „Timesów" starał się z tego wyłgiwać, wykręcać, wycyganiać i podawał taki tekst łagodniutki, grzeczniutki, milutki:

Pierwszy ustęp brzmiał: „Nasze doświadczenia z Anglją jako krajem mandatowym w Palestynie doprowadziły do tego, że 15 miljonów ludzi straciło wiarę w naród, którego imię dla każdego żyda związane było z prostolinijną moralną powagą. Władza mandatowa stała się przeszkodą dla rozwoju syjonizmu. Realizacja w tym kierunku grozi tem, iż popchnie masy żydowskie w szczególności zaś naszą młodzież na bardzo niebezpieczną drogę".

Ale cóż! Myśmy przechowali sprawozdanie z kongresu, drukowane poprzednio w „Naszym Przeglądzie" i niniejszem przedkładamy.

Niechżeż warszawski korespondent „Timesa" przekona się czem Anglji groził oklaskiwany przez żydostwo patrjotyczne „*il duce*", wódz rewisyonistów, Hitler, marzący o takiej roli historycznej, jaką odegrał wobec Imperji Romanowych niejaki Trocki, onże Bronstejn, toże z Odesy.

TRAGEDJA MŁODEGO HERZLA.

W krakowskim „Nowym Dzienniku", organie skrajnie nacjonalistycznym, redagowanym przez dr. Ozjasza Thona, zamieścił dr. Neussenblatt notatkę, przypominającą francuskiego uczonego A. P. Candolle'a (1806—1893). Candolle, jako profesor uniwersytetu genewskiego (botanik) obok innych prac przyrodoznawczych, zapuścił się też i w dalekie i obce swojej kompetencji regjony ludoznawstwa i rasologji i wydał dzieło p. t.: „O historji wiedzy i uczonych w ostatnich dwóch wiekach" (r. 1873). Dzieło to w r. 1911 przetłumaczył na niemieckie prof. W. Ostwald, a dr. T. Neussenblatt wyłowił z niego pewien specjał tyczący się stosunku świata do „jednego procentu ludzkości" i „jednego procentu" do świata. Oto, jak znakomity *botanik,* a zatem uczony, tkwiący w świecie roślinnym, a mało znający się na nowoczesnem pansemickiem ludożerstwie, wyobraża sobie podobno (dr. Neussenblatt daje ten ustęp w „*skróceniu*") możliwość państwa żydowskiego i panujących w niem stosunków:

„Gdyby Europę zamieszkiwali tylko żydzi, przedstawiałaby ona następujący dziwny obraz. *Nie byłoby wojen,* wobec czego rzadziej znieważanoby uczucia moralne. Tysięcy ludzi nie odrywanoby od różnego rodzaju pracy kulturalnej. Podatki i długi narodowe zmalałyby. W myśl znanych tendencyj żydów kwitłoby pielęgnowanie wiedzy, literatury, sztuki, szczególnie muzyki. Przemysł i handel rozwinęłyby się. *Rzadko zdarzałyby się fizyczne napady,* ataki na własność prywatną rzadko odbywałyby się przy *używaniu przemocy.* Bogactwo wzrosłoby niepomiernie, dzięki regularnej i nieustającej pracy, idącej w parze z oszczędnością. Duchowni nie mieliby żadnych konfliktów z państwem, albo tylko natury drugorzędnej. Małżeństwa byłyby częste i bardzo wczesne i cieszyłyby się ogólnem poważaniem, w następstwie tego byłyby rzadkie ujemne strony, pochodzące z rozluźnienia obyczajów".

Jednem słowem: „raj na ziemi'.

Przedewszystkiem zaś wieczny pokój. Treuga Dei... Treuga Judaei... *no i rzadko zdarzałyby się fizyczne napady...*

Tak sobie roił francuski uczony botanik a za nim powtarza krakowski doktór p. Neussenblatt.

No, a tymczasem „*fizyczne napady*" zdarzały się jednak i to nawet między swymi. Naprzykład u nas.

W listopadzie zeszłego roku na redakcję wileńskiego żargonowego: „Orjent Kurjera" (?) napadło kilku osobników, pobiło dotkliwie redaktora Grodzieńskiego, następnie zdemolowało urządzenie, wybiło szyby, rozsypało czcionki. „Wezwana policja zlikwidowała zajście (według A. W.), ale wobec obawy, że napad

może się powtórzyć ustawiono przed redakcją posterunek policyjny“...

W jakiś czas potem w Warszawie w południe do lokalu gminy żydowskiej przy ulicy Grzybowskiej wtargnęła grupa młodzieży w liczbie około stu. Część zajęła gabinet prezesa posła Farbstejna, a część w innych pokojach dokonała „dzieła zniszczenia“, wybijając szyby w oknach, we drzwiach i w obrazach, niszcząc żyrandole, demolując biurka, zegary, maszyny do pisania, równocześnie z ulicy zaczęły padać na dom kamienie i cegły. Sprawcy zbiegli przed przybyciem policji. Zarząd gminy obliczył straty na 5.000 złotych. *Napadu* dokonała przypuszczalnie organizacja Bund. I t. d. i t. p. Przykładów podobnych tysiąc.

— A co przynosi Stary Testament i dzieje żydowskiego narodu przed diasporą, pełne *fizycznych napadów,* gwałtów, mordów, egzekucyj, kamienowań, bojów i wojen? Niema w tych dziełach nic pastersko-idyllicznego, natomiast roji się od kłótni, zemst, przekleństw i żarcia się między sobą. *Fizyczny napad* i przemoc fizyczna są na każdej stronie. Semici, t. j. Judejczycy, Fenicjanie, Assyryjczycy, Babilończycy, udoskonalają pierwsi rzemiosło wojenne, są pierwszymi strategami, wynalazcami fortyfikacji, broni, floty wojennej, metod i systemów militarnych. W ich państwie istnieją zorganizowane *fizyczne napady,* są Machabeusze, król Jozue, Dawid i Goliath, a semitą jest pierwszy genjusz militarny w dziejach, t. j. Hannibal.

Pogląd zatem prof. botaniki Candolle'a, że *nie byłoby wojen,* gdyby Europa była zamieszkałą wyłącznie przez żydów, jest od a do z e t błędny i fałszywy.

Że przed *fizycznym napadem* nie wzdraga się i nie unika go specjalnie psychofizyczny typ Izraelity politycznego, tego dowody mamy w ostatnich latach w działalności Czerezwyczajki rosyjskiej pod kierunkiej Uryckiego-Apfelbauma. Świeżo teraz wyszła w Rydze książka rosyjskiego autora Sosnowskiego p. t. „Czerwona Kalwarja“, gdzie wykazane jest, jak za szefostwa Uryckiego w G. P. U. (zamordowanego przez Kannengiesera) od r. 1917—1923 stracono 25 biskupów, 2.215 duchownych różnych wyznań, 6.575 profesorów, 8.800 lekarzy, 54.850 oficerów i t. d. w sumie 1.765000. W tej erze Czerezwyczajką rządzili omal wyłącznie semici i semitki. Że *fizyczne napady* mogłyby mieć miejsce i w państwie, rządzonem, czy zamieszkałem przez żydów, tego dowodem dalej zabójstwo Petlury przez żyda zegarmistrza Szwarcbarta, lub znowuż zamordowanie de Haana w Jerozolimie przez chaluca Jankiela Gussmana. Mord polityczny nie jest tedy wcale obcy mentalności i psychice żydowskiej. Całą winą np. holenderskiego poety i dziennikarza było to tylko, że chociaż żyd, pisywał z Jerozolimy do *„Daily Expressu“* korespondencje nietylko objek-

tywne, ale wobec syjonizmu krytyczne. W „Momencie“ to stwierdziła zaprzysiężona pani Pinkowicz. Kolejno zrobiono warjatem Gussmana, potem Pinkowiczową, a z de Haana już po śmierci... homosexualistę. *Fizyczne napady,* a nawet morderstwa leżą tedy w możliwościach psychiki semickiej, ba, nawet powtarzają się dość często niekiedy rękami podjudzonych lub nastawionych chrześcijan dokonywane.

Dał temu wyraz nie kto inny, jak rodzony syn Teodora Herzla, młody Hans Herzl.

Twórca i prorok syjonizmu, wódz syjonistów i ich *„Grand Manitou“* miał dwie córki i syna jedynaka. Otóż ten to jedynak, Hans Herzl, nietylko nie został syjonistą, ale w 20 lat po śmierci założyciela stronnictwa nacjonalistycznego wyparł się żydostwa i w tym samym Wiedniu, gdzie ojciec działał i podłożył podwaliny pod ideę *„Erecu“* przeszedł na chrześcijanizm, mało powiedziane: na katolicyzm i to u Ojców Dominikanów, gdzie chrztu mu udzielał pastor Schlesinger, także *convertitus.* Wypadło to tem drastyczniej, że Herzl zdawna mieszkał w Londynie, gdzie się całkiem zanglizował i był sobie skromnym bankowcem. Mógł tedy przejść na anglikanizm, bliższy mozaizmowi przez kult Biblji. Nie! On musiał właśnie przejść na katolicyzm. Wypadło to jeszcze drastyczniej, że równocześnie zachował cały pietyzym dla dzieła swego ojca, przetłumaczył na angielskie jego pamiętnik i to tak świetnie, że nie mogli go dość nachwalić żydzi angielscy, między nimi Zangwill, syjonista! Przeszedł na katolicyzm w Wiedniu, wtedy, kiedy jako urzędnik „Union Banku“ bawił w Wiedniu. Bomba padła tuż przed jednym z kongresów bazylejskich, kiedy to leader wiedeńskich syjonistów, inżynier Oberbaurat Robert Stricker dostał następujący list:

London, 7 lipca 1924.

Cambden-Hill Z. Observatory Gardens.

Szanowny Panie. W związku z wydaniem angielskiego tłumaczenia Pamiętników mego ojca, uważam za stosowne donieść Panu o przejściu mojem na chrześcijaństwo. Uważałbym za rzecz niegodną pozostawić Pana w nieświadomości faktu, który przy rozstrzyganiu w sprawie wydania mojego tłumaczenia może poważnie zaważyć na szali.

Z szacunkiem, Hans Herzl.

Można sobie wyobrazić, co za skandal wybuchnął wśród syjonistów, kiedy list ten, w druku podany został do publicznej wiadomości. Początkowo starano się przejść do porządku dziennego nad tym faktem, tak syjonizm kompromitującym. Poczem jednak zaczęła się wściekła nagonka. Według przyjętego zwyczaju, Herzla ogłoszono za *„myszugge“,* za patologiczny okaz. Freudyści wyszukali dlań jakiś odpowiedni: „kompleks“. Zrobiono go warja-

tem tak jak zrobiono Drummonta, Urbana Gohiera, L. Daudeta, Forda, Luegera, de Haana i wogóle wszystkich, którzy próbowali prześwietlać pansemicką megalomanję i światowe intrygi Shylokracji. Ataki na Herzla przybrały taki rozmiar, że ścigana ofiara dała wywiad do pism angielskich, prosząc żydów, by mu dali święty spokój, gdyż on z żydostwem nie chce mieć nic wspólnego. Prześladowany widocznie widmem zamordowanego w Jerozolimie de Haana, w wywiadzie tym zamieścił taki ustęp:

„Pewna gazeta ogłosiła mój adres londyński, tak, że nie jestem teraz pewien, czy nie spotkają mnie jakie nieprzyjemności“.

Nieprzyjemności, to znaczy w tym wypadku *napaści fizyczne*, nie co innego.

A tymczasem młody Herzl już jako katolik żył sobie spokojnie i cicho w swojem Cambden Hill, w tanim angielskim klubie. Opisał to jego życie niejaki Maruch Steinberger, który Hansa Herzla raz odwiedził:

„Był to klub przeznaczony wyłącznie dla mężczyzn, do którego kobiety nie miały dostępu. Hans Herzl miał własny pokój na piętrze skromnie i praktycznie urządzony. W kącie talerze, maszynka spirytusowa, na półkach dużo książek, na ścianach liczne obrazy ze Starego i Nowego Testamentu. Na głównej ścianie olejny portret kardynała Manninga, na przeciwległej stronie, nad prymitywnem łóżkiem, wielka fotografja Teodora Herzla, pracującego przy swojem biurku w mieszkaniu wiedeńskiem. Na stole, w nieładzie, szereg otwartych książek, zeszytów, czasopism religijnych różnych kierunków, bardzo wiele listów — Hans Herzl prowadził ogromnie rozległą korespondencję — a obok cała masa fajek. Przy herbacie, którą Hans sam ugotował, opowiedział swemu przyjacielowi wiele szczegółów ze swego życia.

Życie to określił jako monotonne i mało interesujące. Utrzymywał się wówczas z tłómaczeń i lekcyj. Po śmierci ojca otrzymał wprawdzie ze zbiórki urządzonej przez organizację syjonistyczną na swoją część około 2.800 funtów szterl., atoli sumę tę podczas wojny stracił. Kilkaset funtów otrzymał potem za przekład pamiętników ojca na język angielski“.

Niestety, ścigany przez rozjuszone a mstliwe żydostwo, w ciągłej obawie zamachu Hans Herzl wpadł w taką neurastenję, że wreszcie w r. 1930 popełnił samobójstwo dnia 17 września na grobie swej siostry. Na syjonizm palestyński miał do śmierci swej pogląd krytyczny i negatywny. Ten Steinberger stwierdził to raz jeszcze w słowach:

„Co do kwestji żydowskiej i problemu odrodzenia narodowego wypowiedział Hans Herzl pogląd, wielokrotnie przez niego przy różnych sposobnościach wyrażany. Zdaniem jego powołanie żydostwa polega na kosmopolitycznej misji w łonie chrześcijaństwa. Syjonizm herzlowski był dla niego czemś „ciasnem“, albowiem żywy i twórczy duch nie potrzebuje granic terytorjalnych, ażeby naród mógł żyć i działać, Żydzi powinni zrezygnować z obywatelstwa we wszystkich krajach na świecie i stać się apostołami w łonie wielkiej chrześcijańskiej społeczności“.

Taka jest prawda o synu Wodza, o Herzlu.

Czy tej prawdzie gotowa jest zaprzeczyć prasa żydowska? No i czy nie mylił się przypadkiem botanik Candolle, kreśląc idylliczny obraz żydowskiej Europy?

Nakoniec powołamy się jeszcze na świadectwo samego „Naszego Przeglądu“.

Kiedy cztery lata temu rozpisano w Berlinie ankietę na temat kary śmierci, kilkunastu wybitnych socjologów-kryminalistów berlińskich, a więc *Prusaków!!!* oświadczyło się *przeciw* karze śmierci. Za karą śmierci natomiast... wypowiedział się... nie kto inny... jak... prof. A. Einstein...

I wtedy to nawet „Nasz Przegląd“ pisał co następuje:

„Nie widzi natomiast potrzeby zniesienia kary śmierci prof. A. Einstein. Nie może zrozumieć, dlaczego nie należałoby ze społeczeństwa eliminować osobników, uznanych za szkodników społecznych. Zapomniał widocznie, że i ze szkodnika może się stać jednostka pożyteczna i że życie ludzkie jest najcenniejszym skarbem, jaki posiadają“...

W żydowskiej Europie Candolle'a kara śmierci tedyby istniała. Istniałyby też *pogromy*, ale pogromy... ostatnich chrześcijan. Przekonywujemy się o tem czarno na białem z żargonowego pisma, specjalnie wydawnego podczas wyborów sejmowych, z Noego Priłuckiego *„Wohl-Glocke“*, gdzie czarno na białem stało:

„Fakt, że sanacja zwalcza narodowców i urządza pogromy, wymierzone przeciw partjom reakcyjnym, musi wywołać sympatje mas żydowskich do obecnych władców państwa. Tu schodzą się całkowicie interesy żydowskie z dążeniami sanacji“.

Żydzi w masie swej prą do rewolucji socjalnej, do stałej permanentnej wojny domowej w Polsce i do pogromów. *Fizyczne napady* uprawiają z politycznymi morderstwami włącznie. Za karą śmierci oświadczył się Einstein. Bał się ich zemsty nawet syn Herzla.

— ———

AMERYKA

MAMMONARCHJA.

Groźnym objawem rozkładu w Stanach Zjednoczonych jest obok tysiąca innych także i to „odbronzowywanie", względnie oczernianie i plugawienie prezydentów i bohaterów narodowych. Słowo: groźny z tej racji jest tym razem na miejscu, ponieważ nastroje rewolucyjno-bolszewickie rosną tam w masach i krociach w tempie piorunowo błyskawicznem. Początki tego ruchu komunistycznego datują się już od dawien dawna. Instruktywną pod tym względem jest książka Johna A. Dyche'a p. t. „*Bolshevism in American Labour Unions*". rok 1926, zaczem rok w pełni *plenty* i *prosperity*, kiedy Złoty Cielec tył do niemożliwych rozmiarów i yankesi zagarniali cały świat pod swoje stopy. W r. 1927 przyszedł pierwszy atak apoplektyczny na Wall-Street, w r. 1929 drugi, w 1931 trzeci. Dzisiaj zgórą 20 miljonów zaczyna powoli zamierać, literalnie z głodu, a następne 20 miljonów jada tylko konserwy z puszek, zimne konserwy. *Misery*, nędza poczwarna ogarnia wszystkie warstwy kościstemi pazurami...

I takie społeczeństwo, takie sto miljonów dostaje raz po razu w ręce książki rewelacyjne o swych wielkich ludziach, przedstawionych dla odmiany *(varietas delectat)* w najobrzydliwszem oświetleniu. I to wszystko dosłownie w jednym roku, w jednym sezonie.

Zaczęło się od plugawienia Kolumba. Awanturnik, aferzysta, a może i żyd? No i przedewszystkiem nie on odkrył Amerykę. Dawno była odkryta. Przez Duńczyków, przez Wikingów, przez Skandynawców. Przenigdy atoli przez katolickich Hiszpanów czy Włochów. Na ten temat prace naukowe, odkrycia i „odbronzowania". Niech sobie będzie bohaterem południowych republik. „Nordiski" zdecydowały, że Amerykę odkryli „Nordiski".

Potem przyszła kolej na Waszyngtona. Autor: Rupert Hughes. Bohater był brutal, żołdak, karciarz, ordynarny, a co więcej, wcale nie chciał żadnej niepodległości. Są dowody, że był do końca lojalnym rojalistą. Chciał paktować ugodowo jeszcze w ostatniej chwili. Zwykły sobie, przeciętny szlagon, plantator, farmer, którego przyjazne okoliczności wywindowały na szczyty...

Potem poszedł na „fotel elektryczny" cenzurowanego zamordowany jawnie Abraham Lincoln. Nawiasem mówiąc, trzech prezydentów zamordowano w Ameryce w zamachach publicznych, to jest tylu, ilu... carów rosyjskich.

O Lincolnie kilka lat temu napisał piękny dramat angielski Rostand czy też Angielski Mereżkowskij, pocta Drinkwater z Birmingham. Już po nim gruby tom monografji beletrystycznej Emil Ludwig Cohn. Kiedy Maurois swoim Francuzom stawiał jako wzór *(„Il nous faut des chefs")* szefa w grubej monografji Disraelego, E. Ludwig Cohn jednak wybral Lincolna. Wzór i model wszelkich cnót i przymiotów liberalno-mieszczańskich, Negrów oswobodziciel, monolit charakter, symbol moralnego amerykanizmu.

Przeciw takiemu, powszechnemu przyjmowanemu poglądowi występuje chicagoski adwokat, poeta i pisarz Edward Lee Masters. Wydał przedtem jedną książkę p. t. *„Spoon River"*, t. j. antologję, zbiór nagrobków różnych wielkich ludzi, bohaterów, znakomitości. Makabryczny pomysł z dużą złośliwością przeprowadzony. I na tem widocznie się wprawił. Było w tych poetycznych nagrobkach i *epitaphium* tego aktora Bootha, który w teatrze zastrzelił Lincolna (15 kwietnia 1865).

Kiedy teraz na Amerykę zaczęła iść fala krachów, bankructw i rozsypywanie się złotej wieży Babel, mecenas E. Lee Masters wydaje książkę o Lincolnie. Że był uczciwy, ale ograniczony. Nie prostota, ale prostactwo. Ordynus, tępak, źle wychowany, bez charakteru, bez jednej idei, narzędzie innych. Mądra żona ale ciężko nieszczęśliwa. Wróg wszelkiej duchowej kultury. Pacyfista i piernik. Przeciętny i tuzinkowy. Z generałem Grantem nawet porównać go nie można. Przypadkowa karjera. Historyczna omyłka. Nic bohaterskiego. Nic z regenta. Wielkość dla mikrocefalów i pigmejów.

Adwokat chicagoski nie jest odosobniony. Po Mastersie zabrali się do Abrahama D. C. Leitz, C. E. Mac Cartney i z kolei zdzierali zeń „skórę śpiżową". Lichy adwokat, kauzyperda, ignorant, leń, brutal, bez żadnych moralnych skrupułów, przypadkowy szef państwa, który szczęśliwie przypadkowo przeszedł do historji dzięki błogosławionej kuli mordercy. Inaczejby pamięć jego przeklinano.

Z tych trzech książek oczywiście prasa amerykańska, która wychodzi w 34 miljonach egzemplarzy dziennie, musiała ostatecznie dawać referaty i recenzje. I taki pogląd na bohatera narodowego, który ma 1.000 pomników, tysiąc ulic, placów, sal, hotelów... rozszedł się po miljonach...

I tak znów jeden posąg zrzucony z piedestału w oczach myślącego ogółu: *Vanitas vanitatum et omnia vanitas.*

Teraz już łatwiej poszło galopujące w swej gorączkowości skalpowanie innych, mniej czcigodnych *prominents*, przedewszystkiem prezydentów.

Prezydenta Tafta obrobili S. Duffy i A. Butt.

Wilsona wziął na widelec krytyki H. O. Vardley. Już przedtem przystrzygło kilku pisarzów Wilsonowską aureolę. Tego to już nie oszczędzali jeszcze za życia. Erotoman, syfilis, paranoja, belfer i kompilator, otoczony żydami i fałszowanymi pułkownikami (House). Pantoflarz i ramoł. Na elekcję w r. 1912 dały: Standard Oil 275.000 dolarów, Perkins 160.000 dolarów, Gould 100.000 dolarów.

Wybory Warren Hardinga kosztowały plutokratów 20 miljonów dolarów. Lalka i szef bandytów. Biały Dom za Hardinga roił się od kryminalistów, kontrabandzistów, aferzystów. Erotoman, wreszcie ukarany i otruty przez zdradzaną żonę. Są na ten temat całe broszury.

Hooverem „zajęli się" w osobnych książkach John Knox i John Hamill. Konterfekty wypadły fatalnie. „Monografje" przedostatniego prezydenta były *best seller*'ami poprzedniego sezonu.

Calvin Coolidge już za swej prezydentury uchodził za literalnie najpłytszego i najprzeciętniejszego, „Babbitta" z powieści Sinclair-Lewisa. Był tak samo pionkiem w rękach kilkunastu mammonarchów, Krezusów, Nababów i Midasów; obecnie pisze codzień i pogawędki-feljetony grubo płatne. Jest figurą tak zmienną i żadną, że nie poświęcono mu nawet książki z rewelacjami. Nigdy nie był zabronzowiony, więc nie trzeba go odbronzowywać.

Tak to w Stanach Zjednoczonych traktuje się dzisiaj *ostatnio*, nacjonalne *kolosy*. Bez respektu i bez pardonu. W ten sposób mniej więcej *mutatis mutandis* odnoszono się w dawnej Rosji do kolejno następujących po sobie imperatorów-batiuszków. Nie drukowano o tem książek, ale w tradycji ustnej i w opinji ogółu uchodzili to za kretynów, to za matołów, to za obłąkańców zdecydowanych.

Do bardzo interesujących rezultatów myślowych i historjologji można dojść już po przeczytaniu dwóch książek polskiego i dziś nieco niesłusznie zapomnianego autora W. Gąsiorowskiego to jest: „Królobójców" (1910) i „Nowa Kolchida" (1931).

Jeżeli się nadto jeszcze przeczytało jakieś 30 (trzydzieści) książek o dzisiejszej Dollarice, oczy otwierają się szeroko i widzi się olbrzymie, rozległe perspektywy antycypacyjne.

Odbronzowywanie regentów i szefów przygotowuje atmosferę psychiczną do wielkich, olbrzymich, bezapelacyjnych przemian i perturbacyj. *America first.*

CHANAAN TU JUŻ NIE JEST.

Benjamin Natan Cordozo został mianowany członkiem najwyższego Trybunału federalnego w Waszyngtonie. Obok Harlana Stone, Charlesa Evansa, Hughesa i siedmiu innych, B. N. Cordozo. Stara rodzina sephardyjska hiszpańska od dwóch set lat w Stanach osiadła.

No więc co tu zaraz tak dziwić się, zdumiewać, osłupiać, a potem zaraz wrzask i krzyk triumfalny, jakby... rabbi Alter wracał z Tel-Awiwu. Zapewne, że bardzo wielkie dostojeństwo, ale znowóż niema co tak hosannować. Za Wilsona bywali ministrami, ambasadorami i wszyscy cierpliwie to znosili. Przy każdych wyborach prezydenckich i republikanie muszą duży kapitał zebrać, *jewish votes* także się przydadzą... więc nominacja całkiem na miejscu w porę i słusznie.

A tymczasem *Żat* z Nowego Jorku zaraz wyjeżdża ze złośliwemi szpilkami:

„Hoover — pisze prasa żydowska — dał najlepszą odpowiedź hitlerowcom niemieckim, polskim endekom i rumuńskim cuzistom, jak również tym, którzy usiłowali *importować antysemityzm do Ameryki.* Nominacja Benjamina Cordozo będzie też jeszcze jednym dowodem dla młodzieży żydowskiej w Ameryce, iż pochodzenie żydowskie nie jest przeszkodą dla wielkich zdobyczy".

Importować antysemityzm do Ameryki? Czy trzeba aż importować? Czy sam tam jakoś się nie rodzi i nie podrasta? Czy nominacja Cordozy dowodzi zaraz, że Stany są nadal *the safest homeland for the Jews?*

Otóż tak dobrze tam w Kolchidzie już nie jest. Popsuło się w ostatnich czasach, co się zowie. Zaraz, tu wezwiemy koronnych świadków. Niech oni mówią. Do ich słów dodamy tylko skromniutki komentarz.

Psuło się już wogóle oddawna. Już w r. 1929 w *„World"* (organ Pulitzerów z Budapesztu) skarżył się młody izraelita, pisząc:

„Być żydem, jest dla szukającego posady w Nowym Jorku niemal tyle, co być zbrodniarzem; nie bacząc na wykształcenie i kwalifikacje, jest każdy śmiałek osądzony, o ile się przyzna do swojej narodowości, lub religji".

Pisane w r. 1929.

Teraz rok 1932. Głos ma dr. Bernard Deutsch, prezydent kongresu żydowsko-amerykańskiego (luty):

„Wielkie masy żydów amerykańskich są coraz bardziej wypierane z ich dotychczasowych pozycyj gospodarczych. Procesowi rozkładowemu ulegają różne dziedziny przemysłu, które rozkwit swój zawdzięczają energji i pracy żydowskiej. Niektóre z tych dziedzin życia gospodarczego wyżywiały znaczną część ludności żydowskiej w Ameryce. Przemysł krawiecki, który jeszcze 10 czy 15 lat temu cały się znajdował w ręku żydowskiem, w dobie obecnej bynajmniej już nie jest przemysłem żydowskim. Wzrost wielkich firm handlowych wypiera z życia gospodarczego drobnego detalistę i handlarza, którzy nie są w stanie wytrzymać współzawodnictwa olbrzymich koncernów, dysponujących miljardowemi kapitałami. Robotnik żydowski w Ameryce jest może najokrutniej smagany biczem bezrobocia, które oby się nie stało zjawiskiem stałem".

Głos ma dr. Weitzman, b. prezes egzekutywy syjonistycznej:

„Jak długo Ameryka żyła w drobrobycie, było też dosyć miejsca dla żydów. Obecnie jednak są ciężkie czasy. Amerykanom przysługuje pierwszeństwo, zaś żyd trafia na zamknięte drzwi, gdy chce wyładować swą energję i przedsiębiorczość".

W Milwaukee przemiawiał Louis Lipsky, prezes Komitetu Palestyńskiego, i co zaznaczył. Wedle pism tamtejszych:

„Zaznaczył otwarcie, że i w Stanach Zjednoczonych praktykowane jest wyróżnienie i uprzedzenie do żydów. Są uniwersytety, powiedział p. Lipsky, które utrzymują sztucznie jak najmniejszy procent żydowskich studentów. Są też firmy, które nie chcą przyjmować do pracy żydów. Mówca ma to za złe Amerykanom i w ostrych słowach karci w swej przemowie takie postępowanie Amerykanów".

Co mówił znowuż dr. Bernard Kahn?

„Wszystkie warstwy żydowskie w Ameryce dotkliwie ucierpiały skutkiem kryzysu. Pauperyzacja mas zatacza coraz szersze kręgi. Zapewniano mnie, iż w niektórych miastach, jak Nowy Jork, Filadelfja i in. niedola wśród ubogich mas doszła już do tego stopnia, iż ludzie nieraz głodują".

Agudasoski ugodowy „Tagblatt" pisał niedawno:

„Żydostwo amerykańskie boryka się z nędzą... Czy wyjdzie ono przynajmniej z obecnego kryzysu oczyszczonem duchowo?... Jedno jest pewne, że my żydzi na całym świecie przeżywamy ogromną ciemność, mrok idzie ze wszystkich stron".

Tak, ale to wszystko jeszcze (odpowie na to endekojad nienasycony, p. Hirschhorn), to wszystko jeszcze nie objawy „reakcji", „ciemnoty", „zacofania", „chuligańskiej nienawiści do... światła i postępu" i żądzy dzikich pogromów jaką dyszy nocami obóz Obwiepolaków! To jeszcze nie *„numerus clausus"* i chuć krajania penzetami trupów żydowskich. Cuzistów w Ameryce jednak nigdzie niema!

I znów na to odpowiadamy telegramami Ż.A.T.A:

„Z uniwersytetu w Maryland donoszą o pierwszym w Stanach Zjednoczonych zorganizawanym napadzie akademików amerykań-

skich na ich kolegów, żydów. Grupa antysemickich studentów dokonała napadu na mieszkania studentów żydów w internacie przy uniwersytecie. Antysemici wybili szyby w oknach i wrzucali cegły. Akademicy żydowscy zmuszeni byli szukać schronienia w sąsiednim gmachu instytucji filantropijnej.

Niezwykłe oburzenie wśród żydów amerykańskich wywołało antysemickie wystąpienie rozpowszechnianego wśród wojsk amerykańskich czasopisma *„Army and Navy Register“*. Pismo to ogłosiło artykuł, w którym autor twierdzi, że „żydzi nie chcą służyć w wojsku, gdyż im to się nie opłaca“, że wśród ochotników niema prawie żydów i że „żydom zależy jedynie na *eksploatacji* naszego kraju, lecz nie na jego obronie“.

Na południu Stanów Zjednoczonych uprawiana jest ostatnio szeroko zakrojona agitacja antysemicka, operująca hasłem, że żydzi ponoszą winę za obecne przesilenie gospodarcze w kraju. Agitacja uprawiana jest w kościołach, na zebraniach publicznych i przez radjo. Głównym organizatorem agitacji jest niejaki dr. M. Hess, który objeżdża Stany południowe. Demagogiczne jego wystąpienia przyciągają tysiące słuchaczy“.

No, więc co teraz? Są hitlerowcy i Cuzyści w Ameryce? Są. Na uniwersytetach się zaczęło? Zaczęło. Wojskowe sfery się obudziły? Obudziły. Banków ile plajtnęło? Na 3.000 banków 2.000 żydowskich. Na czyje conto zwala senator Vanderberg dzisiejszą depresję po wczorajszych orgjach spekulacyjnych giełdowych „brokierów“? Na Wahrburgów, Schiffów, Kahnów, Speyerów, Schroederów, Guggenheimów, Altmanów, Hirschów, Waldmanów, Daszewskich, Littauerów, Klingslandów, Rosenwaldów!...

No i czego to teraz zaraz nie wyciągają na światło dzienne?...

Ostatnio wyciągnęli, że olbrzymim trustem domów publicznych alias zamtuzów w Nowym Yorku kierował niejaki pan Goldberg... Dotychczas o tem mówiło się po cichu, teraz wyciągnął to jakiś oczywiście endek... reakcjonista zatracony, tfy... Kruszewan taki, można powiedzieć.

Benjamin Natan Cordozo został tedy najwyższym sędzią Trybunału Federalnego.

Pomimo tego, dobrze to tam teraz nie jest. Ale gdzie i komu teraz dobrze?

SAMI O „SAMIE“.

Intelektualny świat w Stanach Zjednoczonych odnosi się aktualnie tak wrogo i negatywnie do panujących sfer, pojęć, reguł i form tamtejszego bytowania, jak wrogo i oskarżycielsko odnosił się do zmierzchającego caratu świat inteligencki rosyjski.

Wuj *Sam* ma samych nieprzyjaciół w samych swoich. Z bardzo już nielicznemi i topniejącemi w niepamięci wyjątkami cała literatura i wybitni *prominents* świata uniwersyteckiego wypowiadają się oskarżycielsko. Skala jest rozległa. Od sarkazmu, ironji, satyry i demaskującego wyszydzania poprzez twarde cięgi i nielitosne drwiny aż do potępienia, piętnowania, samobiczowania, jakiegoś *self-bating* oraz nastrojów i przepowiedni katastrofalnych i apokaliptycznych.

Przez jaśniejsze i mniej ekskluzywne mózgi amerykańskie przechodzi jakaś wielka fala zniechęcenia, rozgoryczenia, obrzydzenia i *degout* do wszystkiego, co jeszcze piętnaście lat temu uchodziło za *naj a naj first i big*. Elicie duchowej Niezjednoczonych Stanów nie podoba się w ukochanej ojczyźnie to wszystko, czem się poprzednia generacja zachłystywała od zachwytów. Cała, według nich, „cywilizacja amerykańska“ jest na złej drodze, na równi pochyłej, w ślepej, wąskiej ulicy, bez wyjścia. Cała mentalita amerykańska jest chora, jeżeli już nie wprost u wrót obłędu. *„This ugly civilisation“*, tytuł jednej najpopularniejszej książki, ta obrzydła, ta wstrętna, ta odrażająca *cywilizacja bez kultury*, antykulturalna cywilizacja termitów. *Sins of America*, t. j. grzechy, dzieje grzechów, nosi tytuł drugi *best seller* sezonu, największy sukces księgarski. Trzecia oskarżycielska: *A businessman Civilisation*“ nieco starszej daty, drukowana w „Harpers Magasine“, druzgocąca. Dalej *„The Nemesis of American Business“*, autor: Stuart Chase. No, a wreszcie ostrzeżenie na wielką skalę prezydenta uniwersytetu Columbji, sławnego zresztą i w Europie, Mikołaja Murray Butlera p. t. *„Looking Forward“*, t. j. „Spojrzenie w przyszłość“, Mane! Tekel! Fares! nowość z ostatnich miesięcy.

Już w bawełnę prawdy nie owijają, już się nie bawią w *happy end* i w optymistyczny balsam, że to tylko kryzys konjukturalny, a od jutra pogoda i powrót *prosperity* i dalej znów ta sama obyczajowość, ta sama moralność, reżim oligarchji hyperkapitalistycznej. Taylor, boosting (kopanie łokciami) *comfort, service,* system łańcuchowy, Emerson, sekciarstwo, bezwyznaniowość, indyferentyzm religijny i zbydlęcenie mas. Nie, już się wcale nie łudzą, żeby tak dalej w tym kierunku mogło życie się toczyć bez katastrofy, takiej jak „Titanica“, tytanicznej katastrofy. Tu już nie chodzi o kwestję socjalną. To osobny rozdział, problem, dylemat, to inna przepaść.

Tu chodzi o t. zw. *dementia americana*. H. L. Mencken (nie żyd, z Niemców się wywodzi) miał rację, wynajdując ten termin w swoim zielonym magazynie *(Mercury)* i przez dziesięć lat zbierając i podając dowody i dokumenty tej *demencji*. Okazuje

się, że to słowo już się przyjęło i utarło. Prof. Walter Pitkins (z Columbii) też daje książkę o demencji i H. M. Kellen ze starego Harvardu i Thomas G. Backer i publicysta Madariaga w „Harpers Magasine". Demencja!... Nic innego, niestety! tak brzmi dyagnoza. To już demencja. Najczęstsze teraz i stale powracające we wszystkich tych sezonowych samobiczujących „best sellerach" pióra uniwersyteckich powag i naukowych znakomitości... Stale powracające anlogje to te z Rzymem starożytnym z ery imperatorów Nerona, Galby, Viteliusza: Europa to Grecja, Stany to Roma, komunizm to dawni Ostrogoci, Wizygoci, Gallowie, Germanie. Powtarza się. Powtarza się. *Remember!* Kult gladiatorów, nagie i gołe *schow-girls*, topienie zboża (Dardanarius za Nerona), brutalstwo, *mental cruelty*, superlatywizm, kolosalność, niebotyki, przepychy senatorów, robacza nędza tłumów, *panem et circences*, żadnych bogów, żadnej metafizyki, żadnego transcendentalizmu, żadnej „mistyki", materjalizm odduchowiony doszczętnie, hipopotami, gruboskórny i wulgarny. A pod spodem... katakumby, podziemia, underworld, kopalnie... i *new masses*, tłumy, tłumy, tłumy coraz liczniejsze, coraz zuchwalsze, coraz głośniejsze.

Profesorowie i uczeni, socjologowie, psychologowie piszą poważne, długie, obszerne, cyframi poobciążane wywody, studja, essaye, analizy, dyagnozy, syntezy. Ale dopiero teraz. Dopiero od dwóch, trzech lat, a od jesieni 1931 już wprost inflacyjnie i nagminnie; (w Ameryce wychodzi do pół miljarda tomów; także industrja; obrót do 2 miljardów 750 miljonów dolarów rocznie).

Literaci, powieściopisarze, beletryści, krytycznie i twardo odnosili się już do „This ugly civilisation" od dość dawna, powiedzmy sobie, od ćwierćwiecza. Przewidzieli, przeczuwali, bo przemyśleli, bo ludzie twórczej imaginacji, fantazji i antycypacji, sejsmografy. *Wuj Sam* od literatów musiał się nasłuchać już od dość dawna bardzo przykrych i upokarzających szczegółów. Im nie imponowały zwały złota przy ulicy Parkanowej (Wall-Street) ani wszystkie *naj a naj*. Niektórzy zapijali się na śmierć, widząc, jak „rodacy" zatracają przedewszystkiem duszę, duchowość, odrębność, jedyność, jak się stają jednakowi, seryjni, standaryzowani, monotonni, *new masses, pecus*, bydło, trzoda, *Czandala*. Jak Poe ongiś, tak i Jack London też tu i owdzie prorocką imaginację zdradzający rozpił się, z odrazy. Ale pisać ostrzegawczo *(Looking Forward)* to przedewszystkiem oni beletryści pierwsi pisali. Znacznie, znacznie przed Uptonem Sinclairem i Sinclair Lewisem, szły w publikę „Chleb i Ogień" Charler Rumford Walkera, „Góry" Clement Wooda, Louis Bromfelda „Dobre kobiety", Francis Faragoh „Koło Płomienne", „Raj Złota" Hjalmara Rutebecka, „Port" Ernesta Poole, J. Medill Patterson: „Mały braciszek bogatych", „Nafta" J. Haulina Garlana. Teraz to tłumaczą szybko na francuski, na rosyjski, na niemiecki, bo się ciekawią, jak to literatura reagowała na narastanie takich *Sins of America* i takiej *This ugly civilisation*.

Czterdzieści tomów dał bądź co bądź dziś 54-letni Upton Sinclair, ale często dość prostackich, prymitywnych, zoloskich, doktrynerskich i dla gustów mobu przeznaczonyych (prohibicjonista!). Ośmiornicę-Octopusa Franka Norrisa dawno już przyswojono i polszczyźnie.

Po nich przyszli mocniejsi i mocniejsze i w indygacji i w ambicji i w dynamice talentu. Z kobiet, żona Dreisera, Dorothy Thompson („Carowie Industrji"), Mary Borden (Flamingo), Elisabeth Benson („Od siedemnastego do 20 roku życia").

Sherwood Anderson z siedmioma powieściami sarkastycznymi.

Booth Tarkington z „Plutokracją" i „Revoltą", ośmieszający po Leikinosku „naszych na Rivierze"', dziś przekupiony na służbie miljonerskiej...

Potem przyszedł W. E. Woodsword, ex-kupiec, dziś osiadły w Paryżu i rzucający stąd bomby w „cywilizację bussinessmanów" *(„Bunk"*, znaczy się „Blaga", *„Lottery, Panem et Circenses")*.

Sinclair Lewis i John Dos Passos już są w Polsce i tłumaczeni i znani. Termin „Babbith" wszedł już dawno w użycie, jak również znana figura obywatela Smaltza z Zenith. Znany też jest Teodor Dreiser, który po Amerykańskiej Tragedji dał groźną: „Tragiczną Amerykę", a którego „The Financier" też rąbie Shylokrację bez litości. Nieznany jeszcze u nas Burton, autor powieści p. t. „The Man Nobody Knows" o... przyjściu Chrystusa, satyra groźna.

Biorąc teraz sumarycznie: w przeciągu kilku lat nie pozostawili poprostu suchej nitki na społeczeństwie, na obyczajowości, na duchu, na manierach, na psychologji mas, na szablonowości jednostek, na hypertrofji muskułów, na atrofji cerebrum, na wampiryzmie industrji, na megalomanji u szczytów, na zwulgarnieniu, feminizacji, *sex-apealu* i przestępczości jako normalizacji (czyli stabilizacji zbrodni).

Ci pisarze, którzy obecnie cieszą się renomą, popularnością (pozytywną czy negatywną) i t. zw. sławą, ci są nieubłagani i nieprzejednani, biczujący. *Wuj Sam*, siedzący na piramidzie worków ze złotem, jest już istotnie *sam*. Przeciw niemu,, przeciw jego miljonom i Mellonom, przeciw jego cywilizacji i jego *demencji* stoi zmobilizowany cały świat intelektualny, który myśli, i czuje, i... przeczuwa, i cierpi, i cierpnie...

RELIGIJNOŚĆ ANGLOSASÓW.

Znowu „Pat“, a za nim cała prasa przemilczały jedną wiadomość z Zachodu, tym razem z Genewy a mianowicie: Tuż przed otwarciem tej, bądź co bądź, na globalną skalę zaaranżowanej konferencji rozbrojeniowej, miała miejsce w genewskim kościele protestanckim służba Boża anglikańska na intencję powodzenia konferencji, przy którym to obrzędzie asystowali w *komplecie* wszyscy członkowie delegacji angielskiej i amerykańskiej. Przewodniczący konferencji, b. członek gabinetu Labour-Party i były minister spraw zagranicznych, socjalista, Artur Henderson, odczytał następnie Ewangelję, poczem miał kazanie do zebranych arcybiskup Yorku, dr. Temple i odczytał specjalną modlitwę.

O tem, że był bal w Genewie, to warszawska prasa rządowa natychmiast doniosła, widocznie chyba dla podparcia i pokrzepienia rozbalowanych warszawskich matadorów sanacyjnych. Ale o tem, że przed konferencją delegacje dwóch najpotężniejszych imperjów świata asystowały w pełnym składzie przy mszy anglikańskiej, o tem ani słowa. A to tymczasem ważniejsze. Rzuca bowiem mocne światło na głęboką powagę w koncepcji świata w ustosunkowaniu się do istotnych zagadnień bytu i celu życia u tych ludzi, którzy mają w rękach ster globu. Reprezentanci innych narodów przed konferencją w żadnej ceremonji kościelnej udziału nie brali. Tak, jak rano wstali, tak na pierwsze posiedzenie poszli. Kanclerz Brüning poszedł ze swoimi do katolickiego kościoła tego dnia, kiedy miał mówić. Anglosasi z tej i z tamtej strony Atlantyku wysłuchali ewangelji, kazania i organów. To jest chyba bardzo ciekawe. Ale więcej!...

Kiedy wogóle idea konferencji rozbrojeniowej zaczęła się krystalizować, Anglikanie zdecydowali, aby 3-ci września był dniem modlitwy narodowej. Chodziło o skoncypowanie specjalnej modlitwy, którąby odmawiano we wszystkich kościołach anglikańskich. Ułożeniem tej modlitwy zajęli się arcybiskupi Canterbury i Yorku. Ale kiedy ogłoszono tekst jej w publikacjach oficjalnych, t. z. Wiedzy Chrześcijańskiej (S. P. C. K.), wybuchła olbrzymia ideowa burza. Część pastorów najstanowczej odmówiła wygłaszania jej w kościołach jako upokarzającej dumę i godność narodową. Kamieniem obrazy był ten głównie ustęp:

„W polityce rządu, celem przywrócenia naszego kredytu i przywrócenia nam pomyślności, niechaj stanie się wola Pańska...

ponieważ byliśmy egoistami w prowadzeniu naszych interesów,

ponieważ umieszczaliśmy nasz własny interes lub też klasy, do której należymy, ponad interesy bliźniego,

wybacz nam, Panie, grzechy nasze,

ponieważ mieliśmy upodobanie w naszej pysze narodowej, ponieważ wyrażaliśmy zadowolenie z naszej potęgi i panowania nad innymi, a nie z naszej zdolności do ratowania innych,

przebacz nam, Panie, grzechy nasze! A kiedy nadarzy się nam okazja wzbogacenia się kosztem innych, wybaw nas Panie od takiej pokusy“.

Otóż przeciw temu ustępowi modlitwy, zredagowanej dla pierwszej Konferencji Rozbrojeniowej podniósł się wielki protest w części duchowieństwa, który potem przeniósł się na łamy prasy. I stało się, że *przez kilka tygodni* i to właśnie politycznie i ekonomicznie bardzo ciężkich (bunt na flocie, spadek funta, Indje, fiasco konferencji, *Round-Table)*, równocześnie w całej prasie angielskiej, prawej, lewej, czerwonej, brukowej, konserwatywnej i socjalistycznej („Daily Herald“) wrzały zacięte, długie, polemiki, dyssertacje i kontrowersje o pewien fragment *modlitwy* skomponowanej *ad hoc* przez dwóch arcybiskupów. I cała opinja publiczna tem się emocjowała. I „Timesy“ drukowały całe szpalty „listów“ w tej sprawie całkiem abstrakcyjnej, całkiem ideowej, czysto „religjanckiej“. Czy coś podobnego, czy coś podobnie bezinteresownego, oderwanego od wszelkiego materjalizmu i animalizmu, jest do pomyślenia gdzieindziej i u innej rasy, jak jednak u tej, która czuje na sobie ciężar odpowiedzialności za rządzenie jedną piątą częścią całej ludzkości? Ale jeszcze na tem nie koniec. Jaka książka była zpowrotem najpopularniejszą w Wielkiej Brytanji? Welss, Gallsworthy, Shaw, biedny Wallace? Otóż nie. Najpopularniejszą książką w r. 1931 była zpowrotem Biblja, *biblia pauperum;* rozeszło się jej 4 miljony egzemplarzy, podczas kiedy w kilku latach poprzednich przeciętnie od siedmiukroć do osiemkroć. Chmury nad W. Brytanją, to i powrót do pocieszania religijnego i czerpanie w niem sił moralnych na ciężką, coraz cięższą walkę o byt, o przetrwanie. Otóż to jest religijność, to jest naród religijny, wierzący, poważny, jakże daleki od narodów, co żyją jak głupawe jednodniowe motylki, lub poprostu, jak knury lub wieprze w chlewie, żrąc tylko, przewalając się w brudzie moralnym i sapiąc i chlipiąc.

Powie ktoś na to, a bo to anglikanie, protestanci, więc właśnie z nowoczesnością, z wiedzą, z nauką, wiarę godzić mogący. A jaka tam jest sytuacja, żywotność i dynamika katolicyzmu, o tem nam mówić. Sytuacja zazdrości godna. W krajach i państwach protestanckich, gdzie okiem rzucić, katolicyzm jest w najpełniejszym rozkwicie, w Anglji, Szkocji i Irlandji jest 16 miljonów katolików, szesnaście miljonów. Jeżeli się zważy, że są to wszystko katolicy

wierzący, czynni, manifestacyjni, pełni ducha ofensywy i misjonarstwa, to można śmiało statuować paradox: w Anglji jest tyle katolików, co w Polsce, jeżeli nie więcej. Bowiem tam są katolicy praktykujący nietylko na prowinji, na szerokiej płaszczyźnie, ale i w ważnych centrach i organizacjach. W Izbie Lordów jest 43 katolików, ale wszyscy pełni zapału konfesyjnego i przy każdej okazji to manifestujący; w Izbie Gmin takich samych „zaciętych papistów“ jest 24. Jest czterech katolików w *Labour Party,* ale niema *ani jednego* wśród zażydzonych doszczętnie mammonistów i geszefciarzy: liberałów. Nasze prasowe żydopisy stale pouczają krzykliwą kuchtę sanacyjną o tem, jaką to mają potęgę w Londynie i w nowym Jorku; niechże się raz dowiedzą, jak tam w Wielkiej Brytanji z „klerykalizmem“, z „reakcją“ i „Ciemnogrodem“.

W Wielkiej Brytanji konfesja rzymska w ostatnich latach czyni olbrzymie postępy. W Londynie założono wolny uniwersytet katolicki *(Catholic Truth Society),* przy Eccleston-Street, niedaleko Westminsteru. Tygodnik katolicki „The Uniwers“ biją w przeszło stu tysiącach egzemplarzy. *Foreign-Office* nie waha się na tak ważne placówki, jak Sekretarjat Ligi Narodów lub ambasada w Paryżu, wysyłać katolików (sir Drumond, Tyrrel). W parlamencie Labour-Party stale i demonstracyjnie popiera wszystkie postulaty katolickiej ludności. Nie tak dawno uroczystość sprowadzenia z Francji szczątków Johna Sutwortha, męczennika, prześladowanego przez dyktatora Cromvella i Purytanów, zmieniła się w Londynie w olbrzymią, masową demonstrację angielskiego katolicyzmu.

Bardzo ważny atoli jest zwrot ku katolicyzmowi w literaturze angielskiej i w piśmiennictwie wogóle. Jakże dalekie są te czasy, kiedy Walter Scott zionął w każdym tomie nienawiścią do katolicyzmu, wysokie duchowieństwo katolickie miało już takich dwóch świetnych pisarzy, jak kardynał Wiseman (autor „Fabioli“), a później J. H. Newman, głęboki myśliciel, którego dzieła przywróciły katolicyzmowi Stan. Brzozowskiego. Obecnie, ze starszej generacji, żarliwie służą idei katolickiej Hilary Belloc i G. K. Chesterton. Obaj walczą niezmordowanie w obronie „rzeczy niepopularnych“, przeciw Shylokracji, giełdom, Sassonom, złajdaczonemu dziennikarstwu brukowemu, a w obronie drobnego handlu, *małomieszczaństwa,* starych tradycyj, *merry old England* i obaj namiętnie występują za radykalną reformą rolną, która jedynie może uratować imperjum od krachu *(latifundia Romam perdiderunt).*

Do nich ostatnio dołączyły się dwie indywidualności z generacji najmłodszych, obie cieszące się już wielkim mirem i sławą, jako talenty powieściopisarskie. Pani Sheil Kaye Smith (żona pastora w Sussex), nawróciła się na katolicyzm niedawno i dała literaturze kilka tomów pierwszorzędnych („Brzask Wszechrzeczy“, „Czarownica“, Światło niewidzialne“), z których oczywiście ani jedna nie jest tłumaczona na polski. Konwertytem jest też Compton-Mackenzie, którego dwa pryncypalne utwory („Jak Marek Liderdal doszedł do katolicyzmu?“, „Stopnie Ołtarza“), oczywiście także nie są dotychczas tłumaczone na polski. Ponieważ przyswaja się polszczyźnie tyle dzieł Wellsa, Lockea, Curwooda, Galsworthyego, ostatnio Russela, przeto możnaby już zaryzykować także tłumaczenie tych katolickich powieściopisarzy. Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że Hilarego Belloca (również powieściopisarza), tłumaczonego na niemiecki, francuski i włoski język, dotychczas ani jeden tom nie wyszedł po polsku.

Jeszcze zaś z dawnego pokolenia jest jeden pisarz ciekawy, zmarły w r. 1908 autor „Paradoksów Katolicyzmu“, którego powieść *tłumaczona na polski* już dość dawno, dopiero teraz jednak nabiera rzeczywistej aktualności. Jest to „Pan Świata“ Hugh Bensona. Powieść fantastyczna o przewrocie europejskim koło roku 1947 i rewolucji wszechświatowej. Jeszcze wtedy, kiedy Benson powieść pisał, nie była moda na dyktatorów, a Benson daje postać dyktatora Europy, Juljana Felsenburga... Kontynent się laicyzuje, we wszystkich szkołach nauka religji jest zakazaną... Indje odpadają od Anglji... masoni wszędzie obejmują władzę... na Wschodzie Azjatyckim wybucha wojna... Cywilizację ratuje katolicyzm i Rzym.

Tę powieść („Pan Świata“) pisał syn anglikańskiego biskupa, Hugh Benson.

Z dziwnem uczuciem wraca się od świata takiej dosłownej arystokracji intellektualnej zachodnio-europejskiej, od takich autorów jak Mackenzie, Chesterton, Belloc, do tej hołotnej, wulgarnej, śmierdzącej mierzwy agnostycznej, jaką teraz wygarniają masowo przed inteligencję stołeczną nadwiślańskie guanofagi i producenty stęchłej wolnej myśli i apaszoskiego „jakobinizmu“. Gdy się czyta takie staroświeckie, w stylu pana Homais z przed lat 50-ciu ataki i napaści na Chrystjanizm jakichś Ułaszynów, (którzy są pono profesorami uniwersytetu poznańskiego!), a potem bierze pierwszy lepszy tom Chestertona, widzi się jasno, w jakiem euraz-jatyckiem barbarzyństwie tkwią ci, co niby niosą światło narodowi, wyzwalając go z pęt „religjanctwa“ i jaka przepaść całych warstw i formacyj kultury leży między takim profesorem uniwersytetu ze Sarmacji-Sanacji a starym dorożkarzem, który obwozi Chestertonowskiego księdza Browna po... Whitechapel.

W amerykańskich znów tygodnikach z ostatnich czasów taki obrazek:

Otwarcie 72 sesji kongresu na Kapitolu w Waszyngtonie: olbrzymia sala, wszyscy stoją, kongresmani, senatorzy, prasa, publiczność, rząd in corpore. Co znaczy? Oto pastor, James She-

rer Montgomery, odczytuje modlitwy... pastor „kapelan kongresowy".

W każdym więc razie chyba nie muszą być takimi agnostykami yankesi, jeżeli jeszcze każdą nową kadencję parlamentu otwiera pastor. No i nie są. Agnostyczne są New-York (Yew-York) Chicago, Milwaukee, branża prasowa, kinowa, giełdowa Tammany-Hall, Broadway, Wall-Street, stan Newada, Hollywood, policja, przemytnicy, bandyci, yellow-press *upper ten thousend* miljarderów, łudząco, bliźniaczo podobnie żyjących do patrycjatu z czasów... Nerona czy Heliogabala, z... Pompei lub Herculanum. I to jest ta złota skorupa, którą wcześniej czy później muszą tam rozbić doszczętnie i na miał. Kino zdemaskowało bez ceremonji ich obyczajowość bezecną i zeprzałą. Szerokie masy, wśród których dzisiaj jest kilkanaście miljonów bezrobotnych, a z rodzinami 21 miljonów głodujących, już się dowiedziały, jak to schodzi czas i życie tym pasożydom. I prędzej czy później muszą się tam zabrać do zrobienia porządku. Żałować niema co, tyle, że tematu do filmów, *society* - filmów zabraknie. W tych to też wielkich i mniejszych miastach uwiły sobie gniazda te nieprzeliczone sekty, z których niektóre w błazeństwie, humorystyce zeświecczeniu i wyuzdaniu doszły do ostatecznego absurdu, dyskredytując równocześnie *tolerancję anglikańskiego High*-Church, stawszy się ostatnio już tylko kopalnią dla satyryków i karykaturzystów. Doszło i do tego, że są wyznania i zbory, fundowane na to, aby po ceremonji obrzędowej i odśpiewaniu psalmów (sic), można dostać morfinkę i koko. Rozluźnienie sektanckie przeszło już dawno ostateczne granice śmieszności, skoro istnieje tam i to duża, gmina, mająca swoją świątynię- teatr, na której czele stoi starzejące się kokocisko, wygłaszające kazania o nadchodzącym „Sądzie Ostatecznym", a potem tańczące z bosonóżkami przed *sui generis* ołtarzem (Los Angeles). Massonizm w Ameryce Południowej przegryzł protestantyzm od wewnątrz i pięknie się przyczynił do olbrzymiego wzrostu katolicyzmu, który jedyny jeszcze może uratować Stany Zjednoczone przed katastrofą socjalną, o ile duchowieństwo katolickie tamże przeciwstawi się z największą dynamiką *moral insanity* i hedonizmowi miljonerskiej hałastry.

Tezę tę postawił świeżo Japończyk, tak Japończyk, szef biura społecznego w Tokjo, dr. Toyohiko Kagawa, którego wywody śmiałe przeszły przez prasę amerykańską. Świeżo przez katolicyzm pozyskany socjolog japoński, „zaryzykował" hipotezę, że kryzys wszechświatowy może zwalczyć tylko... Chrystus, z powrotem wprowadzony w moralność rasy białej,... Chrystus i... święty Franciszek..., że przemysł i handel trzeba... ochrzcić..., że same maszyny nie wystarczą, że trzeba do nich dodawać... modlitwę..., jednem słowem starą wiarę ludzkości przywrócić. Inaczej wszystko djabli wezmą i nie zostanie kamień na kamieniu z tej cywilizacji, którą Europejczycy obdarzyli i Nippon... Dr. Toyohiko Kagawa, rzymski katolik.

Podczas, gdy anglikański kościół rozlewający się i rozwodniony w przelicznych, coraz to dziwaczniejszych sektach, przeżarty trądem masońskim więdnieje i marnieje, opuchłej z dobrobytu burżuazji pozwala z miesiąca na miesiąc staczać się ku czerwonej otchłani, gdzie na nią też oczekuje... stal wyostrzona (Betlehem, Gary, prezydent Charles G. Schwob), Kościół katolicki w Stanach wzmacnia się i rośnie i zyskuje coraz więcej i coraz gorętszych i ważniejszych zwolenników. Chicago ma dzisiaj więcej katolików, niż Rzym. W Stanach Zjednoczonych rezyduje 16-tu arcybiskupów i 104 biskupów! Można Ojców Jezuitów lubić lub nie lubić, ale ciekawe jest bądź co bądź, że w Stanach Zjednoczonych jest największa ilość braci Loyoli, bo: 4.231, podczas gdy w Anglji 3.639, w Niemczech 3.069, we Francji 2.953, w Italji 1.897, w Polsce kilkuset zaledwie, nad czem podobno biadają Tartuffy ze Sanacji i zakon Braci Radziwiłłów.

Ale nie Ojcowie Jezuici są oczywiście tym kitem, który spaja rozrzucone na olbrzymim terenie Stanów organizacje katolickie, ale w dużej mierze wspaniale się rozwijające, mocno spięte i związane cywilne bractwo: „Rycerzy Kolumba".

Co do tego samego Kolumba, to w ostatnich czasach odkrywca Ameryki musiał ulec modnemu procesowi „odbronzowienia". Podczas, gdy pewne postacie dziejowe, ciemne i ujemne, doczekały się rehabilitacji właśnie teraz, jak: Judasz, Messalina, Marat (P. Meric) Szekspirowski Szajlok (Pierre Hump), nasz August Mocny (hr. Berzeviczy) i t. p., to pewnego gatunku pióra zajęły się odbronzowywaniem postaci dotychczas uchodzących za jasne i dodatnie, a w Ameryce spotkało to kolejno Waszyngtona, Lincolna, no i Kolumba. Podobnie jak w Niemczech powieściopisarz Wassermann tak znów w Stanach srogi mason, Hurbert A. Müller, b. proefsor socjologji na uniwersytecie w Ohio, zajął się grubem wyczernieniem postaci Kolumba, starając się udowodnić, że to był zwykły sobie korsarz, geszefciarz, rabuś, łupiezca, lichwiarz, kłamca, a kto wie nawet czy nie żydowskiego pochodzenia. Za to „odbronzowienie" usunięto go z uniwersytetu w Ohio. Atak na Kolumba z entuzjazmem przyjęty przez prasę masońsko-semicką był w gruncie rzeczy atakiem na... „Rycerzy Kolumba" i potężniejący ruch katolicki w Stanach na benefis żywiołów antychrześcijańskich. Odparto go łatwo i bez dłuższych afer, ale o beatyfikacji Kolumba, na którą się zanosiło kilkanaście lat temu, oddawna już mowy niema, głównie z powodu różnorodnych dokumentów historycznych, związanych z odkryciem Ameryki i ze stosunkami ro-

dzinnymi genjalnego podróżnika. Ta okoliczność wszakże, że Don Christophoro był katolikiem i to żarliwym katolikiem i protegowanym królowej (która exmitowała Semitów z Hiszpanji) czyni go z jednej strony objektem nienawiści pewnych grup społecznych w Stanach, a symbolem i godłem innych. Stąd też i nazwa „Rycerzy Kolumba".

Asocjacja ta została stworzoną jako przeciwwaga innych organizacyj amerykańskich, takich jak: „*Pilgrims*", t. j. potomkowie tych rodzin purytańskich, które uciekając przed prześladowaniem w Anglji na statku „Mayflower" przybyli do Ameryki, lub jak mających na celu tępienie „papistów", żydów i *coloured*, t. j. głównie murzynów, K. K. K. To ostatnie bractwo przez swoje napaści, mordy, demolowanie lokali, praktyki Lyncha *teerems and feederns* (smarowanie smołą, a potem tarzanie w pierzu) i różne skandale podobne w charakterze do naszych niedawnych... wyczynów tak się zdyskredytowało w opinji publicznej, że obecnie jest już w kompletnym zaniku i agonji. Kościół katolicki i jego wyznawcy tracą w Ku-Klux-Klaniarzach wroga, zresztą niezbyt niebezpiecznego, bo ośmieszonego i zdyskredytowanego. Pozostaje na placu boju jeszcze masonerja i związane z nią rasy i klasy społeczne.

Jak ustosunkowała się obecnie opinja publiczna do dawniej tak postponowanego i zwalczanego katolicyzmu, to najlepiej ilustrują takie fakty realne, jak przedewszystkiem możliwość kandydowania na prezydenta katolika Al. Smitha, ex-gubernatora Stanu New -York i olbrzymia ilość votes za jego pretendowaniem, co jeszcze dziesięć lat temu byłoby czystą fantastyką. Drugi fakt to „Godzina Katolicka" w radjo, to znaczy oddanie jednej godziny nadawczej przez 26-tą stację „National-Broodcasting-Company" na prelekcje, rekolekcje, konferencje i kazania katolickie. Trzecim faktem to założenie w samym Nowym Jorku: „*Liturgical-Art-Society*", poważnej instytucji artystycznej, czuwającej nad zabytkami i pamiątkami w Stanach. Ostatnio zaś zasługuje na uwagę wygranie procesu wytoczonego przez „Rycerzy Kolumba" pastorowi Batemanowi, który ogłosił i kolportował falsyfikat formuły przysięgi wstępujących do „Rycerzy Kolumba". Pastora anglikańskiego sąd anglikański skazał ciężko na 3 lata więzienia i tysiąc dolarów grzywny.

Prestiż i autorytet katolicyzmu w Stanach wzrastają — równomiernie z katastrofalnym wprost spadkiem preponderancji i supremacji t. zw. Shylokracji w Stanach. O tej potędze wogóle pojęcia, szczególnie u nas starannie i dowcipnie sugerowane przez pewną prasę, bywały zbyt wygórowane. Wielki, t. j. największy kapitał nie był wogóle nigdy w ich rękach (G. Meyers: „*Geschichte der grossen Vermögen in U. S. A.*). Wielki przemysł, górnictwo, kopalnictwo, wielki handel, nie były nigdy w ich rękach. Bogactwo amerykańskie stworzyli rdzenni Arjowie: Rocquefellery, Vanderbildty, Vanderlippy, Mac-Cormicki, Pullmany, Schwaby, Underwood, Baldwin, Gary, Remington, Astory, Fordy, Mellony i t. p. Nawet na giełdzie nowojorskiej w t. zw. *Stock-Exchange* w roku 1931 na 1.100 stuprocentowych członków przypada 276! Wielką rolę grają, t. j. grali tylko w bankowości: Guggenheimy, Schrejbery, Speyer, Marschall, Rosenberg, Goldman, „Kuhn Loeb i Loevenstein", Wahrburgi, Schiffy, Barychy, Schroeder, Hirsche, Rosenwaldy, Kahny, Daschewscy, etc. etc. Ta cała potęga teraz ulega raptownej likwidacji. Mówił o tem szef syjonistów angielskich w Londynie:

„W Ameryce, w drugim pod względem wielkości ośrodku żydowskim na świecie, obecny kryzys gospodarczy podwójnie dotknął żydów, ponieważ pod względem gospodarczym żydzi amerykańscy nigdy nie byli związani z podstawami produkcji — ani z rolą, ani z ciężkim przemysłem. Ich domeną zawsze była „ziemia niczyja" na przestrzeni między głównemi gałęziami produkcji. Majątek żydowski w Ameryce był wobec tego zawsze płynny, nieustabilizowany i po pierwszym wstrząsie narażony był na wielkie straty. Banki żydowskie pierwsze zaczęły pękać. Uległy ruinie liczne żydowskie instytucje, które szybko zostały rozbudowane w okresie „bogaćmy się jaknajrychlej".

Dystrybucja pożyczek dla państw europejskich, nie leżała też nigdy całkowicie w rękach Shylokracji, jak to sobie wyobrażali nasi zaimprowizowani finansiści z I-ej i IV-ej brygady. Obecnie wpływy ich zmalały do minimum, a walka z resztką tej potęgi zawrzała i w kongresie na całej linji (Reed, Mac-Fadden); zresztą i w tym kongresie zasiada ich tylko sześciu (Perelman, Kahn, Jacobstein, Secler, Schabbatt, Dickstein). Wbrew utartej legendzie z koncernów prasowych wielkich mają już tylko jeden jedyny, t. j. „New-York-Times". Skończyły się czasy kiedy się pisało: *America begingg the safest homeland for the Jews!* natomiast napisy: *Christians Only!* figurują już nie tylko na uniwersytecie Harwarda. Nadal w ich rękach są tylko kino, music-halle, frywolne teatrzyki, nocne lokale, reporterja, prasa żółta i t. p.

Masonerja jest jeszcze wielką potęgą nadal i liczy przeszło 3 i pół miljona zapisanych członków (Rotary—Cluby 1 i pół miljona). Ale ta masonerja jest całkiem pono odmienna od tego, co w Europie pod tem się rozumie.

W noworocznym numerze „Czasu" zdawał z tego sprawę w liście z Ameryki dr. Julius Harbutt („W templach i lożach masonerji). Pisze on tam wyraźnie, odpowiedzialnie i chyba nie podstępnie:

„Podczas gdy rzekomym warunkiem przynależności do europejskiej loży jest agnostycyzm, przeciwnie warunkiem przynależności do loży amerykańskiej jest gnostycyzm, wiara w Boga i objawienie“.

Równocześnie atoli opisuje p. Harbutt swoją wizytę w wspaniałej świątyni — pałacu masonów, w templu w Nowym Jorku i główną salę, gdzie się odbywają najważniejsze uroczystości, obrzędy i ceremonje...:

„Oczy moje uderzył widok wokół ścian rozstawionych bogatych foteli, pod główną zaś ścianą wysoki, istny tron dla Wielkiego Mistrza, vis à vis zaś a więc z przeciwnej strony, organy. A więc obecność tego instrumentu pozwala mi domyślać się, że jest to istotna część templu, główna nawa. Wszak zresztą upewnia mnie w tem na środku sali ustawiony rodzaj kamiennego sześcianu w kształcie ołtarzy Starego Testamentu, przeznaczonych na całopalenie ofiar. A jeszcze więcej i tem silniej upewnia mnie w tem wszystkiem napis dokoła kamiennego sześcianu-ołtarza, o dziwo, w słowach i alfabecie hebrajskim, cytata słów Salomona: „Bóg powiedział. Niech się stanie światło i stało się światło“.

Wy w Europie podobno twierdzicie — oświadcza mój przewodniczący, że masonerja została założoną dopiero przed stukilkudziesięciu laty, a chociaż są i tacy, którzy twierdzą, że jej założycielem jest Hiram, król Tyru. Nie, pierwszym jej założycielem i pierwszym masonem świata jest Salomon, a oto jego na ołtarzu słowo i motto na potwierdzenie tego, co rzekłem“.

Teraz tedy już „jesteśmy w domu“ i widzimy, co było jądrem doktryny masońskiej. Hebrajska cytata nad ołtarzem w kształcie ołtarzy ze Starego Testamentu.

Możemy sobie jeszcze ten obraz uzupełnić. Leży przed nami książka znanego pisarza niemieckiego, Artura Holitschera: „Wiedersehen mit Amerika“, r. 1930.

W książce tej na str. 130-tej zdaje relację Holitscher z rozmowy swojej z rabinem Kukiem w Jerozolimie w r. 1920 przeprowadzonej. Rabbi Kuk opowiadał o wielkich planach... w niedalekiej przyszłości...: w Nowym Jorku ma powstać przeciwwaga Rzymu... jeżeli wszystko dobrze pójdzie... prosperity... finansjera dopomoże... obok dwóch synagog na Fifth Avenue olbrzymia nowa... I obwołanie arcykapłaństwa... „nowy Watykan“... Shylokracja dopomoże.. masonerja pójdzie na rękę... „Antipapież“...

Spóźnili się. Przerachowali. Prosperity już przeszła. Dwa tysiące osiemset banków leży. Masonic-Temple-Palast opustoszały.

Na czele rzesz bezrobotnych w Waszyngtonie, maszerujących pod Kapitol, szedł sobie skromny ksiądz katolicki, James R. Cox z Pittsburga.

„Rycerze Kolumba“ stają po stronie biednych i wydziedziczonych. Przeciw Shylokracji. Są nietylko katolikami wiernymi, ale i chrześcijanami.

DANCZOWSKI.

Mury wszelkich obojętności, od niepamiętnych czasów, bo od Jerychońskich, padały łatwo pod naporem surm, trombit i zwykłych trąb reklamy. Nie należy tylko omijać żadnej przydarzonej okoliczności, znaczy się inaczej: reklama musi być bezwzględna, napastnicza, systematyczna, chroniczna, byle nie zachrypnięta. Wszystkie narody powinny brać przykład od jednego i co tylko mają do wychwalania, wyciągać na wierzch i przechwalać, nie zaś chować pod korcem („cudze chwalicie swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie“). Od tego są megafony, żeby w nie głos zdzierać co się zmieści. Gdzie jaki rodak coś gdzieś, to zaraz fortissime. Przykład idzie zgóry, zdołu i zboku.

Odziedziczy jakiś „obywatel“ wmieszkany (Grecy nazywali takich: *metoykoi*), to zaraz do gazet idzie wieść radosna; odziedziczył 170 dolarów, to można podać i się podaje 1.700.000... do 2-ch miljonów. Ponieważ to efektowne wrażenie robi na autochtonach, więc przez wszystkie kurjerki przechodzi notatka: „Izydor Kohn po wuju w Ameryce w spadku ma niebawem otrzymać dwa miljony 700.000 dolarów“. Co rok taki wąż morski. I co rok dowiaduje się, że ledwie 170 dolarów i to z wielkiemi przeszkodami. Ale swoje dobre wrażenie to zrobiło i wszyscy powtarzają: jaka to potęga! jaka to potęga! taki sobie Kohn ze Sosnowca i ni stąd ni zowąd 3.700.000 dolarów! Takich wujów oni mają w Ameryce! Każdy! Jak nie każdy, to co drugi.

Jackie Coogan, Joel Joelson, Breitbart siłacz, Lasker szachista, Lasky wiolonczelista, Cogan reżyser, Rita Cohen tancerka, Freud psychoanaliza, Chaplin gwiazda, Kahane kapelmistrz, Cohan reporter i t. p. i t. d. wszystko to wszechświatowe sławy od pierwszego wejrzenia, od kolebki do mogiły, bez różnicy płci, klimatu i stopnia geograficznego, a wszystko z powodu: jerychońska propaganda, jerychońskie trąby i megafony: „Manchester Guardian“, „New York Times“, „Neue Freie Presse“, „Petit Parisien“, „Pester Lloyd“, „I. K. C.“ i wiele, wiele innych.

W nawiasie (wycinek z „Kurjera“ w Milwaukee):

„15 miljonów żydów na całym świecie ma prawie 12 razy więcej gazet i pism, aniżeli 350 miljonów katolików na całym świecie. W samej Polsce mają żydzi 188 gazet“.

Wobec czego, co kiedy napisał A. Londres, czy teraz napisze Geo London, to oprócz Londynu czytać musi cały glob. A Irena Niemirowska jest „znakomitą“ powieściopisarką „francuską“ (sic!), „królem reporterów“ jest E. E. Kisch, a królem skrzypków Chaifec, a „skrzypkiem królów“ także Chaifec, a najlepszą rakietą świata... Suzanna Chaifec, nie mówiąc już o słynnym noweliście Saszy Chaifecu (Monte-Video).

Dużo lekarzy przenosi się z Europy lub jedzie sobie na rok do Chin, zaangażowanych przez któryś z dziesięciu rządów generalskich, dla sanacji tamtejszych szpitali wojskowych. Jak jedzie atoli dr. Glücksman lub dr. Rajchman, to z Genewy do jego stolicy idą długie depesze: „dr. Glücksman, znany powszechnie higjenista przeciw handlowi opjum, został główny doradcą (sic!) rządu chińskiego“. Równocześnie na światowym kongresie prawników w Palermo dr. Rapaport, reprezentant rządu polskiego, wygłosił odczyt, który zyskał sobie „olbrzymie uznanie“.

Doradcą Roosevelta jest p. Baruch, doradczynią królowej holenderskiej pani Baruchowa (Kohnby się uśmiał).

A jak wielkich reporterów, tak i wielkich reżyserów dostarczają światu i stolicom tylko jedni i ci sami. W Prusach było ich 11 proc. wśród kierowników teatrów, w Berlinie 14 proc.; teraz mniej,... wcale...

Ktoby atoli mógł przypuszczać, że i tę całą osławioną nieudałą Konferencję Gospodarczą w Londynie przez *His Majesty*, otwieraną, reżyserował także jeden z takich? Właśnie wtedy, kiedy prof. Max Goldman („Reinhard“) dostawał w Oxfordzie doktorat *honoris causa*, inny jego krajan reżyserował skompromitowaną Konferencję Gospodarczą.

Dnia 14 czerwca korespondent „Naszego Przeglądu“ pisał w artykule „Megafony w ruchu“:

„Mówiąc o kulisach konferencyj międzynarodowych, ma się zwykle na myśli tajne układy, małe i wielkie intrygi, rzeczywiste ale starannie ukrywane pobudki osób działających na wielkiej scenie publicznej, jednem słowem wszystko to, o czem szersza publiczność dowiaduje się tylko rzadko i zawsze niekompletnie. Są jednak jeszcze inne, czysto materjalne kulisy — właśnie takie, jak w teatrach — urządzenia techniczne, budynki, ławki, stoły, telefony, biura, znaki papierowe i świetlne itd. itd. Konferencje międzynarodowe mają bowiem swoją stronę teatralną, a można nawet powiedzieć, że ich przeważająca większość po wojnie była tylko teatrem. Grana w tym teatrze sztuka jest zawsze tąsamą, jej autorem był twórca Paktu Ligi Narodów, Woodrow Wilson, aktorami natomiast rządy poszczególnych państw, dyplomaci i politycy. Ale kto jest reżyserem? Otóż to właśnie: reżyserem jest obecnie Mr. Hersley. Mr. Hersley zajmuje się wielkiemi zagadnieniami polityki, ekonomji lub prawa międzynarodowego tylko prywatnie, gdyż jest człowiekiem wykształconym. Ale jego główną, urzędową troską jest instalacja konferencyj międzynarodowych, ich uposażenie w ostatnie zdobycze techniki i nadzór nad właściwem funkcjonowaniem wszystkich tych urządzeń ku największej wygodzie delegatów , prasy i publiczności. Jest on od dwóch lat urzędnikiem Ligi Narodów i jego pełny tytuł brzmi: szef służby wewnętrznej“.

Popisać to się tam nie popisał mr. Hersley. Konferencja okazała się najbardziej nieudałym spektaklem ze wszystkich konferencyj. Mussolini nazwał ją ostatnią. Japoński delegat spał. Inni przez 14 dni ziewali tylko. Ci, co się odznaczyli wielką aktywnością „dyplomatyczną“, t. j. Litwinow (Meyer Wallach) oraz również tego samego typu fizycznego poseł sowiecki Majski, który wedle Pata z „nieukrywaną satysfakcją twierdził, że rezultaty konferencji równają się zeru“, a konferencja świata kapitalistycznego „kończy się bezładną ucieczką“.

Kto zaś był reżyserem tej kompromitującej kapitalizm klapy, to dodaje jeszcze „Nasz Przegląd“ (17 czerwca):

„Moglibyśmy jeszcze dużo opowiadać o wyczynach Mr. Hersley'a, tego Reinhardta konferencyj międzynarodowych, ale nie pozwala nam na to brak miejsca. Dodamy nakoniec tylko małą wzmiankę o jego personaljach: Mr. Hersley nie jest — jakby to sądzić po jego nazwisku i świetnej angielszczyźnie — Anglikiem, ale Austrjakiem, a jeszcze właściwiej — polskim żydem. Ktoś niedyskretnie powiedział niedawno, że mr. Hersley urodził się w Rzeszowie. Ale niech to pozostanie między nami. Faktem jest że mr. Hersley mówi jeszcze doskonale po polsku“.

W każdym więc razie już jednak wiemy szczęśliwie, kto jest mr. Hersley, i gdzie się urodził... Megafony w ruchy. Każda Trąba Jerychońska obowiązek swój (i posłannictwo na globie) spełnia *(I must do my duty)*.

A czy wiemy, kto jest Danczowski? A czy wiemy, kto jest Ćwiklińska, ale nie ta nasza znakomita artystka, ale Genia Gracja Ćwiklińska z Milwaukee?

Oczywiście nie wiemy nic, ani o Danczowskim, ani o Ćwiklińskiej, bo nam o tem żadne cheifece ani z Pata, ani z Żata na trąbach reklamy nie roztrąbiły.

„Weźmyż do ręki“ stary numer dziennika z Cincinnati (Ohio) „*The Daily Times Star*“ i pierwszy lepszy amerykański dziennik. W pierwszym wydrukowane (pod fotografją):

„Oto jedyny szachista w Cincinnati, który odniósł zwycięstwo nad Edwardem Laskerem i dr. Emanuelem Laskerem, od lat trzydziestu uchodzącym za „króla szachistów“. Jest nim Dezyderjusz Danczowski, znakomity muzyk, profesor w naszem Konserwatorjum i pierwszy wiolonczelista w naszej orkiestrze symfonicznej... Danczowski zawdzięcza umiejętność gry w szachy wojnie światowej, a mianowicie odkąd Rosjanie wywieźli go ze Lwowa do Rosij, jako jeńca. Przedtem szachami wogóle się nie zajmował. „Byłem jeńcem i po raz pierwszy w życiu miałem dużo wolnego czasu — mówił Danczowski do sprawozdawcy dziennika. — Z nudów więc zacząłem grać w szachy. Nauczyłem się sam i zapaliłem się do szachów do tego stopnia, że przesiedziałem nad niemi wiele nocy. Odtąd miałem dwa zajęcia czasu niewoli: dawałem koncerty i grałem w szachy. W szachy grywam najchętniej w nocy, sam lub z przyjaciółmi; do zawodów publicznych wystąpiłem obecnie po raz pierwszy, i to więcej przypadkowo, uległszy namowie przyjaciół...“.

A potem dalej *per longum et latum,* że Danczowski szachista amator, z profesji muzyk, wiolonczelista, lwowianin grał z dwoma Laskerami kolejno, tym z Chicago i tym z Berlina, w jednym matchu wygrał contra 27, a w drugim Emanuel pobił 43 największych szachistów świata, a Emanuela pobił Danczowski Dezydery“...

Wiedział kto w Polsce o tem? Nikt. A gdyby był przypadkowo z pochodzenia chajfecem, ktoby wtedy wiedział o Danczowskim? Odpowiedź: wszyscy! cały świat.

Tożsamo z Ćwiklińską, Genią Gracją Ćwiklińską. Wie kto o niej w Polsce? O niej i Roosevelcie? Nikt A tymczasem w żurnalach amerykańskich (pod fotografją) stało:

„Prawdopodobnie najdumniejszą dziewczyną w Milwaukee jest dziś mała Genia Gracja Ćwiklińska, 3-letnia córeczka pp. H. Ćwiklińskich, zam. pn. 2914 N. Cambridge ave., ponieważ otrzymała ona w prezencie od Roosevelt'a jego fotografję, własnoręcznie autografowaną.

Mała Genia wystąpiła w paradzie lalek w dniu 4 lipca w Lake parku„ z miniaturowym rydwanem, przedstawiającym nowy porządek rzeczy, czyli „New Deol“, z dużym portretem prezydenta Roosevelt'a. — Rydwanik ten tak się spodobał publiczności, że sędziowie kontestu jednogłośnie przyznali Geni pierwszą nagrodę. Wycinek z gazety z fotografją owego rydwaniku posłano do Białego Domu, skąd w tych dniach nadeszła fotografja jako prezent i pamiątka dla małej Geni od prezydenta kraju“.

Może to tam i (jak to w Warszawie mówią) „bagatel“ z tym Dezyderym i z tą Gracją Genią. Ale w każdym razie „cóś“ (jak mówią u Lwowi). Chajfece zrobiłyby z tego jerychońską reklamę.

Cały globus znałby na pamięć oba nazwiska. Byłby (jak to mówią w Polsce) gewałt i harmider, jak nieprzymierzając z Gordonką, względnie z Chaplinem.

Grunt to reklama. Także reżyserja. I się nie przejmować. I mieć własne trąby jerychońskie.

WYŻAŃSKI.

Musimy jednak i my upomnieć się o swojego, pochlubić się swoim i przeciwstawić swojego.

A jest rzecz mianowicie taka. Mówi się teraz i pisze wcale dużo o t. zw. „Truście mózgów“ (Brains-Trust) prezydenta Roosevelta. Jest to rodzaj nadrządu czy gabinetu, tajnego gabinetu, laboratorjum intelektualnego, które wypracowuje i dostarcza prezydentowi-dyktatorowi szkice, programy, idee, pomysły, mające w celu końcowym wyciągnąć w górę wóz, który już zaczął gwałtownie zjeżdżać w dół. Skład tego trustu mózgów jest raczej zmienny niż stały. Niema w nim już colonela House'a, który był w pierwszych miesiącach, a jest nadal i stale Mc. Henry Hove, sekretarz osobisty. W prasie amerykańskiej kursują właściwie dwie listy członków „Trustu Mózgów“ nieco odmienne.

Według pierwszej listy (zdaje się autentyczniejszej) tego Tajnego gabinetu, którego członkowie od wczesnego ranka składają swe raporty i wnioski, należą przedewszystkiem: brat cioteczny prezydenta dr. Warren Robbins, dyplomata, b. szef gabinetu, zwany „oczy i uszy Roosevelta“, obecnie jako delegat w Londynie. Również w Londynie na konferencji przebywał prof. Moley. Dalej idą: generał Hugh S. Johnson, dyktator przemysłowy, Lewis Douglas, dyktator oszczędnościowy, Mac Intyre, Mac Henry Hove, Stephen Early, prof. Tugwell, Eastman (Kodaki i wreszcie miss Perkins z rządu oficjalnego, szef departamentu pracy.

W drugiej liście, skomponowanej raczej na export ad usum Europy, a specjalnie dla Niemiec (aby się opamiętały) figurują obok kilku z pierwszej listy, jak: Hovego, Earlyego, Mac Intyre, Eastmana, Moleya i Douglasa, jeszcze prof. T. Frankfurter, James Wahrburg (delegat do Londynu) oraz znany i u nas Bernard M. Baruch. Ta lista lansowana jest do prasy europejskiej pewnego specyficznego typu, a do tej listy możnaby równie swobodnie dołączyć jeszcze dwuch doradców w sprawach agrarnych, t. j. Henryka Morgenthaua (junior) i Mordechaj Ezechiela, adwokata Samuela Untermayera, doradcę w sprawie walki ze spekulacją i drugiego Untermeyera, profesora ekonomji, którzy też od czasu do czasu bywają wzywani do Białego Domu, o czem Europa musi zaraz czytać sążniste telegramy.

Najwięcej stosunkowo hałasu wyczynia się jednak z Bernardem M. Baruchem, t. j. tym samym potentatem finansowym, który w 1932 roku był w Polsce z wdową po prezydencie Wilsonie na odsłonięciu pomnika tegoż w Poznaniu, a 1933 roku w lutym dość niespodziewanie zadeklarował się za odebraniem Polsce Pomorza i morza. Aczkolwiek więc B. M. Baruch nie należy do grupy najbliższych doradców (inflacjonistów) Prezydenta, a tylko zabiera głos w ważnych sprawach gospodarczych i finansowych, aparat reklamowy w stronę Berlina i innych stolic biednej Europy raz po raz wyznacza mu niesłychanie ważne posłannictwa i wyolbrzymia nadmiernie jego rolę. Ta rola dla Europy jest nie to niechętna, a wprost złowroga, wychodzi z zasady najskrajniejszego egoizmu amerykańskiego i apeluje do najskrajniejszego samolubstwa yankesowskiego.

Informował o niej nasz Pat:

„Paryż, PAT. — Według doniesień z Waszyngtonu, sen. Baruch opracowuje memorjał uzasadniający główne linje polityki ekonomicznej Stanów Zjednoczonych. Memorjał ten ma być przesłany delegacji amerykańskiej w Londynie i prawdopodobnie podany będzie do ogólnej wiadomości na konferencji. Zasadniczą tezą memorjału będzie wykazanie, iż kryzys zwalczany być może tylko indywidualnie, wewnętrznemi środkami poszczególnych państw. — Z poglądu tego wynika, iż Stany Zjednoczone zrywają ostatecznie z ideą współpracy międzynarodowej w dziedzinie ekonomicznej i zwekslowały na nacjonalistyczny punkt widzenia w tej sprawie".

Bernard M. Baruch bronił i broni zasady, że skoro Europa zaciągnęła długi, to ma płacić, a jeżeli już Ameryka ma się częściowo wyrzec swych wierzytelności, to tylko wzamian za olbrzymie koncesje i rekompensaty. Musi wyciąć z siebie choćby kawał żywego mięsa, tak jak tego domaga się w Szekspirowskim „Kupcu Weneckim" naczelna postać, Shylock. Część prasy amerykańskiej (żółta) oczywiście w takim szowiniźmie kieszeniowym mocno gustuje i to popiera, a B. M. Baruch w opinji rośnie nie do tego stopnia jednakże, ażeby, — jak to pisze „Express Poranny", był już „przyszłym mężem opatrznościowym", ażeby był „bohaterem wszystkich rozmów" lub „tronował na czele Trustu Mózgów". Kolosalnie myli się „Kurjerek Czerwony", pisząc:

„Zagarnął wszystkie arkana ministerstwa spraw zagranicznych; cała korespondencja, dotycząca konferencji londyńskiej przechodzi przez jego ręce. Minister bez portfelu będzie w ciągu najbliższych tygodni stanowić o wszystkiem, co ma związek z długami wojennemi i gospodarką międzynarodową".

Również całkiem nic a nic niema prawdy w tem, co pisze nacjonalistyczno-syjonistyczny tygodnik „Opinja":

„M. Baruch, bankier żydowski, najbliższy współpracownik i doradca Roosevelta uchodzi powszechnie za czynnik decydujący w obecnym rządzie amerykańskim".

To zaś, że jakiś nowojorski brukowiec („World-Telegrame"?) zamieścił artykuł p. t.: „Prezydent Baruch", lub że do Waszyngtonu do „Białego Domu" przyszło „pismo zaadresowane do „nieoficjalnego" prezydenta Stanów Zjednoczonych Bernarda Barucha", to są dowcipki (szmoncesy), które Bernardowi M. Baruchowi w jego karjerze raczej zaszkodzą, niż pomogą. Następcą Cordell Hulla „lada chwila" stanowczo nigdy nie będzie. To są metody reklamowe, „niedźwiedzie", mocno przypominające swą ordynarną niezgrabnością właśnie ten Berlin, dla którego olśnienia i upokorzenia takie bujdy się fabrykuje.

Przy tej okazji atoli nie można tu nie zwócić uwagi na pewnego Polaka, który gra sobie skromną rolę właśnie w... „Truście Mózgów". Jest nim Charles E. Wyżański, doradca prawny departamentu pracy i „prawa ręka" ministra miss Perkins. Wyżański skończył Harvarda prawo i ekonomję polityczną. Departament pracy to dziś bardzo ważna ekspozytura rządowa, gdyż kontroluje ewentualne odrodzenie industrji amerykańskiej, on proponuje i daje nowe podstawy warunków pracy i bytu mas robotniczych. Przy planowanej „dwulatce" odbudowy przemysłowej najważniejszą rzeczą jest zwiększenie siły nabywczej świata pracy. Zwiększenie zbytu wzmożonej produkcji przemysłowej możliwe jest tylko przy wzroście równomiernym zarobków. W tym kierunku działał departament pracy. Cały szereg wielkich przemysłów (stal, tkactwo, obuwie) musiał zawrzeć prowizoryczne układy, mocą których podwyższenie zarobków nastąpiło w skali od 10 do 15 proc. przy 35 — 40 godzinach pracy tygodniowej. Rezultaty tych reform już okazały się takie, że „minister" pracy, mrs. Perkins mogła z dużą moralną satysfakcją w raporcie swym skonstatować: w czerwcu pół miljona bezrobotnych znalazło już pracę. W tym kierunku musi poprawa iść dalej. To podwyższenie zarobków muszą z czasem przyjąć wszystkie gałęzie przemysłu. Od tego zależy ratunek Ameryki.

Jeżeli z opracowanych reform departamentu pracy już są pewne pozytywne rezultaty, to pewna część zasługi przypada też „prawej ręce" mrs. Perkins... Charles Wyżańskiemu. Nie jest on zaraz „mężem opatrznościowym", nie „tronuje na czele trustu mózgów", ale swoje zrobił i przydał się. Można być pewnym, że z szacunkiem mówią tam o nim i Mac Intyre i Mac Hove i Lewis Douglas i dr. Warren Robbins i generał Hugs S. Johnson i sam Prezydent. Czytającym raz po raz o Baruchu godzi się dowiedzieć coś raz i o... Wyżańskim.

UŁANI! UŁANI!

W kinie Stylowym szedł sobie film, oczywiście amerykański. I znów, nawiasem mówiąc, tych amerykańskich filmów sprowadza się u nas jednak za dużo. W porównaniu z innymi krajami europejskimi wprost horendalnie za dużo.

Weźmy pod uwagę tylko rok 1932. W tym roku Niemcy wpuściły amerykańskich obrazów 132. Francja wpuściła 105. Wielka Brytanja razem z dominjami 20 (dwadzieścia), to jest tyle, co Czechosłowacja (20). Ile zaś Polska? W statystycznym wykazie figuruje 1.080 (tysiąc osiemdziesiąt), ale może to jest omyłka druku? może tylko 180? Jeżeliby jednak było 180, to już więcej od olbrzymiej W. Brytanji, od bogatej Francji, od 64-miljonowej Rzeszy niemieckiej!

Sowiety amerykańskich filmów nie wpuszczają wcale. Jeżeli zaś wpuszczamy więcej od Niemiec, Francji, Anglji, no to jak przy takiem przeładowaniu rynku kinowego amerykańskiemi *pictures* może być mowa o jakimś rozroście i postępie produkcji krajowej? Jak przy takiej amerykanizacji gustów i upodobań w publice można marzyć o spotężnieniu finansowem przedsiębiorstw swojskich?

Mniejsza z tem. Niech się tam martwią specjaliści. Może oni wynajdą sposoby wyemancypowania się z pod jarzma Foxa, Goldwyna, Meyera i t. p. Dość, że w Stylowym idzie film amerykański o ostatniej carowej.

Jak wygląda carska Rossija w interpretacji amerykańskiej, — rzecz wiadoma. Śnieg wali tak bez przerwy, że zasypuje największe samowary, a dzwonki od sanek brzęczą ustawicznie naprzemian z dzwonami z cerkwi, przyczem brody mużyków sięgają przeważnie do pasa, a tylko dwór carski prezentuje się wprost przewspaniale.

Oczywiście i w tym ostatnim filmie rozpustinowskim byków historycznych, obyczajowych, etnograficznych, kostjumologicznych i wogóle logicznych moc wielka, aż się i uśmiać można. Natomiast reżyserja first class i non plus ultra, pełna świężych pomysłów i tricków malarsko-światłocieniowych najwyższej rangi.

Reżyserował Polak. Były aktor Teatru Stanisławowskiego, były oficer armji rosyjskiej, potem krótki czas przebywał w ojczystym kraju, ale jakoś tu nie mógł się wżyć w te stosunki filmowe; jemu zaczęli dokuczać, on zaczął dokuczać, to i owo poreżyserował, grał też w „Teatrze Polskim", wreszcie „nieprzywykłszy" ze swoją szeroką naturą na wąskim terenie, strzepnął kurz z sandałów i wyniósł się do Ameryki. Wszyscy mu wróżyli, że przepadnie, że tam niczego nie dopnie, że mu się nie uda, że zanadto Polak i t. p. Dużo jest takich co Polakom odbierają (krzycząc pesymistycznie) wszelki „elan vital" i rozpęd dynamiczny, że niby tylko pewien gatunek może się odchować i wyrobić zagranicą i za Oceanem, ale że taki, co nazwisko na *ski*, to ani rusz, no a już jeżeli nazwisko ma cztery zgłoski: Bo - le - sław - ski, no to wprost niemożliwe.

Tymczasem wprost przeciwnie. Bolesławskiemu się udało, jak udało się genjalnemu Czermańskiemu. Choć inni na ten temat opowiadają nam o sobie całe poematy feljetonowe i zablagowywują się wprost obcesjonalnie, olśniewając I. P. S. i M. S. Z. i platynowe „krowienty" (vedetty) z kawiarni, to w rzeczywistej rzeczywistości z tych, co na *ski*, znany uznany i ceniony dziś w Hollywoodzie jest tylko Bolesławski. Ale nietylko w Hollywoodzie.

Co się bowiem okazuje? Bolesławski napisał powieść: „The Way of the Lancers", przy współpracy językowej pani Heleny Woodward. W Ameryce wyszła w... Indianopolis, w Londynie wydała ją firma Cassel. Mało tego! Ta powieść najniespodziewaniej w świecie zyskała sobie wprost olbrzymi sukces. Militarystyczna powieść, o... *ułanach krechowieckich*, miała olbrzymie powodzenie w Ameryce. Była *best-sellerem* sezonu zimowego. Było o niej do *pół tysiąca* recenzyj w angielskim języku i w Anglji i w Ameryce.

Mało tego! Oddała polskiej sprawie usługi i przyczyniła się do popularności polskiej sprawy właśnie w epoce, kiedy sypały się na Polaków, jak z puszki Pandory, potworne oskarżenia lub pretensje pp. Borach, Baruch, Lippman, Lengyel, Brisbane, Haltenbrun, Wise, Krauss, Kahane i tego Padovera, o którego paszkwilu piekielnym pisał nawet... „Świat". I wtedy to właśnie powieść Bolesławskiego, przepojona duchem trylogji Sienkiewiczowskiej, prezentując ułanów krechowieckich jako nowych Kmiciców, Skrzetuskich i Wołodyjowskich, zyskała sobie nietylko popularność w publice, ale i aplauzy krytyki. Ostatnio pisał entuzjastycznie o polskiej ułańskiej powieści „Times Litteratury Supplement" z 15. XII. 1932 r.

Mało tego. Powieść R. Bolesławskiego przetłumaczono z angielskiego na język duński. Wyszła we wspaniałej czerwonej okładce z białym orłem w pośrodku pod tytułem „Polen Sönner". Kiedyś przed laty wyszła tam powieść „Polen Togter" o naszej dawnej cyganerji krakowskiej, pióra uroczej Agnes Henningsen, talentu pisarskiego odkrytego przez dr. Wysockiego... dziś naszego na laury pacyfistów całego chyba świata zasłużonego ambasadora w Berlinie a wonczas naszego kochanego i kochliwego „Freda". Po „Polskich Córkach", „Synowie Polski". I znów wielki sukces i u czytelników i u krytyków. Nazwisko autora, choć na *ski* i cztery zgłoski, w całej inteligencji duńskiej już znane.

A Warszawa nadal o tym już dla nas zasłużonym młodym Polaku nic nie wie i nadal nic wiedzieć nie będzie. Dlaczego?

Bo Polak. Bo ułan. Bo katolik.

KRAKAUER KRAUSS.

Tak. Kolebka jego stała istotnie pod Wawelem, między Wawelem a Wisłą, w mieście Kazimierza Wielkiego i króla naprawdę wielkiego a zwanego za to Łokietkiem.

Jeszcze między rokiem 1918 a 1920 był w Krakowie organizatorem „samoobrony" i wplątany w walki młodzieży uniwersyteckiej raz na krótko aresztowany. Poczem przeniósł się do Ameryki. Nazywa się dr. Krauss.

Przez kilka dni był w Ameryce sławny.

Pewnego typu prasa amerykańska, głównie w W. R. Hearsta, pewnego dnia zamieściła nagłówki:

„Chce umrzeć z nienawiści do Polski".

„Instruktor filozofji z City College chce umrzeć z nienawiści do Polski".

Dlaczego chciał umrzeć instruktor filozofji z nienawiści do Polski?

Aby odgadnąć przyczyny, trzeba sobie przypomnieć, jak to wtedy było, i co się to działo... i to nietyle w N. Jorku, ale raczej w ojczyźnie czy też w kraju macierzystym. Wstyd to i wspominać dzisiaj... Wilno... Lwów... ekscesy... hece... okropności, które coprawda „trochę zbladły" wobec tego, co się potem działo w Niemczech... I tu dwa trupy jednak były, choć znów coprawda nie współplemienne z prof. Kraussem... W każdym razie „straszliwości" i „barbarzyństwa", po których poszły telegramy, oskarżenia, skargi, lamenty na całą kulę ziemską, poczem „wstrząs moralny" całej „cywilizowanej" ludzkości.

Następstwa nie dały na siebie długo czekać. W Rzymie broszura za odebraniem Pomorza... Steina, w Kownie za odebraniem Wilna artykuły... Rubinstajna. W Paryżu Pfeiffer i Kayzer i Rosenfeld (L'Humanité) i Blum (Populaire) i Basch, Torres itd. W Ameryce po 600 artykułach i 6 książkach wielki Borah. Poczem zaraz „przyjaciel" Baruch oświadczył:

„Pokój wersalski był pokojem podyktowanym pod grozą broni w ręku. Sankcje tego pokoju upadają". „Kwestje granicy Śląska, polskiego korytarza i zagłębia Saary są rzeczywistym powodem zbrojeń".

I wtedy to na widownię wystąpił też w całej swej okazałości prof. A. J. Krauss. Niepomny tego, że to rząd polski wyrobił mu wstęp do Stanów Zjednoczonych (sic!!) i że interwencji i pomocy rządu polskiego zawdzięcza lektorat w City College, wystąpił z projektem, aby młodzież uniwersytetu z „City-College" wzięła udział w demonstracyjnym pochodzie z obelżywemi transparentami pod... *konsulat polski...:* „Hańba!", „Precz!", „Abzug!", „Go ahead!", „Go to hell!"... Szlag soll treffen!...

Młodzież się sprzeciwiła. Collegium profesorskie cały pomysł nieapetycznego jegomościa potępiło. Pochód odwołano. *I wtedy Arthur J. Krauss rozpoczął głodówkę...* Żurnalista Kahane z Krakowa wystąpił ze Związku Prasy za karę, że prasa zamało karci barbarzyństwo polskie, a uczony A. J. Krauss na złość rozpoczął głodówkę.

Cała prasa nowojorska pewnego gatunku na pierwszych stronach zamieściła olbrzymie konterfekty i podpisy: „Profesor A. J. Krauss rozpoczyna gołdówkę"... „Protest prof. A. J. Kraussa"... „Pierwszy dzień głodówki prof. A. J. Kraussa"... Cała *East-Side* N. Jorku mówiła tylko o naszym Gandhim! Popłakiwano po kątach na myśl o tem, na jakie tortury skazał się ten ambitny młodzieniec! Dziewczyna (niejedna!) ślubowała po skończeniu głodówki oddać bohaterowi swą rękę i nogę, wianek dziewiczy i gotówkę. Przez kilka dni prof. Krauss był tak modny, że zapomniano całkiem o Malli Picon i o Einsteinie. Wszystkiemi wyzwiskami przeklinano po dziesiąte pokolenie tych, przez których i przeciw którym heroiczny młodzieniec (i uczony!) skazał się na straszliwe męki.

Bo i co to gadać taki Gandhi bądźcobądź miał już wprawę, trenował się całymi latami, w najlepszych czasach wystarczało mu jednorazowe wydojenie kozy i dwa daktyle na deser. Ale nasz profesor nieprzyzwyczajony! jadał sobie normalnie, karpia szczególnie lubił i inne rybki, i szczupaka w cebulowym sosie, i śledziki, nawet sobie nie żałował! A tu nagle stop! halt! głód! głodzenie! może nawet śmierć głodowa! dlaczego? z powodu?

Gdy powstał projekt protestowania tłumnego przed konsulatem polskim w New Yorku, poważne organizacje, takie jak *American Jewish Congress* lub *Jewish Commitee,* jak „Federacja ŻydówPolskich". odmówiły udziału w hecy. Kiedy zaś krakowianin, dr. Krauss urządził zgromadzenie na terenie *City College* (rodzaj uniwersytetu) i zaproponował hecę przed konsulatem, odmówiły organizacje studenckie: „Menora" i „Awuka" i Newman Club i Imcia. Zaprotestowali przeciw „ekscesom" lwowskim, ale awantur ulicznych nie aprobowali.

I wtedy to krakowianin, dr. Krauss, filozofji „instruktor" rozpoczął głodowy strajk jako demonstrację. Nie jadł, nie pił, nie palił, a tylko agitował i gadał i się ciskał i przemawiał do otaczających. Nie ubrał się w płótno zgrzebne, kozy nie doił, ale na Polsce psy wieszał, co mu sił starczyło. No i wreszcie udało się zaciętemu krakauerowi postawić na swojem.

23-go grudnia, tuż przed świętami, miała miejsce przemilczana przez prasę polską heca przed konsulatem polskim. Dr. Krauss, istruktor filozofji, zorganizował Akademicki Komitet Obrony (?) *Jewish Student Defence Comittee* i z nim wyruszył przed gmach,

w którym... rezyduje także radca Weinthal. Jaki miała przebieg demonstracja, podała tylko nasza prasa żydowska w informacjach zawsze ścisła i... sumienniejsza... często... od innych:

„Gdy pochód demonstrantów ukazał się w pobliżu gmachu konsulatu polskiego, przybył oddział policji konnej, która przystąpiła do rozproszenia demonstrantów. Powstało wielkie zamieszanie, które omal nie stało się powodem krwawych wypadków. Jeden z demonstrantów, chrześcijanin, który usiłował stawić opór policji, został aresztowany. Kilku rannych demonstrantów zostało pobitych gumowemi pałkami. Policja nie wpuściła do konsulatu delegacji studentów, która zamierzała wręczyć generalnemu konsulowi p. Marchlewskiemu rezolucję protestacyjną, w której było m. in. podpisane, że gdyby rząd polski istotnie tego sobie życzył, mógłby zapobiec antyżydowskim rozruchom".

Zajął się nim wtedy wielki Artur Brisbane, najzażartszy obok Sherwooda Eddyego wróg Polski i Polaków w koncernie brukowców Hearsta. Radził Kraussowi, aby żył, aby nie umierał, ale zabrał się do organizowania Machabeuszów. I dr. Krauss poszedł za radą Brisbane'a. Pościł pono aż osiem dni, ale na swojem postawił.

Nie 8 dób, tylko osiem dni; w nocy prawdopodobnie coś przegryzał, gdyż to ostatecznie nie było więzienie, tylko prywatne mieszkanie. Ale! Czy to tak ładnie i czy rozsądnie? Czy tak powinien postępować *instruktor* filozofji? Głodzić się, żeby tylko zemstę nasycić i żeby o tem pisała przez dwa dni brukowa prasa żółta? I to krakowianin, a więc pochodzący z miasta toleranckiego, liberalnego, kulturalnego, „ikacego", gdzie przecież żydożercy muszą zostawać... jaroszami, a konkieta nieruchomości i „realności" dość chyba szybkie robi postępy?

Szczególnie zaś nie powinno się nam i sprawie polskiej na każdym kroku szkodzić właśnie tam, w Ameryce. I nie powinno tak stale i systematycznie iść ręka w rękę z Niemcami i na rękę niemieckiej propagandzie odwetowej i rewizyjnej.

Trzeba oddać sprawiedliwość, że w starszem i dojrzalszem politycznie pokoleniu amerykańskich żydów z Polski, był już pewien procent *good willu*, dobrej woli i chęci przynajmniej nie szkodzenia interesom Polski. Ma pewne zasługi w tym kierunku tamtejszy p. dr. Tennebaum. Takie negatywne książki o Polsce, jak dr. Emila Lengyela (korespondent „New York Times'a", który był w lecie „incognito" w Polsce) p. t. *„The Caildron Bolls"* lub taki paszkwil, pono nikczemny, jak Padovera: *„Lat the Day perish"* nie są specjalnie reklamowane przez żydowskich dziennikarzy.

Obecnie przebywa nasz Gandhi na *Ellis Island*, wysepce, tuż pod Nowym Jorkiem. Ta *Ellis Island* to stacja kwarantannowa, przedpokój do Ameryki, przez który przed wojną przepychało się

do 750.000 Europejczyków, znudzonych starym kontynentem. Od r. 1921 nie tylko nikt się nie przepycha, ale tędy właśnie wyrzuca Ameryka zpowrotem do Europy nadmiar swoich krajowych cudzoziemców. Nie pomagają ni prośby, ni groźby, ni petycje, ni protesty. Wielbłądowi łatwiej przejść teraz przez ucho igielne, niż Europejczykowi do Stanów Zjednoczonych. Dla „wschodniego" Europejczyka są to wprost marzenia ściętej głowy. Może błagać i płakać, może się powoływać na to, że tam ma tatę i mamełę, lub żonę zostawił z niemowlęciami przy piersi. Nic to nie pomaga. Konsulowie są głusi jak pień i twardzi jak głaz. Teraz np. nie chcą przedłużyć prawa pobytu w Ameryce tym „obywatelom" niemieckim, którzy ze względów „politycznych" nie mają apetytu powracać do Vaterlandu. Nic nie pomaga.

Pod tym względem Amerykanie są bezwzględni, nieprzejednani i powiedzieć można, antyhumanitarni. Protesty podpisują z ochotą. Jednego dnia protestuje 14.856 adwokatów. Na drugi dzień 16.731 doktorów medycyny i dentystów. Trzeciego dnia protestują Mormoni z Salt-Lake-City. Czwartego dnia „duchowni wszystkich obrządków", wyznań i sekt, a jest ich dużo, bo przeszło 160. Piątego dnia protestuje 1.850 profesorów uniwersytetów. Ale żeby tak zaprotestowali też przeciw takiemu hermetycznemu zamykaniu Ameryki na wszystkie spusty i zatrzaski, to o tem jakoś coś właściwie poprostu nawet mowy niema. Na meetingach „antibarbarzyńskich" bywa pono po 14 tysięcy, po 40.000 i jeszcze więcej, ale przez Ellis Island nie przedostaje się dziś rocznie do Ameryki nawet 4 (cztery tysiące). Śliczne spicze wygłaszają, ale jak przyjdzie co do czego, to wąż w kieszeni a *big-stick* w ręce.

To też i nasz biedny Gandhi musi wracać do Europy. Czasowo przebywa jeszcze w Ellis-Island, ale lada chwila wsadzą go na statek, i jazda panie gazda.

Głodówka trwała dwa czy... osiem dni (bez kontroli). Ponieważ jednak w „międzyczasie" znaleziono na kwaterze „profesora" papiery osobiste w grubym nieporządku, przeto głodówkę na wolności bądź co bądź praktykowaną przerwano, a nieprzyjemny typ ulokowano w kryminale, by się nie awanturował.

Kiedy „uczonego profesora" teraz odwożono w asyście do przystani, by go jeszcze przetrzymać na Ellis Island, okazało się, że przez ten czas moc się pozmieniało na tym najlepszym ze światów, w „Nowym Świecie".

Inne dekoracje i inne orjentacje.

Są pochody i są protesty i znów meetingi i znów „Madison-Square-Garden" i megafony. I amfiteatr na sto tysięcy znów pełen ryczących, wyjących, zachrypniętych.

Ale już nie przeciw Polsce, a tym razem przypadkowo: ...Gott strafe Germany!

I Borah i Baruch już Polsce Pomorza odbierać szczęśliwym trefunkiem nie chcą!

I cała „cywilizowana ludzkość“ „Abend“, „Morgen“, „Neue Züricher“, „Neue Presse“, New York, Times, Radek, Basch, Lecache Asz zgodnym frontem ale nie przeciw Polsce...

Na dolnym East-Side New Yorku idzie olbrzymi pochód (komunistyczny) i niesie na przedzie szubienicę, na której zwisa teraz już stale i zawsze pałuba śmieszna, ale nie Polaka, tylko... Niemca. Cała furja idzie w innym, całkiem niespodziewanym kierunku.

W takiej konjunkturze światowej nasz „polski Gandhi“ musi wracać do kraju.

Oby tylko zbiedzony chudzielec przyszedł tu do normalnej wagi!...

FILMY, KTÓRE NAS NIE DOSZŁY.

Sowieckie filmy, łatwo to przyznać (nie sposób zataić), przeważnie są *non plus ultra*. Omal jeden w drugi. Nie potrzeba nawet czytywać czołobitni i ekstaz pani Zahorskiej i p. Toeplitza, żeby sobie dwa razy przesiedzieć na takiej „Turbinie“, podczas gdy się *pół* raza przetrzyma niejedno arcydzieło wszechświatowe“ reżyserji Pinkusa Siódmaka, nawet z Rachel Cantor w tytułowej roli („Wenus z Broadway“). Sowieckie filmy są nadal bardzo ludzkie, czarujące i świetnie reżyserowane, aczkolwiek po Eisensteinie i Mamoulianie jeszcze nas nie doszły filmy, reżyserowane tam przez niejakiego Goerringa (jest taki!).

Nie dochodzą nas atoli różne inne filmy, też ciekawe, które wyświetlano zagranicą. W modę zaczyna wchodzić teraz w Ameryce film japoński. Mało komu wiadomo, że Japonja produkuje więcej filmów, niż Ameryka, bo przeszło 700 rocznie, coprawda znacznie tańszych, przeważnie niemych, o treści przeważnie historycznej, heroicznej, tradycjonalistycznej.

Film zaś z Hollywood ostatnio przeżywał niedobry kwadrans w opinji publicznej. Jak w Paryżu słynny Bernstein (autor „Złodzieja“) wystąpił ostro przeciw dyktatorowi francuskiej produkcji Nathanowi, tak w Ameryce przeciw shylokracji hollywoodzkiej wystąpił nietylko jeden Upton Sinclair, ale cały szereg wybitnych *prominents* i z prawej i z lewej. Trzeba tu sobie przypomnieć, że i stary pan B. Shaw, bawiąc w Nowym Jorku, w swoim odczycie w Metropolitain też na Hollywood wskazał jako na gniazdo anarchizowania świata, mówiąc:

„W Ameryce kwitnie propaganda anarchizmu. Doniedawna nie byliście w stanie zarażać swojemi poglądami i swoją moralnością reszty świata, dopóki nie mieliście instytucji, zwanej Hollywood, która dała wam w rękę potężną broń do wywierania wpływu na całą kulę ziemską. Hollywood jest jednem z najniemoralniejszych miejsc na świecie. Nie zdajecie może sobie z tego sprawy; kiedy do Amerykanina mówi się o niemoralności, ma on przed oczami koszulki damskie, pończoszki i coś w tym rodzaju. Zaczyna myśleć, że mowa o tej cudnej rzeczy, o „sex appealu“, który jest bardzo ważny w teatrze i w kinie, jeżeli jest dobrze zrobiony. Ale Hollywood nie dlatego jest siewcą niemoralności. Niebezpieczny jest — ponieważ szerzy anarchizm“.

Co tam stary kawalarz rozumiał dla siebie pod słowem „anarchizm“, to rzecz inna, ale w każdym razie miał tym razem nieco racji grzmiąc dla odmiany w Hollywood. Rzecz bardzo charakterystyczna, że w tej samej Japonji, gdzie amerykańskie filmy są raczej bojkotowane, wielkie powodzenie miał niespodziewanie film ...katolicki. Wyprodukowało go jedno z 20 wielkich atelier japońskich, t. j. Nikżatsu, w mieście Kioto. Tytuł „26 męczenników“. Scenarjusz i tekst jezuity, ojca Heuversa przy współpracy księdza Totsuka, profesora katolickiego uniwersytetu w Tokio (jest taki!). Film to także historyczny i dzieje się 5 lutego 1597 r., kiedy to w Japonji stracono przez ukrzyżowanie 26-ciu pierwszych misjonarzy katolickich. Zdumiewać się przyjdzie tem, że ten obraz, katolickim duchem przepojony, przez jezuitę skomponowany w „pogańskiej“ i rzekomo szowinistycznej Japonji, cieszy się olbrzymiem powodzeniem.

Ciekaweby było raz zobaczyć może i u nas taki autentycznie japoński film i to z taką tendencją!...

Również zdumiewające jest powodzenie innych filmów katolickich w anglikańskiej W. Brytanji. Piękne recenzje bywały o włoskim filmie: „Święty Franciszek z Assyżu“, postaci znanej może i naszej elicie z pracy poety Wittlina. Wielkie powodzenie w Anglji mają filmy misjonarskie. Jeden p. t. „Ria Rago“ o mozołach i walkach misjonarzy na wyspach mórz południowych skomponowali ojcowie Bell i Buick, zakonnicy.

Inny film katolicki o ustalonym sukcesie, to sfilmowana ekspedycja na wulkany Alaski znanego w całej Ameryce misjonarza, ojca Hubbarda, zwanego *the glacier-priest*, który wraz z towarzyszami przebył 1.600 mil angielskich, aby dotrzeć do jednego z największych wulkanów „Amakchaka“. Pater Hubbard zdjęcia samego krateru podczas akcji gazowej robił z narażeniem życia z hydroplanu, na którym dotarł nad wnętrze wulkanu. Film „misjonarza od lodowców“ *(the glacier priest)* zrobił olbrzymie wrażenie w Ameryce, a ostatnio był wyświetlany w Londynie. Szkoda, że do nas nie dotarł!

Była też filmowana wyprawa na pola magnetyczne na Filipinach słynnego astronoma hiszpańskiego z obserwatorjum w Elre,

Jezuity, ojca Ricardo Cizera. Wyświetlano ją tu i owdzie, ale do nas oczywiście nie doszła...

Że nawet w bezbożniczym, skroś ateistycznym Nowym Jorku można czasem i w kronikach zobaczyć katolickiego duchownego z pięknej strony oświetlonego, świadczy o tem taka notatka, reklamowana w amerykańskiem polskiem piśmie:

„Abbé Gillet, katolicki ksiądz, który stracił obie ręce w wojnie, zostaje odznaczony przez sławnego francuskiego generała Gourauda. Ta nadzwyczajna ceremonja jest pokazywana na ekranie w teatrze Embassy News Reel, 1560 Broadway, pomiędzy 46 a 47 ulicą, w tym tygodniu".

Choć to *picture* z zaprzyjaźnionej Francji, do nas jednak nie... doszła...

Dowiedzieć się o tem wszystkiem, o tych filmach katolickich, prezentowanych z olbrzymim sukcesem w... niekatolickich krajach, można w tygodniku londyńskim *„The Universe"*, głównym organie katolików angielskich, wychodzącym w nakładzie 100.000 egzemplarzy...

Nawiasowo mówiąc, zeszłego miesiąca kierownik tego pisma właśnie, sir Martin Melvin został za zasługi swoje dla rozwoju tego katolickiego pisma położone, angielskim baronetem...

Telegram „Pata" o tem nas nie doszedł.

Gdyby baronetem angielskim został... Eddie Cantor, czy Charlie Chaplin, wiedzielibyśmy o tem na drugi dzień.

EINSTEIN PODJUDZAŁ AMERYKĘ.

W różnojęzycznej prasie amerykańskiej pojawił się w zimie r. 1932 następujący telegram:

Palm Springs, Cal. — Pola Negri, polska artystka filmowa, która wraca do zdrowia po ciężkiej chorobie i niebezpiecznej operacji, spotkała się z uczonym drem Albertem Einsteinem i jego żoną w Palm Spring i rozmawiali ze sobą po niemiecku przeszło 40 minut.

...Czy spotkał pan Hitlera, niemieckiego leadera faszystów? — zapytała Pola.

...Nie, ale widziałem fotografję — odparł uczony, mrużąc oko. — To mi wystarczy.

Tak. Ale myśmy widzieli teraz Alberta Einsteina w jednej z kronik filmowych Paramountu.. I to nam... znowu... wystarczy. A Hitlera w kronice filmowej widzieliśmy także.

Co do urody fizycznej, postury, zaaranżowania sobie fryzury i zarostu (wąsów), co do sklepienia czoła, wyrazu oczów, siły spojrzenia i wogóle efektu, jaki sprawia człowiek Hitler, to zdania są podzielone. Niemki, Angielki, Amerykanki widzą w nim wcielenie męskości. Natomiast publicyści „wszechświatowi" nie mają dość słów negatywnych o urodzie i fizys Hitlerowej.

Ale myśmy znów widzieli Einsteina w kinie, na ekranie, i też nie jesteśmy zachwyceni.

Przedtem stanął frontem do aparatu jakiś poważny siwobrody profesor, lekarz z Wiednia, stateczny, spokojny, pełen powagi, godności.

A potem straszliwe rozczarowanie. Przed aparat wyskakuje jakaś przedenerwowana figurka z rozczapirzonemi rękami. Włosy długie, jak u skrzypka czy magika, rozwiewa wiatr i nagle czyni z figurki jakąś figurkę z Music-Hallów. Osoba przebiera nogami na prawo i na lewo jakby z niepokojem czy z przerażeniem. Potem zaczyna ni stąd ni zowąd uśmiechać się do widzów. Potem sobie przypomina, że powinna być reprezentatywną i majestatyczną i raptownie zmienia wyraz twarzy na surowy. Poczem znów wybucha bezprzyczynowym śmiechem, rękami wymachuje, nóżkami przebiera, minki stroi, kryguje się... W sumie coś naprawdę przykrego i niesmacznego...

Więc to ma być ten ostatecznie światowej sławy uczony, spadkobierca Newtona, ten pan tam na ekranie zachowujący się wobec aparatu uwieczniającego cokolwiek jak *myszugge,* jak jakiś prowincjonalista? wiercipięta? zaskoczony aptekarz czy komik z wędrującej szmiry? Bądź co bądź *nomen magnum,* znane inteligencji całej ludzkości, intelekt niepowszedni. No a cielesna powłoka, ruchy, gesty, zachowanie, manjery całkowicie pozbawione nie już majestatu i grandezzy, ale jakiej takiej godności, rezerwy, spokoju, opanowania. Okropne.

To też na pytanie teraz postawione: Czy pan uważa Einsteina jednak za największego mędrca naszej epoki? można dziś już odpowiedzieć: Dzieł jego i dzieł o nim kilka przestudjowałem. Nadto widziałem go w filmie. To mi wystarczy.

Nic tak bowiem nie demaskuje ewentualnych niedomogów wielkich i jeszcze większych indywidualności ludzkich jak przypadkowe pozowanie przed aparatem kinematograficznym. W mig eksponują się w gestykulacji i w mimice wszystkie psychiki mankamenta. W tym samym miesiącu widziało się w kronikach filmowych: Hoovera, Mussoliniego, Lavala, Rabindranatha - Tagore, Rocquefellera, Tardieu, Marconiego, Paderewskiego. Niżej wszelkiego poziomu wypadł faktycznie tylko ten... „Największy!" Einstein. Oczekiwało się jakiejś pięknej czy nie pięknej, ale spokojnej, orjentalnej, może nieco zwiędłej i przemęczonej twarzy intelektualisty, jakich rasa żydowska w pięknych modelach jakby z Biblji wyjętych wydaje sporo. A tu wyskoczył mały „Wielki Człowiek",

śmieszny, ale mniej od Chaplina zabawny, bez rasy, bez klasy, bez rangi, coś naprawdę przypadkowego, ot statysta, człowiek z ulicy, jeden z mrowia... Efekt był taki, że teraz wie się już, w jakich rozmiarach, w jakiej dymensji na wielkość i wieczystość tego genjusza zgodzić się można, a co odrzucić jako dodatki i następstwa sugestji i jerychońskiej reklamy.

Einstein rozmawiał z Polą Negri. 40 minut z Polą Negri w Palm-Springs w Kalifornji. Fotografy z kodakami stali obok w gromadzie a Einstein rozmawiał z Polą Negri o... Hitlerze. Z kim ta Pola już nie rozmawiała i z kim ten Einstein już się nie fotografował! Bądź co bądź to był jednak pierwszy uczony, który znalazł czas na polityczną konferencję z Polą Negri. Miewała Pola dotychczas okazję rozmawiania z reżyserami, gwiazdorami, ważniejszego uczonego chyba jeszcze nie trafiła.

Ten „Newton naszej epoki", ten „Archimedes wieku XX" na wszystko tedy ma czas.

Przedewszystkiem na podróże, na zmiany miejsca pobytu, na turystykę. W przeciwieństwie do wszystkich dotychczasowych tytanów wiedzy, osiedziałych po uniwersyteckich miastach przy bibljotekach, laboratorjach, obserwatorjach, Einstein ciągle jeździ i podróżuje tak jakby w nim pokutował dziedzicznie duch Ahaswerów, czy też... komiwojażerów. Dziś tu, jutro tam.

A wszędzie, gdzie się znajdzie, czekają nań już fotografy i reportery. Niema uczonego (oprócz oczywiście typu Steinach), któryby tak dokładnie znany był z tysiąca reprodukcyj. pod piramidami, w Neapolu, z Chaplinem, z Nahumem Sokołowem, na katedrze, na okręcie, grający na skrzypcach, w gronie „chaluców" w Jerozolimie, z Hooverem, z Rabindranathem, przy teleskopie, pod „Ścianą Płaczu", to roześmiany, to smutny. Kodak go nie opuszcza, chyba tylko przed spaniem i w łazience.

Trzecią pasją tego „Newtona naszych czasów" są wywiady. Lubił wywiady Wilhelm II, lubił Woronow, nie gardzą wywiadami pięściarze, vedetty z Hollywood, Trocki, Józefina Backer, generałowie republik południowo-amerykańskich i t. p. Ale najwięcej wywiadów rozdał w ostatnich latach jednak Albert Einstein i to na wszystkie tematy i zapytania. Rozpiętość jego zainteresowań i encyklopedyczność jego kompetencji muszą każdemu zaimponować, a imponowałyby nietylko ludziom z ulicy, ale czytelnikom brukowców, ale może nawet i inteligencji, gdyby często nie bywały tak bezecnie banalne.

Berliński astrofizyk eskontuje swój legendarny autorytet naukowy także we wszystkich zagadnieniach dnia bieżącego i życia politycznego ras, klas i narodów, stale będąc w swych enuncjacjach tubą sonans tak niemieckiej Shylokracji jak syjonizmu, jak i... komunizmu. Wystarczy skonfrontować i zestawić tylko wywiady jego z ostatnich trzech lat, aby się przekonać jak stał się on wyłącznie instrumentem walki o władzę nad światem 15-tu miljonów Semitów.

Pozornie są to tylko wywiady „genjalnego Nomady". W gruncie rzeczy zaś rozreklamowywane na cały świat sugestje, przedtem z szacherskim sprytem planu strategicznego systematycznie na globus puszczane.

Aby sobie zdać sprawę z wielkiego planu, którego jednym z głównych wykonawców jest Albert Einstein, wystarczy porównać jego pogląd na światowy kryzys, drukowany w amerykańskim *„Cosmopolitaine"* z jego enuncjacjami na temat „rozbrojenia ogólnego... *Francji, i jej wasalów*", drukowany w piśmie pacyfistycznym Barbusse'a oraz jego słynne oświadczenie się za utrzymaniem kary śmierci... w Sowietach. Ten mały „Wielki Człowiek" świadomie i planowo działa na rzecz rozbrojenia Aryjczyków na obu kontynentach i poddania ich pod regim'e i władzę piętnastomiljonowej Elity. To jest jego utopja przyszłości, to jego cel, *„Endziel"* jak piszą Syjoniści; środkiem, jednym ze środków przybliżających tę Utopję ma być także jego autorytet naukowy, jego sława, jego odkrycia, jego legenda, myt o „nowym Newtonie".

Prześwietlając fenomen Einsteina z naszego stanowiska, nie należy przytem równie hyperkrytycznej miary stosować do żydowskich wielkich uczonych wogóle. Nie można zrażać się humbugiem Freuda, apostoła panseksualistycznych „wynalazków" dla rozrzedzonych mózgów literatników i beletrystycznych bajader.

Wyszła niedawno książka p. t.: *„Schicksal und Leistung"* (niejako „Przypadek i Dokazanie") autora Feliksa Theilhabera, w której (sądząc po recenzjach) autor stara się udowodnić, że wszystko ważne w dziedzinie kultury technologicznej powynajdywali właściwie żydzi. Tylko mieli pecha. Samochód już w roku 1875 wynalazł Siegfried Marcus, sterowiec zeppelinowski Dawid Schwarz z Kroacji. I t. p. No to są, oczywiście bluffy. Pozatem nie byłoby się właściwie tak czem przechwalać, skoro właśnie Einstein w wywiadzie w *„Cosmopolitainie"* pisze:

„Z drugiej strony jest dla mnie faktem ponad wszelką wątpliwość stwierdzonym, że techniczny postęp, którego przeznaczeniem było uwolnienie ludzkości z dużej części trudów pracy, koniecznej dla utrzymania jej życia *jest głównem źródłem dzisiejszej tragedji człowieka*".

Jeżeli tedy p. p. Theilhaber miał rację i wszystkiego wszędzie w technicznym postępie dokonali Żydzi, no to w takim razie oni stworzyliby „źródło dzisiejszej tragedji człowieka"...

Atoli tak nie jest. Do technicznego postępu mózg semicki dał wkład minimalny. Marcus... samochodu nie skonstruował. Natomiast w innych dziedzinach nowoczesnej nauki wkład Semitów

jest bardzo wielki, co i w nagrodach Nobla znalazło swój wyraz. Tacy uczeni jak Michelson, Landsteiner, Ehrlich, Minkowski zasłużyli się dla ludzkości w sposób niepospolity. Każdy w swej dziedzinie dokazał rzeczy wiekopomnych. Jest rzeczą zaciekawiającą, dlaczego np. nasz popularny popularyzator, zadzierzysty onkel Winawer tak rzadko i mało entuzjazmuje się tamtymi *cichymi* pracownikami w Winnicy Pańskiej. Coprawda żaden z nich nie zajmował się nigdy polityką, Syjonizmem, Sowietami, rumbą, piatiletką, Hitlerem, a kto wie czy o Poli Negri bodaj że zasłyszeli...

Wśród nich zaś istnieją jeden, o którym nie można mówić bez wzruszenia, aczkolwiek nosi nawet nazwisko znanej dynastji Shylockrackiej.

To ten pustelnik z Dahlem, profesor Wahrburg, ten przyrodnik-eremita, semicki benedyktyn, który w najbezinteresowniejszym, ciężkim mozole codziennym z plejadą uczniów, nieznających świata 18 (osiemnaście) lat strawił w swym Instytucie i w swych laboratorjach, przy swych misternych aparatach nad badaniem „oddechu roślin" i nad szukaniem tajemnicy „źródła życia", podglądaniem mikroskopowem „ziarna nasiennego", „komórki nasiennej" jaja, *ovum*.

Gdy się teraz porównuje głęboki, potężny, cichy, odwrócony od wszelkiego zgiełku mozół naukowy takiego Wahrburga albo innych mędrców przyrodoznawstwa: Millikana, fizyka A. H. Comptona, matematyka Russela, astronoma Eddingtona, astrofizyków Michelsona, Morleya, Jeansa, takiego Pawłowa, albo naszej rodaczki Curié-Skłodowskiej... z tym trywialnym harmiderem, wszędobylstwem, wszystkowiedztwem, z tą reklamą neurasteniczną tej pramadonny astronomji! astronomji! no to już i nie sposób oprzeć się... zdumieniu. Jest tu coś stanowczo nie w porządku.

Czy godzi się potem dziwić, że świat uczonych niemieckich z obrzydzeniem słyszy już samo to nazwisko i że razem wydali książkę p. t.: „Stu uczonych przeciw Einsteinowi", no i wreszcie, że ta znowu znakomitość „lepiej się czuje", jeżeli już nie w zsemityzowanej Sorbonie, to jednak pośród ekscentrycznych groteskowych profesorów amerykańskich oraz, że ostatnio już jakby przycupnął tam w Kalifornji, w Pasadena przy obserwatorjum w Mont Wilson, 1.700 m. nad powierzchnią morza (a teleskop o 5 metr. średnicy).

Może się wreszcie ustabilizuje i... „ustatkuje". Może się nie da skusić do... Hollywood, do... napisania... „sensacyjnego filmu" astronomicznego p. t. „Coś się porusza".

Dlaczego tytuł: „coś się porusza?"

A bo temi trzema słowami jako formułą definitywną scharakteryzował go boski satyryk Papini w „Gogu": „Coś się porusza". Nie: *eppur si muove!* tylko: „Coś się porusza".

„Coś się porusza". I nic więcej! Tytuł presumptywny filmu dla Hollywood...

Teraz pracując z astronomem de Sitterem jest Einstein na drodze do „czwartego wymiaru"... i odkryć wprost planetarnej doniosłości. A tymczasem... tymczasem ma czas i na djalog z naszą sympatyczną Polą Negri o sprawach tak poziomych i przyziemnych jak... Adolf Hitler... Albertus Magnus o... Adolfie Hitlerze!!!

Bo żeby to był sobie jeszcze taki jakiś zwykły wiedzowiec, chemik jak Nernst, biolog jak Loeb, matematyk jak Russel lub Wahrburg... zajmujący się drobinami, bakcylami, jajkami, ziarenkami... no to takie chwilowe zaprzątnięcie mózgu syjonizmem, hitleryzmem, komunizmem możnaby było sobie wytłumaczyć.

Ale żeby taki Keppler! Tyho de Brahe! i Kopernik w jednej osobie, taki nadczłowiek z głową nad obłokami, expert kosmosu, pogłębiacz i poszerzacz wszechświata, *Zaratustra,* mógł tak zejść w dół na niziny bytowania drobno-ustrojów, żeby 40 minut rozmawiać o Hitlerze! w tem jest już coś tajemniczo-niesamowitego, niepokojąco-nowoczesnego no i wulgarno-trywialnego.

Jak można myślami przebywać w bezkresach a mową na... ulicy Berlińskiej... gdzie grasują hitlerowcy?

Jak można układać „prawa grawitacji"... a bronić kary śmierci w Sowietach, gdzie sędziami bywają jeszcze Semici, a skazywanymi wciąż popi i księża?

Stanowczo z tem jest coś nie w porządku. Jakiś, jakby Marx powiedział: szacher.

W każdym jednak razie Einstein to jest i będzie sławny żyd, bardzo... sławny żyd, podczas gdy *nieznany* Wahrburg to jest i wielki uczony i wielki człowiek.

Przed nim *chapeaux bas,* a przed Einsteinem *chapeaux* na bakier.

Dzienniki polskie w Ameryce, i to dzienniki sanacyjnej maści, tak zwane tam „sanatki", pełne są ostatnimi dniami artykułów o Albercie Einsteinie. Tematem tych artykułów nie jest ani teorja względności, ani teorja pól kosmogenicznych, ani ekspansja systemu planetarnego, ani promienie krzywizn wszechświata, ani nieskończona przestrzenność wszechświata, ani mgławice spiralne, ani wogóle działalność i odkrywczość słynnego matematyka, fizyka, astronoma Einsteina, a tylko i wyłącznie jego początkowo utajona, ale rychło na wierzch wydobyta... propaganda antypolska. Okazuje się, że i na to czas znalazł, może i w tym celu wogóle do Ameryki 5-go grudnia 1932 roku wyjechał.

Podczas, gdy w Warszawie apostołowie Einsteina pp. Winawer i Burdecki w druku i w radjo, prześcigając się w „powiększaniu olbrzyma" i w udowadnianiu Polakom, że Kopernik i Newton

ongiś, a dzisiaj angielski astronom A. C. Cramclin i amerykański Pickering, to wobec Einsteina poprostu karły, tam w Ameryce Einstein domagał się równości i zbrojeń dla... Niemiec, dla tych samych Niemiec, przed którymi właściwie uciekł. Bo trzeba sobie przypomnieć, jak to było, kiedy ostatnio wyjeżdżał i z Niemcami się żegnał. Mówimy ostatnio, ponieważ znakomity astronom tyle razy już z Niemcami obrażony uroczyście się żegnał, ile razy ze zrozpaczoną Warszawą rozstawała się nasza „Orgonka", wciąż angażowana do najsłynniejszych music-hallów świata i wciąż z... Częstochowy i Radomia jednak wracająca.

Einteina zaangażowano do „Instytutu wyższej wiedzy" Fleksnera w Princetown, fundacji dwóch żydów amerykańskich, Foulda i Bambergera; tak pisały jedne pisma. Inne zaś, że, jak zwykle, jedzie do Passadena w Kalifornji do astronomicznego obserwatorjum w Mount-Wilson. W każdym razie Niemcom już kazano wstydzić się, że największy mędrzec wszechświata „utracił spokój pracy" w Niemczech i — nie czekając na Hitlera — woli się przenieść zagranicę, jak Emil Ludwig do Szwajcarji. Miał dostawać tam pensję 60.000 dolarów rocznie (?). Przed wyjazdem tym razem były pewne kłopoty, gdyż „Unja Kobiet Amerykańskich" z min. Forthingham na czele wystąpiła przeciw wpuszczeniu do Stanów uczonego, nietającego się ze swymi komunistycznymi apetytami i inklinacjami. Mimo oporu „Unji" Einstein wizę otrzymał, patrjotki amerykańskie wyszydził od „gęsi kapitolińskich" (chyba kapital-iń-skich?) i wreszcie ze swoją magnifiką wyjechał.

(Nawiasowo mówiąc, Einstein był dwukrotnie żonaty; z pierwszej żony chrześcijanki Serbki, Mileny Mazur, miał dwóch synów, obywateli szwajcarskich (urodził się sam w Ulm, w Szwajcarji); z drugiej, izraelitki, ma dwie córki, które wyszły za bolszewików: dr. Klusera i M. Parionowa).

W Paryżu, przejazdem, dał swoim zwyczajem wywiadów pięć, złożył wizytę słynnej wróżce madame Sylwji (Beck), x. razy się fotografował, poczem wsiadł na statek, a kiedy znalazł się w porcie nowojorskim, znów dał wywiadów pięć i pozował do filmu... Kiedy ten uczony ma czas na zagłębianie się w wyższą matematykę i najwyższą astronomję, to doprawdy wielka tajemnica. Niedługo też popasał w Passadena, gdzie wziął udział w kilku bankietach, rzucił projekt utworzenia światowej rady naczelnej, złożonej z 25 najwybitniejszych mężów (Sanhedryn. Mędrcy Syjonu?), poczem na kilko dni czy może i na cały tydzień gdzieś znikł w Los Angeles. Nie było bowiem wyjątkowo żadnego telegramu ŻAT'a o tem co porabia. Może nawet obserwował gwiazdy w Mount-Wilson?...

W międzyczasie przyszedł jednak w Berlinie do władzy „feldfebel" Hitler, o którym i Einstein i Steinach i Einsteinach wyrażali się z bezbrzeżną pogardą, ten Hitler, obiecujący żydom niemieckim *eine Bartholomäus Nacht — der langen Messer.* I oto jakaś metamorfoza nagle i w Einsteinie...

Z Berlina poszedł widocznie jakiś szyfrowany kablogram do Passadena...

W naczelnym wszechświatowym monitorze żydostwa niemieckiego w „Berliner Tageblacie" pisał arogancki mentor Niemiec, gdański żyd, Teodor Wolff (Nr. 85), aby przebłagać i zjednać dla żydów łaskę Hitleryzmu, co następuje:

„Gdyby chodziło tylko o to, ażeby utrzymać jedność narodową w zakresie tych wielkich i największych zagadnień, to nie musiałby rząd obecny grozić Marksizmowi wystąpieniem. Bo robotnik, socjalny demokrata, uważa traktat wersalski za równie nieznośny, a korytarz za równie obrzydliwy, jak każdy nacjonalista".

Równocześnie zaś wszechświatowej renomy pacyfista i obywatel świata, komunizujący Einstein, rozpoczął poprostu szczucie na Polskę opinji amerykańskiej, na które nasza nawet prosanacyjna, wyraźnie judofilska prasa musiała wreszcie zareagować!

I oto czytamy w „Dzienniku Związkowym":

„Koroną tego importu niemieckiega nibyto uczonych było sprowadzenie do St. Zjednoczonych dr. Einsteina, autora teorji względności, chociaż przeciw sprowadzeniu protestowały usilnie patrjotyczne Amerykanki, udowadniając, że Einstein jest propagatorem komunizmu. I owi profesorowie, ledwo rozglądną się na ziemi amerykańskiej, ledwo zapoznają się ze stosunkami i z warunkami, zaraz rozpoczynają antypolską kampanję".

W organie Piłsudczyzny tamtejszej, w „Kurjerze Polskim", w artykule p. t.: „Wilk w owczej skórze", czytamy:

„Już w swoim czasie wypowiedzieliśmy, że ten uczony niemiecki tutaj bez przyczyny nie przybywa i napewno na nauce nie poprzestanie, lecz stanie się narzędziem niemieckiej propagandy w Ameryce. Mamy w tej chwili na to całkiem dobre potwierdzenie. W jednym z dzienników znajdujemy wiadomość pod takim tytułem: „Einstein narzędziem w rękach propagandy niemieckiej, jego zadaniem urabianie opinji antypolskiej wśród Amerykanów" — a w wiadomości czytamy: — „Ostatnie wystąpienie uczonego niemieckiego, Alberta Einsteina na nieznanej mu dotychczas arenie politycznej, kiedy to w wywiadzie wypowiedział się za rewizją traktatu wersalskiego i oddaniem Niemcom Pomorza, znajduje obecnie wyraz w dalszych zabiegach twórcy teorji względności, który, dla swojego rozgłosu, został upatrzony przez Niemcy za narzędzie do walki przeciw Polsce".

Teraz już widzimy jasno, kto przeciw Polsce urabiał opinję amerykańską. Zaczęło się od senatora z Idaho mr. Borah'a, który, jak się okazuje, *jednak jest* żydem. Potem poszły artykuły poten-

tata Waltera Lippmana. Potem paszkwil na Polskę Padovera. 14-go lutego wystąpił mr. Baruch w komisji gospodarczej senatu. Potem była afera z tym żydkiem z Krakowa, dr. Arturem Kraussem...

Wreszcie przyszedł Cagliostro XX wieku. Jednego dnia przebrał się błaznujący żyd w strój Indjanina (do kina). Na drugi dzień zaczął szczuć na Polskę, byle tem usunąć od swoich karzący miecz Hamana-Hitlera.

POLAND SWINDLED.

Z amerykańskiej-angielskiej i amerykańskiej-polskiej prasy hiobowa wieść o przejściu, i to już dawnem, jednego z naszych dawnych przyjaciół na stronę rewizjonistów.

Hugh Gibson! Jeszcze niedawno prof. Stroński z niekłamaną satysfakcją wyciągał przed oczy zdekoncentrowanych niedouków i analfabetów rządowych dokument im oczywiście nieznany, dokument pierwszorzędnej wagi, t. j. notę, złożoną rządowi polskiemu 5 kwietnia 1923 r., w której oświadczył Hugh Gibson:

„Mam zaszczyt powiadomić Waszą Ekscelencję, że mój rząd przyjął do wiadomości postanowienie Rady Ambasadorów w Paryżu z dn. 14 marca 1922 r. w sprawie granic Polski, wobec tego, że postanowienie to jest w zgodzie z istniejącym stanem suwerenności terytorjalnej Polski".

Niestety, przychodzi z Ameryki wieść wcale posępna. Okazuje się, że właśnie tenże sam Hugh Gibson razem z niedawno zmarłym, w New Yersey, senatorem Dwight Morrowem (teściem Lindbergha) opracowali memorjał rozesłany politykom amerykańskim, w którym wypowiadają się bezwzględnie za oddaniem Gdańska i Pomorza Niemcom.

Nie pierwszy tedy człowiek z Idaho wystąpił w październiku z tym projektem, jak zresztą i nie on jeden. Zanosiło się na to zresztą od dość dawna, a tylko dyplomacja sanacyjnej Polski dała się całkiem naiwnie zaskoczyć już na olbrzymią skalę rozpiętej tam propagandzie. Trzeba sobie tylko przypomnieć pierwszą falę tysiącznych i krociowych artykułów progermańskich po pierwszem przybyciu Zeppelina do Ameryki, którego triumf wypadł jaskrawiej wobec fatalnego fiaska nieszczęsnej pamięci samolotu „Józef Piłsudski". Tem Niemcy zaimponowali Amerykanom odrazu na całym froncie. Od tego czasu zaczął się zwrot w opinji amerykańskiej podsycany przez dziewięciomiljonową emigrację niemiecką oraz przez 18 miljonów egzemplarzy codziennej prasy Hearsta'a, nie licząc już 4 i pół milj. egzemplarzy jego tygodników, no i nie licząc prasy innych koncernów i „łańcuchów". Ta prasa

od listopada r. 1930 skrzętnie podawała publice amerykańskiej liczne ekscesa i orgie administracyjne regimu polskiego z ery brzeskiej, różne niepowodzenia w stosunku do różnych sąsiadów i brak atrakcyjności dla wszystykich mniejszości. Ta prasa wzięła pod swój patronat Gdańsk, Rusinów, Litwinów, Niemców, no, a wreszcie i... steroryzowane społeczeństwo polskie. Tylko jeszcze w pismach profrancuskich interesy i punkt widzenia polski państwowy mógł drogą protekcji dochodzić do głosu. Nie trzeba atoli zapominać, że nawet w stosunkowo przyjaznym nam poważnym „New York Timesie" już w roku 1928 w Boock-Reviev z 26 sierpnia pojawiła się recenzja z książki H. Fischera *(„America and the New Poland")* pióra Louis Riche'a, bardzo surowo traktująca jeszcze wówczas „zakwefioną" dyktaturę J. Piłsudskiego. W tym demokratycznym i względem rządu Hoovera opozycyjnym piśmie, gdzie żydowskie wpływy decydują, drukowano i teraz lojalnie broniące naszego stanowiska wywody, to księcia Andrzeja Poniatowskiego, to Augura-Poliakowa. Gdyby nie czteromiljonowa cyfra polskich emigrantów (ale i wyborców), to już i cała prasa amerykańska przyjęłaby punkt widzenia niemiecki. Dość powiedzieć, że taki kolosalnie popularny tygodnik jak „The Saturday-Evening-Post" w kwestjach finansowych stale nastawiony przeciw Niemcom (jako nieuczciwym długów płatnikom i naciągaczom) równocześnie odbiera nam raz po raz i Pomorze i G. Śląsk, a o rozpolitykowaniu (?) armji polskiej zamieścił wywody grubo nieprzyjemne.

Borah z Idaho nie jest zatem izolowany ze swojemi wypadami. Przed nim, równocześnie z nim lub po nim wypowiadali się analogicznie lub dopuszczano do głosu innych. W „N. York American" już z 19 sierpnia gen. Reilly w artykule: „Will to fight" zarzucał żądze wojenną naszej partji wojskowej i domagał się poskromienia. Dość przyjazna nam „Chicago Tribune" (Mac-Cormick-Patterson) 13 listop. 1932, zamieściła wynurzenia generała Groenera. Naprzemian dwaj czołowi publicyści Ar. Brisbane i Walter Lippman, suggestjonowali stale, że bez zwrotu „korytarza" nie zapanuje pokój w Europie; Brisbane zarzucał nam apetyty na wojnę z Rosją, a W. Lippman (z którego szwindelek z Pata na poczekaniu zrobił polonofila), teraz świeżo, w dwóch artykułach domagał się reanneksji zaboru niemieckiego, na co mu dzielnie (w „Sentinelle") replikował mecenas Gonski z Milwaukee. Znacznie przed Borahem występowali senator Lewis, congresman Britton, podsekretarz stanu Castle, senator Reed (także w wywiadzie z „Journal de Genève"). Po Baruhu zaś kolejno dwaj poprzedni ambasadorowie w Berlinie: Gerard i Shurman („Pomorze, Alzacja XX wieku"), dalej Woodley, M. Wythe Williams („Saturday Evening Post") o „Polsce, zagrażającej pokojowi", dalej ze sfer po-

tentatów plutokracji Otto G. Kahn (właściciel Metropolitain-Opery) i Bernard M. Baruch i niedawny gość Berlina „przepotężny“ Wiggins (Chase-Bank) i wreszcie figura bardzo w Waszyngtonie ważna, t. j. prezes kongresowej komisji finansowej Mac Fadden. Dla dokładności przypominamy tu jeszcze, że za okrojeniem Polski wypowiedział się też... poprzedni prezes Izby Handlowej Polsko-Amerykańskiej w Nowym Yorku, p. Robert Lee, co już chyba *horrendum*, a co jest znowu *curiosum*... najpopularniejszy feljetonista Ameryki, arcyordynarny humorysta, piszący w „slangu“ Bill Rogers.

Było więc tego i *multa* i *multum*. Propaganda przeciw nam szła na całej linji i to *właśnie od roku*. Niebezpieczeństwo groziło już od zeszłej zimy. Tylko przed nami utajali to i przemilczali okkupanowie agencyj urzędowych, głosiciele politycznej „prosperity“, handlarze różowidztwa, wiecznie rozwierzgane na wesoło „solenizanty“, mocarstwowe zakłamańce, hojnie za ten tandetny optymizm i *„conspiration de silence“* futrowane i orderkowane. Szesnaście lat temu tak samo oblagowywały hohenzollernoskie walety Wilhelma II: „Ameryka za nami!“ Nasze sylfy z „Pata“ cytowały to Franka Simondsa, to p. Deveya bez końca i tak figlarnie ocyganiano opinję publiczną.
Bomby Boraha już się zataić nie dało. Artykuł „Baltimore Sun“ poobwijali jeszcze w bawełnę blagierskich komentarzy. Boraha „zabić milczeniem“ już się nie odważyli, bo pisała o tem cała światowa prasa. Drugi jego wywiad (N. Y. Times) znów zataili jak przedtem zresztą zataili np. szczegóły z pobytu Stimsona w Berlinie; pierwszego zataić się nie dało. Zareagowano natomiast na ten występ „stuprocentowego“ Boraha swoiście, w znanym stylu. W obu poważnych organach, t. j. w „Gazecie Polskiej“ i w „Polsce Zbrojnej“ zbagatelizowano go, wyszydzono i obsypano znanemi podręcznymi epitetami. Co atoli mogło być na miejscu w prasie brukowej, to się tu niepotrzebnie znalazło w organach „ideologji marszałka“. A to więc, że „kawalarz“, „Don Kiszot nieco komiczny“, „śmieszny“, „błazeński“; „humorysta“, „jaskrawy ignorant“, „popularny farceur“ i t. p., co w prasie rządowej stanowczo było nie na miejscu. Dostało się przy tej okazji nawet i... Stanowi Idaho“ („najmniejszy“). W tym stylu rządowe czy prorządowe pisma oczywiście nigdzie na świecie nie piszą i czytelników swych nie otumaniają. Borah jest istotnie słynnie nietaktowny, ale równie słynnie prostolinijny, dziwak i weredyk, ale... tępiciel korupcji, germanofil, a ostatnio sowietofil, ale ani „farceur“ ani „kawalarz“. W wywiadzie z 23 października porobił w każdym razie dość dużo zastrzeżeń: „pogląd sformowany z odległości 3.000 mil“, „nie znam dostatecznie warunków geograficznych“... „być może, że warunki te „muszą istnieć koniecznie“, „nie podejmuję się twierdzić coś w tym względzie, ponieważ nie wiem“, „dokonałbym tylko zmian w ramach traktatu wersalskiego“ itp. Następni po nim (Reed, Gerard, Shurman, Mac Fadden, Brisbane, W. Lippman, Baruch) sformułowali to podobno bezwzględniej. „Czy więc organa „ideologji“ gotowe są te wszystkie *epiteta ornantia* stosować i do nich, no i wreszcie, niestety do p. Hugh Gibsona? To nie jest taktyka, godna publicystów, mieszkających bądź co bądź w Europie.

Niedawno temu konserwatywna *„Washington Post“* zamieściła artykuł przeciw Niemcom p. t. *„America Swindled“*...

Czy zatajanie właściwego ustosunkowania Stanów Zjednoczonych do nas, zatajanie w prasie rządowej i w exposé chloroformowem nie wykazuje jasno, że czasami i *Poland* bywa *Swindled*, ale przez samych swoich?

WISE AND LIPPMAN.

Obiegła niedawno prasę europejską krótka notatka, że w Paryżu bawi adwokat dr. Lewinsohn z Chicago.

Lewinsohnów ważnych, jak wiadomo, jest kilkunastu. Takich, co mają z Ameryką coś wspólnego, jest dwuch. Jeden Lewinsohn, Ryszard, Niemiec, to autor książki p. t. „Jüdische Weltfinanzen“, którą powinien przestudjować każdy urzędnik ministerstwa skarbu i każdy dziennikarz warszawski, zajmujący się sprawami monetarnymi, pożyczkowymi i t. p. Drugi wybitny Lewinsohn, to Ludwik, literat amerykański, który atoli po latach wielu zbrzydził sobie ten „Szmelztiegel“ narodów, napisał ostro antyamerykańską powieść p. t. „Up. Stream“, poczem przeniósł się z powrotem do Niemiec i tu pisze zkolei już trzecią *książkę* przeciw Dollarice, udowadniając czytelnikom, że imperjum yankesów jest najbardziej reakcyjnem, absolutystycznem, zacofanem i *antysemickiem* (sic) państwem: Ludwik Lewinsohn.

W notatce o chicagoskim Lewinsohnie stało krótko i wyraźnie, że na imię mu Samuel, no i że on jest *właściwym autorem* i twórcą t. z. paktu Kelloga. Ni mniej ni więcej. Kellog dał sobie firmę, wykoncypował zaś pakt dr. Samuel Lewinsohn, adwokat z Chicago.

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że jest to sobie normalny (u tej *species humana)* objaw megalomanji integralnej, połączonej, jak wiadomo, zawsze z *folie persecutive*. Scharakteryzował to już G. Bernard Shaw w Moskwie, jako t. zw. *superiority complex*. Mogłoto nawet uchodzić za rekord może nawet arogancji takie kompromitowanie Kelloga, a przypisywanie sobie. Otóż nie.

Rekordem to nie jest. Rekordy są gdzieindziej. I to dwa. Jednego dostarcza szwajcarskie pismo: *Das Israelitische Wochenblatt für die Schweiz* Nr. 23 z października r. 1931, w artykule, który niedawno z okazji konferencji rozbrojeniowej przypomniały pisma szwajcarskie.

Chodzi o to, kto jest *właściwym* autorem t. zw. czternastu punktów Wilsona?

Otóż tygodnik ten informował dosłownie, co następuje:

„W Nowym Jorku na bankiecie ku czci Waltera Lippmana poruszano także pewną sprawę znaną już oddawna w kołach wtajemniczonych, że właściwym autorem 14 punktów Wilsona jest Walter Lippman. Lippman urodził się w żydowskiej dzielnicy Nowego Jorku w r. 1889, okazywał wielkie zainteresowanie dla międzynarodowych kwestyj politycznych i został redaktorem „Worldu“, największego organu w N. Jorku i jako taki zapoznał się z Wilsonem. Lippman zyskał wielkie wpływy w kołach dyplomatycznych i został przez Wilsona powołany do gabinetu jako podsekretarz stanu w ministerstwie wojny. Dla przeprowadzenia szybkiego a sprawiedliwego pokoju, opracował Lippman czternaście punktów, które, jak żaden wówczas program pokojowy, zrobiły w świecie olbrzymie wrażenie. Przy pertraktacjach pokojowych towarzyszył Lippman prezydentowi na konferencji w Paryżu“.

Teraz następuje ustęp najważniejszy:

„Kiedy atoli spostrzegł jak sprzymierzeni interpretują czternaście punktów i jak Wilson ciągle im ustępuje, wrócił Lippman do Ameryki i tu zorganizował opozycję przeciw Wilsonowi, skutkiem czego ten stracił już większość i w Izbie reprezentantów i w senacie, w następstwie czego pokój wersalski nie został przez Amerykę ratyfikowany“.

Tyle *Israelitisches Wochenblatt für die Schweiz* Nr. 23 r. 1391.

Jest to ten sam nieco judaszujący Lippman, który w listopadzie po wystąpieniu senatora Boraha z Idaho w dwóch artykułach kolejno wypowiedział się za rewizją granic Polski i za odebraniem „korytarza“ i mocno przyczynił się do zorganizowania w Ameryce (zatajonej w Polsce) „Ligi amerykańskiej dla rewizji traktatu“.

W każdym więc razie dowiedzieliśmy się z tego, że potentat prasowy amerykański, Walter Lippman, rości sobie pretensje do autorstwa 14 punktów. Ale nie na tem koniec.

Po listopadowych próbach wyzwoleńszych na uniwersytetach polskich, zorganizowali żydzi amerykańscy szereg demonstracyj antypolskich pod hasłem *against horrors and atrocities.* Meetingi antypolskie miały miejsce także i w angielskiej Kanadzie, gdzie udało im się poruszyć nawet premjera Trica. Natomiast w samej

Ameryce cała akcja zrobiła zupełną klapę. W Cleveland wzięło udział niby 25 organizacyj. Związek rabinów wysłał adres oskarżycielski do Hoovera. Z. t. zw. *God-Will-Committee,* organizacji polsko-żydowskiej, wystąpiło z hałasem kilku żydów. Miano wysyłać adresy do Senatu, do Kongresu, do rektorów (do prezydentów) Uniwersytetów. Wobec potwornej depresji gospodarczej (600 tysięcy bezrobotnych w Chicago, 800 tysięcy w New-Yorku) i rozbudzenia się ostrego nastroju antysemityckiego we wszystkich Stanach, gdzie procent żydów jest nieprzyzwoity, wszystkie demonstracje i meetingi, przeważnie przepełnione tylko czernią bezrobotnych, kończyły się fiaskiem. Prasa amerykańska nie chciała już słyszeć o zamieszczaniu „energicznych rezolucyj“ i *nie zamieszczała,* z wyjątkiem tylko czysto żydowskich i żargonowych *papersów.* W Nowym Yorku wielki meeting urządzono już nie w olbrzymiej halli przy *Madison-Square-Garden,* gdzie dawniej się odbywały, ale w jakimś trzeciorzędnym *Pensylwania-Hotel.* Przewodniczył dr. Cyrus Adler. Przemawiał trzeci garnitur działaczów żydowskich, jakiś „redaktor Margoszes“ (sic!), który wrzeszczał: precz z rządem! precz z Polską!, jakiś congresman Perelman, jakiś Jolles, wszyscy szczując i na rząd obecny („tolerujący setki morderstw młodzieńców żydowskich“). Tylko pismo żydowskie „American Hebraew“ zajęło stanowisko jako tako przyzwoite, pisząc tylko prawdę o „ekscesach“. Pienił się i wściekał rabin Fraenkel, pomstując na Polskę. Najciekawsze atoli na tym meetingu było to, co mówił, zawsze zresztą apoplektyczny i rozwścieklony szowinista-syjonista, zaharkany wróg także i... W. Brytanji, rabin dr. Stefan Wise, recte Weiss.

Podajemy to ściśle za „Naszym Przeglądem“, który dał pełną korespondencję z tego antypolskiego wiecu, chcąc widocznie nastraszyć jeszcze ministra polskich finansów:

„Dr. St. Wise podkreślił jeszcze ten punkt amerykański: ja osobiście czuję się odpowiedzialnym za stworzenie państwa polskiego. Gdy Paderewski przyszedł do Wilsona ze swoją misją polityczną, ten nie miał pojęcia o kwestji polskiej, to ja jako przyjaciel Wilsona wspólnie z Paderewskim wpłynąłem na niego, aby przyjął odbudowanie państwa polskiego, jako jeden ze swych słynnych 14-tu punktów“.

Dosłownie: czuje się odpowiedzialny za stworzenie państwa polskiego. Kto? rabin dr. Weiss.

Teraz więc powinni się już chyba porozumieć między sobą: Lippmann z Weissem, który właściwie stworzył niezależną Polskę? W otoczeniu Wilsona i pułkownika House'a było ich sporo, był p. Bercz (Baruch), sędzia Brandeis, sędzia Mack, stary Jakób Schiff i jego zięciowie, Wahrburgi, był Aronsohn, a czasami i rabin Fineschriber, recte Feinschreiber, autor *„In Defense of*

Germany". Może teraz pokolei zaczną się i oni zgłaszać, że w tem wszystkiem odegrali wielką rolę?

No i co na to znowu powiedzą ci, którzy twierdzą, że to oni „mieczem wyrąbali niepodległość", to jest panowie Kaden Bandrowski, Kapral Szczapa, pułkownicy Merwin, Eile, Ścieżyński i t. p.?

Trzeba to raz wreszcie wyjaśnić. Wiemy już teraz, kto podsuflerował, aby punkt tyczący się Polski był punktem trzynastym...

Ale jak tu teraz godnie wynagrodzić tego Weissa, który się „czuje *osobiście! osobiście!* odpowiedzialnym za stworzenie państwa polskiego"? Głos ma oczywiście Elita.

SOWIETY

DALLILA SOWIETÓW.

Już mamy taką garść wiadomości, informacyj i „on dit” (plotek) z Sowietów, że możemy to sprezentować czytelnikom; co będzie z tego „Wahrheit”, a co „Dichtung”, to najbliższa przyszłość pokaże, a korespondenci ze Wschodu mogą sobie sprostować.

Bywały zawsze takie Dalile, co ratowały sytuację w krytycznych momentach, na zakrętach dziejów dobranego narodu. Nosiły raz imię Estery, raz Judyty, a raz znowu Dalili. Gdy już nie dawała sobie rady płeć męska, wysyłano dla ratowania najpiękniejszą, najpowabniejszą kusicielkę, „ducha ziemi” (Erdgeist) Lulu, „madame” Lulu, madame... Lupescu, czy to do pałacu Faraona, czy do namiotu sułtana, czy do stolicy szacha, czy na zamek królewski. Kiedy za Wespazjana szedł na Jerozolimę Tytus, przy jego boku znalazła się niespodzianie siostra ostatniego żydowskiego regenta króla Agryppy, znana dramatyczna postać Berenike (Nike zwycięstwo). Srogi i okrutny król kastylijski Alfons VIII w XIII wieku dostał na uśmierzenie wścieklizny judożerczej uroczą Rachelę. Naszemu Kazimierzowi „Wielkiemu” najzręczniej postawiono czy podstawiono z Łobzowa Esterkę, a znów Esterką cesarza Józefa II (tego od rozbiorów) była czas jakiś Ewa Frank, jedynaczka apostoła-apostaty...

W najnowszych czasach też mamy sporo takich przypadkowo nastawionych... Deubelek („księżniczką Izraelską” nazwał ją Słowacki). Pętają się zawsze w bliskiej okolicy ludzi o wielkiem przeznaczeniu, początkowo w charakterze sekretarza, panien mówiących wszystkiemi językami, znających wszystkie fachy i wszystkie adresy, piszących na wszystkich maszynach i stenografujących, obdarzonych świetną pamięcią do rachunków, genjalnie uzdolnionych, pilnych, skrupulatnych, punktualnych a przytem wyondulowanych, wymanicurowanych, apetycznych, sex-appeal-first class.

Przy Mussolinim jeszcze w redakcji „Popolo” była aż do jej drastycznego odsunięcia „towarzyszka”, dziennikarka Marguerita Sarfatti; „Deubelka” Mac-Donalda zwała się Rosenberg; Stresemann miał taką „Valentynkę” z W. Galicji, córkę lekarza ze Lwowa... I w Waszyngtonie kręcą się takie Deubelki, a w Genewie roji się od genjalnych „Deubelek” po hotelach luksusowych, gdzie gru-

be swe djety wydają dyplomaci, którzy tu są przeważnie bez małżonek...

Cały szereg autorów dał ostatnio powieściowe portrety tych wirtuozek seksualnej fascynacji, z których pomocą także naród dobrany dyryguje elitą światową. Duńczyk Pontopiddan (laureat Nobla) w powieści „W Czepku Urodzony" (tłumaczona), Hiszpan Jacinto Benevente (laureat Nobla) w dramacie (nietłumaczonym), Włoch Puccini w powieści „Ebrei" (nietłumaczona), bolszewik Marieniew w powieści (nietłumaczona), kilku Francuzów („O mon Goy!"), kilku Niemców, wreszcie nawet H. G. Wells w ostatniej swej powieści „Bulpington of Blup" (nietłumaczona); Esterka w „nowym Wellsie" nazywa się Rachela Bernstein.

Rachelą Bernstein na Czerwonym Kremlu jest od roku Rebeka Kaganowicz. Z tej racji dyktatora nazywa się dziś w Moskwie potocznie Stalinowiczem, o czem już zresztą plotki-płotki przedostały się w licznych korespondencjach i do zagranicznej prasy. I stąd te różne zmiany w ostatnich czasach i te różne posunięcia taktyczne, zdradzające dość nagły i niespodziewany wzrost odnowionych wpływów i sugestyj projudejskich.

Bywało tam już bardzo źle z dobranym narodem.

Te niecałe dwa i pół miljona żydów tak im ciążyło nad 180-miljonowym konglomeratem 185 ludów i plemion, że postanowiono najróżniejszemi sposobami, ale przeważnie drastycznemi rozwiązać tamtejszy „problem". Od czasu kiedy z przepędzonym „awanturnikiem" Bronsteinem („podpalacz świata" i „obalacz niebiosów") zaczęły się salidaryzować rozmaite żydowskie partyjne potentaty bolszewickie, kurs wobec żydostwa zapanował w Moskwie bardzo ciężki. Przedewszystkiem powyrzucano z wyższych stanowisk wszystkich mniejszych lub większych „Kamieniewów" i „Zinowiewów". Poczem musiały burżuje oddawać wszelkie utajone i przechowywane złoto (i dewizy). Potem poodbierano synagogi i bożnice i zamieniono na kluby i szkoły. Skasowano rabinów, kantorów, mełamedów. Potem ich zaczęto wysiedlać masowo i osadzać na roli a to Krym, a to Birbidżan. Handel prywatny nie istniał a zdeklasowane żydostwo zaczęło się rozpływać w bezklasowem społeczeństwie i zatracać swoje odrębności.

Moc wtedy lamentów i skarg szło na Europę i Amerykę. Aldanow (Landau), Augur (Poliakow), Frauenstein („Lacache"), Kessel, Panait Istrati i Weinstein („Biesiedowski"), Hurwicz i moc emigrantów. Takie też Sowiety antysemityzujące nie podobały się tym turystom-fetórystom co tam jechali zaproszeni. Surowo o regimie Gruzina zdawał relację berlińczyk Doeblin, kostycznie amerykański jew Fischer, a także i nasz Słonimski, gdy mu brat Słonimskij naskarżył mocno (o niewdzięczności Moskali wobec żydów, o przepędzaniu ze sztabu i wojska, o niemiłych nastrojach w Dnieprostrojach, na Gruzińskim Kremlu, po fabrykach, po urzędach) i nasz Słonimski bardzo nieżyczliwie odniósł się do takiej Bolszewji. O ileż sympatyczniej wypadł wizerunek Sowietarchji w opisach rdzennych Arjów i „szlachciców polskich", jak Mackiewicza, Janty Połczyńskiego oraz inżyniera Błeszyńskiego, zdającego wiernie i obszernie sprawę w „Gazecie Warszawskiej"...

Intelektuelów i „clerców" żydowskich Sowiety Stalina zawiodły. Niejaki Emil Ludwig-Cohn stuprocentowo entuzjazmował się w osobnej książce Mussolinim a o Stalinie napisał krótko, węzłowato i... jadowicie.

Teraz jużby te wszystkie i Słonimskie i Berlińskie popisały znacznie cieplej, bez „sceptyka", serdecznie. Teraz, to znaczy od bardzo niedawna...

W grud. z. r. jeszcze żyła żona Stalina Alilujewa. Kiedy jakiś spisek nowy odkryło G. P. U., za ośmiu aresztowanymi stanęła w obronie Alilujewa. Kiedy G. P. U. upierało się przy winie podejrzanych, Alilujewa tak to wzięła do serca, że pewnego dnia sama pozbawiła się życia. Taka jest opinja w Moskwie o tej tajemniczej sprawie.

30 grudnia 1931 G. P. U. złożyło Kremlowi długi raport o gwałtownym wzroście afektów antysemickich w całej Unji. Czto dielat? Jeszcze pousuwać resztę żydów ze stanowisk eksponowanych, równocześnie wykorzystać ogólny pogląd (legendę) o żydożerstwie Stalina, ale równocześnie tępić wszelkie akty teroru wobec żydów po fabrykach i po wsiach. Nadto trzeba nieco oczyścić Moskwę. Jeszcze ich tu za pełno (250.000), jeszcze mają za dużo w trzosach i w portfelach. Jeszcze ich tylko wszędzie widać w teatrach, w kinach, na meczach, w droższych restauracjach, w dancingach (są, są), na polach wyścigowych (są! są!), jeszcze się stroją, manicurują, ondulują i drażnią wynędzniałą, wygłodniałą, wychudłą ludność swojem aroganckiem rozbuchaniem („jedwabne pończochy"), jak za najlepszych carskich czasów (Revue Mondiale: Une femme en U. R. S. S.", autorka: Magdalena Lauret. (nietłumaczone). Trzeba Moskwę odciążyć od elementów hebrajskich, gdyż widok już podpasionych, roztyłych, rozbijających się w Pacquardach i Lincolnach znów drażni pospolity słowiański naród i może wywołać fermenty a nawet pogrom, jakiego świat nie widział. Nie tylko Moskwę, ale kilka większych miast także. To ustało i w rezultacie G. P. U I nietylko Moskwę ale i inne wielkie miasta, gdzie się też rozpanoszyli mimo tego niby spauperyzowania, sproletaryzowania, mimo tej niedoli, o której skarżą całemu światu. Lud ciężko fizycznie pracujący głoduje, a ci znowu „w jedwabnych skarpetkach", „w jedwabnych pończochach". Na nieszczęsnej Ukrainie liczne fakty... ludożerstwa! (Marzec ro-

ku 1933), a żydowskie aparatczyki z damami tańczą po hotelach i tańczą, a z gramofonów słychać na ulicę warszawską „Rebekę”...

Zdecydowano zatem zaprowadzić system wewnętrzny paszportów. Kto przebywa w Moskwie, czy Charkowie, czy Leningradzie nielegalnie, ma się wynosić w dziesięć dni od ogłoszenia, na peryferje, poza 60 klm. od miasta, jazda! Wziąć do ręki telefoniczną książkę stolicy Sowietów, same jewreje; jak tak dalejby poszło, to za 10 lat chyba druga Warszawa! Tfy! Tak być nie może! Czystka!

Równocześnie i paralelnie zapowiadana była od pierwszego czerwca inna czystka wielka, partyjna, taka jaka już bywała kilka razy, ostatnio 1929 i 1930.

Radziło tedy G. P. U w referacie dosłownie: „wykorzystać legendę o antysemityźmie Stalina”. ...Od pierwszego czerwca miała się zacząć wielka czystka... dalej nowe paszporty... odciążenie... za miasto... może więcej pociągów do Birdidżanu?...

Każdy tedy obywatel Sowietów mógł myśleć i spodziewać się, że przedewszystkiem zostanie przepędzony w djabły niejeden z takich obywateli Moskwy, których opisuje p. Magdalena Lauret w „Une femme en U. R. S. S.” (Revue Mondiale V 1933):

„Zasiadł w fotelu koło mnie i musiałam asystować przy masażu jego ogromnej, nalanej krwią twarzy. Masażystka, izraelitka także, tęga i mała brunetka, masowała go z rewerencją, całą swą uwagę skupiając na owym podbródku, który, jak jej tłumaczył, był jego największem strapieniem. Nie przypuszczałam, aby w tym kraju, gdzie panuje taka rezygnacja i zgoda na ubóstwo i wyrzeczenie się samego siebie, może istnieć taka troska o swoją urodę”.

Tymczasem w ostatnich miesiącach musiała tam zajść jakaś znowu... daleko i głęboko idąca... metamorfoza... zmiana kursu czy nastrojów wewnętrznych?

Pod względem nędzy i biedy nic się nie zmieniło. Na Ukrainie głód dantejski się szerzy. Natomiast nic nie słychać o tem jakoby z Moskwy, Odessy, Rostowa, Sebastopola, Dniepropetrowska, Salińska, Stalingradu wynosiły się te elementy „nieklasowe” (pasożydnicze), które „spożywając a nie produkując „obarczyły budownictwo socjalistyczne”. Natomiast. Natomiast wracają do Moskwy coprawda „skruszone” postacie takich opozycjonistów, jak „Zinowiew” (Apfelbaum) i Rosenfeld („Kamieniew”) szwagier Bronsteina („Trockij”)...

Korespondent zasię naszej „Gazety Polskiej”, zawsze wyjątkowo interesujący a niekiedy tajemniczy (w swych niedopowiedzeniach) p. Otmar Bersohn, ostatnio omawiając szczegółowiej program tej czystki wyraźnie pisze:

„Dlatego też najważniejszem kryterjum podczas „czystki” — ma być stosunek członka partji do powierzonej mu roboty. Na „rozkład moralny” ma być zwrócona o wiele mniejsza doza uwagi. Grzechy „pijaństwa i rozpusty” będą niewątpliwie traktowane bardzo łagodnie — w przeciwieństwie do antysemityzmu — który wśród szerokich kół komunistów pochodzenia słowiańskiego przybiera rozmiary niemal hitlerowskie i jak się zdaje na analogicznem tle „konkurencji zawodowej”. Obecnie cała prasa akompanjuje „czystce” grzmiąc artykułami, „wodzowie” wygłaszają liczne przemówienia na temat „zaśmiecenia szeregów partyjnych”, przytaczając, jak naprzykład Kaganowicz, zupełnie konkretne fakty zasiadania b. denikinowskich oficerów na bardzo wysokich urzędach partyjnych na prowincji”.

Kaganowicz! Szara eminencja Kaganowicz! prawa ręka dyktatora. Kaganowicz jest bratem rodzonym narzeczonej Józefa Stalina, Rebeki Kaganowicz. „Und das hat mit ihrem Singen die Loreley getan”, śpiewał kiedyś Heine...

Bliższe i ciekawsze szczegóły przemian... w najbliższej przyszłości.

Dla pogodnego obserwatora „polityczności” najzabawniejszym detalem w tem wszystkiem jest to, że w dzisiejszej Warszawie najulubieńszą, najpopularniejszą piosenką ludu z nad Wisły jest akurat... także „Rebeka”...

U. S. A. — Z. S. R. R.

Pytanie takie:

W jaki sposób i w jakich wymiarach wywdzięczyły się Stany Zjednoczone państwu polskiemu za współudział w walkach wyzwoleńczych Kościuszki, Pułaskiego, Beniowskiego i całego szeregu bohaterów innych? oraz w jaki sposób wywdzięczyły się Stany Zjednoczone za twardą a lojalną współpracę kilku miljonów emigracji polskiej w podniesieniu przemysłu, a temsamem i dobrobytu Stanów Zjednoczonych?

Na pytanie to każdy natychmiast odpowie przedewszystkiem:

Z czternastu punktów W. Wilsona punkt trzynasty.

A potem długo, długo nic. A potem? Cztery skromne pożyczki na bardzo ciężkich warunkach zawierane, których „bondy” spadły ostatnio na giełdzie nowojorskiej fatalnie i wahają się między 59—61, a bondy miasta Warszawy notowane po 42—43 dol. Nadto jako doradcy (advisor) swego czasu pp. Kemmerer i Ch. Devey, a ostatnio senator Borah. Więc w sumie definitywnej po latach jedenastu nie tak wiele: non multa et non multum.

A jak w stosunku do naszych sąsiadów? O tem szeroko pisze w swej drugiej już słynnej książce „German Crizes” mister II. R. Knickerbocker... 300 miljonów inwestowali w przemyśle, 200 w hi-

potekach, 300 w akcjach, 1920 miljonów w długoterminowych, 800 miljonów w krótkoterminowych i jeszcze tyle, a tyle miljonów w innych, dość, że w sumie 3 miljardy dolarów 620 miljonów. Ostatnio jeszcze wieści, że J. Pierpont Morgan zaopiekował się firmą „Oppel", fabrykującą 40 procent samochodów niemieckicn przydatnych i w razie wojny... Słowo: „Lusitania" wykreślone jest z dykcjonarza niemiecko-amerykańskiego. W Genewie ręka w rękę.

No a jak teraz wobec naszego wschodniego sąsiada?

Tu przypomnieć należy, że my jesteśmy, jak wiadomo, tak zwanem przedmurzem cywilizacji (sic), przedmurzem czy bastjonem kapitalizmu (Kohnby się uśmiał...)

Otóż Stany Zjednoczone do grudnia r. 1933 nie uznały U. R. S. S. ani de jure (caduco), ani de facto, i co jakiś czas o tem uroczyście zapewniają orbi et urbi. To też i zacny a wędrowny kapitał „międzynarodowy" czy nadnarodowy nie idzie tu tak prostą drogą, jak wprost do Niemiec, ale idzie do Londynu, dopiero z Londynu do Berlina, a z Berlina wylewa się struga złota do Sowietów. Natomiast całkiem jawnie idą i jadą do Sowietów ludzie i to ludzie nie tuzinkowi a ważni, najlepsi, wybrani, doborowi i twórcy Można się o tem sporo nadowiadywać przeglądając różne nowe publikacje i perjodyki. W Berlinie wychodzi fundamentalny miesięcznik „Das neue Russland", w Paryżu również kapitalny: Le Plan quinquenal de U. S. R. R. Specjalne numery wydało „Vu" nr. 192 (prosowiecki) i „J'ai suis partout (antysowiecki). Ze swego wojażu do Rosji zdał sprawę w świeżej książce znany polityk radykalny Pierre Dominique (Qui, mais Moscou!). Najważniejsze są atoli dwa dzieła sowieckich działaczy już tłumaczone pośpiesznie na angielskie... i na niemieckie, t. j. inżyniera sowieckiego N. Iljina: „Fünf Jahre die Welt verändern" oraz komisarza ludowego od finansów G. Grinki „Der Fünfjahrplan U. S. R. R.".

Więc tedy Ameryka? nowa słowiańska Ameryka? przez lud i państwo w galopującem tempie z pomocą... Amerykanów stwarzane nowe Stany Zjednoczone słowiańsko-eurazyjskie.

Czy tylko Amerykanów? Oczywiście, że nie. W samej Moskwie przebywa obecnie 30.000 cudzoziemców, nie 3 tysiące, a trzydzieści, Niemcy, Włosi, Szwedzi, Wiedeńczycy, Japończycy, Czesi i t. d. Ale po hotelach język angielski i narzecze amerykańskie najbardziej zadomowione.

Antykapitalistycznemu państwu pomagają ze wszystkich sił hyperkapitalistyczne narody. W stosunkach handlowych są, oczywiście ze wszystkimi. Dystrybucja zamówień i obstalunków idzie na wszystkie boki.

Hiszpańskie stocznie mają dostarczyć 50 okrętów handlowych. Szwedzka firma Karlstad Mechanical-Works Kristinenkas dowiozła już pociągiem 24-wagonowym turbinę kolos. Japońscy inżynierowie z wiosną r. 1931 „wynajęci byli" do zrobienia porządku na kolejach... Architekt niemiecki Schwagenscheidt buduje miasto na Uralu Najsłynniejszy francuski urbanista Le Corbussier inne miasto. Najlepszy wiedeński L. Pilewski jeszcze inne. Na konkurs do budowy pałacu ludowego na Krasnej Płoszczadi (wieża Babel) przysłano 700 prac, wśród których i włoska ekscelencja członek Akademji Brasini i wyróżniony amerykański spec od skyscraperów mr. Hamilton. W Italji zamówiły Sowiety 300 tanków, w Anglji 120 typu Roadster... Faszystoscy inżynierowie, kupcy, maklerzy, konstruktorzy podróżują sobie po czerwonej Marksowskiej Unji jak u siebie w domu. Ale jednak prócz Niemców ...do roku 1933... nikt tak nie pokumał się, nie pobracił i nie wszedł w dzisiejsze życie rosyjskie jak Amerykanie.

Waszyngton dotąd nie uznawał „czerwonych carów" na Kremlu, ale yankesi, businessmani, captain of industry pokochali bolszewików jak swoich. Nie dali im Rosjanie ni Kościuszki, ni Pułaskiego, ni najpracowitszej i najpotulniejszej emigracji roboczej, a jednak afekty i sentymenty są strzeliste.

Pisało o tem niedawno ryskie „Siewodnia", a polskie pisma amerykańskie przetłumaczyły:

— „Ameryka dwukrotnie już uratowała Rosję sowiecką od upadku. Czy zrobi to ona po raz trzeci jeszcze?" — pytają tu przybyłych Amerykanów".

Po raz pierwszy uratowała Ameryka reżym sowiecki, gdy w czasie powszechnego głodu w Rosji w roku 1921 Stany Zjednoczone dały rządowi sowietów żywności, lekarstw i innych dostaw ogólnej wartości dolarów 60 miljonów. Mało jest znanem, że rząd sowiecki pogwałcił ugodę z Ameryką i zamiast wszystką żywność przeznaczyć dla głodujących dzieci, część jej rozdał pomiędzy kolejarzy rosyjskich, tem ratując swój system transportacyjny.

Po raz drugi uratowały Stany Zjednoczone Rosję w roku 1929, gdy dyktator Stalin zainaugurował osławioną pięciolatkę. Przekonano się natychmiast, że Rosja nie posiada ludzi do przeprowadzenia planu przemysłowego. Sprowadzono tysiącami inżynierów, techników i wszelkiego rodzaju ekspertów z Ameryki, którzy znów sprowadzili tysiące ukwalifikowanych robotników amerykańskich, którzy naprzykład wyłącznie niemal budowali słynną tamę na Dnieprze. Amerykanie nauczyli Rosjan jak pracować, jak prowadzić maszyny i fabryki. Pobudowali oni Rosji olbrzymie zakłady przemysłowe, w tem fabryki traktorów, automobili, maszyn rolniczych itd. i doprowadzili do stanu wydajności kopalnie węgla, żelaza, złota, cynku, miedzi i studnie naftowe, a nawet nauczyli Sowiety, jak administrować olbrzymiemi fabrykami, powstałemi z konfiskaty roli i majątków prywatnych. Uczą dalej Amerykanie Rosjan jak

hodować bydło... Jest 12.000 nauczycieli zagranicznych w Rosji, z tego 7.000 Niemców i 4.000 Amerykanów. Zachodzi teraz pytanie, czy Ameryka dostarczy jeszcze Rosji pieniędzy, bez których nie doprowadzi ona swej pięciolatki do pożądanego rezultatu.

I tak jest w samej rzeczy. Bolszewicką rewolucję finansowały za pośrednictwem Trockiego i Fürstenberga nowojorskie domy bankowe Wahrburgi i Schiffy. I od tego czasu kazirodczy romans superkapitalizmu z konsekwentnym Marxizmem jak się szczęśliwie zaczął tak się toczy. Inżynierowie, architekci z Ohio, z Filadelfji, z Chicago, z Cincinnati, z Rochester, z Bostonu przejeżdżają gromadami Sowiety wszerz i wzdłuż. Ci z Pittsburga są teraz w dawnym Petersburgu. Colonel Cooper ze sztabem kosztem stu miljonów dolarów stawił kolos energji elektrycznej i cudo hydrauliki Dnieprostroj. 500 majstrów od Forda w 17 miesięcy z armją 23 tysięcy robotników postawili na nogi pod Niżnym Nowgorodem nad Oką Awłostroj, co będzie 140.000 maszyn wyrzucał z gardzieli rocznie. Przy Stalingradzie, skąd będzie szło 50000 traktorów rocznie pracowało 380 inżynierów amerykańskich, a patronuje Harvester z Milvaukee. Dzięki Amerykanom Magnitogorsk na Uralu ma zakasować roczną produkcję stali największej na globie stalowni w Gary (Indiana). Gdzie ruszyć czy to Kuzmickistroj, czy Beresnikowski-Kombinat, czy nowe miasto w dziewiczej puszczy i kopalnie Azbest, wszędzie inżynierowie z Toledo, z Memphis, z Syrakuz czy z Utica, ale nie tej gdzie się urodził Katon...

Robert Lamont junior syn szefa i wspólnika Morganów przyjechał, ażeby podnieść hodowlę bydła.

Dwudziestu speców murzyńskich od kultury bawełny przyjechało, żeby regulować plantacje i sanować produkcję...

A teraz dopiero przypominają, że już przecież w r. 1922 zjechała do Rosji pierwsza grupa farmerów-instruktorów.

I z pomocą tych to yankesowskich speców wywęszono już w ziemi trzy nowe kopalnie nafty i nowe złoża węglowe, mangan, żelazo i djabli wiedzą co tam jeszcze. I już się wszędzie wgryźli „inżynierowie z Ohio" w te Ferros-plany, Chimokombinaty, Traktorostroje. Wszystko im przypomina rozmiary i dymensje amerykańskie. Czują się przepysznie, bo są nanowo pilgrimami i pionierami. Do czynienia i do działania mają tylko z kolosalnościami i z cyframi „astronomicznymi". Fanatycy technologji mogą się wyżyć, wyszumieć, wyszaleć i pracować obłędnie, z furją. Tu się wysadza dynamitem w powietrze, tam się buduje na 20 pięter. Można zwarjować i szaleć w radosnej twórczości (thrill). Życie ludzkie, materjał ludzki znaczą minimalnie, nie wchodzą w grę, jak za dawnych dobrych czasów.

To też dziwnie do siebie przylgnęli Iwan i Jonathan... Gdy się ciężko popiją, z równą rozkoszą strzelają z koltów do talerzy i ściągają obrusy obie „szerokie natury".

Klnąć też potrafią w dwóch językach na czem świat stoi. Limuzynę luksusową Lincolnoską roztrzaskać o przydrożne drzewo, też bywa duża happines dla Iwana i dla Jonathana. Tym śpiewają cygańskie romanse, a tamtym murzyńskie spirituels. W ekstremach się kochają i jedni i drudzy. Doszło do tego, że już jest w sowietach grupa literacka, która nazwała się „Byzness" i pod Ilji Selwińskiego przewodem tom taki zbiorowy wydała.

A co już najdziwniejsze w tem wszystkiem to to, że już bolszewików Amerykanie zdołali zarazić swem „naj". „The biggest little town of the world..." najgrubsze małe miasteczko świata.... Psychoza, obłęd, folie reklamowania, że to a to jest „naj". W najkrótszym czasie (Tempo!) (Tempo!) największa centrala... największa tama, największa jadłodajnia, największy szpital. No i przytem oczywiście opijanie się, oszałamianie cyframi i tarzanie się, zanurzanie w statystyce. Wszystko musi być gigantyczne i wszystko kolosalne i wszystko first i big.

Podziwiać można. Zazdrościć niema czego. Niech się olbrzymy kochają, zobaczymy co w przyszłości wyjdzie z tego. Pozostaje fakt faktem, że w Sowietach Faraońskich bezrobocia niema a u zakochanych w Bolszewji Amerykanów coś się tak zaczyna psować jak w r. 1905 w carskiej Rosji. A do rozstrzygnięcia pozostaje kwestja, jakie będzie tempo?

Nam w każdym razie w tem dziesięcioleciu dużo nie pomogli. Natomiast co się zowie tym wrogo przeciw nim usposobionym sąsiadom z prawej i lewej. Poprostu postawili ich na nogi i do rąk im wtykają parabellum.

Może im tam Pan Bóg to wybaczy. Ale my chyba nie koniecznie i nie tak łatwo...

THERMIDOR I TERMITJERA.

„Pierwsze wrażenie, jakie się odnosi po przyjeździe do Sowietów"...

Takim sakramentalnym, ale już szablonowym zwrotem zaczyna normalnie swoje widzimisiaki każdy inturysta czy to w wywiadzie czy to w książce specjalnej.

Jeden czuje wszędzie zaduch, smród, Armeegeruch (termin Nietzschego) wapory starych łatanych ubrań i brudnej bielizny, i specyficzny pot i odór mużycki. Drugiemu znów wszystko wszędzie chronicznie imponuje.

Trzeba wciąż konfrontować entuzjastów ze skeptykami i porównać, po ile funtów zełgali czy przesadzili ci i tamci.

Najpierw tedy co do tego budowania i co do tego burzenia...

„Pierwsze wrażenie, jakie się odnosi po przyjeździe do Sowietów”... jest to, że stosunkowo nie tak dużo poburzyli a stosunkowo dużo nabudowali. Pałace cesarskie i wielkoksiążęce stoją sobie wszystkie, jak stały. Gatczyna, Peterhof, Oranienbaum, czy jak im tam, wyrestaurowane i ponaprawiane. Carskie Sioło zamienione na Dietskie Sioło. Nie jest prawdą, że wszystkie szyby we wszystkich pałacach są powybijane, natomiast jest prawdą, że szyby te czystemi w znaczeniu europejskiem stanowczo nie są. Pomniki Piotra, Mikołaja, Katarzyny, jak stoją tak i stały. Pogląd jakoby co kosztowniejsze i słynniejsze obrazy z „Ermitażu” wywieziono i sprzedano kolejno Amerykohnom polega na całkowitem nieporozumieniu. Rembrandty wszystkie są, a przybyło jeszcze kilka z prywatnych zagrabionych kolekcyj. Również klejnoty ze Skarbca Carskiego są i blagą jest, jakoby drogie kamienie z koron wyłupywano swego czasu i sprzedawano Żydom w Sztokholmie. Okazuje się, że rozszalała bestja ludzka z „Octiobra” musiała pohamować swoją furję niszczycielską, gdy się znalazła wobec wielkiej Sztuki. Wymordowano dynastję, ale umeblowania w rezydencjach carskich nie tknęii, tak, że prywatny gabinet „Niki” jest w tym stanie, w jakim car go opuścił. Dość dużo tu i ówdzie rozkradziono; ale nie demolowano i nie podpalano gmachów, jak gdzieindziej w r. 1848 i 1871. Po skonfrontowaniu mnóstwa źródeł, można nawet zaryzykować słowo: pietyzm. Gmachy i pałace w dużym procencie ocalały.

Pobudowano natomiast bardzo dużo i bardzo efektownie. Rozchodzi się tylko: kto, co, jak i co na to powie potomność? Pobudowali Egipcjanie, pobudowały mrówki — Termity. Po „Termidorze” (sztuka Sardou...) ...Termity. Pewien uczony nazwiskiem Forel wykazał czarno na białem, że mrówki żyją w ustroju komunistycznym, ale specyfistycznym. Jedne mrówki są wyraźnie płciowe, kopulują i rozradzają się i żyją dość pasożytnie i wygodnie; drugie zaś mrówki są bezpłciowe i bezpłodne i te pracują i budują i stawiają te kopiate piramidowe kopce i te wysokie strzeliste obeliski.

Termidor... Termity... Egipcjanie. Na samej górze lożują w Kremlu Faraony; pod Kremlem miljony mrówek, Termitów, insektów, kreatur, egzystencyj, ludu rabiego, rabów czy po polsku: pańszczyźniaków, niewolnych, adscripti. Straszliwie długie baty egzaltacji doktrynerskiej w powietrzu świszczą; komenda twarda grzmi! paszcza Czerezwyczajki kłapie zębami krat żelaznych; udarniki, komisarze, inspektorzy, rewizorzy, wyją fortissime: hurra Piatiletka;... no i wtedy robota idzie i wznoszą się w górę mrówcze piramidy, chińskie mury, gmachy Montezumy... Babele. Termitjera...

Oglądać to tylko na obrazkach (a wszystko jest miljonkrotnie okodakowane), to już imponuje i oszałamia. Kilometrowe kamienice, osiem tysięcy okien z frontu, żelazo-beton, żelbeton i ciosowe „rodzynki” (sic). Po korytarzach i sieniach mijają, mogą się mijać rozpędzone motocykle. Mieszkalne mrowisko ma sześć tysięcy izb i „żyłpłoszczad” czy „żydpłoszczad” po 7 i pół m kw. Albo te fabryki, te huty, hangary, elewatory, stalownie, stadjony, miasta-stocznie, stocznie-miasta. W cztery, w osiem miesięcy miasto za Uralem, przed Uralem, „Azbest” może się nazywać... elektryfikacja, kanalizacja; pociągami zjeżdżają Termity i wraz gwarem i... smrodem zapełniają po brzegi całe mrowisko. Termitjera. Na samą myśl takiego uwięzienia bez wyroku i bez apelacji można już oszaleć.

Czyta się o mrówkach co następuje (w podręczniku):

„Mrówki np. budują drapacze nieba z betonu o wiele większe proporcjonalnie od naszych, bez żadnych narzędzi. Pewien gatunek Termitów tropikalnych w Południowej Ameryce buduje gmachy dochodzące do 8 metrów wysokości, co w porównanu z wielkością mrówek jest olbrzymią wielkością, 2400 razy większą od długości jej ciała. Chcąc dorównać im tylko, ludzie powinni zbudowach gmach o wysokości 4 klm. Beton, służący mrówkom do pracy pod względem wytrzymałości nie jest gorszy od naszego, a co najważniejsze nie zawiera wcale rusztowania stalowego pomimo to, że gmachy mrówek są złożone z misternych korytarzy, sal, hali, pomieszczeń dla setek tysięcy mieszkańców”.

A co z tego wynika?..

Owszem, trzeba przyznać, myt o l'improductivité slave jest obalony. Ale nie tylko nad Wołgą i Donem. Gdzieindziej także. Ale tutaj specjalnie, — z dużym sukursem „zgniłego Zachodu”...

Co tam obwijać w bawełnę gaspada! Gdyby nie burżujskie „gołowotiapy”, byłoby w budowaniu tempo... jak się to tam mówi „wołowe”. Owszem, pracuje się zażarcie, fanatycznie, obłędnie dnie i noce, w mrozach i spiekotach, wyścigowo..., ale nie trzeba zatajać przed „zgniłą Europą” tego, że pierwszą szturmową brygadą pracy jest jednakże te 12.000 (dwanaście tysięcy zgórą) inżynierów i techników innostranców-cudzoziemców i te 120 000 (stodwadzieścia tysięcy) wykwalifikowanych wyspecjalizowanych, rutynowanych robotników, majstrów, podmajstrzych z zagranicy. Tak czy nie? Zgadzają cyfry czy nie zgadzają? Są Niemcy, Szwedzi, Norwegowie, Włosi, Czesi, Duńczycy, Szwajcarzy, nawet Grecy, nawet Japończycy, nawet murzyni (do bawełny)? A tak to viribus unitis jednak chyba łatwiej („ułatwione życie”) i sukcesy (uspiechy) trzeba rozłożyć na partnerów. Z takiemi kadrami po-

mocniczymi, z takimi sztabowcami z „Ohio", z Gary, z Betlehem, z Charvester, z Baltimore, łatwiej odnosić zwycięstwa nad kosmosem i nad chaosem.

Weźmy np. Dnieprostroj: „Założym": arcydzieło! ósmy cud świata techniki (nie bez plam na słońcu). A jak się nazywał rosyjski inżynier generalny, który (nie bez pomocy kilkudziesięciu inżynierów i majstrów od Schuckert-Siemensa z Berlina), w r. 1924 wystawił saturskie elektryczne zawody, a w maju 1932 utworzył to cudo?: Winter. A kto obok Wintera realizował genjalny plan? Cooper, Colonel Cooper. I takie Wintery i Coopery są wszędzie i przy wszystkiem. Ergo? Godziłoby: krzyczeć i reklamować się skromniej i spokojniej...

Weźmy ostatni przykład. Ma powstać „Pałac Sowietów". Na miejscu zburzonej barbarzyńsko, nieco barbarzyńskiej, ale starej cerkwi Spasitiela... Ma być oczywiście colossal, monstre, super New York, sala na 15.000 widzów, bibljoteka na pół miljona tomów, baseny, hale, djabli wiedzą co jeszcze, gmach symbolizujący „dynamikę proletarjatu". Rozpisany konkurs. Siedemset prac przysyłają. Odznaczeni: jakiś Scholtowski, Amerykanin Hamilton, tubylec Jofani, podobno jest i projekt Le Corbussiera. Scholtowski, nazwisko wzięte u nas z prasy niemieckiej, okazuje się: Żółtowskim gente Polonus! Tu i ówdzie buduje giganty w Sowietach wiedeńczyń... Leon Pilewski... Miasto pod Uralem pobudował architekt o grubo niesłowiańskiem chyba nazwisku: Schwangenscheit... Czyżby „Pałac Sowietów" budował Żółtowski?

Sowiety nie mają tych ambicyj... chorobliwych... nacjonalnych... „sami swoi"... Żółtowski ma teraz organizować „Akademję Sztuk Pięknych", a pangrafoman A. Tołstoj w „Izwiestiach" ni stąd ni zowąd wygłupia się estetycznie z kultem dla... Hellady i Rzymu!... Wstyd im, że są tak bliźniaczo podobni do... Egipcjan, więc uciekają nadspodziewanie do... Grecji starożytnej i... do Rzymu...

Sowiety mają:

„przejrzeć kulturę antyczną i nowym renesansem wzbogacić architektoniczną twórczość epoki"... „trzeba szkolić się u starych mistrzów"... „nie należy negować dziedziczenia w sztuce"... „Rzym budowano dla proletarjatu"... „Ręką wielkości wykreślone są łuki jego cyrków i akweduktów"...

Poczem Aleksander Tołstoj w „Izwiestiach" łże przepięknie, ale już na całym gazie:

„Architektura klasyczna (Rzym) jest dlatego nam bliska, gdyż liczne jej elementy zlewają się z naszym. Jej otwartość, jej przeznaczenie dla mas, impuls wielkości nie grożącej i przygniatającej lecz będącej wyrazem uniwersalizmu. Wszystko to nie może być nie przyjęte przez naszą architekturę"...

Tak we wzdętej, patetycznej manierze zablagowuje się archikiczorób dramatyczny, kolega-renegat A. Tołstoj. Więc w prostej linji spadkobiercy Grecji i Rzymu!... Nie Stalingrady a Westalingrady będą się budować z żel-betonu i analfabetonu: Partenony, colossea, akwedukty, stadjony, awtostrady, cyrki, cyrkuły i... Potem — kina.

A Termitjery nie łaska? kilometrowe kazarmy dla fellachów i niewolników zagładzanych, jęczących coraz ciszej...: „Nie żyjemy Batko! nie żyjemy! my tylko egzystujemy!"...

PIĘTA CZERWONEGO ACHILLESA?

Achillesową piętą Sowietów są... lokomotywy.

Co to znaczy? To znaczy, że największy kłopot mają „czerwoni carowie" ze środkami lokomocji.

Achillesową piętą Sowietów są... lokomotywy.

Łatwo to mówić o lokomocji państwu o normalnych europejskich rozmiarach. O wiele trudniej narodowi, który zagarnął jedną szóstą globu. Bądź co bądź sieć kolejowa obecnie wynosi tam 750.000 klm. I bądź co bądź Rosjanie zbudowali za „białych carów" Kolej Syberyjską, za czerwonych „Turk-Sib", czyli połączenie Turkestanu ze Syberją, co i w powieści i w poemacie jest opisane, a także obfilmowane na wszystkie boki i strony.

W 1931 r. dobudowali 2.000 klm. szyn nowych, a tu i ówdzie długie tory. W drugim Pięcioroku sieć kolejowa „ma" dojść do 1.700.000 klm., a sieć szosowa z obecnych 140.000 klm. wzrosnąć do 400.000. Cyfry są ładne. Bolszewicy lubują się w cyfrach pięcio i sześciozerowych, a nawet i astronomicznych. Ale narazie cyfry są na papierze w rezolucjach. A tymczasem w kolejnictwie „pariadka niet", bezład, bezrad, bezgłowie. Feljetoniści i satyrycy prasy urzędowej pastwią się nad temi horendalnemi nieporządkami. Cóż z tego, że Kolej Syberyjska także ma dostać drugi tor, jeżeli na pierwszym co jakiś czas eksploduje bałagaństwo.

„Ludiej chwatit", materjału ludzkiego do obsługi kolejowej nie braknie ale widocznie materjał ciężki, nieudolny, niepojętny, „głowotiapy", fafuły. W r. 1931 było w Zjednoczonych Republikach Sowieckich 3.200 katastrof kolejowych, to jest omal tyle, ile... bywało w różnych latach w... Zjednoczonych Stanach Anglosaskich. Wielkie tereny, więc i wielkie cyfry... Szerokie natury i tu i tam. „Ludiej chwatit". Starczy ludzi, choćby ich tam w katastrofach trochę ubyło.

Gorsza jest anarchja transportowa. I lokomotywy budują doskonałe (w Kołomnie) i wagony robią w „zawodach" im. Uryckiego bardzo piękne. Co stąd, kiedy wysyłki zalegają, wyładowa-

nie towarów spóźnia się po kilka miesięcy, w magazynach „Sowrabkopów” piramidy jarzyn „zamrożonych”, w „ciepłuszkach” wagonowych sufity dziurawe, na stacjach całe góry z pomidorów, tytoniowe liście w wozach gniją, wyrzucane z wozów precyzyjne maszyny do fabryk na deszczu rdzewieją, pociągi systematycznie się spóźniają, a wagoniki często zamiast iść na najdalsze tropikalne Południe idą zabłąkane biedaczki na najdalszą Północ. W „zgniłej Europie” jednak jarzynki dochodzą do miejsc przeznaczonych i nie gniją. A w „Eldorado” gniją. Stąd to i głód w krajach, gdzie najurodzajniejszy czarnoziem na planecie. „Ludiej chwatit”, ludzi nigdy nie zbraknie, ale często braknie w „stołowkach” i „żerodajniach” kapusty, ziemniaków, buraków, mleka, mięsa.

Co jest prawdą?

Nie jest prawdą, żeby cena jaja dochodziła aż do 7 rubli, (jak piszą w „Daily Mail”), a kostka cukru kosztowała: 1 rubel, natomiast jest prawdą, że z powodu kolejowych curiosów ze sowchozów, kołchozów, szwimhozów itp. buraki tu i owdzie nie dochodzą do sacharowych fabryk. I jest prawdą, że za pudełko zapałek gdzieniegdzie jednak płaci się rubla (dolar=36 rublom). I jest prawdą, że choć co miesiąc gdzieś jakaś komisja geologów odkrywa nowe milowe złoża antracytowe, to węgla jednak tu i owdzie braknie...

Próbowali już zaradzić temu archibałaganowi. Sprowadzili brygady inżynierów, Japońców (sic), Niemców oczywiście, i specjalny sztab amerykański z odpowiednim colonelem. Nie pomogło. Ostatnio wyrzucili komisarza Ruchimowicza. wzięli młodziutkiego Andrejewa. Nowa miotła żelazna zamiata co się zowie. Ale porządku niema jak nie było. Wciąż jeszcze towary często niewyładowane, tabor defektowny, a czasem braciszku i cały „pojezd” gdzieś znika z towarami w powietrzu, bawełniane trykotarze w nim były, dziesięć wagonów trykotaży, a znikły jak kamfora z lokomotywą włącznie. Organ Kolejarzy: „Gudok” ma pół miljona prenumeratorów, w redakcji 170 ludzi (sic)!, no a na kolejach porządku niema i w „Prawdach” aż się roi od skarg na takie lokomotywy, co zaraz po remoncie odbywają trzy jazdy tu i ówdzie i znów się psują i znów idą do szpitala na naprawę...

Ponieważ tedy tyle kłopotów mają z normalizacją kolejnictwa, przeto z całym entuzjazmem przerzucili się odrazu do innego rodzaju lokomocji, to jest do nawigacji powietrznej. „Licom” ku chmurom, ku zenitowi, ku niebu. Religja komunistyczna, wiara, zakon komunistyczny każą im widzieć w lotnictwie wojennem broń skroś nowoczesną, związaną właśnie z nimi, z zorganizowanym proletarjatem, z państwem przyszłości.

Tak im to tłumaczą w ucz-punktach i w „agit-punktach” propagandy w „ugołkach” Ossoawiachimu, w szkołach, fabrykach.

Kawalerja to gatunek broni sąsiedzki, szlachecki, pańsko-burżujski. Lotnictwo to broń Republik Radzieckich. W tej dziedzinie rozmach i rozpęd wyzwolonych energij ludowych wypowiada się istotnie w sposób tak dynamiczny, że tu sarkazm, sceptycyzm, dowcipuszki są już nie na miejscu.

Zapewne, że i w tem znowu współpraca Niemców była bardzo wielka: rola prof. Junkersa u samych początków, dostarczanie instruktorów, i Lipeck niemiecki jako centrala wytwórcza, pomoc niemiecka w budowie 2.500 maszyn, w czem 120 hydroplanów, dostarczenie precyzyjnych części składowych. Nietylko atoli Niemcy... Kanada przez pewną Corporation (której patronuje Mellon), dostarcza za ropę sowiecką... aluminium.

Sami wyrabiają już swoje „Kołczug-aluminium”. I mają własne już fabryki silników. I własne gazy (Chimogul). W wrześniowych manewrach flotowych na Bałtyku była już eskadra hydroplanów od a do zet w domu robionych. Sterowców pasażerskich własnej roboty (olbrzymów) już jest trzy; czwarty na warsztacie (20.000 metrów kubicznych wnętrze). Sterowiec „Udarnik” bierze 18 ludzi załogi, 750 klg. ładunku, 100 klm. na godzinę, 1.200 klm bez lądowania. Konstruktorów-nowatorów kilku „pierwokłasnych”; po śmierci Żukowskija Grochowskij, Czołkowskij; Iwan Makorin sporządził maszynę o skrzydłach wysuwanych i wsuwanych z powrotem. Grodkowskij wynalazł jakiś spadochron wprost cudowny: przy opadaniu w koszu z jajami ani jedno się nie stłukło...

Asów lotniczych jest kilkunastu: Gromow, Oppman, Sergiewicz, Babuszkin...

Długość sieci komunikacyjnej dotychczas 50.000 klm. Już połączona Moskwa z Irkuckiem i Władywostokiem przez Sybir z jednej strony, a z Londynem przez Rygę, Królewiec, Berlin — z drugiej strony, ze skandalicznem pominięciem Warszawy!, a stałym kontaktem z niemieckim Deruluftem.

Dużo bardzo pisało się już o Ossoawiachimie, ale warto jeszcze dodać, że dał wojsku 450 aparatów, nadto utrzymuje 30 szkół i rocznie puszcza kilkuset gotowych luft-gerojów.. Gen. Nobile przydzielony do wojskowej awiacji sowieckiej (za specjalnem pozwoleniem „Il Duce”) też się przydał. Pilotów cała armja gotowych z Gromowem i Babuszkinem.

Niebezpieczeństwo tej czerwonej skrzydlatej floty polega jednak głównie na sowieckiej maksymie: ...„Ludiej chwatit!”...

Ludzi nie zabraknie, z ludźmi można się nie ceremonjować, nie oszczędzać ich, wysyłać całe chmary, całe eskadry na stracenie... „Ludiej chwatit”. To jest ich plus.

Ich minus natomiast — to ich nieosobisty, nieuczuciowy stosunek i do maszyny i do aparatu wogóle. I wielkie maszyniska i małe aparaciki ciągle się tam wszędzie psują. Obsługa niestaranna, nietroskliwa, niezgrabna, nieprzyjazna. W tym a w tym rejonie 40 procent traktorów zepsutych, w tym a w tym „awto-zawodzie" czy „awtostroju" 50 procent gotowych samochodów nie do użycia. Amerykańskiego typu żniwiarki-młockarki psują się raz po raz. Turbiny stoją na deszczu i „mokną". Tandety maszynowej produkuje się moc i wszędzie. Stąd „borba za kaczestwo" (wojna z lichotą). Maszyna, aparat nie znosi nieodpowiedzialności; wymaga przywiązania, ciągłej troskliwości i pieczy, a przedewszystkiem... czystości, czyszczenia... A to jest też słaba strona Wschodniej Słowiańszczyzny.

Aparaty urzędnicze, biurokratyczne ulegają częstemu radykalnemu czyszczeniu — „czystce". „Ludiej chwatit", czyli amatorów na posady nie braknie. Ale maszyny bywają niemyte, zaniedbane, nie pielęgnowane, nie odnawiane, nie leczone.

Precyzyjne aparaty skrzydlatej floty tak samo. „Ludiej chwatit" czyli gerojów przestworzy nie zbraknie. Natomiast skoro na lądzie tak się maszyny psują chronicznie i masowo i nowe i stare, i sprowadzane, i swojskie, i traktory i awtomobile i nawet przestarzałe, burżujskie kolejnictwo jest nadal... dla Sowietów Achillesową piętą, to i z aparatami w powietrzu może być gorzej...

KRÓLIKI I KRÓLE.

Każdego, co przybywa z tamtej strony Rubikonu, każdy tutejszy, t. j. Europejczyk, bez różnicy płci i narodowości rozpytuje przedewszystkiem co się tam dzieje w dziedzinie, która „tutejszego" najwięcej, najosobiściej interesuje?

Czy pan był na „Ludziach i świniach?".. Jak tam z teatrami? z twórczością? z frekwencją? czy autorzy jedzą mięso czy z konieczności są jaroszami, jak nie przymierzając ten G. B. S.?...

...Na „Ludziach i świniach" nie byłem. Myśli pan zapewne o sztuce, której bohater w kulminacyjnej scenie mówi podobno:

„w państwie Sowietów świnie otoczone są większym szacunkiem i troską niż ludzie.. no a być może, że nawet zasłużenie?".

Nie! Na tem niestety nie byłem, gdyż prasa przyjęła ją ostro i satyra szybko zeszła z afisza.

Czy sztukę o „Królikach i ludziach" już ktoś z tych młodych udarników napisał?

...O królikach? nie, jeszcze nie.

Ale bardzo trafnie pan o to zapytał. O królikach bowiem słyszy się teraz na każdym kroku. Jakiś czas podobno była moda na krowy. Tysiące artykułów czytało się na temat, że wzorowa krowa sowiecka, proletarjacka powinna ważyć 480 klg., a waży dopiero 280. Na ten temat krowi najwybitniejsi publicyści prowadzili zażarte polemiki. Z Ameryki sprowadzono Roberta Lamonta, speca „inżyniera" od hodowli bydła w pampasach. Przyjęto go z takim entuzjazmem... Raj będzie na ziemi, jeżeli na każdy kilometr kwadratowy Unji Rep. Rad. przypadnie 3 i pół krowy ważącej do 480 klg. Przedtem nie. Obecnie mięso w Sowietach jest drogie, a w niektórych okolicach jest wprost rzadkością. Szaszłyk... tańszy. Chodzi tedy o to, aby za lat pięć (po drugiej piatiletce) każdy mieszkaniec Sowietów miał co drugi dzień w tygodniu pieczeń wołową. W tym celu przyjechał instruktor amerykański Robert Lamont...

Po krowach przyszła istotnie moda na świnie. Sprowadzono 30.000 rasowych egzemplarzy „szlachetnego gatunku", a z nimi i do nich 19 speców hodowlanych, przeważnie Niemców. Sprawa świńska stanęła na jakiś czas na froncie ogólnych zainteresowań. Nietylko pismo „Socjalisticzeskoje Ziemledielje", ale nawet poeta-feljetonista, Demian Biednyj, napisał o tem w urzędowej prasie kilka rymowanych feljetonów w tym sensie, że o ile hodowli wieprzy nie postawi się na „najwyższym poziomie", interwencja zbrojna państw burżuazyjnych jest pewna. Nazywało się to „nastuplenje" na froncie „świnowodztwa" (sic). Wybitniejsi powieściopisarze dostali instrukcję, aby jednak cokolwiek goręcej zajęli się kwestją uszlachetnienia gatunku świń tubylczych i starali się wzbudzić entuzjazm dla ich tuczenia. I wtedy to heretycki conieco Marieniew zirytowany tym nowym bzikiem napisał swoją satyrę p. t.: „Ludzie i świnie".

Obecnie jest istotnie duży szał na punkcie królików. Agit-prop działa. Wychodzi drukiem biljon broszurek o walorach mięsa króliczego i futra króliczego. Na wieczornych kursach robotniczych (rabfakach) pytlują apostołowie. Afisze z królikami widzi się w małych miastach i dziurach na każdym kroku. Kto tam coś po bokach pyskuje przeciw smakowi mięsa króliczego, może łatwo pójść w dyby i na jakiś czas zniknie z horyzontu. Nastuplenje. Z krowami bowiem nie zupełnie się udało. Mało która gdzie waży 480 kg. Raczej poniżej 280. Wieprze znowu trochę się zjedli, a trochę wyzdychali. „Prawda" (pół miljona egzemplarzy?) słusznie pisała:

„A zatem gdybyśmy całkiem poważnie podjęli się hodowli królików, to przy pewnej inicjatywie w najkrótszym czasie moglibyśmy przezwyciężyć problem mięsny prędzej aniżeli jakikolwiek inny. Króliki szybko się rozmnażają, nie potrzebują specjalnego pożywienia, a prawidła ich hodowania są tak proste, że hodowli podjąć się może każdy..." Dos-łow-nie!

Tak dosłownie pisała „Prawda". Ale cóż! mądrzy ludzie swoje, a kułaki, pętaki, prostaki i głuptaki swoje. Uczyli jedni drugich, wszyscy wszystkich, jak postępować z takimi królikami, żeby tyły i tyły i kochały się bez przerwy i potem mnożyły. W kinach to pokazywano, w szkołach. Artykułów wypisali chyba ze 28 tysięcy 760. Towarzysz komisarz Kiłowatow obiecywał, że już w pierwszym kwartale będzie uspiech (sukces) nad uspiechami! że fermy dostarczą do samej Moskwy 3 miljony sztuk. Obliczyli na papierze najściślej statystycznie, wzorowo! Specjalista od wieprzy natomiast zdegradowany i przeniesiony za Irkuck, komisarz towariszcz Sabotażnikowskij, śmiał się kpił na funty z Kiłowatowa. No i co to prawdę ukrywać! on miał rację, on wygrał. Plan hodowli królików nie został zrealizowany nawet w 12-ej części. O „uspiechu" mowy być nie może. Skarżą się „Izwiestja", że w tym kwartale ukatrupiono królików zaledwie 233 tysiące. Lud rosyjski ma jakiś zabobon i właściwie nie znosi królików. Choć to hodowla prosta i łatwa, ale jednak: nie. Trzeba będzie wracać do świń i wieprzów. Szkoda było fatygi z całą propagandą! Może teraz sztuka Marieniewa znów wróci na repertuar...

...Ale prawda. Miał pan przecież opowiedzieć co w teatrach, jakie życie dramatu, jaka frekwencja, nowe talenty, nowe dreszcze, nowe „izmy"?...

...A tak. Prawda. Teatrów moc i wszystkie przepełnione! Świetni reżyserzy, autorzy ciekawi: L. Seifulina, Kirszon, Fajko, Amfinogenow... O sztukach jak: „Chleb", „Strach", „Zboże", pisze się wszędzie w Europie; kilka trup objeżdżało już i Amerykę, przerabiają „Carmen", „Oniegina", „Hamleta". Meyerholdowi budują specjalny teatr, w którym publiczność będzie siedziała na scenie, a orkiestra będzie w szklanej (żelbeton też!) klatce pod sufitem, gdzie normalnie żyrandol...

...No i ślicznie... ślicznie.., Ale właściwie na jakich sztukach pan był w stolicy Sowietów?

...Zdumieje się autor, gdy usłyszy, ale nie będę tego przed panem i Europą ukrywał... „Księżniczkę Turandot" Gossiego widziałem w studjo Szalapina. Przepyszne! Dalej „Króla Leara", „Eryka XIV" (króla szwedzkiego), cesarza „Nerona" w jednej operze, księżniczkę żydowską „Salome" w drugiej operze, dalej świetnie wystawioną „Marję Stuart" (królowę szkocką). Nadto „Hrabiego Luxenburga" w operetce i „Markizę Dubarry" toże... w operetce...

...Stanowczo dużo... I króle i królowie i króliki... Kohnby się uśmiał.

...A jakże tam muzyka u mużyków?

...No co do tego to mam do opowiadania najnowsze nowalje łącząc dla dobra słuchaczy utile cum dulci czyli Wahrheit und Dichtung, tak zresztą jak to wszyscy korespondenci, a już osobliwie literackie znakomitości z powodzeniem bezkarnie praktykują. Co wolno Wellsom, wolno i revellersom.

...Sonara, Termensa? czyś pan słyszał?...

...Proszę sobie wyobrazić, że tak. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Siedzieliśmy sobie pewnego dnia w hollu hotelu Metropol z panem Armandem Pasdeblaguem (kuzyn Paleologue'a), który po napisaniu książki „Z Werandy Metropolu" zarobiwszy na niej ćwierć miljona franków uczuł w sobie niepohamowany popęd do skonfrontowania swojego tekstu z sowiecką rzeczywistością („Qui, mais Moscou?"), kiedy zbliżył się do nas jakiś bardzo szykowny gent z gatunku M. S. Z. i sprezentowawszy się kto i zacz (Politbiuro) ofiarował nam dwa bilety na koncert monstre ku czci tego Gorkiego: Wielka Sala Sofilu (Filharmonja Państwowa). Godzina ósma, gala, ordery pożądane, będzie crème de crème, czyli high-life, tout Moscou, Cik, Nep, Neonep, G. P. U., Prom, Voks...

Ubrałem się w com tam miał (frak od Pinkertona, ordery od Ewertha) i punktualnie o wpół do dziewiątej już zajechaliśmy przed nowy gmach Sofilu (żelbeton, aluminium, szkło. Przy ulicy Trockiej, dawniej Trockiego.

Sala Filharmonji istotnie wspaniała, wysokość mniej więcej pięciu pięter, zmieścić może od sześciu do trzech tysięcy ludzi (z przesypką). Cała od góry do dołu, obwieszona plakatami, afiszami, wykresami, mapami, statystykami, grafikonami, diagramami, stiengazetami, sztandarami oraz t. zw. szlajfami z aforyzmami („łozungami"). Nad organami na estradzie na nadnaturalnej wielkości wstędze czerwonej krasny napis:

„Priwiet Melomanom Zapada" co jak mi się zdaje błędnie wytłumaczył pan Pasdeblague znaczy: „rozmowy podczas koncertu zakazane", a co podobno znaczyło: „Witajcie Muzułmanie ze Wschodu!"

Sala była już dobrze zapełniona, ale czekano jeszcze na dwór..

Na Kremlu kończyła się nadzwyczajna sesja Wielkiej Rady Komisarzy Ludowych („sownarkomindiełu").

...Publiczność? Wrażenie najprzeciętniej europejskie. I stroje i nastroje. Tego, żeby ten i ów papasza siedział w papasze... tego się nie widzi. Rubaszek też stosunkowo mało. Kindżałów w zębach wcale. Gepiści z G. K. P. karabiny maszynowe zostawiają w garderobie. Kilkaset rzędów foteli wypełnia tak zwana obywatelszczyzna po polsku łykołtunerja nowego stempla, to jest mieszczniki (biurokracja) oraz neonepmany, przemieszane z aparatczykami (biurokracja), z familjami. Ceny biletów bywają i bardzo słone i pieprzne ale i bardzo tanie; żadnej „urawniłowki" (zrównania stanów) pod tym względem już niema. Za tanie bilety stoi się pod ścianami rzędami, komsomolcy z komso-małkami; komsomałek stosunkowo duży procent...

...Sonara pan słyszał?

...Zaraz dojdziemy do Sonara. Loże dyplomacji były już wypełnione. Po jednej stronie von Dircksen, który jest wszystkiem w Sowietach stale zachwycony, a po drugiej strony w loży księżna Krapotkina „prababka rewolucji" licząca do stu lat, która Stalina nazywa „seminarzystą", komisarzów „prachwostami, archiworami", a cały zespół: „swołocz". W bezpośredniem sąsiedztwie pokazywano mi ekscentrycznego lorda of Gloucester, który w obawie zamieszek w Anglji od roku zamieszkał w Moskwie; naprzeciw niego zaś siostrę jednego z marszałków angielskich sędziwą księżnę of Yorkshire w otoczeniu sinnfejnistów i sinnfejnistek (sic). W pierwszym rzędzie kilku Barbussów i Barbleussów z różnych narodowości w Sowietach zakochanych do nieprzytomności.

Dwór spóźnił się punktualnie o godzinę. Sam Stalin oczywiście nie przyszedł, gdyż dostał migreny z przemęczenia i gdzieś zapodziała mu się jedna (trzynasta) z ulubionych dwunastu fajek. Zastępowała go jak często piękna pani Łunaczarska w otoczeniu męża i znanych „chudożników" (artystów).

..A sam koncert?

...Coś przepotężnego! coś czego się nigdy nie spodziewano i czego nigdy nie zapomni. Mużycki naród muzykalny wiadoma to rzecz! jakie orkiestry, chóry! jacy kompozytorzy, śpiewacy, jakie solistki!

...Oczywiście Skriabin, Głazunow, Prokofiew, Saporin, Wołoszynow, Miaskowski..., Krein?... Tak?

...Tempi passati! Demodés. Na szmelc. Passeiści! Reakcjonizm! prawe odchylenie! Są już całkiem nowi, całkiem inni, najmłodsi, awangarda! Dyrygował boski Playtenberg, Holender, latający Holender, orkiestrą wzmożoną, szturmową, 50 osób, dwie lokomobile, jeden kombinat (żniwiarka-młocarka i obrabiarka), dwa motory Diesla i jedna haubica okrętowa z pancernika „Marat".

...To ciekawe; To ciekawe!

...A chyba, że ciekawe. Ale dopiero program sam to coś extra dry, super, hyper i hurra! Chodziło o to, aby był naprawdę „priwiet mełomanom Zapada"!...

Na pierwszy ogień szło Jewgeniusza Protopłazmatowa „Traktoratorjum" na pełną orkiestrę, rzecz naprawdę nieprzeciętna, niebywała, nic dosłownie nie mająca wspólnego z szablonem, z tradycją, z muzyką w pospolitem (konwencjonalnem) tego słowa znaczeniu; może tylko cokolwiek widocznie za dynamiczna, skoro kilkadziesiąt osób podobno jednak tym razem ogłuchło. W każdym razie kompozycja co się zowie programowa, muzyka programowa, jutrzejsza, społeczna, szturmowa...

...Czy tylko niezadługie było to „Traktoratorjum"?

...Nie. Tylko dwie godziny.

Po pauzie i po odwiezieniu chorych do pobliskich szpitali na drugie danie poszła rzecz znacznie oryginalniejsza.

...Jeszcze?

...Tak! Sonata XII młodziutkiego kompozytora Tamerłańskiego. Izydor mu na imię. Ma lat siedmnaście i chodzi w baskijce na głowie z Lezginką pod rękę. Z zawodu pono piłkarz i sam gra w orkiestrze na Termenvoxie...

...Termenvoxie? Rany Boskie! Czto takoje?

...Zaraz wytłumaczę co. Otóż kompozycja Tamerłańskiego nosi tytuł nieco dziwny, ale zgodny z „generalną linją" i z dyspozycjami Komisarjatu Sztuki, a mianowicie:

„Stołownia nr. 5 Szturmowej XXII Brygady Rewiru Kadajewskiego (Don Bas)". Punctum.

Rzecz wysoce oryginalna, ale sprzeczne sądy i opinje wywołująca. Podczas gdy referent muzyczny pisma „Krasnyj Piedal" wyrażał się o niej wprost ekstatycznie, krytyk muzyczny pisma „Nowaja Melodia" nazwał utwór Tamerłańskiego „gigantycznem bezobrazjem" a referent pisma „Mołodoj Ton" wprost (i ordynarnie): „białogwardyjskiem Poincaroskiem g...m" i to w głos nie żenując się! Nie obeszło się nawet bez lekkiego skandalu, protestów i usunięcia części publiczności z sali.

Jako trzeci punkt programu, ale to już nad samem ranem, poszła rzecz najciekawsza, a więc jak się łatwo domyśleć uroczysta symfonja Apokałypsowicza na chóry mieszane Czuwaszów i Kabardińców, męskie, żeńskie i nijakie. Publiczności na sali Sofila zostało już z dawnej... niewiele. Wyszedł dwór, dyplomaci, aparatczyki, nepmany... zostali komsomolcy, kursistki, recenzenci, a z ulicy wtłoczyły się tłumy brodiagów, burłaków i t. zw. „nieprizornych".

Muzyka oczywiście też programowa. Ale tu już z samym tytułem dzieła było podobno dużo kłopotów i komentarzy. Ze względu na przeszłość Gorkiego symfonja miała mieć tytuł („charakter"): „Godzina w Sołówkach", względnie „Godzina w Butyrkach" (z kajdanami, karabinem maszynowym i t. p.). W ostatniej chwili władze (Nar-Kom-Pros-Pekt czy też Polit Sow Nar Kom) kazały zmienić tytuł i usunąć kajdany, karabin i t. p. ze względu na audytorjum, innostranców, dyplomację, Amerykanów i ze względu na teraźniejszość Gorkiego. Zmieniono więc tytuł na „Godzina na Sucharewce" (rodzaj Kercelaka), zmieniono charakter (usunięto rondo capriccioso, scherzo).

...A Sonar? Sonar?

I właśnie na miejsce kajdan i karabinów maszynowych dano te nowe instrumenty, które wynaleźli ostatnio boleszewicy eugenjusze, jewgienjusze,

...To pan już mówi serjo?

To już serjo i prawdziwie... a więc to, co wynaleźli inżynierowie (sic) Ananjew, Gurjew, Rżewskij, Termens. Stare burżujskie instrumenty im nie wystarczają. Dla nowej Sztuki proletarjackiej, dla muzyki przyszłości, potrzebne są nowe instrumenty, a więc od Termensa „Termenox, Gurjew wynalazł „Violenę", potem jest „Sonar"... wreszcie instrumenty inwencji Rżewskiego, Ananjewa... Katodowe-harmonjum przypominające nieco uroki słuchowe rozmaitych dawnych instrumentów, a jednak całkiem inne i całkiem nowe, anten-nowe, dziwne, eteryczne, sferyczne, protosferyczne. Tak, tak bardzo ciekawe te nowe instrumenty muzyczne, jakie wynaleźli Bolszewicy...

...Może ...może ale ja wolę jeszcze Bechsteina i starego Stradivariusa.

ROUGE ET NOIR — CZYLI CZERWONI I CZARNI.

Między rasą czarnoskórych a Słowianami o czerwonym światopoglądzie nastąpiło niedawno krótkie spięcie i groteskowy konflikt. Na razie sprawa zlikwidowana czy odłożona czy „kamień w wodu", ale tak gdzieś koło roku 1935, 1940... znów zaczną ją sobie obie strony przypominać i wypominać.

Najpierw przypomnijmy co to są... jeszcze inni, ci trzeci, to jest... czerwonoskórzy. Z tymi to kompletna plajta. Zostało ich jeszcze w Ameryce jakieś 350.000 razem mieszkających w takich rezerwatach czy rezerwuarach. Wszystko ludzie majętni i bogaci, statystycznie na głowę wypada 2 000 dolarów. Tam gdzie mieszkał szczep Obsaga (Stan: Oklahoma) w r. 1868 wybuchła nafta. Ci Obsagowie wnet stali się miljonerami. Na 2.220 Obsagów wypada 170 milj. dol. To ich zdeprawowało. Cofają się w rozrodczości. Wymierają. Sybaryci. Nie przedstawiają żadnego czynnika siły rewolucyjnej w nadchodzącej przyszłości. Jako tacy nie wchodzą w grę ani w rachuby polityczne Sowietarchji.

Co innego czarny coloured people, Murzyni. To jest i potencjalnie i dynamicznie materjał wybuchowy najpierwszej klasy. Indjanie to dekadencja — Negroes to futurum, to jutro. Antropologowie: prof. Delafosse, prof. Gregoire Michels wróżą tej rasie „bajeczną karjerę". Mnożna, pobożna, inteligentna, ofenzywna, świetnie orjentująca się w nowoczesności, oratorzy, kalkulatorzy, juryści, artyści, polygloci i globetrotterzy.

Na Kremlu bardzo skrupulatnie i systematycznie obserwują przez mocne lunety rozwój i rozrost Negroes w archikapitalistycznej Ameryce. Tempo postępów istotnie błyskawicznie i imponujące. Cały revival to kwestja ostatnich lat dziesięciu. Jest ich na Północy i na Południu razem 12 miljonów, z czego pół miljona katolików, 3 i pół protestantów kilkunastu sekt, a 8 miljonów jeszcze pogan. Podali im ręce do emancypacji pierwsi amerykańscy katolicy! nie protestanci. To należy zapamiętać.

Przypomnieć tu należy, że między rokiem 1890 a 1932 miało miejsce w Stanach 3.600 przypadków lynchu oraz t. zw. „teerens and federns" (skąpanie w smole i wytarzanie w pierzu). Jeszcze teraz są Stany, w których murzynom w tramwajach wolno jeździć tylko na platformach.

Potwornie tragiczny amerykański kryzys Negroes odczuwają także i na swojej skórze. W pierwszym rzędzie Murzyni — farmerzy na Południu jak i wszyscy rolnicy. Następnie zaczynają ich usuwać i wyciskać nawet z tych podrzędnych miejsc zarobkowych, które były omal związane z czarnymi (konduktorzy, portjerzy, tancerze, śpiewacy, kucharze, lokaje, kasjerki, pokojówki, nurses, nianki).

Kreml to wszystko obserwuje, kontroluje i zapisuje. W Moskwie z tej przyczyny wychodzi od niedawna pierwsze w Europie pismo murzyńskie: „L'Ouvrier Negre"... (obok angielskiego perjodyku „Moscou-News").

Szefowie Trzeciej Międzynarodówki w Moskwie bardzo troszczą się i opiekują losem i dolą murzynów we francuskich i belgijskich kolonjach, ale również starają się być w stałym i ścisłym kontakcie z ruchem wyzwoleńczym murzynów (i mulatów) amerykańskich, to jest i w Stanach w Brazylji, w Portorico, w Rio de Janeiro i Haiti. Swego czasu na Kremlu Murzynów reprezentował Kamerad Baron, który choć kędzierzawy jak się później okazało, był raczej „białym" i poprostu żydkiem w Łodzi. Pewna część Murzynów w Stanach całkiem wyraźnie sprzyja i inklinuje do komunizmu. Brali obecnie udział w demonstracyjnym marszu uczestników wojny światowej na „Biały Dom" w Waszyngtonie, ale brali również udział pierwszorzędny w wielkich demonstracjach komunistycznych, głodowych i mieszkaniowych w Chicago. Mają nawet swojego kandydata na prezydenta, czerwonego radykała Garveya... Obecnie nie dają już sobą pomiatać, nie pozwalają białym pluć w swoją czarną kaszę, na teror odpowiadają terorem, na gwałt gwałtem. Już teraz oni mają swoje hotele, teatry, kluby z napisami: „Białym wstęp surowo wzbroniony". Już zdarzają się w murzyńskich publikacjach śmiałe wywody, że... Dumas père był... murzynem (półkrwi), że „kultura amerykańska jest wytworem rasy czarnej"..., że „cierpliwość obywateli czarnych jest już na wyczerpaniu"... i że w „Białym Domu też może kiedyś zasiąść czarny yankes"...

Kominternowi na Kremlu w to graj!... Uświadomienie nacjonalne i rewolucjonizacja Negrów, to sukurs i zapowiedź załamania się kapitalizmu amerykańskiego. Niby to amerykanizują się bolszewicy, moda na Amerykę jest tak wszechmożna, że literaci nawet swoim tomom tytuły dają z amerykańska (Selwinskij: „Byzness", Lidin: „Dumping"), ale jednak podkopów pod burżuazję amerykańską się nie oduczyli i chwytają się różnych pomysłów i dowcipków, żeby moment rewolucji w Stanach przybliżyć.

Miał ku temu zbożnemu celowi służyć także film p. t. „Czarni i Biali" wytwórni państwowej „Mezrabpomfilm". Jak szelmy plantatory eksploatują krwawy trud Czarnych? Rok temu sprowadzili z amerykańskiego „Georgia" Stanu do rosyjsk. Turkiestanu dwudziestu murzynów-speców od hodowli bawełny... Tego wymagał Gos-plan. A teraz do realizacji filmu o łajdactwach yankesów sprowadzili z Ameryki 22 murzynów komunistów i sympatyków komunizmu, aby ci dopomogli. Nic to panów z Kremla nie żenowało, że w tylu miastach, w fabrykach, zawodach i strojach, kombinatach i kantorach Amerykanie dopomagają Piatiletce...; film o „Białych i Czarnych" zaczęto nakręcać z czarnymi w „pryncypalnych" rolach... Na jesień miał być gotów! Tempo! Rytm! Szturm!... 1932.

Nagle w połowie sierpnia niespodzianka. Robotę nad filmem przerywają. Komintern kazał nakręcać, Potitbiuro a raczej sam towarzysz Litwinow kazał odkręcać. Ale nietylko to. Murzynom doradzano, ażeby jak najszybciej pakowali manatki i wracali do siebie... „Czto takoje?". Film jest już nieaktualny. „Generalna linja" znów się zgzygzakowała w innym kierunku... Ameryki nie trzeba niczem już drażnić... zaczęły się pogawędki (rozgowor) o uznaniu przez Stany Sowietów nietylko de facto ale i de iure, i o nawiązaniu dyplomatycznych stosunków. Wobec tego krzywdy i niedole murzyńskie schodzą na drugi, trzeci plan. Już niema być mowy o rewolucji w Stanach i o murzynach na przedzie, na froncie, na barykadach, u bram „Białego Domu". Polityka musi być elastyczna i może być zmienną jak la donna. Co wczoraj było ważne i wskazane, to dziś już jest bez sensu i bez echa. Pryncypia są zaś na to, żeby je omijać lub czynić wyjątki. Religje wszystkie się kasuje na ten przykład i kościoły i cerkwie zamyka, zmienia na muzea. Zostawia się jednak pewne świątynie i pagody nawet w Moskwie! np. buddyjskie, konfuncjuszowskie, tybetańskie... Stara „racja stanu" tak zdecydowała i w tym wypadku: walka z plantatorami już nie jest aktualna, wprost przeciwnie....

..,Wobec tego oburzeni, rozwścieczeni czarni komuniści wnieśli przeciw czerwonym protest do „Kominternu". Protest przyjęto, a upartych czarnych wsadzono do wagonu: Niegorełoje — Stołpce — Warszawa — Berlin — Hamburg --- Savannah.

Kiedy pociąg ruszył, Czarni zrażeni do Czerwonych, zaśpiewali sobie pewnie unisono pewien motyw z „Ghetta murzyńskiego".

Nie trzeba tracić nadziei, że jak już znajdą się u siebie, to zaczną tak Czarni Czerwonych oczerniać, że na nich suchej nitki jasnej nie zostawią!...

„OCZKOWTIRATIELSTWO".

...Oczywiście był pan na otwarciu Dnieprostroja.

..Jakżeż mogłem nie być? Prosto stamtąd wracam! Coś koło... kolo-kolosalnego...

...No to śpiewaj Szeherezado! Tylko uprzedzam zgóry, że naczytałem się o tem sporo i zbyt dalekie rajdy blagi będę hamował raz po razu.

...Nie będzie potrzeba zdaje się. W każdym razie to coś jednak, co zaimponować musi już każdemu byle nieuprzedzonemu. Bo jak tam dawniej wyglądało? Co to gadać: wioseczka, „derewnia", dwanaście kilometrów od Zaporoża, Kiczkas się wabiła. A Dniepr tu szeroko rozlany i nic, i nic tylko porohy i porohy, znaczy się: progi. Bohdan Zaleski, poeta opisywał to, inni także, bo Dniepr za swoją rzekę wtedy brali... Żadnym okrętem tędy, bywało, nie przejedziesz! Bez pożytku dla ludzi cała rzeka była, tyle że ryby... A teraz?

Pięć lat temu, takoż w oktiabrze roboty zaczęli. Stale ponad 30.000 dusz ludzkich przy tem harowało, głównie z Czernichowskiej i Połtawskiej ziemi mołojców. W barakach sobie jak te cierpliwe baranki mieszkali setkami i tysiącami czy mróz, szy spiekota. Siedemset sześćdziesiąt sześć metrów długości ma teraz ta tama, 180.000 tonn betonu na to poszło. Największe groblisko na świecie, a w każdym razie w Europie, mniejsze tylko od grobli w Tennesy (U. S. A.), większe od Niagarskiej. Bywało, że i nocami całe brygady pracują, a setki ludzi w wodzie zimnej po pas. Jezioro obok tego powstało 90 klm. długości Kamienskoje się wabi. Turbiny-olbrzymki, turbiny-przemienne, skąd energja elektryczna na transformatory dostarczała ni mniej ni więcej: 810 tysięcy H. P., prawie że miljon krągły! Elektrownia wodna na kontynencie absolutnie największa. Rocznie trzy miljony kilowatów godzin. To też fabryk dokoła moc i stalownie, i huty, cementownie na największą skalę oraz całe miasto obok nowoczesne, świeżutkie jak z igły, z gmachami, z asfaltowemi gościńcami, żelbeton, gdzie popatrzeć drapacze nieba, hale, teatry, no i w promieniu 600 klm. prąd dostarczany do całej Południowej Ukrainy, więc i nie można się dziwić, że to dziewiątym cudem świata nazwali

(ósmy: Magnitogorsk) i arcydziełem techniki XX wieku, jak to wszyscy mówcy przy otwarciu radjując zaznaczali w południe o dziesiątej rano wraz z generalnym amerykańskim inżynierem Hugh-Cooperem, który pierwszy prąd puścił przy wystrzałach z armat, a ku niezwykłemu żywiołowo-spontanicznemu entuzjazmowi zebranych tłumów...

...Długo pan tak może... i to takie jedno zdanie?

...Mógłbym jeszcze więcej, skoro byłem naocznym świadkiem historycznego bądź co bądź faktu... Ale... jeżeli mistrz ma coś contra do opowieści, to słucham, proszę i przeszkadzać ze swej strony nie mam zamiaru.

...All right, mister! Otóż, czy pan wie, czy pan słyszał, co to jest tak zwane: oczkowtiratielstwo? Oczywiście: nie. To jest łagodniejszy odcień naszego sanacyjnego zamydlania oczu. Zamydlania oczu, czyli wytwórnia en masse optymizmu, czyli różanoróbstwo, czyli narkotyzacja, czyli z amerykańska: thrill, radosna twórczość, rozdymana jerychońskiemi trąbami do gigantycznych miażdżących konkurencję wymiarów.

Bolszewicy od adorowanych i kopjowanych przez siebie Amerykanów zarazili się niewiadomo czy uleczalnie gorączką bigness. Wszystko musi być: big w dymensjach, najgrubsze, największe, słoniowe, musi oszałamiać i przygniatać, musi być first, super hyper! I rekordowe i nigdzie niebywałe. Tą tytanicznością się wprost narkotyzują. Szczególnie w dziedzinie wynalazków i odkryć... Nie należy znów tego rozmachu wynalazczo-odkrywczego z głupia po burżujsku całkiem bagatelizować, ale nie sposób nie dostrzec w tem także: oczkowtiratielstwa. Czego bowiem nie wynajdują i nie odkrywają!? Cukier z drzewa! Papier z torfu! Guma z trawy na Uralu (prof. Pawłow, roślina Tan-Sagur), sztuczny kauczuk z naftowej ropy (w Meksyku już wynaleziony przez Girona). Wylęgarnie kangurów i farbowanie chemiczne futerek żywych zwierzątek na Sowfarmach.. Sztuczne deszcze (prof. Obolenski) i rozpędzanie chmur gradowych rakietamti... Raz się to gdzieś udaje, a drugi i trzeci z tego nici i samo czyste ...„oczkowtiratielstwo”. Byle coś nowego i olbrzymiego.

Prof. Joffe chce stopić maszynami, chłonącemi promienie słońca, lodowce na Pamirze dla nawodnienia pewnej części Azji!... W porcie Leningradzkim „ma” stanąć pomnik Lenina (kolos na kuli ziemskiej) większy od „Liberty” w Nowym Jorku... W najbliższym czasie... „ma” być gotów największy w Europie elewator (30.000 ton zboża), większy od Rotterdamskiego i 20 elewatorów „mniejszych” po 5.000 tonn zboża.. W Donbasie jest już w kopalni węgla nr. 17 najniżej położona „bufet-restauracja” (340 metrów pod ziemią) dla górników... Prof. Morozow wynalazł substancję roślinną, która dodawana do żytniej mąki trzymać „ma” chleb

w stanie świeżości przez 32 dni... Pod Leningradem budują fabrykę skrzypiec, która „ma” wypuszczać same... Stradivariusy... Nowe kopalnie nafty... nowe olbrzymie złoża węglowe, i tu i tam wydobywanie „ma” przewyższyć pół miljona tonn rocznie!...

Tymczasem zaś jest faktem, w prasie rządowej statystycznie stwierdzonym, że produkcja... węgla... spadła... Tam znowu z powodu forsownej fabrykacji sztucznej gumy... alkoholu zabrakło. Elewatory jeszcze nie otwarte... Kangury malowane w Sow-farmach (w Majkopie) zdychają. Olbrzymy piece Martenowskie powstają, owszem, ale małe normalne piece we wszystkich gostinnicach(jak to stwierdzają wszyscy turyści) dymią, kopcą i smrodzą... Jeden tylko mały „Czerwony Putiłow” ma wypuszczać dziennie 140 traktorów „ale żebym ja tak zdrów był..” (mówi towarisz Absałonow) jak on wypuści w miesiąc: 40... Duże... zawody sprawiają też i wielkie awtozawody (Niżni Nowogrod-Gorkij), które miały zakasować... Detroit.

Rozmach bowiem w gigantycznościach jest i zapał jest, jeno normalnych zapałek często w całych rejonach nagle nigdzie niema... albo ż znowu ni stąd ni zowąd znajdują się... w większej ilości... w kotłach z barszczem w stołowni nr. 130 trzeciego Artielu Petropawłowskiego Chimo-Kombinatu. Także też i opowiadania. prasy sowieckiej, o drugim już z rzędu „Dnieprostroju” (sic) na Dolnej Wołdze pod Kamyszynem, który „ma” być gotów przed r. 1937 należy przyjąć z grubym, wprost ordynarnym sceptycyzmem.

To jest już chyba stuprocentowe oczkowtiratielstwo. Niech będzie sztuczny deszcz prof. Obolenskiego, zgoda! prof. Iljina białe kangury! zgoda! I semafor na Pustyni, czy nawet Sema-Fordy na pustyni, niech będzie ...i Eifel na Pamirze!!... niech prof. Detechtorwicz lub prof. Ostroblewskij wynajdą w Chaosowskim Rejonie nowe złoża rudy kalodontowej czystej jak nasz monopolowy akwawit... zgoda! Ale niechże do krocset stu miljonów djabłów nie budują jedenastego cudu świata, póki z pierwszym nie dojdą do ładu! Albowiem tam pewne omyłki i felery przy Dnieprostroju jednak są. Kosztorys na 76 miljonów rubli przekroczony podwójnie... Energja dostarczana wynosi 430 tysięcy H. P., nie miljon i nie 810.000.

Całość gotowa, tylko poszczególne części nie działają lub nie działają w związku ze sobą. Hydrocentrala ma szczegóły wadliwe i nie funkcjonujące. Miasto jak się okazuje „postawione” jest w złem miejscu, niema mostów, niema „asfaltów” no i niema połączeń kolejowych z innymi centrami przemysłowemi. Żegluga na Dnieprze nie rozporządza odpowiednim tonażem okrętowym. Co najważniejsze: energja elektryczna nie będzie się kalkulowała ani w przybliżeniu tak tanio jak sobie obiecywano (pół kopiejki,

kilowat godzina). Stąd rzecz cała przedstawia się więcej efektownie niż efektywnie. Tak to krytykują Dnieprostroj nie emigranckie pisma, ale oni sami u siebie, między sobą. I pono dużo, dużo lat upłynie, zanim Dnieprostroj będzie wykonywał to wszystko, czego po nim spodziewano się już na październik roku 1932.

To jedno. A co najważniejsza to pewne imponderabilia psychologiczne, mianowicie: czy takie napięcie entuzjazmu, takie szturmowe, fanatyczne wysilenie energji kolektywnej przetrwa i utrzyma się w szarym, montonnym dniu powszednim? I otóż, o tem właśnie znawcy kraju i „człowieka rosyjskiego" mocno wątpią. Teraz działa jeszcze narkoza propagandy wewnętrznej, dopingowane „udarnictwo", megafony o monumetalności, tysiące egzaltacyjnych podniet, wzięty od Amerykanów dur, zaczadzenia kolosalnością, mania grandiosa. „Gerojów truda" obnoszą na rękach. Ale już są wśród gromad nieco wygłodzonych robociarzy i „łżeudarniki", komedjanci rekordów i już jest zaraźliwy nomadyzm, przenoszenie się masowe z miejsca na miejsce, nagminny typ „letacza".

Injekcje szału twórczego działają już słabiej. Stare próżniactwo i lenistwo wszechsłowiańskie podobno wraca, a z niem szkodliwe i zabójcze dla systematycznej pracy tak zwane „wołowe tempo".

W każdym razie naród, lud ruski chwilowo przezwyciężył w sobie t. zw. Obłomowszczynę, bezwład, lenistwo.

I w każdym razie Słowianie bądź co bądź stworzyli dzieło wielkie jako całość.

SOWIETARCHJA W ANEGDOCIE.

Życiorys obywatela:

Urodził się w poniedziałek, zameldowano go we wtorek, aresztowano we środę, osadzono we czwartek, przewieziono do Czerezwyczajki w piątek, zbadano w sobotę, w niedzielę rostrzelano.

* * *

Mużyk idzie do cerkwi, a po drodze spotyka nieznanego sobie aparatczyka czy też nawet gepistę. Ten zapytuje go ironicznie, za kogo też będzie się modlił w tej cerkwi. Agafit Spirydjonowicz odpowiada przerażony:

— Za Sowiety! Za Sowiety towarzyszu komisarzu!

Ale komisarz nie daje za wygraną:

...A dawniej prachwoście, modliłeś się za Cara Batiuszkę? Tak?

...Modliłem. Modliłem. Nie śmiem się zapierać!

...No i co wymodliłeś stary? Wiesz jaki był koniec Nikołaja?

...Wiem! wiem! I dlatego modlę się teraz za Sowiety.

* * *

Istnieje w Sowietach jedna fabryka, która jednak prosperuje znakomicie pracując dzień i noc wprowadzając w zdumienie zwiedzających. Fabryka ta produkuje tylko dwa blaszane plakaty dla całego Związku Republik Radzieckich.

Na jednem napisane: „Biuro zamknięte".

Na drugiem: „Winda nieczynna".

* * *

Kiedy G. B. Shaw był swego czasu na gościnnych występach w Moskwie dręczył swoich przewodników asystentów (Cycerones) ciągłemi pytaniami o rozmaite drobiazgi.

...Kto jest ten zamiatacz ulicy z taką ciekawą głową?

...To jest były profesor uniwersytetu moskiewskiego Trofim Maxymowicz Saksofonow słynny chemik.

...A kto jest ten stary służący w hotelu, taki sympatyczny?

...To były docent instytutu górniczego Grigorji Ossipowicz Astronomskij, słynny geolog.

...A ten sprzedawca gazet z profilem kompozytora?

...A to jurysta, nie muzyk, to słynny adwokat Siemion Markowicz Turtelaubow.

...A cóż to za szczęśliwe miasto ta wasza Moskwa! Wszędzie inteligencja, wszędzie sławy naukowe! Żadnych analfabetów! To wy ludzi bez akademickiego wykształcenia wogóle nie macie?

...Owszem, mamy.

...A gdzież oni?

...W Kremlu.

* * *

Piatiletka miała jak wiadomo tak podnieść „standard of life" obywateli Związku Republik Radzieckich, że każdy obywatel miał w przyszłości niedalekiej mieć awionetkę na prywatny użytek.

I tak się też, dajmy na to, stało.

Leci tedy Iwan Iwanowicz z Charkowa w północnym kierunku i spotyka „po drodze" Pawła Piotrowicza, lecącego naprzeciw.

...A wy dokąd Pawle Piotrowiczu?

...Do Kijowa braciszku. Podobno tam dają po ćwierć kilo mydła na karteczki.

* * *

W halli olbrzymiej fabryki igieł do gramofonów odbywa się zebranie robotnicze. Przyjechał z Moskwy delegat i przemawia za zapisywaniem się masowem robotników „dzielnych" na pożyczkę wewnętrzną. W pierwszych rzędach siedzi jakiś udarnik, ciągle przerywający nieco kostycznemi uwagami.

Kiedy delegat kończy mowę słowami:

— Kto głosuje za zapisywaniem się na pożyczkę, niech wstanie! Kto głosuje przeciw wewnętrznej pożyczce niech usiądzie....

...na parę lat! — kończy w głos robotnik z pierwszych rzędów.

Autentyczne. Działo się jeszcze przed nowemi reformami szkolnemi (całkiem „wstecznemi") dziś obowiązującemi.

* * *

W Charkowskiej szkole rzem.-artystycznej miał miejsce wypadek samosądu na tle całkiem oryginalnem. Oto jeden z uczniów zakochany w jednej z uczennic zauważył, że koleżanka Porfiria Agatonowna przechyla się ku młodemu nauczycielowi. Wobec tego zakochany student zwołał uczniowską radę szkolną, która po dłuższych debatach zdecydowała, aby nauczyciel podał się do dymisji, gdyż działa na szkodę młodego proletarjatu. Kiedy nauczyciel się wzbraniał, wywieziono go na taczkach.

* * *

Ni stąd ni zowąd obywatel nowego Elewatorowa (nad Kamą) Jurij Platonowicz Turbinow zapragnął przewietrzyć się nieco zagranicą. Składa więc odpowiednie podanie i rozpoczyna pielgrzymkę po biurach i kancelarjach. Po trzydziestym szóstym urzędzie dostaje wezwanie do miejscowego GPU. Staje tedy petent przed jakimś urzędnikiem i prezentuje się:

...A wy dlaczego towarzyszu koniecznie zagranicę? Zostaliby wy lepiej. Stare przysłowie mówi: wszędzie dobrze, gdzie nas niema.

...Właśnie dlatego, że wszędzie dobrze, gdzie Was niema.

* * *

W Sowietach, jak wiadomo panuje ścisły system centralizacyjny w wewnętrznej polityce aprowizacyjnej. Ostatnio Najwyższa Izba Kontroli w Moskwie wykryła sprawdzając sprawozdania, że w pierwszej Turkiestańskiej Brygadzie Kawalerji jednak wychodzi za dużo mięsa. Wysłano więc do intendentury tamtejszej list, a w liście taki ustęp:

„....Według waszego raportu zarzynacie w jednym tygodniu dwa woły, podczas gdy w Moskwie dla tej samej ilości żołnierzy kawalerji wystarczy tygodniowo jeden wół. Wskazane wyjaśnienie tej sprawy odwrotną pocztą...".

Wyjaśnienie z Turkiestanu zaczynało się:

„W odpowiedzi na pismo wasze zaznaczamy przedewszystkiem po pierwsze: Takiego bydła, jak w Moskwie, u nas tu niema. .

* * *

W Moskwie budują nowy żelbetonowy państwowy dom towarowy na pięter 100 (minus 90). Ponieważ wszystko ma być amerykańskie, więc także, jak najmniej ludzi do obsługi. Opowiadają więc sobie, że właściwie tylko jeden człowiek wystarczy i ten będzie stał na dole przy drzwiach wejściowych.

...Jakto jeden?

...Jeden. I będzie tylko powtarzał: Towarów dzisiaj zabrakło. Towarów nie dowieźli. Rozchodźcie się towarzysze! Przychodźcie jutro!

* * *

Gromadka „skolektywizowanych kułaków" z pod Smierdłowska znalazła się w swojem mieście rejonowem i jest w szkole na pogadance naukowej o konieczności hodowli srebrnych lisów w sowfermach, co z miejsca odrazu poprawi ekonomiczną sytuację w całem państwie. Prelegent mówi do głośnika radjowego, stojącego przed nim. W pewnej chwili jeden z kułaków wstaje, podchodzi do stołu i chce szybko usunąć głośnik żeby mówcy nie przeszkadzał. Wobec tego prelegent przerywa wykład i tłumaczy mużykom co to jest radjo, jak to funkcjonuje i jakto głos ludzi w ten głośnik mówiony słychać i w Europie i na całym świecie. Chłopi otoczyli stół gromadą i gapią się. Wreszcie jeden śmielszej natury zapytuje, czy jakby on Foma Pantelejmonowicz co powiedział do aparatu, to też na świecie usłyszą?

Inteligent, śmiejąc się, kiwa głową łagodnie: Spróbujcie starik!...

Kułaczysko staje przy maszynce, chytrze się do otaczających uśmiechnął i nagle do aparatu jak najgłośniej:

..Gołod, gołod czy u was także jest?

* * *

Dygnitarze na Kremlu bardzo lubią kino. Codzień sobie siedzą w jednej sali godzinami na wszystkich kinach. Szczególnie umiłowali amerykańskie, zohydzające bezmyślne życie tej hyperkapitalistycznej warstwy, której kobiety albo są po pas dekoltowane, albo występują w zbytkownych kostjumach kąpielowych. Jeszcze bardziej atoli kroniki bieżące Foxa i Paramountu.

Kiedy niedawno pokazywano w kronice księcia Walji zwiedzającego kopalnie węgla, a to znów siedzącego przy stole razem z górnikami, jedzącego z nimi, nawet śpiewającego, ...wśród dygnitarzy zapanowało zdumienie a obecne żydy zaczęły robić kostyczne szmoncesy.

W pewnym momencie zwraca się sam dyktator Stalinowicz do Rebeki Kaganowicz:

...No tak... ale czy te zdjęcia naprawdę z natury Rebeko Dawidówno?

...N-das...

...No to tam nie jest tak... dobrze, jak przypuszczałem...

KROKODYL.

Czasem jednak najwierniejszy poddany, względnie, po dawnemu: obywatel Rzeczypospolitej, albo pospolicie mówiąc podatkowiec, podatków płatnik punktualny, jednak pokornie zapytać się musi: czy aby tych konfiskat cokolwiek nie zawiele?

Konfiskaty być muszą, wiadoma to rzecz, i cenzura także, bo zawsze jakaś była i jakaś inna będzie, ale zgodziwszy się na to zgóry, jednak zapytać się można przy okazji: czy aby jednak konfiskat nie zawiele, no i z przeproszeniem czy nie za często, skoro się zważy, że niektóre pisemka w krnąbrności swej zapamiętałe i niepoprawne jubileusze już obchodzić mogą, to setny raz w roku Pańskim 1933, to drugie znowu, pożal się Boże 150, a niektóre tygodniki, chłopskie, kmiece, włościańskie, powiedzmy sobie chamskie, no to co drugi numer ciachnięty, z czego szkoda finansowa wcale duża, a w lokalu redakcyjnym płacz i zgrzytanie zębów.

Zdaje się tak normalnie myślącemu obywatelowi, że jest cokolwiek, cokolwieczek, maciupeńko... w tym zapale konfiskacyjnym tak zwanej przesady, a w sumiennem zresztą sprawowaniu obowiązków i baczeniu na interesy państwa czasami bywa i wcale, wcale za dużo tak zwanej szarży, przyczem niezawsze potrzebnie i logicznie.

Przypatrzmy się tedy jak to z tem się dzieje u sąsiadów, za ścianą, gdzie, jak to wiadomo wolność słowa nieistniejąca, teror ponoć straszliwy, opozycji żadnej ani partyjnictwa niema a o liberaliźmie i tolerancji ani mowy, jako że tam „czerwony carat” przecież i cała prasa urzędowa, jak się patrzy, a stosunki wogóle i życie całe niżej psa podwórzowego.

Dużo niedobrego i wogóle złego o tem wszystkiem dowiedzieć się możesz rodaku braciszku, czytając skrzętnie to, co w polskiej prasie o tem nadrukowane bywa raz po raz. Dla przykładu kilka takich migdałków ot z ostatnich czasów pobranych, z warszawskich kurjerów i gazet:

Moskwa, we wrześniu.

1) „Niezwykłe trudności, jakie rząd sowiecki ma obecnie do zwalczania na wszystkich odcinkach „frontu rolniczego”, zmuszają prasę sowiecką do poszukiwania powodów niepowodzenia, które dotknęło t. zw. „kolektywizację” rolnictwa. Pragnąc zdać sobie sprawę z tych powodów, dzienniki sowieckie — trzeba to wyznać — odważnie dotykają bolączek rosyjskiego rolnictwa, szpalty „Izwiestij” i „Prawdy” wypełniane są przez wielkie sprawozdania ze stanu państwowych majątków lub kolektywów rolnych. Autorzy tych sprawozdań nie skąpią ciemnych barw, gdy chodzi o odmalowanie powodów i skutków fatalnie pomyślanej i jeszcze gorzej zrealizowanej „kolektywizacji”.

2) „Izwiestja” stwierdzają postępy, osiągnięte przez Z.S.R.R. w dziedzinie kultury, szkolnictwa i walki z analfabetyzmem. Jednakże wyniki te, zdaniem dziennika, olbrzymie z punktu widzenia kulturalno-społecznego, są niedostateczne, jeśli idzie o wszechstronne przygotowywanie młodzieży sowieckiej do zadań życiowych, jakie je czekają. Szczególnie niski jest poziom nauczania przedmiotów ogólno-kształcących, za co w dużym stopniu odpowiedzialność spada na przedstawicieli „lewego odchylenia”. w organach kierowniczych komisarjatów oświaty poszczególnych republik sowieckich”.

3) „Krasnaja Gazeta” poświęca całe szpalty curiozom, jakie dają się zauważyć na poczcie leningradzkiej. „Poczta jest chora— pocztę trzeba uzdrowić” — tak charakteryzuje prasa komunistyczna stan poczty w dawnem głównem mieście carskiej Rosji. Przewodniczący okręgowego związku pracowników pocztowych i telegraficznych, Aninkin, wyraża się jeszcze wymowniej: „Ilość pracy stale upada i to upada raptownie”.

4) „Czytałem niedawno w piśmie „Krasnaja Gazieta” bardzo ostrą krytykę fabryk obuwia, napisaną przez towarzyszkę Bykowską. Nie darowała ta znána i znakomita towarzyszka ani złym podeszwom, ani źle skrojonym cholewkom, ani dostatecznie wbitym gwoździom, które raniły jej stopy. A teraz znów „Krasnaja Gazieta” przynosi nowy krytyczny referat. Temat jest daleko ważniejszy — no i autor (Sjadow) bardziej znany. Sjadow zwraca uwagę na to ,że komuniści zawracają gwałtownie od haseł „niema

człowieka — jest tylko kolektyw" do... poszanowania i wyznaczania odpowiedniej w społeczeństwie roli właśnie człowiekowi".

5) „Doskonałym i najbardziej wiarogodnym materjałem, wedle którego zdać można sobie sprawę z tego, co dzieje się w Sowdepji, są niektóre działy prasy sowieckiej, więc np. feljetony z bytu współczesnego rosyjskiego. Poniżej przytaczamy w dosłownem tłumaczeniu taki feljeton z moskiewskiej „Wieczerniej Moskwy"...

6) „W Rosji sowieckiej zaprowadzono powszechny obowiązek uczęszczania do szkoły, rozszerzono sieć szkół ludowych i założono liczne szkoły wyższe. W niektórych szkołach nauczaniu dano nowe podstawy, ale jak wynika z doniesień prasy sowieckiej, niektóre szkoły istnieją tylko na papierze. Z okazji nowego roku szkolnego sprawą tą zajmuje się „Prawda", która stwierdza, że kraje i okręgi wogóle nie są przygotowane do szkolnictwa. W środkowym kraju nadwołżańskim miano dobudować 200 nowych szkół, ale do dn. 1 sierpnia nic z tego planu nie zostało zrealizowane. Tak samo ma się rzecz z podręcznikami szkolnymi. Według planu przed nowym rokiem szkolnym miano wydać 37 nowych podręczników. Dotychczas wydano jednak tylko 3, pięć podręczników znajduje się w druku, a reszta dopiero jest opracowana".

Takich więc przykładów i powoływań się na własną prasę sowiecką daliśmy tu sześć, ale moglibyśmy dać sześćdziesiąt, a zawziąwszy się nawet sześćset. I byłyby to artykuły tłumaczone jeszcze nietylko z „Prawdy" i z „Izwiestij", ale i z „Krasnoj Gaziety" („Zapałki bez ognia", fatalny stan fabryk), z „Leningradzkiej Prawdy", z „Wieczerniej Moskwy", z „Krasnego Wiestnika", z „Krasnej Zwiezdy" (rybki gniją w Kaspijskiem morzu), bardzo, bardzo wiele z „Ekonomiczeskiej Żyźni" i z pisma „Za Industrializacju", a wcale sporo z „Sowieckiego Stroitielstwa", z „Krasnawo Studienczestwa", z „Socjalisticzeskiego Ziemledielstwa", z „Nowego Miru", z „Litieraturnoj Gaziety", nie sięgając już do satyrycznego „Krasnego Ogońka", lub... żarłocznego „Krokodyla"... Łatwo więc bardzo przekonać się o tem, że tak nasza prasa, jak i cała prasa burżujska na globie wraz ze socjalistyczną włącznie i emigrancko-rosyjską dość często i pożywnie karmi swych czytelników dużymi porcjami, odrzynanemi z grubych połciów oficjalnej prasy sowieckiej. W ostatnich świeżych publikacjach książkowych o republikach radzieckich znajdujemy także moc powoływań się na prasę sowiecką. Moc szczegółów negatywnych i deprecjonujących poparta jest rzeczowo i dokumentarycznie tłumaczeniami z „Za Industrializacju", z „Sowieckiego Stroitielstwa" i „Ekonomiczeskiej Żyźni". Ci i owi turyści i wojażerzy, aby obrzydzić rodakom ten Nowy Świat czerwony (tak ochoczo reklamowany przez Wellsa, Shawa, Andrè Gide'a i różnych majętnych literatów-snobów) cytują znów często istotnie świetnych i świeżych feljetonistów-satyryków, takich jak W. Ostrow, Kolcow, Sjadow, Sosnowskij, którzy z niesłychanym hyperkrytycyzmem odnoszą się do wszystkich innowacyj, do „łozungów" (haseł), do odkryć i... wynalazków socjologicznych, ekonomicznych... Niektórzy coprawda z tych feljetonistów-kontrolerów, zapędziwszy się za daleko, muszą się nawet „kajać" i odwoływać (Demian Biednyj), niektórzy idą cokolwiek na Syberję (Sosnowskij), czasem nawet rozpędza się całą redakcję („Sowieckie Stroitielstwo"), ale to nie odstrasza ulubieńców publiki, rżnących cały archibałagan gigantyczny co się wlezie i ile się zmieści...

Taki naprzykład W. Ostrow czy Sjadow za takie ustosunkowanie się i „podejście" do Piatiletki... jak oni podchodzą, powinni tak na dobrą sprawę być skonfiskowani co drugi numer. A nie są. Co więcej. Demana Biednawo rymowane feljetony sarkastyczne zbierane w tomiki rozchodziły się w dwóch miljonach egzemplarzy („Dołbaniom"... przeciw monopolowi, alkoholowi, rozpijaczeniu się)... Co więcej: podobno wzmożone czytelnictwo i popularność tej prasy zawdzięczają dzienniki oficjalne głównie tym ironistom, sceptykom, sarkastom, weredykom, którzy tuż pod nosem urzędowych enuncjacyj, wywodów i wygłupiań się programowo-uroczystych, kpią sobie z pierwszej i drugiej piatiletki na funty i kila, wyszydzają nadużycia i przerosty mechanizacji, kolektywizacji, biurokracji, elektryfikacji, chemizacji i.... animalizacji, wyśmiewają karjerowiczostwo i arrywizm, tchórzostwo i „strach" i denuncjatorów i prowokatorów i „kampanje" i... tempo! tempo! za wszelką cenę tempo! („dogonimy i prześcigniemy!") tempo amerykańskie, nadamerykańskie, gigantyczne, żygantyczne tempo, które w praktyce dnia powszedniego idzie czasem dość... tępo.

Tak na dobrą sprawę to biorąc po naszemu, powiedzmy po europejsku (?), to wszystko powinno jednak być konfiskowane! Toż to przecież co się zowie „wreditielstwo", szkodnictwo! Z jakąże satysfakcją czytają te jeremjady, te samobiczowania się, te ostre polemiki i dyskusje i te „tatarskie" wiadomości z... prowincji, te kontrrewolucjonery, liszeńcy, esery w Berlinie, generały i liberały w Paryżu! Toż to się tam w Sowietach rozpasały chyba „obce agentury"? Na czyjżeto młyn woda, na czyj benefis, jak nie dla jednolitego frontu burżujskiego (Poincarskiego) takie ustawiczne niezadowolenia, malkontencje, defetyzmy, szerzenie depresji, sceptycyzmu, niewiary?

A jednak tych jawnych szkodników, wreditieli w prasie sowieckiej nie konfiskują! A nie konfiskują, bo oni (agentury obce) mogą się znów raz po raz powoływać na samych komisarzów, na samych aparatczyków!

Mówił Kaganowicz (sekretarz komitetu okręgowego moskiewskiego) figura! wielka szyszka! Kaganowicz 27 czerwca 1931:

„Od pozornej pomyślności któią wszędzie sygnalizują organy partyjne już poprostu mdlić się zaczyna, a tymczasem żadnej pomyślności jeszcze niema, bo być nie może...".

I tak wylał tamtejszym solenizantom, waletom i megafonom gigantycznej radosnej twórczości kubeł wody na łby a rozmaitym jadowitym feljetonistom Kolcowym i Ostrowym, rozmaitym defetystom, depresjonistom, ironistom (flaumacherami nazywał takich Wilhelm II anno 1918) dodają tylko jeszcze tupetu, bezczelności i zuchwalstwa. Ale i nie on sam Kaganowicz! Prezes Gosplanu Kuybyszew też naurągał sporo biurokracji w rolnictwie, a sam Mołotow o „przeroście aparatu czynowniczego" („wsio w Rossiji propadiot, a czynownik ostanietsia"), a Piatakow, komisarz przemysłu też nasromosłowił o próżniactwie i pasorzytnictwie, a Gringa też! A jak to na sądownictwo wsiadł sam A. B. Solz, szef trybunału apelacyjnego!

Tak na dobrą sprawę po naszemu biorąc (po europejsku), to i to wszystko, co swego czasu w ostatnim roku nagaworzyli Mołotow, Grinko, Kuybyszew, Solz, Kaganowicz, no też i sam Stalin (tu i ówdzie), toby konfiskować można i godziło się, jako że czyste to szkodzenie jest sowieckiemu stroitielstwu i związkowi republik radzieckich i woda na młyn białogwardzistów, kontrrewolucjonerów, eserów, liszeńców, jewrejskich Trockistów i co to gadać, burżujskiej swołoczy wszelkiej...

No a pismo satyryczne „Krokodyl"?

„My, Krokodyl Pierwszy i Jedyny, wróg biurokracji, plaga kretynów, plenipotent licznej rzeszy czytelników, rekrutujących się z pośród warstw robotniczych i włościańskich przyznajemy łaskawie order Krokodyla drugiej klasy wicedyrektorowi sekcji łączności prowincji Dmitrowskiej, towarzyszowi Eppelowi. Mianujemy go zarazem Głównym Kretynem swojego wydziału".

Tak na dobrą sprawę, po naszemu biorąc (po europejsku znaczy się) taki numer „Krokodyla" też skonfiskowany powinien jednak być, jako że wysokiego urzędnika insultujący, partję rządzącą (jelitę) wyszydzający, gosudarstwu wyraźnie wrogi i wreditielny! A jednak skonfiskowany nie został, jak również wolno puszczane na swobodę bywają feljetończyki towarzyszów Sjadowa, Ostrowa, Kolcowa oraz im podobnych malkontentów, flaumacherów, defetystów, passywistów (tylko passywą widzą) opozycjonistów z natury, od urodzenia (tak jak garbate są) antigigantów, pesymistów i wogóle poprostu swego rodzaju endeków (ohne Ende).

A takim wreditielom (z obcych agentur) wogóle niczem bracie nie zaimponujesz! Nie Dnieprostroj albo Azbest miasto ale Babel na 200 pięter z elektryfikacją żebyś wystawił w dwa miesiące i z windami, to takisyn zaraz dostrzeże, że windy nie działają, a elektryfikacja troszkę stanęła.

I zaraz o tem feljetończyk napisać umie, co mu też potem nawet chytre zecery w mig wydrukują...

No i nie konfiskować to potem takich andronów i poprostu bezeceństw antipaństwowych?...

W Z. S. S. R. obecnie nie konfiskują.

SKRZYDLATA FLOTA BOLSZEWJI.

Zaproszony przez wiedeńskiego Benedicta Józef Wissarjonowicz Stalin zamieścił w wiedeńskiej „N. Freie Presse" z dnia 9-go grudnia 1927 długi artykuł o potędze i gotowości wojennej Marsa, znajdującego się w służbie ideologji Marxa. „Rosja — pisał Stalin — niema pretensji być panią na lądzie, ani na morzu. Jej wystarczy, że już w obecnej chwili ma lotnictwo i flotę powietrzną, przewyższającą pod względem liczebności, przysposobienia do boju i pod względem waleczności flotę każdego z państw europejskich".

Szeroko i długo potem opisując stan tej floty (sześć lat temu!) tak zakończył:

„Naród któryby się poważył nas zaczepić, będzie we dwanaście godzin po wypowiedzeniu nam wojny wytępiony".

We dwanaście godzin wytępiony, no to już jest stanowczo najprzesadniejsza przesada i fanfaronada. Nie mniej przeto nie należy znowu zbyt bagatelizować sobie to, do czego Sowiety w tej dziedzinie doszły. No i wogóle w tem „pomniejszaniu olbrzyma" możnaby już zachować pewien umiar i trzymać się więcej „rzeczywistości". Nie czyni tego przepływający przez Warszawę „Kanał Poranny", zalewający ulice stolicy szlamem i namułem kłamstw, wykrętów, przeinaczeń i blagi. W tym „Kurjerze Porannym" mniej więcej dwa razy na miesiąc Francja „zrywa ze Sowietami wszystkie stosunki". Taki tytuł nadają telegramowi „własnemu" z dnia 12-go maja z Paryża, gdzie był ot taki bajc zabawny:

„Tel wł.—Poseł do parlamentu francuskiego, Dumat, oświadczył w rozmowie z przedstawicielem prasy, że na najbliższem posiedzeniu izby deputowanych stawi wniosek o zerwaniu francusko-sowieckich stosunków dyplomatycznych. Ma on nadzieję, że wniosek jego przejdzie większością głosów, ponieważ przywódca socjalistów Blum jest za zerwaniem stosunków z Rosją. Podobne stanowisko zajmuje premjer Tardieu a wreszcie może liczyć się też z pewnem, aczkolwiek cichem, poparciem Brianda. Zerwanie sto-

sunków ma być uzasadnione zbrodniczą działalnością GPU na terenie Francji w sprawie porwania Kutiepowa".

Upłynęło sporo czasu, „poseł Dumat" wniosku takiego nie postawił, co atoli nie przeszkodziło pewnemu piśmidłu niepoczciwemu znów w kilka dni dać nowy telegram własny o nowem „zerwaniu wszystkich stosunków Francji ze Sowietami". Jak swobodnie sobie operuje przytem cyframi i do jakiego stopnia liczy na bezdeń głuchoty swoich czytelników, na to mamy przykład w telegramie „własnym" z 31 maja:

„Potwierdzają się wiadomości o buncie szeregu oddziałów wojskowych, rozlokowanych nad rzeką Amurem. Chodzi o wojska lądowe w sile trzech pułków i to dwóch piechoty oraz jednego pułku artylerji, pozatem mniejszych oddziałów technicznych. W buncie bierze udział załoga 4 statków wojennych, 2 transportowców i 2 torpedowców. Rozruchy wybuchły nagle o północy. Centrum buntu ma być Chabarowsk. Zbuntowane pułki zajęły stacje strażnicze, oraz główne gmachy państwowe w Chabarowsku i na całej linji aż do Władywostoku. Potwierdza się również wiadomość, że zbuntowana czerwona armja pootwierała wszystkie więzienia, uwalniając około 30 tysięcy więźniów, głównie politycznych. Sytuacja dla rządu sowieckiego stała się tak groźna, że przedstawiciele rządu sowieckiego, chcąc zyskać na czasie uważali za stosowne nie występować zbrojnie, lecz rozpocząć pertraktacje ze zbuntowanymi oddziałami. Podczas gdy przedstawiciele rządu sowieckiego pertraktują z rokoszanami, równocześnie gen. Blücher wysłał większe siły wojskowe w kierunku na Chabarowsk, celem stłumienia rozruchów siłą. W kołach sowieckich obawiają się, że zbuntowane wojska czerwone otrzymają poważne posiłki z terytorjum chińskiego, oraz z pobliskich terenów japońskich. Akcję pomocniczą dla zbuntowanych ma organizować biała gwardja emigrancka, znajdująca się na terytorjum chińskiem".

Oczywiście, co słowo, to zełgane. Takich buntów „groźnych" było już w „Kurjerze Porannym" w ostatnich latach kilkadziesiąt. Ale jak można było w samym Chabarowsku wypuścić 30 tysięcy więźniów, skoro sam Chabarowsk według danych podręcznych liczy 40.000 mieszkańców.

Cui bono wysmaża się takie bujdy? Kogo się chce podniecać i podrażniać takiemi „tatarskiemi" kłamstwami o rozkładzie Sowietów? Na czyją fantazję militarystyczną mają wpłynąć te apetytne nowiny ze Sowietów? Jak się tym panom z Marszałkowskiej nie sprzykrzy i nie znudzi tak kłamać i kłamać bez opamiętania.

Możnaby tedy już i tam w tym warszawskim „Canale Grande" cokolwiek sfolgować w karykaturalnem defigurowaniu tego wszystkiego, co się dzieje w Eurazji. Nawet konserwatywny „Dzień Polski" w całym szeregu artykułów prezentując stałą

i mocną współpracę Ameryki ze Sowietami, nie tylko nie zataja, ale specjalnie i tendencyjnie podkreśla pewne pozytywne rezultaty, jakie udało się Sowietom już uzyskać i pewne niebezpieczeństwa, jakie nietylko dla nas, ale dla całej gospodarki europejskiej stąd wypływają. Bagatelizować to wszystko, pomniejszać, wyłącznie wyszydzać, to jest polityka strusia, bezmyślna i lekkomyślna, dająca tylko przelotną uciechę i satysfakcję podstarzałym peowiakom.

O takim Turk-Sibie, kolei gigantycznej, którą wybudowało w piorunowem tempie czterdzieści tysięcy niewolników sowieckich (pod batutą amerykańskiego żyda Shatowa) pisze cała prasa światowa z pełnym respektem, a tylko moskalożercy z „Warszawki" kpią na funty, nie pomnąc jak my to się popisujemy z magistralą Śląsko-Bałtycką. W „Poranniaku" pan Augur (Poliakow) z Londynu w każdym liście przepowiada koniec „czerwonych carów", a tu tymczasem firma Vickers-Armstrong londyńska (przez rząd angielski protegowana) najspokojniej sprzedaje sobie Sowietom 40 nowych czołgów... Izolowanie tedy i wyobcowywanie polityczne Sowietów nie trzeba znowu brać tak dosłownie, no a już Stany Zjednoczone, to całkiem specjalną pieczołowitością otaczają... antykapitalistyczne mocarstwo słowiańskie.

Jeżeli atoli w pewnych dziedzinach dość wielkie postępy zrobiły Sowiety, to co do rozwoju aero w Sowietach sukcesy są stwierdzone wielokrotnie. Lotnictwo, żegluga powietrzna, sport lotniczy cieszą się w Rosji wprost niebywałą nigdzie popularnością. Wszczepił to już w Bolszewików sam Lenin, który dziewięć lat temu rozpoczął dzieło organizacji pasażerskiej komunikacji żeglugi powietrznej równocześnie z wojskową. Tak jak w Italji Mussolini osobiście egzaltował się i rozegzaltował naród, tak i w Rosji (w Anglji książę Walji) osobisty zapał Lenina dał podstawy rozwojowe... Pomogły dużo Niemcy i prof. Junkers szczególnie, który już w r. 1922 pod Moskwą zbudował filję swoich zakładów, w trzy lata potem zwiniętą. Obecnie Sowiety już same budują maszyny metalowe serjami tego samego typu. Już w r. 1928 miały Sowiety 12.000 klm. linij lotniczych pasażerskich, a w r. 1929 podwójną cyfrę, bo 25 tysięcy, w czem jedno najdłuższe na świecie połączenie z Mongolją (5.000 klm.). Już w r. 1922 Sowiety nabyły 500 aparatów pasażerskich. Tam bowiem wszystko idzie na istotnie gigantyczną skalę. Taki Oso-awiachim, t. j. propagandowo-popularyzacyjny związek z ideą przewodnią obrony państwa (Oso) i przygotowania na wojnę chemiczną liczą tam 5.100.000 członków, a piatiletka ma mu przynieść w przyszłości 17 miljonów. Nawet młodzież chłopska zajmuje się gorąco lotnictwem, kształcona również dla obrony przeciwgazowej przez specjalne kadry instruktorskie. Składki na powiększanie floty nowemi aparatami płyną dużymi falami („Otwiet Czemberlenu"). Wśród

konstruktorów mają Sowiety ostatecznie też renomowanych inżynierów.

Co do ilości posiadanych przez Sowiety aparatów wojskowych, to relacje w cyfrach są bardzo zmienne. Stalin w swoim artykule w „Neue Freie Presse" podawał wonczas (1927) 3.000 + 700 pasażerskich i towarowych, które, jak wiadomo, każdej chwili dadzą się przefasonować na myśliwskie, bombowe, wywiadowcze. Obecnie, według obliczeń presumptywnych, Rosja ma tyle maszyn wojskowych, ile w sumie sześć państw z nią sąsiadujących. Aerodromów i lotnisk więcej jak Stany Zjednoczone, bo 72. Jeden z torów powietrznych idzie do... Oceanu Spokojnego, jeden do... zatoki Perskiej. Na niektórych linjach pasażerskich mają miejsce i jazdy nocne. Gazologja podobno także stoi na bardzo wysokim poziomie.

W każdym więc razie sowieckiego lotnictwa, przygotowania, pogotowia lotniczego sowieckiego bagatelizować nie ma sensu... To nie są „złamane skrzydła". To się rozwija w oczach i rośnie na drożdżach.

Graniczymy z Rosją sowiecką na przestrzeni większej niż 1.000 kilometrów.

MAŁA REMINISCENCJA.

Na pytanie (nieaktualne), jak za carskiej Rosji, za panowania Mikołaja II, wiodło się aszkenazim, ten i ów, znający nieco ówczesne stosunki z bliska, odpowiada niekiedy całkiem paradoksalnie: wiodło się materjalnie świetnie, duchowo i moralnie więcej niż znośnie. Co jakiś czas zresztą stwierdzają to (względnie stwierdzali dotychczas) publicyści żargonowi i nie-żargonowi, dość lekką ręką stawiając nam carską Rosję za przykład i wzór tolerancji, liberalizmu, humanitaryzmu. „Nawet za caratu"... tak często zaczynały się monologi, pełne utyskiwań i pretensyj pióra dziennikarzy żargonowych i nieżargonowych.

Z pewnego punktu widzenia i pod pewnymi względami mieli ci panowie rację, gdyż istotnie w ustosunkowaniu pewnych władz u nas do... autochtonicznych... własnych elementów narodowych, starano się nawet naśladować pewne sposoby i metody rządzenia z ery caratu, coprawda nigdy w stosunku do „krajowych cudzoziemców" jak żydów nazwał St. Żeromski.

W każdym więc razie za caratu w głębi terenów rosyjskich i na kresach, żydom wiodło się niezgorzej. Po wojnie rosyjsko-japońskiej w epoce pierwszej i drugiej Dumy doszli żydzi w Rosji

i do wielkiego znaczenia i prestiżu politycznego. Ożeniony z izraelitką minister Sergjusz Witte we wszystkiem popuścił im cugli. Opanowali wtedy całe gałęzie przemysłu. „Czertę osiadłości" zdołali ominąć tak zgrabnie, że 30.000 obcych rzekomo poddanych mieszkało sobie w czterech głównych centrach caratu jak u Pana Boga za piecem. Fortuny robili kolosalne. Jak w Anglji lordami, tak tutaj zostawali baronami: Ginsburgi, Halperiny. Jakąż to potęgą było w stolicy czterech braci Rubinstajnów, łapserdaków z pod najciemniejszej gwiazdy! Cukrownictwo było całkowicie w rękach żydów. Trzęśli niem Hurwicze, Brodzcy i Złotopolski, podobnie znów jak postępową opinją publiczną trząsł (w Birżewych Wiedomostjach) drobny adwokacik z Krakowa p. Propper. A taki Utin? A twórcy portu Libawskiego? A kadetami, książętami liberalnymi, a trudownikami nie rządziły Hencenstajny? Przemysłem syberyjskim maślanym? Adwokaturą? Intendenturą? Literaturą?

To też nie można się i dziwić, że taki np. Aldanow (Landau) tak się często rozczula w swych powieściach, gdy wspomina „stare", dobre" czasy. Czasem to tam coprawda pohulały sobie „kozunie", „Kubańcy", gdzieś tam po małych miastach i dziurach, jak nieprzymierzając Anglicy w Egipcie lub w Transwaalu, czy Belgowie w Kongo (Holendrzy... Multatuli...) Ale dopiero kiedy wobec już widocznego rozkładania się caratu i młodzi żydzi zaczęli przyłączać się do ruchów rewolucyjnych i pchać oczywiście na czoło kohn-spira-cji, dopiero wtedy i na żydostwo rosyjskie przyszły ciężkie czasy. W sumie tedy biorąc i z perspektywy historycznej pod względem materjalnym wiodło się im za caratu doskonale, a pod względem politycznym znośnie.

W każdym razie do takich awantur i rozgromów, jak w marcu r. 1933 w Niemczech, nie przyszło tam nigdy. Tymczasem pomimo tego, gdy front wojenny w r. 1917 zaczął się walić i rozsypywać, pierwsi żydzi, jako dezerterzy i uciekinierzy odrazu masowo przeszli do obozu rewolucji i względem narodu — gospodarza zachowali się z wyuzdanem, satanicznem, sadystycznem okrucieństwem.

Poczciwe ludziska teraz o tem wszystkiem bardzo łatwo zapominają. Wszyscy aryjczycy cierpią mocno na uwiąd pamięci. Słowianie specjalnie, rasa łagodna i pasterska, sielska, dobroduszna. Teraz z okazji tego co te Prusaczyska wyrabiają za hece i spektakle ze swoimi najserdeczniejszymi, w wielu serduszkach tkliwych rozbudziło się słowiańskie współczucie. Zamiast patrzeć spokojnie na widowisko jakie dają światu tak jak w tym filmie dżunglowym („Dajcie nam żyć") tygrys rozwścieklony walczący z pełzającym, potwornym Pythonem... niektórzy tylko w tych antypatycz-

nie i nieprzyjemnie brutalnych hackenkreutzerach widzą wcielenie gwałtu a w... pythonie... ofiarę.

Wobec tego bardzo jest aktualne przypomnienie sobie zapomnianego roku, 1917 (Październik). Ciekawe szczegóły o tym roku przekazali potomności Paul Simon (*Juifs regnants en Russie*). H. Beraud (*„Ce que j'ai vu a Moscou"*) i wielu, wielu innych Francuzów, Rosjan, Niemców, Amerykanów, Włochów i Polaków. Ot, wziąć do ręki zawsze aktualną książkę Ossendowskiego o Leninie.

Fakta pozostają faktami. W erze rzezi chrześcijan w Rosji i inkwizycji bolszewickiej w pierwszym roku od 1917 — 1918 w naczelnych władzach Sowietów było: 448 żydów, 34 Łotyszów, 22 Ormian, 12 Niemców, 3 Finnów, 2 Polaków, 2 Gruzinów, 1 Czech, jeden Węgier.

I wtedy zostało wymordowanych nietylko wedle Berauda, ale i wedle izraelity P. Simona, dalej Sosnowskiego, Poncinsa i wielu źródeł innych:

28 biskupów, 9000 lekarzy, 54.000 oficerów, 11,2950 obywateli ziemskich, 816.000 chłopów, 70.000 policji i żandarmerji i 335.000 inteligencji rozmaitych zawodów.

Czy tyle? Czy mniej? Czy więcej? Czy tylko poturbowanych? Czy jednak wymordowanych?...

Otóż teraz, gdy nasi żydzi domagają się interwencji stałej i każdorazowej w sprawach represyj, stosowanych tam w Niemczech do litwaków czy luftmenschów, nie sposób nie przypomnieć sobie tych potwornych okrucieństw i sadyzmów Neronowych, jakich dopuszczali się żydzi wtedy, kiedy doszli do władzy nad rasą bądź co bądź słowiańską i narodem bądź co bądź chrześcijańskim! Iluż to księży i inteligentów polskich padło wtedy ofiarą rozbestwienia! Jak wyżywali się wtedy w najstraszliwszej krwiożerczości: Trocki, Urycki, Joffe Wstiekłow, Wołodarskij i tylu, tylu innych, dopiero za rządów Stalina precz przepędzonych? Nie bawili się wtedy w sentymenta i humanitaryzmy, jak zresztą nie bawią się i teraz w Palestynie w stosunku do... Arabów.

I nie byliby się też bawili w sentymentalizmy w czerwonym Berlinie, gdzie na 2.772.000 głosujących, na socjaldemokratów (przez żydów rządzonych) padło głosów 646.266, podczas gdy na komunistów 860.570. Gdyby był doszedł do skutku tak zwany jednolity front proletarjatu, gdyby był w porę dofrunął do Berlina z Kopenhagi b. gławnowierch Trockij, już byłby Berlin nową stolicą komunistycznej Mitteleuropy.

Można więc conieco „współczuć" i *pythonowi* w jego walce z rozwścieczonym tygrysem. Ale nie trzeba zapominać, że żydzi sami zasadniczo przeciwko tak zwanym pogromcom i pogromicielom jednak nie są.

ZIEMIA OBIECANA.

Dr. Bernard Kahn, dyrektor „Jointu" zdawał po podróży swej w Wschodniej Europie sprawę przedstawicielowi żydowskiej Agencji Telegraficznej w Nowym Jorku.

Wedle „Naszego Dziennika" z dnia 5. 10 1931 brzmiało tak:

„Charakteryzując sytuację żydów w różnych krajach dr. Bernard Kahn oświadczył, że najbardziej krytyczna sytuacja istnieje wśród żydów polskich. Niewiele lepsza jest sytuacja w Besarabji i na Rusi Podkarpackiej, gdzie wielu żydów nie ma innej perspektywy poza nędzą i głodem. Lepszą jest sytuacja żydów rosyjskich, oświadczył dr. Kahn — większość żydów sowieckich jest uprzemysłowiona. Aczkolwiek warunki życia w Rosji sowieckiej są ciężkie, to jednak żydzi mają te same szanse, co i inne części ludności. Młode pokolenie żydowskie dostało się do fabryk, zaś wśród starszych pozostało już niewiele t. zw. elementów zdeklasowanych".

Otóż to sprawozdanie dr. Bernarda Kahna stoi w... pewnej sprzeczności ze sprawozdaniem, jakie znów w sierpniu składał po powrocie z Z. S. R. R. inny działacz żydowski, p. Eliasz Tobenkin w Londynie, oraz z całym szeregiem notatek i telegramów z Rosji w tymże „Naszym Dzienniku" zamieszczonych. Sprawozdaniu p. Eliasza Tobenkina „Nasz Dziennik" nadał tytuł: „Antysemityzm i Kolonizacja".

I oto co mówił Elie Tobenkin o Eldorado w Z.S.R.R., a co podajemy tu w skrótach:

„Co się tyczy antysemityzmu, jego formy w Z. S. R. R. zbliżają się coraz bardziej do form i do pewnego stopnia — antysemityzmu amerykańskiego. Żydem rosyjskim nie pogardza się jak elementem mniej wartościowym. Nienawidzi się go za wysokie stanowisko, które on zajmuje".

„Żyd rosyjski póty jeszcze będzie odczuwał tę plagę, póki naród rosyjski nie wyrośnie z niej, tak samo jak naród ten ma się jeszcze wyzwolić z innych form zacofania społecznego i kulturalnego"...

Jeszcze więc naród rosyjski „nie wyrósł"! jeszcze się nie „wyzwolił" z „zacofania społecznego i kulturalnego..."!

Pan Tobenkin dość też sceptycznie odnosi się do kolonizacji żydowskiej.

„Stała się ona dla niego czemś w rodzaju ostatniej ostoi. Zdeklasowany żyd, który się poświęcił pracy na roli, zrehabilitował się wobec społeczeństwa sowieckiego. Własne jego życie było już właściwie przegrane, lecz dzięki kolonizacji udało mu się zapewnić możliwą sytuację prawną swemu potomstwu. Kolonizacja daje potomstwu obecnego kolonisty perspektywę uzyskania pełnych praw obywatelstwa sowieckiego, wychowania — aby może następnie po-

święcić się innym zajęciom. *Kolektywizacja zadała poważny cios kolonizacji żydowskiej.* Żyd jest z natury indywidualistą. Gdy zgarniał z pola zboże do swej stodoły, dało mu to poczucie bezpieczeństwa. Obecnie zaś, gdy nie widzi on plonu swej mozolnej pracy, jego zainteresowanie dla pracy rolnej prawie zupełnie zanika".

Że co do tej kolonizacji (Bar-Bidżan, Kalinindorf, Krym) p. Tobenkin miał raczej rację, o tem świadczyłaby też taka notatka w prasie żydowskiej:

„Żydowskie komunistyczne pismo „Emes" podaje, że od lipca 1930 r. do lipca 1931 r. 4.000 osadników żydowskich opuściło Kalinindorfski rejon żydowski. Liczba osadników żydowskich w tym rejonie, która równała się 15.418 w lipcu 1930 r... wynosiła 11.465 w lipcu 1931 r. Z 85 rodzin, zamieszkałych w osadach Nr. Nr. 4, 11 i 18 opuściło te osady 69 rodzin".

Co zaś jest prawdy w tem, co teraz mówił w Nowym Jorku p. Bernard Kahn, że „większość żydów sowieckich jest uprzemysłowiona", że „żydzi mają te same szanse co i inne części ludności?"

„W ciągu ostatnich miesięcy rząd sowiecki czynił wysiłki w kierunku ponownego wprowadzenia t. zw. „Nep" w większej skali, próby te się jednak nie powiodły. Tysiące żydów zostało ponownie *zdeklasowanych* za trudnienie się drobnym handlem, mimo, że pierwotnie był on niby legalizowany. *Wiele tysięcy innych odsiaduje w więzieniach* kary za to, że nie byli w stanie wpłacić wygórowane podatki, wymierzone im przez urzędników sowieckich. Płacą oni za swą lekkomyślność i w przyszłości będą się już trudnili jedynie takiemi zajęciami, które są niedwuznacznie usankcjonowane przez władze rządowe, aczkolwiek dają one, *zaledwie możność głodowego życia.* Z pewnością zgodzą się ci biedacy *głodować,* niż angażować się we względnie chlebodajnych zajęciach *za cenę* ustawicznego strachu: a nuż polityka rządowa ulegnie zmianie — a wówczas jest nieuniknione *więzienie lub nawet zesłanie na Syberję*"...

Głodowe życie... więzienia... zesłanie na Sybir".

Z telegramów „Żata" dowiadujemy się o bankructwie „Ozetu" t. j. towarzystwa, zajmującego się przesiedlaniem młodzieży izraelickiej do nowych kolonji.

Z innego znowu o skonfiskowaniu synagogi Arszatera w Moskwie, już jednej z nielicznych.

Z innego znowu, jak olbrzymią agitację roztoczyły we wrześniu przed świętami Rosz-Haszana i Jom-Kipur (Nowy Rok i Sądny Dzień), brygady szturmowe wojujących bezbożników, jak plakatowano bluźniercze i wyszydzające religię żydowską obrazki i rysunki, jak wyszydzali religię mówcy ateiści pod bóżnicami i synagogami... nawet małoletni mówcy.

W innym telegramie czytamy już w październiku 1932 r.:

„Moskwa (Żat). Po tem, gdy przez czas dłuższy nie było słychać o wybrykach antysemickich, znów sowiecka prasa stołeczna i prowincjonalna zaczęła zamieszczać informacje o wybrykch i incydentach antysemickich w różnych miejscowościach w Związku Radzieckim".

Poczem skargi na Niemców, osiedlonych w Rosji:

„Wzorowy proces" odbędzie się w najbliższych dniach w okręgu im. Marksa i Engelsa, na Ukrainie, przeciw kilku antysemitom, którzy prześladowali członków kolektywów żydowskich „Man weiss" i „Neue Welt" tego samego okręgu. Miejscowe pisma stwierdzają, że wszystkie prawie osiedla niemieckie w okręgu Marksa i Engelsa są zarażone trucizną antysemityzmu".

„Wszystkie osiedla niemieckie" zarażone... trucizną...

I t. d. i t. p. bez końca.

A jednak?

A jednak wielki „Gaon" pansemityzmu, największy komiwojażer autoreklamy, Kopernik, Newton, Galileusz w jednej osobie, czyli Albert Einstein odwołał swój zeszłoroczny podpis na proteście uczonych przeciw stosowaniu przez G. P. U. kary śmierci na uczonych sowieckich.

A krakowski „Nowy Dziennik" tłumaczył to:

„Einstein miał wyrazić się, że zmienił ostatnio swój pogląd na Sowiety, zdając sobie sprawę z tego, że w wyjątkowych okolicznościach, w jakich znajdują się Sowiety, możliwe są rzeczy, które w innych warunkach byłyby nie do pomyślenia".

No więc, jak tam jest w tych Sowietach? Lepiej, czy gorzej? Czy tak, jak mówi p. Bernard Kahn, czy tak, jak p. Eljasz Tobenkin.

Przed... Kaganowiczami zanosiło się na sytuację wprost fatalną.

Wtedy to także wymyślili im tę Sybirską Palestynę ten Amur-Erec....

Między rzekami Biro, Bidżan, Tunguzką i Amurem... Na południe bardzo niepewna i burzliwa Mandżurja. Idealnie więc położone to nie jest, gdyż blisko terenów ustawicznych zamieszek i przyszłej wojny. -Atoli darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby, a terytorjum jest wielkie, kilka czy kilkanaście razy większe od Palestyny i pono urodzajniejsze, bogatsze... Na samym początku kolonizacji odkryto niby mangan, teraz niedawno prof. Skorochod ze swoją ekspedycją odkrył „olbrzymie" złoża węglowe na podobno 30 miljonów... tonn. Chanaan? Trochę nieprzyjemne jest może to, że od Moskwy samej jedenaście dni koleją..., ale już

dodają wagony z napisami po żydowsku: Moskwa — Władywostok i obsługa tych wagonów mówi dla wygody pasażerów czy paserów... żargonem. Byle zachęcić, byle zachęcić!

Okolice świata, jak się powiedziało, nie bardzo rozkoszne i przemiłe. W Charbinie naprzykład Chunchuzi ostatnio stosują oryginalne metody, aby pieniądze wymusić z zamożniejszych żydów. Porywają z fabryk charbińskich dozorców Rosjan i domagają się wykupu np. 20 tysięcy dolarów; nie dostają to mordują Rosjan, aby sprowokować w Charbinie ekscesy przeciwko żydom ze strony białogwardyjskiej kolonji rosyjskiej. No i ekscesy są. Do Szanghaju przybywają liczne rodziny żydowskie, uciekające z Charbina. Ale że i tu kryzys i „ekscesy“, więc uciekają w głąb Mandżurji lub Chin, do miast portowych, gdzie też nastrojów serdecznych i życzliwych niema. Tak przynajmniej rozpowiada o tem agencja urzędowa żydowska.

A właśnie dość blisko tych niespokojnych terenów jest ten dziś sławny Bir - Bidżan, który „czerwoni carowie“ Kremla przeznaczyli na osiedleńczą, autonomiczną republikę żydowską.

Nic tedy dziwnego, że zdania i sądy o tym Bir - Bidżanie bardzo są podzielone i niejednolite. Coprawda i wogóle o doli żydostwa w Związku Republik Sowieckich opinja jest bardzo różnorodna. Przeważnie godzą się znawcy w tem, że poprostu „zamienił stryjek na siekierkę kijek“, czyli, że cały geszeft z rewolucją październikową był *bad business*. Są liczni tacy, co w czterech ścianach wprost wzdychają za carską despocją. Nie wstydzą się. Taki Ałdanow (Landau), zgrzyta zębami w swoich powieściach, tacy jak Augur (Poliakow z Kijowa), Biesiedowskij (Weinstein), taki Frauenstein z Odessy („Lecache“), taki Kessel, już wcale się nie żenują marzeniami sentymentalnemi powracac do tych czasów, gdy Rosją za Wittego zaczynali trząść baronowie Ginsburgi, Rafałowicze, Halperiny, Gurewicze. I cóż się dziwić potem, że nawet pan Szalom Asz, ozdobiony „Polonia Restitutą“, dyffamator armji polskiej (w prasie amerykańskiej) w swoim trycyklu powieściowym polsko-rosyjskim, najwyraźniej, z ciepłą melancholją i tęskliwą sympatją przypomina te czasy, kiedy to w cieniu dwugłowego orła Romanowych potężniały fortuny... Ginzburgów. Uczony Majer Bałaban też czasem westchnie.

Dobrze do niedawnych czasów narodowi wybranemu tam nie było. Nie tak dawno w „Naszym Przeglądzie“ jakiś gentelman opisywał swój wojaż do Ameryki na przepełnionym izra-elitą luksusowym statku „Europa“ i w tym opisie dał taki passus:

„— Polska jest rajem w porównaniu z Rosją — odzywa się młody człowiek, który podszedł do nas z „trefnego“ stolika. — Wracam z Bobrujska, gdzie byłem u rodziców z krótką wizytą... Zgroza ogarnia. Ludzie chodzą głodni i obdarci. Nie jest to ani

życie, ani śmierć. Jeden zazdrości drugiemu kawałka chleba, jeden drugiego nienawidzi. Blagierzy z „Freiheit“ (gazeta komunistyczna w New-Yorku), powinni sami to oglądać jak ja, a wtedy pisaliby inaczej“.

Raj w porównaniu z Rosją?... No, to także znów przesada, ale w każdym razie to, co do niedawna musieli wycierpieć w tem państwie, które współtworzyli, a w którem handel jest nadal w 90 proc. właśnie w rękach państwa, bywało czasami tragiczne. „Bezprizorni“, to są tam właściwie oni, a nie te malczyki z filmu. Jeszcze w Moskwie to jako tako. I w teatrach i w filmach i w prasie i w polityce grają dużą rolę (Habimah!). Ale w szerokim terenie, na prowincji, w poszczególnych „republikach“ i nędza straszliwa, i żydożercze nastroje, i sentymenty, że niech Pan Bóg zachowa.

Najweselszy czy najchytrzejszy atoli wyczyn ze strony „czerwonych carów“ Kremla był właściwie ten pomysł figlarny i jadowity z tą „ziemią obiecaną“, z tem Chanaan, z tym Birbidżanem! Oto ci dopiero („czerta“) strefa osiadłości, dar Danaid, czy sukces Pyrrhusowy! No, bo to niby: chcecie ziemi, to macie. Uśmiecha się wam i zachciewa nie pasorzytniczy handel a produkcyjna praca na roli, zbliżenie do natury? Doskonale! Macie olbrzymi teren, mangan, węgiel, wagony z napisami, no to jedźcie, przesiedlajcie się masowo, osadźcie się, dostaniecie maszyny, budulec, traktory, narzędzia rolnicze, może i superfosfaty?... Tylko już tam zostańcie na dłużej i niech będzie spokój... Damy wam awtonomję... Zrobi się piatilietka kolonizacyjna, tylko jedźcie, jedźcie!

No a tu właśnie nie mają co... jeść! I nie mają gdzie mieszkać. I nie mają co robić. I nie smakuje im klimat. Nie pachnie im rola... bo im już zapachniało „wolnym handlem“... Więc znów lamenty, znów utyskiwania, znów skargi no i znów masowa dezercja świeżych kolonistów. Niema Endeków, niema Obwiepolu, a już są i awantury i jeremiady a Żat zbiera żale i pożalenia...

„Obwodowy komitet partji komunistycznej na Dalekim Wschodzie, który, jak wiadomo, uznał sytuację w Bir-Bidżanie za niezadawalającą w najwyższym stopniu, wydał obecnie podległym sobie organom gospodarczym szereg dyrektyw w dziedzinie dalszej działalności kolonizacyjnej w Bir-Bidżanie“.

Przewodniczący departamentu dla spraw mniejszości w „Ciku“ towarzysz Diamantstein pisze w komunistyczno-żargonowym „Emesie“:

„Miljony ludzi na całym świecie (pisze Diamantstein) przyjaciół i wrogów, śledzi z wielkiem zainteresowaniem sytuację w Bir-Bidżan, ponieważ pracy jest dosyć i każdy może znaleźć zatrudnienie. Najlepszym środkiem przeciwko dezercji byłoby wybudowanie mieszkań dla przesiedleńców“.

Jest więc mangan, przyjeżdzają amatorzy i globtrotterzy, a dachu nad głową braciszku niema. Przyjechał znów obywatel Raszker, kierownik t. z. Komzetu i ten skonstatował, że:

„w działalności kolonizacyjnej ujawniły się poważne wyłomy, zwłaszcza gdy chodzi o przyjmowanie i urządzenie przesiedleńców. Stwierdza się, że miała miejsce niezwykle liczna reemigracja przesiedleńców i że winę za to ponoszą miejscowe organizacje partyjne i radzieckie. Uchwalono przygotować w okresie najbliższych trzech miesięcy zimowe mieszkania dla przesiedleńców oraz podjąć szereg innych przygotowań dla przyjęcia nowych 25.000 przesiedleńców, mających osiedlić w Bir-Bidżanie do końca 1933r."

25 tysięcy przesiedleńców? Ej, chyba jakieś nieporozumienie? Może 2,500, nie 25.000? Przecież dotychczas przy akompanjamencie jerychońskiej reklamy propagandowej osiedliło się od r. 1928 raptem 7.700? Z tych 7.700 z powrotem reemigrowało 60 proc.? Zostało plus minus 4.500! Jeden z tych uciekinierów z... Ziemi Obiecanej pojechał z obrzydzeniem aż do... Rygi i tu naskarżył prasie:

„Warunki życiowe są tu straszne. Niema co jeść; chleb widzimy jedynie w rzadkich wypadkach. Ponadto do chleba tego dodaje się tyle surogatów, że drze gardło. Wielu z nas choruje od niego. Mieszkamy w chatach, sporządzonych z kory drzewnej; cierpimy straszny głód; nie mamy czem się nakryć w nocy; wielu z pośród nas zapomniało, jak wyglądają buty; i tych, którzy noszą łapcie, nazywają „burżujami". Pośród nas znajduje się kolonista, który nielegalnie udał się z Łotwy do Związku sowieckiego, obecnie byłby gotów oddać ostatnią koszulę, gdyby mógł powrócić do Rygi. Jeden kolonista-żyd nie wytrzymał nędzy i powiesił się. Przywieźli nam nie nadające się do żadnego użytku traktory, które w kilka dni rozwaliły się".

Ale uciekinier mógł *ad captandam benevolentiam* burżujów przesadzić, przeszarżować. Niechże tedy głos zabiorą czynniki kompetentne. Była po pierwsze „państwowa komisja kontrolująca":

„Komisja stwierdziła, iż brak odpowiednich przygotowań dla przyjmowania nowych przesiedleńców, wobec czego w niektórych miejscowościach reemigracja nowo-przybyłych do Bir-Bidżanu osadników sięga 50 a nawet 60 proc. Nieraz przesiedleńcy zmuszeni są przez szereg dni przebywać na dworcu. Nikt nie troszczy się o cierpienia nowych osadników. Kom. ostrzega winnych tego stanu rzeczy, iż jeśli wszystkie popełnione błędy nie zostaną naprawione, ponoszący odpowiedzialność kierownicy budowy Bir-Bidżanu będą wykluczeni z partji i pociągnięci do odpowiedzialności sądowej".

Była potem druga komisja, „brygada" wysłana przez redakcję „Emesu" (chef wabi się Litwakow) :

„Niesłusznem jest zwalanie całego jarzma odpowiedzialności za popełnione błędy i niedociągnięcia wyłącznie na karb „Komzetu" i „Ozetu" z pominięciem ogólnych organów państwowych. Ostatnie odnoszą się ozięble do całej pracy, zaniedbują pracę oświatową, budowlaną, meljoracje i t. p. Budowa mieszkań nie pokrywa się z wytkniętym planem. Nie została również wykonana uchwała w sprawie udzielenia kredytu spółdzielniom w wysokości 1 i pół miljona rubli. „Emes" wzywa organy rządowe do bezwzględnego ścisłego wykonywania zarządzeń władz centralnych w dziedzinie budownictwa w Bir-Bidżanie, w przeciwnym zaś razie winni mają być pociągnięci do odpowiedzialności".

Wreszcie zabrał głos w tej sprawie sam Trocki! Który Trocki znowu? Całkiem inny. Jakby dla kpiny bowiem, pierwszym sekretarzem „Komzetu" i kierownikiem kolonji zamianowano Trockiego, ale nie Lwa Dawydowicza a Borysa. I ten Borys dla uspokojenia opinji publicznej „cywilizowanego świata" (czytaj: żydów amerykańskich) zdawał referat wydrukowany potem także w „Emesie":

„Po wyszczególnieniu pozytywnych zdobyczy niespełna 5-letniej akcji przesiedleńczej do Bir-Bidżanu. Trocki przystępuje do analizy ujemnych wyników pracy i stwierdza, że „dotychczas" budownictwo okręgu Bir-bidżańskiego nie było prowadzone planowo. Przyczem nie liczono się z osobliwemi właściwościami nieosiedlonego okręgu, którego kolonizacja nastręcza z natury rzeczy wielkie trudności. W Bir-Bidżanie niema wolnej uprawnej roli. Rozszerzenie uprawnych gruntów byłoby możliwe wyłącznie w wyniku skomplikowanej i systematycznej meljoracji gruntów. Lecz właśnie pod tym względem dotychczas nic prawie nie zrobiono. Luka ta jest niebezpiecznym wyłomem w planach dalszego uzdatnienia i opanowania Bir-Bidżanu. Niebezpieczeństwo polega przedewszystkiem na tem, że bez bazy rolniczej, któraby zaopatrywała miejscową ludność w żywność nie jest możliwa w Bir-Bidżanie żadna kolonizacja".

Pisaniny zatem, referatów, artykułów, zgiełku, harmideru było i jest o Birbidżanie we wszystkich językach świata moc, multum. Najpierw była hosanna i stawianie Sowietów za przykład, jak to rozwiązują wzorowo problem żydowski.

Minęło kilka lat.. I teraz uciekają z tego raju, z tego El-Dorado wszystkiemi dziurami. Dziwić się nie można. Chunchuzy są blisko. Chunchuzy są jeszcze gorsze od Obwiepolaków. Szyb nie biją. Szyb tam niema. Bo domów wogóle niema w tej Ziemi Obiecanej Sowietów, w Bir-Bidżanie.

Uciekają z powrotem głównie jednak dlatego, że poprawiła się i to *w kolosalnych rozmiarach* ich sytuacja w samej centralnej

Rosji. Rzędzą wszystkiem jak rządzili w starej Sarmacji za Kazimierza „Wielkiego“ i Esterki. Są Waregami Stalina w tym stopniu, w jakim byli baronowie Bałtyccy za Aleksandrów i Mikołajów. Dawniej się prosiło: proizwieditie mienia w Giermance!... Teraz: proizwieditie mienia w Jewreje.

U. S. R. R.

Dwie ciekawe książki, godne polecenia dla tych wszystkich nielicznych, którzy nie zapomnieli jeszcze do cna, że istnieje nietylko daleki Wschód, ale i bliski.

Francuska: *Le probleme de l'interpendence de l'Ukraine et la France*“, 1931. Autor: deputowany Emanuel Evain, członek parlamentarnej komisji dla spraw zagranicznych. Przedmowa E. Soulier.

Sowiecka, ale w niemieckim języku wydana książka przez charkowskie biuro *„zur Förderung der kulturellen Verbindungen mit dem Ausland“ pod tytułem: „Der ökonomische, soziale und kulturelle Aufbau der ukrainischen Räte - Republik*“, 1931.

Propaganda co się zowie. A jak daleko wogóle sięga i jakie przybrała rozmiary, tego jeszcze inne dowody także, że n. p. w Ameryce... w Milwaukee wychodzi słownik ukraińsko-angielski: *„Pocket Dictionary of Ukrainan - English*“... a w Nowym Jorku jako osobny przedruk z „Ukrainian Review“ broszura nieprzyjemna: *„Western - Ukraine unter Polish Yoke: (jarzmem.)...*

Jest ich dużo tych Ukraińców i zaczynają się mocno krzątać po świecie. Co się to i dziwić? Jeżeli w Wielkiej Brytanji zaczynają rościć pretensje autonomiczne i Szkocja i Walja, jeżeli wyspa Malta chce zrzucić swoje „jarzmo“, to tym zaraźliwym ruchem (mocno zatrącającym masowemi psychozami) przejmują się łatwo i inni. Równocześnie i równolegle narodowościowe ruchy centrypetalne i centryfugalne: paneuropa, panislamizm, panamerykanizm, pansemityzm... I wprost przeciwnie: Islandja chce się odrywać od Danji, Ulster od Irlandji. Malta chce być niezależną itp.

O Ukrainie sowieckiej często się dowiadujemy to i owo z telegramów agencji ATE. Ale bywały to przeważnie tak zwane „nowiny tatarskie“, zawsze Hiobowe i alarmistyczne. A to bunty, a to głody, a to mordowania komisarzów ludowych, a to nieurodzaj na zboże i pomór na bydło. Jako próbkę sugestji dajemy taki telegram jeszcze z zeszłego roku:

„LONDYN, 25. 11. (ATE) — W angielskich kołach handlowych wielkie wrażenie wywołały obszerne raporty i sprawozdania, otrzymane przez angielską Izbę handlową od przedstawicieli firm

angielskich, handlujących z Sowietami. Według nadesłanych sprawozdań Sowiety nie są w stanie opanować anarchji jaka wytworzyła się na Ukrainie, gdzie role t. zw., „kułaków“ odgrywają obecnie kolektywy rolne, sprzeciwiające się dostarczaniu zboża. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy sytuacja na Ukrainie uległa oddawna nienotowanemu zaostrzeniu. Napady terorystyczne i zabójstwa komunistów zdarzają się prawie codziennie w rozmaitych okręgach. Wzmogła się wśród ludności propaganda oddzielenia Ukrainy od Sowietów“.

Otóż takich i tym podobnych telegramów ATE, czytało się już sporo powtarzanych raz po raz. A że się obietnice niebardzo spełniały, więc nie sposób nie odnosić się do tego chronicznego... „oddzielania“ się od U. S. R. R. z pewnym sceptyzmem.

Raczej też pouczać się z nowych publikacyj choćby i propagandowych czy przyjacielskich (Evain).

Sowiecka „Kanada“ składająca się z dziewięciu dawnych gubernij małoruskich, podzielona jest obecnie na 365 rejonów. Ukraińcy przeważają zwartą masą jednolitą w 80 proc. Rosjan na obszarze U. S. R. R. jest dwa miljony, Niemców pół miljona, Polaków 550.000, a zwartą masą w 70 proc. w t. zw. „Rejonie Marchlewskiego“ ze „stolicą“ Zwiachlem. Żydów 7 proc., ale się ich systematycznie wysiedla. Poza obszarem U. S. R. R. zostali Ukraińcy jeszcze w dawnej gubernji Woronezkiej i w obszarze Donieckim. Rostów nie jest portem ukraińskim. Wschodni Don - Bass też nie należy do U. S. R. R. Centralą władz administracyjnych i militarnych jest Charkiw, stolicą kulturalną, obyczajową, literacką, artystyczną Kijów.

Ukraina Sowiecka jest jedną z najbogatszych, jeżeli nie najbogatszą w swych głębinach ziemią na naszej planecie. W jej łonie złożone są skarby nad skarbami. Oczywiście przedewszystkiem czarnoziem, poczem węgiel, nafta, rtęć, żelazo, cynk mangan, grafit, sól, fosforyty, kaolin, glina fajansowa i jeszcze rozmaite metale, jakich tylko człowiek zapragnie. Klimat dla cukru i tytoniu idealny. Trzy „strumyki“: Dniepr, Dniestr, Bug.

Do tego wszystkiego przybyło w ostatnich latach: poprawiona i najgęstsza w Sowietach sieć kolejowa. Dalej: rozbudowa Don - Basu i portu w Odesie, dalej: Dnieprostrój to jest największa na całym świecie hyperamerykańska hydrocentrala i tama rzeczna. Dalej: Magnitogorsk, to jest największy w Europie piec dla żelaza. Dalej; fabryka traktorów w Charkowie, druga z rzędu pod względem produkcji maszyn na świecie. To już jest gotowe. „Robią się“ zaś przedsięwzięcia jeszcze inne, na dość olbrzymią skalę, służące do wzmożenia przemysłu metalurgicznego i chemicznego do granic w Europie niebywałych. Wszystko z pomocą i pod

kierunkiem Europejczyków i Amerykanów z państw ultrakapitalistycznych. Wszystko kosztem czasowej (podobno) degradacji materjału ludzkiego i roboczego do poziomu Assyryjczyków, Egipcjan i... prostych cyfr... numerów... jak w „Sing-Singu"...: człowiek numer 1737, kobieta numer 7345...

W każdym atoli razie duży rozwój i rozrost potęgi w U. S. R. R. skonstatować się daje. Różne książki i dzieła, a tu i ówdzie, korespondencje w pismach mówią o tem wyraźnie. Kiereński twierdzi, że (od czasu jego wyjazdu)to tylko fikcja i bluff... Ale procent bluffu, fikcji, przesady, megalomanji i imponowania Europie (dognać i przegnać) nie jest jednakże tak wielki, żeby te wszystkie sukcesy należało ignorować i ich nie widzieć. Tembardziej, że jak gospodarczo tak i kulturalnie w U. S. R. R. poziom podniósł się wydatnio. Przymus szkolny już wydał swe rezultaty. Analfabetów w U. S. R. R. niema. Ławra Peczerska zamieniona na Muzeum Narodowe Ukraińskie. Duży pono rozkwit literatury, dramatu, malarstwa, muzyki, cztery wielkie teatry operowe, dużo szkół specjalnych, laboratorjów.

Że są wielkie kłopoty, komplikacje i awantury z koł-chozami, sowchozami, kollektywizacją agrarną, kampaniami zbożowemi, mechanizacją, maszynizacją uprawy roli i chlebozagotówkiem, to też nie ulega żadnej wątpliwości. Że bywają lokalne borby z kułakami, psucie traktorów i obrabiarek, tu i owdzie głód a tam strzelenina to także prawda.

BANZAJ!

Lew Dawidowicz Trockij znów się zabawił w Habakuka i w takim jewrejsko-berlińsko-emigranckiem piśmie, wychodzącem w Kartaginie czy Capui naszych czasów (*„Das Neue Tagebuch"*) zamieścił paszkwil na... Japonję. Co i gdzie tak nagle ukąsiło jednego z trzech wielkich, największych „tułaczów" — (Einstein, Chaplin, Bornstein)? Czem mu zawinił kraj Wschodzącego Słońca?

Oto emerytowany Tytan zirytował się tem, że jeden z członków organizacji faszystowskiej japońskiej chciał sprzątnąć samego Charliego Chaplina, wałęsającego się po Japonji ze swemi girlasami. Trockij zaś odkąd dostał pierwsze dolary od domu „Kuhn, Loeb i Comp." (r. 1917), stale ma dużego feblika dla ultrakapitalistycznej Ameryki. Teraz to zboczenie w nim jeszcze wzrosło, bo mu za wszystko płacą w dolarach a Jahudim nadal grają wielką rolę w Dollarica. I stąd napaść zajadła na kraj Samurajów, za co mu będą chyba wdzięczni i na Downing-Street i na Wall-

Street, a Farbman chester-Guardian znów zacznie żebrać, żeby go wpuścili do... matuszki.

Więc wróży Trockij: Japonja udaje silną, ale nie jest silną! Czeka ją wojna ze Stanami Rosyjskiemi i Stanami Amerykańskiemi! Wtedy ulegnie i będzie w niej rewolucja komunistyczna jak dwa a dwa jest cztery.

Zawsze lubił bawić się we wróżbitę. I zawsze się nie udawało.

Japonja śliczny kraj. Tyle lat zachwycaliśmy się nim, niema żadnego powodu, żeby sentymentu się wyrzekać. To jest rasa z prawdziwego zdarzenia. Jest ich: 83 miljony 454.000. Tak było wczoraj. Ale płodność i rozrodczość największa. W roku 1930 przyrost naturalny: 861.893. Co minutę czworo dzieci, wszystko zdrowe. W roku 1938 albo 1940 będzie ich 90.000.000. Chłopów na roli: 53 proc. Nic tedy dziwnego, że w narodzie zamkniętym w klatkach kilkunastu wysp musiał się zrodzić nie już pęd, ale furja ekspansji. Łatwo dziś angielskim dziennikarzom (prof. G. Konrey, Roney Gilbertowi i t. p.), oburzać się na zachłanność imperjalizmu japońskiego, jeżeli się pół świata trzyma pod nogami... To też i Japończycy musieli dobrać sobie część Sachalinu z węglem i naftą, poczem Formozę, poczem znów kilka wysepek, a wreszcie Mandżuko. Czy godzi się więc zaraz wymyślać im za to od drapieżnych Krzyżaków i Prusaków?

Czegóż więc gniewa się na Japończyków Lew Dawidowicz Trockij, pierwszy bolszewik a Sowietów Judasz, który sam ma na sumieniu kilkaset tysięcy straconych w czerezwyczajkach a jeszcze nie stracił apetytu na rzeź chrześcijan w Europie?

Że teraz Japończycy zakupili w Abissynji od Ras-Taffariego (Menelika) kupę gruntów i że tam się sadowią mocną nogą między Anglików, Włochów, Francuzów? Gdzieś przecież muszą lokować nadmiar swych niemowlątek no i swoich wyrobów, powiedzmy sobie nawet tandetek, którymi obecnie pół Azji i pół Afryki zalewają. Trzeba bowiem przyznać, że rasa Samurajów i na handlu tak się zna omal jak rasa... Salomonów. A że się zbroją gorączkowo, że i u nich władzę zagarnęli młodzi faszyści („Boscy Żołnierze Nipponu"), że nowe karabiny maszynowe obmyślili i tanki cacka, to i cóż się im i dziwić, skoro tuż pod nosem zabrała im Francja (delikatnie) kilka „Wysp Koralowych" (między Kochinchiną a Nową Kaledonją) a Yankesy chcą im pod nosem budować tunelową kolej pod wodą, pod cieśniną Beringa! I połączyć Kanadę... z Moskwą...

Każdy jak może tak się krząta i o swoją egzystencję i przyszłość się troszczy.

Nie macie racji „towarzyszu" Trockij! Zirytował was ten niedoszły zamach na Chaplina?

A może nie napisalibyście tak źle o tej Japonji i nie wróżyli jej nagłej i niespodziewanej śmierci, gdyby was było... doszło... pewne nowe dzieło o Japończykach niejakiego dr. Ojabe?... Czytamy o niem w „Opinji“:

„Ukazało się obszerne dzieło wybitnego historyka japońskiego dra Ojabe, który przeprowadził skrupulatne badanie nad pochodzeniem swego narodu. Uczony japoński doszedł do przekonania, że istnieje bardzo bliskie pokrewieństwo między żydami i Japończykami, którzy są ponoć potomkami pokoleń Gad i Menasze. Dr. Ojabe przytacza cały szereg obyczajów japońskich, które prawie niczem się nie różnią od identycznych obyczajów żydowskich. Dr. Ojabe twierdzi, że Japończycy przybyli do Japonji przez Mezopotamję i Indje zaraz po zburzeniu pierwszej świątyni“.

Czy gdyby wiedział o tem Trockij wymyślałby Japończykom od Krzyżaków, od „Prusaków Wschodu“, od faszystów? I czy życzyłby im tego, co Hitlerowcom?

POLSKA

WIESZCZE I WRÓŻBITY.

Od czasu do czasu nie zawadzi także przypomnieć sobie co to mniej więcej nie całe sto lat temu pisywali nasi Wielcy w tych kwestjach, które nas znowu dzisiaj (na podstawie prawa o „wieczystym nawrocie") do samej głębi interesują.

Weźmiemy sobie na początku Trzech Wielkich, to jest Mickiewicza, Słowackiego i Mochnackiego.

Najpierw Mickiewicza z „Pielgrzyma Polskiego" r. 1833 (w skróceniu):

„Będziemy wiecznie powtarzać rodakom, którzy sposobią się na dyktatorów, a przynajmniej na wodzów naczelnych, ażeby się nie uwodzili naśladownictwem, ażeby w Machiawelu, ani w pamiętnikach Cezara, rewolucji francuskiej lub Napoleonie nie brali jedynych prawideł postępowania. Tyle można z pewnością przepowiedzieć, że nasz przyszły wielki człowiek Wojownik do żadnego z dawnych nie będzie podobny. Jeżeli wolno dalej posuwać domysły, duch narodu polskiego wróży nam, że żaden gatunek pizystracki ani kromwelski nie przyjmie się na ziemi naszej.

Jedno imię popularne w Europie, szanowane powszechnie, opozycji nie znalazło: imię Washingtona. Sam Napoleon powtarzał nieraz, że, gdyby w jego mocy było, radby zostać Washingtonem. U nas tak wielkiem było i jest imię Kościuszki. Zdaje się, że pierwszym warunkiem przyszłego wielkiego człowieka musi być *ta szlachetność charakteru, ta serdeczność, ta dobroduszność,* która Kościuszce i Washingtonowi zjednała miłość spółczesnych i szacunek potomnych".

Tak pisał Mickiewicz. Zapamiętajmy:

„Żaden gatunek Pizystracki, ani Kromwelski!"...

...pierwszym warunkiem przyszłego wielkiego człowieka musi być ta szlachetność charakteru, ta serdeczność, ta dobroduszność"...

Teraz J. Słowacki. Praca: „O potrzebie idei" (w skróceniu):

„Polska najnieszczęśliwsza zapomniawszy o misji, którą dawniej na świecie pełniła, zaczęła być naśladowniczką francuskich idei. We własnym zaś duchu twórczość swoją postawiła *pod ideałem kolorowego ułana,* który w obozie arystokratycznym za myślą porządku, w demokracji zaś głośno za równością cielesną obstaje. Cóż zostaje tym, którzy na wzór takiego ideału kształcić się nie mogą? *Cóż się stanie ze starcem, z kupcem, z urzędnikiem cywilnym, z gospodarzem? Żaden z nich, widzimy, w każdej chwili patrjotą być nie może.* A tak kraj dwudziestomiljonowy przez *wyłączność ideału swego,* pozbawił się codziennego usiłowania 19-tu... a tylko ku jednemu miljonowi popisowej młodzieży obraca swoje wejrzenie. *Taka to bezwładność ogarnąć musi powoli masę narodu,* która ciągle ku celom ostatecznym nie jest jako morze przez gwiazdę miesięczną podnoszona. Dlatego to rzekłem, że *nad ideałem ułana* — nie zniszczywszy go wcale... owszem, świętością do celów podnosząc — postawić trzeba wyższą ideę prawdziwą (trzecią między Anglją i Rosją) — matkę czynów, któraby w niebo prowadząc ku celom ostatecznym, wskrzesiła pył drogi, po której stąpa — a... *człowiekowi nie hołdując żadnemu...* wszystkich podniesionych w kraj jeden zaprowadziła. Idea dopiero wszystkie rozmaite siły ruchu w narodzie rozwinie!... I nie będzie to odtąd naród, który *ciągle tylko na konia wsiąść usiłuje,* ale lud (jak powiedział jeden z filozofów mesjanizmu), wyższy jednym idei stopniem na świecie, a stąd potrzebny Bogu w spełnianiu jego woli na ziemi.

Powtarzam! tak jako Anglja, która rośnie dziś każdym zegarmistrzem i każdym kredytem kupca i każdym majątkiem i każdym ministrem... *a człowiekowi żadnemu nie oddaje całkowicie ducha swego, ale idei*".

Tenże sam Słowacki na innem miejscu:

„Ja ani do takiego wojska, ani nawet do takiej Polski, w którejby Boga i prawdy nie było, należeć nie pragnę".

A teraz trzeci, Maurycy Mochnacki (r. 1831):

„Liczne są rodzaje terroryzmu. Obok teroryzmu stronnictwa, teroryzm genjalnych rozmyślaczy, genjalnych pisarzy filozofów, teroryzm genjuszy, teroryzm wielkiego ducha, który wszystko pociąga ku sobie i pod swoje podbija posłuszeństwo. Taki był teroryzm Napoleona i Cezara. Sława genjusza zajmuje imaginecję, genjusz polityczny i wojskowy roznieca i egzaltuje tę imaginację, czaruje, mami, ludzie z ochotą go słuchają....

„Mistrzował w Polsce po wszystkie czasy, panował, broił ów teroryzm nazwiska, *teroryzm łatwowierności, teroryzm zaufania nieodpowiadającego zasłudze,* Byliśmy i jesteśmy dotąd dziwowidami, *chwalcami, panegirystami* bądź mniemanego talentu bądź urojonej przewagi. Mamy wielkich obywateli, którzy nigdy nic nie pisali, wielkich obywateli, którzy nigdy nic dobrego nie zrobili, wielkich dyplomatyków, którzy ledwo czytać umieją... Ta mniemana sława, ta czcza reputacja, ta *urojona popularność* szerzy się następnie jak dźwięk hucznego dzwonu w powietrzokręgu, uzbraja się całą potęgą łatwowierności szczerej lub udanej i ludziom myślącym *nakazuje milczenie teroryzmem politycznego nierozumu*".

Te trzy cytaty z wielkich pisarzy naszej pięknej ery romantycznej należałoby uzupełnić jeszcze jednym akordem końcowym i dwoma listami, nieznanemi, Conrada-Korzeniowskiego z grudnia r. 1885. Znakomity powieściopisarz angielski, chluba literatury morskiej, pisze do drugiego zanglikanizowanego Polaka, syna emigranta i powstańca z r. 1831, pisze z podróży z dalekiej Kalkuty. Jest to ten moment polityczny, kiedy w nowych wyborach po raz pierwszy wchodzi do Izby Gmin „Labour Party" jeszcze w niewielkiej ilości. (Grudzień r. 1885).

I oto teraz niespodzianka.

Nasza lewica intelektualna od lat kilku wzięła niejako pod swój patronat, ni stąd ni zowąd, Conrada. Naszym literatom żydowskim przypadła do smaku specjalnie rzekoma „międzynarodowość" Conrada. Choć tam do morza mało ci panowie czują inklinacji, ni stąd ni zowąd rozegzaltowali się do tytana marynizmu. Również na podstawie jakichś zgoła przygodnych relacyj, wydało im się, że Conrada można śmiało wpisać pod rubrykę wielkości radykalnej ideologji społecznej.

Listy z r. 1885 likwidują raz na zawsze tę legendę fałszywą. Conrad jest „boleśnie dotknięty" wynikiem wyborów parlamentarnych i wiktorją socjalistów. I pisze, co następuje:

„Międzynarodowe stowarzyszenia socjalistów triumfują i każdy wstrętny łajdak w Europie czuje zbliżenie się dnia ogólno światowego braterstwa. Rabunek i nieład szybko nadchodzą i codziennie roją się sny o dobrze wypełnionych kieszeniach wśród rozwalisk wszystkiego, co jest godne poszanowania, czci i świętości. Wielkie cesarstwo brytyjskie wystąpiło z swych granic i dostało się na pochyloną płaszczyznę socjalnego postępu i radykalnej reformy. Ruch ku nizinie jest zaledwie dostrzegalny, tymczasem i mądrzy ludzie, którzy go zapoczątkowali, mogą się chełpić błędnem i zwodniczem zaufaniem w ich siłę do kierowania wielkiem tem cielskiem w postępie, lecz przekonają się niezadługo, że los narodu już nie w ich ręku się znajduje. Lawina alpejska coraz szybciej, coraz szybciej bieży, im więcej zbliża się do przepaści — swego końcowego przeznaczenia; gdzie człowiek, który potrafiłby zatrzymać druzgocącą lawinę?

Gdzie człowiek, któryby zatrzymał bieg socjalnej, demokratycznej warjacji? Sposobność i dzień nadeszły — i poszły, wierzaj mi — poszły na zawsze. Gdyż słońce zaszło i ostatnią

barjerę usunięto. Anglja była jedną barjerą do powstrzymania piekielnych doktryn, zrodzonych w najgorszych spelunkach kontynentu. A teraz wszystko się skończyło. Losy tego narodu i wszystkich narodów rozgrywać się będą w ciemnościach, wśród płaczu ogromnego i zgrzytania zębów, oprą się o kradzież, równość, anarchję i nędzę pod żelazną rękę wojskowego despotyzmu. Taki jest wynik historji. Taki jest wynik najzwyklejszego sensu logicznego. *Socjalizm musi niezawodnie skończyć się cezaryzmem.*

Wybacz mi, Panie, długie krytyczne sprawozdanie, lecz list Pana — tak serjo mówiący na temat ten musi być mojem uniewinnieniem. Rozumiem Cię doskonale. Chciałbyś Pan użyć lekarstw, aby stłumić niebezpieczne objawy; widocznie, że Pan jeszcze ma nadzieję. Bo ja już nie. Prawdziwie, dawno temu już przestałem mieć nadzieję. Musimy iść dalej. Całe stado idjotycznej ludzkości posuwa się w tym kierunku, idąc za rozkazem łotrów bez skrupułu i kilku szczerych a niebezpiecznych lunatyków. Takie rzeczy być muszą. Jest to przeznaczeniem. Żyję głównie przeszłością i przyszłością. Teraźniejszość — zrozumie to Pan łatwo — mało ma uroku dla mnie. Spoglądam ze spokojem pełnym rozpaczy i obojętności, pełnym pogardy na wypadki przechodzące. Zdetronizowania, reforma rolna, powszechne braterstwo stoją niby kamienie milowe na drodze do ruiny. Koniec będzie straszny — bezwątpienia".

Tak pisał Conrad-Korzeniowski, potężny fantasta i myśliciel, głęboki znawca wszystkich ras i ich psychik, uspołeczniony altruista i etyk.

Z takim niepokojem, pesymizmem, wstrętem, pogardą, odrazą pisał o socjalistycznym ruchu i to w jego samych początkach! Ale co najważniejsze, najbardziej zadziwiające i imponujące, to to przemyślenie całego rozwoju socjalistycznego ruchu i jego następstw i to twierdzenie już wówczas (r. 1885)!, że:

„socjalizm musi niezawodnie skończyć się cezaryzmem";

„pod żelazną ręką wojskowego despotyzmu"...

Tak wróżył znakomity nasz rodak, klejnot w koronie angielskiego piśmiennictwa.

Zestawmy to teraz z A. Mickiewicza napomnieniami i ostrzeżeniami pod adresem Napoleona III, wówczas jeszcze tylko prezydenta, przed zamachem grudniowym (r. 1851), napomnieniami w „Trybunie Ludów". Zestawmy dalej z Z. Krasińskiego Psalmami i Nieboską komedją... zestawmy z różnymi akordami myślowemi, historjozoficznymi i socjalnymi w pismach C. Norwida porozrzucanymi... a wtedy zdumiewać się przyjdzie nad tem, ile to złowróżbnej, tajemnej siły jasnowidzenia jest u tych pisarzy, u tych rzekomo „pięknoduchów", u tych tylko — literatów, którzy nad

dolą i przyszłością i swego narodu i całej ludzkości zastanawiają się głębiej, dłużej, przenikliwiej, z dalszej dziejowej perpektywy, zamknąwszy przedtem drzwi i okna przed zgiełkiem wdzierającej się w ciszę codzienności.

DON PORFIRIO.

„Pycha rodzi Tyrana. Pychą daremnie podcyca niezasłużone powodzenie. Z najwyższych szczytów spadnie zrzucony ramieniem przeznaczenia, kto je daremnie zwalczać usiłuje. Jeżeli kto czynem lub słowem obraża sprawiedliwość, jeżeli gardzi ołtarzami bogów, niech zły los go nagrodzi za niecne uciechy. Któryż to z ludzi pochlebić sobie może do tyla, żeby duszy jego nie groził gniew bogów!..." *(Sofoklesa:* „Edyp Tyran".)

Po zamachu na Mussoliniego konserwatywno-masoński, feodalnie-liberalny, postępowo-reakcyjny, sanacyjno-antydyktatorski, proparlamentarnie-absolutystyczny, jednem słowem „Czas" Krakowski z września r. 1926 pisał, co następuje, a co jest mądre i słuszne:

„Jest to największe niebezpieczeństwo, jakie pociągają za sobą rządy osobiste nawet najbardziej utalentowanych, czy genjalnych jednostek, iż z chwilą ich nagłego ubytku kraj rządzony popada w chaos. Wyobraźmy sobie stan Włoch w razie nagłej śmierci Mussoliniego. Czyż nie wybuchnęłaby tam gwałtowna walka wewnętrzna i czyż porządek zaprowadzony przez znakomitego dyktatora nie uległby nagłemu rozprzęgnięciu?"

Tak pisał „Czas", ale we wrześniu roku 1926; teraz „Czas" śpiewa inaczej.

A dlatego zaś „Czas" tak łatwo zmienił swe poglądy ponieważ stosunkowo zamało zajmuje się... Meksykiem. Gdyby więcej zajmował się... Meksykiem, miałby nadal najwiekszą troskę w tem jednak, co to się w przyszłości stanie jeżeli tego lub owego Mussolinigo już nie stanie i jeżeli wszystko w państwie przez długie lata nastawia się zbytnio na panowanie *Pain Expellera*, czyli uniwersalnego środka na wszystkie dolegliwości wewnętrzne, zewnętrzne, zakaźne, chwilowe, chroniczne, na łamanie w kościach, obstrukcję parlamentarną, zatrucie partyjnictwem, katar w mózgach i t. p.

Odchodzi sobie taki opatrznościowy, taki *Pain - Expeller*, no to potem zostaje pustka, *vacuum*, same myrmidony, pigmeje, karły zaplute i niezaplute, walety, solenizanty, zapoznane miernoty i *ewige Szczeniakerei.* No i rozpoczyna się bigos hultajski i republika Babińska względnie Bałagan, albo *bellum omnium contra omnes.*

Duże państwo wygląda wtedy jak mały pokój dziecinny w momencie, kiedy surowa bona czy Fraulein wyszła na chwilę, widocznie z naglącą potrzebą a bębny i bąki zostały same i zaczynają chwytać się za włosy i conieco kopać i szarpać.

Jak mało podobne jest takie *interregnum* do wesołego *interludjum*, to najlepiej można się przekonać studjując wysoce interesujące dzieje Zjednoczonych Stanów Meksykańskich.

W ostatnich czasach zwiedzało ten romantyczny zakątek świata bardzo wielu śmielszej natury turystów, tak, że z lektury ich dzieł można mieć już pewne pojęcie o wyobrażeniu czy też pewne wyobrażenie o pojęciu.

Z dawnych książek u nas istnieją tylko dwa pamiętniki o kampanji z r. 1867 barona Gostkowskiego i W. Niklewicza. Z nowszych wydawnictw Dr. E. Habdank Dunikowskiego „Meksyk" i wydana przed wojną Podróż angielskiego Dillona, tłumaczone na polskie.

To też tem tylko ubóstwem naszej literatury podróżniczej o Meksyku należy tłumaczyć sobie to, że nasi melomanie Meksyku zamiast powoływać się na tę swoją „drugą" ojczyznę duchową, dość często teraz coś... bredzą o Italji, o Rzymie... o il Duce.

Stosunkowo najwięcej pisze się drukuje tomów o Meksyku w Niemczech, które względem tego kraju stosowały podczas wojny metody polityczne bardzo podobne do tych, które w Polsce zyskały im tylu zwolenników. Ot pobieżnie z jednego feljetonu nawet dowiaduje się człowiek ciekawych szczegółików. Od czasu niepodległości miał Meksyk 52 prezydentów i dyktatorów, a jednego cesarza. W ostatnich 25 latach czternaście razy odbywała się „sanacja moralna". Czternastu prezydentów przepędziły rewolucje, sześciu zginęło nagłą i niespodziewaną śmiercią. Ostatnie lata przedstawiają się dość burzliwie, ale interesująco. Po dość stosunkowo długich rządach comman dante Porfirio Diaz przepędzono go, a wtedy do władzy przyszedł generał Malaga czy też Madera i to olbrzymią większością głosów. Gubernował 7 miesięcy, poczem zamordowano go conieco, a przyszedł do władzy brygadjer Huerta. Niedługo popasał, kiedy znów nastał Carranza; zamordowany w r. Pańskim 1921. Przedostatni wabił się Calles, „wolnomularz", ale za plecyma jego stał Aszkenazy meksykański żyd z Czerniowiec Robert Habermann, inspirator i dusza całego ruchu antyklerykalnego „Kulturkampfu". Żydów wogóle jest jeszcze niewiele, ale te co są Meksykohny działają bardzo aktywnie. Element i czynnik żydowski zastępują tu świetnie nie tyle czyste Indjany, Azteków potomki, (38 proc. ludności) ile mieszańce białych z czerwonoskórymi (metysi) oraz jeszcze gorsze czerwonoskórników z murzynami (zambos). Z tych najwięcej rekrutują się tamtejsze wolne strzelce i junaki (caudillos), przeważnie wszystko to analfabestje (65 proc.). Niemieccy uczeni temu olbrzymiemu przemieszaniu ras przypisują pomieszanie i rozwydrzenie generałów.

Kapitalną nowelę o typowym dziennikarzu meksykańskim, napisał Blasco Ibanez (wyszła i w polskim tłomaczeniu).

Kapitalną zaś anegdotę o generale Huercie, kiedy został naczelnikiem państwa opowiada podróżnik niemiecki o skromnem nazwisku Meyer.

Był raut prezydencki. Zebrana dyplomacja, generalicja, bandyci, włamywacze, plantatorzy, nafciarze oraz magnaci. Huerta odbywał cercle. Z jednym z potentatów naftowych wdaje się w rozmowę o wojsku, którego cyfrę podwyższono do 200.000 żołnierzy. Nafciarz zafrasowany zapytuje prezydenta: „czem my to będziemy płacić Ekscelencjo?...

Huerta najspokojniej wyciąga mu złoty zegarek z kamizelki, chowa do swojej kieszeni. I mówi:

...Con su reloj. (Waszym zegarkiem).

Odtąd ta maksyma „capo del governo" meksykańskiego, stała się przysłowiem narodowem. Określa ona styl tamtejszych bohaterów narodowych, t. z. „włamywaczy do historji": *Con su reloj*"...

Don Huerta poszedł potem na wygnanie ale przed nim poszedł też na wygnanie jego poprzednik Don Porfirio Diaz.

Nie ulega bowiem żadnej dyskusji mistyczny fakt, że od czasów zamordowania t. j. rozstrzelania arcyksięcia Maksymiljana (r. 1867), tam w tej krainie bardzo ciężko jest być głównym sucerenem i regentem.

Każdy z tych prezydentów bardzo dobrze swe rządy zaczynał, ale każdy jakoś źle i fatalnie kończył. A już szczególnie od ustąpienia starego pana Diaza o pięknem a rzadkiem imieniu Porfirio z każdym z prezydentów kończy się jakąś niemożliwą awanturą i hecą. Ten idzie do szpitala, ten do więzienia, tamten do domu warjatów, trzech prezydentów zginęło w krótkim terminie od zamachów przeważnie bombastycznych względnie od sztyletu, trzech znowu na dalekiem wygnaniu na banicji.

Nie wiedzie się im jakoś biedakom. Chcieliby oczywiście jak najlepiej ale jak tu takim Meksykanom dogodzić. Naród jest bardzo trudny do lepszej tresury, narowisty , rogaty, zapalczywy, niezwyczajnie jurny i na kobiety łapczywy i łasy, przyczem i kłótliwy nad wszelką miarę, no i mstliwy jak wszyscy djabli.

„Don Porfirio dobry tyran był"... tak zaczyna się jeden prześliczny bluesek narodowy grywany na gitarach i grzebieniach i śpiewany przez kwintet takich *gauchos*...

I tak było istotnie. Z tych wszystkich brygadierów, którym udało się wyrznąć w pień swoich antagonistów i zainstalować się

potem na stalsze w pałacu prezydenta, Porfirio Diaz był i „włodarzem“ najtęższym.

Zaczął rządzić w r. 1876 i z małą pauzą od r. 1880—1884 przetrwał aż do roku 1910 przez lat przeszło trzydzieści pięć w Meksyku, gdzie się sprzątało gubernatorów, nałogowo wysadzając ich w powietrze z familjami, przetrwał lat 35!

Musiał to być zatem człowiek urodzony do władzy, skoro się jeszcze przypomni po pierwsze, że obywatele meksykańscy są literalnie wszystkich kolorów i maści od bardzo białych do całkiem czerwonoskórych to znaczy że są tam właściwie *same mniejszości*, 19 proc., Europejczyków, 38 proc. Indjan, 43 proc., mieszkańców którzy są mieszańcami, metysami, przyczem Kreolami nazywa się tamtejszych bielasków.

Po drugie: Indjanie dzielą się na trzydzieści kilka szczepów, żrących się ze sobą o lada głupstwo, o lada dziewczynkę porwaną w nocy z chałupy wodza Tolteków przez młodego buhaja ze szczepu „Opatowców“ (sic!).

Po trzecie: Meksykanie piją najtęższe alkohole niekiedy jeden „widę drzewną“ (peyotel) wywołujące potem dzikie, podrażniające wszystkie chucie halucynacje.

Po czwarte: w Meksyku cała ludność cywilna od noworodka do starca uzbrojona jest przez usłużnych Amerykanów od stóp do głowy w broń sieczną i palną z granatami łzawiącymi włącznie; nierzadko spotkać można i w chałupinach nędznych, gdzieś na wysokich skałach całkiem nowiuteńki karabin maszynowy Wilkinsa.

Takim narodem rządzić przez lat trzydzieści pięć to jednak kunszt nielada. Tamby wysłać naszych „łamaczy kości“ czyby sobie z takim wulkanem dali radę?

A jednakże Porfirio Diaz rządził i to tyle lat, tyle miesięcy tyle tygodni! Rządził nie ciężką ale mocną ręką, nie „genjuszem“ żadnym tylko rozumem, taktem i umiejętnością.

Nie było takiej dziedziny życia, w którejby za jego włodarzenia nie zrobiono bardzo wiele pozytywnego, nie uzyskano świetnych rezultatów. Pobudował bardzo wiele dróg i szos i gościńców i mostów. Pozakładał moc linij kolejowych, stacyj, składów towarowych. Gęsta sieć telegraficzna pokryła kraj olbrzymi. W miastach tramwaje elektryczne, rzeźnie, elewatory, irygatory, wodociągi.

Don Porfirio został twórcą regularnej armji meksykańskiej. Don Porfirio dał prawo wyborcze i Indjanom. Don Porfirio wytępił w kraju bandytyzm i kubaniarstwo, łapownictwo. Don Porfirio tysiąc reform pożytecznych zaprowadził. Za Don Porfiria skończyły się regularne coroczne rewolty, wojny domowe comandantów z comandantami, bratobójcze rzezie i bombardowanie wzajemne.

Don Porfirio także położył nieco tamę inwazji i penetracji amerykańskich spekulantów i wysysaczy. Jednem słowem „Don Porfirio dobry to był tyran“... włodzarz... dyktator, prezydent...

A pomimo to?

A pomimo to, pewnego pięknego dnia *czerwcowego lat temu okrągło* jak obszył trzydzieści trzy (1910), jak się porwał nagle ni stąd ni zowąd, najniespodziewaniej w świecie ludek stołeczny meksykański, jak nie zacznie walić z browningów na wszystkie strony a potem z armatami na pałac i rotowy ogień.

Nie upłynęło dwanaście godzin walki ulicznej i strzelaniny na wszystkie boki a Don Porfirio musiał w otoczeniu ostatnich wiernych caballeros uciekać na białym koniu ze stolicy i z Meksyku.

Tyle dobrego zrobił! już prawie 75 lat miał! i musiał uciekać.

Jeszcze w pierwszych dniach czerwca krzyczeli mu na ulicach: Hosanna Salvatore! Hosanna! A w ostatnich dniach czerwca już tylko. Agape! Jedź stary! Precz z Diazem! Nic mu ten niepoczciwy ludek ognisty nie miał właściwie do zarzucenia. Ani okrutny nie był, ani niesprawiedliwy, ani ordynus, ani raptus, z gołemi torbami wyjeżdżał. A jednak go wylali. Bo się poprostu, poprostu znudził.

Już dość mieli chyba tego nazwiska, czy co do djabła? Już dość mieli tego wychwalania ciągłego. Bo to nawet nie sama opozycja, nie rywale, nie pretendenci, tylko poprostu wszyscy *unisono, viribus unitis* go przepędzili... bo się nim setnie znudzili i chcieli odmiany, poprostu odmiany.

Edyp Król podobno także dobry był jako włodarz i tyran to znaczy rządca, nie despota. Jednak go zemsta zazdrosnych bogów (hybritseon) wtrąciła w przepaść niedoli.

A myślicie może, że po przepędzeniu Diaza wszystko tam znów się poprawiło, opozycja położyła się spać i przestały zamieszki i hece?

A djabła tam. Właśnie, że te za długie, za spokojne, może nawet za dodatnie ale przeciągane niemożliwie rządy przygotowały za duże zapasy i pokłady drożdży i fermentów rewolucyjnych i awanturniczych. Gdyby to było eksplodowało sobie od czasu do czasu za Diaza, toby się tego wybuchowego materjału nie zamagazynowało tak dużo.

A tymczasem kiedy Don Porfirio osiadł w Paryżu na banicji (no i na lekkiej dewocji) tymczasem tam w Meksyku zaczęło się na całego. Maderę *(presidente Potroleo)* zamordowali, Caranzę zakatrupili, don Adolfo „Ogródek“ (Huerta poszedł na wygnanie (daje teraz lekcje śpiewu w Hollywood) don Valeriano Huerta w jakiemś więzieniu amerykańskim pomarł. Potem jakieś metysy Guerrery, socjalisty Callesy wściekłe na księży, to znowu wyzwoleńca Obregona obierają, a tego, zanim objął władzę, sprząta ma-

larz artysta Toral... No i wogóle ciągłe hece, skandale, spiski, kontrybucja, awantury, pronunciamento, rewolty, zamachy, strzelaniny, armaty w robocie, dynamity, maszynowe karabiny na ulicach, duży ruch w interesie, no i wzdłuż torów kolejowych, „narodowym obyczajem" dużo powieszonych na słupach telegraficznych... raz obszarników i klerykałów to znowu komunistów i bezbożników, rozmaicie bywa... jak przypadnie...

Stary pan Porfirio umarł sobie w hotelu paryskim na banicji w 1915 roku 80 letnim starcem, choć tam ongiś masson piekielny ale z Bogiem pogodzony. Tyle miał staruszek satysfakcji cierpkawej co se w gazetkach meksykańskich naczytał o srogich mordach i rzeziach w ukochanej ojczyźnie... *in grata patria i partja.*

Nie nastały spokój i normalizacja po jego śmierci, nie, bo nastać nie mogły, bo naród był i jest w gorącym ukropie kąpan krewki, temperamencki, no i co nieco sadystyczny, jako że okropne rasowe mieszańce metysowate a czerwonoskórych i czerwonych ideowo sporo a co drugi po dwa brauningi za pasem nosi. „Klasyczny kraj komendantów" tam się mówi... *Rewolucja in permanentia...* A kobity... przeważnie cudowne jak Riority także do spokoju umysłów się nie przyczyniają...

O „Don Porfiriu" zapomnieli już z kretesem. Tylko od czasu do czasu gdzieś na zapadłej prowincji w jakiejś *bodega obscura* nad ranem, gdy się ludziska porządnie nagazują, to ta jeszcze czasem z dużym rykiem przy akompanjamencie palby i pukaniny z brauningów zanucą stare:

„Don Porfirio dobry tyran był"...

HERMY CZY MASKI.

Na Zjeździe Plastyków w Krakowie nie zabrano głosu w sprawie pomników, bo wogóle nie mówiono o Sztuce ani nawet o „sztuce jednobarwnej, demokratycznej", och, jakże bardzo demokratycznej. Mówiono tylko o zarobkach i o braku zarobków, o dochodach, o kupcach, o procentach, o biedzie, o rządzie, i czy rząd nie da pieniędzy, a może da pieniądze, a może da Akademję bez pieniędzy, no to lepiej, niech da pieniądze bez Akademji, ale niech wogóle cośkolwiek daje byle dał (bis dat qui cicho dat).

O Sztuce nic. Nie było komu. Więc i w stawianiu pomników, poronionych przez biurokrację żandarmerję i Babińczyków ten nikt nie pisnął. Tak, te Fidjasze nie są na miarę Fidjasza, boć i najciekawszym malarzem bieżącego sezonu jest i pozostanie zdaje się już obywatel szewc. Sztuka plastyczna w Polsce sanacyjnej agonizuje i lada chwila zapadnie w letarg; zatruł ją bakcyl serwilizmu, płaszczenia się i mizdrzenia się i naciągania naczalstwa.

A tymczasem do garści uwag i refleksyj w sprawie pomników już tu raz wytrzaśniętych przed P. T. Publiką trzeba dodać jeszcze naręcze nowych informacyj, które nadesłano łaskawie. Okazuje się, że psychoza bohomazowa szerzy się znacznie nagminniej i niebezpieczniej niż się o tem sygnalizowało poprzednio. Okazuje się, że biurokrację i bebewuerję w różnych prowincjonalnych dziurskach i gniazdach zatraconych poprostu szał czy bzik stadowy ogarnął... Heine-mekka czy heine-medina, a może meningitis, drętwica mózgu. Obrzydłówek zazdrości Smrodowicom, że u nich już stanął monument, a Kiernozia naśladuje Smorgonie, wszystkie zasie idą za przykładem Pipidówki podwawelskiej. Jest to w narodzie podobno „idjotów" ta sama psychoza, która grasowała nietylko za Wilhelma II w Niemczech (Siegesalleen), ale i we Francji za Napoleona III (Marengo i Solferino) i w... Helladzie tuż przed jej inkorporacją do Imperium Romanum.

Ale bo greccy plastycy, to bądź co bądź greccy! Co Skopas i Praxyteles, to nie pp... Żerych i Zinserling. Jakaś tam różnica jednak jest. A może i gruba. A w każdym razie taka, jaka między francuskim Degasem a polskim Dygasem a niemieckim profesorem Begasem (co tych pomników w Berlinie tyle nastawiał), a polskim Biegasem, co się tak kiedyś zapowiadał. Łatwo nasadzić na środku placu taką grupę, ale jak ją potem sprzątnąć?... Berlińska Siegesallee, choć ją wyszydzała cała Europa z inteligencją niemiecką włącznie, jednak została, przetrwała Hohenzollernów i nadal sobie „zdobi"... zwierzyniec... Tiergartenviertel. Atoli zdobić pomnikami miasta, które mają już przedewszystkiem... kanalizację, no to jeszcze sens, ale zdobić miasta, które mają tylko... sanację, a nie mają łaźni, sławojek, bruków, wygódek, trotuarów, closedów, porządnych szpitali, domów mieszkalnych (tyle ile trzeba), a wogóle mizerną kulturę mieszkaniową, albo miasta nawet wielkie stołeczne, które są atoli opierścienione wiankiem przedmieść posępnych, ponurych, parjasoskich, kulisoskich, Fel-laszych, takie miasta zasypywać konjukturalną artystyczną tandetą, to znaczy przypinać kwiatek, strzępiasty, bibulasty kwiatek do... kożucha, to... manicure przy moczonych raz do roku pedałach.... Najpierw bowiem szosy i gościńce, najpierw przytułki i baraki, a potem w 25 lat obeliski i mauzolea.

Dobrze więc, że już istnieją pomniki Moniuszki w Wilnie, w Toruniu, w Poznaniu i w Katowicach, ale czy mając za sobą tak bolesne doświadczenie jak pomnik Chopina... czy tak odpłaciwszy się Chopinowi za to wszystko... musi jeszcze ta sama generacja (co do pomników pechowna) a finansowo wynędzniała. Plac Teatralny w stolicy krasić po jednej stronie Moniuszką, a po drugiej Bogusławskim?

Zasłużyli oczywiście na pomnik Kiliński (na Placu Krasińskich), Kraszewski (na Placu Trzech Krzyży), ale czy jeszcze przed tymi pomnikami nie powinno miljonowe miasto dostać.... dworzec nie tak bliźniaczo przypominający foksal w Clondyke lub Arisona z przed 50 lat.

Kościuszko? Bezwarunkowo! I na Rozdrożu w Alejach Ujazdowskich. Doskonale. Ale też można odłożyć...

Pomnik „Ku czci Saperów"? Róg Nowowiejskiej i Topolowej? Także dobrze. W Potsdamie pewnie był i taki. Ale czy nie powinien też przedtem stanąć pomnik: *Sapere Auso?*

Ku uczczeniu zaś stulecia powstania styczniowego stanąć mają aż trzy pomniki: pod Ostrołęką... Mauzoleum, w Olszynce pod Grochowem oraz na Woli, nadto na Woli pomnik generała Sowińskiego.

Wszystkie te i jeszcze liczne inne proponowane pomniki związane są reminiscencjami, tradycjami, legendami z naszymi wojnami z Rosją. Przy odsłonięciach tych różnych pomników celebrować muszą i na tę celebrę czyhają i czekają całe gromady waletów i solenizantów i t. zw. Papkindów. Czasem się wydaje i wychodzi na jaw, że te uczczenia uroczyste wielkich zmarłych rodaków aranżowane są na benefis małych i maleńkich żyjących a żywotnych... robaków.

I ciągle w tych oracjach i inauguracjach o Moskalach i o Moskalach.

A gdzie to maski gazowe, panowie szlachta!

Wytwórnie masek stawiać! duże, długie, sześciopiętrowe gmachy o czterdziestu w jednym rzędzie na jednem piętrze oknach, w nocy oświetlonych, za któremi i po nocach pracują na zmiany... bez przerwy, bez przerwy...

Maski! Maski!

WSZYSCY NA ŁÓDŹ.

Bezsprzecznie najpiękniejszym filmem polskim tego sezonu był dotychczas wytwórni Foxa dwuchsetmetrowy „Dar Pomorza", prezentujący nam żywot i obyczaje naszej młodzieży marynarskiej na wodach południowych. Ten... dodatek powinien być stale dodawany... do kroniki wszystkich programów we wszystkich kinach w Polsce przez kilka miesięcy z odpowiednim krótkim tekstem propagandowym.

Zaczynać się ten tekst powinien od tradycyjnej maksymy: *Navigare necesse est, vivere non est necesse.* A potem powinny

przyjść obrazkowe grafikony i diagrammy: Ile marynarki wojennej a ile handlowej mają wogóle wszystkie państwa na globie, a jak w szczególe powstała i organizowała się nasza marynarka wojenna. Poczem na mównicy powinien stanąć (zdjęcie zbliżone) sympatyczny i energiczny szef naszej marynarki, admirał Unrug i przemówić do publiki mniej więcej w ten deseń:

Obywatelki i obywatele! *Girls and Boys!* Prawico! Lewico! Młodzi i Starzy! Wszyscy!

Les Nations se classeront en nations de premier rang et de second rang selon qu'elles auront ou n'auront pas une marine! Tak powiedział, któryś z mądrych Francuzów. W podobny też sposób wyraziło się kilkuset wybitnych Holendrów, Anglików, Włochów, Szwedów, Niemców i innych cudzoziemców. Albo więc będziemy mieli większą marynarkę i wtedy jesteśmy *une nation de premier rang,* albo nie będziemy mieli i wtedy z wielką trudnością da się obronić ten strzęp ziemi pomorskiej, jak to Gdynię już w „Hamlecie" nazwał nie kto inny, a Szekspir.

Obywatelki i obywatele! Damy! Panny! I Panowie! Zaczątki naszej floty powstały także cudem i szczęśliwym splotem przyjaznych okoliczności. Modlin — Toruń — Gdynia. W roku Pańskim 1920 kupiony pierwszy okręt: „Pomorzanin". Pierwsza Szkoła Morska. W roku 1921 — kupiono cztery trawlery i dwie kanonierki, pięknie i zgodnie nazwane: „Generał Haller" i „Komendant Piłsudski". Na jednej z tych kanonierek pewien taki publicysta odbył wtedy podróż inspekcyjną po portach bałtyckich Libawa — Tallin i podczas ciężkiego bardzo sztormu, o mało nam się chwała Bogu niestety nie utopił. Dowództwo floty było wtedy jeszcze w Pucku i tam był nasz stary pierwszy port wojenny, prezentujący się zgoła humorystycznie. W roku Pańskim 1921 przyznano nam kilka torpedowców. W roku 1924-tym dowództwo floty przeniesiono do naszej Gdyni. Marynarka zainstalowała się w Oksywji. Przybyły nam wtedy „Wicher" i „Burza".

Ale czy to ma być wszystko? Czy to wystarczy? Czy to najważniejsze te dwa kontrtorpedowce, kilka torpedowców i dwie kanonierki? Otóż oczywiście: nie! Najważniejsze to łodzie podwodne! Submariny! Prawda! Sami to przyznajecie? I wiecie dobrze, że my mamy trzy łodzie podwodne: „Wilka", „Rysia" i „Żbika". Wyporność ich Was kochani Państwo, mało obchodzi. Obchodzi Was atoli to, że szybkość ich wynosi 14/9 mil, że każda ma działo 100 mm. i każda 6 wyrzutni torpedowych, każda świetnego dowódcę i doskonały skład załogi.

Kochacie polskich marynarzy, ale kochacie ich w lipcu i w sierpniu. Rozchodzi się zaś o to, abyście nietylko marynarzy, ale i całą marynarkę kochali przez cały rok, przez resztę dziesię-

ciu miesięcy. Zapewniacie mnie chórem, że kochacie nietylko w lipcu i sierpniu, ale jak rok długi i szeroki! All-right. Va bene. Doskonale. Tedy dajcież tego dowody namacalne, realne, rzeczywiste, faktyczne! Nasza flota, wasza flota winna się składać z 3 pancerników, 12-tu kontrtorpedowców, 18 łodzi podwodnych, 6-ciu kutrów torpedowych! Nieprawdaż? Sami to dobrze wiecie. I wiecie także, że do obrony naszego wybrzeża nieodzowneby były podwodne krzyżowce. Prawda? Krzyżowce podwodne typu „Pier Capponi", wyporności nadwodnej około 800 tonn, uzbrojone w 10 cm. działo i sześć wyrzutni torpedowych, o szybkości nadwodnej: 18 węzłów, podwodnej: 10 węzłów, a o zasięgu nadwodnym około 3.500 mil, zanurzających się na 117 metrów. Twierdzicie z uporem, że takich krzyżowców podwodnych powinno być trzy trójki, t. j. dziewięć, jak również i jednostek łodzi podwodnych powinno być trzy trójki, t. j. dziewięć i to o szybkości nadwodnej większej, t. j. conajmniej 16 węzłów. Tego się domagacie, bo tego domagają się znawcy, eksperci, bo toście wyczytali w świetnych alarmujących artykułach inżyniera Juliana Ginsberta. Macie rację obywatelki i obywatele! Cała racja po waszej stronie! Ale skąd wziąść pieniędzy? Kto da pieniądze? Z dobrowolnych składek takiego programu flotowego nigdy się nie wypełni. Żeby wszyscy złożyli wszystko co mają, jeszczeby nie starczyło. Żeby zaś coś z tego powstało, na to trzeba wyasygnować z funduszów państwowych tyle a tyle. O to więc niech się troska i kłopocze państwo i rząd i czynniki miarodajne. Ale na Was Obywatelki i Obywatele, Panowie, Towarzysze i Towarzyszki ciąży obowiązek jeden, jedyny, ale ten stanowczo i bezapelacyjnie.

Obywatele! Dnia 31 sierpnia 1926 „Polska Zbrojna" w Warszawie rozpisała zbieranie składek na kupno łodzi podwodnej imienia Marszałka.

Upłynęło Obywatele lat osiem. Przez te lat osiem zebraliście (wstyd mi to powiedzieć) jedną szóstą część tego, co kosztuje najskromniejsza submaryna.

„W Szwecji w ciągu jednego roku zebrano na pancernik 8 miljonów dolarów" pisze p. inżynier J. Ginsbert.

W jeden rok 8 miljonów dolarów „mała" Szwecja! A w osiem lat na łódź podwodną (wstyd mi to powiedzieć), miljon 483 tysiące 650 złotych zebrano w „Zbrojnej Polsce"!

To trzeba w szybkiem, piorunującem tempie naprawić i nadrobić! Nie mogli jakoś zebrać sześć razy tyle przez sześć lat ci, do których się zwrócono, do których apelowano, licząc optymistycznie, że ze względu na cel i nazwę zbiorą dziesięć miljonów w dziesięć miesięcy, no to teraz powinien tych niemrawych, powolnych, niezbyt ofiarnych i szczodrych powstydzić cały naród, jak jeden mąż, wszystkie grupy, sfery, stany, wyznania, orjentacje, kluby, partje, bez różnicy i bez ociągania się.

Obywatelki i Obywatele! Czwarta łódź podwodna być musi! Jest to minimalne prestiżowe minimum polskiego programu flotowego. Jest to jedyna odpowiedź Niemcom i nie Niemcom.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 13.782. Czekamy".

OFENZYWA BEZBOŻNIKÓW.

Skąd, skąd oni mają fundusze na te swoje pisemka i na tę swoją akcję i propagandę?

Ostatecznie bowiem wychodzi tego siana i tej sieczki wcale dużo i to wychodzi systematycznie. „Polska Odrodzona", „Polska Wolność", „Wiedza dla wszystkich", „Racjonalista", „Ster", „Jutro Rzeczypospolitej" itp. itd. Muszą płacić druk, papier, lokale redakcyjne, honorarja, kolportaż, reklamę. Wiemy wszyscy, co to teraz kosztuje i jak trudno już jest o każdy złoty, o każdy grosz. Płacić trzeba, prenumeratorów na to niema, bo być nie może. Rozsyła się dla propagandy gratis i franco. Ale skąd fundusze na to biorą? Pisemka wychodzą systematycznie, punktualnie. Więc skądś fundusze mieć tam muszą.

Oczywiście na pewne perjodyki dają złoto Geldhaby i Nababy z za Żelaznej Bramy. Ale toby nie wystarczyło. Raczej tedy tu i ówdzie alimentacja z funduszów dyspozycyjnych. Ale których? Jakieś tam kasy jednak muszą stać otworem dla dywersyjnych bataljonów wolnomyślicielskich. Dzięki nim jakoś to tam idzie, a przy poprawionej konjunkturze wszystkie te pisemka z małych fortów agnostycyzmu rozbudują się szybko na wielkie twierdze, bogate w amunicję i trujące gazy antychrystjanizmu wojującego, zaczepnego, burzącego wszystko dokoła.

Narazie w obrębie tych fortów — pisemek, „sanatek" (jak nazywają antykatolickie pisma w Polonji amerykańskiej), wre praca przygotowawcza, organizacyjna, uczenie i ćwiczenie rekrutów, seminarja dla *„pionierów"*. Przedewszystkiem kadry nauczycielskie i profesorskie szkół średnich i ludowych. To mają być te korpusy szturmowe „udarników", które na dane hasło pójdą w Kulturkampf. Cały plan kampanji wedle wzorów francuskich z roku 1892, a potem 1905. (Combes, Sembat, Waldeck-Rousseau, A. F. Buisson, etc). Ministerstwo Oświaty i Wyznań ustosunkuje się do całej kampanji „objektywnie" i nie bez życzliwej neutralności. Nie nadarmo unosi się dziś nad niem (po śmierci pogodzonego z katolicyzmem ś. p. Czerwińskiego) duch... Buchnerów, Moleschottów, Darwinów, Straussów, którego jeden ksiądz Żongołłowicz egzorcyzmami z gmachu nie przepędzi. W ministerstwie na

ważnych posterunkach osadzeni są: dr. Taubenschlag, dr. Kretz, dr. M. Friedländer, prof. Ign. Myśliński (?), p. Janusz Korczak; „Rocznik Pedagogiczny“ redaguje Helena Rajchman-(Radlińska), „Ruch Pedagogiczny“ redaguje p. Henryk Rowid (?). Tak liczna semicka grupa nad pedagogją polską czuwa i assocjację nauczycielską „Zrąb“ odpowiednio „nowoczesnym“ duchem przepaja. To też zdarza się potem, że w Wilnie wydawane dla kształcącej się młodzieży przez wizytatora tamtejszego okręgu p. Ostrowskiego i dr... Hirschberga pismo „Ster“ zaleca jako lekturę dla młodzieży... Anat. France'a. Kuratorem warszawskiego „rewiru“ jest znów niejaki p. Pytlakowski, którego nie należy mieszać z p. Dworakowskim, aczkolwiek wszystko co p. Pytlakowski zadeklaruje, to p. Dworakowskiemu zwykle bardzo się podoba.

Gdy taki duch *Buchnerów*, Straussów, Moleschottów idzie od ministerstwa, nie można się dziwić, że i w obu pisemkach wolnomyślicielskich wśród współpracowników przeważają profesorowie i nauczyciele, czerpiący swe idee pedagogiczne z „Rocznika“ Raichman-Radlińskiej i z „Ruchu“, Henryka „Rowida“...

„Racjonalistą“ miesięcznikiem „Koła Intelektualistów“ kieruje, jak to można było przypuszczać, któryś z Landauów, tym razem Józef Landau, autor „Mojej Utopji“ (sic); filarami są prof. Kotarbiński i prof. Ułaszyn (Poznań). „Racjonalista“ prezentuje się skromnie, pod względem intelektualnym desperacko prymitywnie. To też najwyższy czas, aby wódz „Racjonalistów“ p. Landau podał do zgody rękę wodzowi „Wolnomyślicielców“, p. Dawidowi Jabłońskiemu i aby *viribus unitis* wzięli się do burzenia baszt i murów nadwiślańskiego „Ciemnogrodu“, ewentualnie zfuzjowawszy się jeszcze z „Polską Wolnością“ Tad. Wieniawy-Długoszewskiego, entuzjastycznego panegirysty „Dyabła zwycięzcy“ oraz z „Polską Odrodzoną“, księdza „narodowego“ Farona, który teraz zerwał węzły łączności z „biskupem“ Hodurem i kościołem narodowym w Scranton.

Całkiem odrębnymi torami idzie sobie „Wiedza dla wszystkich“, redagowana przez p. Tadeusza Orynga. Jak Bolesława Wieniawę nie należy mieszać z wolnomyślicielem Tadeuszem, tak nie należy Tadeusza Orynga z Wacławem. Ten drugi bowiem, autor osławionej kajdaniarskiej broszury p. t.: „Zbrodniarze“ (r. 1926), miał zeszłego roku powierzone sobie redagowanie pisma „Journal des Nations“, na co dostał odpowiednie sowite fundusze; wywdzięczył się ministrowi w ten sposób, że w krytycznym momencie sesji genewskiej przedrukował w tem piśmie artykuł „Manchester Guardiana“ o Ukraińcach (bez komentarza), za co oczywiście z trzaskiem został raz na zawsze zlikwidowany i usunięty.

W „Wiedzy dla Wszystkich“, piśmie p. T. Orynga, wydawanem dla ludu bywają takie odpowiedzi od redakcji:

„F. NAMIĘTNA. — Porad lekarskich nie udzielamy. — Że utraciliście całkowicie wiarę religijną — to dowodzi tylko Waszego rozwoju umysłowego.

Za artykuł dziękujemy, ale z powodów cenzuralnych umieścić go nie możemy. Ludzi niewierzących jest teraz i po wsiach bardzo dużo. Wystąpienie z kościoła załatwia się w ten sposób: zawiadamia się listownie swoją parafję o wystąpieniu z danego kościoła, zaznaczając jednocześnie, że nie wstępuje się do żadnego innego kościoła, następnie zawiadamia się o wysłaniu listu władze administracyjne (starostwo) z żądaniem przeprowadzenia odpowiednich zmian w dowodach osobistych“.

Albo drugie:

„Mylicie się jednak, uważając, że księża trzymają z kapitalistami tylko z tego powodu, że są sami bogaci. Księża służą wiernie kapitalistom nawet wówczas, gdy sami żyją w biedzie, gdy odmawiają sobie wszystkiego. Tacy księża, prowadzący żywot surowy — choć rzadko — ale zdarzają się. Przez tę surowość własnego życia nie są bynajmniej szkodliwi. Przeciwnie — bodaj jeszcze szkodliwsi, bo tem skuteczniej zdobywają sobie uznanie ludzkie, mają większe wpływy na ludzi i jeszcze bardziej utrwalają ich w błędnych poglądach religijnych“.

Znacznie popularniejszym organem bojowego bezbożnictwa i wojującego antychrystjanizmu jest „Wolnomyśliwy“ z ulicy Królewskiej.

Tu już od profesorów i pedagogów aż się roi. A to astronom Burdecki, a to prof. Wł. Gumplowicz, prof. Asté, dr. T. Weingott (bogiem wina bywał, jak wiadomo Bacchus), a to dr. Maliniak, a to prof. Myślicki (nie mieszać z p. Myślickim z ministerstwa!) oraz reprezentanci rodzin Gurewiczów, Sterlingów, Kurlandzkich (książąt?).

Tutaj w „Wolnomyślicielu“ i dam oraz panien „osobiście nienawidzących“ Pana Boga a rozkochanych w Boyu, niecierpiących kapłanów wszelkich wiar i wyznań, ale gustujących w kapłonach (ze sałatką) jest spory kierdel z obywatelką *Wolską* na czele.

Grupa bezbożników z Królewskiej ma kilka asów... Przedewszystkiem A. Świętorzecki z „Legji Cudzoziemskiej“, autor doskonałej broszury o „Neuwercie-Nowaczyńskim“. Dalej wysoki urzędnik M. S. Zagranicznych, p. Teofil Jaśkiewicz, pseud. Saczyński, względnie „Henryk Wroński“, omal od lat trzydziestu walczący z Rzymem na zabój.

I otóż dzięki temu to „demonologowi“ raz po razu demaskującemu rzymskie kabały i intrygi, jaczejka bezbożników przy interesie węglowym z ul. Królewskiej zyskała sobie niedawno dużą renomę. Jakimś tam fortelem czy też fuksem p. Teofil (Bogumił?) Jaśkiewicz dorwał się do polskiego „Radja“. Kto mu tam pomógł

niewiadomo? W każdym razie dla redakcji „Wolnomyśliciela“, dla pp. Malniaka, Sterlinga, Weingotta, Gurewicza, księżnej Kurlandzkiej, Myślickiego i leadera Dawida Jabłońskiego był to *dies festus*, dzień satysfakcji i triumfu. Brat Jaśkiewicz przemawia w polskiem Radjo! No i obywatel Saczyński, jako, że jest człek szczery i impulsywny, palnął sobie jakieś tam stęchłe kretynizmy przeciw Kościołowi Katolickiemu pewny siebie, że jako kawalerowi złotego Krzyża zasługi opluwanie Krzyża całkiem na sucho ujdzie. Warchoła z M. S. Z. atoli zdemaskowano. I do zarządu polskiego Radja zaczęto zgłaszać pretensje. Zajęła się tem także i prasa. I wtedy organ bezbożników warszawskich oświadczył wyraźnie, że manuskrypt antykatolickiego wypadu tego p. Jaśkiewicza przedtem złożony był dyrekcji Radja. „Wolnomyśliciel“ zagroził i zapowiedział, że takich odczytów wogóle będzie więcej...

Nie tak dawno przez Radjo przemawiał znów jakiś pan Wł. Pobóg Malinowski (współpracownik „Niepodległości“), który w Nr. 3 „Wiadomości Literackich“ zamieścił nędzny paszkwil na duchowieństwo równocześnie z tendencyjnem zohydzeniem pamięci St. Przybyszewskiego. Tym razem w Radjo opluwał obóz narodowy...

Ponieważ zaś we Lwowie przez radjo plugawiła Kościół i duchowieństwo niejaka p. Górska,

ponieważ w Sejmie junta Bebewuerów wysłała na estradę dla zohydzania duchowieństwa damę, Marję Wolską, wymienianą też w spisie kompletu redakcyjnego „Wolnomyśliciela Polskiego“,

przeto należy w najbliższym czasie oczekiwać wzmożonej ofenzywy bezbożnictwa i antychrystjanizmu, patronowanego i protegowanego przez B. B. W. R., i reżyserowanego przez żydów.

„Radjo Polskie“ powinno tej propagandy w swoich programach się wystrzegać. W pisemkach niech tam wypisują, co im ślina na ozór przyniesie, ale do Radja wara! („nie wiem dawno, gdzie moja podziała się wiara, lecz nie dam bluźnić imienia Maryi“ — „Dziady“ Mickiewicza). W r. 1928 Radjo miało 240.000, w r. 1927 270.000, a teraz z trudem i mozołem dochodzi do haniebnie niskiej, nie europejskiej cyfry 300.000.

W każdym razie konstatujemy fakt, że ofenzywa bezbożnictwa rozpoczęła się już na całej linji, nie bez wiedzy regimu, a z pełnym sukursem żydostwa, intelektualnym i finansowym.

LUPUS EX ORIENTE

To jest na swój fason także taka „Puszka Pandory“ ten nietyle może cały Uniwersytet im. Stefana Batorego, ile ta część wileńskiej młodzieży akademickiej , która od kilku lat dojrzewa pod patronatem tamtejszej, nieco „wostocznej“ sanacji. W tem-

peraturze bezprzykładnej biedy, nędzy i ogólnowarstwowego zpauperyzowania (patrz Dufforta: *L'autre Pologne*, ustępy o Wileńszczyźnie), rozrasta się tam rosochato i rozkwita bujnem czerwoniastem kwieciem krzak czy krzew coraz to radykalniejszych ideologij. Ze sportową kulturą znacznie tam gorzej, przeraźliwa prowincjalna nuda wyziera z każdego kąta (patrz Sołłoguba-Litwina rosyjską starą powieść „Miałki Bies“), kawiarniano-knajpiano-dancingowe życie wątlutkie, wobec czego „zmożone tempo“ intelektualne wśród młodzieży, no i „*tałkowanie po principiach*“, ponocne długie rozgowory rodaków przy czaju przyczajonych i zaperzonych w „dyszkurach“ i „kontrowersjach“.

Że atoli ta młodzież sanacyjna lokalne pisma czytywać musi, a to drukowane słowo Okulicza, a to genjalne monologi Mackiewicza, więc raczej dziękować Bogu przyjdzie, że dotychczas z kretesem zbiorowo nie zwarjowała, a jeszcze się jako tako trzyma, skoro jej jeden apostoł w liberji marszałkowskiej junkierski Nikołajewski rojalizm do głowy kładzie, a drugiemu w liberji marszałkowskiej Magnitogorsk, kolektywy, kombinaty i sowchozy po nocach śnią się bez ustanku, a obaj zaś nadal sanacji adherenci i klienci *in summo gradu*, obaj do parlamentaryzmu idjosynkrazję jednakowo wokoło szerzą.

Rację tedy poniekąd trzeba przyznać i takiemu młodemu tamtejszemu Winkelrydowi (hasło? Winkelryd), Dembińskiemu, kiedy grzmiał do młodych szczupaczków, aby „zaniechali wciskania się do dzisiejszej pleśniejącej (sic) Elity“, a wysoko podnieśli „sztandar nowej elity pracy“... i stali się „awangardą nowego ustroju“. Z drugiej zaś strony nie można odmówić pewnej racji prof. Zdziechowskiemu, który obserwując rozgardjasz i galimatjas z dość bliska, cokolwiek przerażony dopatruje się w tym ruchu ideowym, w tych „pionierach“, w tym „syndykatolicyzmie“ poprostu i po staremu „kompletnie zbolszewiczałego myślenia“...

A tu czasem z tem wszystkiem jakoś trzeba będzie jednak się pogodzić... „Bo tu rzeczywistość skrzeczy“. Jeden z tych młodych wyraźnie pisał i nas pouczał:

„Filozoficznie — jeżeli tak można je określić — przesłanki przewrotu majowego są w sprzeczności z ustrojem kapitalistycznym w jego dzisiejszej fazie. Słusznem, konsekwentnem jest stanowisko tych, którzy z istoty przewrotu majowego chcą wypracować elementy przyszłej reformy społecznej. Praca ta odbywa się po różnych, ale zbieżnych torach. Prowadzą ją: grupa „Przełomu“, grupa „Słowa Polskiego“, „Front robotniczy“, „Legjon Młodych“, w pewnej mierze miesięcznik „Droga“ i katolickie „Odrodzenie“. Odcinek wileński zajmuje grupa młodzieży, obejmująca szersze ramy, niż poszczególnych organizacyj akademickich, grupa, uznająca przewodnictwo p. Dembińskiego“.

Chyba jasne? *„Przesłanki przewrotu majowego są w sprzeczności z ustrojem kapitalistycznym w jego dzisiejszej fazie“.*

„Rewolucja“ była „bez konsekwencyj“‘ Teraz konsekwencje się zgłaszają. Przedtem idzie etatyzm majora Starzyńskiego. Za nim Bebesynizm kapitana Jaworowskiego. Dalej „Walka“, walkonie i Tasiemka-Siemiątkowski. Poczem mało znany „narodowy socjalizm“ sierżanta Dagnana i *„narodowy komunizm“ porucz. Wierzgalskiego* też cokolwiek mało znany tak zwanej inteligencji...

A teraz dołącza się do tego jakiś debiutujący Spartakus wileński z Legjonu Młodych.

Ten na zebraniu dyskusyjnem młodzieży akademickiej w Wilnie mówił już całkiem szczerze i jawnie:

„1) Polska, jako kraj, stanowiący kolonję kapitału zagranicznego, głównie francuskiego, miałaby zerwać z dotychczasowym układem stosunków;

2) Polska winnaby oprzeć swój byt gospodarczy o współpracę gospodarczą z Rosją, t. zn. ze Związkiem Republik Sowieckich;

3) taka współpraca wymagałaby zrzucenia z Polski deprawujących więzów obecnego ustroju gospodarczego“.

Sędziwy, konkretny Robotnik warszawski dodaje do tej enuncjacji wileńskiego rządowego komunisty, Jędrychowskiego, następującą melancholijną uwagę (glossę):

„Ponieważ p. Jędrychowski wraz z całym „Legjonem Młodych“ jest przeciwnikiem socjalistycznej koncepcji przebudowy ustroju społeczno-gospodarczego i kulturalnego, więc sens jego wywodów, o ile „Kurjer Wileński“ powtarza te wywody dokładnie, mógłby być tylko jeden: Polska winna przystąpić do sowieckiego obszaru gospodarczego w roli — powiedzmy — równouprawnionego współczynnika, zorganizowanego na sposób podobny, niejako przystosowany. Ponieważ dalej asymilacja gospodarcza w stosunku do Związku Republik Sowieckich pociąga za sobą, jak wykazuje tylokrotne doświadczenie (Ukraina, Białoruś, Gruzja), asymilację państwowo-polityczną, — otrzymujemy w rezultacie problem niepodległości, wbrew chęciom, oczywiście, p. Jędrychowskiego, postawiony pod znakiem zapytania“.

Teraz już się i nie dziwimy, że swego czasu „Nasz Przegląd“ (nr. 167) w artykule „Legenda Młodej Polski“ tak entuzjastycznie przyjął pojawienie się nowej grupy politycznej na Kresach, na Wschodzie, *in Oriente...*

Wileńskie komsomolce szykują się coraz śmielej do wielkiej roli: „wesołych spadkobierców“. Nasz obecny ustrój..., Wisłostroj sanacyjny jest żelatyną, na której szybko dojrzewają ciekawe laseczniki.

W Warszawie, wedle statystyki z r. 1930, co szósty dorosły mieszkaniec wyborczo „regestrował się jako komunista...

Nie raczyła też prasa polska przedrukować takiego telegramu, który kilka dni temu rozesłała jedna ajencja telegraficzna. A rzecz była bardzo interesująca...:

„Ryga ,(ATE).) 4. 6. W teatrach moskiewskich została wystawiona nowa sztuka propagandowa p. t. „Raban“, której autorem jest komunista polski Witold Wandurski. W prologu tej sztuki przedstawiono scenę po przewrocie majowym 1926 r., rozgrywającą się na placu Marszałka Piłsudskiego w Warszawie. Jeden z aktorów ucharakteryzowany jako gen. Górecki, składa raport o przewrocie majowym przed pomnikiem Ks. Józefa Poniatowskiego. Dalsza akcja sztuki ma udowodnić, że przewrót majowy nie przyniósł wyzwolenia proletarjatowi polskiemu. W ciągu kilku aktów przedstawiany jest przebieg strajku w jednej z fabryk włókienniczych w Łodzi.

Na scenie odbywa się posiedzenie łódzkiego komitetu komunistycznej partji Polski i, rzecz charakterystyczna, sekcji wojskowej organizacji komunistycznej. Sztuka kończy się buntem więźniów komunistycznych w więzieniu łódzkiem, co według pomysłu autora ma być symbolem obecnej sytuacji w Polsce.

Krytyka sowiecka zarzuca autorowi, że przedstawił rządy pomajowe nie jako narzędzie burżuazji, ale, jako samodzielną siłę, uniezależnioną od burżuazji. Drugim błędem autora, według krytyki sowieckiej jest twierdzenie, jakoby w Polsce rządził kapitał obcy, natomiast burżuazja polska nie odgrywała decydującej roli w eksploatacji robotników. Wreszcie, jak podnosi „Trybuna Radziecka“, poważnym błędem *sztuki jest brak żydów-komunistów wśród bohaterów sztuki.*

Jedynym żydem, biorącym udział w polskim ruchu rewolucyjnym, *jest chasyd, który modli się do Boga, aby przyśpieszył wybuch rewolucji w Polsce.* Pismo zaznacza z tego powodu, że w tym wypadku autor zapożyczył obraz Jankla Cymbalisty z „Pana Tadeusza“ Mickiewicza.

Największym jednak błędem autora, według krytyki sowieckiej, jest ten fakt, że główny bohater sztuki — robotnik komunista jest byłym legjonistą“...

Zreasumujemy: 1) bohaterem sztuki, przywódcą komunistów-rewolucjonistów w Łodzi jest były legjonista; 2) chasyd modli się do Boga o przyśpieszenie wybuchu rewolucji w Polsce; 3) wśród bohaterów sztuki brak komunistów-żydów; 4) Witołd Wandurski z pochodzenia jest izraelitą, a i „Witołd“ i „Wandurski“, to kryptonimy. Do Sowietów przeniósł się kilka lat temu; jako pisarz radykalny był zawsze bardzo odważny i prostolinijny; debiutował sztukę antymilitarystyczną, pacyfistyczną, komunizującą, wystawioną w Krakowie... po listopadzie r. 1933, przyjętą bardzo kurtuazyjnie przez krakowski „Czas“!!...

Teraz w drodze powrotnej z Moskwy do Warszawy zatrzymamy się na jakiś czas w... Wilnie. Dlaczego w Wilnie, to nam najlepiej wyeksplikuje współwyznawca kolega W. Wandurskiego oraz tego... „chasyda, który modli się do Boga, aby przyśpieszył wybuch rewolucji w Polsce".

Pan Nathan Szwalbe, publicysta bardzo zrównoważony, nigdy nie irytujący, a często przekonywujący pisze w „Naszym Przeglądzie" o „nowej lewicy polskiej", w Wilnie wylęgłej:

„Niezmiernie interesującą okazała się natomiast walka, wszczęta w łonie obozu rządzącego pomiędzy „starymi", i „młodymi". Młode pokolenie piłsudczyków, *staczające na wyższych uczelniach zażarte boje z potężnym Obwiepolem* poszukuje własnej ideologji, która potrafiłaby porwać szerokie masy ludowe. Pojmuje ono doskonale, że system sprawowania władzy, opartej wyłącznie na mechanicznej sile aparatu państwowego, pozbawiony jest perspektywy historycznej. Młodzi piłsudczycy nie wierzą oczywiście w zbawczą siłę endeckiego nacjonalizmu, mocno zwątpiwszy zarazem w żywotność zachodnio-europejskiego kapitalizmu. Najbardziej wysunięte ku Wschodowi — Wilno stało się ideologicznym ośrodkiem nowej lewicy polskiej, *odważnie* szukającej samodzielnych dróg i haseł. Jeżeli *starzy wileńczycy* rządzą w dzisiejszej Warszawie, to *młodzi wileńczycy* chcieliby rządzić w jutrzejszej Warszawie".

Bagatela! Śliczne perspektywy... *Gracia capta* (znów) „mszcząc się" narzuci imperjum władyków nowych, mocną ręką gniotących większość autochtońską?... Czy tak?

Jacyż to są ci „nowi wileńczycy", staczający na wyższych uczelniach zażarte boje z potężnym Obwiepolem", a na objęcie władzy nad Sarmatami łakome i łase?

Motto: (ze sprawozdania Głównego Urzędu Statystycznego):

„Największy odsetek obcojęzyczny posiadają wojew. wschodnie, bo 67,1 proc., w czem poleskie 83,5 proc., nowogródzkie 47,7 proc., wileńskie 40,1 proc.".

Będą to więc przedewszystkiem ludzie młodzi, wyrośli i wychowani wśród *największego odsetka* obcojęzycznych współmieszkańców. Przypomnijmy sobie: „prawo mimicry" i prawo osmozy... I mowa ich tedy i mentalność i obyczaj tedy będą *już* coniecо *„wostoczne"*. Dalej, Wilno, prastara *Vagina Judaeorum.*

Prawicowcy z tych okolic Europy często przypominają sobie... Sazonowa i Stołypina..., liberali: Wittego i Lednickiego; ...radykałów zaś młodych, średnich i najmłodszych przyciągać będzie odtąd zawsze... Magnitogorsk. Biali miewają czkawkę carską, czerwoni nostalgję podświadomą (subliminal) za szerokim otwartym Wschodem. Menu w tamtejszych „restauracjach" kresowych ma jeszcze zawsze kilka smakołyków carosławną Imperję przypo-

minających... (szczy, kulebiaczek itp.), a nawet taki zapadnik jak p. Mackiewicz (angielskie, Kipplingowskie: *Cat)* z trudem się wstrzymuje, aby nie cytować Nekrasowa, Nadsona, Czernyszewskiego...; Szczedryna cytuje chronicznie...

Ostatnimi czasy dużo zabawnych szczególików czytało się z żywota ideowo-politycznego tego za rządów Sanacji do ostatniej nędzy i biedy doprowadzonego Wilna. Że redaktor „Robotnika" wywodzi się stamtąd, więc go to miasto specjalnie korciło i świerzbiło, tak jak innych drażni i boli do ostateczności wszystko, co złego lęgnie się pod Wawelem. *Nihil cracovianum a me alienum esse puto.* Natomiast mało uwagi stosunkowo poświęcił temu, co się ostatnio działo w Wilnie, warszawki organ przebudzonej z letargu Podfilipszczyzny, aczkolwiek właśnie „Dniowi Polskiemu" wypadało w krytycznym momencie iść w sukurs bratniemu „Słowu" i z „kokoszej wojny" wileńskiej wyciągnąć pewne nauki, pewien morał dorywczy.

Otóż, aby pomóc „młodemu pokoleniu piłsudczyków", „staczających na wyższych uczelniach zażarte boje z potężnym Obwiepolem", (jak pisze p. Szwalbe), założyło „Słowo" wielkoksiążęce wileńskie taki dodatek akademicki p. t.: „Żagary". Obok dodatku „Myśliwskiego" dodatek Myślowy, ideowy. Tytuł był nieco enigmatyczny, słowo rzadkie, nie pospolite, które w ustach jednych dźwięczało jak Zegary (dziejowe.), a które inni błędnie wymawiali: „Żygary".

Fundusze się znaleźli, więc „szkółka" zaczęła się popisywać. Najpierw to szło jak po maśle, ale z czasem zaczęło iść jak po grudzie. Młodzi, jak to młodzi, nie obwijali prawdy swojej w bawełnę, nie ukrywali pod korcem, ale wypaplali prosto z mostu, co im ślina na język przyniosła i zapatrzeni w swego mistrza, gospodarza i patrona stawiali po kilka kropelek nad każdem: *i.* Nowych książek, miesięczników, publikacyj z Europy to tam do Wilna dużo teraz nie dochodzi, ale bądź co bądź kursowały i wśród kursistek zmiętoszone tomy Vilfredo Pareto i Spenglera, może nawet Jerzego Sorela... może nawet Jules Sorel w powieści Stendhala *„Rouge et Noir";* nadto: Kaden, Boy, Dzieduszycki, Kostek-Biernacki, Rzymowski, Hulka..., nadto prasa czerwona i krwawa, nadto moc tłumaczeń świetnych powieści sowieckich...

Z tej całej lektury i z tych „studjów" bigos się taki potworzył w łepetynach, że poczciwe hreczkosieje (normalni abonenci książęcego monitora) otrzymując taką strawę duchową, zaczęli jeden po drugim dostawać „kolek w boku" i tytuł dodatku czytali już odtąd wyłącznie jako „Żygary". Nie jeden atoli kresowy żubr, *diehard* i torys z Miękieliszek czy Ojrany-rany! mimo wrodzonego powolnomyślicielstwa, dostrzegł jednakże „wilcze kły", z baraniej paszczęki wyszczerzone i siadłszy do biurka jął wypisywać rekla-

macje i skargi do redakcji...: „z dniem dzisiejszym wypraszam sobie przesyłania mi..." i t. d.

Szczególnie zuchwale bowiem poczynał sobie w piśmie pewien młody człowiek, pupilek o psychice Juljana Sorela, a ideologji Jerzego Sorela, z imienia Henryk, *Cata* duchowa kość z kości, krew z krwi, przyczem trochę też grafomanczyk, autodidact, no i tupecik, arogancyjka, żeby nią czterech starozakonnych obdarzyć można, a jeszczeby zostało gratis: satis.

Ten to Koziołek zaczął brykać w „Słowie" jako po zielonej łące, tryksając różkami na wszystkie boki i strony. Papa *Cat* najpierw puszył się z radości, że *non omnis moriar*, że takiego dochował się Telemaka... „Z młodymi trzeba naprzód leźć, po życie sięgać nowe"... Kiedy atoli ten żylasty, dębczakowaty, naprawdę młody mołojec zaczął już zanadto przedrzeźniać mentora, czerwone kukułcze jaja w białogwardyjskiem gniazdku znosić i okoniem się stawiać hardo, a kiedy równocześnie i z uroczych Pierdeliszek (są takie!) przyszła kartka pocztowa: „z dniem dzisiejszym wypraszam"... i t. p., bomba pękła. „Tu już krzyknęli: dosyć, trzeba rzecz raz skończyć, Bóg nas czy Kostek złączył, trzeba się rozłączyć..."

„Szanowny Panie Dębiński. Z dniem dzisiejszym „Słowo" zrzeka się nie bez bólu Pańskiego znakomitego współpracownictwa, pozwalając sobie przy tej okazji zakomunikować Szanownemu Panu, że na poczet jego..." i t. p. i t. d.

Krótka była narada nocna „na czwartaku" przy ul. Bernardyńskiej. Wypito dwa samowary, wypalono tysiąc papierosów i powzięto jednogłośnie decyzję: przenosimy się do konkurencji. Dołoj obszarniki!

I nazajutrz z namiotem Tespisa i manatkami przeprowadzka do „Testisa", do Okulicza. Po nowoczesnemu, bez zabobonów burżujskich, bez ceregieli partyjnickich, od konserwatystów wprost do radykałów. Już nie żadne: „Żagary", ale poprostu: „Wilcze kły". Książęta gołe i bez gotówki, radekały Testisowe skądsić tam jeszcze złocisze mają, forsą pobrząkują, „forszusy" znaczy się a conta obiecują. Asocjacja będzie się nazywała „Pion", a jej członki „Pionierzy". Z konserwą całkowite zerwanie od stołu i łoża i wojna na wszystkich „odcinkach, w „Słowo" walić jak w stary bęben z oślej skóry! „Gwałt niech się gwałtem odciska, a z Mackiewiczem łamać uczmy się za młodu!" Zobaczy *Cat* teraz „kropki nad i" aż mu skóra ścierpnie!

No i zaczęła się przezabawna wojenka prasowa. Po jednej stronie Lelum i Polelum pp. Mackiewicz i Studnicki, po drugiej *sui generis* filomaty, dawni zygar-mistrze, solidaryści, Fordyści, fascyści (Wilfredo Pareto), a obecnie zaś przez Bartlowców i Fede-

ralistów adoptowani... Komsomolcy czy Komsomalcy, *dependence* czy też szturmowa brygada („udarenje") „Legjonu Młodych"...

Po drugiej... Aparatczyki...

Rozkosz bierze teraz, gdy się czyta rezolucje np. II-go Kongresu Legjonu Młodych, ale czyta na głos, a ma się naprzeciwko siebie np. jednego pana z „Lewiatana" a drugiego pana z klubu B. B. W. R. przy ul. Foksal:

„Drugi kongres Legjonu Młodych apeluje do rządu w sprawie ustanowienia kontroli nad produkcją prywatnego kapitału, dla zdobycia możliwości odpowiedniego rozdziału między robotnikami a kapitałem".

Albo z innych rezolutnych rezolucyj:

— „Nowy ustrój gospodarczy musi się opierać na kontroli Państwa nad produkcją, oraz na przymusowych związkach zawodowych. Prawo własności warsztatów pracy jest funkcją społeczną, której wykonanie reguluje Państwo, czuwając nad sprawiedliwym —rozdziałem dochodu społecznego".

Albo:

— „Wobec bankructwa doktryn liberalnych i demokratycznych, konieczne jest oparcie ustroju politycznego na zasadach rządów zorganizowanej hierarchicznie elity fachowej".

„Opierający się na fikcjach teoretycznych ustrój parlamentarny winien być zastąpiony przez reprezentację odpowiednio rozbudowanych związków zawodowych".

Albo coś do słuchu dla szefów Banku Handlowego, Banku Zachodniego, Hipotecznego, Ziemiańskiego etc.:

„— ...Opanowawszy banki, nowe państwo będzie musiało wziąć kierownictwo całej produkcji narodowej... Wszystkie branże produkcji zorganizowują się w trusty — monopole państwowe, których hieratycznie ułożona administracja spoczywa w rękach zorganizowanych syndykatów robotników i pracowników danej branży, na czele z nowymi wodzami kolektywnej produkcji... „Upaństwowienie większej własności i wcielenie chłopskich gospodarstw z wyjątkiem karłowatych do ogólnego trustu produkcji rolnej"...

Albo do apelu w artykule p. t.: „Marsz w przyszłości" komendata Legjonu Młodych:

„Legjon winien spełnić trzy zasadnicze warunki: 1) Powinien posiadać ideę życiową i odpowiednią strukturę organizacyjną. 2) Powinien mieć fanatyków. 3) Powinien mieć wodza o wielkim autorytecie moralnym".

Otóż nic teraz dziwnego, że wileńskie „Słowo" jest obecnie ponad wszelką miarę rozżalone, rozgoryczone, zawiedzione, zgorzkniałe, skwaszone, cierpkie i odgryza się „Wilczym kłom" jak tam jeszcze może, ustępując strategicznie na „dawniej zajęte pozycje", za Okopy Świętej Trójcy"...

W nr. 123 z 1 czerwca pisze biedny Mentor, na którego łonie wygrzewał się tak długo niewdzięczny bazyliszek:

„— W piątek miałem odczyt u kolegów p. Dembińskiego. Chciałem dyskutować na temat polityki zagranicznej polskiej, lecz oni o niczem innem nie chcieli mówić, jak o kulturze bolszewickiej i jej wyższości nad kulturą europejską.

W dyskusji używali zwrotów, określeń, pojęć nie innych, jak te, których używają bolszewicy... O sobie nie mówili inaczej, niż „komsomolcy"......

O artykułach p. Dembińskiego, który jest championem, asem i leaderem tych wszystkich „młodych wileńczyków", którzy „staczali na wyższych uczelniach zażarte boje z potężnym Obwiepolem" (słowa p. Szwalbego) pisze p. Mackiewicz:

„Przetłumaczcie artykuł p. Dembińskiego na rosyjski, odbierzcie mu doskonałości stylu, o którym mówiliśmy, zostawcie mu samą treść tylko, zamieśćcie w „Izwiestjach", czy „Prawdzie" — nietylko czytać ale nawet patrzeć na niego nie będziecie chcieli. Będzie to szablonowy, codzienny, szary, nudny artykuł bolszewicki".

W innej polemice:

„— Artykuły (ideowe) p. Dembińskiego, to nie etatyzm... To czystej wody komunizm. To gorzej niż komunizm; to czystej wody sowietyzm. To ideologja walki z burżuazją, ideologja walki z państwem, jako produktem koncernów kapitalistycznych".

Równie ostro, surowo, i bezwzględnie traktuje ten nowotwór „Słowa", tę grupę nowych wileńczyków, spadkobierców szykujących się do objęcia schedy, i p. Wł. Studnicki. Obaj nie uznają w „jaczejce" wileńskiej ani Spenglerowców, ani Sorelistów, ani propagatorów Vilfreda Pareto, a tylko i jedynie amatorów komunistycznych, infekowanych może płytko nalotem lektury. W każdym razie *spectre rouge*... („A Tyś zląkł się syn szlachecki!"). Pan Studnicki ironizuje „podejście" wileńskich uniwersyteckich komsomolców do polityki zagranicznej:

„Artykuł „Polska a Wschód" p. Włodzimierza Bączkowskiego wywołać może tylko wzruszenie ramion i wykrzyknik: Gdzie Rzym, a gdzie Krym, gdzie sosny babilońskie. Jest tam wszystko: sprawa ujarzmionych narodów Rosji i witanie z radością odradzających się Chin, i ukłon przed ekspansją ludnościową i polityczną Japonji, i walka z imperjalizmem angielskim i amerykańskim, przypominająca wykrzykniki gazet sowieckich, i nadzieje na powodzenie naszych perkalików na Dalekim Wschodzie".

Młodzi wileńscy „spadkobiercy" odcinają się ostro, bezwzględnie, brutalnie z dużą pewnością siebie, jakby czuli za sobą jakieś silne protekcje. Istotnie mogą się łatwo powołać na drukowany do nich list w „Kurjerze Nowogródzkim" wojewody Biernackiego.

Gdy im zaś zanadto zaczną prawicowi sanatorzy nałazić na pięty, patrzeć w palce i dokuczać tym „czystej wody komunizmem", wtedy będą mogli wyciągnąć argumentum ad hominem, dawny numer „Kurjera Wileńskiego" (39) ze sprawozdaniem z ostatniego pobytu m. J. Piłsudskiego w Wilnie:

„— Na zapytanie Pana Marszałka reprezentanci „Legjonu" poinformowali o ogólnym kierunku tworzącej się w Wilnie nowej ideologji państwowej i o opracowywanym programie społeczno-gospodarczym na dalszą metę, co zostało b. życzliwie przez Pana Marszałka przyjęte.

Na wspomnienie o tem, iż niektóre czynniki zaczynają nas uważać za komunistów, Pan Marszałek uśmiechnął się pobłażliwie".

Wobec takiego postawienia sprawy pewna *pobłażliwość* w stosunku do poczynań, „podejść", „nastawień" i zezów tych młodych Wileńczyków może byłaby jednak wskazana i dla pana Mackiewicza jako posła z B. B. W. R., stojącego jak wiadomo na platformie wiadomej ideologji.

W każdym razie nowi Wileńczycy mają już glejt nietykalności (immunitet), mogą pisać i mówić, co się im podoba żywnie i w wolnej chwili gwizdać na sanacyjnych prawicowców. Jeżeli mocniej gwizdną, może jeszcze Torysi i do nich przyjdą?

FORD, FOX I MECENAS SZAPIRO

Jeden z majętniejszych ludzi na świecie, Henry Ford, obchodził w tych czasach swoje siedemdziesięciolecie. Okazuje się więc, że to jeszcze młodzik w zestawieniu z innymi miljarderami, którzy na złość jeden drugiemu dożywają do 96 wiosny. Z okazji tegoż siedemdziesięciolecia poszło w prasę nieco migawek i notatek o tem, jak tam i co tam ze starym, „*how business*"?, jak żyje, co jada, co mówi o Roosevelcie i amerykańskim przewrocie lipcowym? I znów się okazało, że jest synem chłopskim (farmerskim), wegetarjaninem, że tańczy menueta, że ma muzeum starych mebli amerykańskich, że jego interes po krótkim kryzysie znów prosperuje wcale, wcale.

Wśród tych, którzy Forda i fordyzm nie noszą pod sercem, jest też żyjący w Pasadena (California) socjalistyczny powieściopisarz Upton Sinclair, którego nie należy zbyt stale mieszać z Sinclair Lewisem, gdyż ten radykalny satyryk i ironista intelektualnie należy do wysokiej rangi pisarzy i artystów rafinowanych i subtelnych, podczas gdy Upton Sinclair to doktryner prymitywny, naiwny symplista („*caviar for general*"), miejscami prostacki *fabulier* dla mas, przyczem i grafoman; lat 51, książek 51, mniej więcej dwa, trzy tomy rocznie. Sympatyczne atoli jest w tym socjaliście

to, że jak mammonarchję tak i *Shylokracji* nie znosi i żydom zasadniczo nie ufa, różniąc się tem także od socjałów starej Europy, z których niektórzy, np. polscy, zdegradowali się wprost do roli tarana czy Tarzana pansemityzmu i są tylko tego pansemityzmu podściółką, nawozem, superfosfatem.

Otóż ten to Upton Sinclair napisał też na kolanie jeden tom i o Fordzie. A z tego tomu interesujący ustęp o stosunku króla kinowego Foxa do króla samochodowego Forda podaje warszawski „Nasz Przegląd". Pamiętają chyba wszyscy, jak swego czasu w r. 1920 Ford wypowiedział wojnę i rzucił rękawicę potężnej i rozhukanej amerykańskiej Shylokracji. W swojem Dearborn założył tygodnik, mający na celu wojnę z ośmiornicą (Octopus). Ponieważ dysponował odpowiedniemi funduszami, więc zdawało się, że ta krucjata jednak osiągnie jakiś skutek. Bądź co bądź przeciw Myrmidonom i Amerykanom tym razem stanął olbrzym, Guliwer. Widoczn.e jednak kampanja była jeszcze przedwczesna i niezorganizowana i spotkała się odrazu z mobilizacją całego *underworld* insektów i mikrobów. Publicyści Forda walili z armat w Wallstreet, ale i publicyści wynajęci przez lichwiarzy, jobberów, rekinów Giełdy, przez passerów, szmuglerów i handlarzy narkotykami nie dawali za wygraną. Zwycięstwo przechylało się to na jedną, to na drugą stronę. To, co się teraz wypisuje o Hitlerze w Europie, to samo w Ameryce w r. 1921 wciąż wypisywano o Fordzie w potężnych organach Ochsa i Pulitzera i w żółtej prasie *(yellow press)* nie — Jehudy Hearsta, obsługiwanej atoli wyłącznie przez personele z ghett amerykańskich. W drugim roku „Dearborn Independentu" nastąpiło bezpośrednie starcie króla aut z królem filmów. Upton Sinclair opisuje to w ten deseń, wedle relacyj, od Foxa, generalnego arendarza Hollywood otrzymanych:

„Pewnego razu przyszedł ktoś do magnata filmowego i powiedział mu, że za trzy dni ukaże się w tygodniku Forda artykuł o nim. Wówczas Fox odnalazł wspólnego przyjaciela, swojego i Forda i zapytawszy go, czy jest szczerym przyjacielm Forda, powiedział mu: Ford zamierza o mnie wydrukować paszkwil. Jego tygodnik prowadzi kampanję przeciwko żydowskiemu narodowi, z którego pochodzę. Postanowiłem przeto rzucić snop światła na samego Forda i wybadać, czy i on nie posiada pięty Achillesa. Niedawno zacząłem pracować nad tem, by stwierdzić, ile nieszczęśliwych wypadków zaszło z ludźmi, którzy jeździli autami Forda. Wypadków tych było bardzo wiele. Zapewne dzieje się to z tego powodu, że jego auta są najbardziej rozpowszechnione. Koncern Foxa posiada jednak setki aparatów filmowych w całej Ameryce. Od tej chwili wydany będzie rozkaz wszystkim operatorom filmowym, by w przyszłości udawali się — na miejsce wypadków, jakie zajdą z pasażerami maszyn Forda, i szczegóły tych wypadków filmowali. Z tych filmów wybiorę najciekawsze, by je zademonstrować we wszystkich kinach w kronice filmowej Foxa. Akcja ta da się, mam nadzieję — dodał Fox — dobrze we znaki Fordowi".

Przyjaciel Foxa, znający dobrze Forda, natychmiast udał się do Detroit, gdzie poinformował o wszystkiem magnata samochodowego, zaznaczając, że plan Foxa będzie wprowadzony w czyn, o ile Ford nie zaprzestanie w swym tygodniku kampanji antyżydowskiej.

Jak się okazało, Ford zgodził się natychmiast zaniechać kampanji. I istotnie kampanja antyżydowska ustała".

Zełgane oczywiście od a do zet, od *alfa* do *omega*. Henryk Ford w następstwie poznania osobiście ś. p. Reymonta i wskutek interwencji księcia M., Polaka (który był jakiś czas jednym z jego naczelnych inżynierów), był łaskaw dać dyspozycję, aby nam do Warszawy nietylko „Dearborn Independent" przesyłano, ale także drukowany materjał pomocniczy i informacyjny. Król kina ten tedy epizod socjalistycznemu beletryście zełgał dosłownie od podstaw. Fordowi odradził prowadzenie nieprzygotowanej odpowiednio kampanji jego przyjaciel Edison i Forda znużyły a raczej znudziły procesy o dyffamacje, jakie wytaczała pismu każda kanalja podbechtana przez rojowiska zajadłych a wygłodzonych *adwocatusów diaboli*. Tych procesów parszywych było kilkadziesiat, z czego moc przegranych, gdyż reporterzy tygodnika nie zawsze kontrolowali materjał dostarczony a Karakohny adwokackie łatwo mogły się uczepiać lada śmiecia.

Wśród tych kauzyperdów wyszczekanych, zapoconych, zaharkanych, jakich całe roje szwendają się i po kuluarach warszawskich sądów, słynny był w Chicago taki sobie Szapiro Aron. Słynnych mecenasów Szapirów Aronów jest dwóch: jeden w Londynie: 27 lipca wystąpił z projektem, aby dla bojkotowania Niemiec utworzyć „Radę Wojenną" (sic).

O drugim zaś mecenasie Aronie Szapiro z Chicago poszedł w świat dnia 27 lipca (na trzy dni przed jubileuszem Forda dnia 30 lipca) następujący telegram:

„LONDYN, 28.7. — Z Chicago donoszą o sensacyjnem aresztowaniu 24-ch wybitnych osobistości miasta, pod zarzutem uprawiania systematycznego szantażu. Wśród aresztowanych znajduje się jeden profesor uniwersytetu, kilku adwokatów oraz członków magistratu. Pozatem aresztowano kilkunastu wybitniejszych przedstawicieli świata podziemnego, którzy pozostawali w ścisłym kontakcie z wyżej wymienionymi oskarżonymi. Wysoko postawieni przestępcy współdziałali z bandami gangsterów, wyłudzając pod rozmaitemi groźbami stały haracz od świata kupieckiego. Wśród

aresztowanych znajduje się również odwokat Aron Szapiro, znany z sensacyjnego procesu, wytoczonego przezeń w roku 1927 przemysłowcowi samochodowemu, Henry Fordowi. W procesie tym Szapiro domagał się zasądzenia od Forda za rzekomo uprawianą przez niego kampanję antysemicką odszkodowania w wysokości jednego miljona dolarów. Sąd wówczas skargę oddalił"

Wśród prezentów, jakie dostał „czarodziej z Dearborn", kajdanki włożone Szapirusiowi Aronowi nie są jednym z najgorszych.

No a teraz jeszcze a propos tego arcyłgarza króla kinowego Foxa.

Znakomity pewien pisarz angielski z grupy „reformacji seksualnej", ultrapostępowiec, hyperradykał nawet z lekką czkawką komunistyczną, zeszłego roku podróżował po Indjach i rzecz prosta wypisał o tem księgę. W Batawji był sobie wieczorem na jakimś filmie amerykańskim i zdaje z tego swoje wrażenia. Niedaleko szukając , znajduje się w urzędowej „Gazecie Polskiej" w tłumaczeniu p. Kuszelewskiej refleksja Aldous Huxleya o „misji cywilizacyjnej", posłannictwie dziejowem i satanicznej roli destruktywnej, jaką odgrywa Hollywood, jego królowie i te różne Foxy, Meyery, Goldwiny, Lasky...

O jakikolwiek antysemityzm (barbarzyski) Aldousa Huxleya podejrzewać się nie da i nie uda. Świadek koronny. I oto co pisze Aldous Huxley:

„Producenci z Hollywood są na całej kuli ziemskiej misjonarzami i głosicielami białej cywilizacji. Nieuczony i nigdzie nie podróżujący członek podwładnej rasy może tylko z filmów poznać wyższą cywilizację, która go zawojowała i która nim rządzi.

Jak wygląda cywilizacja chrześcijańskich narodów prezentowana w amerykańskich filmach różnokolorowym rasom Azji, Afryki, Ameryki Południowej., jak wygląda „świat białego człowieka", sporządzany na eksport przez Foksa i jego foxterjerów?

„Świat durniów i szubrawców, kretynów i spryciarzy. Brutalny, niedojrzały, dziecinny świat. Świat bez żadnej subtelności, bez najmniejszych zainteresowań umysłowych, nietknięty przez sztukę, nieskażony filozofją ni nauką. Świat, który ma pełno motorów, telefonów i rewolwerów automatycznych, ale niema śladu takich rzeczy, jak nowoczesne ideje. Świat, w którym mężczyźni i kobiety posiadają instynkty, pragnienia i wzruszenia, ale absolutnie pozbawieni są myśli. Krótko mówiąc, świat, z którego wykreślono i wytrzebiono wszystko, co daje Zachodowi jego potęgę, jego polityczną i (jak w swym patrjotyźmie przypuszczam) duchową przewagę nad Wschodem, wszystko, co sprawia, iż człowiek dumny jest, że się na tej półkuli urodził i szczęśliwy, że do niej powraca. Hollywood przedstawia nas podwładnym rasom Wschodu i Południa jako kryminalistów i upośledzonych na umyśle".

Poczem jeszcze dalej pisze Huxley o „udziale Hollywood w akcji obniżenia prestiżu białego człowieka" i kończy, że „gdyby filmy miały naprawdę coś wspólnego z rzeczywistością, to Europa i Ameryka zasłużyłyby na to, aby je oddać pod panowanie papuasów i andamańskich pigmejów"...

W tym to kierunku pchnęli twórczość filmową potentaci kinowi, a z nich pierwszy Fox. Już się świat białych ludzi na tem poznaje. Huxley pierwszy.

To też nie dożyje tak spokojnie jak Ford Fox swego siedemdziesięciolecia... Będzie jednym z pierwszych!

FIGLARZ.

W autobiografji bardzo modnego dziś pisarza polskiego p. Urke Nachalnika („Życiorys własny przestępcy"), jest bardzo wiele miejsc i... ustępów, dających dużo do myślenia tym, którzy się rozmaitemi bieżącemi formami i przejawami krajowego przestępczego nachalstwa interesują.

W jednym rozdziale, gdzie autor opowiada swoje dzieciństwo, jest ustęp o rabinie, pouczającym dzieci wybranego narodu, o tem jak to „goje" nigdy nie zmartwychwstaną... jak to tylko niegojów archanioł Gabrjel odprowadzi do ziemi obiecanej, jak to „żydzi zapanują na całym świecie", jak to „żaden goj nie posiada duszy" i t. p.

„Muszę tu powiedzieć, że stryj mój był bardzo cnotliwy. Nie przeszkadzało mu to wszakże, aby mnie, jako familjanta, użył do takiej „uczciwej" pracy, jak naprzykład do mieszania żytnich otrąb lub mąki mniej wartościowego produktu i pszennych z pewną ilością... piasku. Takiego „prima" gatunku otrąb lub mąki przychodziło się nieraz przygotować z 200 worków i więcej. Praca to była nielada, gdyż wszystko to trzeba było dokładnie przemieszać i z powrotem powsypywać do worków. Szło to do Niemiec" (strona 128).

Taka tedy mąka i takie otręby szły z Polski do Niemiec jako polski towar made in Poland. Takimi „figielkami" zabawiał się i zarabiał sobie wuj Nachalnika. Ale i Niemcy i Polacy to ostatecznie tak zwane goje „nieposiadające duszy" i wogóle gatunek małowartościowy, podrzędny. To też u bardzo zaawansowanych i zajadłych żydożerców panuje pogląd jakoby w narodzie wybranym obowiązywał kategoryczny imperatyw, że t. z. gojów nietylko można, ale należy, jak to mówią, oszukiwać. Natomiast nie należy puszczać się na figielki względem swoich własnych i rodzonych.

Otóż ten pogląd jest od a do zet zabobonem i przesądem, klerykalnym, reakcyjnym, barbarzyńskim przesądem, kolportowanym przez notorycznych hitlerników. Nic na tem prawdy... Pod tym względem niema żadnych różnic rasowych, plemiennych, wyznaniowych. Czy swój, czy obcy — to w pewnych warunkach i konjunkturach to samo. Piasek do worków można wsypywać wszystkim, oczywiście wszystkim tym, którzy tego nie dostrzegą.

Aby się zaś o braku jakichkolwiek imperatywów i zakazów w tej dziedzinie przekonać, trzeba najpierw porozumieć się co do słowa: goj. Niema ono żadnego związku z hiszpańskim malarzem Goyą. Natomiast najpewniej i najprawdopodobniej jest to praktyczny skrót słowa: „maz-goj“, dawnego: mazgaj czyli osobnik niezaradny, niedołężny, nie umiejący sobie poradzić, łatwo dający się ocyganić. Pod tym kątem widzenia cała ludzkość dzieli się na skorych i chętnych do płatania figlików (z piaskiem), oraz na tak zwanych mazgajów, mazgojów, gojów.

Otóż aby raz na zawsze wytrzebić ze świadomości ogółu ten szowinistyczny, klerykalny... przesąd, jakoby figliki z piaskiem praktykowało się tylko wobec gojów dosłownych, dziedzicznych, gojów „aryjskich“ (?) a unikało w potocznem życiu mazgojów swoich, zestawimy tu sobie garść takich figlików z... piaskiem zebranych przygodnie z jednego tylko miesiąca (maja r. 1933) z kroniki bieżącej kilku zaledwie skupin w uroczem mocarstwie Judosłowian. Wraz się przekonamy, jak myli się p. Urke Nachalnik, jeżeli myśli, że piasek do worków z mąką dosypuje się tylko Niemcom i Polakom. *Tezie* Nachalnika przeciwstawia się tu *antytezę:* dla wprawy, z przyzwyczajenia, z nałogu, z wrodzonych dziedzicznych skłonności oszukuje się także (sporadycznie) i swoich własnych rodzonych: co pod ręką to mazgoj. *Syntezę* niech teraz czytelnik wyciągnie sobie sam.

Zacząć można i trzeba od Kohna. Tym razem zasłużone imię Alfons. Z powodu tego Kohna przez *kilka* miesięcy przesiedzieli w więzieniu dwaj redaktorzy narodowych pism z Pomorza, koledzy Gwizdalski i Ciesielski. Alfons Kohn denuncjował redaktorów „Pielgrzyma“ o... przemytnictwo... Podczas, gdy dwaj najuczciwsi działacze i dziennikarze siedzieli w więzieniu, Alfons Kohn przebywał na wolności. Wreszcie ich wypuszczono a za kraty poszedł... przemytnik i szantażysta i wogóle wyjątkowa kanalja Alfons Kohn. Jak wpadł? Zachciało mu się „figielków“ z drugim współwyznawcą Abramem Flintem. „Flinta“... a więc nieumiejętne obchodzenie się z bronią. Abram Flint miał wytoczoną sprawę o normalną kradzież. Do Flinta zgłosił się Kohn z propozycją, że za 200 złotych dzięki wyrobionym swoim „stosunkom z policją“ sprawa będzie „umorzona“. Zeszli się w „Café Adria“. Abram wręcza Alfonsowi 200 zł., Alfons wychodzi, wchodzi natomiast komisarz,

aresztuje Abrama i na komisarjat. Tegoż dnia wieczorną porą zgłasza się Alfons Kohn do małżonki Flinta z propozycją wręczenia mu 800 zł. za uwolnienie mężulka, obwinionego o kradzież grubszej biżuterji. Flintowa wierzy, daje 800 zł., a Kohn znika. Upływają dwa dni a tu ani Flinta, ani Kohna. Flintowa w rozpaczy. Wreszcie Kohn się odnalazł „przypadkowo“ na placu Teatralnym. Odtąd wreszcie siedzi. W bezpiecznem miejscu. Chciał oszukać swój swego, ma za swoje.

...Kino „Fama“ przy ul. Przejazd mają na spółkę państwo Bregman, p. Gratsztejn i p. Szwalbe. Podatki trzeba oczywiście płacić. Tymczasem pewnego dnia pani Bregman jak gdyby nigdy nic idzie do kasy i bierze podstępnie całą kasę (500 zł.). Panowie Szwalbe i Gratsztejn podnoszą dość hałaśliwy protest. Wtedy napadają na nich z kijami i pięściami brat pani Róży, p. Falnower i rodzony mąż i wraz do bicia ordynarnego p. Szwalbego: oczywiście zaraz policja, pani Bregman musi oddawać całą kasę no i do sądu...

...Konsorcjum dla handlu biżuterjami zakłada trzech finansistów, z których tylko jeden wkłada do spółki kapitał zakładowy 4.000 złotych: pan Uszer Glezer. A dwóch panów: Rosner i Heltz mają kapitalne idee i pomysły. Jeden z tych pomysłów niestety na wyraźną krzywdę i szkodę kapitalisty Glezera. Z wielkim krzykiem zgłaszają się pewnego dnia do VIII komisarjatu, że ich okradziono w tramwaju i zabrano portfel z całą biżuterją. Na dowód pokazują marynarkę przeciętą „żyletką“. Sprowadzają Uszera Glezera. Co się okazuje? Figiel. Rozcięcie żyletką od wewnątrz marynarki, podczas kiedy normalnie prawdziwe złodziejaszki przecinają od zewnątrz. Spółka rozwiązana. Dwaj panowie do kozy...

...Żeby już zostać przy drogich kamieniach. Dwóch specjalistów od klejnotów z carskiego „skarbu“, „brylantów z Ermitażu“, djamentów „z Korony Carowej Wdowy“... Grasowali po całej Europie z rozmaitymi szkiełkami i falsyfikatami. Spółkę Jankiela Hochbauma i Niutę Szmidta aresztowano, bo żydkowi amatorowi, który nie chciał kupić pierścionka z... butonami.... wyciągnęli 800 złotych z portfelu i jeszcze go pobili. Natomiast inny specjalista Majloch (sic) Bober, zdawna poszukiwany król brylanciarzy „ze skarbu Romanowych“, zgłosił się sam i chce odsiedzieć swoje po dłuższem „*staggione*“ w Hamburgu, gdzie za sprzedane djamenty koronne zafundował sobie knajpę portową, ale hitlerowcy go odkryli, pobili i odstawili do Zbąszynia...

...Maszynkę do nadrabiania dolarów skonstruowali sobie wynalazcy (samouki) Lehman z Katowic i Blauweiss z Częstochowy. Z maszynką do Krakowa. Zamiast wciągnąć w interes gojów, sprowadzili panią Friese, kupcową z Dukli... W krakowskim hoteliku prezentując jej maszynkę działającą i „powielającą“ nor-

malne dwudziestozłotowe banknoty tak panią Friese oczarowali, że z miejsca sprezentowała im uciułane 2.000 dolarów, aby tylko ten sam proceder pokazali na dolarach. Połakomiwszy się na... gotowe... dolary Friesowej, Lehman i Blauweiss szybko się ulotnili, zostawiwszy kupcowej z Dukli dość prymitywną maszynkę. Już obaj w kozie...

...Zamiast „leczyć"... gojów, Szloma Pietman nakupił ziółek dla swoich i otworzył gabinet jako Tybetańczyk, pod fałszywym paszportem: „Zygmunt Zakrzewski". Kilku wyleczył konkurent Badmajewa, ale jednak poszedł za kraty na dwa lata....

...Że znów źle leczyć musiał swoich pacjentów „dentysta" Szapiro (Stefańska 27), dowodzi fakt, że pokrzywdzeni chasydzi (znaczy: pobożni), zebrawszy się w większe grono, napadli go przy ul. Zawalnej i wybili mu cały zdrowy garnitur. Pytanie jeszcze czy z wyłamaną dziś szczęką dentysta Szapiro miał dyplom naukowy prawdziwy, czy też przypadkiem nie był... jednym z... klijentów spółki Mendelsohn und Lubliner, która masowo fałszowała dyplomy naukowe dla współwyznawców...

...Że nawet w najpatrjarchalniejszych rodzinach czepiają się figlarne pomysły krzywdzenia najbliższych osób ze swego środowiska, tego też moc mamy przykładów z codziennej kroniki niejako kryminalnej.

Pobili się na ulicy Bonifraterskiej ciężko starszy pan Rosenberg z młodym Katzenellenbogenem, aż ich przechodnie rozczepili. Co się stało? Młodzieniec bywał i bywał, miał się żenić ze starszą już omal sędziwą jedynaczką i po latach rozmyślił się i zwiał.

...W apartamentach państwa Starkman (Bielańska, trzy składy okryć męskich i damskich) skandal na całą kamienicę. Co się stało? Przyszedł wujcio Ledermann i spokojnie zażądał, żeby bogaci Starkmanowie wzięli sędziwą babcię do siebie. To oni zamiast wziąć babcię do siebie, zmobilizowali dzieci rodzone: Józefa i Różyczkę i ci tak pobili rodzonego wujcia (brata pani Starkmanowej), że trzeba było interwencji władz bezpieczeństwa...

...Abraham Kamieniecki z Wilna, to on niby inteligent, prawnik, aplikant sądowy, a jak sprzedał kamienicę Kamienieckich w Warszawie, a z pobranych 170.000 miał ojcu dać 35.000, to nie dał i nie daje dotychczas, a ojciec musi rodzonemu jedynakowi proces wytaczać... Żeby już zostać przy Abrahamach, to Wachsman Abraham (Wołyńska 23) zdawałoby się solidny kupiec, prawda? Ale raz tylko małżonka wyjechała, to on zaraz całą solidną garderobę sprzedaje, biżuterję i gotówkę sobie bierze i ucieka, gdzie? gdzie pieprz rośnie....

...Żeby zaś już zostać przy... Wachsmanach, to znów taki popularny solidny sprzedawca gazet Berek Wachsman z Żyrardowa, uciuławszy 15.000 złotych, stawia sobie taki biały dworek, taki domek... Ale pech chce, że ma lekkomyślnego kuzynka Berka Gerszowera, którego przypuszcza do spółki. To taki kuzynek zamiast okazać swą wdzięczność, w krytycznym momencie kiedy podjęli z banku 9.000 złotych i stary Berek zaprasza go na poczęstunek (na śledzika) to on bierze portfel z 9 tysiącami i ucieka... gdzie ucieka? do hitlerowskiego Gdańska!... Jeszcze gorzej, znów z ciocią rodzoną, poczyna sobie młody Lejzor Bloksberg w Przemyślu, i to przy ul. Rodziewiczówny! Kiedy wujostwo Pfefferowie idą do bóżnicy w piątek, zostaje ciocia 65-letnia Chaja Gogen i też się modli. A tymczasem Lejzorek na nią odrazu z młoteczkiem. Chciał niby „tylko ogłuszyć", a tymczasem wyprawił ciocię na tamten świat, a sam zgarnąwszy gotówkę i precjoza rodzinne, dalejże na Europę...

...Jeszcze brutalniej i bardziej po chuligańsku i z jeszcze starszym bo 74 lata mającym Michałem Mendlem postąpiła sobie familja Liebskerów. Nie płacili czynszu za sklep. A gdy starowina domagał się energicznie, zaczaili się nań całą bandą przy ul. Orlej, złapali, zakneblowali usta, do dorożki dziadzia, no i tam co się zowie „obrażenia słowne" i cielesne także... Jak się sprawa skończy z nimi to niewiadomo, ale nic dobrego wróżyć Lipskierom nie można.

Takich i tym podobnych „figlików", figlów, „piasków do worków", przekroczeń, naruszeń spokoju publicznego i zamachów na mienie prywatne, popełnianych w najbliższem środowisku, na drodze najmniejszego oporu („ułatwione życie") dla wprawy, czy z przyzwyczajenia czy z nałogu, względnie dla *treningu...* (dla przeszkolenia...) wyliczyćby tu można (gdyby był czas i miejsce) poprostu jeszcze cały regestr. Kiedyindziej.

Przypominamy jeszcze tylko tezę - hipotezę: słowo goj pochodzi od przekształconego: mazgoj... mazgaj...

JOWISZ I KARTOFEL.

Wyjątkowy resonans i sympatyczne zainteresowanie, z jakiem spotkała się pierwsza wiązanka, pierwszy „faktomontaż" o naszych... sublokatorach, zachęca do dalszych na tym odcinku rewelacyj. Używamy słowa „rewelacyj", ponieważ ze wszystkich stron odgłosy: ależ my nic o tem nie wiedzieliśmy! czy to aby prawda? skąd to wzięte? Z życia, panowie, z życia potocznego, z kroniki codziennej, z pism, tylko że pisma dają ten bagatel najdrobniejszym druczkiem na najostatniejszem miejscu, co należałoby wysunąć w pełne światło reflektorów dla dokształcenia dorastającej inteligencji judosłowiańskiej.

Gdy teraz „dostrzegamy" nagłówek: „Jowisz i Kartofel", niejeden czytelnik suponuje sądząc po tytule, że to może o bajce Lafontaina, Kryłowa, albo zgoła naszego Jachowicza, ojca współzałożyciela i współredaktora poczętego jako antysemicki organ lat temu 50... „Kurjera Porannego"... Tymczasem tak nie jest. W tem nic nie będzie z bajkowego świata i z bajki, a wprost przeciwnie — najrzeczywistsza rzeczywistość. Jowisz i Kartofel to są... to są nazwiska, nazwiska dwóch rodzin, których członkowie jeszcze nie wydobyli się nad powierzchnię życiową i jeszcze nie zdołali rozbłysnąć w świecie, których wyczyny intelektualne jeszcze nie absorbują opinji europejskiej, a których to nazwisk nosiciele jednak już teraz zdradzają pewne predyspozycje wyjątkowe, wynoszące ich ponad szary, bezbarwny, tuzinkowy ogół obywatelski...

Otóż tak o tym pierwszym reprezentancie rodziny Kartofel, jak o nosicielu dumnego nazwiska: Jowisz, nie można mówić jako o typach pierwotnych, prowincjonalnych, parafjańskich, glebaeadscriptach, gdyż dali się już poznać z początków swej działalności zagranicą... tylko, że ta ich działalność poszła, zdaje się w fałszywym kierunku.

Świadczyłoby o tem może nieco przesadne zaopiekowanie się nimi zagranicznych czynników bezpieczeństwa, tym razem belgijskich...

W Belgji, nawiasem mówiąc, przebywa obecnie około 30 tysięcy rodaków z Polski jako górników i robotników w ośrodkach przemysłowych i zagłębiach w Mons, Centre, Namur, Liège, Charleroi, Campine. Na tych 30 tysiącach osiadło omal 30 tysięcy „obywateli" z Polski, sklepikarzy, „bankierów", właścicieli gospod, knajp, zamtuzów, dalej szlifierzy bruków (luftmenschów) oraz szlifierzy... djamentów, oraz wogóle handlujących drogiemi... kamieniami. Koło 15 tysięcy mieszka na przedmieściach i peryferji Bruxeli, a 15 tysięcy w dzielnicy ostjudzkiej w Antwerpji (przy dworcu kolejowym). Obywatele ci wydają swój własny organ dwutygodnik „Polonia" (dosłownie: „Polonia"). Dużo uciekinierów (Flüchtlingów) przybyło też obecnie z Niemiec, co nie wszędzie u tubylców wywołuje zachwyt i radość. „Nasz Przegląd" (16 maja) wprost twierdzi, że „zaraza Hitlerowska ujawniła się już w pewnym stopniu wśród miejscowej ludności flamandzkiej", co zaś się tyczy rządu, to:

„Jak już się rzekło, rząd belgijski nie robi trudności żydom, chroniącym się do Belgji przed terorem hitlerowskm. Ale daje im pozwolenie tylko na krótki pobyt... ...Ale pobyt uciekinierów w Belgji jest tylko chwilowy. Nie mają pozwolenia na osiedlanie się i szukanie pracy".

Dlaczego tak jest? Dlaczego rząd belgijski nie bierze sobie przykładu z polskiego? Dlaczego jest tak niegościnny? Kto temu winien?

Na to odpowiedzieć musimy, niestety: Jowisz i Kartofel. Jeszcze więcej Kartofel niż Jowisz, Jowisz tylko pośrednio, Kartofel bezpośrednio.

Przez figliki takiego to Kartofla Lejby (ul. Miła 49) i jemu podobnych, za winy niepopełnione, specjalnym pociągiem odstawiono do Zbąszynia ładunek 500 sztuk współwyznawców Kartofla, Bogu ducha winnych obywateli polskich (500). Gdyby był nasz Lejba (z ulicy Miłej!) działał po swojemu tylko w kraju macierzystym, rzecz nie nabrałaby odrazu takiego zagranicznego rozgłosu. Chajm Wolff Baumzweig fałszował brylanty w pierścionkach i podrabiał łudząco biżuterję, ale na terenie tylko Zagłębia Dąbrowskiego i po trudach i mozołach odpoczywa. Jak wyjdzie na wolność, to już przestanie z brylantami a weźmie się do rubinów, aczkolwiek przestrogą i ostrzeżeniem powinien mu być nieszczęsny los takiego majstra jak Izrael Rubin (Gęsia 39), któremu „zły duch" podszepnął zabawny trick i figiel. Jako jubiler z zawodu chadzał on często do lombardów i pod lombardy dokładnie sobie studjując biżuterje, które musiały wnet iść pod młotek. Przychodzi dzień licytacji, banda hien i szakali rozbierała za pół darmo łzami gojów oblane pamiątki rodzinne... To wtedy Izrael Rubin (może wnuk Chawy Rubin?) wdawał się w targi, oglądał, ważył i szybko zamieniał autentyczne na fałszowane duplikaty. Aż wreszcie magika z Gęsiej podpatrzyli, nakryli i zapakowali. W każdym jednak razie u swoich i wśród swoich manewrował i figlował zresztą pracowity jak Mrówka jubiler i nie skompromitował kraju zagranicą.

Taksamo tylko wśród swoich operował (głównie wśród włościan i kmiotków) Mrówka Naftali, który wspólnie z „przyjaciółmi" wybudował taki czarodziejski „aparat" z retortami, próbówkami, kroplomierzem i t. p. i z tym „aparatem" jeździł po wsiach i siołach. Aparat stawiał na stole, „gospodarze" ze zdumieniem oglądali, poczem dawali prawdziwe banknoty na rozmnożenie"; wszyscy na noc musieli izby opuszczać i iść spać do stodoły; kiedy wracali ani aparatu, ani gotówki, ani Mrówki nie bywało już ani śladu...

Czy taki alchemik Mrówka nie jest już godny noweli Wassermana, artykułu Wasserzuga, a w każdym razie adwokackiej obrony Wasserbergera?

Nie jest godzien natomiast nawet Okrętowej wcale obrony taki M. Rabinowicz, nie dlatego, że przechowywał całemi tonnami tytoń kradziony z fabryk państwowych, ale dlatego głównie, że te paserskie składy były przy ul. Archangielskiej! (40). Archan-

gielskiej! a nie przy zwykłej sobie choć coprawda, przepełnionej kryminalistami ul. Gęsiej, gdzie też w różnych hotelikach przelotnie kancelarję swoją to otwierał to zamykał „mecenas“ Izrael Rabinowicz, specjalista od spraw spadkowych, który posiadając regestry obywateli mających bogatych krewnych w Ameryce, informował (błędnie) tutejszych o nagłej i niespodziewanej śmierci wujaszków i stryjaszków, brał większe lub mniejsze à conta na wywindykowanie (10 miljonów dolarów) i wówczas szybko przenosił się z Gęsiej na Kaczą lub na Smoczą (16), gdzie znów rezydował Lejba Mełamed najspecjalniejszy specjalista od fałszowania recept Kas Chorych na najdroższe medykamenty jakie tylko fabrykują aptekarze...

Jak się atoli rzekło, wszystko to figliki, spekulacje, tricki dla swoich, wśród swoich, w Warszawie a nie na export, bez kompromitacji przed zagranicą...

Inaczej natomiast pewne grupy czy związki obywateli, które jakoś dziwnie ulubiły sobie Belgję, a w tej Belgji — Antwerpję.

Tutaj „Bnaj-Brith“ Eljasza Gofmana z jedenastu fachowców złożona, preparowała złoto „zaprawione“ miedzią w czem chemikiem naczelnym a pomysłowym okazał się Moryc Gnatowicz.

Tutaj w Antwerpji komuniści z Polski głównie urządzili demonstracyjny pochód przeciw Hitlerowi i rozbili szyby w konsulacie niemieckim (w lutym... w polskim).

Tutaj też skupywał drogie kamuszki Lejba *Kartofel* (Miła 49) i po oszlifowaniu przemycał do ojczyzny („Polonia“).

Tutaj też za cudownie fałszowanymi paszportami prawdziwego „artysty“ Menachema Kamieniewa (obecnie: Pawiak) bawił od czasu do czasu ze swoimi „ludźmi“ jeden z najgenjalniejszych współrodaków, współrasowców wielkiego Einsteina, wielkiego Chaplina, wielkiego Radka i t. p. szef i wódz komitadżów macedońskich, Bułgar Valentino (sic), Dzidżiu vel Digdziu. Tego to „Bułgara“ poznali w Warszawie skromni dentyści Berek Warm i Hersch Jowisz (sic). Valentino Dzidżiu zaproponował dentystom zakup szczerego złota za marny pieniądz. Wezwano do pomocy „finansistów“ Nuchyma Leszczyńskiego i Szaję Finkelstejna. Panu Nuchimowi udało się wziąć w banczku pożyczkę 1.500 dolarów. Schadzka w hotelu, gdzie na pierwszem piętrze „mecenas“ Rabinowicz, na drugim fałszerz paszportów, na 3-cim podrabiacz recept... etc... Zjawia się wódz komitadżów bułgarskich i otwiera kuferek pełen złotych niemieckich dwudziestomarkówek. Jowisz, Warm i Leszczyński wręczają 1.500 dolarów, robi się jakieś zamieszanie. Ktoś dostaje kopniaka w brzuch, drugi w mord (rytualny), trzeci w pachwinę... I Valentino ucieka z kuferkiem i z dolarami. Poszkodowani w pogoń, ale krwią broczą. Tyle go widzieli. Więc do znajomych adwokatów i... O-kretów. Przepadło... Szukaj wiatru w polu. Ale los pomógł. W Belgji aresztują międzynarodowego łobuza, „znanego Bułgara“ i wodza komitadżów i złodziei kieszonkowych i hotelowych. Okazuje się: ten sam: Ajzyk Salomonowicz, czytelnik... „Polonji“, emigrandziarz, obywatel polski, Polak. Jeszcze niedawno może brał udział w pochodzie demonstracyjnym przeciw budzącej się Europie... Teraz wraca skuty potężnie do rodzinnej Warszawy, gdzie już na wolności oczekuje go niecierpliwie... Jowisz, a w kryminale... znajomek Kartofel...

Widzimy z tego, jak barwne, wielobarwne, urozmaicone, pomysłów i odmian pełne są żywota panów swawolnych z naszej mniejszości...

Nie można się atoli potem dziwić, że jeżeli jest tak olbrzymi procent kryminalistów czy degeneratów w ostjudejskich sferach, w dołach, w nizinach, w materjale etnicznym, to sceptyk niejeden ze znacznie uszczuplonym respektem odnosi się też do szczytów intelektualnych, do wonnych upajających kwiatów egzotycznych, które z tej gleby wykwitły i wyrosły.

Czytamy Maurois... (recte: Herzoga). „Angielskie Portrety“ Fines fleurs... A mimowoli przypomina nam się Herzog z ul. Gęsiecj czy Kaczej, fałszujący angielskie „Scoth-Whisky“...

ŁOWCY MIKROBÓW.

Tego samego dnia, kiedy przez Wisłę przeprawiał się w kruchej łódeczce tajemniczy Gordon, trzymając kurczowo swój kufereczek o podwójnym dnie a łódki z policją już otaczały i naciskały łódkę Gordonową, tego samego dnia w sali sądowej przewodniczący odczytywał wyrok na całą grupę innych... narkofilów. Gordon był indywidualistą, samotnikiem, eter przemycał sam, bez pomocy, a raczej nie biorąc do... spółki nikogo. Jak jedni marzą o tem, ażeby te a te „książki zbłądziły pod strzechy“ tak Gordonowi Moszkowi przywidziało się, że lud włościański trzeba uszlachetnić, wysubtelizować, oduczyć od ordynarnej wódki a oswoić z używaniem... eteru. Od sioła do sioła wędrował i kmiotkom za tani pieniądz oddawał eter, aby zapomnieli o dolegliwościach życiowych. Już raz za tę akcję antyalkoholiczną (więc chyba umoralniającą?) przez sześć miesięcy pozbawiono go wolności. Gordon jednak nie dał się zrazić i znów szedł w lud ze swoim eliksirem.

Nie eter a morfinę jako balsam pocieszenia w czasach ciężkich propagowało konsorcjum braci Wagszalów, związanych z H. Tenenbaumem. Podczas, gdy w Genewie dr. Rajchman z dr. Chodźką tak dzielnie zwalczają handel opium w Chinach, bracia Wagszalowie brzydząc się haszyszem sprowadzali z Niemiec drogą t. zw. przemytu wielkie ładunki dobroczynnego morphium

i przy współudziale całego szeregu ludzi dobrej woli i inicjatywy (Goldstein, Sand, Krygier, Geschichter) rozprowadzali ją po cierpiącej ludzkości, dla amatorów. Niestety władze bezpieczeństwa mają na tę popularyzację narkozy pogląd diametralnie przeciwny od grupy dobroczyńców. I wyrok surowy padł.

Czy teraz w danych warunkach po ciężkich dezilluzjach, jakim dają wyraz wszyscy turyści po Sowietarchji, nie jest też gatunkiem narkozy, eterem czy morfiną bibuła komunistyczna, agitacyjne broszury, ulotki, plakaty, przemycane masowo, kolportowane tajnie i zawzięcie, szczególnie w sferach młodzieży cyrkulującej w promieniu takich ulic stołecznych jak Franciszkańska, Gęsia, Miła a szczególnie Zamenhofa?... A przecież tej narkozy rewolucyjnej rozchodzić się muszą jednak nadal olbrzymie ilości, skoro w przeciągu niecałych dwóch miesięcy władze bezpieczeństwa w Warszawie wykryły tak nieproporcjonalnie wielką ilość gniazd i organizacyj komunistycznych.

„Publiczność" czyli burżuazja (małomieszczanie) jakoś teraz nie interesuje się temi sprawami. Jest przekonana, że już wszelkie niebezpieczeństwo perturberacyj społecznych na długie lata, dziesiątki lat minęło, że nie grozi żaden „spectre rouge" ani „grand soir". Tylko kryzys jest modny, wszelkie rewolucje wyszły z mody a komunistów podobno już wcale wogóle niema... Te resztki co zostały to spacyfikowane a nowych nie przybywa wcale. Cyfry członków K. P. P. zrzeszonych czytało się w ostatnich czasach rozmaite i niezgodne z sobą: Manuilski obliczał, że w Polsce 45.000, w „Robotniku" podano raz tylko 18.000. Wychodząca teraz w Bazylei komunistyczna niemiecka „Rundschau", informowała, że politycznych więźniów jest w Polsce do 12.000 (dwunastu), a że członków zrzeszonych przybyło od zimy 10.000. Zorjentować się trudno, a to tylko wiadomo, że i tu jest zasadniczy rozłam na Stalinowców i na Trockistów, że tym a tym przewodzi patrjarcha Warszawski - Warski, a tamtym Krakowski, a nad wszystkimi „superarbitruje" Leński, że K. P. P. godzi się na oddanie komunistom niemieckim tych terytorjów polskich, których domagają się niemieccy... nacjonaliści (mowa posłanki Ignasiakówny) i że jak Niemcy mają swego tak i my mamy naszego Rosenberga, posła na Sejm, który na punkcie rewizjonizmu z von Rosenbergiem by się godził, nie czekając na dyktaturę Thalmana czy Trockiego. Sowiecko - polska w Moskwie wychodząca „Trybuna Radziecka" pisząca stale o „imperjaliźmie polskim", o „prowokacjach przeciw Gdańskowi, przeciw Prusom Wschodnim i na granicy Pomorza" nie zawahała się też ani chwili w zamieszczeniu takiej oficjalnej deklaracji K.P.P.:

„Komunistyczna partja Polski oświadcza swą całkowitą solidarność i aktywne poparcie w bohaterskiej walce proletarjatu niemieckiego przeciw niewoli wersalskiej, przeciw uciskowi socjalnemu i narodowemu. Komunistyczna partja Polska walczy przeciw uciskowi ludności niemieckiej w Polsce o prawo do samookreślenia dla Górnego Śląska aż do oderwania od państwa polskiego, — przeciw imperjalistycznej polityce aneksjonistycznej faszystowskiego rządu Piłsudskiego wobec Gdańska".

Ponieważ podobne enuncjacje wydawała K.P.P. także co do wszystkich kresów wschodnich, przeto K.P.P. jest programowo oficjalną partją rozbioru Polski, całkiem nie ukrywającą swych celów końcowych, to jest zlikwidowania niepodległego państwa i dołączenia go do Republiki Radzieckiej. Członkowie jej zrzeszeni winni być traktowani jako normalni zdrajcy i odpowiednio unieszkodliwiani jako mikroby *wojny pionowej*, gdyż taka rewolucja, każdy przewrót socjalny jest wojną pionową tak jak wojny możnaby określić jako... rewolucje poziome.

W ostatnich dwóch miesiącach nasza policja polityczna dużo miała do czynienia z... integralnymi pacyfistami czyli z komunistyczną Targowicą. Dopiero zestawienie zregestrowanych nakrytych jaczejek daje wyobrażenie o tem jak intensywną działalność ostatnio rozwinęły mikroby... narkotyzowane i narkotyzujące...

Na razie nie włączymy tu wykrytych organizacyj komunistycznych w całem państwie, szczególnie we wschodnich województwach, ani też organizacyj z Krakowa, z Poznania, z Gdyni. Ograniczymy się wyłącznie na Warszawie i na jej peryferjach.

Otóż w Warszawie w sezonie ubiegłym największemi sukcesami... teatralnymi były dwie bomby komunistyczne, grane równocześnie w dwóch teatrach po polsku i w żargonie: jedna to: „Ryczcie Chiny", a druga to „Boston" (Sacco — Vanzetti) Bluma (nie mieszać z Leonem paryskim), reportaż entuzjastycznie wychwalony przez „schoengeista" p. Wasowskiego z Waserzugów.

Równocześnie atoli, kiedy wędrowne tłumy (szczury) oklaskiwały przez kilka miesięcy te tandety faktomontażowe demonstrując nawet w dziki sposób (aresztowani: Weinstein, Leichtenstain, Szoskies, Ehrlich), równocześnie zlikwidowano kolejno:

Archiwum Centralne Komitetu K.P.P., przyczem aresztowano w mieszkaniu dentystki M. Rosenblum cały sztab główny wyłącznie z inteligencji, a mianowicie księgarza L. Sylberberga, dziennikarza Cymmermana (delegat Kominternu), studentki Szapirównę, Rossetównę Sarę, Mirjam Berniker, Dorę Chmielnicką, literata Motkę Zołotowa (redaktor „Przeglądu Społecznego"), studentów: Szmulowicza, Salcmana, Jakóba Kohena, Abrahama Kohena, Jehudę Rosenbauma, A. Kagana (delegat Kominternu), J. Arona Mayzlika, Brama Nuchyma Ester (delegat do Wiednia), razem 36 osób.

Równie dużą grupę aresztowano przy ul. Długiej, również z inteligencji, na której czele drukarz Abram Hendler, dalej J. Mandejbaum, Kałman Potok, Abram Orlean, Ch. Laufer, Moszek Acker, nadto dorożkarz Leib Miotełka, który rozwoził po mieście do składów drukowane narkotyki i podniecające morfium; tak zwaną „komendantką“ (myszką“) tej grupy była Złata Kornfeld. Przy towariszczu Lieberze Monszyńskim znaleziono 800 dolarów i omal 6 tysięcy złotych!

Kilka kandydatek na komendantki przyszłej warszawskiej Czerezwyczajki miała grupa aresztowana przed 1-szym maja w chederze przy ul. Zamenhofa, a mianowicie: Gołda Horczylas, Ita Prywes, S. Zyskind, Sabina Prechner, Anna Milgrom oraz Chana Cytryn (nazwisko powtarzające się we wszystkich komunistycznych sztabach od Londyńskiego zaczynając). Do tego Propagitu z mężczyzn należeli Fajwel Lieberman, H. Rosenkraut, N. Feigman, S. Ayzner, H. Dawidson.

Nazwisko Milgrom, H. Milgrom pojawia się też w nieszczęsnej aferze, której ofiarą padł oficer rezerwy rotmistrz 1 pułku szwoleżerów skazany na 5 lat więżienia, Jan Strzeszewski. Tu należeli jeszcze J. Monk i Boruch Szulc; „Myszką„ była „gruba ryba“ komunistyczna Janina Wiezenberg, działająca i w Gdańsku.

Inna ofiara, to ten biedny a zdolny Wolica (autor filmu „Legjon Ulicy“) 24-letni chłopak, którego w robotę komunistyczną uwikłały „komendantki“ jaczejki Rachela Rosenszajn i pielęgniarka Rachela Burakiszka obok kilku studentów wyższych uczelni Hirschlick Zajdebach, Menachen Botywiecki, P. Landau i t. p.

Z organizacji przygotowującej komunistyczny „Dzień Kobiet“ aresztowano agitatorki (myszki) Chaję Szydło, Sarę Hermańską, Gitlę Edelbaum, Szaję Cukiert, Gitlę Edelman, Ruchlę Pańską, Ewe Justman, Ryfkę Feder vel Feder; z mężczyzn wybitniejszych Samuel Cytryn.

Z pól Grochowskich swego czasu zwieziono dużą gromadę mityngującą z takimi „fiszami“ na czele jak Sylberstein, Goldman, Alter, Zylber i komendantką Fajgą Esterson (komitet międzydzielnicowy).

Z grubszych ryb oddzielnie wycofano z obiegu profesora Salomona Jaszuńskiego, wykładowcę języków wschodnich, który już raz był skazany na lat 4. Następnie „słynnego“ Steina „Feliksa“, który pod fałszywym paszportem P. Schillera przejeżdżał z angielskimi inżynierami z Moskwy i wpadł na dworcu; okazało się, że zbiegły z Polski Stein jechał teraz jako agent G. P. U. I nie dojechał.

Z przedłożonej tutaj defilady (revue) dało się tylko to z Propagitów i z Polkompartji co działało, co pracowało i rozprzestrzeniało narkotyki drukiem, pismem i słowem tylko w obrębie stolicy na krótkim odcinku czasu, co wyłapano w różnych pseudonimowych kółkach dokształcających, esperanckich verajnach, związkach wolnomyślicieli (Oryng). Nie tknęło się np. jeszcze ręka w rękę z komunistami idących antymilitarystów aktywnych, przyłapanych przy różnych aferach poborowych (banda Grasberga i Srula Sroki) przy naklejaniu odezw i plakatów antimilitarnych (A. Jankiel Frymes vel Frymer) i t. p.

Nie dodawało się do tych band konspiracyjnych i rewolucyjnych nazwisk współpracowników aryjskich, chrześcijańskich, ponieważ w każdej z tych jaczejek występowali w mniejszości wprost minimalnej, czasami wprost jak dla okrasy, dla pozoru jako „comparcerie“, może nawet jako balast konieczny, ale balast.

Czy teraz mając przedłożony ad oculos ten cały tak przygniatający wielki współudział w robocie wywrotowej elementów z mniejszości innorasowej możemy i winniśmy bagatelizować ten szczegół, doświadczenie stąd czerpane i żadnych konsekwencyj stąd nie wyciągać?

Na to pytanie odpowiedziećby należało dopiero po przeczytaniu dzieła D. Petrowskiego „La Russie sous les Juifs“ 1931 i kilkunastu książek analogicznych.

Inny natomiast pogląd rozwinął w jednej ze swych moskiewskich korespondencyj filar „Gazety Polskiej“ p. Otmar-Bersohn, kiedy pisał:

„Opinję, co do roli elementu żydowskiego w rewolucji rosyjskiej ukształtowaliśmy sobie w Polsce na wrażeniach ostatniej fali naszych reemigrantów, t. zn. wiemy, jak sprawa ta pozornie wyglądała w latach komunizmu wojennego. Żyd jest bardzo kiepskim materjałem na rewolucjonistę, — której typem jest przecie człowiek o psychice wybitnie żołnierskiej. Znamy pod tym względem wiele chlubnych wyjątków, — ale trudno przypuścić, by psychika żołnierska owładnęła nagle w r. 1917 paromiljonowem ghetto małych miasteczek Białorusi i Ukrainy. Niezadowolenie mniejszości, najbardziej bodaj przez carat poniewieranej — sprawiło, że żydzi odegrali w pierwszym okresie rewolucji rolę katalizatora...“

Przedruk jest dosłowny. Czytamy dosłownie: „niektóre czołowe stanowiska...“ „kilkanaście jednostek“ (sic)... „żyd jest bardzo kiepskim materjałem na rewolucjonistę“ (sic).

Tenże atoli korespondent w innych artykułach o sytuacji żydów w Sowietach informuje:

„Nie bacząc na bardzo surowe represje (przeciętnie rozstrzeliwuje się kilku Rosjan za jednego poturbowanego żyda), antysemityzm rośnie z każdym dniem w najszerszych masach i niechby tylko władza popuściła cugli — zbledną obrazy wszystkich do-

tychczasowych pogromów. Nastrojom tym ma ulegać również część „dołu partyjnego, oczywiście w wielkiej tajemnicy".

Coś to chyba powinno pouczyć nasze Mikroby. A tymczasem nic nie uczy.

Nadal Moszek Gordon, rozwozi eter, bracia Wagszal... morfinę, a komendantki i Myszki: Estera, Rachel, Fajga, Fauna i Flora... bibułę.

„Łowcy Mikrobów" mają przed sobą pracę nielada!

O SZMUGLU.

Kontrabandziści, czyli kontrabandyci, czyli przemytnicy są na swojem miejscu, interesujący i sympatyczni jako chór operowy w „Carmenie" Bizeta. Wtedy zachwycamy się nimi wszyscy i bijemy brawo. Natomiast jako nie operowy a operujący zespół przestępczy w życiu codziennem przy bliższem poznaniu tracą wiele, szczególnie w oczach władz bezpieczeństwa, dla urzędów śledczych, cłowych, dla policji, dla straży granicznej.

Kontrabandytów bowiem jest w Polsce znacznie więcej, niż w „Carmenie" na scenie, znacznie więcej nawet jak w całej Hiszpanji, znacznie więcej jak w innych wielkich państwach Europy nawet razem wziętych. Wobec długich granic naszych i olbrzymiego procentu „obywateli" polskich zawodowo, dziedzicznie a con amore szmuglem się zajmujących, w liberalnej Polsce roi się od robactwa kontrabandyckiego.

Poeci, literaci, malarze rzeczami tak poziomemi oczywiście się nie zajmują. Tak dla poety Staffa jak dla prozaisty Berenta plemię przemytników wydało przedewszystkiem Spinozę i Majmonidesa, Mendelsohna i prof. Liebermanna.

Inaczej natomiast rzecz przedstawia się dla inspektorów brygad lotnych i funkcjonarjuszów władz śledczych. Oni nie czytali Spinozy, ani nie widzieli może obrazów prof. Liebermanna z Berlina.

Natomiast dzień w dzień przy wszystkich urzędach i stacjach nadgranicznych mają do czynienia z olbrzymiemi organizacjami oszustów na szkodę państwa i w dzień i w noc muszą wyłapywać mafje i szajki sprytnych i aroganckich złoczyńców, szmuglujących wszystko, cokolwiek tylko da się żywcem przeszmuglować. Jest objawem wysoce symptomatycznym, że w stolicy w okresie maksymalnego natężenia kryzysu, gdy nikt już sobie na nic pozwolić nie może, jeszcze dajmy na to państwo Halpern ostatni „mecenasowie" sztuki skupują z wdzięczności tomik nowel (niewyczerpanych) lub zaległe drzeworyty. Nie może to jednakże rozczulać lub imponować, dajmy na to, inspektorowi lotnej brygady skarbowej, który wyłapał bandę Arona Halperna z Krakowa i bandę Salomona Halperna z Łodzi. Właśnie bowiem te dwie bandy skarb państwa „poszkodowały" na krocie i miljony. Jedni i drudzy szmuglowali z Hitlerowskich Niemiec zakazaną sacharynę. Nie jednorazowo, sporadycznie, a systematycznie całemi latami. Aron z Baranowicz przewoził dwa razy tygodniowo transporty szmuglowane przez Litwę z hamburskich fabryk Falleberga i Heimana; w Warszawie „przetwórnię" sacharyny, gdzie ją prasowano i na pastylki przerabiano, prowadził Abram J. Lederman (Foksal 17), poprzednio zresztą czterokrotnie karany za fałszowanie dokumentów wojskowych i paszportów. Banda Salomona Halperna działała w Krakowie, a interesy jej w Łodzi prowadził starozakonny o symbolicznem nazwisku: Mojżesz Bagno. Dużą konkurencję bagnom Halpernów robiła właśnie na tle Łodzi i Krakowa inna banda przemytnicza pod szefostwem panów Szapera i Leona Żmigroda, obu obecnie pod kluczem. Przemyt sacharyny modny jest szczególnie na wiosnę, gdyż objekt potrzebny dla lemoniad i soków, któremi zatruwają się tubylcy, czyli autochtoni. Grosiści kontrabandy mają swoich agentów i emisarjuszów, którzy z „hurtowni" rozprowadzają sachar do detalicznej sprzedaży.

Duże geszefta robiono ostatnio na przemycie zapalniczek. Jednym z wybitnych organizatorów tego szmuglu był pan Moszek Szpiro z Katowic, któremu udawało się wciągać w interes konduktorów wagonów sypialnianych, idących też z Niemiec. Konduktorzy za to pokutują, ale i pomysłowy rodak Spinozy i Einsteina także czeka już w kryminale na swoją rozprawę.

Nie jest też mytem przemyt olbrzymich zapasów znaczków pocztowych, czyli marek 25-groszowych, które dla użytku miasteczek Łodzi, Miechowa, Sosnowca, Zagłębia i samej stolicy sporządzono prywatnie na odpowiednich maszynkach w... Wiedniu, których puszczaniem w kurs zajmowali się wycofani obecnie z obiegu panowie Szmul Frylingsztein, Peisach Albach, Pejsa Bimblich, Majloch Bimblich i Majloch Eichenbaum w Warszawie. Jeżeli zaś rodzinom pozostałym na wolności aresztowanie tych najutalentowańszych synów i braci sprawiło takie zgryzoty, że ich aż powaliło na łoże boleści, to co kosztowniejszych lekarstw dostarczyć mógł zawodowo i fachowo medycznie fałszujący recepty „kasy chorych" wolno praktykujący Leib Mełamed (Smocza 16), obecnie też na razie unieszkodliwiony, jak również unieszkodliwiony jest niejaki pan Jedwab (sic) od lat całych zajmujący się szmuglem luksusowych specyfików lekarskich, także z Niemiec. Szmuglem natomiast co droższych biletów kolejowych I klasy P. K. P. fabrykowanych podręcznie, ale zgrabnie aż... na Jasnym Brzegu, w uroczej Nicei, zajmowali się pp. Icek Goldstejn i Samuel Fiszer aż

do momentu, kiedy ten ich zabawny proceder wreszcie zdemaskowano.

Na nastręczające się przy takiej okazji pytanie, skąd mogły brać się fundusze, kapitał obrotowy dla montowania tego rodzaju hazardowych przedsięwzięć, odpowiedź jest dość łatwa, że ewentualnie (w braku monety normalnej) bilon preparowano domowym sposobem.

W tej dziedzinie odznaczył się w ostatnich czasach gentelman o figlarnem nazwisku Mojżesz Kutasik vel Kataszek (Nowy Świat 26), z którym dłuższy czas rywalizowała zwycięsko pani Szyma Kramarska (Gęsia 30); pod nieobecność swego małżonka, który na 3 lata odpoczynku dostał się do więzienia siedleckiego, puszczała pani Kramarska w świat duże zapasy jedno - i dwuzłotówek, których jej dostarczali szefowie prywatnej mennicy Dawid Bander i Abram Schlifferstein. Na znacznie atoli większą skalę wytwórnia istniała w Kielcach, gdzie sporządzano łudząco wierne 10-złotówki, czem kierował syn cadyka Golberga z Chęcin z falangą trzydziestu (30) asystentów, dziś w pełnym komplecie osadzonych za kratami.

Najefektowniejszą atoli i najbardziej imponującą jest świeżo odkryta kolosalnych wymiarów panama futrzana.

Właśnie bowiem teraz, kiedy nasi „koledzy" z „Naszego Przeglądu" informują i zapewniają o miljonowych, miljardowych stratach, jakie poniosły futrzane targi lipskie wskutek bezwzględnego i surowego bojkotu przez całe kupiectwo żydowskie świata... odkrywają nasi dzielni inspektorzy brygad lotniczych kolosalną lwowską organizację kontrabandytów, którzy okradli skarb polski na *kilkanaście* miljonów, a okradali stale i systematycznie, szmuglując z Niemiec tonny futer. Fałszowano dokumenty, pozwalające tym łajdakom korzystać z ceł o 40 proc. niższych od normalnej taryfy. Futra z Lipska wysyłano do Belgji, lub do Budapesztu. Do Polski szły jako futra „węgierskie". Łajdaki siedzą już pod kluczem. Wabią się: Singer, Fisch, Kohl, Pinkus, Diestenfeld, Reiss, Apfelsmied, Wiesner.

Sądów doraźnych na to szelmostwo pasorzytnicze, wysysające szpik z kości Polski, niema. Dotychczas niema. Ale będą! Maluczko.

Sprawy szmuglu, przemytu i kontrabandy są bardzo poziome, prozaiczne, brukowe i brudnawe. Powinny atoli i o nich coś dowiedzieć się i te pięknoduchy z Y. P. S. U., które chcą jeszcze gdzieś komuś sprzedać swe tomiki, kiczyki i knociki i coś tam z tej racji wyplatają o Majmonidesie, Spinozie (Einsteinie), o których zresztą ani pojęcia o wyobrażeniu...

SADYZM.

W przeciągu krótkiego czasu miały miejsce w Warszawie takie dwa wypadki, interesujące nietylko przez swą groteskowość...

Pierwszy był taki. Do konsulatu angielskiego pod pretekstem otrzymania wizy został wpuszczony siedemdziesięcioletni obywatel Jankiel Dymant. Znalazłszy się na środku biura, rozlał z butelki, którą posiadał w kieszeni, naftę na podłogę, poczem rzucając na to zapaloną szybko zapałkę, krzyknął do zebranych Anglików: „To za sojusz z tym łobuzem Hitlerem!". Dymanta schwytano, ogień ugaszono, poczem odwieziono go do domu zdrowia. Dymant, okazało się, cierpi na demencję polityczno-religijną. Jako zagorzały talmudysta już raz zrobił dużą awanturę, wpadł do kościoła i powywracał lichtarze na ołtarzu, a ujęty tłumaczył się, że „protestuje przeciw wojnie" (sic).

Drugi wypadek. W sanacyjnym dancingu znalazł się późną nocą jakiś niesamowity generał w pełnym mundurze, ale w długich wysokich butach, z jedną ostrogą i zaczął wzywać Polaków do krucjaty „przeciw Abrahamowi Hitlerowi, podającemu się za Adolfa Hitlera... Kiedy gość zbyt się awanturował i chciał musztrować Polaków do... bitwy, zaaresztowano go. Okazało się, że jest to starozakonny Dawid Reinhold, cierpiący na demencję polityczną, podający się niesłusznie za „generała kawalerji Eugenjusza Cwirkę", ten sam, który niedawno wniósł podanie do M. S. Wojsk. z propozycją oddania mu do dyspozycji „5.000 żołnierzy do walki z Hitlerem i Hunnami".

Obaj tedy awanturujący się starozakonni byli, jak to się mówi, *myszugge*. Jest pewna metoda w tych szaleństwach; *dla tych* szaleństw. Psychoza ma zdecydowanie tło polityczne. Oba typy naczytały się, nabuchały się lektury żydowskiej i żargonowej prasy i przejęły szalejącą w tej prasie *rabies furibunda antisvastica*, przejęły zupełnie już obłąkańczą wściekliznę rasowo-religijną, szowinistyczną do niepoczytalnych granic i w przystępie szału napastniczo-wojowniczego porwały się do nieskoordynowanych rozumowo akcyj. Z tej atmosfery moralno-uczuciowej dyszącej żądzami krwawej zemsty i kary, wypowiadającej się publicystycznie w błotnych i brudnych kaskadach, gejzerach obelg, wyzwisk i przekleństw wyrodził się też ostatnio cały szereg żydowskich bratobójczych napaści, aktów terorystycznych, bójek, skrytobójstw i morderstw. Tuż przed wyborami do Praskiego Zjazdu Syjonistów nie minął dzień bez chuligańskich hec i mordowni. Na wiecu w Łodzi zarżnął rewizjonista Wolfin poalesyjonistę Silbersztejna. Na wiecu w Falenicy odbyła się formalna bitwa na kastety i kamienie między Żabotypami i Mizrachitycznymi, poczem na placu bitwy zostało kilkunastu rannych i to ciężko rannych. Rżnęli się nożami

z okrucieństwem i w innych miasteczkach i siołach. Nawet w warszawskiej bóżnicy przy ul. Wolskiej wojowniczy Srul Neumauer potłukł „tablice fundatorów“, politycznie mu nieodpowiadających. Szachrowano też przy tych wyborach tak, że poseł Grynbaum pisał w swoim „Hajncie“:

„Teraz żydzi nie będą mogli żalić się i biadać na nadużycia wyborcze na szkodę mniejszości narodowych, sami bowiem dowiedli zdolności tych nadużyć u siebie“.

To samo zresztą Mizrachi-tyczni zarzucali „oszustom“ z grupy posła Grynbauma.

Całą kampanję wyborczą ukoronowało potworne skrytobójstwo Arlosorowa, przywódcy ugodowców z Anglją, Niemcami i z Arabami. Zamordowali go bojowcy tego Żabotyńskiego, awanturnika odeskiego z pod najciemniejszej gwiazdy, pozującego coraz czelniej na Bar-Kochbę, na commandante a herszta hitlerowskich syjońskich jaczejek „Brith Haegrof“ (Związek Pięści) i innych. Morderców było w spisku czterech. Zamordowano go w nocy, kiedy z żoną spacerował nad morzem. Mordercę Rosenblatta zdradził zamknięty z nim w śledczej celi więziennej, chaluc pobytowiec, recydywista, który przedstawił mu się jako Mojżesz Cohen także rewizjonista i tak po judaszowsku wydobył od zabójcy przyznanie się. Żabotypy (rewizjoniści) przez długi miesiąc zbrodni się wypierały. Jak się zaś wypierały, to scharakteryzowała tak syjonistyczna „Opinja“ w artykule „W otchłani upadku moralnego“:

„Żydowską opinję publiczną w diasporze zalewa poprostu potop fałszów i kłamstw, lansowanych przez ludzi, którzy przed niczem się nie cofają, nawet przed najnikczemniejszemi zniewagami i najstraszliwszemi oszczerstwami. Cel tych kłamstw jest aż nadto jasny i przejrzysty. Nie trzeba się go wcale doszukiwać. Zacznijmy od kilku krótkich przykładów. W Warszawie ukazuje się gazeta, która ostatnio po bardzo znamiennej przeszłości, stała się organem Żabotyńskiego i jego partji „Moment“. Ta to gazeta zamieniła się ostatnio w istną fabrykę kłamstw, rozsiewanych w związku z zabójstwem Arlosorowa“.

Poczem „Opinja“ wylicza te kłamstwa, fałsze, szachrajstwa, oszustwa, szwindle „specjalne telegramy“ własnych korespondentów, jakby żywcem wycięte z... Greuelpropaganda. Szczytem łajdactwa była rzucona przez Żabotypów insynuacja „na tle romantycznym“, jakoby Arlosorowa zamordowały zbiry wynajęte przez kochanka żony... ewentualnie Arabi... ewentualnie Anglicy.

„Wódz“ Machaboyów i Makabyków, który lat temu 20 tak zawzięcie, jako Moskal stuprocentowy, szczuł przeciw autonomji polskiej, nie jest zbyt wybredny w środkach dojścia do światowej karjery.

Czy atoli ta zresztą notoryczna skłonność do teroru (mordy za caratu, zamachy na bolszewików), czy ten kult gwałtu i pięści (Brith Habarjamin, Brith Bergomin, Brith Haegraf), czy ta zajadłość i zapiekłość, ten napastniczy zoologiczny nacjonalizm, to okrucieństwo, sadyzm, bestjalizm, wybuchają tylko z racji antagonizmów partyjnych, sporadycznie, w momentach wysokiego napięcia politycznego? Czy tego sadyzmu i bestjalizmu niema w „patrjarchalnem“ potocznem życiu „narodu biblijnego“? Takby się bowiem zdawało chyba, gdy się ociekające oburzeniem, grozą i odrazą opowieści o hitlerowskich orgjach czyta raz po raz w komunistycznej i socjalrewolucyjnej prasie francuskiej — (Barbussa „Monde“) i angielskiej oraz w całej prasie wiedeńskiej i polskiej. Jeżeli tak pomstują i tak przeklinają istotnie często obrzydliwe i barbaryjne wyczyny niemieckie, to chyba sami być muszą narodem jagniątek i baranków, młodzieńców i mężów o gołębich sercach i oślej cierpliwości? Takby się zdawało.

Tymczasem atoli i dzieje ludu izraelskiego i kronika codzienna w Polsce mówią co innego. Na dowód przytoczymy, mogąc przedłożyć kilkadziesiąt... na razie tylko trzy przykłady z dwuch tygodni miesiąca sierpnia 1933 r.

Pierwszy:

„Do urzędu prokuratorskiego zgłosiła się Szyfra Goldberg, oskarżając zarządzającego sklepem kuśnierskim przy Pl. Krasińskich 2, Szyję Słusznego o więzienie w piwnicy od trzech dni jej syna. 17-letni Mordka Goldberg, który pracował u Słusznego, został podejrzany o kradzież skórek skunksowych. W celu wymuszenia od niego przyznania się do winy, Słuszny zamknął go początkowo w pokoju za sklepem, a następnie w piwnicy. Słuszny stanął wczoraj przed sądem okręgowym, oskarżony o bezprawne pozbawienie wolności młodego Goldberga. Do winy się nie przyznawał, dowodząc, że wogóle praca Goldberga polegała na tem, iż był na noc w sklepie zamykany, a w dzień i cały czas musiał być pod ręką. Goldberg natomiast zeznał, że zamknięto go, bito i nie dawano jeść. W ciągu trzech dni, które spędził pod kluczem, Słuszny przyniósł mu tylko raz trochę wędliny. Podobne zeznania złożyła matka poszkodowanego, zeznając, że bito syna w jej oczach, a nawet i ją zamknięto w pokoju za sklepem na parę godzin. Również brat poszkodowanego, który interwenjował w jego sprawie u Słusznego, został na parę godzin zamknięty“.

Drugi:

„W Klimontowie, w pow. sandomierskim, mieszkał z rodziną Szmul Unger. Był to żyd ortodoksyjny, fanatycznie przywiązany do przepisów talmudu. Zmartwieniem dla niego było, że starszy syn, Szachne, gdy doszedł do pełnoletności, począł się wyłamywać z rygorów rytualnych, zrzucił kaftan, sprawił sobie ubranie

europejskie, zgolił brodę, jadał wreszcie ostentacyjnie potrawy „trefne". Stąd między ojcem a synem powstawały częste kłótnie i zatargi.

Przed kilkoma miesiącami na drodze do Staszowa znaleziono zwłoki Szachny Ungera. Ustalono, że śmierć nastąpiła wskutek uduszenia. Z początku ojciec, Szmul Unger, usiłował twierdzić, iż prawdopodobnie syn zginął wskutek napadu rabunkowego. Wersja ta jednak się nie utrzymała i wówczas ojciec przyznał się do zaduszenia syna. W toku śledztwa Szmul Unger skarżył się, że syn był dla niego niedobry, że go bił. Charakterystyczne jest, że ojciec powoływał się na przepisy talmudu, które rzekomo zezwalają uderzonemu przez syna ojcu — zabić dziecko. Chodzi jedynie o to, aby nie było rozlewu krwi. Na przewodzie sądowym, który odbył się w Sandomierzu, obronę wnosił adw. Ruf. Podsądny tłumaczył się tym razem, że syna zadusił nieumyślnie, w bójce przez niego wywołanej. Ekspertyza lekarska wypadła niekorzystnie dla oskarżonego.

Sąd skazał Szmula Ungera na 8 lat więzienia.

Wreszcie trzeci:

„*Lwów.* — W kostnicy cmentarza żydowskiego przy ulicy Szpitalnej we Lwowie, wydarzył się potworny wypadek profanacji zwłok. Umieszczono tam zwłoki 26-letniej mieszkanki Radziwiłłowa, Fajli Finkiel, zmarłej w szpitalu. Na godzinę przed pogrzebem zjawił się w kostnicy mąż denatki i poprosił siedzącego karawaniarza, by go na chwilę zostawił sam na sam z trupem, z którym chce się pożegnać. Gdy Finkel nie wychodził z kostnicy przez czas dłuższy, karawaniarz otworzył drzwi i ujrzał z przerażeniem potworną scenę.

Z otwartej przy pomocy drewnianego klina szczęki denatki wyrywał mąż jej zwyczajnemi obcęgami złote zęby".

„*Greuelpropaganda!*".

AFERA LADY PARNES...

W pierwszym zeszycie monumentalnego, a raczej „momentalnie" monumentalnego wydawnictwa: „Żydzi w Polsce Odrodzonej" (redakcja: dr. Schiper, dr. Tartakower, radca Hafftka) znajdujemy na samym wstępie występ prezesa dr. Ozjasza Thona. Ponieważ dzieło poświęcone jest „społecznej, gospodarczej, kulturalnej i oświatowej działalności żydów w Polsce" i „drukowane na pięknym bezdrzewnym papierze", a zapowiada się jako „standard work" żydostwa polskiego, to poseł dr. O. Thon kończy swoje przedsłowie takim akordem:

„*Żydzi polscy już nieraz nadawali ton w żydostwie świata.* Była chwila, kiedy *genjusz narodu żydowskiego* doszedł właśnie do pełni rozkwitu w dziedzinie swej specyficznej nauki w Polsce. Mam wrażenie, że rozwój wypadków idzie teraz w tym kierunku, że w Polsce powstanie jeden z *głównych duchowych ośrodków ducha żydowskiego*".

Może to nie powiedziane ze zniewalającą skromnością, ale duży procent prawdy w tem jednak jest. Trzeba atoli bardzo uważać na zespół tych, którzy wedle rebbe Thona ton mają nadawać w żydostwie świata. Niektórzy bowiem prawdopodobnie najstanowczej do tego nadawania tonu się nie nadają, przynajmniej obecnie, to jest w teraźniejszej teraźniejszości. Może będą nadawali się w przyszłości, w tej przyszłości fantastycznej, o której dr. Gerszon Lewin mówi, że „gdy narody przekują miecze na lemiesze, będzie mieszkał wilk z baranem, a lampart z koźlęciem będzie leżał, w te oto błogosławione czasy zniesione będą wszelkie święta z wyjątkiem Hamana, święta zwycięzenia, gdy nawet Hamanów wtedy nawet nie zabraknie"...

Otóż i Hamanów mogłoby w tej utopijnej, idyllicznej, szczęsnej przyszłości nawet zabraknąć (wbrew wróżbie dr. G. Lewina), gdyby właśnie nie ci liczni Lewinowie i synowie z pokolenia Lewi, którzy w zbyt dużym procencie tak moralnością, jak i mentalnością swoją właśnie nie nadają się do nadawania w żydostwie świata tego tonu, o którym mówi rabbi Thon.

Teraz świeżutko o dwóch takich Lewinach było dużo detali w prasie zagranicznej, swojskiej. Jeden to ten doktór (praw?), Izaak Lewin, zbiegły bankier berliński, który klijentów ocyganił na 5 miljonów marek, poczem zbiegł do... Rio de Janeiro, a potem wypłynął jako profesor ekonomji pod nazwiskiem Norman na katedrze uniwersyteckiej w Cambridge pod Bostonem; przedtem oczywiście sfałszował dokumenty i dyplomy i to... katolickiego uniwersytetu we Fryburgu. Dzielny Lewi został aresztowany podczas wykładu o... sytuacji gospodarczej w państwach południowej Ameryki.

Dość dużo znowu gadania i pisaniny bywało ostatnio o innym Lewinie, naszym swojskim, rodzimym Mojżeszu, pochodzącym z Mińska. Ten znowuż zrobił majątek szybko, poczem zajął się organizowaniem grupy sanatorów, którzy mieli sanować interesy „pana Pless", jak pisują żydki w „Poranniaku".

Stanowczo nie nadawał się do „nadawania tonu" w Gdańsku obywatel Aron Noiman, który wraz z Mendlą Merin zdołał, jak dotychczas ustalono, sześć dziewcząt z Piotrkowskiego wywieść do lupanarów w Buenos Aires, za co świeżo aresztowan. Jeszcze mniej mołdy p. Chaskiel Lindenbaum, który rodzonej rodzicielce swojej Rywce Lindenbaum, zwanej seniorką stręczycielek, pomagał

w procederze zbierania żywego towaru ludzkiego do salonów przy ulicach Piwnej i Wołyńskiej. Oczywiście tego Lindenbauma nie należy mieszać z innym Lindenbaumem, który zwiał „nagłą śmiercią", zostawiając moc wierzycieli, przedtem pracował kilka lat w branży filmowej, a był do tego stopnia członkiem żydowskiej loży wolnomularskiej „Bnai Brith", że ta loża objęła na siebie misję medjatorską z wierzycielami...

Nie nadawałaby się też do nadawania tonu w Europie duża banda, dla której zboczony malarz Czarnecki fałszował artystycznie legitymacje, a to obligacje premjowej pożyczki budowlanej, losy loterji państwowej i t. p., a których to falsyfikatów kolportażem zajmowali się pp. Abram Leipzygier, Leiba Rabinowicz, Szlama Chumek, Spajzman, Mordka Rapp i ich familje, obecnie wszyscy za kratą. Za fałszywą legitymacją radcy ministerjalnego M. Librowicza aresztowano znów sleepingowego „międzynarodowego" działacza p. Rosenbauma.

Również dalej nie nadaje się do nadawania tonu w Europie duża organizacja szmuglerów niemieckich haftów i koronek z Drezna i Bremy z panami Szmulem Pryncem (sic), Piendkiem, Blochem, Kottem na czele, którą sąd okręgowy w Kaliszu skazał nie w pełnym komplecie na dwa lata kryminału, poczem sąd apelacyjny na razie uniewinnił, aż do wznowienia dalszych szmuglerskich poczynań i wyczynów.

Czyż dalej nadają się do nadawania tonu żydostwu światowemu panowie Henoch Stajn et Comp., oraz bracia Silberman, właściciele firm Soplica (sic), i „Polonia", i Polonez (sic) przy ul. Senatorskiej, którzy jako rzetelny Vermouth Cinzano z Turynu sprzedawali przez długie czasy jakieś świństwo z jabłek i cukru, podrabiając etykiety?...

Z dziennikarskiego świata znów nie nadawałby się na nadawanie tonu w Europie „kolega" Cederbaum z Wilna, który „nawiązywał" stosunki z młodemi dziewczynami, dawał im dobrze płatne posady w Gdańsku, aresztowany został jako pozostający w kontakcie z handlarzami żywym towarem w Gdańsku. Nie bardzo to się tak znowu spisał „kolega" Machonbaum, pseudonim Machon (dlaczego nie Mac-Mahon?), założyciel pierwszej mocarstwowej szkoły reporterów w „Palais Wertheim" (Aleje Ujazdowskie), w której wedle nakreślonego planu 700 kandydatów, płacąc rocznie 700 złotych miało po 700 dniach z gotowymi dyplomami zająć wszystkie 700 miejsc wolnych w prasie, zarabiając 700 złotych, gdyby nie fatalna interwencja władz, które położyły ciężką dłoń na ramieniu lekkiego p. Machonbauma!

Jak widzimy z tego krótkiego przeglądu jednego tygodnia styczniowego w Polsce r. 1932, wszyscy ci współobywatele to byli ludzie, którzy zbyt przejęli się talmudyczną wspominaną wielokrotnie w dziele Nachalnika a maxymą brzmiącą: *Gazet kusy muter* [1]), co znaczy: grabić gojim jest dozwolone. Natomiast całkiem zlekceważyli sobie ci panowie rodacy „Zasady Religijne" pana Kopelmana (nauczyciela szkół handlowych w Warszawie), gdzie wyraźnie przecież w komentarzu do 8-go przykazania czytamy:

„Ósme przykazanie zakazuje nam przywłaszczania sobie cudzej własności jakimkolwiek bądź sposobem. Powinniśmy też wstrzymywać się od oszustwa, podstępu, łudzenia, kłamstwa. lichwy, fałszywej wagi i miary".

A więc jednak: *wstrzymymać się!*

Tymczasem nie zdołała się *wstrzymać* od tego pewna dama polska, której nazwisko zdradziła wiedeńska „Arbeiter-Zeitung" z 20. 12. 1932 r., a o której cały artykuł p. t. „Habe die Ehre", nie wymieniając nazwiska (wyznania i rasy), dał w żydowskiej „Weltbühne" berliński p. Paul Elbogen, pisząc tylko stale: *„die Frau des polnischen Attachés"*...

Lady Marjanna Parnes, jadąc z Wiednia do Czechosłowacji szmuglowała na sobie: 198 szylingów austrjackich, 2.800 franków szwajcarskich, 680 dolarów, 700 guldenów holenderskich, 14 dolarów kandyjskich, 14 funtów angielskich etc. Lady Marjanna Parnes starała się na stacji granicznej Gmund przy rewizji przekupić urzędniczkę-gojkę sumą 10.000 szylingów austrjackich. Lady Parnes została aresztowana. Mąż lady Parnes, długoletni szef wydziału prasowego przy polskiem poselstwie w Wiedniu został wydalony ze służby.

Paul Elbogen poświęca cały artykuł cnocie i hartowi urzędniczki proletarjuszki z urzędu celnego w Gmund.

Mąż lady Parnes *tempore belli* był najzajadlejszym oszczercą narodowego obozu i Komitetu w Szwajcarji. W nagrodę za to nędzny skryba został podporą poselstwa przy Siehmanie („Szarotka") i przy Baderze (kreacja Radziwiłłów).

Czy rabbi dr. Ozjasz Thon obstaje nadal przy swojej tezie o „nadawaniu tonu żydostwu światowemu"?...

PIĘŚĆ CZY MÓZG?

Nie. To już doprawdy nieładnie i może nawet nie bardzo mądrze. Koniecznie trzebaby jakoś okiełznać zbulwaryzowane temperamenty i na czas jakiś sordynkę nałożyć na to, co się pisze. I wogóle czy jest z sensem stale i nieuleczalnie: „głośno myśleć"

[1]) Urke Nachalnik: „Życiorys własny przestępcy", z przedmową prof. uniwersytetu pozn. dr. Stef. Błazowskiego. Patronat opieki nad więźniem. Poznań, 1933.

i raz po razu wyrywać się z czemś fatalnie zbytecznem, niepotrzebnem, irytującem a już potem wymazać się nie dającem? Czy nie byłaby pora afektom nałożyć kaganiec zamiast tak od rana do wieczora ciągle urągać, psioczyć, wymyślać, przeklinać, pomstować i narkotyzować się miotaniem impertynencyj, wyzwisk, obelg? Czy taki ton w tych kakofonjach jest na miejscu? I czy jeszcze nie znudziło to ciągłe pysznienie się, „protzowanie" temi sukcesami i zwycięstwami, tem pognębieniem i osamotnieniem wroga, choćby nim był i sam Belzebub czy Behemoth we własnej osobie.

Najbardziej już *mal à propos* i nie w kropce jest ta nagła eksplozja frenezji z powodu zwycięstwa w boksie odniesionego nad championem Niemiec, Maksem Schmelingiem przez kanadyjskiego championa Baera. Apoteozowania pięści i kopyt już się z tej strony chyba nikt nie spodziewał. Wszystkiego można było oczekiwać, ale nie takiego szału radości i dumy, z powodu triumfu większej brutalności nad mniejszą, twardszych bicepsów nad słabszemi.

Trzeba jednak opowiedzieć, jak to było tam, jak do tego doszło, przy jakiej okazji takie zdemaskowanie.

W Nowym Jorku w „Yankee-Stadionie" zebrało się na turnieju pyskotłuków i kopaczy dnia 10 czerwca 65 tysięcy tak zwanych widzów, zagorzałych amatorów boksu, kreatur zewnętrznie wyglądem zbliżonych bardzo do normalnych ludzi, do gatunku: człowiek. Popisywać się miały dwa Cyklopy „wicemistrz świata" (sic) Niemiec Schmeling i Kanadyjczyk Maks Baer z pochodzenia izraelita. Wobec tego, jak zawsze w analogicznych sytuacjach (i w Warszawskim Cyrku), sytuacja niemożliwie napięta, a powietrze do oddychania okropne. Część antropoidów za jednym bykiem, druga połowa menażerji za drugim bawołem. Specjalny sprawozdawca warszawskiego organu Maksa Baera opisał przebieg meczu następująco:

„W piątej rundzie rozległ się w pewnej chwili w stadjonie ogłuszający ryk. Schmeling, trafiony silnym ciosem w lewe oko, zachwiał się. Rundę zdołał przetrzymać do końca. W szóstej rundzie Niemiec walczy coraz gorzej, jednak zwolennicy jego nie wątpią, że zwycięży. Kilkakrotnie trafia dobrze Baera, który w porównaniu z nim ma o wiele gorszą gardę. W dalszych rundach Schmeling osłania się już coraz gorzej. Oko dokucza mu. Jest całe zapuchnięte, prawie, że nic nie widzi. Zdaje się, że mimo wszystko Schmeling ma jeszcze przewagę punktową. Nadchodzi 10-ta runda, która miała stać się ostatnią. Schmeling trafiony potężnym ciosem prawej ręki Baera, zwalił się na ziemię. W stadjonie zawrzało. Słychać jeden ryk. Oczy wszystkich zwrócone są na sędziego. Raz, dwa, trzy, cztery... siedem. — Schmeling próbuje wstać, — osiem, dziewięć — wszyscy odetchnęli. Schmeling

wstał na nogi, ale chwieje się. Baer atakuje go. Schmeling nie jest w stanie oprzeć się atakom. Sędzia przerywa walkę i ogłasza:

Max Baer zwyciężył przez techniczny knock-out".

I oto co się okazuje? Okazuje się, że ten cały „turniej" (tak mało przypominający rycerski pojedynek i walkę na kopje konno księcia Northcumberland z hrabią Brabantu w zamku... Roncesval), że ten cały mecz pitecantropów, to było czyste politicum. Wychodząc na ring Herkules starozakonny miał oświadczyć reporterom: „muszę pomścić krzywdę żydowską". Okazuje się, że część publiczności „dopingowała" swego Macistesa rykami: bij Hitlera! Okazuje się, że „entuzjastyczne przyjęcie zwycięstwa Baera zamieniło się we wspaniałą manifestację" a... „widzowie Niemcy z opuszczonemi głowami opuszczali" kolosalną amerykańską Oborę „Yankee-Stadion". Zaczem nie „Sztuka dla Sztuki" i grzmocenie się po mordach dla artystycznych emocyj menażerji, ale *rendez-vous* ras, pojedynek polityczny, sądy boże, czy też Sądny Dzień. W osobie Schmelinga zostały zknockoutowane Niemcy, względnie wogóle wszyscy, którzy się zgóry nie oświadczyli stuprocentowo za Baerem. Te same objawy stadowego szału i masowe ataki obłędu obserwować też można na naszych meczach tenisowych, gdy Tłoczyński (na ski), gra z Czechem, który nie tylko jest Czechem (Hechtem), lub z Polakiem Witmanem: ryki, ryki, ryki, które największym entuzjastom sportu obrzydzają już do cna wszelkie mecze „mieszane". A jeżeli tak jest u nas... w miniaturze, to można sobie wyobrazić, co się działo w Nowym Jorku przy zwycięstwie Baera.

Niełądny atoli i przykry zdumiewający i zastanawiający, bo niespodziewany jest refleks, rezonans, oddźwięk, jaki zwycięstwo boksera wywołało w „światopoglądzie" „clerków" tej samej co bokser prozapji. Znów popełnili „zdradę" clerkowie intelektualiści. Z nieprzytomnej i niehamowanej radości stracili wszelki umiar i... pamięć. Faust (pięść) nabrał dla nich odrazu większego znaczenia od Fausta Goethego. Ciesząc się z powalonego Schmelinga, zapomnieli z kretesem o „Natanie Mędrcu" Lessinga. Słychać omal jak gwiżdżą na wszelkie „duchowości", ideowości" i zmagania się i zdobycze mózgów. Macht vor Recht! Na jeden dzień zapomnieli nawet o Einsteinie, gotowi wyprzeć się i potrzykroć Spinozy, byle Baer został „mistrzem świata", odnowił wojownicze zwycięskie tradycje Jozuych i Samsonów. Jeden z fejletonistów pisze nawet całkiem szczerze:

„I dlatego uważam zwycięstwo pięściarza żydowskiego, Maxa Baera nad mistrzem Niemiec, Schmelingiem, odniesione na ringu w Nowym Jorku — za pierwszy, potężny cios, zadany hitleryzmowi".

I oto mamy *Wille zur Macht in Reinkultur*... Tak się na rozbestwioną pięść wygaduje, a samym tak się pięść i pięściarzy adoruje. Chce się być narodem *„der Denker und Dichter“*, ma się pretensje do arystokratyzmu, do „feudalizmu cerebralnego“, a w potocznem życiu „ryki“ i „ryki“, gdy inni dostają wnyki... „wymowny policzek moralny“ lub normalny kopniak w ciemię, aż się juchą zabroczy... Najmizerniejszy Makabidulek gotów bagatelizować już i jakiegoś nowego Majmonidesa, o ile ten Mizrachityczny...

Coś w tem jakoś nie sztymuje... Trzebaby i to... gleichschalten, czyli uzgodnić... i zdecydować się...

„W ODÓR“.

Można się z tem zgadzać i nie zgadzać, temu przyklasnąć, tamtego im zazdrościć, to chwalić, tamtem się kontentować, to polecać zaraz do naśladowania, tamto aż za kilka lat kiedy przyjdzie nasz *„grand soir“*, a po nim wielki dzień rozrachunków przed gruntownem oczyszczeniem całego domu... Ale jest jedna rzecz, która jednak oburza już do żywego, jedno rozporządzenie w Niemczech, którego nie sposób nie potępić, nie napiętnować, nie przygwoździć jako że najbezecniej głupie, bezmyślne, nieprzemyślane, nieprzewidujące, poprostu katotoniczne. Czytając je człowiek myśli na początku, że to żart. Ale ponieważ donosi o tem Ż. A. T., a więc agencja telegraficzna rasowo i mentalnie tak jednolita jak P. A. T., ergo trzeba wierzyć.

Jednego dnia tedy telegram:

„BERLIN, 18. 8. Zarząd miasta Monachium wydał zakaz korzystania przez żydów z miejskich zakładów kąpielowych“.

Drugiego dnia telegram:

„BERLIN, 19. 8. Żydom został zakazany dostęp do popularnych kąpieli w Wansee“.

Równocześnie z różnych miejsc kąpielowych nadmorskich z Helgolandu, z Norderncy, z Hotzen-plotzen, z Kikeritz również wiadomości i skargi na rozmaite zakazy i nakazy, verordnungi i verboteny, że tam się kąpać wolno od Badehausu na lewo tylko Arjogojom, a tam znowu nie wolno chodzić w pydżamach, a tam znowu nie wolno wrzucać do morza głowy ze zjedzonych śledzi, ani łup od bananów, tu znowu nie wolno tańczyć nagolasom, a za nieprzyzwoite zabawy w krzakch lub w żaglówkach 50 marek sztrafu, no i jeszcze inne takie szykany.

Jeżeli na takie różne przepisy od biedy, dla miłego spokoju jeszcze możnaby się zgodzić, to jednak zakaz kąpania się w podberlińskiem jeziorze Wansee trzeba zakwalifikować jako *„ein purer Wahnsinn“*, czyli czysty obłęd. Więc tedy co mają robić? Całe wieki narzekało się i psioczyło, że się nie kąpią, powierzchownie myją, od wody stronią, mydłem gardzą.

I tak też było istotnie i tak w pewnych okolicach Europy jeszcze pozostało. *Par exemple* miasto Będzin, względnie Łuck lub Białystok. Tam nawet domy, nawet mury, ściany, płoty troszeczkę poprostu śmierdzą. Gdy się podjeżdża koleją do Sosnowca, z osiedli, z miast, z dworców kolejowych „dochodzą mgławice smrodliwe. Normalny Anglik, znalazłszy się przypadkowo w niektórych dzielnicach naszych grodziszcz, wysiadając z Rolls-Roye'a, z miejscaby zemdlał. Niektóre wagony kolejowe na linji Koluszki — Łódź tak „przeszły“ pewnym odorem specjalnym, że nie sposób je odmyć ni wywietrzyć. Pewni maniacy świeżego powietrza twierdzą, że w Warszawie w Ogrodzie Krasińskich a w Krakowie na „Plantach Dietloskich“ nawet drzewa i krzewy straciły już wonność przyrodzoną, a kasztany czuć kasztanami z Kazimierza. Ordynarne żydożercy wymyśliły sobie na to nawet jakiś specjalny termin *„fetor judaicus“* tak jakby naprzykład kulisy chińskie, albo murzyni z nad jeziora Czaad, względnie parjasi z nad Gangesu, nie cuchnęli cokolwiek także. Eskimosi też pachną tranem, a czy się to mówi „fetor Eskimonus“? albo „odor Laplandus“? Bądź co bądź, jest jednak faktem stwierdzonym, że za „Żelazną Bramą“ nie jest powietrze tak czyste, jak za „Bramą Kantaka“ w Kościeliskiej Dolinie.

Na ten temat bywało dawniej tyle różnych opowiastek, anegdot, dykteryjek i kawałów, ile dzisiaj zna się i opowiada na temat skąpstwa u Szkotów. Ba! czasem dochodzi nawet do rozpraw sądowych. Na dowód ot taka notatka w jewnym z kurjerków:

„Pani Chana Biederman oskarżyła swego sublokatora, Naftala Świeczkę o to, że jest człowiekiem wyjątkowo brudnym, że jej zanieczyścił mieszkanie, że prosi sąd o to, by ją wyzwolił od niechlujnego sublokatora, który sam nie chce się wyprowadzić.

P. Świeczka na wszystkie zarzuty swojej gospodyni nie reagował, siedział cicho jak mysz pod miotłą i tylko od czasu do czasu rzucał wściekłe spojrzenie na elokwentną gospodynię. Wreszcie zachęcony spojrzeniem sędziego, wstał z miejsca i zaczął:

— Szanowny sądzie, czy sublokator jest od czystość, czy od mieszkać. Ja wiem, że ja płacę za mieszkanie i na żadne higjeniczne zachcianki nie patrzę nawet. Czy ja kiedy używałem zlew, czy ja kiedy myłem się w wannie — nie, bo ja jestem od mieszkać, a nie od luksus. Dlatego, z wyżej wymienionych powodów proszę o uniewinnienie mnie i skończyłem“.

Wyrok sędziego brzmiał: jednorazowa kąpiel i wyszorowanie szczotkami od stóp do głów.

Że na punkcie czystości i ochędostwa w tych okolicach Europy panują pewne zastarzałe przesądy i zatwardziały reakcjonizm i to nawet w rodzinach tak znanych z europejskości (można powiedzieć z paneuropejskości), jak np. znana ogólnie i ciesząca się powszechnym szacunkiem familja Kohn, to o tem świadczyłaby taka znów notatka o pewnym incydencie, jaka znalazła się też w jednym z „Kurjerków":

„Pan Kon otrzymuje list od nauczycielki szkolnej, u której uczy się jego córeczka, mała Belcia. List brzmi w ten sposób:

„Szanowny Panie! Bardzo mi przykro, ale muszę Panu donieść, że Bela ma bardzo zaniedbaną powierzchowność. Jest tak brudna, że poprostu cuchnie, stać obok niej nie można. Proszę, żeby Pan był łaskaw zainterwenjować jakoś w tej sprawie.

Z poważaniem....."

Pan Kon otrzymawszy ten list, zdenerwował się bardzo i nie wiele myśląc, pisze odpowiedź tej treści:

„Niemniej Szanowna Pani! Wszystko w porządku. Moja Belunia nie fiołek, trzeba ją uczyć a nie wąchać.

Z poważaniem Kon".

Jak teraz widzimy i przekonywujemy się z tego listu, nawet w całkiem zeuropeizowanej a licznie obrodzonej rodzinie Kohnów, jest z powodu: czystość, na „odcinku": czystość, w „podejściu" do czystości pewne „nastawienie" zatwardziałe i uporne, któreby pozwalało wnioskować o tem, że jak Kohny tak i starozakohny jeżeli nie wogóle to w pewnych grupach i skupinach, trzymają się jeszcze starych tradycyj negatywnego nastawienia się do problemu: woda, wanna, mydło, szczotka i t. p.

Inne natomiast podejście do tego problemu miały już od lat niepamiętnych analogiczne elementy i czynniki w Berlinie. Tam już nie było od dawien dawna takich sublokatorów, jak Naftali Świeczka, a wprost ze świeczką trzebaby szukać takiego Kohna, jak nasz (papa małej Belci), stanowczo wypraszającego sobie wąchanie posażnej jedynaczki. Kto był kiedykolwiek w takiem Wannsee, ten mógł się łatwo przekonać, że starozakohny stanowią tam jeżeli już nie przytłaczającą większość, to przynajmniej „większą połowę" i conieco jak to mówią ordynarne żydożercy: nahalną.

I tu dochodzimy do sedna sprawy, do jądra tematu, do wytłumaczenia, z jakiej przyczyny zakaz kąpania się w Wannsee nazwaliśmy „*ein purer Wahnsinn*" (czysty obłęd).

W różnych miejscowościach kąpielowych, czy to będzie Jaszczurówka, Ciechocinek, Krynica, Rabka, czy Powiśle od strony czeskiej (Praga), zaistniały od niedawna tak zwane plaże, względnie baseny, wogóle rodzaj akwarjów. Gdzie tego niema, tam jest

nawet Bałtyk czyli Gdynia, Jurata, Hel, Hallerowo, Jastrzębia Góra i t. p. Wszędzie tam obok tak zwanej eufemicznie większości włazi w wodę i kąpie się od pewnego czasu całkiem śmiało mniejszość o coprawda niemieckich nazwiskach, ale o zdecydowanie antyniemieckiem nastawieniu (od wczoraj). Jakżeby się zdziwił Naphtali Świeczka lub pan Kohn (ojciec Belci), widząc tyle, tyle współrasowców, zanurzonych po pas lub po szyję w odmętach, w falach to ciepłej jak rosół, to zimnej jak lody... wody.

Czy atoli kąpią się normalnie jak wszyscy? jak reszta ludzkości, jak Arjogoje, jak Nordycy, jak Indoeuropejczycy? Otóż to właśnie. Niech poświadczą wszyscy, co mieli zaszczyt kąpać się wspólnie czy to w „basenie ciechocińskim", czy w „Jaszczurowie", czy w Bałtyku. Otóż nie, bo właśnie nienormalnie. Radość i rozkosz z przezwyciężenia dziedzicznego wstrętu do wód odmętów odbiera im omal przytomność i wprawia w szał. Jeżeli już zbyt wrzaskliwie dają folgę uwielbieniu przyrody znalazłszy się na szczytach Giewontu lub na najdalszym cyplu Helu, jeżeli w niebogłosy piszczą, krzyczą, nawołują się, tłoczą, plują, wołają, kiedy odprowadzają cadyka Cudaka na kolej lub jadą do Ojcowa z mamusiami na mojówes, jeżeli nie są zbyt dyskretni w entuzjaźmie, gdy gromadnie obsiądą ruiny zamku Czorsztyna i wszczynają chóralnie: „Nie damy ziemi skąd nasz wróg"... to wszystko to jest niczem w porównaniu z... „podejściem" do wody, do rzeki, do basenu, do morza. Opisać, oddać plastycznie to afekciarstwo i tę ostentację, nikt nie potrafi, jak tylko film i to dźwiękowy. Te ryki, te krzyki, to napastowanie się, to potrącanie, ta szałówka, ta frenezja, to zapanbrat z oceanem, to wzajemne mizdrzenie, to popisywanie „nurkiem", ten flirt zbereźny Marleny Wasserberger z Morycem Wassercukrem (on makabuś, ona fotogeniczka), te nawoływania mecenasowej Wasserman, żeby papa nie szedł za daleko „w bałwany oceanu", te „bajecznie kolorowe" i kolorzyste pyjamy, kitonki i bretonki, ten gramofon postawiony w piasku i grający „Rebekę" i ten tłusty mały Salusiek Wasserman w marynarskich spodeńkach z szablą, w ułańskim kasku, o którym wszyscy w rodzinie mówią, że będzie „polski Ballin"... no i wogóle ten cały harmider jerychoński, ten jazzband infernialny, jaki wnoszą ze sobą i w przyrodę i w... wodę... nie, to naprawdę nad możności i wytrzymałości nerwowe tych pospolitych, ordynarnych już tutaj teraz tylko gości a nie gospodarzy... tych Arjogojów...

„Zetknij się w wodzie z tą nacją... a będziesz za sterylizacją!"

...Z najfanatyczniejszych szabesboyów wetkniętych do basenów lub do Bałtyku z Wasserzugami i Wassermanami robią się na poczekaniu zdecydowane huligany i Huny i Hitlerniki.

Dlatego: „*los von Wannsee*" to „*purer Wahnsinn*".

A CO TAM Z ŻARGONKIEM?

Tak, tak. To niema żartów i dowcipkami nie da się wykręcić z sytuacji. Jak panowie z żargonem? Zostaje nadal czy nie? Bo niby tak z tymi Niemcami udry na udry, zemsta wieczysta zaprzysiężona, krucjata omal pewna, dzień w dzień judzą na wyścigi megafony „Manchester", „New York Times", „Pester Lloyd", „Le Rempart" (własność Rotszyldów) „Ere Nouvelle" (własność Westphalów). W Londynie i Poliakow i Sokołow aż się rwą. W Nowym Yorku dr. Tennenbaum obiecał p. Paciorkowskiemu, że w razie czego jak jeden mąż. W „Robotniku" naszym też klika militarystów wysunęła się na front. W ogrodzie Krasińskich parami spacerujące chejderki już nie śpiewają pierwszej brygady, ale „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz" i t. p. Cieszyć się nam z tego wszystkim, ręce zacierać, życząc, żeby tylko tak dalej trwało i się nie odmieniło na coś wprost przeciwnego, coś dawnego... Va bene! All right!...

No dobrze teraz, ale jak Wy to pogodzicie z tym żargonem? Przyznacie bowiem, że właściwie to się pogodzić nie da. Jakżeż można tak całe dnie i noce urągać i psioczyć na Szwabów po... szwabsku? Czyż nie jest to kompletnie paradoksalną groteską, że na tych ustawicznych zjazdach, kongresach, meetingach ten i ów pan pro forma bąknie czy beknie coś po hebrajsku, by zaraz wracać do tej denaturowanej niemczyzny i szwargotać po niemiecku? Zjeżdżają się syjonisty z całego globu i z Kanady i z Pretorji i z Kamczatki i z Kanaryjskich Wysp, a po przywitaniu hebrajskiem zaraz *Umgangssprache* jest jiddisch. Czy to będzie Sam Einstein, czy Sam Untermeyer, Baruch czy Borah, Oryng czy Otmar, jeżeli chce się porozumieć z braćmi, z pobratymcami, musi nawracać do języka protoplastów, to jest do jiddisch. A tak było od niepamiętnych czasów. Francuski podróżnik Mikołaj Bandeau w swych „Lettres sur l'état actuel de la Pologne" (Amsterdam - Paris, 1771) pisze wyraźnie:

„Żydzi uważają siebie za Niemców, mówią wszyscy po niemiecku a utrzymują stosunki wyłącznie z niemieckimi handlarzami".

W sto trzydzieści lat po nim niemiecko-żydowski podróżnik w swojej „Reise nach Warschau" powtarza:

„Żydzi wschodni zachowali jednak pamięć o pochodzeniu swojem w ubiorze i w *mowie*. Długi chałat bowiem i należąca do niego *jarmułka są strojem średniowiecznych* mieszczan *niemieckich. Żargon* żydowski zaś z okruchami hebrajskiemi i kilku słowiańskiemi słowami jest narzeczem średniogórnoniemieckiem, reńskiego i frankońskiego pochodzenia".

Ta wspólność językowa z Niemcami, dziś tak znienawidzonymi ale nie tak dawno jeszcze ukochanymi, umiłowanymi, jedynymi, dała się nam tutaj szczególnie we znaki, podczas czteroletniej okupacji pruskiej. Od samego początku nie było parki bardziej się kochających gołąbków. — Na Marszałkowskiej ulicy taki ścisk jak pewnego dnia sierpniowego (1915), gdy wjeżdżał książę Ludwik Bawarski, już się nie powtórzył i nie powtórzy! I ten szał patrjotycznej radości, że Moskale wypędzeni! No i zaczęły się flirty i amory i do *de grubis*. Żydowska część ludności stolicy na głos rozmawiała sobie po niemiecku i pół - niemiecku. Prusacy i Bawarzy mieli wszędzie gratisowych ciceronów... Uradowany tem korespondent „Frankfurter Zeitung" niejaki pan Kapłun - Kogen, pisał (12.8. 1915):

„Warszawa jest najważniejszem żydowskiem centrum Europy... Żydzi i Niemcy stanowią większość ludności Warszawy... Jest w interesie Niemiec podkreślać ten fakt przy każdej sposobności".

Przyjemne to oczywiście nie jest dziś! takie wywnętrzania wyczytywać, no ale próżno i darmo, jak drukowane to już i zostało to i zniszczyć się nie da.

Wszystko to zaś działo się w nie tak zamierzchłych znów czasów, bo kilkanaście (18) lat temu a ta inteligencja jeszcze oczywiście żyje i nadal mówi językiem to jest djalektem daleko bliższym niemieckiemu językowi od djalektu np. ...zürichskiego lub... tyrolskiego. Na 14 miljonów żydów wedle Davisa Frictscha (statystyki) mówi tym djalektem omal... 13 mijonów. W Polsce jiddisch - deutsch uprawia pono 88.7 proc. W tym djalekcie niemieckim pisze się bogata i obfita literatura żydowska. Jest coraz więcej teatrów, w których wystawiają sztuki pisane w gwarze nadwiślańsko - litwacko - chazarsko - niemieckiej. Są już i wszechświatowe znakomitości żargonowe i arcydzieła i encyklopedje. W samej stolicy Rzeczypospolitej Polski, ściślej Judosławji, frekwencja w niemiecko - djalektowych teatrach zamiast w erze prześladowań Nerona Hitlera spadać, wzrosła od 291 tysięcy z r. 1927 do 529.000 w r. 1931 i wzrasta nadal.

Cośby tedy należało pomyśleć o tym problemie. I co począć z tym fantem? Tak łatwo tej gwary, w handlu bardzo przydatnej, żydzi się nie pozbędą i pozbyć nie pragną. Dumni są z żargonu tak dalece, że prof. dr. Herman L. Strack w przedmowie do słownika żargonowego śmiało pisał, że „żargon przeważnie uważany za pokiereszowaną niemczyznę, może tak samo rościć sobie prawa do nazwy języka *jak język angielski*"... Ni mniej ni więcej, ergo jak język Szekspira, Byrona, Dickensa i Shelley'a! No i gadaj tu rozsądnie z takimi!

Najfanatyczniej i... najszczerzej o tej światowej misji żargonu wygadał się nie kto inny jak znany i u nas tłumaczony powieściopisarz, niedawno przyplątany do Hitlerowców a potem cokolwiek wyrzucony t. j. niejaki Hans Heinz Evers. W powieści przedwojennej „Vampyr" wpadłszy w ostry szał megalomanji pro-pan-semickiej i wygłaszając panegi-ryk ku chwale żargonu, mówił ni mniej ni więcej:

„Kto byli ci studenci, którzy walczyli przez całe lata o język i *obyczaj niemiecki w sercu Słowiańszczyzny,* w Pradze? Żydzi, czystej krwi żydzi w dziewięciu dziesiątych częściach... Zawsze żydzi, którzy się czuli Niemcami, walczyli na najważniejszych placówkach w obronie niemieckości: Dzieci plemienia Lewi walczyły za barwę czarno - biało - czerwoną!... Żydzi i Niemcy przeciw Słowiańszczyznie! — wszak tak brzmiał codzienny odzew pism żydowskich, wszak to było najgorętszem pragnieniem miljonów, zamieszkujących nowojorskie ghetto!... Żydzi jako Niemcy, jako równouprawniony szczep niemiecki, podobni Szwabom i Frankom, Styryjczykom, Pomorzanom i Tyrolczykom...".

No więc teraz trzeba decydować. Zachowujecie państwo żargon, to jesteście nadal „szczepem niemieckim"... „w sercach Słowiańszczyzny"... forpocztą... mostem!

Probierzem definitywnego zerwania z Niemcami może być tylko likwidowanie jiddisch - deutschu na całej linji. Zastanówcie się nad tem Żargonauty... jeśli już nie chcecie wracać do bankrutującej Kolchidy.

MORYCE W... ST. MORITZ.

Miesiąc temu przyniosła prasa wiadomość, że baron Leopold Popper w Wiedniu kupił zbroję „polskiego króla Jagiełły" za 60.000 dolarów i umieścił ją w swoim zamku Unterberg, pod Wiedniem.

Przyszły potem szczegóły przeoczone przez naszą prasę. W wiedeńskim sądzie egzekucyjnym odbyła się licytacja tej zbroi, pochodzącej z XVI wieku, roboty słynnych płatnerzy norymberskich Seitenhofa i Hopnera. Zbroję znaleziono na jednym z zamków, czy dworów litewskich w r. 1928 i nabył ją wiedeński handlarz starożytności Dornheim na spółkę z baronem Popperem (mężem śpiewaczki Jeritzy). Rzeczoznawcy wiedeńscy ocenili ją na 15.000 szylingów austrjackich, amatorska suma do 30.000 szylingów. Między właścicielami zbroi doszło do procesu cywilnego i do licytacji udziału antykwarjusza Dornheima. Zbroję nabył na wyłączną własność baron Popper za 28.750 szylingów. Wreszcie okazało się, że zbroja ta z królem Jagiełłą nie ma nic wspólnego, ale może być zbroją któregoś z królów polskich. W zamku Poppera, Unterberg, uchodzić będzie oczywiście nadal za zbroję Wł. Jagiełły...

Są zatem jeszcze w erze kryzysu krezusy w Europie! W dzisiejszych czasach dawać takie sumy za objekt dla dekoracji zamku, na to sobie żaden inny kolekcjonista prywatny, żaden Karol Lanckoroński ani żadne muzeum polskie pozwoliłby nie mogło. A baron Popper może. A ponieważ Poppery są z Galicji, więc na przekór czy dla upokorzenia polskich „magnatów" (ma gnaty) zbroja króla polskiego będzie ozdabiała zamek Popperów w Unterberg. Pokazuje się więc, że Poppery muszą jeszcze rozporządzać olbrzymimi funduszami, jeżeli sobie na takie arcyluksusy pozwalają w obecnych czasach.

A na co sobie pozwolić znów mogą ci dawni właściciele Popperowskiej zbroi, panowie z zamków i dworów litewskich?

O tem nas informuje nie żaden antagonista Popperów i innych baronów, a właśnie wróg wszelkiej aktywnej judofobji poseł Mackiewicz z Wilna, jak wiadomo dość często zabawnie wymyślający na Endecję:

„Że we dworach spędza się wieczory przy kominkowym ogniu dla oszczędności nafty to nasuwa też romantyczne wspomnienia — czasów wojennych — powieści Dickensa... lecz to, że w tychże dworach, mięso pojawia się na stole tylko wówczas, gdy który z domowych myśliwych ubije zająca czy cietrzewia, gdyż wieprze, cielęta i ptactwo muszą być sprzedane na opłacenie podatków — to już zalatuje erą jaskiniową. — Ale i tu nastanie wkrótce nowa faza, bo mało kto jest jeszcze w stanie opłacać pozwolenie na broń i inne, związane z tym dokumentem; więc pozostaną dwie tylko ewentualności: albo zastawiać na zwierzynę, za przykładem wiejskich sąsiadów, sidła, albo żywić się korzonkami i miodem leśnym, jako że szarańczy u nas niema"....

Różnica zatem w *standard of life* jest wielka. Tam, wiedeński baron kupuje sobie zbroję muzealną z litewskiego dworu, a tu „wileńscy panowie" znów z dworów poprostu nie mają na naftę i żyją w ciemnościach. Oczywiście o jakimś wyjeździe zagranicę nie może być mowy. Dawniej sobie wyjeżdżano na Jasny Brzeg, chorzy do Mentony, na Semmering, do Chamonix, do Davos, do Saint - Moritz. Teraz wszędzie w tych miejscowościach same Poppery... i Moryce. Niby to i u nich pauperyzacja, a jednak wszędzie Poppery. W Zakopanem kilka tysięcy Popperów. W Krynicy Poppery. Wspólna korespondentka „Naszego Przeglądu" i „Polski Zbrojnej" (sic) M. C. pisze z Saint Moritz list o tamtejszych Popperach, Citroenach, Rotschildach. Przysyłają stamtąd kilka numerów pisma „La Vogue" z kurlistami i w istocie; same Poppery. Numer gazetki z Nicei; same Poppery. No, więc tedy nie musi być taka bryndza w narodzie semickim, skoro sobie mogą pozwa-

lać na szampana i ostrygi, na bobsleigi i na hotele - pałace w Alpach, no i wogóle na pobyt w „zimowych salonach Europy".

Czyżby więc prawdą było, co w Starym Testamencie czytamy o starych czasach: „Tedy synowie Izraelscy uczynili według rozkazu Mojżeszowego i wypożyczyli u Egipcjan naczynia srebrnego i naczynia złotego i szat. A Pan dał ludowi w oczach Egipcjanów, że im pożyczyli; tedy złupili Egipt..."? Tedy ze złupionego Egiptu i Egipcjan żyją sobie Moryce w Saint - Moritz. Ale skarżyć, to się skarżą i na nas skarżą i lamentują przed całym światem bez przestanku.

W żydowskim paszkwilu na Polskę, którym w styczniu zasypali Amerykę, to jest w Emila Lengyela: „Wrzący kocioł, Polska i jej mniejszości" („The Cauldron Bolls - Poland and its minorities", 1933) czyta się:

„W obecnych warunkach żydzi w Polsce prawie bezsilni, sytuacja zaś ich ledwie nie beznadziejna. Różne komisje oficjalne niezbyt gorliwie zdążają do znalezienia realnego rozwiązania trudności żydowskich. Żydzi w Polsce są zbyt zmęczeni, zbyt pogrążeni w letargu i apatji, aby mogli cokolwiek uczynić".

Że sytuacja jest ciężka szczególnie dla żydostwa małomiasteczkowego, o tem czytamy i w Romana Dmowskiego książce „Świat powojenny i Polska".

Poseł dr. T. Rotenstreich na podstawie ogłoszonego przez G. Urząd Statystyczny sprawozdania przedsiębiorstw handlowych w Polsce wykazał, że w porównaniu z r. 1928 wykupiono w r. 1932 mniej o 121.000 świadectw przemysłowych, czyli że tyluż kupców zlikwidowało swe warsztaty pracy i przeszło na *luftmenszów* lub nawet do *lumpenproletarjatu.* Poseł Rotenstreich liczy, że razem z rodzinami około 600 tysięcy zostało zdeklasowanych, razem z rzemiosłem: miljon 400 tysięcy „nie zarabia na utrzymanie", czyli „43 proc. bezrobotnych". Zapomina tylko poseł Rotenstreich w swoim artykule („Bolesne cyfry"), że wśród tych, co w r. 1932 nie wykupili przemysłowych świadectw... może jednak bądź co bądź jest... kilku... chrześcijan, kilku...

Bardzo racjonalnie wynajdują przyczyny pauperyzacji żydowskiej dr. Weitzman i poseł Grünbaum w brakach rynków rosyjskich i chińskich, przyczem dr. Weitzman wyraźnie zaznacza, że:

„Nastąpiło to wskutek automatycznych procesów, a bynajmniej nie na tle judofobji. Gdyby bramy imigracyjne były otwarte, ruszyłaby stamtąd olbrzymia fala emigracji żydowskiej..."

Zaś poseł Günbaum (15.1 „Haint") wyraźnie konstatuje:

„Musi się dojść do smutnego wniosku: duża liczba żydów w Polsce nie ma i nie będzie miała możliwości istnienia. Przychodzimy przeto do drugiego wniosku, żydowska emigracja z Polski jest czynnikiem konstrukcyjnym w życiu polskich żydów".

Bądź co bądź jednakże w walce z upiorem pauperyzacji żydostwo polskie doznaje dużej pomocy z wewnątrz i z zewnątrz. Nawet dr. Bernard Kahn, delegat z Ameryki w złożonym w Nowym Jorku referacie zaznaczył, że:

„Rząd polski udziela pewnych kredytów spółdzielniom żydowskim i asygnuje subwencje na rzecz instytucji społecznych i w bardzo małej mierze również na rzecz instytucji kulturalnych".

Żydzi polscy rozbudowali ogromną sieć banków spółdzielczych (458) i kas bezprocentowych (174.000 członków) z rocznym obrotem 132 miljonów. Banki te korzystają z kredytów amerykańskiego J.D.C., A.J.R. („American Joint Reconstruction Foundation") i „Jewisch Colonisation Association". Od rządu Bank Związków Rzemieślniczych i Bank Ludowy Żydowski (160.000 członków) otrzymały kredyty: 35 milj. złotych.

W okręgu Grodna, Brześcia i Pińska w ręce żydowskie przeszło 25.000 hektarów ziemi. Większej własności już jest w rękach żydowskich 163.000 hektarów. Własności miejskiej mają żydzi 12 proc. Uposażenie rabinów żydowskich nietknięte. W radach nadzorczych na Górnym Śląsku pp. dr. H. Askenazy A. Falter, A. Golklang. E. Landau etc. W Gdyni rządzą. I jeszcze trafiają się czasem całkiem brylantowe geszefty na kresach (skąd zbroja Jagiełły...), jak o tem czytamy w „Słowie":

„Skromny kupiec z Dubna, pan Szloma Elbert miał kapitalnego nosa i skupował chmiel całą parą. Płacąc po 4 zł. za pud nabył 15.000 pudów. Obecnie cena doszła do 115 zł. pud, jeśli Ameryka okaże się bardzo spragniona dobrego piwa, to chmiel jeszcze podrożeje. Mądrala Elbert, genjusz z Dubna, zarobił już miljon 665 tysięcy złotych".

W intendenturze też są wyraźnie preferowani tacy jak krociowy Stern... dostawca marmelady...

W sprawozdaniu danem przez dr. B Kahna w Nowym Jorku czytało się wyraźnie:

„Zaznaczyć należy, że fala ekscesów antyżydowskich, jaka ostatnio przeszła przez kraj, bezpośrednio nie wyrządziła większych strat gospodarczych ludności żydowskiej".

Nie jest więc tak źle, jak lamentują i skarżą na nas przed światem.

Bądź co bądź 7.500 „żydowskich młodzieńców" z Polski może sobie pozwolić na studjowanie na wyższych uczelniach zagranicznych! 7.500 przyszłej elity rządzącej!

Bądź co bądź judancingi w stolicy pełne Popperów, kawiarnie: Poppery, Derby wziął koń ze stajni... Poppera... najpiękniejszy premjowany samochód w stolicy... Apfelbaumów, zbroję „Jagiełły" kupił Popper.

W Saint-Moritz... król sezonu: Moryc Popper...

ESPANA I... ESPERANTO.

Taka sobie notateczka:

„XIII kongres Socjalistycznej Partji Hiszpanji przyjął jednomyślnie rezolucję, żądającą od rządu wprowadzenia nauki esperanta do szkół i zakładów naukowych. Ponieważ w rządzie hiszpańskim zasiada trzech ministrów socjalistów a pomiędzy nimi minister oświaty, rezolucja ta ma duże szanse urzeczywistnienia".

Czy ma „duże szanse urzeczywistnienia".... to już dzisiaj wątpliwe. Również wątpliwe, czy ten minister oświaty, marranos de Los Rios długo jeszcze będzie pieścił swoją teką. Również wątpliwe, czy ten rząd jeszcze długo będzie popasał. Cała ta bowiem Moraczewszczyzna i Kiereńszczyzna hiszpańska obrzydła tam już wszystkim po same uszy. Bałagan przeszedł już wszystkie granice możliwości. Jednogłośna o tem taka opinja wszystkich korespondentów stałych i przygodnych. Niekończący się czerwony karnawał strajków, awantur, rabacji, buntów, zamachów, podpalań. Mury w miastach popstrzone napisami: „niech żyje Lenin"! „śmierć Hitlerowi!" W Barcelonie, w Sewilli, w Grenadzie wciąż pochody, meetingi, zaburzenia. Nie mija tydzień bez ekscesów i strzelanin. Wszystkim to już obrzydło po same dziurki od nosa. Mimo nawoływania całej prasy rząd Azany jakoś sobie z niczem poradzić nie umie. Niema czasu na poważne reformy i gospodarczą naprawę, bo cały ciągle zajęty walką z klerem i dekatolizacją poddanych.

Podczas świąt Wielkanocnych dzwonienie dzwonów w Sowietach już było pozwolone, w Hiszpanji zakazane. Tak się zaciął i zawziął w walce w Kościołem ten gabinet, w którym pierwsze skrzypce trzyma w ręce Fernando de los Rios. Rzecz zdumiewająca, że ten to właśnie minister zwalczany nawet przez europejskiego stylu radykałów umiarkowanych (Lerroux, Maura, Unamuno), minister pozujący na francuskiego Combesa (z przed lat 30-tu) najniespodziewaniej zyskał sobie słowa uznania w naszej „Gazecie Polskiej". Dwa miesiące temu podczas naszej krótkiej kampanji o wolność uniwersytetów „Gazeta Polska" tak chwaliła najniepopularniejszego dziś w Hiszpańji „osobistego wroga Pana Boga":

„Nowy minister oświaty wielkie czyni wysiłki, aby wyrugować analfabetyzm i zastąpić nauczanie duchowne — świeckim, a zarazem reorganizuje zupełnie życie uniwersyteckie. Otwiera się mnóstwo nowych szkół a pobory 59 proc. nauczycieli zostały podwyższone, położenie zaś ich służbowe polepszyło się. W chwili upadku monarchji 23-u miljonowy naród miał 35.716 szkół; republika uważa, iż trzeba jeszcze otworzyć 27.000 szkół nowych. Postanowiono uczynić to w ciągu lat pięciu i już w pierwszym roku otworzono 700" i t. d.

Tak pisała „Gazeta Polska". Zdawałoby się tedy, że to wzór, że ideał, model ministra oświaty i wyznań. A tymczasem dziś cała społem prasa hiszpańska z wyjątkiem organów socjalistycznych, syndyko - anarchistycznych i komunistycznych domaga się przedewszystkiem dymisji natychmiastowej tego jegomościa! Już dość mają i zamykania klasztorów i podpalania kościołów i tego dzikiego kulturkampfu, na którym się wyczerpała cała energja najgorszego z dotychczasowych gabinetów z gabinetami dyktatury włącznie.

Zdaje się więc, że do wprowadzenia „esperanta" do szkół i zakładów naukowych jednak nie dojdzie. No i słusznie. Byłoby to bowiem skończonem błazeństwem. Czem jest bowiem Esperanto? Jest żargonem języków romańskich, skleconym, sztucznym zlepkiem parodjującym i przedrzeźniającym języki: włoski, portugalski i właśnie hiszpański. Po kiegoż djabła tedy Hiszpanie mieliby się uczyć esperanta tak jakby Niemcy np. mieli się uczyć żargonu przez obcorasową mniejszość w Wschodniej Europie używanego!

Z jakiegoż zaś impulsu wyszło skonstruowanie tego sztucznego parodystycznego „języka"? Z nienawiści do Rzymu i z marzenia o przeciwstawieniu międzynarodowej łacinie międzynarodowej gwary, sfastrygowanej przez aszkenazim... dla... chazarów. Z nienawiści do cywilizacji śródziemnomorskiej latyńsko - gailijskiej stworzył mózg nieprzejednanych wrogów Romy karykaturę romańskiej mowy. Jak to u nas przemilczano teraz w całej prasie szlachetną inicjatywę aryjskiego intellektu: umiędzynarodowienia i ożywienia łaciny (prof. Zieliński). A z jego tolerancją i pieczołowitością traktuje się wszelkie imprezy i kohn - gressy antychrześcijańskiego, antyaryjskiego jeszcze jednego złośliwego „volapicku"! Dlaczego?

Wyjaśnił to niedawno mecenas towarzysz Littauer przydzielony do kontroli „Robotnika" w odczycie w polskim „Związku Myśli Wolnej", pouczając zebranych o „pozaesperanckiej" działalności i misji „wielkiego" Zamenhofa.

Kilka miesięcy zaś temu również wyjaśnił właściwą misję dziejową esperanta młody człowiek z „Akademickiego Koła Esperantystów" - żydów w wywiadzie dla „Naszego Przeglądu". Na pytanie, jaki jest stosunek Sowietów do Esperanta mówił:

„— Sowiety były pierwszem państwem, które wydały znaczki pocztowe z tekstem esperanckim oraz używają tego języka na wszystkich drukach pocztowych, przeznaczonych do komunikacji zagranicznej. Według niepełnej statystyki w Rosji Sowieckiej jest przeszło 20.000 zorganizowanych Esperantystów. Blisko 10.000 listów w kolektywach, otrzymanych z zagranicy przez Esperanto zamieszczone były w najrozmaitrzych pismach w ciągu jednego tylko

roku. Oto dowód praktycznego zastosowania Esperanta. Również sowieckie radjostacje regularnie nadają audycje w tym języku".

Już jesteśmy więc w domu, czyli „hier liegt der Hajnt begraben". Ale mało tego! Komunizm rosyjski na wielką skalę posługuje się teraz esperantem. Piętnaście wydań miało w kilkunastu tysiącach egzemplarzy bite „Vero pro Sovicty", co znaczy „Prawda" o Sowietach w żargonie litwacko-argentyńskim. Obecnie w esperanckiem przedrzcżnianiu wychodzi komplet dziel Lenina...

W marcu zaś r. b. w Mińsku Mazowieckim nakryto dużą korporację esperantystów „Labore", do której należeli Perla Meretyk, Suza Frydman, Hinda Mendelsohn, Mirjam Bekmanowicz i odpowiedni komplet młodzieńców, jak się okazało bardzo aktywna jaczejka komunistyczna.

Takich kółek pod pozorem esperanctwa, przygotowujących przewrót socjalny i rzeź chrześcijan (w miastach mieszkających) musi być w Polsce nie tylko więcej ale dużo. Ku temu bowiem celowi definitywnemu jest ten obskurny bełkot stworzony. Tacy jego apostolos jak Belmonte lub Bujwiddo — to tylko sieją; zbierać mają (ochotę) gromady z „Labore" i innych miasteczek i kółeczek.

Niema też sensu rozczulać się nad tem, że na esperanckie tłumaczone sonety Krymskie, czy nowele Konopnickiej „dotarły" do Japonji, lub że czytają je Szwedzi. To są mikroskopijne imponderabilia i sukcesy błahe i *nijakie*. Niebłahem zaś i ważnem jest to, że w antyrzymskim, antyromańskim, antychrześcijańskim „wynalazku" dr. Zamenhofa komunizm znalazł sobie także jeden ze swych propagandowych instrumentów.

Ostatnio Anglicy (perfid Albion) zabawny kawał (psicusis) urządzili swoim rzekomo protegowanym.... esperantystom.

Oto mister Ogden, profesor z Cambridge, wynalazł sobie cicho i dyskretnie nowy język międzynarodowy. Języków jest wogóle widocznie zamało jeszcze, więc trzeba dla dobra ludzkości wynajdywać sztuczne nowe. Zamiast 5000 słów potocznego angielskiego języka, ten nowy slang liczyć będzie słów tylko 850. Jest więc odmianą angielszczyzny, uproszczoną do ostatnich możliwych granic przyzwoitości.

Nazywa się nowotwór: anglo - basic. Dlaczego basic? żeby trudniej było zgadnąć. Nic w nim pono niema sztucznego, a wszystko jest quite english spooken.

Pod manifestem zalecającym jego wprowadzenie podpisało się 50 sztuk bardzo znakomitych prominents, a nadto tacy nałogowi chroniczni podpisywacze i furjaci wszelkich nowalij, jak G. B. Shaw, Wickham Stead, H. G. Wells i t. p. Wnet się dołączył i reverend z Canterbury, poczem Dawid... lord George, lady Asquith i moc ekscentryków innych.

Warszawskie Esperanto zyskało sobie w anglobasicu niebezpiecznego konkurenta, a jego zwolennicy deziluzję od strony najmniej spodziewanej. Inne narody jakoś na tę humbugo planetare nie lecą: ani Włosi, ani Francuzi, ani Skandynawi. Ale na zblazowanych, spleenowatych, wszelkich izmów czepiających się Brytonów zawsze się liczyło. Tymczasem zawód. Chcą mieć własny volapuck dla swoich 460 miljonów, mówiących „starą" angielszczyzną.

I to Anglicy! Już pewnie i lord Melchett przestanie popierać esperanto a przeniesie się do Anglo - basic. I sir Montefiore! i redakcja „Manchester J. Guardian!" I z Izby Gmin colonel Wedgewood. Wszystkich opęta swą propagandą prof. Ogden z Cambridge...

Tak to znowu przekonali się i esperantowie, że nikomu dłużej nie można ufać na świecie. A tak zapewniali Albionowie., że zawsze wierni zostaną genjalnemu wynalazkowi naszego Zamenhofa, Prof. Snobson z Manchesteru wyraźnie pisał, że zabiera się do tłumaczenia „Raju utraconego" Miltona (16.000 wierszy). Kto wie czy teraz nie przerzuci się na anglobasic?

Nie zawsze można stawiać na angielskie konie. Dużoby o tem mogli powiedzieć wszyscy monarchowie i premjerowie wszystkich krajów z XIX wieku. To co idzie z za kanału, trzeba zawsze brać cum grano Salisbury. Mowy w Izbie Gmin albo wstępniaki w Timesach bywają poprostu czarujące. Po oracjach takiego Chamberlaina, Churchilla, lorda Snowdena, lorda Cecila, pospolity człowick, półczłowiek z kontynentu, man of the street, poprostu wzruszony jest do łez, do samej głębi wstrząśnięty! Tyle humanitarności, tyle grandezzy i dystynkcji, etosu i patosu, piękna i gracji słów mocnych, poważnych, trombitowych, spiżowych! Człowiek z kontynentu poprostu cieszy się, że jest niejako bliźnim takiego lorda i śpiewałby hosanna, że tak piękni Rzymianie oraz Katonowie (przyczem i Alcybiadesy) jeszcze się nam rodzą w epoce takiego rozwydrzenia Hunnów i t. p.

Dobrze i higienicznie jest wziąć wtedy do ręki takie „Public Faces" młodego Nicolsona Haralda, syna tego, co całą wojnę europejską reżysersko przygotował. „Public Faces" Harald Nicolson. Tu są te wszystkie spiżowe monumenty przedstawione co nieco od tyłu, od kulis, od wnętrza, i conieco jest wskazana łączność między poza, postawą, nastawienicm oficjalnem a... businessem. Areopag odbronzowiony. Procenty, pensje, giełda, akcje, afery. „Public Faces" Harald Nicolson. Dlaczego tak grzmi jowiszowo „wnuk Marlborougha" dlaczego tak ruga „Germ - Huns" ten i ów mąż z Oxfordu, z Canterbury, z „Primrose — Club"? Business as usual, po naszemu interes jak zawsze. Tu a tam, tyle a tyle, za to, za tamto. Nagle poczuł ogrom afektu dla Poland starszej daty

mr. Garvin w „Observerze". Cieszmy się, ale cum grano Salisbury... Mówi sam Chamberlain: Nie są to „te Niemcy, którym można robić ustępstwa". Well. Ale widocznie są inne, którymby się zrobiło, skoro te same „Timesy", oburzone moralnie do szpiku kości 14-go maja, już 20-go piszą, że „trzeba dać Niemcom moralną satysfakcję" (sic!). Olbrzymi meeting w Kings-Hall i wszyscy potępiają, wygrażają, manifestują, protestują: „przepaść" moralna, „zakała" ludzkości, wspólnota cywilizacyjna, hańba ludzkości. Izolacja! Izolacja!! Well! Very nice? A w tydzień potem? Cordial uderstanding!... Pakt Czterech. Shame! Jndeed! God dam!

W „Gazecie Polskiej" z 18-go maja message sympatycznego Sokołowa Flora (floreat et crescat) z takim finiszem:

„Jakie będą konsekwencje polityczne blokady moralnej Niemiec i czy uda się rządowi Hitlera ją przełamać? Na pierwsze pytanie publicystyka angielska nie daje odpowiedzi. Pewne się tylko wydaje, że Anglja na dłuższy czas przestanie być orędowniczką, ryzykownego podważania systemu Wersalskiego. Te żywioły angielskie, które były dotąd gorącymi zwolennikami rewizji traktatów na rzecz Niemiec — a mamy tu na myśli całą lewicę — pierwsze zrozumiały swe błędy. Nastroje w Anglji nie mijają prędko. I dużo wody przepłynie pod mostami Tamizy, zanim Niemcy odzyskają tam zaufanie, jakiem je lekkomyślnie darzono w latach powojennych, a jakie straciły całkowicie po odsłonięciu prawdziwego oblicza swej Trzeciej Rzeszy".

Dziś kończy się 1933-ci r. Dużo tam wody nie upłynęło w Tamizie, odkąd... szwabską swastykę w nią wrzucono... No i o blokadzie moralnej ani już mowy... Właśnie więc, że „nastroje w Anglji" mijają się prędko. Wczoraj indignejszen a dziś kombinejszen. Na schadzce profesorów uniwersytetów „protestujących" przemawiali gromko dotychczas mało na kontynencie znani „wszechświatowej sławy uczeni" („Nasz Przegląd") prof. Hogben, biolog J. B. Haldane, że „żadna rasa jako ta nie przyczyniła się tak mocno do wzrostu kultury"... A tymczasem, a tymczasem, zamiast protegować nasze warszawskie... esperanto, też się podpisali za esperantem prof. Odgena, za „anglobasicem"...

Dlatego też, gdy czytamy, że ten a ten gentleman przed stacją Chelmsdorf pociągnął za dzwonek alarmowy, bo nie chciał jechać w jednym wagonie z tym Rosenbergiem, no to well! all right! My też często chcielibyśmy pociągnąć za sznur alarmowy, gdy do wagonu wchodzą nasi Rosenberger...

Ale żeby tak znowu na tych mowach i artykułach albiońskich budować zaraz stupiętrowy drapacz nieba, to nonsens. I więcej wymowne w tym maju było dystyngowane milczenie sir Johna Simona od tej formalnej eksplozji czarującego faryzejstwa, przedystyngowanej hipokryzji. Mówią o tem fakty i pakty, przeczące

na całym froncie truiznom o moralnej zgrozie, wstrząsie, sankcjach... izolacjach.

Nie bez kozery z tego prarodu angielskiego wyszli najokrutniejsi, najbezwzględniejsi satyrycy od Swifta począwszy... a na Haralda Nicolsona „Public Faces" jeszcze nie kończąc.

Co się zaś tyczy tego esperanta to też należy go brać cum grano Salisbury. Można się tam i cieszyć tem, że p. Korenfeld w Sorbonie miał... prelekcjos o pollakos cantos rusticanos. I także cieszyć, że w Japonji znalazły się circolas estodiantas, którzy czytają antologias di poetas pollakas w tłumaczeniu zacnej pamięci rzetelnego idealisty i marzyciela Grabowskiego.

Faktem jest atoli, że w Sowietach w kwietniu państwowa rada naukowa opracowała obok innych reform wstecznych w wychowaniu młodzieży także i powrót do łaciny w ostatnich klasach szkół średnich. Tak czy nie?

Więc tam trzeźwieją. A tu marnowanie czasu i energji na bzduras, bzikas, psychozas i verajno-manjas... Finito...

KAMIENIE POD NOGI.

Pierwszy nazywa się Stein. Wpływowy i ustosunkowany dziennikarz niemiecki w Rzymie. Długie lata był korespondentem berlińskiej „Deutsche Zeitung". Oczywiście z Naszych. Jeden ze Steinów, dr. E. Stein, docent warszawskiego „Instytutu Nauk Judaistycznych" wydał broszurę: „Judaizm i Hellenizm", jako polemikę i odpowiedź na prof. T. Zielińskiego: „Hellenizm i Judaizm". Rzymski Stein wydał broszurę p. t.: *„La Verita sui problemi della Germania Occidentale"*... A może nie z Naszych? *Chilosa?*

Rozesłana do całej prasy włoskiej, do deputowanych, do ambasad i poselstw. Gwałtownie antypolska, broniąca tezy niemieckiej i pretensyj rewizjonistycznych. Ponieważ jest krótka i zwięzła, więc łatwa do czytania i będzie czytaną. Swoje złe wyrządzi i zaszkodzi nam coniemiara. Ma na celu udowodnić Włochom, że Pomorze, to były ziemie odwiecznie pruskie, że wszelką cywilizację wprowadził tam Zakon Krzyżacki i Fryderyk Wielki, że Polacy na Pomorzu to Kaszubi, że Polacy właściwi są „prawosławni z ducha" i przynależą do Eurazji, że obecnie Warszawa planuje napaść na Prusy Wschodnie, że Gdańsk upadł gospodarczo itp. Wobec rosnących w galopującym tempie sympatyj faszystowskich Włoch do hitlerowskich Niemiec broszura Steina znajdzie rezonans w umysłach polityków i publicystów.

Dotychczas prasa włoska, jak wiadomo, zachowywała duży objektywizm w sprawie naszego Pomorza. Nie angażowała się ani

w jedną, ani w drugą stronę. Wyjątek podobno stanowiły pisma: „Antieuropa" i „Regime fascista". Swego czasu zdawało się, że większe zrozumienie dla konieczności naszego dostępu do morza, w prasie włoskiej wywoła czy wyrobi ekskursja uroczystej ekipy z I-szej brygady z takimi czołowymi politykami jak pan Starzak, p. Belina i t. p.

Patronował energicznie wycieczce ad limina fascistorum prezes Sławek. Spotkał nas potem zawód. Nie wywarła większego wrażenia ta grupa przywożąca hommagium z Warszawy.

Większe szczęście miał hitlerowiec Rosenberg, który tam dłużej i intensywniej działał. Pomimo tego i jego znów suggestjom nie udało się wpłynąć na prasę miarodajną w kierunku przekonania jej, że Pomorze tak potrzebne jest do życia Niemcom jak... Dalmacja Włochom. Może obowiązywały tam jeszcze te poglądy o konieczności posiadania przez Polskę brzegu morskiego, jakie wypowiadał *Il Duce* w r. 1920 jeszcze jako dziennikarz w swojem piśmie, a które *może teraz poraby była przypomnieć?* Największe sympatje dla Niemiec i entuzjazm dla hitleryzmu nie doszedł tak daleko, aby protegować ten prowokujący wojnę postulat pruski.

Broszura W. C. L. Steina ma to naprawić. Tak to międzynaród i jego ludzie służą nadal wiernie hitlerowskim Niemcom. Coprawda, ten obstalunek propagandy wyszedł z druku i był rozesłany wtedy, kiedy żydzi wmawiali w świat i w... siebie, że Hitler już się kończy i że do władzy nigdy nie dojdzie.

W tym też czasie przed - hitlerowskim wyszedł inny żydowski paszkwil na Polskę, mający oddziałać w analogicznym sensie na amerykanów. Jest to Emila Lengyela wydany w Nowym Jorku „Wrzący kocioł, Polska i jej mnieszości" *(„The Cauldron Boils, Poland and its Minorities")* Wydawca Lincoln Mac Yagh w przedmowie do książki tak pisze:

„Ta książka zajmuje się Polską i niepokojem, wywoływanym przez jej mniejszości. Przedmiotem jej są takie zagadnienia, jak kwestja polskiego korytarza, wolnego miasta Gdańska, *sprawy żydowskiej*, niepokoju na Górnym Śląsku, stanu wojennego, istniejącego wciąż między Polską a Litwą, wpływu bolszewickiego na polskiej granicy i jego siły penetracyjnej w głąb Europy. P. Lengyel niedawno wrócił z podróży do Polski gdzie rozmawiał z wybitnymi osobistościami i dokonał głębokich studjów o wszystkich tych zagadnieniach, od których właściwego rozwiązania zależy pokój światowy w przyszłości"...

Tytuły rozdziałów tej książki następujące: „W korytarzu", „Karjera korytarzowa" (A Corridor Career), „Nad Bałtykiem", „W kraju Teutonów", „Na froncie", „Białoruskie Intermezzo", „Izba okropności", (Chamber of Horrors o t. zw. pacyfikacji Małopolski Wschodniej), „Wygaszony Wielki Piec" (Górny Śląsk). Kilka cytat: „Marszałek Piłsudski nie może żydom pomóc", „chociaż jego rząd stara się uczynić coś dla żydów"... „Półdyktatura Piłsudskiego nie jest wrogo usposobiona dla żydów, nie wyrywa im się już bród jak dawniej i jawne pogromy rzadkie"...

„...Co to będzie z polskim korytarze. Alzacja i Lotaryngja są niemal zapomniane, lecz Gdańsk jest żywą raną"... „Gdańsk nie chce walczyć z Polską, nawetby nie mógł, gdyby chciał, ale za to jest przekonany, że obecny stan jest tylko przejściowy i że kiedyś pokój zapanuje nad brzegami Bałtyku, a Europa zostanie uwolnioną od zagadnienia gdańskiego".... „Właściwe niebezpieczeństwo polega na wypadkach, za które żaden rząd nie może być odpowiedzialny; jakiś polski generał może stracić cierpliwość i chcieć rozciąć ten węzeł gordyjski. W Prusach Wschodnich w żywej pamięci jest zabór Wilna" itd...

W tem miejscu (alarmistycznem) Emil Lengyel („lengyel" po węgiersku Polak) schodzi się myślowo całkowicie z V-tym rozdziałem włoskiej broszury Steina. Wpływ tego żydowskiego paszkwilu na rewizjonistyczne „nawrócenie" mr. B. Barucha, doradcy finansowego przyszłego prezydenta jest niezaprzeczalny.

Tak to urabiają nam opinję Steinowie w najpotężniejszych ośrodkach mocarstwowych na świecie, takie to *kamienie* rzucają nam pod nogi ci żydzi, którzy tu w Polsce bywali i rozmawiali z „wybitnymi osobistościami"...

Pytanie teraz z którymi osobistościami? Odpowiedź łatwa.

HUCULI! HUCULI!

Zależy od stanu zdrowia i kieszeni. Aparatczyki i Elita prawdopodobnie: Vichy, Kissingen, Marjańskie Łaźnie, norweskie fjordy. Poddani skromniej, swojsko, swój do swego po swoje, cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie. Byle tym razem nie tak zawsze jednakowo, konwencjonalnie, szablonowo albo najdalej na Północ, albo najdalej na Południe, albo nad Morskie Oko, albo nad morską Jastarnię. Raz jednak możnaby gdzieś w bok któryś, albo na prawo, albo na lewo, ale niekoniecznie tylko najłatwiejszym pociągiem, najkrócej, byle trafić wprost do doliny Karpia lub na dancing w Rivierze. Raz trzeba się zdobyć na coś oryginalnego, egzotycznego, emocjonującego. Jeżeli już nie można na Florydę czy do kanjonów kanadyjskich, to trzeba wybrać caś przypominającego, coś podobnego.

Ot księgarnia wojskowa główna naprzeciw Kopernika wydała teraz tani, a zato bogato ilustrowny „Przewodnik po Huculszczyź-

nie". Gdyby był długi i drogi, nikogoby się nie namawiało, ale, że krótki, więc wszystkich. No a kto już ten Przewodnik nabędzie, ten napewno się zachęci i rozochoci. Zaczem hasło dnia: Raz nie Zakopane! Raz gdzieindziej! Całe Podhale jest narazie tak zikacone i zmakabione, tak zkurjerczałe i przekrakowiaczone, że trzeba dać sobie z niem spokój. Tam i tak będzie pełno.... pustych pensjonatów. Bez was się obejdą. Zatem nie: w góry! w góry miły bracie! ale w Żabie, w Żabie miły bracie, tam swoboda czeka na cie. Kraków już wszyscy znają. Lwów co tysiączny Polak co stutysięczny. Trzeba więc raz na Wschód. Koniecznie w tamte strony. I ze Lwowa na południe, gdzie Stanisławów, Kołomyja ne pomyja, Nadwórna, Kossów, Skole, gdzie Tatarów, Jaremcze, Worochta, gdzie dolina Bystrzycy, Zielona, Rafajłowa, Bolechów, gdzie Gorgany przedewszystkiem. Oto nasza Kanada, oto nasze kanjany! Nazwijmy to sobie aktualnie „ku ziemiom Sobieskiego!", albo „szlakami Sobieskich", jak kto woli, do wyboru.

Przy tej okazji możnaby cokolwiek raz widzieć zbliska ten szczep wspaniały, co z nami pod jednym dachem bądź co bądź mieszka. Nam tyle czasu zabiera jedyna, jedyna wybrana mniejszość narodowa, że poprostu zapominamy o tem, że tej „nieznanej" mniejszości współplemiennej mieszka z nami 5 i pół miljona no i że te 5 i pół miljona (na terytorjum 81 tys. klm. kw., mieszkających) mówi językiem wspólnym 33 miljonom 945 tysiącom.

Pan Łunaczarski język ten nazwał sobie dość wzgardliwie narzeczem, ale jednak już wielki Kromwel, wódz Purytanów, w listach do atamana Chmielnickiego używał słowa: Ukraina. Niemiecki poeta Herder, zająwszy się tym narodem, też wróżył mu kiedyś wielką przyszłość.

Możeby więc było do pewnego stopnia aktualne i pożyteczne cokolwiek wreszcie zainteresować się i tymi także współlokatorami, a nie tak tylko w jedną mniejszość pakować i lokować wszystkie nasze sentymenty i afekty dlatego tylko, że tuż na oczach ciągle jest pod nosem, oj pod bardzo wytrzymałym nosem. Dla scharakteryzowania naszej gnuśnej i ospałej obojętności i braku zainteresowania dość powiedzieć, że np. w naszej beletrystyce niema nigdzie ani tego problemu, ani ludzi stamtąd, podczas gdy jest amerykańska powieść o Rusinach w W. Małopolsce i angielska sztuka, ciesząca się nawet dużem powodzeniem zmarłego Mackenziego: „Muzykalne krzesła".

Jadąc w tym roku na lato w tamte strony, możemy harmonijnie połączyć *utile cum dulci*, czyli odpoczynek, wilegjaturę, wywczasy z pewnym celem, z pewną służbą narodową, z pewnem dokształceniem się i pomnożeniem „zasięgu" swego krajoznastwa i ludoznawstwa. Państwo też na tem dobrze wyjdzie, jak państwo

pojedzie raz na ziemie Sobieskich i Żółkiewskich, zamiast w zasmrodzonem Zakopijanem zaczytywać się w zaśmierdłych Ikacach.

Najciekawsze oczywiście są te Huculy. Niektórzy porównują ich z amerykańskimi Siouxami, niektórzy z Mohikanami. Także są najkolorystyczniejsi i także noszą tomahawki. Tylko że wymierający Mohikanie są bardzo bogaci, a nasi Huculi żyją niżej Parjasów w Indjach, już nie głodują lecz poprostu oduczyli się jeść, nie jedzą. Jak niema kukurydzy rozdawanej, to nie jedzą, tylko chodzą i siedzą. Mają takie szałasy i wigwamy i mieszkają. Były jeszcze roboty w lasach państwowych, to zarabiali (1 zł. dzien.) i żyli w dostatku. Teraz: nic. A te różne piękne robótki, te wyszywanki, łyżniki, krajki, serdaki, zapaski, te pisanki, te śliczne materjały itp., któremi się zachwycamy. Bo już też nie mają sił ani apetytu robić sami i *ostatnio* pono robią za nich zrośli z nimi i zakorzenieni żydzi... (Sic!).

Jak ci się zaś zagościli i zadomowili u tych Huculów, o tem pisała w „Kurjerze Porannym", a więc w piśmie o klientelę wielce dbałem i skrzętnem, pani Janina Strzelecka, co następuje:

„Huculi bez pośrednictwa żyda nic nie biorą ani jednej deski, chociażby mogli zrobić najlepszy interes. Wogóle rola żydów w życiu Huculszczyzny jest bardzo znamienna. Opanowawszy w całości handel i przemysł, doprowadzili do tego, że w roku 1914, t. j. bezpośrednio przed wojną światową, materjalną wartość wsi huculskich zadłużona była na ich rzecz conajmniej na 60 proc. Wojna spowodowała masową ewakuację czy dobrowolną ucieczkę żydów przed inwazją i, w związku z tem handel i częściowo istniejący przemysł przechodzi w ręce miejscowej ludności, niestety nie nadługo.

Po wojnie żydzi zdołali w bardzo krótkim czasie zawładnąć utraconemi placówkami, a co najważniejsza, weszli w posiadanie przeważającej ilości gruntów, wypierając Huculów na coraz wyżej położone nieużytki. Zdobyli monopol na cały prawie eksport, drzewa, bydła, bryndzy, owiec, płótna, wyrównali nietylko straty, spowodowane przez wojnę, lecz finansowo opanowali wieś huculską całkowicie. Akcja samoobrony, powstała w formie organizowania w każdej wsi kooperatyw spożywczych, czy kredytowych, załamała się, niestety, w ostatnich trzech latach, nietylko skutkiem kryzysu gospodarczego, ale w dużej mierze i bodaj głównie z powodu nieuczciwości zarządów. Pod tym względem stan jest rozpaczliwy. I wogóle ów Hucuł... przypomina naprawdę tropioną zwierzynę, wypieraną z legowisk, pozbawioną powoli wszystkiego, co składa się na najelementarniejsze warunki bytowania".

To się czytało w „Porannym Kurierze" o tym kraiku „Quand Izrael est roi" (tytuł powieści braci Tharaud).

ŁUKASIEWICZ ZDEGRADOWANY.

Jak się tu w pospolitych podatnikach i rodakach z większości nie ma rozwijać nagminne *inferiority complex,* czyli po staremu poczucie niższości, świadomość przynależenia do gatunku drugorzędnego, jeżeli teraz czyta się raz po raz, że właściwie wszystko, co kiedykolwiek, gdziekolwiek odkryto lub wynaleziono, to tylko z łaski genjuszu jednego wybranego plemienia ludzkiego.

Co tu się łudzić i wytężać, kiedy i tak nic nie pomoże, bo zawsze i kulturę i cywilizację popierali, podpierali i popychali tylko jedni i ci sami. Żeby taki Europejczyk czy choćby yankes z drugiej strony Wielkiego Stawu od rana do nocy walił głową w ścianę swego laboratorjum czy obserwatorjum, to i tak próżno i darmo, bo wszystko, co najważniejsze i najjutrzejsze już poodnajdywali jedni i ci sami, mając na to niejako od Opatrzności monopol.

Świeżo i mocno ten dogmat, tę prawdę bezlitosną wydokumentował nam, pierwotniakom i symplistom, uczony Mateusz Mieses. *Lacciate speranza!* Zbądźcie wszystkich niezdrowych i niesmacznych ambicyjek mężowie, wywodzący się z ras wydziedziczonych. Co było wielkiego, wszystko jedni i ci sami. Pismo odkryli jako Fenicjanie, filozofję stoicką: Zenon, Chrześcijaństwo z Galilei, algebra Arabowie, chemja także Arabowie, panteizm Spinoza, intuitywizm Bergson, relatywizm Einstein, a wszystko inne a ważne w różnych gałęziach i dziedzinach wiedzy, no to wiadomo że Wasssermann, Ehrlich, pięciu niemieckich laureatów Nobla oraz akurat *ausgerechnet* ci wszyscy, którzy teraz w Niemczech dostali lub wzięli urlop, *miejmy serjo nadzieję* że krótkoterminowy czyli urlop z kontramarką.

Można sobie jednak *malgré tout* pozwolić na pewne najskromniejsze zastrzeżenia. Tylko trzeba nabrać odwagi cywilnej dla zamanifestowania niebywałej zuchwałości. No i trzeba mieć pod ręką kilka dzieł pomocniczych. Przyda się miesięcznik „Kosmos". Dobrze mieć wydawnictwa „Mathesis polska", wystarczy też świetna, pomnikowa „Encyklopedja" Trzaski i Lama, żeby móc zaoponować wywodom druzgocącym p. Miesesa i nieco się stawiać.

Owszem więc jest wielki Einstein, ale Edison i Marconi też jednak coś tam dla ludzkości zrobili, tylko się trzymali w cieniu i samotności, widocznie dziwaki i odludki.

W fizyce mówi się tam coś o Faradayu, Kirchhoffie, Maxwellu, Ruthefordzie, nawet o jego uczniu, Waltonie.

Do bakterjologji roszczą sobie jakieś pretensje Leeovenhock, Spallanzani, Semmelweiss, Carevel, Pasteur, Koch. Tu i owdzie obiły się o uszy nazwiska kilku embrjologów, a znowu w promieniotwórczości jakieś zasługi ma pono Bequerell. W radjotelegrafji nawet jakiś katolik Branly dużo się odznaczył, a znów w syntezie amoniaku to oprócz Habera są jeszcze inne metody Claud'a i Fansena. O Roentgenie to się jeszcze to i owo słyszało, ale nawet t. zw. inteligencja minimalnie coś wie o dorobku Mendela lub zgoła Mendelejewa, jak też zgoła znów nikomu nie wiadomy z miejsca pobytu Emil Roux, ten co dzieciom pierwszy surowicę dyfterytową zaszczepił. Niektórzy uparcie twierdzą, że oprócz astronoma Einsteina żyje dziś jeszcze z dwudziestu, ze trzydziestu astronomów równie ważkich i zasłużonych, tylko tak jakoś nie umiejących swojemi osobami zainteresować szerszego ogółu (van der Bos? Jeans? Finsen?). Nawet wśród niejakich Sarmatów znaleźćby się dało kilku ludzi o większej renomie w tem i owem. Wcale znane rodakom są zasługi Curié-Skłodowskiej, natomiast nieco obco, obojętnie czy tajemniczo brzmią nazwiska: Wróblewski, Smoluchowski, Olszewski, Danysz...

W ostatnich już czasach wyskoczyło na jaw i błysnęło jak kometa nazwisko: Łukasiewicz. Przypomniano go sobie. Był nawet obchód i miał stanąć pomnik. Wizerunek starszego pana z brodą z przed lat 50 przeszedł przez wszystkie pisma obrazkowe, jakoże on pierwszy zastosował naftę, olej skalny do lamp, do oświetlenia. I już się pospolity rodak Łukasiewicza cieszył, że to jednak Polak, a taki praktyczny i mądry. Tymczasem, nie upłynęło wiele wody w głowach rodaków, a wychodzi na jaw, że to nie Łukasiewicz. Dobrze, że choć monument nie stanął, boby była kompromitacja. Co się bowiem wydało?

Oto korespondent „Naszego Przeglądu" z miasta Drohobycza występuje z rewelacjami, że to nie żaden Łukasiewicz, lecz po prostu niejaki Schreiner, od dziś wielki Schreiner. Jemu przypada zasługa. On wynalazł.

Oto rewelacja, rzucająca jasny snop światła na tę ciemną sprawę:

„Drohobycz wzrastał, ale miastem miljonerów, siedzibą Fortuny stał się dopiero w drugiej połowie ubiegłego wieku, gdy genjalny aptekarz „ojciec" Łukasiewicz odkrył cenne właściwości oleju skalnego. *Odkrył ponownie.* Zdawien dawna wszak było wiadomo, że olej skalny pali się jasnym płomieniem. Stary Drohobycz po dziś dzień przechowuje w swych archiwach przywilej królewski, nadający jego mieszkańcom prawo oświetlania tym olejem domostw. I później zresztą jeszcze, w r. 1810, kontroler salin w Modryczu koło Truskawca, Józef Hecker, destylował olej skalny, a otrzymaną w ten sposób naftą oświetlał koszary w Samborze. Ale nawet wielkie wynalazki idą w zapomnienie. Przecież i proch i szkło i stal hartowną wynaleziono dwukrotnie. Naftę też odkryto *po raz drugi,* znowu na ziemiach polskich i od daty, od r. 1853, rozpoczyna się nowa historja Drohobycza. Nikłe są wprawdzie pamiątki tej „świeżej" przeszłości.

Przy mało ruchliwej, wiodącej w górę ulicy, pokazują mi ogrodzony skrawek ziemi. — To tutaj — słyszę. — Tu stała rafinerja *Schreinera*, żydka *„propinatora“*, który dostarczał Łukasiewiczowi próbkę oleju skalnego i później w wynalazku nafty pierwszy osiągnął korzyści“.

Tedy i o oleju (skalnym) prawda, jak oliwa, na wierzch wcześniej czy później wypływa. Nie żaden Łukasiewicz (aptekarz); ale propinator (Schreiner). Jeżeli komu wystawić pomnik godziłoby się, to tedy propinatorowi Schreinerowi. Byłby to pierwszy pomnik, postawiony na ziemiach polskich propinatorowi, czy po dzisiejszemu sprzedawcy monopolki. Ponieważ zaś pewien gatunek, pewna species homo sapiens rości sobie prawa do monopolu na wszystkie wynalazki i odkrycia, wszystkie zakony i systemy filozoficzne, społeczne, literackie, przeto ten pomnik propinatora miałby w sobie... coś symbolicznego.

Biedny papa Łukasiewicz! Jakże krótko trwała twoja chwała „aptekarzu“ z Drohobycza...

NIECO CYFEREK.

Mieszkania w Warszawie idą w cenie w górę. Szczególnie w śródmieściu (City) objawił się jakiś popyt na lokale droższe. Zdaje się, że stoi to w pewnym związku z informacjami wiedeńskiej „nowej“... „Neue Freie Presse“, jakoby liczba zbiegów z Niemiec do Polski już doszła do 17.000, podczas gdy rząd angielski (minister Simon) wyraźnie oświadczył w Izbie (13. IV.), że na 5.500 certyfikatów prawa wjazdu do Palestyny na półrocze kwiecień — październik polecił 1.100 (tysiąc sto) wydać dla uchodźców z Niemiec; te tysiąc sto świadectw imigracyjnych już będzie odciągniętych od ogólnej sumy pozwoleń, zaczem z innych krajów już mniej osób będzie mogło wyjechać do Palestyny. Nic dziwnego, że decyzja ta wywołała „wielkie rozczarowanie“ w kołach żydowskich, jest bowiem *quite english* i bardzo albiońska. Miał zatem tym razem rację dr. Thon, nie rozczulając się zbytnio paradą i pirotechniką humanitaryzmu angielskiego, po których nie przyszły czyny a tylko same: słowa, słowa, słowa.

Do Palestyny zatem liczącej 170 tysięcy — tysiąc, a do Polski, liczącej 3 miljony — 17.000.

Mieszkania zatem pójdą w górę i to nietylko w całej Polsce, ale głównie pewnie w Warszawie. Dość szybko zatem wypełniają się wróżby J. U. Niemcewicza. A już sto lat temu pisał w „Dzienniku Krajowym“ (nr. 225, rok 1831) nie kto inny jak Maurycy Mochnacki, co następuje:

„Stolica mieści w sobie bardzo różne elementy; mieszkańców jest 100.000, z tych 30.000, a zatem prawie trzecia część ogólnej ludności, nietylko niepotrzebna w obecnych okolicznościach ale nawet z wielu miar szkodliwa“.

Teraz zaś w sto trzy lata po Mochnackim pisze sympatycznie-zadzierzysty bajkopisarz Benedykt Hertz w sanacyjnym „Kurjerze Wileńskim“ ni mniej, ni więcej, tylko co następuje:

„Masa firm, których szyldy widywało się dawniej tylko na Nalewkach, przeprowadziła się na Marszałkowską; nie brak tu nawet jadłodajni koszernych. Plac Teatralny, Wierzbowa, a nawet Nowy Świat bywa terenem tłumnych szabasowych spacerów. Na Żórawiej, Hożej, Nowogrodzkiej i t. p., zamieszkałych do niedawna tylko przez inteligencję polską, coraz więcej kamienic przechodzi w ręce żydowskie, a jednocześnie i tu zaczyna rozlegać się szwargot handlowy.

I co na to polska Warwszawa?...

Przenosi się na Mokotów, na Ochotę, na Żolibórz, hen aż na Marymont... ba! tworzy osiedla i miasta-ogrody wzdłuż okolicznych torów kolejowych“.

W również zaś sanacyjnej chyba „Gazecie Polskiej“ w uwagach i rozmyślaniach analitycznych i po drugim spisie ludnościowym, znany rzeczoznawca eugeniki i statystyki ludnościowej, dr. Mich. Wernic, pisał na temat składu ludnościowego w stolicy Polski, co następuje:

„W ankiecie spisowej 833.500 osób podało język polski, jako ojczysty, język niepolski 345.414 osób. Pierwsza grupa stanowi tedy 70,7 proc., druga — 29,3 proc. W roku 1921 zastosowane było inne kryterjum podziału: deklaracja przynależności narodowej. 679.690 osób przyznało się wówczas do narodowości polskiej, 259.023 do innej. Ludności niepolskiej było wówczas 27,7 proc. Jeżeli obecny podział językowy przyjąć za odpowiednik narodowościowego, okaże się, że ludność niepolska wzrosła w stosunku do rdzennej o 1,6 proc.“.

Między jednym spisem ludności (r. 1921), a drugim (r. 1931) wzrosła tedy ludność niepolska o 1,6 proc. Jakżeż dopiero wzrośnie, gdy napłyną nowe elementy, wedle słów Mochnackiego, nietylko niepotrzebne, ale z „wielu miar“ szkodliwe?

No, a na to się zanosi. Dziś już 29,3 proc. w Warszawie. A jak będzie jutro? Jeżeli bowiem 29,3 proc., to jednak już więcej, niż w największej skupinie światowej, t. j. w New-Jorku, gdzie wedle wyników badań dr. J. Mahlera z Columbia-University (przez „Nasz Przegląd“ zacytowanych), cyfra ludności żydowskiej w Greather New-Jork wynosi 27,7 proc. ogółu zaludnienia.

Bardzo... interesujące atoli jest, że ten sam objaw „przeprowadzania się“, który zaobserwował nasz B. Hertz z „Kurjera Wileńskiego“ regestruje także dr. J. Mahler z Columbia University:

„W okresie *ostatnich 15 lat* zaznaczył się *proces penetracji* ludności żydowskiej do wszystkich *dzielnic nowojorskich*. Podczas gdy w r. 1917 przeszło 50 proc. całej ludności żydowskiej skoncentrowanych było w dzielnicach wyłącznie żydowskich, *w r. 1932 dzielnice te były zamieszkane przez tylko 25 proc. ludności żydowskiej*. W r. 1917 liczba okręgów nowojorskich, w których odsetek żydów nie dosięgał 5 wynosiła 40, w r. 1932 liczba ta spadła do 8. Odsetek żydów w Nowym Jorku pozostał w okresie ostatnich 15 lat prawie że niezmieniony".

Różnica tedy jest tylko w tem, że w N. Jorku odsetek pozostał w okresie lat 15 prawie że niezmieniony, a u nas odsetek się zmienił, to jest zwiększył.

Dla statystyków jeszcze interesujący byłby ten szczegół, że, kiedy w r. 1800 w siedmiu wówczas wielkich miastach świata (Londyn, Paryż, Berlin, Wiedeń, Moskwa, New Jork, Warszawa) cyfra izraelitów w sumie ogólnej wynosiła 15.000 (piętnaście), to w roku 1927 ta cyfra z siedmiu miast wynosi w sumie 3 miljony, t. j. 20 proc. całej ilości izraelitów na globie. Jeżeli chodzi o Berlin, to ten w r. 1780 liczył 3.400, a obecnie w kwietniu r. 1933 doszedł do, wedle Prusaków (Hackenkreuzlerów) horendalnej liczby 173.000, to jest omal, omal do połowy tego, co liczy stolica Polski.

Ważne cyfry byłyby jeszcze: ilość imigracyjnej ludności, która w przeciągu 10 lat wynosi 172.256, to jest 19 proc. ludności. Są szanse, że teraz ten procent wzrośnie...

Ważna jeszcze jest gęstość zaludnienia w stolicy. Otóż Warszawa liczy sobie 125 klm. kw. W r. 1910 na jednym kilometrze kw. siedziało sobie 7.493 osób (i ułamek); dwa lata temu na jednym klm. kw. już było znacznie więcej bo 9.425 mieszkańców (i ułamek).

Obecnie gęstość zaludnienia na 1 klm. znów się zmniejsza. Następuje bowiem przegrupowanie w tym właśnie charakterze, który zaobserwował B. Hertz, to jest odpływ — „przenoszenie się" jak mówi Hertz — polskiej Warszawy na Mokotów, Marymont, Żoliborz i na Ochotę (skoro ma taką ochotę), do osiedli, do ogrodów... Równomiernie idzie „penetracja" (termin Mahlera) w śródmieściu, w City... w serce stolicy. Groźne!!!

MORDY W ZIEMI ŚWIĘTEJ.

„Oczy całego świata skierowane były na Yankee-Stadion", (tak pisał „Nasz Przegląd") tego dnia 8 czerwca, kiedy kanadyjski bokser żydowski Max Baer pobił przypadkowo niemieckiego pięściarza Maxa Schmelinga. Ryk przeraźliwej radości, triumfu i zadowolonej zemsty rozległ się po całym globie. Stracili kompletnie resztki przytomności i wypisywali tasiemcowe hymny.

W tydzień potem sprali Machabuchaja gdzieindziej. Nadto musiał wypłacić niejakiej Olive Berck 21.430 dolarów tytułem odszkodowania za niedotrzymanie małżeństwa. A tymczasem twardy Schmelling powiódł do ołtarza znane z urody dziewczę filmowe Anny Ondra. Ale co się przez ten czas napletli i z czem się wygadali, to już zostało. Okazało się, że „jedyny" naród teokratyczny i monoteistyczny, naród proroków i mędrców żywi obecnie dziki, obłędny kult przemocy fizycznej, siły muskułów, gwałtu, pięści opancerzonej, lub gołej pięści, kułaka.

Manifestuje to na każdym kroku i codzień. Objawy i przejawy bywają rozmaite. Delikatny intelektualista, clerk Pierroth wpada w ekstazę, że jest już okręt żydowski, a na nim flaga syjonistyczna niebiesko-biała, a dowódca załogi marynarskiej żyd rosyjski Eleazar Chodorow; równocześnie w mało polskiem, a wiele żydowskiem Drohobyczu mniejszość tamtejsza zbiera pieniądze na pancernik (sic) syjoński pod wezwaniem „Odpowiedź Hitlerowi".

W Warszawie co jakiś czas wybuchają kompletne bitwy między komunistami a rewizjonistami; najście na Gęsią 14 i bijatyka, bójka z czterema rannymi na Mirowskim Placu, napad na kupca Arje Wendla i poranienie kastetami; zatargi i walki terorystyczne tragarzy różnych przekonań, wlewania nafty do beczek ze... śledziami, napad adorantów cadyka Perłowa z Mińska Mazowieckiego na spokojną konferencję Agudasów (Graniczna 9). I tak dzień w dzień ciągle rozrachunki i bitwy, kastety, noże, pięści i poprostu Teksas za Żelazną Bramą. Dolewa oliwy do ognia domowej wojny partyjnickiej osiedlenie się na stałe w Polsce pułkownika Włodzimierza Żabotyńskija, tego samego, który swego czasu przed wojną tak zajadle a tak niepotrzebnie judził w „Odeskim Listoku" i innych brukowcach liberalnych carskie gubernatorskie władze, i „postępową" opinję publiczną przeciw buntującym się i domagającym „bezczelnie" awtonomji Polaczyszkom.

Dziś tenże sam jegomość gości sobie też nieco bezczelnie na polskiej ziemi. Nie tylko gości, ale organizuje swoje przysposobienie wojskowe, swoje legjony i lejbgwardję Machabejską, któraby w razie jakiegokolwiek „niebezpieczeństwa" pouczyła rozumu rozzuchwalonych tubylców Lachów, w razie czego zaś załadowana na okręty syjońskie (którymi dowodzi kontr-admirał Chodorow) także i Fellachów uprzątnęła z tego męczącego padołu. Colonel Żabotyńskij jeździ w Polsce od miasta do miasteczka, odbiera defilady i bierze udział w „manewrach" jako jakiś głównowierch czy też „der oberste Kriegsherr". Tępakowate i zdumiałe Le-

chity czy Lichoty obserwują sobie na dworcach kolejowych, jak pułkownik Żabotinskij przechodzi przed frontem kompanji honorowej. Gdzieniegdzie kapele dzielnych chaluców, już oswajających się z bronią palną, grają pieśni i marsze Hegrajów, gdzieniegdzie *ad captandam benevolentiam* dodając znaną pieśń legjonową. Nie tak dawno udało się takie „Święto Makabów" czy też Dzień Żabotypów w kieleckiem, w Kielcach, gdzie ich jest kompletna dywizja, bo przeszło 30.000. Mniej natomiast powiodło się w Lublinie (gdzie też już jest omal korpus Hitlerowców Syjońskich), ale gdzie tuż przed przyjazdem przyszłego cadyktatora doszło do gwałtownego starcia między rewolucjonistami czerwonymi a rewolucjonistami niebiesko-białymi, przyczem tak pokiereszowano się nożami, że rannych odwiozły karetki.

Poważną atoli już katastrofą tragiczną i to w Palestynie, skończyła się faza „przygotowań" syjońskich do nowego światowego Kongresu. Na tej Chrześcijańskiej Ziemi Świętej, a pamiątkowej ziemi Izraelitów i Mahometan, są od jakiegoś czasu mordy i skrytobójstwa na porządku dziennym. Nie upływa kwartał bez jakiejś wstrząsającej zbrodni, rzezi, pogromu, spalenia lasu (Balfour), zniszczenia plantacyj pomarańczowych. W dawniej patrjarchalnej nieco opuszczonej *„Arabia deserta"*, zbyt forsownie przefasonowanej wedle amerykańskich wzorów na jakieś zagłębie z nowymi Sosnowiecami i nowymi Będzinami, miniaturami Dnieprostrojów i karykaturami Palm-Beachów, w tej już bzikowato i obłędnie reklamowanej Nowej Kalifornji, dzieją się teraz co czas jakieś fakty z kroniki Chicagoskiej. Rząd mandatowy to toleruje, byle mieć jaki taki święty spokój i wolne ręce, a Arabowie przechodzą gehenny, po których musi przyjść straszliwy Sądny Dzień (Jom Kipur).

Teraz znów zamordowano tam działacza i polityka żydowsko-syjonistycznego, całkiem poważnie i szczerze zasługującego na szacunek i poważanie i Żydów i Arabów i Chrześcijan. Jako milczący i spokojny realista polityczny starał się iść linją ugody między trzema zwalczającemi się siłami i jako taki, w tym charakterze zawadzał rozszalałym megalomanom i makabojcom. Obłąkańczy, szpitalny, kliniczny szowinizm odbiera Żabotypom resztki zdrowego sensu. Podejrzany o skrytobójstwo jest młody żydziak z Polski „obywatel polski" niejaki Abraham Stawski, świeżo z Warszawy przybyły, z którego jedni fanatycy chcieli zrobić komunistę, a którego drudzy fanatycy piętnują jako ślepe narzędzie faszyzmu czy hitleryzmu syjońskiego. Równocześnie aresztowano jakiegoś Samuela Ben Mordechaja, komunistę notorycznego, acz-kolwiek wdowa po zmarłym, rozpoznawszy skrytobójcę, upiera się przy Stawskim. Sprawa wogóle jest tajemnicza i zagmatwana, przeciążona kłamstwami, wykrętami, szachrajstwami, jak zwykle,

gdy jakiekolwiek władze na kuli ziemskiej mają do czynienia z przestępcami z dobranego narodu.

Pułkownik Żabotinskij wydał orędzie do swojej cywilnej armji, utrzymane w tonie ostrym i aroganckim. Istinny cadyktator!...

Szeregowiec Stawski jest niewinny! Wospreszczajetsia na ten temat dysputować! Arlosorowa (insynuuje między wierszami oceski geroj) zabili najprawdopodobniej Fell-lachowie! Tam szukajcie winowajcy! Nie w Brith-Trumpeldor! nie wśród moich ludzi! Abraham Stawski jest Tabu i rewizjonizm jest Tabu!

Przy tej okazji „führer" (gość z Odesy) daje też nauczkę wsiem! wsiem! wsiem!, którą warto całemu żydostwu polskiemu pod nos do wąchania podsunąć.

„Dowiedziona wina nawet jednostki nie może być wyzyskana za dowód winy całej spólnoty, do której winowajca należał"...

...Potępiamy rzucanie odpowiedzialności na jakąkolwiek grupę za dokonanie tego czynu"... „Najpodlejsza to... najbardziej godna potępienia postawa walki politycznej"...

...„Niedość tego, ludzie ci atakujący cały wielki ruch, liczący dziesiątki tysięcy członków i dziesięćkroć więcej sympatyków, i oskarżają go o moralny współudział w ohydnej zbrodni. A czynią to jawnie, wyraźnie i niegodnie, w celu uprawiania vendetty partyjnej i spekulacji wyborczej"...

I gaspadin Żabotinskij rzuca tym, co zrzucają odpowiedzialność... na „grupę"... „zimną i gorzką pogardę".

Stracił pamięć czy co do licha? Zapomina olbrzymią akcję Antychrysta w Polsce kilka lat temu?... Czy też ma hotentocką miarę i moralność podwójną Cadyktator?

Niechno się opamięta!

OBNIŻYĆ STOPĘ!!!

„Prawdę mówił Maciej stary"..., a ślicznie mówił premjer ministrów. „Zerwać z życiem nad stan"... Konieczność niższej stopy życiowej!... dużo było wybujałości. Zacisnąć pasa i zacisnąć zęby! Oszczędzać i nie wydawać. Nie jest może świetnie, ale bywa byczo. Budżet znośny. Waluta przy waletach się trzyma. Lada chwila powrót do normalnych czasów. Prosperity. W walce z kryzysem szanse nasze nie gorsze, niż gdzieindziej:

„Przeciwnie, z całą stanowczością można stwierdzić, że szanse te są dla nas nawet lepsze, dlatego, że pomimo wielkiego nacisku na nas sytuacji ogólnej, pomimo ujemnego oddziaływania wydarzeń zagranicznych na nasze wewnętrzne położenie gospodarcze zdołaliśmy uchronić nasz aparat ekonomiczny przed dezor-

ganizacją i zapewnić sobie możność dalszej pracy nad stopniową poprawą sytuacji".

Wogóle diagnoza świetna. Z terapją jest trochę słabiej. W każdym razie atoli morał dla szerokich rzesz podatkowiczów streszcza się w zdaniu: niższa stopa życiowa.

Ale jak można teraz jeszcze obniżyć stopę życiową, skoro niedawno na ten przykład pisał zagraniczny turysta po Polsce, Robert de Traz w „Intrasigeancie" paryskim:

„Poziom egzystencji Polaka jest niższy od innych narodów europejskich. Małem się karmi i ubiera się byle jak. Nauczył się wytrzymałości i dalej robi z odwagą i cierpliwością. Gdy przybywa się do Warszawy to wie się, że się jest daleko od wspaniałego Zachodu. Magazyny biedne, piękne automobile rzadkie. Ludzie, których się spotyka, mają twarze blade, wyciągnięte. Czuje się wokoło siebie biedę. W niektórych okręgach miasta prawdziwa nędza. Rodziny całe żyją na kupce w piwnicach, dzieci widocznie nie odkarmione. Nikt prawie nie ma gotówki. Ale ten naród o pustym żołądku powtarza sobie: Polska jest odrodzona".

Jakżeż tedy naród o pustym żołądku i bladych twarzach może obniżyć stopę życiową? Czy w ten sposób, że ta stopa ma być nieobuta ale bosa, tak jak boso żywie i żyje w tym roku chłopstwo w różnych okolicach i połaciach kraju, o czem niejednokrotnie informował „Zielony Sztandar" Piastowski?

Obniżać stopę należy, można i godzi się, ale nie tyle na nizinach, ile u samych szczytów i... wichrów społeczeństwa. Tam wysoko nadal jeszcze na zbyt wysokiej stopie cały styl i fason bytowania i nieco rażące pańskości (noble Passionen) i dość lekkie szafowanie forsy na niepotrzebne luksusy, o czem lud, ludność, poddani to i owo wiedzą, reszty się dowiadują i na obrazkach i reprodukcjach to widzą i dobrze sobie pamiętają. Na ostatniej sesji sejmowej poruszyli ten drażliwy temat posłowie Dubois z P. P. S. i Hutten-Czapski, referent z B. B. W. R.

Nie tak to dawno czytało się w prasie swojskiej i cudzej, jak to obniżają stopę zagranicą, ale od góry, u góry. O kanclerzu austrjackim, zmarłym ks. Seiplu, broszurka maleńka wyszła Wernera Tharmana. Wzorem skromności człowiek ten był, tramwajami po Wiedniu, a do Genewy w r. 1922 często ale zawsze drugą klasą skromniutko, jak przystało na te ciężkie czasy (1922!). Albo na ten przykład wicekrólem Irlandji, namiestnikiem mianowany świeżo Donald Buckley. Odrazu stopę życiową obniżył. Wspaniałej rezydencji w słynnym Fenix Parku w Dublinie się zrzekł, na Akademję Nauk pałac przeznaczył, cały dwór cywilny i adjutanturę zlikwidował, w domeczku trzechpokojowym zamieszkał, skromnym Fordzikiem Irlandję objeżdża, w prasie angielskiej szeroko o tem piszą.

Ot i przykład obniżenia stopy życiowej z góry.

Albo znowu niejaki Raymond Poincaré. Kilka razy prezydentem i premjerem bywał, dość znana osobistość ale z adwokatury już żyć nie może, więc mu emeryturę skromną uchwalili, to się aż rozpłakał, gdy do niego z tą nowiną osobiście przyszli.

Bardzo a bardzo też obniżył swoją stopę życiową niejaki Hindenburg von Benkendorf, obecnie prezydent, dawniej Feldmarschall, no ale dwoma samochodami się kontentuje, a fundusze: reprezentacyjny i dyspozycyjny, bardzo też skromniutkie, ot takie, jak u nas były w r. 1925, o 50 proc. niższe od dzisiejszych.

Zdaje się są punkty, na którychby u nas można jeszcze obniżyć stopę życiową. Czy nie należałoby obniżyć stopy życiowej Szofera Prezydjum Rady Ministrów, który wedle posła Hutten Czapskiego ma uposażenie 625 złotych? Budżet zredukowano wedle posła Dubois o 8 proc. w stosunku do 1930-3 a budżet Prezydenta Rzeczypospolitej o 3 proc. I t. d. i t. d.

Szeroko i długo opowiadano sobie o ostatnim bankiecie w Genewie na tysiąc (?) osób, przypominającym uczty cesarza Augusta, na którym boski Artur odegrał „Pieśń Łabędzią" Rubinsteina, a po którym nastąpił odjazd do dziedzicznego majątku rodzinnego (Rittergut) w Wielkopolsce, który tam oceniają sąsiedzi na 100.000 dolarów.

Warszawskie pałace Banku Gospodarstwa Krajowego i Polskiej P. K. O., marmurami i bronzami zdobne, wykażą też potomności, że się ekspensowało na zbyt szeroką stopę, podczas, gdy nędza szalała w kraju jak grypa a w kasach było więcej waty, jak złota i więcej miedzi brząkającej, jak srebra.

Stanowczo zaś znowuż ci, co nie potrzebują z konieczności obniżać raptownie stopy życiowej (aparatczyki, solenizanty, walety i ministranty), nie powinny tej szerokiej stopy zbyt demonstrować ad oculos plebis (plebs contribuens) czyli coram publico. Miano swego czasu za złe „czerwonym carom" Kremla, że zbyt szampanowali w restauracjach hotelów moskiewskich. Bawić się oczywiście i można i trzeba. Potańczyć toże, czy to w Adrji czy w Oazie, czy w Leśnej Podkowie. Owszem. Nikt przeciw temu nic nie powie. Zależy gdzie, z kim... przy czem i po czem...

Ale żeby naprzykład po uroczystej akademji i to żałobnej i tragicznej, zaraz omal wszyscy, omal w komplecie, omal wszyscy, omal, in gremio dawali sobie rendez-vous w dancingu i Elita obsiadła wszystkie stoliki teraz, tak, jak ongiś cztery, pięć lat temu „za dobrych czasów" no to, no to, no to stanowczo jest tego... no nictakt, „mauvais genre". Można już sobie było obrać wieczór inny! Stanowczo inny.

Najstosowniej zaś byłoby znacznie dyskretniej, w zamkniętych kółkach, w klubie na Foksalu a nie w publicznych lokalach.

Może premier jest istotnie „Purytanin“, jak go nazywają Adrianie i Oazowcy.

Rację atoli ma, gdy słysząc znowu o antipurytaniźmie „aparatczyków“, w swojem sejmowem kazaniu napomina do zniżenia stopy życiowej...“ najpierw oczywiście Elitę a potem gawiedź.

CIRCENSES STOP!

O profuzji obchodów i pochodów, świąt i rocznic, parad i defilad, otwarć i zamknęć, akademij i kakademij, przecinania wstęg i odsłaniania popiersników pisało się już nieraz i nie dwa, a sto razy. Zadużo tego, zaczęsto, zagęsto a za tandetnie, za licho, coraz gorzej i coraz nudniej.

Ludziska wynędzniałe, czyli rodaki, tak się już zblazowały temi widowiskami, że kiedy po całym sezonie Święta Matek i Święta Morza, Święta Dziecek i Święta Zwierząt Domowych, festivalów i maratonów, rocznicy 140 pogromu Moskali i 220-tego Batorego, przyjdzie potem jakaś istotnie, już przy lekturze gazet dreszczem wzruszenia przejmująca rewja nad rewjami, to Polaki, co to naocznie widziały, wruszają ramionami, kpinkują, wywlekają tylko błędy reżyserskie i definiują: „Zadługie i zanudne“.

Najstanowczej ze wszystkich „stanowczo“ i obchodów, i pochodów, i akademij, i defilad jest zadużo! Gdyby było o 60 procent mniej, byłoby akuratnie.

Z okazji wyreparowania dwóch dziur w moście na rzece D...ie (jest taka!), zaraz zjeżdża wojewoda z fraucymerem. Kolcje państwowe już nic właściwie nie robią, tylko przenoszą i przewożą obchodowiczów i mocarników z jednego miejsca na drugie. I to półgratis.

Z okazji nadchodzącego dwulecia Przedniej Straży Ligi Mocarstwowej zapowiada się iluminacja wszystkich zamków i banków. Przebąkują też już coś o Święcie Noworodka oraz o rocznicach bitw pod Parkanami i pod Worsklą. Dwóch starostów wystąpiło z projektem wzniesienia pomnika Mierosławskiemu. Dwóch zagorzałych nowych patrjotów (wyznania M.) proponują obelisk „kuczci“ Berka pod Kockiem.

Prawdę mówiąc, dotychczas jeszcze nie było rocznicy Pustowójtówny (adjutant Langiewicza, rodacy!). No, a dzielny Wojciech Kossak też gotów każdej chwili do większej panoramy p. t. „Cud nad Wieprzem“.

Prasa atoli twierdzi teraz jednak że i obchodów i parad jest stanowczo zadużo. Dawniej ośmielała się o tem przebąkiwać tylko opozycyjna. Teraz sanacyjna wali już przez otwarte wrota na całego.

Czerwony „Express‘ (nr. 196) w artykule „Niedorajdy na czele imprez“ — pisze:

„Słusznie zastanawiać się zaczęto nad genezą marności, drętwego smutku i... brutalności naszych t. zw. „świąt i obchodów narodowo - społecznych“... Zastanówmy się, czy rzeczywiście w Polsce jest tak mało ludzi z głową, gdy chodzi o pracę, którą trzeba improwizować, czy też ci ludzie są, ale ich się unika, jak zarazy“.

I tak dalej w podobnie ostrym stylu, o tych obchodach urzędowych, które są „poprostu straszne rozdzierające nudą, pustką, mrozem, nieszczerością...“.

Tygodnik sanacyjny „Epoka“ (nr. 33) w artykule „Świętomanja“, pisze:

„Spadł na nas prawdziwy huragan najrozmaitszych świąt, uroczystości, rocznic... Mają one swój zgóry ustalony, oficjalny rytuał... Cała Polska obchodzi jakieś nieustające święto, związane z najróżnorodniejszymi tematami i rozłożone na najrozmaitsze miejscowości. Uwzięto się świętować w sposób wystawny i kosztowny, aby płaszczem uroczystości przykryć nędzę i pustkę szarego dnia...“.

I tak dalej i w tym podobnie ostrym stylu o „biurokratycznej fabrykacji szablonów - świąt“, o „inwencji najmniej organicznej“, o „produkowaniu blichtru“ i t. p.

Z drugiego brzegu konserwatywne „Słowo“ (10 czerwca) wywala artykuł „Podatek obchodowy“, w którym grzmi już bez ceremonji:

„Jest jednak jeden straszliwy podatek, którego zabójcze działanie nie odrazu zlikwidują nawet „lata tłuste“. Jest to podatek, który dobrowolnie nałożyliśmy na nasze uczucia patrjotyczne i obywatelskie, zabijając i marnując każdy żywszy odruch zapomocą rujnującej daniny w postaci obchodów, akademij, okolicznościowych przemówień i publikacyj...“.

I tak dalej i w tym podobnie ostrym stylu o „niesamowitej ilości rocznic i jubileuszów“, o „marnowaniu nieproduktywnem czasu“, o „uświetnianiu swemi osobami posiedzień, zebrań, akademij i innych ponurych w swym zakłamanym entuzjaźmie imprez uroczystościowych“.

Tych głosów prasy pokornie przedłożyć Zwierzchności możnaby jeszcze więcej, ale to wystarczy. Mniej dożynków panowie, a więcej uczynków! Mniej uroczystości, a więcej troskliwości! Mniej festivalów i festynów i mniej kretynów wypindrzonych, wygłupiających się na estradach.

Defilady też przyjmować powinien tylko jeden, a nie lada Ladaco woziwoda pacanowski. Odprowadzek na kolej i przyprowadzek też możnaby mniej. Za wielka przepaść między blaskami

i ogniami świętalnych hec i szopek a nedzą i bryndzą majową dnia codziennego. Zaczęste galówki, zamało gotówki.

Gawiedź spędzana wygapia się na akselbantów i aparatczyków ale potem klnie, że niech ręka boska broni.

Frak trzeba wdziewać na koszulę czystą, dzienną i wyprasowaną, nie zaś na nocną, brudną i dziurawą. W tem rzecz...

AUTOSTRADA PUŁASKIEGO.

Jeszcze jednego uczczenia swych zasług i swej pamięci „doczekał się“ znowu nasz konfederata Barski, swego czasu wplątany w spisek, skierowany przeciw ostatniemu królowi polskiemu. Musiał przez to porwanie się na „Majestat Rzeczypospolitej“ (porwanie i wywiezienie króla z Warszawy) nawet emigrować i uciekać z kraju, ale to mu jedynie na dobre wyszło, jak to często bywa. Odznaczył się za to potem na drugiej półkuli, zyskując sławę nieśmiertelną. Nadokuczali mu i tam, nadokuczali także, ale jednak po 150 latach pomniki, obchody, a wreszcie teraz ta autostrada: gen. Pulaski - Way.

Otwarto ją jesienią roku 1933. Łączy miasto New Yersey z miastem New - Warkiem. Jest prawie cała „w powietrzu“, żelbetonowa, na olbrzymich żelbetonowych, kilkupiętrowych słupach. Mosty nad rzekami ma ze stali. Szerokość na osiem mijających się samochodów. Kosztowało to drogo cokolwiek wyżej 20 milj. dolarów, a jest pono arcydziełem techniki.

Wogóle dużo dróg buduje się wszędzie na tym świecie bożym z wyjątkiem tylko pewnej... jednej, jedynej krainy.

W takiej Anglji wykończono teraz na ten przykład szosę łączącą Manchester z Liverpoolem na przestrzeni 42 klm. przy 12 metrowej szerokości. Budowano ją lat siedem, a kosztowało 3 miljony funtów (tanio). Chodziło o to, aby połączyć ośrodki przemysłowe z morzem. Przy budowie tej autostrady musiano wykupywać duże tereny gruntów, umiano zburzyć prawie 140 domów, postawić nowych 70 dla eskmitowanych mieszkańców, zużyto 2 miljony cegieł, 80 tysięcy tonn cementu, 4.000 tonn stali, 300 tysięcy tonn betonu i t. p. Nie szczędzono jednakże kosztów i trudów, gdyż każda nowa droga i państwu i gospodarstwu wszędzie i zawsze się opłaci.

We Francji w lipcu otwarto uroczyście nową autostradę łączącą Golf Juan nad morzem Śródziemnem z Grenoblą poprzez Cannes, przez dolinę Rodanu, wąwozy alpejskie aż do Grenobli. Droga nosi nazwę urzędową „Route Napoléon“, ponieważ tamtędy 117 lat temu uciekłszy z Elby szedł Napoleon wylądowawszy w Golf Juan.

W Sowietach rozpoczęto przygotowawcze prace do budowy olbrzymiej autostrady łączącej Moskwę z Niżnim Nowogrodem. Tu długość tej „szosy“ będzie wynosiła 414 kilometrów (czterysta czternaście), a szerokość 150 m. Autostrada ta najdłuższa na świecie ma być podzielona na 12 równoległych torów, z których cztery dla samochodów osobowych, dwa dla ciężarowych, 4 dla pieszych wędrowców; powyżej i poniżej autostrady tory kolejowe.

W Italji ze sprawozdania za lat dziesięć rządów Mussoliniego w tej dziedzinie dowiadujemy się że do r. 1933 wybudowano:

11.000 tysięcy izb szkolnych, 200 gmachów użyteczności publicznej, 3.950 klm, kw. ugorów i nieużytków zmieniono na ziemię rolną, uregulowano 750 klm. rzek niespławnych, sieć wodociągową powiększono o 2.193 klm., nowych linij kolejowych 517 klm., nowych szos i dróg wybudowano 900 klm.

Ale nie spoczęto na laurach. Już w tym roku otwarto słynną nową autostradę wenecką, łączącą ląd z królową mórz. Teraz zaś budują nową „szosę“ łączącą Medjolan z Turynem. Wynosić będzie długości 126 kilometrów, przy 20 metrach szerokości. Wiaduktów 84, 72 tuneli, a 39 mostów!! Tak! To są roboty na wielką skalę! W dziesięć lat faszyzmu wydano na meljorację, budowy i drogi 31 miljonów funtów szterlingów w złocie a nowy program robót publicznych obliczony jest na 3 miljardy dolarów.

Tak jest we Włoszech. Opłaci się tam obywatelom faszystowskiego państwa nawet zrzec się nieco wolności osobistych, jeżeli w erze dyktatury rezultaty „rozbudowy“ są tak imponujące i dla swoich i dla obcych.

Nawet w Hiszpanji, nawet za dyktatury takiego Primo de Rivery (niby to niedołęgi i pijaczyny), jednak kraj górzysty, skalisty, gdzieniegdzie pustynny poprawił się pod względem dróg i gościńców w skali niebywałej. Stwierdza to nie bez melancholji w swoim pięknym opisie podróży po nowej Hiszpanji poeta Wierzyński. Oto co pisze o drogach w tej zaniedbanej, „klerykalnej“, „reakcyjnej“ krainie Cyda i Carmeny:

„Minęliśmy już pustkowia, leżące między Madrytem a Escorialem, wspinamy się serpentynami na przełęcze Guadarramy. Podróż odsłania nam niewysłowienie piękną panoramę i odbywa się po drogach, które słusznie uchodzą za dumę całego kraju. Są asfaltowe, betonowe lub z kostki granitowej, bardzo szerokie i doskonale utrzymane. Przy szosach, jak u nas przy kolejach, mieszkają dróżnicy; co kilka kilometrów stoi murowany dom, straż szosy i pogotowie reparacyjne, peones camineros. Na budynku umieszczone są napisy o kierunku drogi i obliczenia odległości — wszystko bezbłędne, wyraźne i jednolite, tak że odczytać można przy największej szybkości, a zbłądzić lub pomylić się niesposób. Szosy

budowane są możliwie najprościej, według zasad autostrady; niektóre przypominają legendarny sztrych Mikołaja I przez mapę, gdy omawiano z nim plan linji kolejowej z Petersburga do Moskwy. W podobny sposób jedzie się z Madrytu do Andaluzji, do Katalonji, do Burgos i do Walencji".

Poczem zaznacza Wierzyński, że te autostrady mają podkład nietylko „betonowy", ale i „polityczny", gdyż główna ich sieć powstała za dyktatury Primo de Rivery, który je budował z funduszów sześciomiljardowej pożyczki wewnętrznej.

W Niemczech kanclerz Hitler w swojej mowie majowej (na polach Tempelhof) po rewji wojskowej zapowiedział podjęcie robót drogowych na sumy miljardowe (5 miljardów) oraz naprawę całej niemieckiej sieci drogowej, wynoszącej 250.000 klm. Na początek oszacowano koszt robót na 800 miljonów marek (1.700 miljonów złotych), przyczem do prac wciągnięci będą przeważnie bezrobotni.

Tak mniej więcej przedstawiają się te sprawy na Zachodzie, na Wschodzie, na Południu przy nowych rządach, o których się tyle złego i ujemnego mówiło, pisało, drukowało i drukuje nadal.

Jak teraz te sprawy przedstawiają się u nas, w krainie mlekiem i miodem płynącej pod błogosławionymi rządami zespołu, a raczej kompletu mężów opatrznościowych, w każdym calu natchnionych, genjalnych, bezkonkurencyjnych, którzy dość się wzajem nachwalić, dość się nacieszyć sobą nie mogą?... Jak przedstawia się jeżeli już nie uregulowanie rzek, to przynajmniej nasz drogostan, robudowa sieci szosowej, nasze nowe autostrady i stan dawnych... autostrad? Czy zbliżamy się do Europy pod tym względem? Czy dokonaliśmy w części, w cząstce coś z tego, co się dokonało za Primo de Rivery w Hiszpanji? Przecież tak sobie teraz tam u nas w górnych sferach rządowych kadzą wszyscy, jedni drugim, że chyba i pod tym względem możemy się pochlubić sanacją naszego drogostanu?

Odpowiedź na to pytanie wypadnie smętnie.

Drogostan w Polsce gorszy jest niż w Indjach, niż w Transwaalu, niż w Boliwji, niż w Macedonji, niż na wyspie Haiti.

„Wydatki naszego Funduszu Drogowego wynoszą ogółem 27.2 milj., z czego 20.5 przeznaczone są na raty i procenty od pożyczek oraz na spłatę zobowiązań z poprzednich okresów i 1.2 milj. na wydatki ogólne".

Gorzej więc niż w Bułgarji, w Persji, w Ekwadorze...

Na drogi i mosty w mocarstwie pozostaje więc zaledwie 5.5 milj. zł.

W porównaniu z takimi Włochami są to grosze wdowie, są to cyfry żebracze, mikroskopijne, niedostrzegalne.

W tych warunkach cała działalność, energja, inicjatywa, przedsiębiorczość, ruchliwość stołecznego *„Touring-Clubu"* wygląda na miotanie się muszki uwikłanej w sieci pajęczej. O żadnych cudzoziemcach, turystach, wycieczkach, Coockach, ściąganiu Anglików i t. p. nie może być mowy, ani wogóle marzenia! Stan polskich dróg nie jest opłakany, ale jest haniebny, katastrofalny, potworny, beznadziejny. Nietylko od lat 15 nic się nie poprawiło, ale wszystko pogorszyło do ostatecznej niemożliwości. W zestawieniu z trasami belgijskiemi, holenderskiemi, skandynawskiemi, szwajcarskiemi, nasze „trasy" prezentują się jako zabytki z pierwszych wieków chrześcijaństwa, jeżeli nie z czasów człowieka z Neander-Thalu.

Sprowadzanie jakichś wycieczek kolarzy do takiego kraju, przy tych warunkach i możliwościach komunikacyjnych jest to świadome narażanie ich na niechybne kalectwo i łamanie gnatów i kości, w najlepszym razie na męki piekielne. Albanja, względnie Honduras przedstawiają dla motocyklistów większe bezpieczeństwo, a Korsyka czy Estramadura stają się wprost El-Doradem. Czescy motocykliści, których *„Touring Club"* nicbacznie zwabił do Polski, skatowani i wymęczeni, mówili wyraźnie (rumieniąc się po białka od oczu za braci Słowian):

— Serca macie złote, ale drogi! drogi!

I chcieli kończyć zdanie: „pod psem!", ale mówili: „liche"...

Jeśli nie przyjdzie jakieś opamiętanie, jakieś *„lucidum intervallum"* w sferach rządowych, to za pięć lat cały ruch na polskich drogach, szosach, gościńcach poprostu stanie, zamrze, a kilka tysięcy samojazdów i wozów ugrzęźnie i utonie w błocie i w wybojach.

Cała pociecha tylko w tem, że przynajmniej w Ameryce między New Yersey a New Warkiem istnieje autostrada imienia Pułaskiego. Za sto lat może będzie taka i u nas. Narazie nawet do Spały lub do Wilanowa bezpieczniej lecieć aeroplanem. I krócej.

RAZ O ŚWINIACH.

Dosłownie. Nie w przenośni, tylko całkiem zwyczajnie o świniach, o wieprzach, o maciorach, o żadnej, jak się to mówi w eleganckim świecie nierogaciźnie a wprost o świniach. Oczywiście pośrednio i o ludziach, ale raczej dla udowodnienia, jak ci ludzie mogą spaść umysłowo poniżej poziomu właśnie wzwyż wspomnianej nierogacizny. Temat będzie może nieco trefny, ale w każdym razie trafny, bo aktualny w najwyższym stopniu, okaże bowiem, jak dzisiaj dominującą rolę grają zwykłe świnie w politycznem i socjalnem życiu ludzkości.

Dawniej *in illo tempore* o tem się poprostu dłużej i szerzej ani pisnęło ani pisało, o czem się nie mówi przy stole. Zjada się, owszem, ale się nie mówi, bo poprostu nie wypada. Zamiast słowa: świństwo, używało się: *cochonnerie*. No i wogóle żaden temat do dyskusji, nawet dla publicystów a cóż dopiero dla dyplomatów. Świnie nie wchodziły w grę. To nie był problem dla dysput. A już kto miał na sobie frak lub smoking, dla takiego temat świński to był shocking. O gęsiach to tam jeszcze. Gęsi swego czasu uratowały Kapitol w Rzymie, więc jeszcze ujdzie. Ale świnie. W żadnem uratowaniu nie brały nigdy żadnego udziału, a ostatnio, kto wie, czy zamiast ratować... Kapitalizm, świnie różnego fasonu, i to skończone świnie, nie przyczynią się do zepchnięcia go z tarpejskiej skały...

Nie tak dawno, w lecie, świnie były tematem wszystkich dialogów dyplomatów i polityków we Wiedniu. W szykownem Wiedniu schodzili się od 11—20 lipca poważni, może nawet wytworni panowie, to w tym to w owym pałacu ministerjalnym i od rana do nocy nic tylko wciąż o świniach i świniach. Teraz w padzierniku znowu w Ameryce, w Waszyngtonie cała prasa pełna wstępnych artykułów o świniach, a w Białym Domu i w gabinetach miljonerów ciągle coś o świniach i świniach.

W Wiedniu Polacy pertraktowali o świnie z t. zw. Austrjakami. Chodziło o taki układ fu-turystyczny.

Przyszłość, czyli futurum w lipcu dla Austrji przedstawiało się fatalnie. Hitler zawiesił nad swoim Vaterlandem t. zw. „Tausendmarksperre". Paszport do kurortów austrjackich tysiąc marek. Wobec tego, że 70 proc. gości stanowiły typy i typice z Niemiec (98.000 sztuk w r. 1932), luksusowym hotelom w Gastein, w Ischl, w Baden-Powel-Baden i na „Semmel-ringu" groziło benkełe, temsamem budżet państwa był zachwiany, a niepodległość cała pod nowym znakiem zapytania. Wobec tego: „pomoc dajcie mi rodacy!" i na wszystkie strony propagandziarze rozesłani, a do Austrji zaproszonych 60 egzemplarzy reporterów, aby wyfetowani potem wysławiali co się wlezie „krasę" krajobrazu i higjenę w „ubikacjach".

Polsce zaproponowano coś specjalnego: za każdego przysłanego gościa hotelowego Austrja obiecuje brać także pięć świń, przyczem świnie muszą być zdrowe jak rydz i zweterynarzowane. Polska zobowiązuje się dostarczyć 15.000 meżczyzn i kobiet, paszporty ulgowe i różne ułatwienia drobne. Nadto będzie z Wiednie brała różne maszynki, aparaciki, konfekcje i t. p.

Debaty szły przez kilka dni. Sporne kwestje uzgadniano galopem. Wszystkie dezyderaty wzajemnie sobie uwzględniano. I już miano przystąpić do parafinowania czy parafowania finalnego tekstu historycznego układu, kiedy sprawa nagle okazała się, „na razie nie aktualną"... gdyż „zaistniały poważne trudności". Pożarli się, bo rozeszło się o tysiąc świń. Polscy delegaci domagali się tygodniowo do „Widnia" 3.000 świń, delegaci wiedeńscy (dr. Struvelpeter, prof. Strohsänger, hofrath Rzeszower) godzili się tylko na 1.000. A tymczasem już na pierwsze tanie pociągi „Frankopolu" zgłosiło się musowo pięć tysięcy tęskniących za swym Widniem lodomeryjskich skończonych... fetórystów i to właśnie takich, którzy mają rytualną dziedziczną awersję nie tyle do wszelkich świństw wogóle, ile do mięsa świńskiego w szczególe.

Z turystyką do Austrji okazała się tedy klapa. Badeorty i kurorty stały puste, hotelarze i knajpiarze wściekli, opozycyjna hydra podniosła łby do góry, niepodległość pod znakiem pytania, Austrja na Plattfuss i na Dolfuss znowu się chwieje. Oczywiście tyle tu zawiniły świnie, ile„ nie na wysokości zadania" stanęli ludzie. Ponieważ rzecz działa się w Austrji, przeto ta świńska afera pachnie także i operetką i kwalifikuje się raczej na kuplety i na komplety. Tu świnie wyszły jeszcze ze wszystkiego obronną ręką.

Gorzej w Ameryce. Tu na punkcie także świńskim rozeszli się ze sobą w poglądach dwaj bracia, za którymi stoją dwa światopoglądy: pro-Rooseveltowski i anti-trustmózgów. Informuje jedno z pism polsko-amerykańskich w telegramie z Waszyngtonu:

„Były gubernator Philip La Follette w mowie wygłoszonej tu na zebraniu miejscowych byznesistów wyraził zdanie wręcz przeciwne poglądom, — wypowiedzianym przez swego brata, senatora Roberta La Follette'a w Milwaukee. W toku swej mowy gubernator często „szpilkował" program odrodzenia przemysłowego, zaznaczając, że administracja stara się „oczarować naród nadzieją, że program ten wyprowadzi kraj z krytycznej sytuacji". Szczególnie gromił on praktykę niszczenia zboża, bawełny, *nierogacizny* i innych produktów farmerskich, podczas gdy miljonom doskwiera głód".

Istotnie! Niszczenie nierogacizny przybrało w Stanach Zjednoczonych formy zgoła obłędne. Aby podtrzymać ceny za wieprzowinę, aby ustabilizować ceny świń na benefis, na ratunek farmerów, wydano wyrok zagłady na wszystkie zbędne świnie w Stanach. Nie pardonować żadnej! zabijać cały nadmiar! Cała Ameryka obwieszona rozkazami: *Buy! Buy!* i równocześnie potworny bezlitosny u-bój świń w rzezalniach pracujących w dzień i w noc. Prosięta, ważące mniej niż 80 funtów *idą na wyrób nawozów sztucznych*. I tak tak trwa rzeź świńska już od połowy września, aż wreszcie w Chicago teraz akurat! podczas wystawy: „Postęp"! wybucha potworny, infernialny skandal, o którym pełno szczegółów w amerykańskiej prasie:

„*Chicago, Ill.* — Na śmietnisko w okolicy 170 ulicy, o 20 mil od centrum miast Chicago wyrzucono kilka miljonów funtów mięsa

z około 200.000 świń, które poszły na ubój w rzezalniach tutejszych w myśl federalnego programu pomocy dla farmerów na centralnym zachodzie".

Od farmerów zakupił rząd 4 miljony świń i 1 miljon macior. Koszt rządowego programu świńskiego: 55 milj. dolarów, na co podatek od wieprzowiny specjalny. Do zużytkowania (dla biednych) tylko szynki i boczki, reszta mięsa na... nawóz! Na składanie wyprodukowanego... nawozu mięsnego zabrakło już miejsca, do innych miast nie można było wysyłać, gdyż wszędzie ta sama sytuacja. Czytamy tedy:

„Wyrzucono więc 200.000 ubitych świń na śmietnisko w okolicy miast Homewood, Harvey i Hazel Crest. Gdy w deszczu i skwarze letnim tyle ścierwa świńskiego zaczęło się rozkładać, okoliczni mieszkańcy przekonali się, że pomoc dla farmerów okazała się dla ludności w tych miastach prawdziwą plagą, nie mówiąc już nic o strasznem marnotrawstwie dobrego mięsa i miljonów dolarów z kieszeni konsumentów. Z śmietniska, zawalonego miljonami funtów rozkładającego się mięsa rozchodzi się w promieniu wielu mil nieopisany jakiś smród, który zagraża zdrowiu publicznemu. W dodatku okolicę tę nawiedziła plaga much, wylęgłych na tem śmietnisku w ilości niezliczonych biljonów".

Wobec tego ludność z tych przedmieść i miasteczek zaczyna masowo przesiedlać się i uciekać gdzieindziej. Niema jeszcze wojny gazowej, a ludzi zatruwają fetorami z wyrzucanego na śmietniki mięsa świń poprzednio mozolnie i starannie tuczonych.

Oj Ameryko! Oj Amerykanie! Amerykohny! O ileż te biedne świnie... o ileż te prosiaki!... o ileż te wieprze!... lepsze!... A kiedyż wreszcie ta jasna... I szlag Was wszystkich razem!... Piorun z jasnego...

SEKTY A PRZESTĘPCZOŚĆ.

MOTTA:

Całe masy ludu polskiego po dziś dzień nie wiedzą o tem, że są Polakami, ale o tem, że są katolikami wiedzą.

Artur Górski.

Życie ludzkie jest szyderstwem i igraszką, jeżeli Kościoła niema.

Stanisław Brzozowski.

Przed publicystą na biurku leżał stos książek oskarżycielskich: francuskie, niemieckie, angielskie, litewskie (w języku angielskim i francuskim), ukraińskie (w języku francuskim, angielskim, niemieckim). Groźna literatura a ostatecznie cały świat ją czyta. Odbierać teraz temu tak oskarżonemu narodowi jeszcze tak ważny

hamulec i dźwignię moralną, t. j. katolicyzm, dawać mu do jednej ręki „Djabła Zwycięzcę", a do drugiej wszystkie „Piekła kobiet", jest to omal pchanie całego narodu ku widocznej i zionącej przepaści.

Tymczasem ten program obecnie przeprowadzony jest na całej linji i to chytrze, podstępnie pod maską. Antropozofja na miejsce chrystjanizmu. Wiara tylko w jednego, jedynego człowieka, uosabiającego Hegloski ideał omnipotencji państwa na miejsce usuwanej konsekwentnie na drugie, trzecie miejsce wiary rzymsko-katolickiej. Podczas, gdy Mussolini każe w szkołach publicznych zawieszać krzyże, w Polsce ma się wszędzie zawieszać... portrety. Coraz więcej świąt, galówek i obchodów, związanych z nowym kultem i nową dewocją, aby w blasku, przepychu i pompie tych świąt bałwochwalczych coraz bledziej, skromniej wypadały dawne święta, obchody, rocznice. Równocześnie tu i ówdzie zażarta obrona satanizmu w jego przeróżnych zamaskowanych postaciach i kształtach, najgłówniej w formie sadystycznego bata i batogów. I podczas, gdy w olbrzymiej Rosji ten cały szał bezbożnictwa, ta wścieklizna antychrześcijańska już się wypala, wygasa i kończy jeszcze forsownie ale już beznadziejnie rozdmuchiwana przez jewsekcje i jewsekty, u nas spiętrzyło się toto i czyha tylko, żeby się znienacka rzucić infekcyjnie na społeczeństwo. Nie mogą dobrać się do frontu, czynią podkopy podziemne. Aby uśpić czujną odporność, wysyłają na swoje mównice to księcia to księdza, nawet purpurata, któremu ślą depesze hołdownicze, lub który sam śle depesze hołdownicze pod wskazanym dla wierzących adresem. Minister gotów udawać ministranta, służącego do mszy, byle tylko otumanić i omamić tych, co łatwo dadzą się otumanić, by znów nie zadzierać ze sferami miarodajnymi i ze sforami prasowemi. Kulturkampf w Bismarckowskim czy Combesoskim guście aż dygota z niecierpliwości zamknięty w klatce i czekający, by go wypuścili na obezwładnioną, apatyczną inteligencję. I dzień w dzień czarnosecinna żydowska prasa podsyca i podjudza w Warszawie grupiny i skupiny radykalne, aby wreszcie odważnie i aktywnie rzuciły się na „klerykalizm", „zacofaństwo", „zastój" i „zabobony"... katolickie. Przecież chyba nie doprowadzą socjaliści do tego, aby rząd dyktatury ich zawstydził swoją „postępowością", „reformami" „europejskimi", propagandą statolatrji?

Stany Zjednoczone przechodzą obecnie bardzo ciekawy kryzys moralno-religijny, w licznych książkach o Ameryce notowany. Kryzys ten to wstręt i odraza do sektanctwa, pogarda i lekceważenie sektanckiego rozkładu i dyssolucji. Nie tylko abolicjonizm wiążą tam uczeni z przestępczością i jej wzrostem, ale także i sektantyzm. W Ameryce obecnie przypada jedno morderstwo co 45 minut. Przestępczość i zbrodniczość doszła do wymiarów w żad-

nej dobie cywilizacyjnej nigdy nigdzie nie notowanej. I oto socjologowie całkiem niereligjanccy doszli do przekonania, że im więcej także sekt, tem większy procent przestępczości w poszczególnym Stanie. Tam, gdzie naród religijnie jednolity, procent przestępczości mniejszy. Przykładem Szwecja sześciomiljonowa jednolicie protestancka, gdzie procent przestępczości najmniejszy: t. j. 2.000 uwięzionych. Te same Stany w Ameryce, w których sekt i wyznań jest najwięcej, wykazują największy procent przestępczości.

Weźmy teraz pod uwagę stosunki u nas. Porównajmy cyfry z rocznika Głównego Urzędu Statystycznego, z badaniami dr. Alf. Krysińskiego w „Sprawach Narodowościowych". Rocznik statystyczny wykazuje olbrzymi wzrost przestępczości w dobie ostatniej. Co siódmy obywatel Polski bywa sądownie karany. W 336 więzieniach zamkniętych jest od 34.000 do 40.000. Warszawa ma 36 więzień, o pojemności 9.000 miejsc. Największy kontyngent przestępstw (1929 i 1930): Wileńszczyzna. Najsłabiej „obsadzone" więzienia w Poznaniu (48 proc.) i w Katowicach (45 proc.). Największy procent oszustw, morderstw, zabójstw i przestępstw seksualnych przypada na okręg warszawski, znów wyznaniowo najbardziej zróżniczkowany wedle badań dr. Krysińskiego. Liczba niektórych przestępstw we wzroście swym „skacze jak szalona", twierdzi „Rocznik", nawet niewspółmiernie do wzrostu ludności. Porównanie cyfr z lat 1925 — 1927 — 1931 doprowadza do przygnębiających wniosków. Charakterystyczną też jest cyfra przestępstw świętokradczych, rabowania i okradania kościołów. Podczas gdy w Niemczech mają miejsce napaści na żydowskie cmentarze i synagogi, w Polsce wzrasta szybko cyfra okradanych świętokradczo i profanowanych kościołów.

Z pracy dr. Alf. Krysińskiego nabieramy wyobrażenia o naszych tendencjach rozwojowych pod względem narodowym i wyznaniowym. Widzimy przedewszystkiem, że pod względem rozrodczości przewyższają Polaków w państwie Rusini i Białorusini... To też i procent wzrostu prawosławia jest stosunkowo większy. Ilość sektantów wzrasta stale. Podczas gdy w r. 1921 wynosiła cyfrę 33.000, obecnie samych Hodurowców oblicza „Głos Narodu" na 50.000, „badaczy Pisma" 5.000, adwentystów 2.000, „spirytystów" 3.000; są to sekty odpadłe od kościoła ewangelickiego. Od Kościoła katolickiego odpadło do sekt 16.000. Okręg łódzki ma najwięcej sektantów i największą ilość przestępstw. Kradzieży w r. 1925 było w Polsce 207.000, w szóstym roku Sanacji 306.000 a podwoiła się też liczba oszustw: 15.000 w r. 1925, 27.000 w r. 1931. Sabotaże kolejowe wzrosły dwukrotnie w przeciągu jednego roku (1930 i 1931). Ilość komunistów, siedzących w więzieniach w r. 1927 wynosiła: 5.143, a w r. 1931... 8.502 (osiem tysięcy!). W Szwecji, liczącej sześć miljonów obywateli, za komunizm siedzi

w więzieniu... dosłownie... ośmiu. W okręgach, gdzie jest najwięcej sekt (jest i grupa księdza „Ptaszka") odsetek przestępców także politycznych, jest niepomiernie wyższy.

Z lektury badań i założeń rocznika Głównego Urzędu Statystycznego z rezultatami demograficznych studjów dr. A Krysińskiego dochodzi się do niewstrząśniętego przekonania, że dalsza *laicyzacja* t. zw. inteligencji polskiej w miastach, tolerowanie sekciarstwa w stylu amerykańskim, popycha społeczeństwo w odmęt przestępczości i zbrodniczości. Nie zwalczając, nie sprzeciwiając się ofenzywnie temu złu, współdziałamy ze wzrostem przestępczości w Polsce i wnet doprowadzimy do tego, że w zestawieniu z takimi np. Szwedami (protestanckimi) będziemy wśród katolickich społeczeństw narodem kryminalistów.

Już obecnie *co siódmy* Polak w sanacyjnej Rzeczypospolitej jest sądownie karany. Cyfra rekordowa, taka, jak w jednym tylko obszarze na świecie, t. j. w Stanie Illinois U. S. A.

A zważmy i dodajmy tu jeszcze, że sądownie niekarani i niepociągani są do odpowiedzialności ci zbrodniarze, którzy ten naród okradają z... religji. Tych w tej statystyce kryminalnej całkiem niema, tych *co szóstych*...

NOWY PLUTARCH.

Mogłaby już powstać taka bibljoteczka, takie wydawnictwo modnych dzisiaj *vies romancées*, biografij powieściowych, ale pewnego specyficznego gatunku. Po wielkich mężach stanu, wodzach, regentach, dyplomatach, podróżnikach i odkrywcach, mogłaby już przyjść kolej na wielkich i ciekawych... *Luftmenszów*, czyli na genjalnych aferzystów, którzy drogą nietyle całkiem legalną, ile oryginalną, doszli do wielkich fortun lub zrobili olśniewające karjery.

Czyż nie kwalifikują się na przepyszne „*vie romancée*" dzikie karjery, jakie w Rosji za czasów jeszcze carskich porobili czterej bracia Rubinstejn, „luftmensche" z pod najciemniejszej gwiazdy, z których jeden był entreprenerem Rasputina? Albo znowuż z ery Wilhelma II czterej bracia Mannesmann, właściwi promotorzy Agariru i wysłania „Pantery"? A karjera takiego ministra włoskiego Schauzera? A historja nieprawdopodobna tego bankiera Blumenfelda, co się zrzucił z aeroplanu? A tacy bracia Szklarek z ery prezydenta Eberta? A słynny wiedeński nabab „Castiglione"? Czy taki Emil Ludwig (Cohn), zamiast plugawić pamięć Stanleya swoim panegirykiem w „sosie Freudoskim", nie powinien był się zająć raczej takim aferzystą jak Emin-Effendi (Schutzerem), który jako lekarz bez dyplomu zaczął karjerę w Sudanie, aranżował

powstanie Mahdiego, potem był uczonym, potem dyplomatą, angielskim, wreszcie przeszedł na szpiegowską służbę niemiecką?

Niektórzy z tych „luftmenszów" sami siebie opisali w pamiętnikach, tuszując coprawda bardziej ciemne epizody swych biografij. Pierwszej klasy figurą z niepradziwego zdarzenia był naprzykład taki Trebitsch („Lincoln"), żydek z Moraw, który po różnych przeprawach i kryminałach został... pastorem anglikańskim, poczem posłem do Izby Gmin (sic), poczem doradcą któregoś z dyktatorów chińskich, wreszcie lamą tybetańskim! i w tym charakterze złożył zeszłego roku wizytę Londynowi, gdzie zresztą został aresztowany, poczem odstawiony na kontynent, „tembardziej", że syna jego jeszcze przedtem, *za zwykłe, normalne* szpiegostwo na rzecz Sowietów rozstrzelano.

Nieco podobnie plotło się życie niejakiemu Zussmanowi z Rusi Podkarpackiej, który dobił się, przeszedłszy z Mozaizmu na wyznanie Konfutsego, aż do godności mandaryna chińskiego, poczem atoli dość marnie skończył, zdemaskowany jako agent niemiecki, o czem ciekawe szczegóły w tłumaczonej na polski książce wiedeńskiego dyplomaty („Sowieckie oblicze Chin").

Na Buddaizm przeszedł w późnym wieku praski wysoce utalentowany izraelita niejaki Gustaw Meyer. Ten to Meyer jako Meyerinck (ku czci arcyksięcia Rudolfa?) założył w Pradze bank pod tytułem „Pierwszy Bank Chrześcijański". Ponieważ atoli geszefty prowadził bardzo ciemne i brudne, przeto wpadłszy w kolizję z władzami, musiał w r. 1902 pójść na jakiś czas do więzienia. W więzieniu odkrył w sobie nową żyłkę, tym razem pisarską i wyszedłszy z więzienia, zadebiutował literacko odrazu z dużym sukcesem, ale z nowem, wygodniejszem nazwiskiem, podając się również za nielegalnego syna obłąkanego króla bawarskiego Ludwika II. W literaturze (tłumaczony i na polski), figuruje jako Gustaw Meyrinck, autor licznych nowel tak „niesamowitych" jak niesamowitem było jego życie.

W pomysłowości dla szybkiego zbijania fortun „z powietrza", żywotów dla takiego nowego „Plutarcha" moc jest nieprzejrzana. To byłby nowy tom do napisania. Bajeczny jest londyński młody „miljoner" Meyer Levy, który jeszcze 10 lat temu był chłopcem do posług (piccolem), poczem wywędrował do Australji, gdzie założył fermę mleczarską, by potem przerzucić się do Londynu, gdzie na krótko założył wielki interes mleczny, by nagle znów przerzucić się do arcyspecjalnej branży skupywania tak zwanej „starzyzny" od wojska i destruktów od intendentury. Raz kupił 500.000 butów, które okazały się za wielkie i przeważnie na lewą nogę (sic), wytargował na 6.000 funtów, dał 600 à conto, kazał poprzerabiać, sprzedał do Afganistanu i zarobek wynosił 800 proc. Zakupiwszy zapasy podniszczonych skórzanych kamizelek wojskowych, kazał je poprzerabiać na... wytworne... płaszczyki damskie. W jakiś czas potem zakupił od intendentury gwardji stare czapy baranie, z których sporządzono potem... dywany pod łóżka... Dzięki tym i tym podobnym „pomysłom" jest dziś Meyer Levy i bogaczem i popularną postacią może nietyle w City ile w Whitechapel i na... Magnolia-Street.

W Argentynie znów bardzo drobnemu trickowi kupieckiemu zawdzięcza swoją fortunę żydek z naszego Wołynia M. C. Czerkaskij. Znalazłszy się z powodów pacyfistycznych (dezerter) w dalekim porcie, nie dał się wplątać w lukratywny handel „dziefczynkami", ale sprawił sobie wóz, naładował go przerozmaitą tandetą i jazda w dżungle. Brał od emigrantów, karczowników, robociarzy na plantacjach zapłatę w ich produktach: drzewie mahoniowem, futrach małpich, piórach drogich ptaków. Z czasem sprawił sobie wielki samochód ciężarowy i znów jazda w pampasy. Zaczął jako handeles, dziś ma kilkaset samochodów, nazywających się z amerykańska *fly-shop-Czerkaski* i jest sobie argentyński magnat.

Kokosowe interesy udają się atoli raczej w krajach egzotycznych, podzwrotnikowych, względnie nawet tropikalnych. Tam bywa, że zwykły nawet, jak to mówią handeles czyli kapcan, wpada na jakiś genjalny pomysł, względnie szwindel i w przyjaznej konjunkturze z pospolitego „łapserdakies" rozwija się w miejscowego notabla, w patrycjusza, w mandaryna. Wrodzony *l'esprit* dziedziczny wymaga widocznie gorętszego klimatu i gorączkowej atmosfery. W klimacie zimnym, względnie umiarkowanym, w stłoczonych krajach kontynentu europejskiego, gdzie nadto roi się wprost od policji tajnej i jawnej a każde drobne „zboczenie" od utartych szlaków jest brutalnie kontrolowane, ani te talenty, ani wogóle indywidualności „niesamowite" jakoś nie rozkwitają w pełni i często gęsto w połowie karjery znikają z widowni, względnie bankrutują przedwcześnie.

W Polsce, w kraju ciasnym a nadto ubogim Los czy też Mojra (Ananke) pęta przeważnie skrzydła wielkiej hazardownej inicjatywie. Jeszcze jeżeli który luftmensch przerzuci się lub przeszmugluje siebie na Zachód, to czasem mu się tam i uda.

Często jednakże noga się lekko poślizgnie i szczęśliwym aferzystom łamią wtedy kark na gładkiej posadzce. Niewiadomo co się np. stało z krajanem Bernsteina-Namier młodym Maxem Kolischerem ze Lwowa? Zaczął pięknie jako intelektualista-anarchista, pisując pod nazwiskiem Rudin. Jakiś czas współpracował ze zwarjowanym Hervem, poczem jednak „przerzucił się" do geszeftów.

Dziwna rzecz, że w Polsce jest to „nieznany żołnierz", boć coprawda i uciekł przed wojskiem jako dezerter. A tymczasem

ten to „nieznany“ był w ostatnich latach mężem zaufania François Ponceta, „pracował“ w Komitecie Ekonomicznym francusko-niemieckim i był pośrednikiem (maklerem) między francuskim „Związkiem Hut Żelaznych“ a... a... a... Papenem i... i... Hitlerowcami! Możnaby to a raczej *należałoby* role tego Koliszera, (który pod pseudonimem pisywał progermańsko-ekonomiczne entrefilety nawet w... w... „Tempsie“!) dokładniej zbadać. Ostatnio znikł gdzieś jak kamfora. Byłaby niepowetowana strata dla „zainteresowanych“, gdyby już siedział w kryminale.

Ciężko powinęła się noga na gruncie polskim dwóm Anglikom... Herbertowi Jacksonowi i Jackowi Loptonowi, młodym ludziom, których przyszłość zapowiadała się bardzo pięknie i interesująco.

Sir Herbert zawitał do nas jako ekonomista i publicysta. Paszport miał cudowny: Herbert C. Jackson. Odrazu zgłosił się do M. S. Z., gdzie wobec jego semickiej sylwety i doskonałego angielskiego akcentu przyjęto go z otwartemi ramionami. Wydział prasowy M. S. Z. jeszcze nie był zbyt zorjentowany w europejskich zawiłościach, otoczył go najczulszą opieką. Sir Herbert interesował się najspecjalniej Gdynią i zakładał potężny organ prasowy „The Baltic Shipping News and Gdynia Times“... Każde z tych słów działało na... backboyów z M. S. Z. wprost fascynująco. Wobec tego i z ministerstwa kolei dostał wolny bilet I klasy permanent na całą *Poland,* aby mógł dla „The Baltic and Gdynia Times“ zbierać inseraty i anonse przeważnie monopolskie (tytoń, sól, spirytus, zapałki).

Straty wynoszą przeszło 100.000. Kilka numerów „Timesów“ wydał. Paszport miał fałszowany. Nazywał się Jacobson. Aresztowano luftmensza pewnego lipca.

Drugi Anglik Jack Lipton zawinił raczej swoim pacyfizmem. Naczytał się Słonimera i przejął słonimską pogardę dla armaty, artylerji, prochu bezdymnego i tanków. A miał pecha. Papa Jacka sir Izaak dawno już przesiedlił się do Londynu, gdzie na „Misszories“ miał fabryczkę sukna. Jack Lipton dorósłszy odrazu wziął się do bardziej oryginalnych „niesamowitych“ businessów i wskutek tego dostał sześć miesięcy i deportację do kraju rodzinnego. Tu zajęła się nim armja i wzięto Jacka do I-szej dywizji samochodowej. Ale Jack pacyfista szybko zwiał do Londynu. Wtedy senior rodu Liptonów sir Izaak, mając inne kłopoty na głowie, wysłał syna do... Irlandji. I znów jakieś tam niewyraźne geszefta i znów na 4 miesiące do kryminału i znów wydalenie z Anglji i odstawienie do Gdyni. Tu pomysłowy Jack mając szterlingi od papy wpadł na... niesamowity pomysł, aby być „marynarzem Jego Królewskiej Mości“. Jako taki w kostjumie marynarskim podobał się bardzo i zaczął robić furorę w świecie damskim i męskim, aż wreszcze zwróciło to uwagę tych zawsze ciekawskich policmenów portowych polskich. Z Herbertem C. Jacksonem dziwnie się nie lubili i jakoś od siebie stronili...

Aresztowano go w kilka dni po Jacobsohnie-Jacksonie. Paszport miał pacyfista w całkowitym porządku, to znaczy także fałszowany. Właściwe nazwisko Lipszütz, Josel syn Izaaka Lipszyc. Za przesadnie jaskrawy konsekwentny pacyfizm (dezercję) dostał dwa lata więzienia.

I tak to jest na tym świecie. Jednym się świetnie wiedzie, drugi ledwie jedzie. Jednym pieczone gołąbki same idą do gąbki, inny ledwie zadebiutuje, już mu nakładają kajdanki. Tajemnica *prosperity* polega na tem, aby się nie zasiedzieć na jednem miejscu, ale zmieniać teren pobytowy (nomadyzm vel mobilizm) i aby wpaść na nową ideę, pomysł, *trick.*

Naród wybrany wybiera przeważnie *tricki* nieznane, niebywałe, niesamowite. Dzięki temu z żywotów wybitnych, oryginalnych jednostek tego szczepu możnaby wypisać i wydać księgę *Nowego Plutarcha.* Byle tylko zecerzy w słowie Plutarch nie zrobili jakiegoś błędu i zamiast literki t nie złożyli np. p. Szczególnie na tytułowej karcie!

CUD NAD BERLINEM.

Tym razem jednak i opinja polska doceniła w pełni wartość największego triumfu, jaki stał się udziałem Polaka. Zamanifestowały swą radość i wdzięczność bezgraniczną i Poznań i stolica. Zdają sobie sprawę już wszyscy, że ten dzień sierpniowy, *dies festissimus, day of glory,* był najpiękniejszym dniem polskiego porucznika, polskiego technika i robotnika polskiego. Dla każdego Polaka, który myśli kategorjami nowoczesności i zdaje sobie sprawę, jaką wagę w życiu dzisiejszem mają rozwój i rozrost *kultury lotniczej,* czyli tego, co już nazwano „aerofikacją“, te kilka dni przeżyte dzięki Żwirce i jego plejadzie będą stanowiły źródło radosnego optymizmu i wprost maksymalnego spotęgowania wiary i nadziei w cudowne siły, tkwiące i drzemiące w polskiej rasie.

Pewne przemiany wielkie należy sobie już ustalić w mózgach jako nieodwołalne. W dawnych czasach, bezpowrotnie minionych, dla narodu w niewoli, oblubieńcami byli wieszczowie i muzycy. A potem znów przyszli literaci i plastycy. A teraz, a odtąd muszą być i będą i są już, marynarze i lotnicy...

My sobie jeszcze nie zdajemy sprawy z szerokiego planetarnego zasięgu tego sukcesu! To jest nazwisko, które powinno wejść w świadomość każdego Polaka, starca i dziecka i w każdym z nas rozdmuchać iskierki szczęśliwości, radosności, optymizmu, wiary

w lepsze życie narodu i w możliwości potencjalne państwa. Franciszek Żwirko! Gdyby to nie było motywem pogańskim, możnaby dzieciom na imię dawać: Żwirko. Przynajmniej na drugie. Nazwisko już ma dziwną sugestywność, melodyjność wileńską, siłę, łatwość do zapamiętania. Żwirko. W każdym razie imię Franciszek musi teraz być częstsze. I na loterję należy stawiać na numery: 461, 435, 433, 345. I muszą być takie figurki porcelanowe. Poeta Wierzyński zaś mógłby dać nam poemat śliczności. A któryś z malarzy taki cykl rysunków.

Wogóle bowiem porucznik Żwirko musi się stać takim Benjaminkiem, chrześniakiem, faworytem całego narodu jak są herosowie powietrza i wody w innych narodach. W każdym elementarzu i podręczniku musi już pozostać to krótkie, zwarte nazwisko: Żwirko. Przez tego Polaka młodego spełniło się coś zupełnie nieprawdopodobnego, zrealizowała się na jawie jakaś bajka, jakiś sen. W stolicy Niemiec w niedzielę sierpniową z obłoków zlatuje ptak srebrno-póry, a kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców Berlina z odkrytemi głowami słucha mazurka Dąbrowskiego. To jest coś, o czem nikt nigdy nie marzył! Co tam nigdy nie miało miejsca, bo mieć nie mogło, co od stu pięćdziesięciu lat było logiczną niemożliwością i co przy żadnym innym Polaku spełnićby się nie mogło! Ci wszyscy rodacy zaś, którzy to widzieli i słyszeli przeżywali bajkę, niemożliwość, paradoksalność, kaprys dziejowy.

Nawet gdyby był ocean przemierzył, to jużby nie było to samo. Z lotami transoceanicznymi już się świat trochę oswoił czy zblazował. To nie byłoby nawet w przybliżeniu to samo. Już przelatują kobiety wątłe jak Amelia Earhart-Putman, już się wybrała cała familja Hutchinsonów z New-Yorku, już leciał Mollison Australijczyk ze Wschodu na Zachód (19 sierpnia) już zresztą leciała cała ekipa Włochów zeszłego roku. To już nie byłoby ani tak efektowne przez sensację, ani tak efektowne przez swoje polityczne i propagandowe walory i refleksy.

Triumf Franciszka Żwirki ma znacznie dalsze perspektywy wszerz, wdłuż, wgłąb. Z pewnego punktu obserwacji można nawet mówić, szarżując z nowej... Jenie czy... nowej Marnie. Megalomanja pangermańska doznała bowiem ciosu w sam kark wyprężony. Tydzień temu na określenie człowieka z polskiej rasy użyli tam słowa-terminu: *„Minus-mensch“*... Tydzień temu!

A tu tymczasem lotnik z rasy *„minus-menschów“* zwycięża to, czem się najwięcej chlubili, czem najbardziej grozili, czem chcieli teroryzować sąsiednie kraje... zwycięża ekipę najtęższych asów lotnictwa niemieckiego! Przy odgrywaniu hymnu *„Minus-mensch'ów* w centrum Brandenburgji staje z odkrytemi głowami kilkadziesiąt tysięcy *übermensch'ów*... W iluż to powieściach fantastycznych o przyszłej wojnie odwetowej oni zgóry „obkładają“

bombami Brukselę, Warszawę, Paryż, Pragę... Jakież to myśli posępne musiały im *po raz pierwszy* przemykać się po głowach, gdy w niedzielę po południu wracali z lotniska do Berlina... Jak dziś niema tam ani jednego domu niemieckiego, gdzieby wieczorem przy stole nie wymawiano już z uczuciem respektu, przepłoszenia, zdumienia: der Żwirko, der Żwirko, der Żwirko!... A jak to nazwisko wymieniają w różnych ugołkach Osso-awiachimu, w Borysoglebsku, w Tambowsku, w Lipecku, w Orle..., a na Kremlu! A co tam na to panowie Litwini w Kaunas? Może, że to Litwin tak jak w Berlinie pocieszali się tem, że służył w niemieckiem wojsku?...

Żwirko! Franciszek Żwirko! Ani się człowiek opatrzy, jak zaczyna się lubować w samem dźwięku tego drogiego sercom wszystkich nazwiska. Ale nie on tylko jeden. On jest nasz królewicz z bajki. Nasz Dedal, nasz Ikar, nasza duma, chluba, nasz majątek, skarb, człowiek co nam opromienił i nam przedłużył życie, urodę życia. Ale i oni wszyscy także, ta nasza *Big Five* z tegorocznej Challenge: Karpiński, Orliński, Gedgowd, Bajan,... dalej Wigura, Rogalski, Drzewiecki, dalej szef ekipy major Wojtyga z departamentu lotnictwa. Ich wszystkich powinniśmy teraz otoczyć ciepłem wdzięczności, dziękczynnej sympatji. I wokół Koła Mechaników Politechniki Warszawskiej i jego osierdzia awiacyjnego powinien się wytworzyć gorący klimat opieki, ofiarności, współpomocy, entuzjazmu, aktywnego zainteresowania. Niechżeż oni wszyscy wiedzą i odczuwają, że w ich warsztaty na Okęciu patrzymy teraz z dumą, z szacunkiem, z admiracją. Miasto Bydgoszcz swoją „Szkołę Pilotów“ powinno otoczyć najczulszą serdecznością. Stamtąd wyszedł nasz książę obłoków, tam „stawiał pierwsze kroki‘ i miał może pierwsze „kraksy“. Tam musi być ulica z napisami: Franciszka Żwirki. Na stacji znowuż warszawskiej komunikacji cywilnej powinien odbyć się jakiś festyn dla Karpińskiego. Ileż to on pasażerów odstawiał gładko do miejsca przeznaczeń. Byłoby w kilometrach więcej niż dziesięć razy okrążenie kuli ziemskiej! Od ilu lat pamięta go się zawsze miłego, grzecznego z jakiemś jakby dziewczęcym wdziękiem a mocnego w sobie jak ze stali: chyba ze cztery tysiące kilometrów przejechał Karpiński z tym pasażerem, co to tu teraz pisze, dumny z tego, że z takim pilotem wojażował. Świetna to akademja asów to polskie lotnictwo cywilne, jeszcze wydoskonalone, odkąd pułk. Filipowicz wziął w swe ręce kierownictwo. Ani jednej katastrofy na tyle lat, tyle lat, a teraz od 17-go sierpnia już nas z Rygą i Tallinem połączyli, a nawet nocne loty przez Lwów do Salonik zainstalują i dwa morza istotnie ze sobą zwiążą.

Wogóle piękny był ten sierpień r. 1932, *season* podniebnych wzlotów i u nas i nie u nas. Zaczął się ładnie turniejem gwiaz-

dzistym z Zurichu i sukcesami Bajana z Krakowa i Włoszek pewien doszedł do szybkości 433 km. na godzinę. W Ameryce dziewczynka Mary Hilt zyskuje rekord wysokości 9.200 metrów. Potem Stratosfera 12-go sierpnia i cudownie proste greckie pożegnanie Piccarda z żoną: *„Au revoir chère Marianne“* i odlatuje w przepaść mroźną, gdzie niebo ma kolor czarny... Hiszpan don Juan de la Cierva produkuje się ze swym nowym autogiro. A potem 17-ście dni *Challenge*, a my wszyscy zdumieni ryzykiem i hazardem maleńkiej skromnej polskiej ekipy wobec takich potentatów italskich i niemieckich. O Żwirce się to i owo oddawna wie, ale się po staremu stawia na zwycięzcę Warszawa—Tokjo, a potem raczej na Bajana. Wobec takich Włochów z ich „Bredami“ i takiej ilości Niemców ani jeden *Polak żyjący nie przeczuwał*, nie przewidywał, nie marzył nawet o możliwości tak pełnego, tak stuprocentowego, tak oszałamiającego triumfu! Ani jeden!...

A tymczasem od samego początku jakoś wszystko potoczyło się dobrze, szparko, Żwirko... Ekipa w doskonałej formie i precyzyjnie punktualna, aparaty polskie ad *a* do *zet* i *P. Z. L. 19* i *R. W. D. 6* wzorowe. Poczem zaczęła Fortuna wyraźnie lechickich śmiałków forytować. Challenge przyszedł w dwa tygodnie po buńczucznej, zawadjackiej, wilhelmowskiej mówce Mussoliniego i panegiryku na cześć wojny. A tu tymczasem raz po raz pilotom włoskim obrywają się skrzydła. Dzienikarz-mechanik Bonn przypłaca to śmiercią. Ekipa się dekompletuje. Miss Spooner lecąca we włoskich kolorach odchodzi. Coś tam niewyraźnego przebąkują, że silniki „Colombo“ otaksowane na 120 k. p. mają siłę większą... Balbo, z obawy przed kompromitacją decyduje wycofać się. Pozostają tylko Niemcy, Czesi i Polacy. Jeszcze nikt z Polaków żyjących nie wierzy w definitywne zwycięstwo wobec takich asów niemieckich, takich maszyn i takich silników! Przychodzi 28 sierpnia. R. W. D. 6 zwycięża... A ważne jeszcze jest i to także, że 12-te miejsce dostaje także Słowianin *(minus-mensch)* Czech Kalla.

I teraz coby było, gdyby nie to i nie takie zwycięstwo? Puhar przeszedłby znów do rąk Niemców (po raz trzeci), jużby wedle statutu u nich został. Po drugie: następne *Challenge* urządzoneby było w Berlinie. Po trzecie zaś i najważniejsze:

przez to zwycięstwo w powietrzu, po 17-tu dniach zawodów i walki, *wzrosłaby niepomiernie odwetowa* arogancja i buta niemieckiego militaryzmu... oraz pogarda dla lotnictwa sąsiednich narodów, specjalnie Polaków i Czechosłowaków.

Zwycięstwo Żwirki i jego plejady wpłynęło radykalnie kojąco i pacyfistycznie na wojownicze apetyty i szały niemieckie. Już się zaczną więcej troszczyć o... Berlin, a mniej marzyć o jak najprędszem „okładaniu“ bombami Pragi i Warszawy.

Już znów wezmą pod uwagę to, co pisze W. K. Urban: *(Kurze Zusammenstellung über die polnische Armee*, 1931) w rozdziale o zasięgu polskich sił wojskowych lotniczych: od granicy polskiej do Berlina, Szczecina, Królewca 2½ godziny z pełnem obciążeniem, do Hamburga i Kielu 500 klm., czas 5 godzin...

Jakież to teraz atoli obowiązki rewanżowe spadają na naród, z którego jak Feniks z popiołów wyleciał w powietrze srebrnopióry ptak ze swych „żórawi kluczem“?

O! bardzo wielkie.

Ani lotnictwo wojskowe, ani turystyczne, sportowe, komunikacyjne nie było do niedawna oczkiem w głowie ani narodu ani sfer miarodajnych. Uprzytomnijmy to sobie w cyfrach realnych, wielomównych:

Od 1 kwietnia 1928 r. do 1 kwietnia r. 1932 wydały:

Francja na lotnictwo cywilne: 492 miljony, na wojskowe 1.850 miljonów złotych.

Anglja na cywilne 850 miljonów, na wojskowe: 2.982 miljonów złotych.

Ile zaś wydała i wydaje Polska, o tem na wiosnę mówił w Sejmie pułkownik poseł Arciszewski, a jeden z publicystów obozu narodowego poświęcił temu tematowi w dwóch pismach w ośmiu latach *56* artykułów mniej lub więcej alarmujących.

Dalej: Każdy Anglik obciążony jest na rzecz lotnictwa (wojskowego-cywilnego) roczną sumą 70 złotych, Francuz: 57 złotych, Włoch 33 złotych, podczas gdy Polak na swoje lotnictwo, na swoją *Big Fivę*, na Żwirkę, Orlińskiego, Karpińskiego, Bajana, Gedgowda dawał rocznie: 3 zł. 20 groszy.

Tak czy nie? Tyle czy nie tyle? Więcej czy mniej? Może to omyłka? Kto raczy poprawić? Czekamy. Włoch biedny: 33, Polak sanacyjny 3 zł. 20 gr.

Być tak dalej żadną miarą nie powinno. Lotnikowi zawdzięczamy zdanie przed Europą egzaminu dojrzałości fizycznej, psychicznej i technicznej *summa cum laude*. Lotnictwo, *dotychczasowy kopciuszek*, nas przed Europą, co tu dłużej ukrywać, znów rehabilitowało. Szybciej nam zapomną o różnych Brześciach, gdy się wykazujemy takimi atutami jak lotnicza *Big Five*.

Po 461 punktach Żwirki powinno pójść znacznie łatwiej z 461 miljonami franków pożyczki. Naród wydający ze siebie championów, którzy zdołali na benefis globu zepchnąć z pierwszej rangi w obłokach rodaków Zeppelina zasłużył na kredyty, forszussy i à conta chyba nie tak znów znacznie mniejsze jak *turbatores mundi* Niemcy.

Od dwuch czy trzech lat jest u nas w królestwie obłoków znaczna zmiana ku lepszemu. Znać już, że młodsze i nowsze

czynniki zdołały wyperswadować centralnym czynnikom sens i rację sabotowania lotnictwa i wzięły losy i odpowiedzialność za rozwój awiacji we własne fachowe ręce. Starsi panowie o koncepcjach militarnych z ery Wołodyjowskiego i Podbipięty szczęśliwie niemają tu dużo do powiedzenia. To też niema już dziś i mowy o dawnych, efekciarsko-prestiżowych, ryzykancko-improwizowanych od ręki lotach transoceanicznych kosztem ludzkich istnień i miljonów wrzuconych w wodę. Losy lotnictwa są już zdaje się w normalnych rękach właściwych ludzi na właściwych miejscach.

Ma społeczeństwo tedy duży dług wdzięczności wobec swej właściwej elity, t. j. wobec lotnictwa, które się tak spisało. To też naród tym razem jednolicie winien wywrzeć solidarny nacisk na sfery miarodajne a od lat sześciu absolutystycznie rządzące (więc wyłącznie odpowiedzialne), aby swój *długo macoszy stosunek* wobec lotnictwa do gruntu i do reszty zmieniły. Czy tam osoby centralne lotnictwo lubią czy nie cierpią i bagatelizują, to jest tak obojętne, jak zeszłoroczny śnieg. Dla czyichś grymasów i kaprysów nie można ryzykować bezpieczeństwa lub przyszłości 27-miljonowej rasy. Jegomościów starej daty przerabiać „daremna fatyga". Józef i Franciszek Habsburg, cesarz ostatni austrjacki nic nie chciał słyszeć nawet o „automobilu", póki go raz weń nie wpakowali i nie powieźli dziwadła do Aspern.

Natomiast godziłoby się, aby sama t. zw. Sanacja (Elita) zlikwidowała wreszcie swój *omal sabotażowy* stosunek wobec lotnictwa, tak jak się już zaprzestało uroczyście bojkotować Pomorza, morza, Gdyni, marynarki handlowej i wojennej. Zamiast wyrzucać krocie i miljony na makulaturę propagandową panegiryczną, na takie figury jak różne „augury", na wydanie zbiorowe pism, których mało kto do rąk chce brać, na pałubiczne pomniki i „porcelanowe" figurynki, należałoby jak najszybciej wzmocnić o 200 proc. budżet lotnictwa wojskowego i komunikacyjnego. Osobny Departament Lotniczy jest postulatem starym i *conditio sine qua non.* Każdy złoty wydawany na korupcję, na kupowanie sumień i handel ludźmi jest zgóry zmarnowany; każdy grosz zaś zaoszczędzony dla lotnictwa opłaci się stokrotnie. Zamiast drukować śmieciarskie foljały o tem, że w r. 1920-ym w wojnie z bolszewikami nie było ani generała Hallera, ani generała Sikorskiego, lepiej wydać tłumaczenia tych prac amerykańskiego generała *Mitchela* i włoskiego *generała Doueheta,* które jasno a szeroko dowodzą, że w nadchodzącej wojnie rozstrzygać będzie od a do z lotnictwo, obok ciężkiej artylerji, wyłącznie lotnictwo! obok udoskonalenia technologicznego i motoryzacji — tylko lotnictwo.

Echo i rezonans w społeczeństwie natomiast jeszcze nadal za słabe, za mało dają się i słyszeć i widzieć. W warstwie historycznej niema takich postaci jak 66-letnia duchessa Bedford (Indje—Londyn, 16 tysięcy w 7 dni), jak książę Bibesco amator, jak hr. de Libours (Paryż — Pei-pink 10 dni). Młódź z ludu zaś podobnie jak czołowi ludzie z Bebe egzaltują się raczej wyczynami przystępniejszych ich „światopoglądowi" pięściarzy, szybkobiegaczy i footballistów.

Ta faza musi się skończyć!

SKARŻYŃSKI.

Jacyż szczęśliwi są dzisiaj ci wszyscy w Polsce, którzy noszą to samo, blaskiem światowej sławy opromienione, stare, tylokrotnie zasłużone w ojczyźnie nazwisko.

Jakaż duma musi rozpierać piersi tych wszystkich, co zaliczają się do czarownego świata polskiego lotnictwa!

Jakąż satysfakcję moralną i zadowolenie z rezultatu pośpiesznego i gorączkowego mozołu winni odczuwać ci, co tę cud-maszynę spreparowali!

A jak podwójnie piękna musi się teraz wydawać wiosna tym wszystkim, co znają Zwycięzcę osobiście, co Mu ręce ściskali, co z Nim w szkołach kolegowali, co Mu mundur zdobili Krzyżem Walecznych, co Mu dodawali bodźca do wielkiego hazardu, co z Nim ostatni rozmawiali przed tajemniczym odlotem!

Jakiż szczęśliwy powinien być Kalisz, że On tam do gimnazjum chodził! Włocławek, że w nim maturę zdał! Jakiż to blask pada na Szkołę Pilotów w Bydgoszczy! Jakim pałacem jest teraz dom oficerski na lotnisku, w którym Zwycięzca miał... dwupokojowe mieszkanko!

Zaprawdę! Rodzą się jeszcze i w Polsce ludzie najpierwszej klasy i najprzedniejszego wyborowego gatunku! Taki, jak jego krótki, zwięzły życiorys czyta się dzisiaj jak najpiękniejszy poemat prozą. „Należał do P. O. W." Dobrze! Tedy o P. O. W. już się odrazu myśli wyrozumialej, cieplej, inaczej. A potem same szczegóły, z ksiąg bohaterskich: „Pod Benjaminowem ciężko ranny odłamkiem granatu w kolano"... Długie miesiące w szpitalu Mokotowskim... Jakiś czas musi chodzić o lasce a potem zlekka utyka na nogę. „Chce wrócić do służby linjowej""... I teraz szczegół biograficzny wzruszający do głębi: „dwa razy staje na komisję lekarską, i dwa razy zostaje zdyskwalifikowany ze względu na uszkodzone kolano".

I tego to właśnie człowieka „z uszkodzonem kolanem" nazwisko jest od niedzieli na ustach całego świata. I ten to omal inwalida, dwukrotnie zdyskwalifikowany pobija rekordy Marise Bastie i Mollisona!...

„Dopiero trzecia komisja lekarska po długich naradach i wahaniach daje swoje placet".

Jakżeż dumna ze swego placet musi być ta trzecia komisja! I jak to znów łatwo nie byłoby przypadkowo największego polskiego triumfu w r. 1933, gdyby rekuza dwuch komisyj natrafiła na człowieka o minimalnie mniejszym harcie ducha, dającego się zrazić przeszkodom i przeciwnościom, nie idącego linją największego oporu, na wyznawcę „ułatwionego życia", nie przeczuwającego jasnowidząco (może w godzinach marzeń bezsennych nocy), jaki to triumf nad triumfy właśnie jemu pilotowi o „uszkodzonym kolanie" szykuje Przeznaczenie.

Nic żaden „łut szczęścia" rozstrzygnął tu tak w jego pierwszej arfykańskiej wiktorji, jak w jego obecnem oszałamiającem zwycięstwie. Nie łut szczęścia, lecz łut żelaza we krwi, skarb stalowej woli w charakterze, nieugiętość, upór. Ten to najdrogocenniejszy upór każe mu wybrać do przelotu łupinę, drobiazg, ale — nie wahajmy się nazwać — konstrukcyjne arcydzieło Rogalskiego, Drzewieckiego i zmarłego Wigury. Ponieważ inni to zrobili na maszynach cięższych i mocnych, więc on dokona na turystycznej zabawce o sile 120 koni. Ponieważ inni przelatywali z mechanikami, więc Skarżyński wybiera się samotny. Inni musieli mieć ze sobą aparaty radjonadawcze, on zaryzykuje bez radja. On wierzy ślepo w R. W. D. 5-bis. Więc ta wiara go musi przenieść i przeniesie przez Ocean.

I teraz szczegół może bagatelny a najważniejszy, który już wzbudził i na pewno wzbudzi szczególnie u Anglosasów największą sensację. Szczegół zdaje się najspecjalniej polski „ogromnie nasz"! Wszyscy zawsze wybierali się w drogę wyekwipowani od a do zet: combinesony, kaski, specjalne buty, specjalne pończochy, koszule, wszystko extraordynaryjne *tip top*, z najlepszych, najdziwniejszych materjałów *ad hoc* preparowanych. Zawsze kostjumowa charakteryzacja. Tak się przecież z tem i my oswoiliśmy, kiedy bohaterzy przestworzy w kronikach filmowych wyskakują w strojach półbogów i zdzierają okulary.

Polak kapitan Skarżyński wsiada sobie w ubranku cywila, jak gdyby nigdy nic. „W szarym marynarkowym garniturze"... „miękki kapelusz", „jasne paltko"... Z ceremonjału, z rytuału zrobił przekornie coś zupełnie powszedniego. Że to niby nic takiego ten przeskok oceanu. Ot, jakby kto leciał z Mokotowa na Okęcie. Można i w marynarce. Wziąć tylko trochę czekolady, wodę z pomarańcz, kabanosy i Kola, a już można 3.590 klm. przelecieć w 19 godzin 30 minut...

Kiedy w nocy z soboty na niedzielę jego rodacy w stolicy już kładli się spać, nic a nic nie spodziewając się, nie wiedząc nic o wielkim planie, nie uprzedzani hałasem żadnej reklamy, nie myśląc tej nocy nic a nic o Skarżyńskim, tu i owdzie tylko niepokojąc się co tam właściwie z nim słychać..., on zaczynał dzień swoich imienin. Gdzieś tam na małem lotnisku afrykańskich kolonij w Senegalu, w Saint Louis, przy asyście może kilkunastu ludzi, białych i... czarnych wsiadał na polską awionetkę, dziecinnie lekką. Jest coś głęboko i najtypowiej charakterystycznego w tem właśnie, że kiedy Niemcy tę przestrzeń odbywają, owszem systematycznie na ciężkich cygarowych olbrzymach, Polak brawurowo wsiada na leciuteńki aparat i mknie w nim z szybkością 198 klm. na godzinę. A że podczas startowania była noc, więc tak jak na skrzydłach i na ogonie tak i w kabinie lśniło się maleńkie światełko. Była to drobna żarówka przymocowana do opaski na czole, połączona z suchą bateryjką kieszonkową...

I tak się Go teraz widzi! Tego cudownego herosa, który w dniu imienin, wywdzięczając się za dany mu aparat, obdarzył swój naród najdrogocenniejszym prezentem: zwycięstwem.

Jeszcze może nie zdajemy sobie na świeżo i sprawy z tego, jak to kapitan Skarżyński podniósł prestiż narodu i państwa w opinji świata, jak swem zwycięstwem wzmógł respekt dla Polaków wśród Anglosasów, Włochów, Francuzów. Jeszcze nie... przemyśleliśmy jasno, ile to kapitan Skarżyński daje do... myślenia naszym sąsiadom z prawej i z lewej strony. Jeszcze nie uświadamiamy sobie wyraźnie doniosłości wrażenia, jakie to wywołać musiało w Berlinie, w tym Berlinie u tego szefa lotnictwa niemieckiego, ministra Goeringa, który, nawiasem mówiąc, rok temu z taką rewerencją, ba nawet podobno serdecznością pierwszy na lotnisku witał pierwszego polskiego zwycięzcę, nieodżałowanej świętej pamięci porucznika Żwirkę...

I jeszcze jedno. Przed odjazdem, przed rozstaniem wręczyła żona polskiego asa odlatującemu wizerunek świętego Krzysztofa, patrona lotnictwa. Jednym może to się wydać nie „nowoczesne", innym „fetyszyzmem", innym zabobonem, innym zabawne... „cywilom", lotnikom i marynarzom i wogóle ludziom heroicznym nigdy. Tak się łączy przeszłość z teraźniejszością a z przyszłością teraźniejszość. Tradycje! Wspólnota cywilizacyjna, obyczajowa, moralna.

Tak żegnały wszystkie Skarżyńskie swoich odjeżdżających mężów, braci i synów.

I nic się na to nie poradzi, że ze „świętym Krzysztofem" w kieszonce cywilnego ubranka jeden z nich przeleciał Ocean Atlantycki, ozłacając nam to szare, ciężkie życie powszednie słonecznymi promieniami swej wiosennej sławy.

BUNT ARABÓW.

Poseł do Izby Gmin, wygłaszający sobie w Częstochowie całkiem swobodnie komunistyczne kazanie, inni posłowie do Izby Gmin, podróżujący sobie całkiem swobodnie po Wschodniej Małopolsce i podniecający horoskopami przyszłej protekcji irredentyczne nastroje ukraińskie, inni parlamentarzyści angielscy z różnych partyj, składający niedawno Hendersonowi memorjał w sprawie mniejszości w Polsce ...no to tego wszystkiego jest już stanowczo dla naszego prestiżu „mocarstwowego" chyba zanadto!

To wymaga jednak rewanżów i *viceversa* zajęcia się conieco dolą i niedolą to tego to owego narodu, wchodzącego w skład olbrzymiego Imperium. O piekle doczesnem Hindusów czyta się w prasie raz po raz. Mało atoli, za mało jest w Polsce... filosemitów, którzyby cokolwiek choćby interesowali się i współczuli potwornej niedoli jednego z najsympatyczniejszych szczepów ludzkości, to jest Arabów. Że to jest naród na wyjątkową sympatję zasługujący, w najwyższym stopniu rycerski (panie Mackiewicz!) szlachetny, lojalny, o wysokiej moralności i pięknie charakteru, o tem można szybko się przekonać przeczytawszy dwie powieści pułk. Lawrence'a, szczęśliwym trafem na polski język przetłumaczone („Bunt Arabów" szczególnie). Błędny rycerz angielski, tak dziwnie przypominający, jakby przewcieleniem będący naszego Emira Rzewuskiego, opowiada w tych powieściach jak to wspaniale, heroicznie wydobyli się ci „Semici konni" z pod potwornego jarzma tyranji tureckiej. Dotychczas jednak ani col. Lawrence, ani nikt jeszcze nie opowiada, jakie męki i udręki przechodzą Arabowie, znalazłszy się w nowych warunkach społecznych.

Bezkresną i potworną bowiem jest tragedja tych Arabów, którzy w liczbie osiemkroć sto tysięcy zamieszkują kraj Palestyński. Może i na pewno pod władztwem tureckiem mieli tam w pewnej mierze czyściec doczesny, ale faktem jest że teraz mają piekło. Za to, że pomagali Anglji i generałowi Allenby w zdobyciu Palestyny, mają teraz dosłownie piekło. Przeżywają bowiem to wszystko, co przeżywali przed wojną Polacy w zaborze pruskim, na G. Śląsku, na Pomorzu, w Wielkopolsce. Idzie do ich kraju, w ich ojczyznę cywilizacja europejska, ale jeżeli nie torując sobie drogi „ogniem i mieczem", to w każdym razie po krzyżacku, nowocześnie z tankami ostrzeliwującymi ludność, z aeroplanami zrzucającymi bomby na wsie i sioła „zrewoltowane", idzie z pomocą całkiem wedle wzoru pruskiego „komisji wysiedleńczej". Tak, jak do Wielkopolski szła bezsprzecznie wyższa cywilizacja z jej wszystkimi dobrodziejstwami, tak i Palestyna dostaje kanalizację, elektryfikację, poczty, Haifę, Tel-Awiw, traktory, wyższą kulturę rolniczą, hodowlę pomarańcz i rycynusu, trzebienie lasów, nawadnianie

pustyń, winnice w Karmelu, trotuary, higjenę, tramwaje elektryczne (do Nazareth), ale z tem wszystkiem dobrem równocześnie... piekło. Dobrzeby to może opisał niemiecko-żydowski beletrysta Wassermann, który tak plastycznie przedstawił, jak to upadła wspaniała kultura Inkasów w Ameryce, kiedy wdarł się tam z europejską cywilizacją ten a przeklętej pamięci katolik Kolumb.

Kolonizujący Palestynę Syjoniści dokonują tego dzieła metodami całkiem pruskiemi, jak za czasów Wilhelma. Dziesięć lat temu po deklaracji Balfoura była mowa tylko o siedzibie żydowskiej o „national-home", to miał być tylko „Erec Israel". Teraz już bezwzględnie i brutalnie mówi się o „Judenstaat", o państwie żydowskiem. Interpretacja Balfourskiego pomysłu taka jaką uprawiają Hakatyści i Hitlerowcy gdańscy: nie „wolne miasto", a wolne państwo. Nie chcą nic słyszeć już o liberaliźmie.. Lesssinga, który w „Natanie Mędrcu" pouczał jak zgodnie tam żyć powinny trzy religje i trzy narody. Nie! Precz z Lessingiem i precz z Weitzmanem, który nie jest rewizjonistą i maksymalistą, a ośmiela się bronić interesów W. Brytanji. A niech żyje Żabotyński, Syjoński Hitler! „Palestyna ma być żydowską, jak Ameryka amerykańską". Jak zaś Ameryka jest amerykańską i wobec... żydów, to znowuż pisał ongiś w „Naszym Kurjerze" (21 kwietnia 1922) pan Szalom Asch czy Asz:

„Żydzi należą do wszystkich partyj politycznych, które istnieją na gruncie Stanów Zjednoczonych. Są więc żydzi republikanie, demokraci i socjaliści. Przynależność partyjna odpowiada ściśle socjalnemu położeniu danej osoby. Zaznaczę jednak, że żydzi amerykańscy trzymają bardzo daleko swoją żydowskość od krajowej polityki Stanów Zjednoczonych. Jest to zresztą zupełnie zrozumiałe, gdyż życie polityczne Amerykanów *niedopuszcza odrębnego sentymentalizmu nacjonalistycznego wtedy, gdy chodzi o ogół wszystkich obywateli*".

Dopuszczają u żydów „odrębnego" sentymentu nacjonalistycznego w Polsce Polacy, ale nie dopuszczają Amerykanie w Ameryce, a bolszewicy w Sowietach. Żydzi zaś w Palestynie nie dopuszczają „odrębnego sentymentu nacjonalistycznego" u Arabów, aczkolwiek jest ich nadal minimalna mniejszość (150.000) a Arabów autochtonów tubylców większość, bo 8 kroć sto tysięcy, ale większość dotychczas słabo zorganizowana, amorficzna, plazmowata, rozlana, niezdyscyplinowana, a nadto i rycerska (panie Mackiewicz!) i... moralna. I całkiem już jawnie, otwarcie i jasno Arabom przeciwstawiają staropruski program: „ausrotten"! wytępić! wysiedlić i wytępić. Czy mają jakie prawa historyczne? Żadnych.

W jednej ze swoich „Kronik Tygodniowych" pisał o tem globowem kłamstwie wnuk uczonych rabinów, Antoni Słonimski:

„Nieprzedawnione prawa historyczne żydów do Palestyny wydają się nieco operetkowe. Ostatnie tysiąc z górą lat mieszkają tam Arabowie, a przed tem żydzi nie byli autochtonami, ale *przyszli jako najeźdźcy*. Sposób podbicia krajów amalekickich, filistyńskich, czy plemion hebrońskich nie bardzo był w zgodzie z naszymi pojęciami o etyce. Gdy żydom się nie powodziło, stary Jehowa przeważał szalę zwycięstwa przy pomocy sztuczek i kawałów w rodzaju deszczu kamiennego, spuszczonego na dzielnych Amalekitów, lub zatrzymania słońca pod Hebronem. Państwo zdobyte takiemi metodami bez pomocy cudów utrzymać się nie może. Możnaby powiedzieć żydom jerozolimskim, którzy odbudowę państwa widzieli tylko w zachowaniu religji i zabobonu, żeby się teraz zwrócili do swego boga po nowy cud, a nie do Anglików po tanki. Żydzi przyszli do Palestyny nie poto, aby cywilizować kraj, ale by przymierzyć własną ciemnotę do ciemnoty Arabów. W ponurych burdach dzisiejszych żydzi mają też cząstkę swej winy".

Cząstka jest dość duża. Cząstka jest olbrzymia. Jako *najeźdźcy* typowi z mentalnością najeźdźców przychodzą poraz drugi. Idea była piękna ale realizacja polityczna spaczona, staje się coraz bardziej odrażająca i nie tylko może, ale musi z czasem zmobilizować przeciw W. Brytanji nie tylko „Wahabitów" (Obwiepol arabski?), nie tylko 50 miljonów Arabów, ale 250 miljonów Mahometan. Idea Syjonu nie jest Herzla ani nawet Dizraeloską ideą, ale jak to obecnie udowodnił angielsko-żydowski essaysta polityczny Filip Guedella, wyszła z głowy najzawziętszego wroga W. Brytanji, bo... Napoleona. Jeżeliby istotnie tak było, gdyby Syjonizm był w prapoczątku swym ideą Napoleońską, to kto wie czy to nie byłoby zagrobową zemstą za... Waterloo...

W ostatnich czasach bowiem znów mamy do zanotowania kilka fatalnych posunięć ze strony Londynu na tym terenie. Shylockracji amerykańskiej udało się znowu przez splot intryg, ujawnionych na kongresie Bazylejskim, obalić cały szereg dygnitarzy administracjnych w Palestynie. „Hamany" poszły do dymisji. Ustąpił wysoki komisarz lord Chancellor, ustąpił (na Maltę), cywilny sekretarz sir Lucke, ustąpił potem minister kolonij lord Pasfield i sir Stock i inni. Wrócił do steru kurs skrajnie projudejski Herberta Samuela z generałem Wanshappem jako high-commisionerem, a inż. Thomasem w „Colonial-Office". Zacierali ręce z radości monomani Syjonizmu colonele Kenworthy i Wedgewood, twórca planu przesiedlenia poprostu wszystkich Arabów do sąsiedniej Transjordanji („dzieło" p. t.: „The Sevent Dominion"). Że ten potworny prusko-hakatystyczny pomysł jest poważnie traktowany w Londynie, świadczy o tem całkiem serjo omawianie go w pansemickiem „Manchester-Guardianie":

„Odnośnie do Arabów, nie należy przecież czynić różnic między wschodnią a zachodnią stroną Jordanu. Jedynym względem, jaki powinien być wzięty pod uwagę, jest to, że zachodnia Palestyna jest gęsto zaludniona, zaś Transjordanja — rzadko. Biedny fellach będzie szczęśliwszy na swym własnym kawałku ziemi w Transjordanji, niż w swej dotychczasowej wiosce, gdzie płacić musi wysoki czynsz obszarnikowi arabskiemu, co przecież głównie przyczynia się do powstania zagadnienia bezrolnych Arabów. Rząd angielski nie chciał jednak rozwiązać zagadnienia w ten sposób i traktuje Transjordanję jako ściśle niezależne terytorjum, aczkolwiek prawnie Transjordanja stanowi część palestyńskiego obszaru mandatowego". Dosłownie.

Jak widzimy więc z tego, bankrutujący Syjonizm, targany od wewnątrz i rozsadzany przez syjońskich Hitlerowców, maxymalistów z pod znaku Żabotyńskiego, Thona, Wisego i t. p., puszcza się na pomysły zgoła obłędne już nie wykupywania, wywłaszczania Fel-Lachów, ale wprost masowego wysiedlenia ich do Transjordanji. Swego czasu radził do... Mezopotamji Zangwill. Aby ta „jidea" mogła zacząć przyoblekać się w realne kształty, będzie potrzeba jednak jeszcze więcej karabinów maszynowych, więcej granatów ręcznych, więcej tanków, aeroplanów, policji, żandarmerji, no i więcej... „skrzynek zapieczętowanych z bronią".

Koło tych to „skrzynek z bronią" zapieczętowanych, toczyła się niedawno cała walka, cały spór między Londynem a nieszczęsnymi Arabami. Wyszło bowiem na jaw, że pozornie sympatyzujący z Arabami „*Colonial Office*" jednak porozsyłał do odległych kolonij żydowskich w skrzyniach broń przeciw autochtonom. Niemający obiecanego parlamentu Arabowie bronią się przed tem przygotowaniem do wojny domowej tak przez swą Egzekutywę, jak i przez swą prasę. Tę prasę teraz się gniecie, uciska, konfiskuje i raz po raz któryś organ zawiesza lub zamyka, jeżeli tylko ośmieli się o „skrzynkach z bronią" coś pisać. A tymczasem nawet broniący skrzynek pansemicki „Farbman - chester - Guardian" tak o tem pisał:

„Broń jest zamknięta pod pieczęcią, tak że jest rzeczą niemożliwą, aby się z tej broni robiło użytek bez ujawnienia przez władze i ukarania winnych nadużycia. Jest to ta sama zasada, na podstawie której umieszcza się we wszystkich miejscach publicznych krany alarmowe lub hamulce na wypadek pożaru lub nieszczęścia — w wagonach kolei żelaznych. W warunkach palestyńskich system ten jest nieodzowny: niebezpieczeństwo bowiem, na jakie żydzi są narażeni jest tak znaczne, że przed pewnym czasem konsul amerykański wysunął wobec naszych władz kwestję bezpieczeństwa żydów amerykańskich. *Lecz mimo to zapieczętowane*

skrzynki z bronią są rzeczą wielce niepożądaną. Samoobrona wśród ludzi cywilnych jest zawsze niebezpieczną, jeśli nawet — jak to jest w danym wypadku — znajduje się ona pod ścisłą kontrolą władz".

Nawet Manchester! A pismo „El Karmel" za to samo zawieszono.

POLITYCZNE POMARAŃCZE.

Taki ładny, gorący w tonie, dekoratywny, taki smaczny, sympatyczny, niepozbędny owoc, a co to za komplikacje z powodu niego, jak to on wpływa na rozwój wypadków historycznych, jaka to międzynarodowa potęga! Cytrokultura! Orange! Pomarańcze...

Trzy miesiące temu do portu londyńskiego przybija statek z Australji... ściślej z Nowej Walji w południowej Australji. Przywozi transport 80.000 skrzyń pomarańczy australijskich. Po raz pierwszy: australijskich. Od tego czasu będą już przywozili zawsze. Po raz pierwszy: 80.000 skrzyń... z pomarańczami. A tymczasem w Hiszpanji zwiększa się cyfra bezrobotnych sezonowych akurat o 80.000 ludzi. Nie czepiać się cyfr? Jakże się nie czepiać, kiedy przypadkowo tak się złożyło, że tu 80.000 skrzynek, a tam w hiszpańskiej prasie piszą o 80.000 rolnych pracowników w prowincjach Valencia, Alicante, Castella, Murcia, którzy stracili pracę a grozi jeszcze więcej. Przypadkowo 80.000 skrzyń i 80.000 ludzi. Dlaczego? Bo z powodu angielskich restrykcyj wwozowych, musiał się ograniczyć do minimum eksport hiszpańskich pomarańcz.

Co więcej! Francja podniosła cła na owoce południowe o 15 proc... Europa jakby się sprzysięgła przeciw hiszpańskim pomarańczom. Niezwykła *baissa* cen w Hamburgu. Chodziło więc o to żeby Niemcy teraz przynajmniej brali hiszpańskie pomarańcze!

Na Anglję już nie można liczyć. Dobre czasy się już skończyły. Anglja będzie wszystkie owoce „popołudniowe" brała z Australji. W Londynie dojrzał jakiś wielki plan kolonizacyjno-plantacyjny. Utworzyły się dwie wielkie kompanje handlowe z kapitałem 200 miljonów funtów. Dosłownie: dwieście. Te kompanje zakupują w Australji obszary (terytorjum) wielkości 500.000 kilometrów kw. Na sto lat dzierżawy. No i tam będzie się wywoziło ludzi. Głównie dla plantacyj, głównie dla owocowych. Kiedy u nas jeszcze zimno, u nich w Australji już lato, owoce dojrzewają. Transport może być bardzo szybki. Australijskie jabłka są już dzisiaj nawet w Pacanowie i w Kiernozi. 80.000 skrzyń pomarańcz przyszło do Londynu w doskonałym stanie. Za kilka lat Australja Europę zasypie zwałami i górami pomarańcz pierwszej

sorty. Nie pomoże ani święty Boże. Poza pomarańczą australijską nie będzie żadnej innej. Wobec czego trzeba się ratować i bronić póki czas.

W pierwszym rzędzie musi się bronić główna producentka... Hiszpanja. Skoro o wywozie do Anglji niema mowy, trzeba sobie zabezpieczyć wywóz do Niemiec.

A tymczasem? A tymczasem w Hiszpanji rządzi gabinet czerwony jak rak. W konsulatach niemieckich wybijają szyby. W pochodach *„trabajadorów"* okrzyki: niech żyje Lenin! niech żyją Sowiety! precz z Hitlerem! Dochodzi do tego, że robotnicy portowi nie chcą wyładowywać okrętów niemieckich, o ile na flagach są swastyki. I raz po raz wrogie demonstracje przeciw Germanji. A tu w prowincjach pomarańczowych poprostu nędza i głód. Kto tam będzie śpiewał dzisiaj: „Valencja! Valencja"!, kiedy Valencjanie sami muszą zjadać tylko swoje pomarańcze i nic więcej, bo nikt pomarańcz w Europie nie kupuje, w portach pełne halle i owoc gnije. Niemcy hitlerowskie raz po raz protestują przeciw demonstracjom. Rząd hiszpański obiecuje represje wobec demonstrantów. Minister socjalistyczny Jose Giral wydaje odpowiednie odezwy i zakazy. Nic nie pomaga. Wobec tego Hamburg całkiem zamykają dla hiszpańskich pomarańcz. Niemcy będą sobie brały skądinąd...

Jeszcze jako tako udaje się z Czechami. Jadą więc hiszpańskie pomarańcze do Gdyni i stąd je wyładowują. Ale co tam tego jest, raptem 20 wagonów i z czego część dla Rumunji. Mało to pomoże tym 80.000 nowym Hiszpanom bezrobotnym. A Niemcy nadal obrażeni, wściekli i srożą się.

To też, kiedy niedawno temu zaczął się chwiać socjalistyczny gabinet w Madrycie, wśród argumentów przeciw rządom Azany, dość często padało także słowo: „pomarańcza". Aż wreszcie i gabinet legł i przyszli nowi ludzie, a wśród nich i nowy ambasador hiszpański do Berlina, Luiz Zuluetta, który odrazu puszcza wywiad w berlińskiej prasie o koniecznościach „ścisłej kooperatywy ekonomicznej, między obu państwami", czyli inaczej: kupujcie!

A tu tymczasem przychodzą z ofertami jeszcze inni do Berlina... Arabowie. Z tego samego małego kraiku, liczącego sobie 23.000 klm. kw., jedna delegacja pojechała do Berlina, a druga do Londynu, obie z pomarańczowymi ofertami...

Do Londynu p. Tołkaskij z Tel-Awiw. Że niby tak dalej iść nie może. Korzystają z uprzywilejowanej taryfy celnej, na podstawie *Imperial Preferial Ordinance:* Togo, Kamerun Tanganjika, a tymczasem Palestyna, kraj mandatowy, nadal traktowany po macoszemu. Jeszcze dwa lata temu Anglja brała 73 proc. eksportu pomarańczowego. Teraz, zamiast, żeby brała jeszcze więcej, to zaczyna sprowadzać aż z... Australji. W portach palestyńskich

czeka 4 miljony 446.000 skrzynek. Co z tem zrobić? — Rolnictwo zbożowe okazało się tam interesem całkiem deficytowym. Zresztą w tym roku żniwa dały w Palestynie 40 proc. tego, czego się spodziewano. Posucha w Erec była w tym roku straszliwa. Wyschły najstarsze studnie i cysterny, nawet na górze Karmel. Niektórym „kwucom“ grozi głód. Wszyscy liczą na export pomarańcz. Największy z plantatorów, król pomarańcz, Smilanskij, kompletnie osiwiał... Co robić z pomarańczami? I delegat pomarańczowy nalega na grosistów londyńskich, aby pomagali w ciężkiej sytuacji...

Zyskał Tołkowski to tylko, że teraz wszystkie listy z Palestyny będą miały nalepkę-pieczątkę pocztową: „Kupujcie pomarańcze palestyńskie“! Ale z zakupem i obstalunkami na pomarańcze, to gorzej. Natomiast szwabisko jedno, palestyński kupiec Paul Aborle, zwąchał się z arabskimi plantatorami i od nich Niemcy będą brali w przyszłości skrzyneczki z „pardesów“. Nie jest to sprawa drobna, gdyż Niemcy dotychczas zabierały 14 proc. exportu pomarańczowego z Palestyny, czyli najwięcej po W. Brytanji. Jeżeli teraz Anglja będzie brała z Australji, jeżeli inne narody od Włochów z Sycylji, a Niemcy z Hiszpanji i od Arabów... no to co się stanie z tą wielką cytrykulturą, która miała rosnąć jak na drożdżach, „rozwijać się w nieskończoność, z Haify i z Jaffy zrobić największe porty morza Śródziemnego i stanowić fundament wielkiej potęgi?“...

Nie dziwujmyż się tedy, że po cichutku, dyskretnie, za plecami, przy pośrednictwie „Banku Palestyńsko-Angielskiego“, zawarto tam ten osławiony dziś układ transferowy z Berlinem. Gdzieś te cztery miljony skrzynek z owocem iść jednak muszą. Manna już z nieba nie spada. Nawet w Arabach już się teraz wyrabia rasowy zmysł kupiecki... Nawet Australja, już zaczyna robić konkurencję... Rychło patrzeć, a pojawią się skrzynki z „Nowej Walji“...

Pomarańcza odegrała swą rolę w Madrycie. Skądinąd też będziemy o niej jeszcze dużo słyszeli...

FIKCJA SYJONU.

W Pamiętnikach Teodora Herzla (tom I, str. 200) zamieszczone są wywody, jakimi usiłował on zyskać dla nowej idei rodzinę Rotszyldów.

W wywodach tych czytamy:

„Mogę opowiedzieć panom w tej chwili wszystko o Ziemi Obiecanej, nie mogę tylko określić, gdzie ona leży...“

Kiedy ustalimy jaka część świata i jaki kraj mógłby wchodzić w rachubę, wówczas z największą ostrożnością rozpoczniemy kroki dyplomatyczne. Przez jakiś czas myślałem o Palestynie. Byłaby wskazana, ponieważ jest to niezapomniana siedziba naszego narodu, ponieważ nazwa sama byłaby już programem i ponieważ silnie przyciągałaby masy proletarjatu. Żydzi nie są jednak naogół ludźmi Wschodu, przyzwyczaili się do zupełnie innego klimatu i swój system przeniesienia żydów..., o którym mowa będzie później, dałby się tam z trudnością przeprowadzić“.

„Trzeba... abyśmy mieli klimat obejmujący różne temperatury dla żydów nawykłych do stref zimniejszych lub cieplejszych. Musimy posiadać *wybrzeże morskie* ze względu na międzynarodowy handel dla gospodarstwa rolnego, zaś prowadzonego przy pomocy maszyn niezbędne są *wielkie równiny*. Uczeni wypowiedzą się w tym względzie podczas naszej konferencji, a decyzję poweźmie rada zarządzająca“.

Taki miał pogląd, realny pogląd ten istotnie przewidujący na daleką metę historyczną, tęgi intelekt, mądry człowiek, „Wódz“.

Trzy lata temu w wywiadzie z „Jewish Chronicle“ mówił prof. Cassel nie tając też swego sceptycyzmu:

„Kwestja żydowska jest kwestją ludzkości i nie ma ostatecznego rozwiązania. Współżycie ludzi, hołdujących różnym tradycjom, zawsze i wszędzie stwarza problem. Antysemityzm pochodzi też z tych rozbieżności między tradycjami żydów a narodów, wśród których żyją. Póki żydzi żyć będą jako żydzi, póty będzie istniała kwestja żydowska. Również Palestyna kwestji żydowskiej nie rozwiąże, *gdyż w samej Palestynie istnieje kwestja żydowska*“.

Rok zaś temu również jeden z głębiej myślących mędrców Syjonu Kadmi Cohen wydał książkę, w której zapowiada dzisiejszemu Syjonizmowi kompletny krach tak ekonomiczny jak i polityczny i to w niedalekiej przyszłości, a ratunek widzi tylko jeden i jedyny. Ponieważ i żydzi i Arabowie do rasy jednej przynależą, tedy rozbudzić należałoby gorąco ogólną świadomość wspólnoty rasowej i stworzyć jedno państwo, ale wielkie. Takie terytorjum, jak Palestyna, jest zamałe (23.000 klm. kw.) tembardziej, że i z tego terytorjum żydzi tylko skrawek opanowali: Jeruzalem — Tel-Awiw — Tyberjada. Do tej Palestyny dołączyćby trzeba Transjordanję, Syrję, nawet Irak, nawet Hedżas (półwysep Arabski) i dopiero takie państwo semickie skolonizować żydami z całego świata. „Nie powinno się mówić o żydach i Arabach jako o dwóch różnych narodowościach, lecz tylko o Semitach, jako o całości“... Tak pisał Cadmi Cohen.

Otóż ten znów program koliduje najpierw z poglądem T. Herzla, że żydzi nie są jednak naogół „ludźmi Wschodu“, a potem z... rzeczywistą rzeczywistością dzisiejszą w Palestynie. Plan Cadmi Cohena jest o dziesięć lat spóźniony. W międzyczasie bowiem między Żydami a Arabami, muzułmanami wogóle rozgorzała

na całym froncie na wszystkich punktach stycznych wprost infernialna nienawiść, co przysparza dużo kłopotów rządom opiekuńczym Francji i Anglji.

Najpierw zajmiemy się tutaj kolizjami we francuskim Tunisie. Na 350.000 mieszkańców francuskiego Tunisu jest 60.000 żydów, ale, że opanowali cały przemysł, handel i bankowość, więc tak w Tunisie jak i Fezie dochodzi do ciągłych starć i awantur. Ostatnie, w grudniu r. 1932 przybrały tak poważny charakter, że konieczna była interwencja wojsk kolonjalnych.

Jeszcze większe kłopoty miała Anglja w Adenie (Yemen). Tu też garnizon policyjny trzeba było od maja r. 1932 wzmocnić do stycznia r. 1932 trzykrotnie. W parlamencie indyjskim w Delhi (Bombay) dnia 10 lutego miała miejsce długa, burzliwa debata wprost fotograficznie podobna... do... dyskusji w polskim Sejmie! Ponieważ w Adenie działy się coprawda już na wielką skalę zaaranżowane awantury, rozgromy, demolowanie synagogi, aresztowania, więzienia, deportacje, więc w mowie hinduskiego posła Yaya-Prasad-Singha znalazły się zbliżone akcenty i motywy do mowy... posła Miedzińskiego... Hindusi wdzięczni za wszechświatowo-prasową reklamę dla Gandhiego oraz jako nie stykający się bezpośrednio z żydami są pro - Israel, podczas gdy muzułmanie wszyscy już obecnie: contra.

Plan Cadmi - Cohena nie ma więc najmniejszych szans realizacji ze względu na cały już dziś świat Islamizmu.

Wprost natomiast katastrofalnie dla dość bliskiej przyszłości przedstawia się układ stosunków w Palestynie. Tu świat i ludzkość czekają niespodzianki historyczne bardzo groźne. Ten stary Balfour, to nie była jedna z tych najgenjalniejszych głów angielskich. Grand - old - man nie przewidział bowiem tego, że żydzi nie tylko są „elementami dekompozycyj" (Tacyt, Cycero, Mommsen), ale także i jeszcze więcej „drożdżami szowinizmu" i rozbudzicielami agresywnego nacjonalizmu. Gdzie tylko się pojawią Nawet w Havannie. Nawet w Honolulu (sic). Nawet w Sowietach. Nawet w Birbidżanie nad Amurem. Krótkowzroczny grand - old - man miał na celu tylko dobro Egiptu, a z możliwościami rozbudzenia się świadomości narodowej arabskiej się nie liczył. Znacznie więcej sceptycznego rozsądku miał już sam wielki Wódz, Gaon Herzl. Od Arabów przyjdzie (jak to słusznie przewiduje szereg Anglików i Amerykanów) groźna rewolta całego świata muzułmańskiego, 150.000.000 liczącego. Przyśpieszą to zaś te wypadki, które w marcu i w kwietniu zaszły właśnie w Niemczech...

Na meetingu w Kingsway-Hall w Londynie, protestującym przeciw okrucieństwom i barbarzyństwom w Niemczech (podobnym nawiasem mówiąc do tych, jakich Anglicy dopuszczali się swego czasu względem Boerów-Holendrów w Południ. Afryce) domagano się manifestacyjnie większego otwarcia wrót Palestyny dla emigracji żydowskiej. I to się już podobno stało. Jeżeli wierzyć relacjom prasy żydowskiej (kłamiącej zresztą obecnie wprost obłędnie), to jednak do Palestyny przyjeżdżają teraz olbrzymie rzesze uciekinierów z Niemiec, czyli Niemców wyznania mojżeszowego. Jeżeli w tem tylko 10 proc. prawdy, to to już jest wprost złowrogie. Ten *exodus* i ten *introitus* zeszedł się bowiem właśnie z momentem, kiedy, sądząc z relacyj i korespondencyj marcowych i to właśnie prasy żydowskiej, temperatura nienawiści Arabów do kolonizatorów doszła do stanu gorączkowego i zmienia się w psychozę, w obsesję, we wściekłość. Właściwie od roku już panuje tam z tej przyczyny stan wojenny, stan wzmocnionego pogotowia wojskowego. Jeszcze tam było jako tako z końcem roku zeszłego, kiedy goszczący w Palestynie romantyczny korespondent „Naszego Przeglądu" pan Appenszlak już pisał:

„Stosunków oficjalnych niema wcale. Po tragicznych zajściach z roku 1929 żydzi zerwali wszelkie stosunki towarzyskie z inteligencją arabską. Na gruncie politycznym kontakt jest niemożliwy. Partja skrajnych nacjonalistów jest nieprzejednana, żywioły usposobione bardziej pokojowo — nie są jeszcze należycie zorganizowane. Polityczny punkt widzenia nie uległ dotąd zmianie. Nacjonaliści za nic w świecie nie chcą uznać deklaracji Balfoura. Niedawno pismo „Palestine Bulletin" przeprowadziło w tej sprawie ankietę wśród nacjonalistów arabskich. Odpowiedź sformowana została w sposób cyniczny: modus vivendi jest możliwy, ale tylko z tymi żydami, którzy już są w kraju. Dalsza emigracja powinna być wstrzymana. „Gdyby Arabom pozostawiono wolną rękę, Beduini załatwiliby się z żydami w ciągu klku dni".

Niestety, jest tak istotnie. Tak się lubią ci Semici przybysze ze Semitami autochtonami, że gdyby wzmocniony już dwukrotnie w dwóch latach garnizon angielski odszedł na jakiś czas, był wezwany na któryś front, powiedzmy sobie np. na indyjski, to Beduini załatwiliby się z żydami „w ciągu kilku dni"...

Teraz jest „spokój". Wre praca i w miastach i na roli istotnie imponująca, nawet przez niechętnych podziwiana. Rosną w oczach kolonje, ogrody, przedsiębiorstwa przemysłowe, winnice, gaje pomarańcz, faktorje handlowe, asfaltowane drogi, elektryfikacja, rurociągi, Mussolinizm na małą skalę. Rośnie palestyńska Gdynia: port Haiffa, który ma stać się odrazu „największym portem świata" (?), tak jak Jerozolima ma być „przyszłą Genewą ludzkości (sic), a Palestyna „rajem, gdy tylko 1½ miljona żydów tam osiądzie"... Jak na drożdżach powstało „Wzgórze Wiosny" (Tel-Awiw), miasto coprawda nieco groteskowe, bo na 55 tysięcy mieszkańców liczą np. 1.500 lekarzy, czyli jeden lekarz na 366 zdrowych pacjen-

tów... Ale w tej nadwyżce „doktorów“, „uczonych jewrejów“ symbolizuje się sztuczność tej całej koncepcji: doktorzy prawa pakują pomarańcze z „pardesów“ do pak, doktorzy filozofji wożą superfosfat lub dobywają potas z Martwego Jeziora... Spekulacja i handel ziemią też przybrały patologiczny charakter, jak zresztą i sportowy bzik (Nacktkultur) wśród komunizujących chaluców, no i szał tańca w judancingach hotelowych w Jerozolimie dziś odchrześcijanionej, a o której uchrześcijanienie tyle było wypraw krzyżowych, krucjat!, nawet dziecinna! Tak to na Ziemię Świętą „mocnymi stopami wkracza cywilizacja europejska“ — pisze jeden z nieprzeliczonych skrybów, kupowanych przez Mondów - Melchettów.

Za swoją demoralizację płacą Fellachowie pięknem za nadobne. Od próżniaczych exrycerskich, korumpowanych, effendich skupują żydzi grunta zupełnie tak samo, jak ongiś Komisja Kolonizacyjna skupywała majątki od lekkomyślnych ziemian z Wielkopolski (nach Monaco! odsyłał Bismarck). Ale lud na roli, biedne fellachy mocno się trzymają ziemi, patrzą effendim i bejom na palce i kontrolują każdą tranzakcję, każdą próbę zdrady, każdy szacher, po hebrajsku: „szeker“. Od czasu do czasu wybuchają krótkie spięcia, czyli pogromy i napady (1920, 1921, 1929) i mordowanie i formalne bitwy. W jednych więzieniach siedzą żydzi (komuniści), w innych moc młodych, rozbudzonych patrjotów arabskich. Kolonizatorzy (kulturtraegerzy) nie godzą się na spis ludności, na parlamentarny ustrój, na „Radę Prawodawczą“. Tubylcy nie godzą się na całą inwazję, na mandat, na Balfurję, na zwiększony procent pozwoleń do wjazdu, na dancingi i na komunizm. Choć przez te lat kilkanaście przy tym całym zgiełku reklamowym i przy funduszach amerykańskich raptem 7 (siedem) procent ziemi przeszło w posiadanie okupantów, choć od roku 1922 do roku 1931, gdy żydów z Europy przybyło raptem 91.000, cyfra autochtonów wzrosła o 281.000, to jednak rozbudzeni, podrażnieni, rozexcytowani autochtoni nie godzą się już i na to. Rok temu jeszcze część prasy arabskiej gotowa była do pewnych koncesyj, rokowań, układów; obecnie gdy Anglicy zapakowali do więzień tamtejszych Obwie-fellahów, cała prasa arabska przeszła do aktywnej opozycji, ale już nie tylko przeciw Syjonizmowi, ale i przeciw patronującemu Albionowi (non-cooperation).

„Spokój“ jeszcze jest, ale warunkowany stałem pogotowiem wojennem szkockich *high-landerów* i uzbrojonej od stóp do głów *constabullary*. Opisywał ten stan (gdy jeszcze było znośnie) p. Apenszlak w tych słowach:

„Gdyśmy jechali do Jerozolimy — zauważyliśmy nagle w dalekiej perspektywie szosy — jakiś ciemny, poruszający się przedmiot. Podjechaliśmy bliżej: na nasze spotkanie toczyło się szare *auto pancerne ze sterczącemi lufami kulomiotów*. Pancerka odjechała, potem zawróciła, minęła nas, znów pojechała z powrotem. Poprostu odbywała sobie przejażdżkę po gładkim asfalcie. Przejeżdżaliśmy przez miasteczko Rammle. Pełno Arabów na ulicach, ani jednego Europejczyka. Wtem słyszymy w górze warczenie. *Sześć aeroplanów bojowych podnosi się z murawy lotniska.* Lecą, kołują, koziołkują, zda się baraszkują w powietrzu. Ot, tak sobie“.

Tak to prezentowało się z końcem r. 1932.

Od tego czasu jeszcze się mocno zaogniło. W rolnictwie kryzys, 35.000 bezrobotnych Arabów. Nie wiedzieć czasem czy ten *raj*, tak optymistycznie odmalowywany przez prezydenta Sokołowa, jest już dziś więcej czyśćcem dla syjonistów, czy więcej piekłem dla Arabów. W każdym razie już i tam padło hasło: „Fellache erwache!“ i już tam są od 10. 12. 1932 r. tamtejsi Hitlerowcy czy jak ich nazywać. Sami nazywają się: „Rycerzami Półwyspu Arabskiego“.

Na zakończenie zacytujemy jeszcze słowa najmodniejszego dziś autorytetu pansemickiego, autora „Wojny Żydowskiej“, t. j. Liona Feuchtwangera. Niedawno temu w Nowym Jorku na bankiecie danym w związku przyjaciół uniwersytetu hebrajskiego w Jerozolimie, ten dość zresztą uzdolniony beletrysta prześwietlił jeszcze jeden odcinek tragicznego problemu syjonistycznego:

„Lecz obok całej mej sympatji dla syjonizmu odnoszę się sceptycznie do jego ideologji językowej. Zdumiewającem jest i niemal tragicznem, że tak wybitnie literacko wyszkolony i uzdolniony naród, jakim są żydzi, pozbawiony jest więzów wspólnego języka. Szczerze żywię nadzieję, że syjoniści zdołają zapełnić tę lukę, brak mi jednak potrzebnej ku temu wiary. Wiem, że w dobie obecnej wiele tysięcy żydów mówi już po hebrajsku od dzieciństwa. Sam jestem wzruszony, gdy czytam swe książki w przekładzie hebrajskim. Lecz, mówiąc otwarcie, nie wierzę, by można było sztucznemi środkami spowodować zmartwychwstanie języka, który tak długo pozostawał poza nawiasem żywego rozwoju“.

Reasumując: mądry sceptycyzm wodza miał tedy swoje głębokie uzasadnienie geopolityczne.

Ale jeżeli ten wielki eksperyment angielskiej imperjalnej racji stanu zacznie wnet trzeszczeć w fundamentach, gdy wybije na zegarze dziejów nowa godzina świata muzułmańskiego, gdy garnizony angielskie będą nakierowywane na fronty indyjskie..., to gdzie jest ta Herzloska „ziemia obiecana“ z... zimniejszym klimatem? ...z wybrzeżem morskiem?... z wielkiemi równinami?...

...z ludnością o krwi chłodniejszej, a temperamencie cierpliwszym i spokojniejszym, bierniejszym od krwi Semitów-Arabów?

KSIĄDZ PINCIUREK.

Co jakiś czas czyta się, że rząd francuski ozdobił Legją Honorową jakąś osobę duchownego stanu, ale nie... rabina, nie cadyka, jak w naszem państwie się dzieje, jeno duchownego katolickiego dosłownie, to jest albo jakiegoś proboszcza w zapadłym kącie, albo jakąś zakonnicę, albo misjonarza. Obligatoryjnie pisze o tem „La Croix", ale nie zataja tego i prasa świecka.

Nie tak dawno czytało się o Legji Honorowej dla księdza arcybiskupa Colasa, kierownika misji w Indochinach. Legję Honorową otrzymały zakonnice Celina Aspin z Dahomeju, siostra Marja z Guadelupy (Meksyk), no a wreszcie siostra Ludwika Marielle, szarytka, która w 50 (pięćdziesięciu) wypadkach ofiarowała swą krew do transfuzji dla chorych w szpitalach, w których pełniła służbę.

Teraz znowu czytaliśmy o pięknej uroczystości obdarzenia Legją Honorową księdza Vanata, proboszcza parafji Gerbeviller w Lotaryngji, poprzednio profesora kolegjum w Luneville. W tym akcie uroczystym wzięły udział władze municypalne w komplecie. Proboszcz z Gerbeviller liczy sobie 86 lat. Legję dostał za bohaterską postawę podczas wojny. Gdy w r. 1914 Niemcy wpadli do parafji Gerbeviller, niszcząc ją ogniem i mieczem, dzielny kapłan stanął twardo w obronie swych parafjan, całkiem podobnie jak nasz bohaterski ksiądz prałat Świeykowski z Gorlic. Mszcząc się, Niemcy pojmali i pobili wówczas 66-letniego starca, a choć wojska francuskie Gerbeviller odebrały, proboszcza ciężko pobitego i poranionego Prusacy zawlekli z sobą. Kilka lat ksiądz Vanat był w niewoli i wydostał się wzamian za pięciu niemieckich misjonarzy, ujętych w Kamerunie. Po latach proboszcz wrócił do swojej parafji i poświęcił się jej odbudowie. W uznaniu zasług obdarzył go rząd francuski najwyższem swem odnaczeniem.

Że Francuzi, rzekomo skroś ateistyczni, potrafią czcić bohaterstwo nawet w osobach duchownych, nawet w obcych narodach, o tem świadczyłaby gruba, bo 414 stron licząca monografja pióra Ernesta Marji de Beaulieu, o polskim bohaterze i męczenniku. Książka francuska opowiada o polskim kapucynie z Białej Podlaskiej: „Pére Honorat de Biala".

Nie zawahał się też wcale niereligijancki rząd czeski odznaczyć wysokim orderem zmarłego zeszłego roku na Słowaczyźnie księdza kanonika Oppitza, proboszcza z Michałowca! Ten znów podczas walk czechosłowackich z węgierskimi judobolszewikami Beli Kuna (1919 rok), odznaczył się ofiarnością swoją na inny sposób. Kiedy wojska czeskie zajęły wieś Michałowce, w charakterze zakładników aresztowały kilku żydów. Tymczasem pewnej nocy zastrzelono żołnierza czeskiego na warcie. Wtedy dowodzący czeskim bataljonem wydał wyrok śmierci na zakładników. Kiedy udała się doń deputacja prosząca o litość dla niewinnych starych żydów, komendant czeski zgodził się na rozstrzelanie jednego zakładnika z losowania, a los padł na obdarzonego liczną progeniturą Mojżesza Deutscha. I wtedy ksiądz kanonik Oppitz (żydostwu wogóle niechętny, sam zgłosił się do komendanta, ofiarując w zastępstwie Deutscha siebie samego na rozstrzelanie. Rzecz prosta, że oficer czeski ofiary nie przyjął. Ale w kilka lat potem masoni z Pragi jednak kanonikowi przesłali „Lwa Białego".

Najwyższe cywilne odznaczenie włoskie dostają także i dostojnicy duchowni i misjonarze. Nie tak dawno wysokim orderem królewskim ozdobiony został astronom Watykanu, Jezuita ksiądz W. Stein. W parlamencie włoskim poseł Sardi tak mówił o księżach katolickich:

„Włoskim misjonarzom katolickim należy się wielkie uznanie, to też izba włoska śle im wraz z pozdrowieniami wyrazy podziwu dla ich męstwa i zasług we wszystkich dziedzinach ich działalności. Są to bohaterzy, każdej godziny gotowi złożyć swe życie jako męczennicy. Szczególny hołd należy się osobie Apostolskiego delegata w Chinach, arcybiskupa Constantiniego, który od lat jest luminarzem zarówno Kościoła, jak i swojej ojczyzny. Krwią pisane dzieje misyj katolickich w Chinach stanowić będą zawsze w historji chlubną kartę"...

U nas hołd i uznanie misjonarzom polskim złożył w pięknej swojej książce o Indjach Ferdynand Goetel; tenżesam szlachetny typ księdza polskiego dał w swojej tłumaczonej na angielski i wstępem Galsworthy'ego poprzedzonej powieści „Z dnia na dzień". Poza temi dwoma książkami, osób duchownych w beletrystyce dzisiejszej niema, tak jak i niema ich na listach odznaczonych.

Tymczasem zaś, czy to nie nadawałby się na powieściową monografję w wielkim stylu pewien Apostoł Trędowatych, o którym niedawno czytaliśmy:

„Apostołem tym był jezuita, ojciec *Jan Beyzym*, szlachcic polski z Kijowszczyzny, potomek spolszczonego rodu bejów tatarskich, skoligaconego z najpierwszemi polskiemi rodzinami arystokratycznemi, a zasłużonego w bojach o niepodległość. Pierwotną myślą tego niezwykłego człowieka było apostołowanie wśród trędowatych na Sachalinie, gdzie przebywali i zesłańcy polscy; gdy rząd rosyjski odmówił mu na to zezwolenia, ojciec Beyzym udał się na Madagaskar, gdzie własnemi rękami zbudował olbrzymi przytułek i szpital dla trędowatych oraz kościół, który ozdobił wykonanymi przez siebie rzeźbami z drzewa. Przyswoiwszy sobie wybornie język Malgaszów, spędził wśród swoich „czarnych piskląt" zgórą lat dwadzieścia, lecząc ich rany, kojąc ich straszliwą nędzę i niedolę, dzieląc się z nimi ostatnim kęsem chleba i ucząc ich... pol-

skich pieśni świeckich i kościelnych, które sam przełożył na mowę tubylczą. Otoczony miłością powszechną krajowców i podziwem władz francuskich, zmarł *in odore sanctitatis*, zaraziwszy się trądem. Obecnie wszczęto jego proces kanonizacyjny.

O ks. Beyzymie, jego życiu i czynach jest obszerna monografja polska, napisana przez ks. Czermińskiego T. J. Pozatem zachował się zbiór listów ś. p. o. Beyzyma; zbiór ten, należący do arcydzieł naszej epistolografji, porywający staroszlachecką swadą, jędrnością stylu, humorem i dowcipem, miał już sześć wydań (nakł. OO. Jezuitów w Krakowie), a wyjątki z niego były zamieszczane nawet w wypisach szkolnych".

Godziłoby się też z odmętów niepamięci wydobyć i... księdza... Pinciurka. To trudno, może to i komiczne nieco nazwisko, ale jakiż może nie zaraz bohater ale wzór, ale model do naśladowania!

Tylu już było polskich podróżników w syjonistycznej Palestynie, bo to i Ossendowski i Makarczyk i niedawno znów Ksawery Prószyński i ten i ów, a żaden jakoś nawet o księdzu Pinciurku nie napomknął nawet, nie wspomina. Zapewne, że ni kolos, ni tytan to nie był, ani jakiś Stanley ani colonel Lawrence, ot zwyczajny sobie księżulo, „proboszcz wśród ubogich", starowina, gołąbeczek, prościnka, pracownik pospolity w winnicy Pańskiej. Ksiądz Pinciurek zebrał raz sobie skromny fundusik i pojechał do Ziemi Świętej jako pielgrzym (peregrynant po staropolsku), nie jako turysta. I tam zobaczył na własne oczy, że wszystkie świata nacje mają stacje, swoje gospody, swoje tuscula. Wstyd go ogarnął, że Polacy muszą się tułać to tu, to tam. I kiedy wrócił do swojej parafji, ksiądz Pinciurek postanowił sobie zacząć zbierać fundusz na Dom Polski w Jerozolimie. Dostawał od ludzi grosze wdowie, cent do centa, grosz do grosza, złamane fenigi, drobiazg. Kilkanaście lat, na chudej farze siedząc, taką kolektę czynił, aż wreszcie fundusik mizerny na schronisko uzbierał i uciułał dla polskich pielgrzymów. I wtedy znów starą paltocinę na sutannę włożył, do ręki torba podróżna i parasol i jazda po raz drugi do Ziemi Świętej. I tu, w Jeruzalem, znów chodził, penetrował, wywiadywał się, szukał, aż wreszcie blisko Stacji VI Drogi Krzyżowej znalazł taką starą ruderę, którą mu tanio odstąpili. Z tarasu domostwa był piękny widok na Górę Oliwną. Na wyrestaurowanie już pieniędzy nie starczyło i ludzie nie dali. Dopiero następca jego, ksiądz kanonik Trocki, ruderę pięknie na gospodę schludną przerobił. Księdza Pinciurka już na to stać nie było. I ksiądz Pinciurek już Domu Polskiego w jego obecnym stanie okazałym (jak widać na fotografji) się nie doczekał. W każdym atoli razie swego celu życiowego dopiął i sam nędzarz, biedak, Łazarz, pamiątkę po sobie zostawił.

Także powieściowa figura! Może... gdyby się był w bezbożnej Francji urodził, daliby mu i Legję Honorową? Możeby jaki paryski feljetonista (Verneuil par exemple) sztukę o nim napisał?... W każdym razie wiedzianoby jednak, kto zacz *l'abbé* Pinciurek...

JAK DOŻYĆ STU LAT?

A. Guéniot, papa Guéniot wydał w roku zeszłym książkę-podręcznik autobiograficzny p. t.: „Sztuka dożycia stu lat".

W tym roku, w marcu dodał do trzeciego wydania krótką przedmowę, a na karcie tytułowej swój portret, aby czytelnicy widzieli, jak to rzeźko wygląda staruszek, który dożył sto drugiej wiosny. Jak książka tak i przedmowa mają mieć niezwykłą werwę, dużo dowcipu ale dużo także praktycznych rad i wskazówek. Matuzalem francuski doradza to wszystko raz jeszcze, co się samo przez się rozumie i o czem pouczają pacjentów wszyscy higjeniści: nie dużo jeść, umiarkowanie pić, a od... 65-tego roku życia zwolna ograniczać swoje życie seksualne; nadto powietrze, ruch i grunt się nie przejmować; irytować się można, ale irytacją się nie przejmować. Wino, specjalnie czerwone i oczywiście francuskie pije się aż do grobowej deski.

Zdaje się, że książka papy Guéniota przetłumaczona na język polski miałaby duży sukces, szczególnie w tych kołach, które interesując się tem wszystkiem, co się dokoła dzieje i jak się to wszystko rozwinie i rozplącze, chciałyby dożyć lekko przynajmniej do roku 1934.

Że nadmierne spożycie napojów wyskokowych wysokowalutowych szczególnie czystej (źródlanej) wyborowej z kropelkami szkodzi Sarmatom, ukróca im egzystencję i doprowadza za życia do nieprzyjemnych i uciążliwych komplikacyj, o tem i na ten temat wyszła teraz u nas znów cała powieść, też autobiograficzna Jana Reytana p. t. „Kto winien"?

Na pytanie „kto winien", że ludziska wogóle żyją krócej i prędzej, odpowiada znów pewien uczony amerykański, który postawił tezę, że na 100 ludzi przypada wogóle 99 samobójców, nie jednorazowych, ale systematycznych, chronicznych, permanentnych, codziennych samobójców. A mianowicie: że na 100 ludzi 99 pracuje za wiele i za intensywnie, na 100 ludzi 99 zadużo myśli poświęca przeszłości i przyszłości („czarna godzina") za mało teraźniejszości, na 100 ludzi za dużo pali 99, na 100 ludzi 99 za dużo pije (whisky), na 100 ludzi 99 przeładowuje przewody pokarmowe. Wreszcie na 100 ludzi 99 nie wie co jeść należy, godzi się i wypada. Uczony amerykański jest oczywiście także za zmniejszeniem porcji obroku i za przezwyciężeniem tuszy.

Przeciw nadmiernej tuszy wypowiadają się teraz oczywiście wszyscy. Były czasy, że i tusza była synonimem wspaniałości, okazałości, solidarności, była w estymie i w modzie. W Babilonji, w Asyrji, w Europie pierwszej połowy XVII stulecia, w Turcji, w Persji nadmierna tusza płci niewieściej uchodziła za wysokie *cis* piękna. W Sarmacji płeć męska podkochiwała się w swoich obfitych kształtach i długie musiały bywać pasy słuckie, aby cyrkumferencję bandziocha senatorskiego conieco ścieśnić. I jeszcze dzisiaj w niektórych mniejszych miastach i osiedlach Ameryki, Niemiec Południowych oraz w samym Paryżu w pewnych środowiskach specjalnych żarłoki i tłuściochy ważące do 150 klg. żywego mięsa cieszą się swoistym respektem, ba nawet zakładają sobie ekskluzywne kluby, gdzie się zażerają poczwarnie aż do momentu lekkiej a niespodziewanej śmierci.

Reszta ludzkości natomiast wypowiedziała się najbardziej stanowczo przeciw kultowi sadła i idzie konsekwentnie w kierunku wprost przeciwnym, to jest ku odchudzeniu, ku szczupłości, smukłości, gibkości, elastyczności i ku lekkiej wadze cielska. Podściółka zamagazynowanego tłuszczu powinna wynosić mniej niż jedna piąta wagi człowieka. Gentleman względnie lady powinna tyle ważyć, ile ma centymetrów ponad metr wzrostu. Co nadto to niezdrowo i bez sensu, bo skraca żywot na tym rozkosznym padole. Trzeba wszystko robić, wszystko przedsiębrać, wszystkiego dokazywać, aby nie dojść do tuszy Napoleona lub kształtów Andromedy Rubensowskiej.

Chcesz być szczęśliwym w życiu zapobiegaj tyciu. Jeżeli mimo zapobiegania tyjesz, eudogenicznie tyjesz, to znaczy, że twoje gruczoły tarczykowe nie w porządku, sprowadzają złą przemianę materji, co zwalczać i pokonać możesz odpowiednimi preparatami tarczycznymi, poczem tycie zaczyna wracać zpowrotem i tak już *usque ad finem*. W każdym razie atoli zapobiegać trzeba i godzi się, a to głównie przez odpowiedni dobór strawy, to znaczy przez niedokarmianie jako antidotum na przekarmienie.

Co tedy jeść należy, aby dożyć lat papy Guéniot, być *sweelt* i *smart*, mieć talję Forda lub Solskiego, być gibkim jak juhasy lub harnasie a w 95 roku życia grać w golfa jak Rockefeller senior lub król szwedzki?

Na ten temat różni różnie radzą, w pewnych detalach nawet mocno kolidując ze sobą, w niektórych zgodni. Przedewszystkiem doświadczenie uczy, że alkohol tuczy, brzuszyska rosną, kark pęcznieje, pedały chudną, sylweta się psuje, szczęście do damów przepada i niknie jak kamfora. Godzą się dalej jedni higjeniści z drugimi na punkcie warzyw i mięsa. Więcej zieleniny, mniej padliny! Co się tyczy słodyczy: żadnych. Mącznych minimalnie. Czekoladki od Wedla w miarę. Zupy? to przynajmniej bez soli („on nie z soli ani z roli, ale z tego coktowoli"). Czarna kawa bez cukru. Musztarda tylko po obiedzie. Śledzie przed.

Duże spożycie kapusty jako pokarmu dezynfekcyjnego i regenaracyjnego doradza dr. Arnold Leonard z Karlsbadu (Karlove Vary). Co do szpinaku zdania są podzielone. Według jednych szpinak sprowadza niechybnie artretyzm, tak jak sól „psuje" nerki, a śmietana „szkodzi" wątrobie. Natomiast atleta Weissmüller nie może się dość nachwalić szpinaku, któremu „zawdzięcza wszystko".

„Czas" organ sanacyjnych konserwatystów krakowskich stale od lat 80 zaleca jako płyn regeneracyjny „gorzką wodę cesarza Franciszka Józefa". W pewnej mierze można nawet przeładowywać żołądek, ale nie trzeba nigdy rozstawać się z gorzką wodą Franciszka Józefa nawet, gdy się już o Franciszku zapomniało, a tylko stoi i stać chce przy Józefie.

„Kurjer Poranny" warszawski natomiast nie może się dość nachwalić ze wszystkich „warzyw" wyłącznie tylko jednego czosnku. Cebulę zdaje się do pewnego stopnia bagatelizować, a zaleca wyłącznie czosnek.

Nie jest w tym zalecaniu rodakom czosnku „Kurjer Poranny" odosobniony. Czosnek istotnie wszedł co się zowie w modę jako pożywka i jako medykament. Doradza go obecnie wielu lekarzy. Istnieje nawet preparat, wyciąg specjalny czosnkowy dobry na wiele dolegliwości przydatny. Ale i całkiem zdrowym oswojenie się z czosnkiem przymnaża sił witalnych i ułatwia życie. Trzeba tylko przemóc w sobie pewną dziedzicznie wrodzoną niechęć do czosnku i bliźnich czosnek w większych dozach czy porcjach konsumujących, a rezultaty takiego przemożenia okażą się bezwzględnie dodatnie.

„Kurjer Poranny" (nr. 111) tak pisze o „genezie" tego zarówno odżywczego jak i leczniczego panaceum:

„Już w głębokiej starożytności czosnek był stosowany jako środek leczniczy i leczniczo-zapobiegawczy. W Egipcie obficie nim karmiono robotników przy budowie piramid dla zabezpieczenia ich od chorób zakaźnych. Leczył nim Hipokrates. Czosnek był bardzo lubianym środkiem leczniczym przez Hellenów i Rzymian".

Przekraczanie *setki* lat żywota przypisują spożyciu czosnku. Ale mało tego! Jeszcze:

„W ostatnich kilku latach medycyna nowoczesna zwróciła uwagę na lecznicze własności czosnku, który dotąd w wielu krajach i także u nas w Polsce był i jest bardzo rozpowszechnionym lekiem ludowym. Działanie czosnku przy różnych chorobach poddano dokładnym obserwacjom klinicznym w szpitalach, oraz zbadano analitycznie skład czosnku i oddziaływanie lecznicze poszczególnych jego składników. Głównym składnikiem leczniczo-czynnym jest olejek lotny czosnkowy, który zawiera około 15 proc. organicznie

związanej siarki. Ogólnie w lecznictwie czosnek ma zastosowanie bardzo obszerne. Preparaty czosnku są specyficznym lekiem przeciwko grypie. Stosuje się czosnek z pożytkiem przy różnych cierpieniach przewodu pokarmowego, przy chorobach płuc, jak to przewlekłe zapalenie oskrzeli, gruźlica itp. Czosnek posiada także bardzo wybitne działanie antyseptyczne i czerwiopędne, lecz najważniejsze w lecznictwie zastosowanie ma on przy leczeniu sklerozy. W ostatnim wypadku czosnek bardzo powoli i stopniowo rozszerza naczynia krwionośne, oraz znacznie obniża ciśnienie krwi. Dłuższe odpowiednio umiejętnie stosowane użycie preparatów czosnkowych może zupełnie usunąć sklerozę".

Reasumując tedy: Czosnek leczy grypę, cierpienia przewodu pokarmowego, choroby płuc, przewlekłe zapalenie oskrzeli, gruźlicę, no a wreszcie sklerozę. Jest tedy czosnek jakby to powiedzieć zielem w całem tego słowa znaczeniu leczniczem, wszechleczniczem, sanacyjnem, pansanacyjnem. Można tedy być spożywcą kapusty, grochu, szpinaku, fasoli i wogóle miłośnikiem warzyw i zieleniny, ale trzeba być przedewszystkiem konsekwentnym (nałogowym) kohnsumentem czosnku. Wtedy można poprostu gwizdać sobie na wszystkie choroby wszystkich przewodów i wtedy dożywa się bez żadnej fatygi tych lat stu, o których pisze papa Guéniot w swojej książce. Bez spożywania czosnku też można, ale znacznie trudniej i ciężej. Cukier krzepi. Ale czosnek lepiej.



SPIS RZECZY

Str.

POLSKA

ADOLFA NOWACZYNSKIEGO

UTWORY DRAMATYCZNE:

Siedm dramatów jednoaktowych. — Nakładem B. Połonieckiego. Wyczerpane.

„Smocze Gniazdo“, dramat historyczny. — Nakładem I. Mortkowicza.

„Rey w Babinie“, komedja historyczna. — Nakład Wiedigera. Wyczerpane.

„Starościc ukarany“, tragi-komedja historyczna. — Nakład Sierzputowskiego. Wyczerpane.

„Bóg Wojny“. — Nakładem Drukarni Krakowskiej Akademji Umiejętności. Wyczerpane.

„Cyganerja Warszawska“, komedja historyczna. — Nakład Gebethnera i Wolffa.

„Fryderyk Wielki“. — Nakład Gebethnera i Wolffa. Wyczerpane.

„Car Samozwaniec“, kronika dramatyczna. — Nakład Gebethnera i Wolffa II wydanie. Wyczerpane.

„Nowe Ateny“, satyra krakowska w czterech aktach. — Nakład Gebethnera i Wolffa.

„Było to nad Bałtykiem“, farsa historyczna. — Nakład Idzikowskiego. Wyczerpane.

„Pułaski w Ameryce“, kronika dramatyczna. — Nakład Ostoi.

„Komendant Paryża“, dramat. — Nakład Księgarni św. Wojciecha.

„Wojna Wojnie“, komedja Arystofanesoska. — Nakładem Hoesicka.

„Wiosna Narodów“ (W cichym zakątku), komedja historyczna. — Nakład Hoesicka.

„O Żonach Złych i Dobrych“, komedja nowoczesna. — Nakładem Hoesicka.

„Komedja Amerykańska“, niedrukowana.

TEGOŻ AUTORA:

Sześć Tomów Studjów i Szkiców.